

Aragon Louis  
Pasażerowie z dylizansu.

## C Z Ę Ś Ć PIERWSZA

— Och, jakież to szkaradne! — zawołała Paulina. Pogoda była wspaniała; po niebie płynęły, na szczęście, drobne chmurki, dzięki którym coś mogło na nim różowieć, a ono samo wydawało się jeszcze bardziej niebieskie. Wychodzący z Trocadero na schodach natykali się na ogromną pustą banię ponad Paryżem, Sekwaną i ogrodami. Jarzące się od świateł ogrody pełne złoconych, iskrzących się posągów, grządek żywych kwiatów i schodzących aż do rzeki drzew, spośród których na prawo i lewo wyłaniały się wieżyczki, tarasy i dziwaczne drewniane budowle o kolorowych dachach, wytaczały z siebie wszelkie zasoby wody — w kaskadach, obłokach piany i wodotryskach bijących pióropuszcami z głównego strumienia. Wśród tego wszystkiego oszołomiony, różnokolorowy tłum, Arabowie, Anglicy, paryżanie, gapie z melonikami na oczach, z trudem utrzymujący się na białych osiołkach prowadzonych przez fellachów, kobiety w dziwacznych, najmodniejszych toaletach, w niewygodnych turniurach, w małych kapelusikach na czubku głowy, z wstążkami wiązаныmi pod brodą, wałęsający się robotnicy w bluzach, płaczące się pod nogami dzieci, z których jedno przewróciło się na schodach i beczy, czerwone spodnie wojskowych, czapki żuawów, czarne wcięte surduty brodatych panów głośno perorujących — i fala za falą ludzie płynący i odpływający wśród zaduchu, kurzu i potu, porwani mrówczym tańcem, świadomi, że na całą godziny dostali się w tryby mordęgi i zadziwienia, że bez chwili odpoczynku wraz z innymi toczyć się będą po tej pochyłości, gdzie już od rana trudzili się samotni przybysze i ogłupiałe rodziny, i tysiąc i jedna nacji, co zbiegły się z całego świata na Wystawę... — Ach, jakie to szkaradne! — powtórzyła Paulina. Wystawa zaczynała się tuż u jej stóp tą cizbą gapiów, natłokiem artystycznych brązów, kwiatów, dziewczek, żołnierzy, mieszczuchów, wyrostków, spiętrzonych wód, Annamitów, Lewantyńczyków, świeżo przybyłych cudzoziemców i mętów ciągnących od strony Butte, tym pandemonium zdziwionym, szyderskim, gwarnym, powłóczącym nogami... I biegła dalej poprzez Sekwanę, gdzie most ginał pod baldachimem z płótna w czerwone i szare pasy, co przekształcało go w oblepiony mrówkami korytarz. Wystawa ciągnęła się dalej, na drugim brzegu, pod postacią przeróżnych baraków zalegających bulwary, nierównych, nie pasujących do siebie, zrobionych z drzewa, kamienia, stiuku, metalu, tektury, gruzu, wzdętych, dziwacznych, groteskowych, z przybudówkami, balkonami, loggiami, balustradami, kolumnkami, iglicami, szczytami, belwederami. Ale czy kto myślał o tej komicznej

pieczarkami, o widocznym od tyłu czworoboku Pola Marsowego obudowanego pawilonami z żelaza, szkła, cegły i gliny albo o niebieskozielonym sklepieniu Galerii Maszyn, gigantycznej szopy wystawionej przed Szkołą Wojskową? Czy wśród patrzących z góry, z portyku, gdzie zatrzymali się państwo Mercadier, myślał kto o tłumie, o restauracjach i lichych budowlach, o napływającej falami muzyce berberyjskiej, o piskach Kanaków, które unosiły się ponad tym wszystkim; czy w to późne popołudnie myślał kto o czymś innym jak o potworze na rozkraczonych łapach, którego stalowa koronka dominowała nad wszystkim dziurawiąc niebo, o potworze, dziwnie rzeźbionym, z płataniną kabli telegraficznych, ze szklanym kapeluszem w górze, tonącym w różowych obłokach, w olśnionym błękicie, w rozdartym świetle... któż mógł myśleć o czym innym jak o tej wieży na trzysta metrów wysokiej, o której tyle mówiono, o której mówiono tyle złego, ale o której nic nie mogło dać pojęcia, najsłabszego choćby wyobrażenia...

— Jakie to szkaradne! — powtórzyła po raz trzeci Paulina, a Piotr skinął potakująco głową i wyjaśnił:

— Gust amerykański — jakby chodziło o szampan, i zdjął swój nowy kapelusz, którego skórzana wyściółka uciskała mu czoło. Tłum zewsząd otaczał tę parę małżeńską, potrącał ją, spychał, unosił. Paulina czuła się zagubiona, bezradna i odwróciła się ku mężowi ruchem dziecinnym i tak uroczym, że Mercadier uczuł się dziwnie wzruszony. Przed chwilą jeszcze, jak zwykle, drażniła go tysiącem głupstewek, ale w tej chwili, idąc wzdłuż schodzących ku Sekwanie baraków, których dachy dźwigały na sobie podwójny rząd masztów z żółto-czerwonymi proporcami, ujmował drobne, krągłe ramię żony z pełną słodczy dumą. Nikt by nie pomyślał, że urodziła już dwoje dzieci. Zgoda, że gorset nie mało się do tego przyczynił, niemniej talia jej była zadziwiająca, niewiarygodna. W beżowobrazowej sukni przybranej w biodrach draperiami na falujących fiszbinach, w giemzowych rękawiczkach i wymyślnym brązowym kapeluszu wyglądała jak przebrana dziewczynka. Zresztą, dwadzieścia trzy lata to znów nie taki poważny wiek!

— Paulinko — spytał cicho Piotr — czy masz ochotę zejść do środka ziemi?

Za kępami kwiatów, w pobliżu Pawilonu Leśnictwa, otwierała się podziemna grotta, gdzie urzędnicy w czapkach z daszkami, w niebieskich bluzach, namawiali na podróż do środka ziemi w guście Juliusza Verne'a. Było tam coś w rodzaju szybu górniczego: wsiadało się do niewygodnej klatki, gdzie wraz z młodą parą wtłoczyli się gapie, jacyś przerażeni staruszkowie, paru pokpiwających uliczników i jeden żołnierz, na którego Piotr patrzył z ukosa, gdyż żołnierz ów najwidoczniej miał ochotę przysunąć się do Pauliny. Światło zgasło, coś zatrzęsło ludźmi, którzy mieli wrażenie, że lecą w otchłań, potem błada jasność i oto dziwaczne pejzaże: ścieki paryskie z czyścicielami kanałów w ogromnych butach, sklepienia i nadbrzeżne ulice, którymi snuje się cień Rocambole'a, a potem znowu

lekkie szarpnięcie w ciemnościach, krzyki zdumionych kobiet — i katakumby, opuszczone kamieniołomy paryskie, gdzie hoduje się pieczarki... Piotr otoczył żonę ramionami, aby uchronić ją od wszelkich zetknięć. Uraczono ich kolejno wykładem ma temat dziejów ziemi i formacji geologicznych, potem lekcją pogładową w kopalni węgla, w kopalni rudy żelaznej, a wreszcie w wielkich i dziwacznych salach kopalni soli kamiennej, gdzie półnaczy górnicy uderzali oskardami w dekoracje oświetlone strzypami jasności...

Z przyjemnością wrócili na wolne powietrze i w tłum. Piękna, starannie utrzymana broda Piotra nie postarzała go wcale i nikt by mu nie dał jego trzydziestu trzech lat, gdyż pozostał szczupły, chociaż był niewysoki i zbyt barczysty, w swym solidnym mieszczańskim ubraniu. Ona wyglądała na dziewczynkę, która bawi się w dorosłą panią, w nim zaś było coś, co wyraźnie klóciło się z godnością ojca rodziny i profesora. Może zbyt jasny melonik. A może jakiś nadmiar siły, porywczosć zdobywcy na urlopie. Właśnie to wszystko, co działało Paulinie na nerwy.

— Oczywiście — rzekł Piotr idąc za swoją myślą — trzeba by to kiedyś pokazać małemu...

— Myślisz? — odparła Paulina po krótkiej pauzie. — Przecież Calino i tak nic z tego nie zrozumie... A tutaj taki kurz, zarazki.

Mercadier z cicha zagwizdał. Trzeba jednak, aby dziecko gromadziło wspomnienia. Paskal miał trzy lata. Piotr do dziś jeszcze wiele pamięta z takiego właśnie okresu dzieciństwa.

Przechodzili przez most osłonięty płóciennym baldachimem, gdzie niemal wpadli na wysokiego starszego pana o wojskowym wyglądzie, z bokobrodami, a bez wąsów i brody, w obcisłym surducie. Piotr już miał przybrać zaczepną postawę, gdy Paulina zawołała:

— A to zabawne! Jak to, Piotrze, nie poznałeś admirała?

Piotr nie poznał admirała, którego nie widział od dnia swego ślubu. Admirał Courtot de la Pause. Stryj Denizy, wiadomo.

— Ależ poznaję, poznaję — odparł Piotr, który już chciał jakoś naprawić swe roztargnienie, ale okazało się, że admirał jest zachwycony ze spotkania młodej pary. Spóźnił się na pewne spotkanie, błąkał się samotnie, ot, taka chwila, z którą nie wiadomo, co robić, i nagle przypomniałem sobie, że przecież mamy Wystawę, a więc... Ale nasza Paulinka! To po prostu nie do wiary! Widzę ją wciąż z warkoczami na plecach... Huśtałem ją na kolanach, panie Mercadier, tę pańską żonę, a teraz ona kołysze już swoje dziecko... Dwoje! Prawda, dwoje, przepraszam, zapomniałem... Miał pewną urazę do Piotra, że tak poważnie potraktował tę małą. A jak się miewa pani d'Amberieux? Dobrze, doskonale. Czy aby wam nie przeszkadza?

Nie, nie przeszkadza. Przynajmniej jeśli chodziło o Paulinę. Była po prostu uszczęśliwiona. Admirał, pomyślcie tylko, admirał! Każde zdanie zaczynało się od „admirale"... Jak igrająca kotka. Wobec tego Piotr, w pierwszej chwili lekko podrażniony, również uczuł pewne zadowolenie ze

spotkania. Razem krążyli wśród budowli obrazujących historię siedzib ludzkich, od jaskini przedhistorycznej do nowojorskiego drapacza chmur... Weszli pod Wieżę, z zadartymi głowami, w których zawirowało im od tej perspektywy i od mnóstwa objaśnień, jakimi zasypał ich admirał, który po prostu buchał wiedzą techniczną. Wyobraźcie sobie, że Wieża jest przenośna i gdyby chciano przetransportować ją w inne miejsce, bez trudu można by ją ustawić na placu Etoile, Bastylli albo nawet nad brzegiem morza.

Admirał — jakby wydawał rozkazy z oficerskiej kajuty — obliczał ciśnienie wiatru na powierzchnię wieży Eiffla, ciężar spoczywający na każdym z betonowych filarów umieszczonych pod tymi żelaznymi łapami. Wyliczał dźwigi, schody, przewody, kesony, kasetony, krokwie wieżarowe... Dla Pauliny było to równie niezrozumiałe jak muzyka. Wyobraźcie sobie tam na szczycie robotników nitujących belki poprzeczne! Ona nic sobie nie wyobrażała, trzymała się mocno ramienia Piotra, chodziło jej tylko o to, aby przechodnie, którzy patrzyli na nią, poznali admirała...

— Czy chciałabyś, kochanie, obejrzeć rekonstrukcję Bastylli?

Jest zmęczona, a zresztą Bastylia... Wobec tego admirał zaprosił ich do małej arabskiej kawiarenki na Polu Marsowym. Nie miała ochoty na kawę. Podano jej orszadę. Admirał zdawał się tyle mieć do powiedzenia, że nieuprzejmością byłoby mu przerywać. Replikował Piotr, Paulina zaś, zmęczona, ale szczęśliwa, słyszała zaledwie co trzecie słowo; wzrok jej spoczywał na zielonoszarych dachach pawilonów z falistej blachy, które okalały ogrody gdzie były w górę olbrzymie fontanny. Zawołowane odaliski krążyły między stolikami. Mężczyźni w fezach i białych bluzach siedzieli niedbale na krzesłach obok paryskich toalet. Wśród kurzu i jełkiej woni tłumów zapadał wieczór.

— Koniecznie trzeba zwiedzić — mówił admirał — pawilon fabryki Sevres... i Gobelinów... La Savonnerie! Zwłaszcza Gobeliny... Warsztat tkanin dywanowych o tramie horyzontalnej. Warto zobaczyć, jak zęby tkackiej maszyny pracują po lewej stronie... lewą ręką chwyta się nicielnice... nicielnica jest to linka skręcona w kółko... umocowana na drażku...

Paulina wcale już nie słuchała. Trzewiki trochę ją cisnęły. Orszada była mdła. Nagle doszły ją słowa, jakby przede wszystkim do niej zwrócone:

— Nie byli państwo w Pałacu Sztuki?

Delikatne brwi uniosły się ze zdziwieniem. Po raz pierwszy wydało się, że Paulina chce wypowiedzieć jakąś własną myśl.

— Jeśli o mnie chodzi, nie cierpię malarstwa — powiedziały jej maleńkie urocze usteczka.

Admirał nie dostrzegł skurczu na twarzy Piotra i odrzekł ze wspaniałą odwagą marynarza:

— Nie masz racji, moje dziecko. Nie znaczy to, że jestem takim znów amatorem... Nie. Nawet, aby powiedzieć prawdę... Zwłaszcza co do

impresjonistów... A jednak... Trzeba się kształcić, dotrzymywać kroku... Powiesz mi, że na morzu to rzecz wykluczona... Przyznaję... — Piotr pogwizdywał z cicha. Admirał nie zauważył tego. Mówił dalej: — Trafiają się prześliczne płótna, weźmy taki temat rodzajowy... jakieś bagno... krajobraz dla myśliwego... albo wieśniacy otaczający małą dziewczynkę, która uczy się chodzić... matka wyciąga do niej ręce... ojciec w każdej chwili gotów podtrzymać maleństwo... urocze, urocze... A nazywa się to *Pierwsze kroki*... Zapomniałem nazwiska malarza... Albo ta zakonnica Hennera... Powiesz mi, że mam gusty nowoczesne, ale ja lubię Hennera, owszem. A zainteresowałem się tym dzięki Denizie...

Dlaczego mówiąc to zwracał się przede wszystkim do Pauliny, skoro nie ona, lecz przecież Piotr znał się na malarstwie?

— Czy nie mówiono ci, Paulinko, że znajduje się tam również obraz Błażeja?... Nie? Niezbyt piękny, muszę przyznać. Przykro mi, ale... Jak zawsze, robotnicy... W szynkowni tym razem... Jest to maniera pana Zoli, który stworzył szkołę... Widocznie to się komuś podoba, przynajmniej jemu... Czy nie sprawiłem ci przykrości?

Nie, Paulinie nie sprawiało przykrości to, że brat jej źle maluje. Ale denerwowało ją, gdy mówiono przy niej o tym typie. Ona w każdym razie nie pójdzie do Pałacu Sztuki, aby obejrzeć obraz tego pacykarza.

— Admirale, niech mi pan nawet nie wspomina o Błażeju... Nie widzujemy się z nim od... od chwili... to bardzo nieciekawym typem...

Ależ oczywiście, admirał zmienił temat. Przed nimi niebo całkiem poczerwieniało; ludzi było mniej, małe białe osiołki dreptały, zacinane biczami egipskich poganiaczy... Teraz admirał brał na świadectwo swoich słów cały ten rozległy a niezwykle pejzaż: trawniki o geometrycznym rysunku, pałace-klatki, wodotryski, gigantyczne posągi o pulchnych kształtach i wydzierganą z żelaza wieżę, olbrzymią, niebieską, ochlapaną krwią słoneczną... Ponieważ zbliżała się godzina obiadu, mniej zasobna publiczność, która wprawdzie ze zgrozą i szacunkiem obejrzała jadłospisy w restauracjach, teraz, na zielonych ławkach, u stóp wielkich palm tkwiących w skrzyniach, zabierała się do swoich skromnych obiadków. Rozkładano gazety na kolanach, a na nich pojawiały się kielbasa i pomarańcze. Dzieci przynosiły z pobliskich kawiarni szklanki pełne wody zabarwionej na różowo. Przy białej balustradzie, na złożonych tam tłumoczkach, sadowi się jakaś para małżeńska... Wieczór uczniaków i starszych pań, emerytów o zmęczonych nogach; prospekty leżą rozrzucone po ziemi, a małym dziewczynkom bardzo się już chce spać. Głos admirała nabiera nagle uroczystych, basowych tonów:

— Stulecie rewolucji i buntu? Nie przeczę, nie przeczę... Ale pretekst pozostaje pretekstem! Ich rewolucja francuska... Jednakże, jak wyraził się pan Tirard, postęp nie zwalnia kroku... I proszę spojrzeć! Co za widok! Przy całej swojej brzydocie, przyznaję! Ale jaka w nim wielkość! Pomyślcie o tych wszystkich, którzy nad tym pracowali w warsztatach, fabrykach, manufakturach; co za wysiłek, co za gigantyczny wysiłek!

Nie chciał porzucić tego tematu. Piotr widział jego wniebowzięty wzrok. Nie powstrzymałby go nawet wystrzał z armaty. Na szczęście i on odczuł ciężar późnej pory, a może i głód. Mimo że przyrzekł jakimś znajomym, że ich odwiedzi i że pusta chwila dnia już się wypełniła, zaprosił młodą parę na obiad. Czuł nieodpartą chęć rozmawiania z Piotrem, którego właściwie nie znał. Zazwyczaj nie był tak gadatliwy. Ale tego wieczoru coś się w nim rozpętało. Zapewne smutek, smutek samotnej godziny, która nagle przekonała go, że jest równie samotny na świecie, jak był na Oceanie, a także poczucie starości, które czasem w piękną pogodę, w gęstym ludzkim tłumie chwyta nas za gardło wobec przejawów cudzej siły, wyników cudzej pracy, gdyż one nas przeżyją... Wtedy gada się, gada... Ludzie słuchają i myślą sobie: „Stary nudziarz, pocieszna figura!” Nie dosłyszeli drżenia trwogi, tragicznie barwiącej zakończenie każdego banalnego zdania, każde potknięcie się umysłu, który broni się za wszelką cenę, aby nie widzieć własnej słabości, wieszczego cienia śmierci.

Znaleźli się więc na terenie Wystawy Kolonialnej, która zagarnęła esplanadę Inwalidów. Pewien kapitan fregaty, przydzielony do Ministerstwa Marynarki, wskazał admirałowi niezbyt drogą restauracyjkę... nie mówiąc już o innych zaletach. Zapalały się lampy. To właśnie była zapowiedziana feeria. Bo wielką nowością na Wystawie roku 89 było oświetlenie a *giorno*, jakiego dotąd nigdy nie oglądały ludzkie oczy.

— Czarodziejka Elektryczność — mruknął Piotr siadając.

Lampy wyglądały jak sznury pereł zawieszane w festonach dokoła esplanady. Dziwaczne budynki, gdzie mieszały się style Azji, Afryki i Oceanii, nabierały w resztkach cienia wyglądu sennych majaków. Jawajki usługiwały gościom, którzy jedli dziwne i mało strawne dania.

— Gdy się pomyśli — mówił admirał — z jakiej klęski wyszliśmy! Po roku 71, z długami wojennymi, kraj zdemoralizowany... Ach nie, dziękuję za sól! I tak mam już pragnienie! Czy zamówiłem już wino?

Paulina coraz mniej słuchała tej męskiej rozmowy. Kolonie, Niemcy, Bałkany, Juliusz Ferry...

— Nigdy nie byłem boulanzystą — doszły ją słowa admirała. — Dlaczego miałby nami rządzić oficer armii lądowej?

— Muszę się przyznać — odpowiedział Piotr — że nigdy nie byłem zbyt mocny w polityce... Trzymam się zasady, że...

Ale admirał już się rozpędził.

— Zdziwi to pana, młodzieńcze, że marynarz tak do pana przemawia... ale ten widok tchnący spokojem... — wskazał szerokim ruchem Wystawę — ...w chwili gdy wszystkie narody zbroją się... Francja zwraca się do nich z apelem: „Spójrzcie, jak ja pracuję!” I pokazuje im swoje dywany, porcelanę, hutnictwo, biegłość swoich rękodzielników, swoją potęgę... Nasz kraj rozwija się. Mimo Prusaków. Wbrew Anglii. Mamy przyjazne stosunki z carem...

Wino było niezłe. Przy deserze admirał przypomniał sobie, że się z kimś umówił.

— Zapomniałem o tym przy ładnej kobiecie... Pożegnali się na bulwarze.

— Wracamy do domu? — zapytał Piotr. Ale Paulina, mimo że bardzo jej pochlebił obiad w towarzystwie admirała, miała jeszcze ochotę powalać się trochę bez niego. — Chcesz pójść do Bastylii?

Nadała się. Przecież on wie, że to ją drażni. No dobrze, dobrze. Po Sekwanie krążyły jasno oświetlone statki. Wystawę obejmowała w posiadanie wieczorna publiczność. Piotr myślał o różnych rzeczach; jarmarczna strona całego przedsięwzięcia budziła w nim pewien niesmak, a przecież przy takim świetle można by tworzyć cuda barw. Na przykład taki Claude Monet...

— A może byśmy tutaj wstąpili?

Wzdrygnął się. Drobną dłonią w rękawiczce Paulina wskazywała budkę pod kasztanami: „Mag Ahaswerus” — głosił oświetlony szyld, a na małej estradzie dziwaczna brodata postać w spiczastym kapeluszu w gwiazdy stała pod purpurową zasłoną, a u jej stóp siedziała kobieta otulona we wschodnie zasłony. Piotr uśmiechnął się.

— Czy masz źle w głowie?

Ale ona napierała się jak dziecko. Więc weszli.

## II

Mercadierowie pochodzą ze starej rodziny prawników, której marnotrawni synowie uciekali najczęściej do marynarki lub do wojska. Prowansalczyk z pochodzenia, których nazwisko odnaleźć można na cmentarzach powyżej Barcelonnette — w służbie państwowej od wielu pokoleń rozproszyli się po całej Francji. Jakieś boczne linie Mercadierów osiedliły się w koloniach. Mają krewnych w Paryżu i w Nantes. Prawdę powiedziawszy nie jest to już rodzina. Utworzyli odrębne gałęzie i kłócili się o skrawki ziemi. Trwonili spadki, tracili z oczu marnotrawnych wujów i uszlachcone ciotki.

Piotr Mercadier, który jedyny z rodziny odbył studia uniwersyteckie, uczył historii w prowincjonalnych liceach i zasługiwał na coś więcej niż ta wędrówka po szkołach. Jego prace na temat Anglii w wieku XVII zdobyły mu uznanie, które przekroczyło granice kraju. Za studium o Karolu I otrzymał nagrodę międzynarodową.

Z wiekiem z wolna tracił tę nonszalancję w zachowaniu, tę zadzierzystość, jaką odznaczają się ludzie niskiego wzrostu. Piotr miał kasztanową brodę i ubierał się wykwintnie, zawsze na czarno. Był więcej niż dumny ze swoich szerokich ramion... Miał lekko garbaty, wydatny prowansalski nos i od wczesnych lat drobne zmarszczki w kącikach oczu.

Życie jego mogło być zupełnie inaczej, gdyby był uprawiał forsowne sporty. Był to sentymentalny żołnierz, który utonął w książkach. Mylnie nastawiona zwrotnica. Źle rozdane karty. Nie dojrzał w sobie jednego z tych Mercadierów, których wybryki opowiada się przy stole i którzy w piętnastym roku życia wsiadali na statek. Piotr Mercadier uwierzył w swoje spokojne przeznaczenie.

Bał się przyszłych niepewnych losów świata. Przeszedł wstrząsy, znał do

gruntu kruchość społecznej budowli. Urodzony w roku 1856, dzieciństwo przeżył w okresie liberalnego cesarstwa. Syn wyższego urzędnika sądowego, wychowany w wierze, iż ustrój to rzecz trwała, widział, jak życie zmieniło się na skutek wypadku kolejowego, w którym zginął jego ojciec. Matka wyszła po raz drugi za mąż za drobnego przemysłowca, wolterianina i opozycjonistę, który przyjaźnił się z panem Emilem Ollivier, ale w poglądach politycznych nie posuwał się tak daleko. Z kolei ów ojczym zginął od niemieckiego pocisku w Paryżu, gdzie wyjechał był w interesach. Cesarstwo runęło, Prusacy obozowali po trosze w całej Francji, przyszła Komuna, a Piotr Mercadier miał dopiero piętnaście lat.

W co wierzyć? Ludzie mówili różne najbardziej sprzeczne rzeczy. Matka, biedna kobiecina, kiedy wypadek kolejowy i pocisk armatni dwukrotnie uczyniły ją wdową, otoczyła młodość Piotra gęstą siecią obaw i lęków. Dzięki Bogu, jedna rzecz pewna pozostała im w tych nieszczęściach: pieniądze. Co prawda, spadek po drugim mężu był znikomy — przemysł ucierpiał podczas wojny. Republika rodziła się w groźnych konwulsjach. Piotr lubił malarstwo, bo na obrazie wszystko jest spokojne, dokończone, nic już nie zmienia miejsca. Pasjonował się nową szkołą. Matka zamartwiała się tym, z gniewem mawiała, że syn traci czas i zdolności na głupstwa. A gdy doszedł do pełnoletności i przenieśli się do Paryża, bo Piotr wyciągnął przy losowaniu szczęśliwy numer i mógł zapisać się do Ecole Normale, wówczas zaczął nawet i pieniądze trwonić na bohomyzmy knociarzy z Barbizon. Co prawda, kobiety drożej by go kosztowały.

Pani Mercadier kochała syna nad życie, a dwa razy pchnięta ku niemu przez swoje dwukrotne nieszczęście, narzuciła chłopcu, który stworzony był do ryzyka, życie cieplarniane, a zarazem pełne ostrożnych przewidywań.

Kochające matki odgrywają nieraz, decydującą i fatalną rolę w chwilach, gdy ich synowie wybierają sobie drogę życiową. Łamią im los w najlepszej intencji. Pani Mercadier widziała Piotra, gdy dojrzeje, panem ojcowskiego dziedzictwa. Ona sama miała po drugim mężu dość, aby wyżyć, a w dodatku jeden ze stryjów Mercadier zapisał Piotrowi swój majątek, a właściwie znaczną jego część.

Ta matka bała się pieniędzy, a jednocześnie je kochała. To znaczy, że dziedziczenie uważała za największe szczęście, a wydatki za najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Najczęściej wyobrażała sobie, że Piotr wyjeżdża w świat ze swoimi obrazami i traci cały majątek... Może i miała rację — przecież ich pieniądze mogły stopnieć z dnia na dzień. Należało więc zapewnić sobie na przyszłość jakiś niezawodny atut. Jedynym, jaki widziała, było danie Piotrowi gwarancji państwowej, zrobienie go urzędnikiem. Oto dlaczego namówiła go do obrania fachu, który przy ich rencie był śmieszny. Ale nauczyciele zawsze będą potrzebni, choćby wybuchła wojna, rewolucja, epidemia i choćby nawet zatriumfował impresjonizm.

A zresztą czy mężczyzna nie powinien mieć jakiegoś zajęcia? Piotr nie



potrzebował pieniędzy; miał je. Trzeba mu było poważania u ludzi; zapewniał mu je zawód nauczycielski. Ecole Normale — to naprawdę dobrze brzmiało. Piotr dał się dość łatwo przekonać. Ecole Normale to znaczyło Paryż, galerie obrazów, kto wie, może znajomości z młodymi malarzami, koncerty, krótko mówiąc: sztuka...

Wojna właściwie nigdy na świecie nie wygasła. Francja oczywiście płaciła długi. Ale toczono walki na Bałkanach. Rosjanie maczali w tym palce. Potem zaczęły się wyprawy kolonialne. Ludzie opowiadali się namiętnie za nimi lub przeciw nim. Piotr Mercadier chodził na koncerty. Muzyka... to sztuka idealna; podkłada się pod nią, co się chce — nuty nie mają uprzedzeń, wszystko rozwiązuje się w harmonii. Czyż nie zdarzyło mu się finansować po cichu przedstawień operowych za ojcowską schedę? W rezultacie cienko zaśpiewał, jak mówiła potem jego żona, która uważała, że jest bardzo dowcipna, i która mu to potem przez całe życie wypominała chcąc usprawiedliwić własne wybryki w zakresie garderoby i zamiłowanie do bibelotów i świecidełek.

Piotr zakochał się w niej, jak to się czyta w powieściach, prawie nie zamieniwszy z nią słowa. Miała szesnaście lat, on miał dwadzieścia sześć; ukończył już studia, służby wojskowej uniknął. Zobaczył ją w Aix na balu w prefekturze. Paulina d'Amberieux, córka zrujnowanej arystokratycznej rodziny wywodzącej się z górzystych okolic Bresse, przyjechała do Aix w odwiedziny do zamożniejszych krewnych. Miała w sobie całą trzpiotowatość i świeżość młodości, blond loki o popielatym odcieniu, grzywkę na czole, naturalny pieprzyk na bródce, a modne wówczas turniury zdawały się wymyślane specjalnie dla niej — tak to kobiecie już ciało było smukłe i szczęśliwe we wszystkim, co mogło na siebie włożyć.

Pani Mercadier przyklasnęła wyborowi syna. Wzięła na siebie zwalczenie skrupułów dostojnej rodziny, która spokrewnienie się z kimś, komu brak szlacheckiej partykuły przed nazwiskiem, uważała za mezalians. Więcej: za pewien rodzaj konkubinatu. Za panią Mercadier przemawiał argument pieniężnej natury, toteż posłużyła się nim. Wytworzyło to między dwiema matkami, panią d'Amberieux i nią, przymus, zakłopotanie, coś jakby współnictwo zbrodni. Obie kobiety serdecznie się nie cierpiały. Mogło to stać się źródłem sprzeczek między młodą parą. Nie czekając na to, pani Mercadier poświęciła się. Trzymała się na uboczu, mieszkała w Paryżu, tak samo zresztą jak pani d'Amberieux, która jednakże nie naśladowała jej powściągliwości i odwiedzała córkę, ilekroć miała na to ochotę.

Paulina przyjęła pierwszego konkurenta, który się jej oświadczył, gdyż jej posażne przyjaciółki zaczęły już wychodzić za mąż, a jej wpojono przekonanie, że wielkim wstydem jest zostać starą panną. Miała dwadzieścia lat, niezbyt się zgadzały z panią d'Amberieux, wówczas już wdową, dla której córka była ustawicznym przypomnieniem o zniknięciu jedynej mężczyzny w ich rodzinie. Paulina była małą ośmioletnią dziewczynką, gdy Błażej d'Amberieux zerwał ze swoimi, więc niezbyt odczuła brak starszego brata, który i tak rzadko bywał w domu, a z którym

wciąż się sprzeczała. Zachowała o nim pamięć pełną urazy, „bo ówczesne wybuchy gniewu matki najniesprawiedliwiej w świecie skrupiały się na niej, a także uczucie zgrozy przed tym wszystkim, co reprezentował ów nieobecny — nieporządne życie, stosunki ze złymi kobietami w Paryżu, cyganeria, może nawet rozpusta; opuścił je niby to, śmiech powiedzieć, dla malarstwa. Toteż gdy potem toż samo zamiłowanie do malarstwa, co prawda pod niewinną postacią chęci nabywania obrazów, odnalazła u Piotra Mercadier, stało się ono dla niej wcieleniem wszelkiego zła na świecie, całej męskiej nikczemności, opuszczania swoich bliskich, ucieczki przed odpowiedzialnością głowy rodziny...

Nie jest wykluczone, że to, co pani Mercadier powiedziała była pani d'Amberieux o majątku swego syna, nie przeminęło bez echa, dość że Paulina pewnego wieczora po balu pozwoliła się pocałować temu impetycznemu młodzieńcowi o starannie utrzymanej brodzie, który w walcu tłumaczył jej wiersze łacińskie, gdzie była mowa o amforach i tancerkach — ale któż śmiałyby to jej mieć za złe? Ten młody człowiek mógł zmienić całe jej życie, gdyby umiał do niej przemówić jak do ludzkiej istoty. Niestety chciało, że był tak roztkliwiony jej świeżą pięknnością, iż widział w niej tylko dziecko i pobłażliwie traktował jej kaprysy. Przynajmniej uważał za kaprysy wszystko, co było wynikiem powierzchownego wychowania Pauliny. Nie wiedział, że dla młodych kobiet miłość była wówczas szkołą życia, bo znał tylko istoty obowiązane dawać mu rozkosz i dość już otrzaskane z miłością, aby w niej znajdować i własna rozkosz. Uważał, że uczynił wszystko darząc Paulinę dość gwałtowną namiętnością. Należał do mężczyzn, którzy nie odróżniają miłości od temperamentu. Paulina ulegała mu, a gdy spostrzegła, że pewne komedie skracają nudę całej tej historii i czyniły Piotra szczęśliwym, przyzwyczała się wydawać okrzyki w chwilach, gdy nie czuła nic, po prostu aby z tym skończyć, a może także przez pewien rodzaj uprzejmości. W rezultacie Piotr sądził, że jest w nim zakochana, i nie stawiał sobie żadnych pytań w tej delikatnej materii, a wreszcie doszedł do owej absurdalnej samczej zarozumiałości, sprawiającej, że mężczyzna jest prawie zawsze przekonany, iż skoro posiadał kobietę, ona już należy do niego duszą i ciałem. Powieści, pisane przeważnie przez mężczyzn, są zazwyczaj zbudowane na tej dziwnej i nierealnej koncepcji, toteż wszystko kończy się tam szczęśliwie, gdy tylko bohaterowie prześpią się z sobą.

Nie trzeba z tego powodu pomawiać Piotra Mercadier o jakieś głupie a nękających ród męski, raczej niedoskonałość ich natury, niż posądzać Piotra o brak inteligencji. Ponieważ jednak później sam Piotr całą odpowiedzialnością za skutki wynikłe z tego pierwotnego nieporozumienia obarczał wyłącznie Paulinę, jej głupotę, egoizm i próżność, jest bez wątpienia rzeczą słuszną podjąć tu obronę żony przeciw mężowi, dla którego dumy podobna interpretacja była oczywiście najmilsza i najłatwiejsza.

Z tej stałej komedii, którą Paulina uprawiała zresztą bez wątpienia z

najlepszych pobudek swej natury, niepostrzeżenie narodził się nawyk kłamstwa.

Stale kłamała Piotrowi w rzeczach drobnych, tak drobnych, że wcale tego nie spostrzegał. W ten sposób Piotr stał się dla żony kimś obcym, stał się tym, któremu się kłamie. Bardzo szybko przeniosło się to na pieniężne sprawy ich domu. Paulina, której mąż dawał pieniądze hojnie i nie bawiąc się w rachunki, lubiła już tylko pieniądź zrecznie ukradziony i strwoniony. W jej świadomości ustaliła się między nią a Piotrem ścisła granica „mego” i „twojego”, co odbiło się na całym ich pożyciu.

Raz jeszcze powtórzyć trzeba: Piotr nie był małostkowy, uznałby za rzecz naturalną, że pieniądze w równym stopniu należą do nich obojga i że małżonkowie nie rachują się między sobą. Ale Paulina nawet o tym nie marzyła, i tak w całkiem naturalny sposób w małżeństwie ich ustaliła się krzywdząca własność męska. Pobrali się we wspólnocie majątkowej, która nie dopuszcza, aby żona miała własne konto w banku, własny podpis, osobowość prawną. Czyż zresztą nie od niego otrzymywała wszystkie pieniądze, jakie miała? W dodatku Piotr przynosił co miesiąc pensję, co prawda, bardzo małą.

Banalna ohyda wszystkich rodzin ich środowiska zagnieździła się więc między nimi, wraz z wynikającym z niej kłamstwem. Nie zdawali sobie z tego sprawy, tak że kłócili się zawsze z innych powodów.

Między mężczyzną a kobietą pieniądź zawsze jakoś się maskuje. Kłóćą się z jego przyczyny, ale o nim nie wspominają: niby to chodzi o dzieci, służbę domową, prачkę.

Pieniądź i narastające wokół niego urazy, rozczarowania i oszustwa nikną więc za banalną dekoracją powszedniego piekła.

Piotr potraktował małżeństwo jako gruntowną odmianę życia. Skłonność do takiego zrywania z własną przeszłością wynikała z jego temperamentu. Miał już dosyć przyjaźni nawiązywanych w szkole, a które ciągnęły się za nim w okresie studiów uniwersyteckich. Jego zmysł krytyczny przejawiał się z całą ostrością w stosunku do środowiska lat młodzieńczych. Zbyt dobrze widział całą jego nudę i smutek, aby chciał narzucić je młodej żonie. Wystarczyło kilka zwykłych rozczarowań w stosunku do tych artystów, z którymi, w jego rojeniach, znajomość miała być tak upragniona i upajająca, aby małżeństwo ukazało mu się jako wybawienie. Kupował bilet do dalekiego kraju.

Ładna żona, miłość — czyż to nie może wypełnić życia?

Trzeba było paru lat pożycia małżeńskiego i dwojga dzieci, aby Piotr Mercadier zrozumiał, że głupoty Pauliny nie można wieczyście kłaść na karb młodego wieku. Bo i jak od razu poznać, co jest naiwnością młodziutkiej matki w stosunku do jej dzieci, a co zwyczajną głupotą? Nie tłumaczyło to przecież jej zgryźliwego humoru, absurdalnego opętania drobiazgami życia codziennego. Myślał, że macierzyństwo korzystnie na nią oddziaływało. Zawiodł się. Dzieci (naprzód urodziła się dziewczynka, potem Paskal) były po to, aby się nimi pysznić, stroić je i pokazywać, po czym

pozostawiało się je niańkom. W gruncie rzeczy tak samo traktowała męża. Kobiecie potrzebny jest mąż, aby pokrywał jej wydatki, a także aby mogła wyjść z nim, bywać na przyjęciach i w teatrze. Nigdy nie pomyślała, że i poza tym jest on istotą ludzką, co więcej, realną obecnością

Lubiła tylko paplanie, plotki, a także życie towarzyskie, ale wyłącznie w jego najbardziej powierzchownej treści. Nie należała do kobiet, które upajają się światem. Była, dzięki Bogu, kobietą uczciwą i z równą przyjemnością spotykała w mieście starsze damy, jak i młodych panów. Każdą pracę uważała za ujmę dla kobiety i drwiła bezlitośnie z osób, które na przykład pisują lub studiują. Owszem, można trochę malować albo, bez przesady, przy sposobności, zaśpiewać, choć ona sama nie miała żadnych talentów i szczyciła się tym. Talent to rzecz męska, nie kobieca.

Oczywiście, była religijna. Ale także nie zanadto. Dość chętnie słuchała płochych żartów, które zresztą rozumiała tylko w połowie. Krótko mówiąc, dla towarzysza przy stole, który jej poza tym wcale nie znał, była osobą czarującą i wcale dowcipną.

Paulina stale szczyciła się swoją nieposzlakowaną wiernością, mimo że osobie o tak pięknych oczach i zębach nie brakowało takich, co zabiegali o jej względy. Ale z czasem nawet ta jej wierność, w którą zrazu wątpił będąc z natury zazdrosny, zaczęła się Piotrowi wydawać czymś strasznym, nawet nienormalnym. A jednocześnie widział w tym jakby pozycję strategiczną, skąd panowała nad słabym i krwistym mężczyzną, który wiedział, że choć nieraz ją oszukuje, nie pociąga to za sobą żadnych skutków. I miał o to do siebie trochę pretensji.

Jednakże, gdy robiła mu scenę z powodu świeżo nabytego szkicu lub rysunku, buntował się. Gdy mówiła: „Ach, to malarstwo! Dość nam złego wyrządziło”, odpowiadał:

„Daj mi wreszcie spokój z tym twoim Błażejem!” Błażej był to ów brat Pauliny, który zniknął i którego Piotr nigdy nie widział.

Nie lubiła nic z tego, co lubił Piotr; szydziła z jego obrazów, żartowała z jego książek. Fakt, że czytał po angielsku (choć nie mówił tym językiem), był między nimi tematem nieustannych docinków, głupich conceptów, którymi go zarzucała i które jej wydawały się ogromnie zabawne. Toteż zaczął nienawidzić jej śmiechu, który zrazu tak w niej pokochał. Wzruszał ramionami, gdy z daleka, poprzez liczne pokoje, usłyszał ten śmiech perlisty, ale głupi, budzący w nim chęć tłuczenia talerzy.

Zamknął się w sobie. Nie pokochał nigdy naprawdę swoich dzieci, gdyż były to ich wspólne dzieci, jej dzieci. Zabrał się do studiów. Odbывał lekcje w szkole i utrzymywał stosunki z ludźmi starszymi, z intelektualistami danego miasta, czytywał książki sprowadzane z Paryża, a Paulina na widok żółtych okładek mówiła: „Ach, znowu któraś z tych niegodziwych książek?” Rzadko wybuchał z powodu drobiazgów — przypalonego mięsa, zbyt daleko posuniętej impertynencji żony w stosunku do któregoś z jego przyjaciół. Był to więc mąż wzorowy. Piotr Mercadier w gruncie rzeczy schronił się w swojej profesurze, w swoim urzędniczym

zawodzie, zarówno przed życiem, jak przed żoną. Stworzony, jak wielu w jego rodzinie, do awanturniczych przygód, uchylał się od walki i sądził, że zagwarantował sobie spokojne życie i pewną przyszłość obierając ten zawód, tę nieciekawą egzystencję, której nic nie mogło zagrażać, chyba jakieś zdarzenie przekraczające ludzkie wyobrażenia, jak bankructwo państwa albo trzęsienie ziemi. Kto wie, czy Paulina nie byłaby go inaczej kochała, a przynajmniej szanowała, gdyby był jednym z tych Mercadierów z początku wieku XIX, co to wzięli w swoje ręce inicjatywę po takich Sainteville'ach i d'Amberieux, których krew płynęła w jej żyłach.

Źle się obliczył. Jakieś niezadowolenie rosło w nim, choć właściwie nie zdawał sobie z tego sprawy. Myślał, że z pewną dozą filozofii, za cenę pewnych ograniczeń, zawsze można jakoś przemknąć się przez życie, wywiązać się z niego przyzwoicie we własnych oczach i uniknąć tragicznych konfliktów. Wprowadzał to w czyn na terenie swojego domu. Stosował to w polityce. Państwo zapewniało mu utrzymanie i dach nad głową, prawda? A do rządzenia państwem byli inni. On ograniczał się do przeglądania dzienników, aby nie mieć zbyt głupiej miny w rozmowach z kolegami. Zawsze starał się zmieniać temat, gdy rozmowa schodziła na tory polityczne.

O ile jednak mało interesował się prasą, chciwie rzucał się na czasopisma historyczne, które czytywał w paru językach. Po pierwsze, wiązało się to z jego zawodem, a poza tym znajdował tam zagadnienia polityczne, ale już wystygłe, posłuszne rygorom naukowej metody. Piotr nie osądzał swoich współczesnych, ale nie widział żadnych powodów, aby wstrzymać się od tego w stosunku do Talleyranda.

### III

W 1889 roku Mercadierowie wybrali się więc do Paryża na Wystawę. Tego nie można było darować. Starszą dziewczynkę zostawiono na opiece służby w Landach; wyobraźcie sobie tylko: być w Paryżu podczas Wystawy— z dwojgiem dzieci! Niepodobna było jednak rozstawać się z małym; a zresztą wszystko dobrze się ułożyło, bo pani d'Amberieux przebywała akurat w Paryżu, w swym mieszkaniu przy ulicy Babylone, oddali więc jej chłopca pod opiekę, a sami spokojnie zamieszkali w pobliżu „Bon Marche”, w bardzo czcigodnym pensjonacie prowadzonym przez siostry augustianki.

Paskal nie zachował żadnych wspomnień z Wystawy. Wieżę Eiffla i Trocadero ma w pamięci raczej dlatego, że widuje się ją na każdej pocztówce. Natomiast zapamiętał każdy najdrobniejszy szczegół mieszkania babki, jakby to była czarodziejska grotta, gdzie weszło się przypadkiem, potarłszy magiczną lampę we właściwym miejscu. Mieszkanie składało się z trzech pokoi, kuchni, starej służącej, a okna wychodziły na utajone ogrody, których istnienia nic na zewnątrz, na tych cichych ulicach, nie zdradzało. Ogrody pełne kwitnących akacji, których zapach w wiosenne wieczory unosił się wraz z przygłuszonym zgiełkiem

wielkiego miasta.

— To jest dziecko urodzone w jesieni — mówi babka i sentencjonalnie unosi do góry ciężki od jesiennych zapowiedzi palec, na którym błyszczą złoty sygnet jej nieboszczyka męża.

Odkąd tylko sięga pamięcią, Paskal widzi się zawsze na kolanach swej macierzystej babki. Pani d'Amberieux, która nigdy nie osiadła u Pauliny na prowincji, mieszkała stale w Paryżu, ale często odwiedzała córkę albo widywała się z dziećmi latem w zamku Sainteville, u swego brata, dokąd Mercadierowie zabierali z sobą i Paskala. Ta stara, zwiędła kobieta, o cerze delikatnej i obsypanej puszkami, wychudła na twarzy, ale pełna w sobie, w staniku skomplikowanym mnóstwem fałdek, karczków, aplikacyj, nosząca wymyślne rękawy i wysokie sztywne kołnierzyki na fiszbinach, kryjące zwiotczałą szyję — ostatnia kokieteria osoby niegdyś pięknej — ta stara kobieta jest dla Paskala całą słodyczą jego dzieciństwa, wszystkim, co łączy go w przeszłości z tym dziwnym cielesnym światem, z którego wyszedł i któremu, jak mu się zdaje, rodzice jego są absolutnie obcy.

Babka kochała w Paskalu chłopca, męskiego przedstawiciela rodziny. Przyjście na świat pierworodnej dziewczynki przeżyła jako zawód. A ponieważ pani d'Amberieux od pierwszej chwili nie cierpiała zięcia, w Paskalu, któremu sama wybrała to imię, widziała przedłużenie własnego rodu, prawnuka jej ojca, dla którego zachowała młodzieńcze uwielbienie. Może będzie podobny do jej męża, świętej pamięci pana prefekta d'Amberieux, którego pewnego wieczoru w Compiègne spoliczkowała w obecności cesarzowej, gdyż cesarzowa uśmiechnęła się do niego.

Co prawda, słaba była nadzieja, aby stadło Mercadier miało wydać potomka godnego rodów Sainteville i d'Amberieux. Ale, ostatecznie, mężczyzna jest mężczyzną. Wielką tragedią życia pani d'Amberieux była utrata syna, Błażeja, który nie umarł i który, co więcej, miał się podobno doskonale. Ale źle sobą pokierował. Cygan, anarchista... Lepiej w ogóle o tym nie myśleć. Nie widziała go od roku 1875. A przecież nie mogła go jej zastąpić ta mała Paulinka. Pierworodny. Zawsze buntowała się na tę myśl.

Jakkolwiek była żarliwą dewotką i dzieliła czas pomiędzy rodzinę, wspomnienia o panu d'Amberieux, który spoczywał na cmentarzu Pere-Lachaise, i rekolekcje u sióstr augustianek, pani d'Amberieux miała w stosunku do samej siebie, przejawiającą się nawet w słowach, cyniczną szczerłość, rzadko spotykaną wśród burżuazji. Mawiała, że taki już jest los kobiet, aby starzejąc się przenosiły na synów namiętności, którymi niegdyś darzyły ojców. Nie oszukiwała się i gdy była na miejscu, nigdy nie pozwoliła ani słudze, ani własnej córce zajmować się dzieckiem. Surowo też wymagała, aby do pielęgnacji Paskala używano tylko tego pudru, tej wody lawendowej, tej pasty do zębów, których sekret знаła z własnej kobiecej praktyki lub zwierzeń nieżyjących już przyjaciółek; pani Mercadier nie sprzeciwiała się matce, gdyż niezachwianie wierzyła w jej mądrość w tej dziedzinie.

Dla babki Paskal był to jej Calino, pieszczoch. Huśtała go na kolanach, a

potem, trzymając za rączki, kołysała go głową na dół. Podczas tej ceremonii obsypywała go przeróżnymi dziwaczными imionami; nazywała go swoim Cudem, Angielskim Królem, Karolem Wielkim, Raminagrobisem, Kotem w Butach, Kapitanem Fregaty, Rajskim Ptakiem, Kochanym Bożą, Prześlicznym Lucyferem, Księciem Sabaudzkim, Księciem de Morny, Zabijaką, Księciem z Bajki, Diabełkiem, Fra Diavolem, Soczystym Kawonem. Szczypała go lekko w pośladki, tam gdzie tworzy się fałdka. Podrzucała go w górę i chwytła pod ramiona. Łaskotała go, przyciskała mu nosek, aż zaczynał się śmiać. Uwielbiała go i śpiewała mu piosenki, dość niedbale wymawiając słowa, jako że zarówno do niej, jak i do małego słowa nie chciały nigdy nic mówić. Jeśli tylko nie pilnowała się, zaczynała mówić z przeciągłym i energicznym akcentem swoich stron. Przy Paskalu nie musiała się pilnować, toteż wracała do wieśniaczych zaśpiewów, których wyzbyła się na klasztornej pensji, a potem na dworze cesarskim. Zaczynała mówić jak jej brat, dziadzio Paskal. Jak on, zaciągała wtedy przy końcu każdego zdania.

Wieczorem kładła małego do łóżeczka około szóstej, nakarmiwszy go wprzód zupą. („Tę łyżkę zjedz za zdrowie babci, tę za cesarza, tę za młodego księcia, znowu za babcię, tę za siostry augustianki, a teraz, trudno, za mamę, przecież to się jej należy, żrenico mego oka, za tatusia nie musisz...”) Otulała go kołdrą w biało lakierowanym łóżeczku, mającym u góry coś w rodzaju szubienicy, na której nie zawieszano już staromodnych woalowych firanek. Długo usypiała go recytowanymi półgłosem piosenkami, bo nie był to śpiew, lecz monotonne mruczenie, piosenkami, które wymyślała sama i z których pozostały w pamięci dziecka wielkie, niepojęte strzępy, dziwne refreny zapomnianego świata:

W świat jedzie na swym wielkim koniu

Mały pieszczołek lasem poziomkowym.

W świat jedzie na swym wielkim koniu

Mały pieszczołek w pancerzu ogniowym...

W świat jedzie na swym karym koniu

Mały bohater w hełmie z róż na głowie.

Różowo-czarny na swym karym koniu

Mały bohater jedzie w świat po błoniach...

Albo znów:

Kręć się, kręć się ciągle,  
Zimowy młynie, kręć się dokoła,  
Kręć się, kręć, a potem  
Idź do kościoła, idź do kościoła!

Kreć się, kreć, nie skrywaj  
Przed proboszczuniem swego pytania,  
(Kreć się, kreć się ciągle!)  
Co mi z płakania, co mi z płakania?

Była również pewna powtarzanka, wybijana lekkimi uderzeniami po mytym właśnie zadku:

Biju, biju,

Gruby kiju,

Zgniłe mięso

Szczury wężą...

Czy trzy pokoje tego mieszkania były naprawdę bardzo duże, a Urszula w swym czepku przywiązanym pod brodą białym okrągłym sznurkiem — naprawdę bardzo stara? W każdym razie Paskal jako dziecko, a potem jako mały chłopiec święcie w to wierzył. W kuchni stale były kremy z bitej śmietany, ciasteczka zwane „Ile tyle”, ciastka migdałowe, które piekło się dla Calina. Pachniało to zawsze wszystko melasą i karmelem. Babka kupowała aż na drugim końcu miasta jedyną — jak twierdziła — w stolicy naprawdę białą mąkę, bo tu wszystko sprzedają fałszowane i zepsute.

Jaki był rozkład tych trzech pokoi i kuchni? Jak przechodziło się z jednego do drugiego? Próżno podejmował gigantyczne wysiłki — tego nie mógł sobie przypomnieć. Był pokój babki, jadalnia i salon, zwany przez Urszulę „buduarem jaśnie pani”. Kuchnia pełna miedzianych garnków, czerwonych i lśniących, bardzo lśniących. A na ziemi małe czarne kwadraty między dużymi kwadratami białymi. W trzech pokojach były czerwone jedwabne obicia i różne chińskie przedmioty. Małe, wyściełane krzeselka nie miały żadnych drewnianych części. Wszędzie mnóstwo półeczek, gdzie tłoczyły się smoki, pokraczne figurki o chwiejących się głowach, mozaikowe wazy, niebieskie lub w kwiaty, srebrne wazy w złote rybki, malowane wachlarze, kubki pokryte tajemnym pismem, dziwaczne posążki z kości słoniowej, sceny jarmarczne, rybacy na malutkich mostkach, konie z terakoty, jakieś nieznanne zwierzęta z zielonej i żółtej porcelany, motyle na haftowanych płaszczach rozwieszonych na ścianie. Pośrodku tego wszystkiego, niby wyrzut, wielki czarny krucyfiks, na którym umierał piękny Chrystus, tak piękny, że chciało się płakać na widok jego cierpień, Chrystus otoczony tymi wszystkimi grzechami Dalekiego Wschodu, tak prawie duży jak dziecko, z kroplami krwi wymalowanymi czerwoną farbą na żółtym i wychudzonym ciele, wielki czarny krucyfiks leżący na fortepianie, otoczony frywolnymi miłosnymi scenami na lakach firmy „Martin” o złotym tle, pod zbrojami przywiezionymi z Indii przez ojca pani d'Amberieux, który był w Czandernagor gubernatorem Jego Królewskiej Mości Karola X.



— Słuchaj, Calino — mówiła babka — to jest tatuś twojego dziadka. Na polowanie jeździł na słoniu. Nosił hełm, a tamtejsi ludzie, całkiem nadzy, rzucali mu kwiaty pod nogi. Był dobry i potężny i wychował swego syna, to znaczy twojego dziadka, w bojaźni bożej... Kobiety kochały go, jak wszystkich mężczyzn z naszej rodziny, jak kochać będą ciebie, Calino, gdy dorośniesz i gdy na grzbiecie słonia polować będziesz na tygrysy. Słuchaj, Calino, kobiety nie będą cię kochały, jeżeli będziesz robił miny i obgryzał paznokcie... I pamiętaj, że choć ja na ciebie nie patrzę, Bóg patrzy... I Matka Boża... Trzeba być miłym dla Matki Bożej, Calino... Mogą cię kochać kobiety, ale jeżeli nie będzie cię kochała Matka Boska, wszystko na nic... Calino, daj spokój paznokciom! Kobiety będą cię kochały, bo urodziłeś się na jesieni, a wszystkie jesienne dzieci poczęły się z mocy nowego roku.

Babkę otaczają kraby z brązu, lichtarze w kształcie ibisów, róże z saskiej porcelany, perły z weneckiego szkła, portrety dam z włosami ujętymi w czarne siatki. Babkę otaczają walczące słonie i tygrysy, i dziewice spowite w purpurowe aksamity i dźwigające złote kwiaty.

Taki jest pierwszy obraz świata, który jak podarek unosi z sobą mały Paskal, przekarmiony kremami i marcypanami; jest to wonny i fantastyczny świat, nad którym czuwa umęczony i krwawiący Bóg; świat, gdzie chimera odgrywa rolę kota, świat gubernatorów i pasterek, świat, gdzie bocian jest złoty, a niebo z brokatu. Wśród wieloramiennych bóstw indyjskich i chińskich lotosów na lakowych parawanach stara kobieta w obcisłym gorsecie na fiszbinach, z nosem zgrubiałym na starość, w domowej sukni z malinowej zenany, z przymkniętymi oczyma powtarza stałą swą wróżbę: „Kobiety będą cię kochały, kobiety będą cię kochały.”

Przez okno napływa zapach akacji.

#### IV

*Od* najmłodszych lat Piotr Mercadier wierzył w pewien przesąd: w giełdę. Nie znaczy to, aby się nią tak bardzo interesował, ale o niej właśnie stale mówiono w domu w owych niespokojnych dniach. Giełda była barometrem trwałości ustroju społecznego. Tracono tam głowy? Żegnaj, błogi spokoju! Piotr Mercadier przyzwyczaił się codziennie przede wszystkim sprawdzać, jak stoją kursy. Nie można wierzyć temu, co wypisują dziennikarze. Ale tam, w tych cyfrach, kryła się prawda. Prawda pieniądza. W tym nie ma, nie może być szachrajstwa.

Jako historia ogromnie zaciękały go dzieje Szkota Lawa (wymawiać: Lou), który wymyślił pieniądze papierowe, natomiast nic a nic nie obchodziły go następstwa tego faktu. Już wówczas, gdy pisał swój szkic o Stuartach, skreślił parę notat odnoszących się do tego wielkiego finansisty. Po pewnym czasie wrócił do nich i własne myśli wydały mu się oryginalne, ale niezbyt naukowe. Miano to zaczerpnął ze swego zeszytu materiał do artykułu dość dziwnego, który ukazał się w pewnym czasopiśmie uniwersyteckim. „Powinienem do tego jeszcze wrócić” — mówił sobie

czytając go. W latach osiemdziesiątych nauczyciel historii, aby zdać egzamin profesorski, wcale nie musiał studiować ekonomii politycznej. Motorem historii, jakiej on miał nauczać, była walka ducha wynalazków i postępu z duchem tradycji i wstecznictwa albo rozwój sił narodu czy też ewolucja idei... Pieniądzowi *nie* wyznaczono tam żadnej roli; była to dziedzina pozostawiona osobistej inwencji Piotra Mercadier. Toteż pozwalał się opanowywać fantasmagoriom pieniądza, własnym teoriom, które piętrzyły się jak chmury nad przelotnymi refleksjami i którymi bez trudu zastępował poprzednio wysnute teorie.

Na przykład... Wszystkie przykłady są złe. Ale czyż ubóstwo narodu nie było stałym wyrzutem, jaki historycy czynili swemu monarsze, swemu rządowi? „Bogaćcie się” — hasło, które było etyką Monarchii Lipcowej, nie było złą zasadą; zło tkwiło w tym, że Francja mimo tego hasła zubożała. Fałszywa moralność filozofów, wzorowana na moralności księżej, upierała się, aby w pieniądzu dopatrywać się źródła zguby. Głupstwo, które nie mogło ostać się wobec faktów.

Ten respekt wobec pieniądza, przenikający młodego profesora, nie skłaniał go bynajmniej do tego, aby z pieniądza uczynić rdzeń swego życia. Również zawód nauczycielski nie popychał go na tę drogę. Ale była giełda. A właściwie różne giełdy. Nie był bowiem pewny, czy w miłości jego do obrazów nie kryły się pewne zamiłowania do spekulacji, pewne nadzieje zysku. Obrazy Moneta były akcjami z przyszłością.

„Trzeba iść z duchem czasu” — lubił powtarzać, chociaż nie miało to w jego życiu żadnych poważniejszych następstw. Na przykład wolał lampy naftowe od gazowych i mógł o tym szeroko rozprawiać. „Trzeba iść z duchem czasu” — było to powiedzenie mające na celu usprawiedliwić w tym solidnym urzędniku pewne zamiłowanie do uciech, niezaspokojone pragnienie ryzyka, które w życiu Piotra Mercadier wyładować się mogło jedynie w niepewnościach spekulacji. Ach, nie rozumieście tego źle, Piotr Mercadier był bardzo ostrożny, przynajmniej w początkach...

Powoli gra pod osłoną zamiłowania do sztuki znużyła go. Zwłaszcza że gdy się już ożenił, każdy nabyty obraz był powodem do awantury domowej. Wówczas zajął się grą dla niej samej. Może w innych warunkach grałby namiętnie w ruletkę. Ale w jego warunkach łatwiejsza była gra najbardziej abstrakcyjna, najbardziej naga i typowa ze wszystkich gier — spekulacja na giełdzie. Wydaje się odpowiednie zlecenie. Czeka się. Śledzi się kursy giełdowe. Analizował je codziennie na wszystkie sposoby. Teraz nabrało to nowego jeszcze sensu, sensu tylko dla niego, bo nie wtajemniczał nikogo z bliskich w te sprawy. Paulina zresztą i tak nic by z tego nie zrozumiała. Tak więc co rana, przy pierwszym śniadaniu, przed wyjściem do liceum, jedząc chleb z masłem maczany w białej kawie, Piotr Mercadier czytywał dziennik z miną niby to obojętną. A tymczasem właśnie wtedy, tuż pod nosem Pauliny, grał, grał naprawdę.

Powtarzam raz jeszcze: bardzo ostrożnie. Sumy były niewielkie, walory pewne. Przyjemność podwajał fakt, że to ukrywał. Nie kochał już Pauliny,

zdradzał ją w ten sposób. Czy to nie lepsze niż szukanie sobie kochanek? Była to przyjemność subtelniejsza, bardziej wyrafinowana.

A w dodatku dawała mu uczucie, że jest człowiekiem idącym z duchem epoki: Law nie przewidział skutków wynalezienia papierowego pieniądza, ale ten właśnie pieniądz, wyszedłszy z ulicy Quincampoix, przetworzył świat.

Piotr żeniąc się miał lat dwadzieścia siedem. W tym okresie pieniądz nie wydawał mu się jeszcze jedyną gwarancją bezpieczeństwa ludzkiej egzystencji. Parę przygód, stosunek miłosny w Quartier Latin nie zachwiały jego pojęć o miłości, wiary we wpływ miłości na losy świata. Mimo wszystko miłość była przyczyną wojny trojańskiej, o cesarzowej zaś i Paivie opowiadano historie, które podawały w wątpliwość oficjalne powody wojny w roku 70. Sztuka i miłość... Życie codzienne przyniosło mu żalną klęskę jego namiętności do Pauliny. Wierzył już tylko w pieniądze. Był wreszcie człowiekiem swojej epoki.

Ale nawet wówczas, nawet wtedy gdy w analizie własnych najskrytszych myśli i uczynków innych ludzi Piotr doszukiwał się zawsze połyskliwej szarości metalu, nie znaczyło to wcale, aby w tym, co dotyczyło jego, odzierał swoje postęпки z wszelkich idealnych pobudek, z całej sentymentalnej rycerskości. Zresztą jego szacunek dla pieniądza miał charakter kontemplacyjny — jego skromne spekulacje nie czyniły go jednym z tych wielkich cyników stojących ponad światem, nie usprawiedliwiałał zuchwałych skoków myśli, jakich wymagałoby przetworzenie się skromnego profesorka liceum w śmiałego finansistę. Jego miłość sztuki nie posunęła się poza kupno paru obrazów, a szacunek dla pieniądza skłaniał go co najwyżej do nabycia akcji, które odprzedawał w odpowiedniej chwili. Biorąc ogólnie, tracił trochę, bardzo niewiele. Tłumaczył sobie jednak, że spekuluje, aby zapewnić posag córce.

Zresztą, wydając dyspozycje agentowi giełdowemu myślał także o Paulinie. Mógł jutro umrzeć, nigdy nic nie wiadomo. Jak jego ojciec i dziadek, w wypadku, przez byle głupstwo... Czymże jest życie ludzkie? Paulina znalazłaby się wówczas w takim samym położeniu jak niegdyś jego matka, ale z dwojgiem dzieci. Piotr myślał nie tylko o żonie i dzieciach; myślał także o Francji. Ależ tak, myślał!

Nie darmo miało się w roku 71 piętnaście lat. Francja... Musi odzyskać swoje znaczenie w świecie. Na drodze pokojowej. To, że zapłaciliśmy tak ucziwie i tak szybko miliardy za pokój frankfurcki, skuteczniej wpłynęło na prestiż Francji niż jakaś krwawa zwycięska wojna. Gdyby Francuzi umieli mądrze spekulować pieniądzem, lokować go... mogliby zawojować cały świat.

Zarzucicie mi, że istnieje pewna sprzeczność między tym duchem spekulacji, z którym wiąże się zainteresowanie dla spraw bieżących, a wstrętem do polityki, którym tak popisywał się Mercadier.

Była w tym jakaś sprzeczność, i nic na to nie poradzę. Mercadier w okresie Wystawy Powszechnej był człowiekiem lat trzydziestu trzech, a nie

sprawnie działającą maszyną. Miał w sobie sprzeczności i żył z nimi. Tak jak żył z ideami, które były w obiegu w tej epoce i które podzielał, choć nie zdawał sobie z tego jasno sprawy. Toteż nie mógł nie zauważyć spadku pewnych walorów, gdy duch buntu zaczął się budzić w instytucjach, których kapitał reprezentowały te właśnie walory. A chociaż nie był całkiem niedostępny szlachetnym mrzonkom i marzył o świecie a la Tomasz Moore czy też Fourier, musiał dojść do wniosku, że ludzie najczęściej okazują się strasznymi fuszerami i bałaganiarzami, działającymi na własną szkodę.

Piotr posuwał się niekiedy tak daleko, że obmyślał system, w którym istniałyby prawa zapewniające każdemu jakiś udział, zysk, och, oczywiście bardzo skromny...

Chodziłoby o zainteresowanie wszystkich w życiu zbiorowym, w sprawach wielkości narodu, rozwoju przemysłu... Ten mały udział byłby objęty operacjami giełdowymi za pomocą systemu, który należałoby obmyśleć... Byłby to oczywiście kres obecnego sposobu wynagradzania za pracę. Koniec z elementami antyspołecznymi, każdy pracowałby nad wzbogaceniem wszystkich i samego siebie. Nie mówiąc już naturalnie o korzyściach moralnych, zmniejszeniu się pijaństwa, obudzeniu się poczucia odpowiedzialności...

Nie interesując się wcale polityką — proszę mnie dobrze rozumieć — Piotr Mercadier nie umieściłby ani grosza w przedsięwzięciu, które byłoby sprzeczne z interesami Francji... Trzeba być sprawiedliwym i przyznać to. Oczywiście, zawsze na tym trochę tracił, niedużo, ale tracił... Nie korzystał z pewnych okazji, które mu sygnalizowano. Miał skrupuły. Innym razem wdawał się w interesy, których powodzenie byłoby pożądane dla kraju. Ale nie wszystkie okazywały się korzystne.

Pieniądz...

Nie interesował się wcale polityką, ale całkiem po prostu, przeczytawszy mowę pana Constans w Izbie, uznał za interes narodowy, połączony z dobrym interesem prywatnym, sprzedaż sporego pakietu akcji i nabycie akcji Kanału Panamskiego. Wyobraźcie sobie stanowisko Francji w świecie, gdy zacznie ona kontrolować ważną arterię komunikacyjną między Oceanem Spokojnym a Atlantyckim! Poza tym, wobec gwarancji rządu, cóż mogło być pewniejsze od akcji panamskich? To był posag córki, przyszłość Paskala.

I tak sto tysięcy franków w niewielkich paczkach powędrowało z kiesy Mercadierów do biur panów de Lesseps.

v

Piotr Mercadier dość głęboko przeżył dwa ciosy, jakie spadły na niego w trzymiesięcznym odstępie czasu. Naprzód umarła jego matka. Jako młody chłopiec zżyty był z tą wiecznie zatroskaną matką, która stanowiła całą jego rodzinę. Zaciążyła na jego młodości całym światem pojęć i utartych przesądów, od których z trudnością i niezupełnie się uwolnił. Oczywiście,

że były między nimi tarcia, zwłaszcza na temat artystycznych aspiracji Piotra. Ale czymże to było wobec śmierci? Matka jego umarła samotna, daleko, w Paryżu, u siebie. Zapalenie płuc szybko się z nią uporało. Wiadomość przyszła nagle, telegramem od jednej z jej przyjaciółek. W naszym żalu za bliskim jest sporo egoizmu. Matka jest niezastąpionym świadkiem; gdy odchodzi, cały nasz świat zaczyna się rozpadać. Ale jakież znaczenie mają motywy bólu, skoro już do nas przyszedł? Ból zaczynał już słabnąć, gdy z kolei umarła córka Mercadierów — szkarlatyna. Przeszłość i przyszłość... Dziewczynka była pierwszym cudem w życiu Piotra, pierwszym zadziwieniem. Na niej dokonał wynalazku ojcostwa. Ona była przyczyną, że odłożył wszelki sąd nad Pauliną. Wierzył trochę, że danie życia jest jakby wypełnieniem obowiązku... wszystko to rychło i smutno skończyło się u małej trumny, pogrzebanej w mieście, które wkrótce mieli opuścić, w Landach. Nie odczuwał ciężkiego strapienia, ale w bólu jego sporo było ironii, że usiłował gromadzić pieniądze, aby dobrze wydać za mąż córkę, która miała umrzeć w piątym roku życia. W tym, co wyżej powiedziano, jest pewna przesada, jednakże myśl o posagu dręczyła go w tym okresie z okrutną goryczą. Prześladowały go zwroty z aktów notarialnych, które unosiły się nad cmentarzem w Dax w chwili, gdy grzebano jego dziecko... Zajęty książkami i studiami, nie zdążył w ciągu tych pięciu lat naprawdę przywiązać się do córki. Ale tam stał wobec tego faktu bezbronny, straciwszy sens życia, życia w ogóle. Co łączyło go z Pauliną? Paskal... Jej hałaśliwy ból macierzyński, głośnie protesty, łkania — jakaż ona głupia! Był zresztą niesprawiedliwy wobec żony, która wreszcie doznawała jakiegoś naturalnego uczucia z gwałtownością burzy. Mówił słowa gorzkie, ironiczne, które jeszcze trochę pogłębiły dzielący ich róż.

Jeśli chodzi o Paskala, był za mały, aby mógł zachować o siostrze wyraźne wspomnienie. Natomiast zapamiętał jej chorobę. Zaraził się bowiem i chorował tak ciężko, że zaważyło to na całym jego życiu. Gdyby nie szkarlatyna, chłopiec, który był duży i silny, na pewno byłby się stał godnym potomkiem Sainteville'ów, szlachty-górali, tryskających zdrowiem i arogancją, a także tych Mercadierów, którzy porzucali rodzinę, by wstąpić do marynarki królewskiej, i z których jeden został korsarzem, a drugi skończył na galerach, bo zbyt lubił ładne dziewczęta i wystawiał czeki bez pokrycia.

Pani d'Amberieux przerwała rekolekcje, aby czuwać przy łóżku dziecka. Dziewczynka umarła — trudno, bywają nieszczęścia. Ale syn... Szkarlatyna? W moim wieku to już niegroźne! Odprawiła pielęgniarkę i wszystko wzięła na siebie. Paskal wstał wychudły, wątły i z zamglonym wejrzeniem. „Nie poznaję go — mówiła babka. — Trzeba mu coś dawać na wzmocnienie, bo wyrośnie z niego chuchro.” Z dezaprobatą patrzyła na jego wychudzone ramionka. I to ma być mężczyzna?

Rzecz dziwna, to dziecko, przy którym czuwała, o które walczyła ze śmiercią, teraz, gdy wyzdrowiało, mniej było jej drogie. Zwątpiła w niego.

Jednocześnie, trzeba to podkreślić, pobożność jej wzrosła. Nabrała nabożeństwa do świętego Franciszka Ksawerego, który ma swoją parafię w Paryżu, gdzie chodziła co niedziela, gdy przebywała u siebie. A przy tym ten święty znał chińskie morza... Łatwo zrozumieć, że nie czuł się obco w jej mieszkaniu.

Ale jeszcze prędzej niż to rozczarowanie wypędziła babkę i pchnęła ją ku dewocji rozpacz Pauliny. Paulina chodziła po domu z trzewiczkami zmarłej córeczki, które wpadły jej w rękę, i potrząsając nimi wzywała niebo na świadka swego bólu. Toteż gdy Paskalowi nic już nie groziło, pani d'Amberieux uciekła, nie mogąc znieść córki i do głębi zgorazona i zdumiona, spostrzegłszy w niej aż taką skłonność do przesady.

Pani Mercadier, zostawszy sama ze swą rozpaczą, zaczęła ją sobie organizować. Suknie, które poprzednio zamówiła i których teraz nie mogła nosić, zawiesiła w ciemnym pokoju; stały się tam upiorami, do których szła, aby odnaleźć swoje łyzy. Była między nimi jak siódma żona w gabinecie ofiar Sinobrodego. Rozpoznawała je w mroku dotykiem. Gdyby była umarła tylko jej świekra, mogłaby od biedy nosić tę i tamtą, gdyż uszłyby jako półżaloba. Ale dwie śmierci zsumowały się i, wobec żaloby po córce, niepodobna było nosić ani tej lila, ani tej białej.

Czerń, tylko czerń, w której Paulinie było nie do twarzy, i oczywiście krepa, która przynajmniej ma w sobie coś krzepiącego, bo jest tak dramatyczna.

Wszystko to mieszało się z prawdziwymi łzami. Nie istnieje bowiem wyraźna granica między uczuciami a zrzędzeniami losu.

A przy tym Paskal był zagrożony. Pani Mercadier opychała syna wszystkimi modnymi wówczas lekarstwami. Kazała go badać wszystkim możliwym lekarzom najpierw w Landach, a potem w Orne, dokąd przeniesiono jej męża. Przeprowadzka stała się wielkim odprężeniem. Nieład, zamieszanie, wszystko, z czym trzeba się rozstać, nowe twarze, odkrycie, że znacznie mniej zależy nam na pewnych ludziach, niż się nam wydawało, porządki w szufladach, darcie starych listów, tysiące rzeczy składało się na likwidowanie przeszłości, na to, by dręczący obraz małej zmarłej stał się czymś dalekim i łagodnym, nieskończenie mniej bolesnym. Wkrótce, ponieważ nadeszła zima, żałobne woale stały się jakies niedyskretne, ostentacyjne. Okazało się, że potrzebne są suknie mniej wpadające w oko, nie tak brutalnie czarne. Przy tym Paskal wciąż był mizerny. Paulina zawyrokowała, że lekarze w Orne nie mają o niczym pojęcia; chłopcem muszą się zająć doktorzy paryscy. Zostawiła więc męża na pastwę młodych Normandczyków i pojechała, by pokazać Paskala wszystkim stołecznym znakomitościom. Zatrzymała się w tym samym, ulubionym pensjonacie sióstr augustianek, gdzie mieszkała poprzedniego roku z Piotrem podczas Wystawy, chociaż pani d'Amberieux nie było wówczas w Paryżu i córka mogła korzystać z jej mieszkania.

Prawdę powiedziawszy, chłopiec wrócił już do sił, ale pani Mercadier chciała zażyć trochę swobody.

W stolicy mieszkało wiele jej przyjaciółek z pensji; witano ją serdecznie, okazywano względy z racji nieszczęścia, jakie na nią spadło, zapraszano. W Paryżu dyskretna czarna suknia nie wywiera przy stole czy w teatrze przykrego wrażenia, jakie budzi ostentacyjnie noszona żałoba. Były to dni boulanżyzmu, w powietrzu czuło się atmosferę wielkich wydarzeń, pieśni i awantury, w której Paulina bez najmniejszego trudu oderwała się od swoich myśli. Bawiła się jak szalona. Zostawiała chłopca w pensjonacie, pod opieką kasjerki, kobiety starszej, która zawsze we właściwej porze podawała mu lekarstwa. Wieczorem grzecznie zasypiał, Paulina mogła chodzić do teatru. Uwielbiała teatr, straciła głowę dla pewnego tenora, którego wysłuchiwała we wszystkich jego partiach. Był cudowny w *Trubadurze*. Stanowczo, nie ma to jak Włosi...

Gdy wróciła do Orne, zaopatrzona w recepty paryskich lekarzy, z dzieckiem wciąż mizernym, wydała się mężowi ładniejsza, niż miał ją w pamięci. A nawet jakby jej charakter zmienił się na lepsze, mimo że nasłuchiwała się na temat Generała różnych bzdur i teraz sama je głosiła. Dajmy spokój polityce. Przeżyli nawrót, z którego narodziła się Joanna.

Paulina ciężko przechodziła tę ciążę, była bardzo kapryśna. Nigdy nie wydawała się Piotrowi tak głupia i wymagająca. Tłumaczyło się to jej stanem, toteż nie hamowała się ani trochę. O byle co rozlegały się krzyki. Ten potwór odmawiał jej wszystkiego. Potwór brał wówczas melonik, kulił się i uciekał do kawiarni. W tym to okresie, pod pozorem zachcianki, pani Mercadier uzyskała od męża zgodę, aby zamieszkali w oddzielnych pokojach. Stało się to pod pretekstem, że przyszła jej fantazja przebywać w pokoju urządzonym wedle jej pomysłu, różowym. W ten sposób trzecie dziecko przypieczętowało ostatecznie ich separację.

Na czas połogu przyjechała pani d'Amberieux. Oczekiwała tęgiego chłopaka. Córka! Ci Mercadierowie naprawdę niewiele dokazali. Na drugi dzień wyjechała do Paryża.

Paskal, nieszczęśliwy i oczarowany, odczuwał zrazu do siostrzyczki nadzwyczajną miłość. Siadał przy kołysce na małej ławeczce, machał rękami, starał się porozumieć z malutką. Ona przypatrywała się plamom świetlnym i lekceważyła brata. „Męczysz ją” — mówiła mama.

Wtedy Paskal, który miał wówczas pięć i pół roku, stawał w przedpokoju przed drzwiami, za którymi drzemała siostrzyczka, przyciskał obie ręce do serca i szeptał: „Joasiu, mała Joasiu, poświęcę ci całe moje życie...” Oczy miał pełne łez i zachwycony był własną szlachetnością i ofiarnością. Nigdy jednak równie wzniosła przysięga nie była w tak małej mierze dotrzymana i tak bez pokrycia w przyszłości.

Gdy Joasia zaczęła mówić, chodzić, brat przestał się nią interesować. W ogóle stała się nieciekawa. I tak Paskal, chociaż nie był jedyńkiem, pędził wśród skłóconych rodziców samotne dzieciństwo. Właściwie niezupełnie samotne. Dzieciństwo, z którego zapamiętał barwę ciemnych, gęstych liści, zapach leszczyny i kóz, jakiś błysk sprzed burzą, kiedy to puszczamy się biegiem mimo pewności, że już za późno, aby schronić się pod dachem.

Upał był cudowny. Może nie w liceum, w przepelnionych, źle wietrzonych klasach, gdzie ujmą dla profesorów byłoby zrzucić surduty, nie nosić kamizelki lub sztywnego, uwierającego kołnierzyka, który, jak u Piotra Mercadier, zostawiał na karku czerwoną pręgę. Co gorsza, Piotr miał wrzód, który mógł się przemienić w karbunkuł. Mali Normandczycy tego pocili się przy pulpitach.

Ale w domu, gdzie wszystko pachniało świeżością i lawendą, za okiennicami, w zapachu jabłoni płynącym przez okno, za którym w ogrodzie suszyła się niebieskawa bielizna, upał wydawał się cudowny, był to wreszcie ów prawdziwy upał, który trzyma się miesiącami, a człowieka czyni leniwym.

Dom stał trochę za miastem, a chociaż dochodziło się tam rodzajem niegościnniej ulicy, po drugiej stronie domu był teren zacieniony, jakby liściasty szyb, a z okien widać było pola. Dokoła biegł bardzo wysoki, szary, omszały mur, porośnięty czerwonym rojnikiem.

Paulina miło guzdrała się przy toalecie. Uwielbiała swój pokój. Była to jedyna rzecz, do której odnosiła się z żywym uczuciem. Nie dlatego, aby jej alensoński pokój wiązał się z jakimiś wspomnieniami lub zawarł w sobie wysiłek jej wyobraźni — skopiowała go dokładnie wedle pokoju pani de Lassy de Lasalle, która była jej przyjaciółką z pensji i wyszła za mąż w Paryżu. Ale pani Deniza de Lassy, z domu Courtot de la Pause, była dla Pauliny wyrocznią w dziedzinie dobrego smaku. Pokój był kopią, wierną kopią, bez żadnych zmian...

W półcieniu przymkniętych okiennic, przed zdobną w falbanki gotowalnią, gdzie tłoczyły się: woda ogórkowa, ocet toaletowy „Bully”, woda kolońska marki Johann Maria Farina, słoiki z kremem, którego sekret знаła tylko Deniza, mnóstwo sarnich nóżek, dłutek, rozpylaczy, szczoteczek i szczotek do włosów ozdobionych anielskimi główkami, jakie powtarzały się i na lusterku, a także różne pudełeczka, okrągłe, podłużne, kwadratowe, wśród których leżał przyrząd do rozciągania rękawiczek — siedziała Paulina, usadowiona na pufie z różowego pluszu, ozdobionym tysiącem pomponów, zdjąwszy nawet matinkę z batystu w kwiatki. Siedziała tak, w halce, z nagimi ramionami, w staniczku obszytym wąską walansjenką, w całej krasie młodości, z piersią lekko skrepowaną gorsetem, który, podnosząc i ściskając nieco biust, nadawał mu tak stromą linię. Popielatoblond włosy miała podczesane do góry, tak że odsłaniały kark, gdzie wiły się dwa loczki, a pozostawione jeszcze dwa ostatnie papiloty tworzyły nad jej szczęśliwą, wypoczętą twarzą jeszcze jedną ponętę. Macierzyństwo przeszło nad tą młodą kobietą nie tylko nie przynosząc jej szkody, lecz jeszcze dodało jej nowego blasku.

Gdy tak siedziała, wydawała się królową różowych krzesielek zaludniających pokój, gdzie schodziła złota drabina. Wielka mucha brzęczała w powietrzu, co wywoływało zmarszczenie brwi na spokojnym obliczu. Wszystko w pokoju było w tym różowym kolorze, któremu tak



niewiele trzeba, aby stał się czerwonym, wszystko prócz czarno-złotego stolika inkrustowanego masą perłową, na którym stała giloszowana lampa z różowym abażurem, całym w drobne fałdki i riuszki. Pokój miał wnękę, co wyglądało staroświecko, ale było nadzwyczaj wygodne w porannym rozgardiaszu. Szafa, duża szafa z całą masą lustrzanych szybek, była szeroko otwarta, a na sukniach, wiszących pod białymi płachtami groszkowanego płótna, umieszczone były podwójne saszetki z werweną.

Paulina z zatroskaną miną przypatrywała się sobie w lustrze toalety.

Miała urządzać wielki obiad. Nie martwiła się o menu ani o wina... te sprawy uregulowane były niezawodną tradycją. Ale cały ten ceremoniał przy stole! Miał to być obiad, aby mieć spokój z kolegami Piotra i ich żonami. W Alencon, jak gdzie indziej, te panie raczej niechętnie odnosiły się do Pauliny. Mercadierowie byli zamożniejsi niż inne rodziny nauczycielskie, a Paulina garnęła się przede wszystkim do miejscowego dobrego towarzystwa, pomijając nauczycieli, dyrektora itd. Toalety jej bywały tematem licznych komentarzy. Zwykle załatwiała to wszystko za jednym zamachem, urządzając obiad w porze letniej. Ale tym razem trudność kryła się w tym, że admirał, w przejeździe przez Alencon, miał również być ich gościem i (trzeba wyznać) Paulina czuła się szczęśliwa, że będzie mogła te prowincjonalne jędze uraczyć nie tylko winami Moulin-a-Vent i Veuve Clicquot, ale także admirałem z wszystkimi jego orderami. Z góry się już na to cieszyła.

Admirał Courtot de la Pause był stryjem Denizy. Mało która znajomość tak upajała Paulinę. Admirał był człowiekiem niezwykle dystyngowanym, nadzwyczaj eleganckim, w angielskim stylu, wygolony, z faworytami. Reprezentował Francję na wielkich manewrach floty w Anglii i królowa Wiktoria powiedziała o nim, że jest czarujący. „Tatler” powtórzył jej słowa.

W każdym razie nie można było posadzić admirała po lewej stronie Pauliny, a dyrektora po prawej. Człowiek zupełnie przeciętny i w dodatku dość niechlujny... Coś trzeba wymyślić. Pani Lantier, żona nauczyciela matematyki, jest dość ładna, bardzo młoda, ale wulgarna.

Paulina była w świetnym nastroju, gotowa wszystkiemu pobyłać. Przerwała nawet rozważania na temat protokołu towarzyskiego, aby przypomnieć sobie, że za trzy dni wypadają imieniny jej matki, i otworzyła kasetkę ze złoconego drzewa, gdzie gromadziła różne rzeczy, i między menu, karnetami balowymi i fotografiami wyszukała kartę pocztową, którą odłożyła na bok. Gdyby miała pod ręką atrament, od razu wypisałaby: „Najserdeczniejsze życzenia”, i podpisała swoim dziecięcym pismem, jakie pozostało jej z lat pensjonarskich, ale atrament wysechł w kałamarzu. Paulina wzięła puszek do pudru i potrząsnęła nim w powietrzu. Powstała maleńka chmurka. O czym to myślałam? Aha, właśnie, o admirałe...

Była naprawdę w wyśmienitym humorze, a mąż miał wrócić najwcześniej za godzinę, bo wracając z liceum wstępował jeszcze do kawiarni...

Tymczasem nagle, niczym na scenie w teatrze, drzwi się otwarły, jakby

miano zaskoczyć Paulinę sam na sam z mężczyzną, i wszedł Piotr.

Ale Piotr, jakiego nikt jeszcze nigdy nie oglądał.

Blady, zdenerwowany, z przekrzywionym krawatem, z jednym mankietem zanadto wystającym z rękawa.

Paulina zastygła ze swym puszkiem w ręce. Nastąpiła chwila ciszy.

— Co ci się stało, mój drogi? — zapytała wreszcie.

Piotr Mercadier spojrział na żonę, westchnął. Potem przebiegł wzrokiem po wszystkich krzeselkach. Były rozpaczliwie różowe. Stanowiły one zupełnie bezsensowną dekorację do sceny, która miała nastąpić. Piotr u kresu sił, usiadł wreszcie w karle.

— Paulinko — rzekł — muszę się z tobą na serio rozmówić!

Spojrzała na niego uważniej. Był bardzo blady. Niespodziewanie wzbudziło to w niej jakiś odruch, wyrzut sumienia.

— O Boże! — zawołała. — Cóż ci takiego zrobiłam?

Było to głupie zdanie, ale on zareagował na nie inaczej, niż można było oczekiwać. Całe dzieje ich małżeństwa podeszły mu do gardła i pomyślał, że może do gruntu fałszywie sądził żonę. Nie była ani tak zła, ani nawet tak głupia. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął płakać.

Wzburzyło ją to, bo jeszcze nigdy go w takim stanie nie widziała. Piotr, który był od niej o siedem lat starszy, zawsze traktował ją po trosze jak małą dziewczynkę; zdarzało się to czasem nawet wtedy, gdy się kłócili. Nigdy dotąd nie pozwolił sobie wobec niej na tyle szczerości; musiał mieć po temu jakiś bardzo ważny powód. Jeśli kiedy *przez* te dziesięć lat ich pożycia ogarniała go słabość, żona nigdy nic o tym nie wiedziała. Jakiegoż oparcia mógłby w niej szukać? Czyż jego troski nie były jej zupełnie obce? Śmierć dziecka nie zbliżyła ich. Cóż więc mogło nagle zdziałać ten cud?

Prawdę rzekłszy, Paulina nie oczekiwała takiej chwili. Nie cierpiała z powodu panującej między nimi oziębłości. Ale gdy chwila taka nadeszła, nie mogła z niej nie skorzystać. Nie zastanawiając się, usłuchała jakiegoś kobiecego instynktu macierzyńskiego. Uległa może tym łatwiej temu uczuciu litości, jakiej dotąd nie czuła dla człowieka, z którym związane było jej życie, że w pierwszej chwili dołączyło się do niej jakieś osobiste zaniepokojenie. Faktem jest, że opuściła puszek do pudru, podbiegła do Piotra i przycisnęła do piersi jego głowę.

Poprzez łyzy, w półcieniu tej różowej groty, widział tuż przed zmaconymi i rozedrganymi oczyma piękne białe ramiona, jak z kości słoniowej; wdychał perfumy Guerlaine'a, które niedawno przez nieuwagę na siebie rozlała, parę razy jeszcze cicho załkał w swoją delikatną brodę, która w pieśczoście musnęła staniczek...

O Boże, była to chyba jedyna minuta szczęścia w ich życiu! Ta rozdzierająca myśl podsyciała jego rozpacz, poczucie winy, które pchnęło go ku żonie, gdy tylko wyszedł z liceum... Zaczął:

— Nie mogłem... Dziś rano, przy śniadaniu, gdy zajrzałem do gazety, wiadomości...

— To dlatego nic nie jadłeś?

Ten okrzyk wzruszył Piotra bardziej niż wszystko inne. A więc żona, nie mówiąc, wiedziała, ile kromek z masłem macza on w kawie! W milczeniu niepokoila się jego brakiem apetytu. Ach, okrutnie pomylił się osadzając ich pożycie! I zrobił tę rzecz po kryjomu, taką rzecz... Skąd mógł wiedzieć, że to służąca sprzątajac ze stołu powiedziała: „Pan nic dziś nie jadł.”

Usiłował wytłumaczyć jej, na czym polegał dramat: posiedzenie w Izbie, ostatnie dni na giełdzie, krach Panamy — to fakt dokonany, niewątpliwy... Przerzywała mu nieustannie, nie widząc związku między tym wszystkim a łzami Piotra. Wyrzekła nawet te samolubne słowa, które tylokrotnie już doprowadzały go do pasji:

— I jakież to wszystko ma związek ze mną?

Ale teraz, w chaosie smutku, uczuć i wyrzutów sumienia zrozumiał to zdanie całkiem inaczej, ujrzał w nim dowód naiwności, która jeszcze mocniej go przygnębiła, a nawet zaczął niejasno myśleć, że niesłusznie denerwował się dotąd słysząc te słowa, że nie słuchał ich, jak należało.

Paulina usiadła mężowi na kolanach i lekko wsunęła rękę przez w półrozchyloną koszulę, gładząc włoski na jego piersi. Gdy usłyszała, że ta sprawa ma związek z polityką i z giełdą, nie czuła już prawdziwego niepokoju. A więc on nie ma zamiaru robić jej sceny z powodu nadmiernych wydatków, nic też nie stało się Paskalowi — słycać było, że bawi się w ogrodzie grając na trąbce. Miała pewną przewagę nad Piotrem, który spadał jej jak z nieba, a chociaż nie znała jeszcze jego tajemnicy, już ją przeczuwała. Nareszcie!

Drugim ramieniem otoczyła szyję Piotra, gładziła jego brodę. Mówił wyjaśniając jej błędne przesłanki, na których, jak tylu innych, oparł swą wiarę w Panamę i w jej oficjalne mirażę. Nagle drgnął i boleśnie się skrzywił:

— Karbunkuł!

Cofnęła ramię, które mu ciążyło, zmieszana, z lekkim niesmakiem.

Wyznanie dokonywało się w małych dawkach; było to jakby rozchwianie zęba przed wyrwaniem. Wyjawienie oszustwa, które dla Piotra było rzeczą główną. Tej tajonej, codziennej gry. Mówił o pieniądzech, którymi dysponował poza nią, nic jej nie mówiac, on, który jej kwestionował te nieszczęsne rachunki.

Zadrzała. Więc to tak...

Piotr, zawstydzony, że strwonił sto tysięcy franków, głębiej wszedł w siebie niż wtedy, gdy sam o tym myślał. Posunął się do tego, że wątpił w swoje najlepsze uczucia. Szydził z nich. Posag córki, przyszłość Pauliny na wypadek jego śmierci, Francja, dobro ojczyzny! Ot, szukanie pretekstów! Grał, i koniec... Zawsze był graczem, tylko że to ukrywał nawet przed sobą. Naprzód hazard intelektualny, zakłady z samym sobą... a potem te manie artystyczne, impresjoniści. Spekulacja, gra. Rozdrapywał przed nią swoje rany, znajdował smutną przyjemność w tym spotwarzaniu się. Zresztą, sprawa z pieniędzmi była całkiem jasna. Z pieniędzmi zawsze

wszystko jest jasne. Sto tysięcy franków.

Paulina bardziej przejęła się stoma tysiącami franków niż jego maskowaniem się, tym, co nazywał swoją zdradą. Bo przecież to ona będzie się teraz musiała liczyć z wydatkami, wyrzec się sukni, przyjemności...

— A więc — rzekła — jesteśmy biedni? Co teraz zrobimy?

Gubiła się w cyfrach, nie wiedziała, że mimo wszystko mogą znieść tę stratę nie zmieniając zasadniczo stopy życiowej. Wytłumaczył jej to. Ach tak, więc... Już chciała powiedzieć: „Więc po cóż tak się tym przejmujesz?” Zagryzła wargi. Aha, żeby się zaraz uspokoił!... Widziała już, jaką korzyść może wyciągnąć z tych małżeńskich wyrzutów sumienia. Westchnęła:

— Ach, nie chodzi o pieniądze, ale jak mogłeś tak mnie oszukiwać! Padł przed nią na kolana i błagał o przebaczenie.

VII

— Dzień dobry!. Czy nie przeszkadzam?... Bo jeżeli wybierałaś się gdzieś... Nie? To świetnie. Dziś mam wielką ochotę pogadać... Dziękuję, doskonale... Wpadłam do Paryża na krótko, przyjechałam wczoraj, wyjeżdżam dziś wieczorem... albo jutro z rana...

— A jak twój niedźwiedź?

— Piotr? Jak zawsze, ma się wspaniale...

— Podziwiam cię, że wytrzymujesz tę prowincję, ja bym po prostu nie mogła...

— Cóż, kiedy muszę!

Paulina westchnęła, zdjęła czarny płaszczyk obsyty jedwabną riuszką, kapelusz, gdzie walczyły z sobą dwie mewy, i wszystko to złożyła na różowej jedwabnej kanapce. Deniza siedziała przy biurku, w zawrotnym negliżu — koronki, koronki i jeszcze raz koronki; na pewno kosztowało to majątek.

Spojrzała na Paulinę podnieconą Paryżem, z błyszczącymi oczyma, bardzo już różną od tej, jaką była kiedyś w klasztorze. A czego to właściwie brak tej Paulince? Sama nie wiem... Ale panią de Lassy de Lasalle zaprzętało w tej chwili zbyt wiele innych myśli, aby miała się dłużej nad tym zastanawiać.

Urocza jest ta Deniza, urocza; zawsze taka sama. Szczupła, z twarzą zbyt pociągłą, to prawda, ale te czarne oczy! Piękne brązowe włosy czesze a la Sara Bernhardt, na niepokalanej młodzieńczej szyi przez zalotność nosi tę czarną wstążkę, jakby była starą kobietą... Ma krągłe ramiona, cieniutkie w przegubach, i zadziwiająco drobne ręce. Paulina uważa ją za wysoką, ale to tylko dlatego, że sama jest niska.

Buduar Denizy jest oczywiście podobny do tego, jaki urządziła sobie Paulina, ale wszystko tu jest w lepszym gatunku. Paulina dostrzega to i wzdycha. Deniza odwraca się:

— „Twe serce wzdycha”... Cóż ci to, moja droga?

— Och nic, nic... To ta pogoda...

— Wolałabyś, aby padał deszcz? Pogoda jest za ładna dla szanownej pani?

Ach, co byś powiedziała znalazłszy się na moim miejscu?

Na wszelki wypadek leciutko przypudrowała nos.

— O ile mi się zdaje, tam u ciebie, w Alencon, jest prześlicznie... Stryj opowiadał mi...

— To bardzo pięknie ze strony admirała... Uraczyłam go tak marnym obiadem... mieliśmy wtedy tyle różnych zmartwień...

Słowo „zmartwienie” zmieniło bieg rozmowy. Deniza myśli o swoich kłopotach, odwraca się na krześle, koronki lekko falują, negliż rozchyła się, widać nogi pani de Lassy de Lasalle, co nasuwa myśl, że baron de Lassy mógł trafić znacznie gorzej.

— Moja biedna, kochana Paulinko, nie wiesz nawet, co tu się dzieje... Zastanawiam się, co mam właściwie zrobić... Słuchaj... Czy drzwi dobrze zamknięte?

— Tak, tak... Ale co takiego?

— Usiądź tutaj, na pufie...

Obie są bardzo poważne, a zielona suknia pani Mercadier wygląda jak miarka soczewicy rozsypana na tej wszytkiej różowości. Unosi się zapach kadzidła; Deniza przeprosza, ale to ten źle wychowany buldog, więc trzeba było oczyścić powietrze... Buldog nazywa się Chou, jest biały w szare łaty i w tej chwili dyszy mad stołem w swej czerwonej obroży, nabijanej złotymi świeczkami.

— Może trochę wina? Nie? Z biszkoptami... Deniza jest przeciwniczką mody picia herbaty, która przychodzi z Anglii. Woli lekkie wino.

— Ach, gdybyś wiedziała! — szepcze.

Ale właśnie Paulina nie wie. Płonie z ciekawości... Czy aż tak bardzo?... Trochę się domyśla...

— A więc ktoś nowy? — pyta, bo Deniza to nie to co ona, i w gruncie rzeczy, biedny ten baron! dla niej liczą się tylko mężczyźni. Z tym oczywiście, że dla Pauliny robi wyjątek.

— Żartujesz, kochanie! Zawsze ten sam... O Boże, on taki piękny, taki miły! I to właśnie jest najstraszniejsze!

Pan de Montbard ma jasny, jedwabisty wąsik, monokl i pracuje na Quai d'Orsay. Należy do Jockey Clubu. Rano jeździ konno w Lasku. Dla Denizy zerwał stosunek z pewną aktorką i widuje się z nią w swoim małym, ustronnym pałacyku w Auteuil. Paulina wie o tym wszystkim, a ponieważ chodzi tu o Denizę, przestają obowiązywać wszystkie zasady, w których ją wychowano i które bardzo głośno wyznaje. Jest jej powiernicą; wraz z nią boi się, żywi nadzieję, raduje się. Darmo byście jej tłumaczyli, że to sprzeczne z jej moralnością; zaśmiałaby się wam prosto w nos. Wszystko, co robi Deniza, jest doskonałe, a przy tym Paulina nie cierpi barona de Lassy, który jest znacznie starszy od żony i lekko się jąka.

— Ostatecznie, o co chodzi? — pyta. Deniza szcztokuje sobie włosy, nakłada pierścionki i odrzuca je do pięknej chińskiej szkatułki z czarno-czerwonej laki. Zwleka. Chce trochę podniecić ciekawość przyjaciółki. Wreszcie bierze ją za rękę.

— Widzisz... Byliśmy na obiedzie u „Maxim'sa” z Rogerem. Czyste szaleństwo! Ktoś nas widział. Powiadomił mego męża, który posłał świadków panu de Montbard. Mają się bić jutro rano.

Wyrzekła to wszystko głuchym tonem. Czeka na efekt swoich słów. Czy zdaje sobie sprawę, co powiedziała? Ona, która nawet o sukniach umie mówić w sposób tak dramatyczny!

— O Boże, Denizo, a jeżeli oni się pozabijają?

— W każdym razie tylko jeden z nich zginie... To ohydne, moja droga, że nie umiem rozstrzygnąć, któremu z nich lepiej życzę...

— Jak to? Przecież Roger...

— Tak, wiem, że zawsze byłaś niesprawiedliwa wobec pana de Lassy. Prawda, że nie kocham męża, ale zawsze to mąż... Tymczasem Roger... Kocham Rogera... Obaj doskonale władają szpadą... bo to pojedynek na szpady... A więc nic nie wiadomo... I to mnie zabija... Znasz mnie, biorę życie z najlepszej strony... Gdybym mogła powiedzieć sobie: „ten” albo: „tamten”, wtedy mogłabym pragnąć, aby temu drugiemu nic się nie stało, rozumiesz? Nie, widzę, że nie rozumiesz mnie?

— Ale twoja sytuacja, Denizo? Co ludzie powiedzą?

— Ach, nikt nie będzie się wahał, w ludzkich oczach w każdym wypadku ja będę winna. Taki już jest świat!

— Ależ to okropne! A może chciałabyś pojechać do Alencon, zniknąć trochę? Zapraszam cię!

— Moje kochanie! Jakaś ty dobra! Ale nie, w żaden sposób! Alencon wydaje mi się teraz gorsze od śmierci, wolę hańbę!

Odchyliła się do tyłu, podnosząc lewą rękę w górę.

— Alencon! — powtórzyła, pomyślała nad tym chwilę i dreszcz ją przebiegł.

— Gdyby Roger zginął — mówiła dalej — nie mogłabym już patrzeć na barona... Morderca! Ale gdyby zginął baron, z Rogerem byłaby inna sprawa... To nie on wywołał pojedynek... A zresztą, jeśli zechcę, mogę się przecież nigdy już z nim nie zobaczyć!

W tej chwili Chou zwrócił na siebie uwagę Denizy. Koniecznie chciał, aby go popieściła. Wywiesił język i robił takie śmieszne miny, że obie wybuchnęły śmiechem, chociaż, Bóg widzi, wcale nie było im wesoło.

— Oczywiście, że jako wdowa po Edwardzie nie mogę wyjść za człowieka, który go zabił... Gdy tymczasem w razie śmierci Rogera nawet w najbardziej postępowych kołach nikomu na myśl nie przyjdzie, abym miała dla tak błahej przyczyny rozstawać się z mężem... zważywszy, czym wciąż jeszcze jest we Francji rozwód...

— Rozwód, czyś oszalała? Raczej niech obaj zginą! Niech Bóg nas zachowa od rozwodu! Widzisz siebie jako rozwódkę? Ależ ja bym tego nie zniosła!

— Uspokój się! Najgorsze to, że sama nie wiem, czy chciałabym zostać wdową, czy nie. To nie takie proste, bo w końcu, gdy myślę o Edwardzie...

— A czy nie mogliby wyjść z tego tylko z jakimiś ranami?

— No tak, mogliby, ale wtedy wytworzyłaby się bardzo kłopotliwa sytuacja. Wtedy właśnie rozwód... Ale jakie to robi na tobie wrażenie!... A przy tym prawo wyraźnie mówi, że kobieta nie może poślubić zabójcy... Byłabym kobietą skończoną, skończoną...

Nie, to było niemożliwe, niemożliwe. Och, dla Pauliny sprawa była jasna — baronowi nie pozostawało nic innego jak pojedynek. Ale Deniza... to jednak dziwne, że mówi o tym wszystkim tak chłodno! Nagle Deniza wybuchnęła płaczem.

— Jakaś ty niemądra! Czy nie widzisz, że ja udaję? Że już dłużej tak nie potrafię? Roger, on mi zabije mojego Rogera! To okropne! Wiem o tym. I jestem tutaj. Czas upływa. Nic nie działa. Muszę przeżyć całą tę noc. A potem rano... ach, ja nic już nie wiem... Wsiądzie do powozu... Och, wiem, jak się to odbywa! Ale mimo wszystko nie mogę pragnąć, aby Roger zabił Edwarda... którego przecież nienawidzę, nienawidzę!

Szarpała pięknymi zębami małą chusteczkę obszytą koronką. No tak, ale Paulina wstąpiła tylko na chwilę.

— Zadepeszuję do Piotra, że nie wrócę jutro wieczór... Zanim się to rozstrzygnie, zostanę z tobą.

— Dziękuję, ach, dziękuję ci, kochanie! Chou, bądź cicho! Wypij trochę wina... zapewniam cię... to mi dobrze zrobi...

Roger de Montbard zabił w pojedynku barona Edwarda de Lassy de Lasalle. Oczywiście w Grande-Jatte. Wobec tego wysłano go do Wiednia. W jego zawodzie dość mile widziani są ludzie o krwi gorącej. To ładna placówka w jego wieku. Deniza omal nie oszalała, gdy porucznik de Passy de Clain, świadek pana de Lassy, przyniósł jej tę wiadomość. Oczywiście, trzeba to brać jako rzecz względną: o tyle, o ile może oszaleć kobieta tak rozsądna. Wcale nie przyłapaliście mnie na sprzeczności — nie dlatego że pan de Montbard wyjechał, lecz z powodu śmierci męża. Nigdy nie wiedziała, że go kocha, myślała nawet, że... I tak oto gdy ludzie znikają, pojmujemy nagle, czym byli dla nas.

Gdyby nie to, że Paulina zawlokła ją do Wortha, nie miałyby nawet czarnej sukni, ona, taka szykowna, a w żałobie było jej cudownie do twarzy... do tego stopnia, że powiedziała, iż dla pokuty powinna się ubierać na niebiesko... w pastelowych kolorach wygląda jak służąca...

Tak więc Paulina, która przyjechała do Paryża na dobę, została tam dwa tygodnie! Mimo wszystko wywiozła Denizę do Alencon. Piotr zrobił mi scenę, że to tyle kosztowało. A czy gdyby ciebie zabito w pojedynku, uważałbyś za niestosowne, aby mnie ktoś dotrzymywał towarzystwa? Oto piękne porównanie, dziękuję uniżenie. Każdy porównuje, jak umie. Ty wyobrażasz sobie, że cię kompromituję przyjmując w naszym domu kobietę, dla której ludzie się zabijają? Nie?

— Słuchaj, Paulino, co tobie znów przychodzi do głowy? Czy ja ci kiedy robię wyrzuty z powodu twoich przyjaciółek? Ale Deniza w stosunku do mnie zachowuje się po prostu niemożliwie. Wstaje od stołu przy deserze, a potem...

— Niemożliwa? Deniza? Kobieta, którą spotkało takie nieszczęście? Ależ ty jesteś po prostu bez serca! Ją jedną kocham na świecie, a ty chciałbyś nas rozdzielić... Czy ja robię ci wyrzuty z powodu twoich przyjaciół?

— Ależ tak, robisz mi wyrzuty... A wydałaś w Paryżu...

— Wydałam! Pieniądze, wciąż te pieniądze! Czy ja topię je w Panamie? Ja? Bez serca! Bez serca! Mnie mówić o pieniądzach!

Z niesłychanym trudem udało mu się ją uspokoić. Staje się nerwowa, a ten pojedynek zrobił na niej silne wrażenie. Przede wszystkim ma sobie za złe, że nie cierpiała zmarłego barona; widziała, gdy go przyniesiono. Miał na sobie *macfarlane*, którego peleryną zasłonięte mu twarz; z ust po jednej stronie wypłynęło mu i zakrzepło trochę krwi. W pierwszej chwili zdawało się jej, że to papieros, przylepiony niedopałek... Ach, co za okropność!

Ale, chwała Bogu, Deniza jest wdową, wszystko ułożyło się szczęśliwie.

## VIII

Mimo krachu Panamy Mercadierowie pozostali jeszcze zamożnymi ludźmi. Nie zawdzięczali tego pensji nauczycielskiej Piotra, ale mieli jeszcze inne akcje, udziały w kolejach żelaznych, które odziedziczyli po jednym ze stryjów Mercadier; jako adwokat pewnej spółki w okresie Drugiego Cesarstwa, stryj ów umiał zręcznie spekulować na ekspropriacji terenów i umarł ze zbyt dobrego jedzenia, zostawiając pełną jeszcze kasę. Piotr Mercadier byłby nawet dzięki tej niestrawności człowiekiem bogatym, gdyby nieboszczyk nie był pozostawił kilkoro nieślubnych dzieci i rozmaitych legatów.

Odliczywszy straty na akcjach panamskich, których było najwięcej, i to z jednego portfela, Piotr Mercadier miał jeszcze oprócz swoich poborów około piętnastu tysięcy franków renty (w sprawie Panamy najgorsze było to, że cios padł tak nagle; to właśnie wydarło Piotrowi wyznanie, gdyż, po prawdzie, jego stałe a drobne straty zjadły mu w okresie lat dziesięciu ponad sześćdziesiąt tysięcy, ale były to za każdym razem sumy za drobne, aby przyszło mu na myśl zwierzać się Paulinie czy komukolwiek innemu).

Było tego wszystkiego razem tyle, że wprawdzie nie tarzali się w złocie, ale Paulina mogła, jako rekompensaty za pieniądze szaleńczo przez jej męża strwonione na panów de Lesseps, jak mawiała, żądać, aby Piotr tolerował jej fantazje i pozwalał do woli zamawiać suknie i kapelusze w Paryżu, w najlepszych magazynach, a przynajmniej tych, które jej otoczenie uważało za najlepsze. Uwielbiała koronki i w koronkach było jej prześlicznie. Rzecz przerażająca, jak to wszystko ciągle drożeje. Z Orne nie jest daleko do Paryża, gdzie Paulina wybierała się około Bożego Narodzenia lub na wiosnę na parę dni tylko. Wielkie zakupy odbywały się w lecie. Piotr Mercadier płacił, niewiele mówiąc. Kupował sobie tym sposobem spokój, a przy tym nienawidził targów. W Paryżu wstępował do swego agenta, bankiera-komisanta, Brazylijczyka, pana de Castro, który nie miał sobie równego, gdy chodziło o podnoszenie człowieka na duchu, i stanowił niewyczerpane źródło informacji giełdowych. Istny handlarz nadziei! Gdy Piotr towarzyszył żonie do Paquina, szynszyle wydawały mu



się daniną, jaką może złożyć a conto spodziewanych zysków.

Jednocześnie owego roku, jako że dochody, które obracali na życie, skurczyły się o jakieś trzy czy cztery tysiące franków, Piotr powiedział sobie, że trzy tysiące franków stanowią różnicę, jeśli idzie o dochody, ale praktycznie biorąc są niczym, jeśli chodzi o kapitał, toteż wyrównał tę różnicę sprzedając trochę akcji. W tym także roku powrócił do swoich notatek o Johnie Law i zagłębił się w studiach, aby z tych luźnych kartek uczynić punkt wyjścia dla poważnego dzieła, mając nadzieję, że zatrze ono w nim uczucie rozczarowania, jakie zawsze odnajdywał w sobie w chwilach bezczynności lub przygnębienia.

Tak więc weszło w zwyczaj, że Mercadierowie co roku zaczynali wakacje od wyjazdu do Paryża, bez dzieci, które oddawali pod opiekę wuja Pauliny, starego kawalera, zamieszkałego w departamencie Ain, gdzie miał wprawdzie zamek i park, trzody na pastwiskach, powóz i konie, nie posiadał natomiast ani czwartej części kapitałów niezbędnych do prowadzenia domu na stopie, do jakiej zobowiązywały cztery wieże z XIV wieku i zamek przebudowany za Ludwika XIII.

Wtedy zaczynały się złote czasy dla małego Paskala; dni spędzone w zamku Sainteville na zawsze pozostaną prawdziwym obrazem jego dzieciństwa, dekoracją, w której zawsze będzie się czuł u siebie, gdy tylko zamknie oczy. Ostatnie stoki Jury zwrócone ku Alpom...

Sainteville wznosi swoje wieże i łupkowe dachy nad terasą tworzącą nieco zaniedbany ogród w stylu angielskim, nad podwórzem, gdzie oko na próżno wypatruje zajeżdżających pojazdów. Terasa ma tylko trzy boki, gdyż zamek, stanowiący jej tło, opada stromo na skały murem na dwadzieścia metrów wysokim, gdzie mech źle maskuje stare otwory strzelnicze, odpowiadające nie istniejącym już izbom w podziemiach, o których niepodobna nie dumać. Pośrodku terasy wznosi się jakby wysepka zieleni — ciemne drzewa cedrowe, gdzie cioteczna babka kazała zbudować mały wiejski pawilon, który, chociaż dziś jest w ruinie, może jeszcze służyć ogrodnikowi jako skład narzędzi. Między trawnikami biegną ścieżki, a potem, na prawo, terasa ciągnie się aż do wielkiej kamiennej balustrady, gdzie można wesprzeć się na łokciach i ogarnąć okiem całą dolinę, góry nad płaskowyżem, jakby człowiek stanął na dachu świata, góry zielone, niebieskie i liliowe i dalekie wioski uczone pagórków, krajobraz bez kresu, spokojny, pełen strumyków, krów, lasów, pięknych łąk schodzących ku dołowi i ogromne niebo, niebo, gdzie chmury zataczają szerokie koła, zamaszyste jak woźnice, którzy mijają się gdzieś w dali, dokąd nie sięgnie już głos człowieka.

Park schodzi z terasy spiralną drogą i wieloma hektarami lasu, łąkami, wilgotnymi dolinami. Nie ma tu murów, które by odgradzały pola biegnące ku wiosce Buloz, gdzie żyją chłopcy w chatkach przypartych do wzgórz. Park pełen jest marzeń i kwiatów. Nie jest to park w zwykłym znaczeniu tego słowa, lecz kawał dzikiej natury, gdzie wśród drzew źródła biją spod wielkiego kamienia lub trzech wspartych o siebie dachówek. Liliowe

smardze na białej nóżce wychodzą tam wprost z ziemi, a pod wiązami, bukami i sosnami różnych odmian po deszczu znaleźć można pomarańczowe pomrowce i wszelkiej wielkości ślimaki zostawiające za sobą srebrny ślad. Wśród suchych gałęzi i opadłych liści wciąż coś się rusza i ucieka: jaszczurki, żaby i żmije, które przeszkadzają ptakom skakać, a Paskalowi biegać. Trawa jest tam zielona prawie przez cały rok, a w niej znaleźć można najrozmaitsze rodzaje niebieskich chrząszczy, złotawych much, drobnych owadów koloru drzewa, o długich, zgiętych członkach. Pachnie to przeważnie grzybami, które tutaj prawie wszystkie są trujące; gdy je zdeptać, ciało ich zmienia barwę, staje się podobne do surowego mięsa. Dalej ciągną się te zbiegające w dół łąki, a na nich rosną liliowe dzwoneczki i złote kaczeńce. Tam właśnie pędzi Paskal powierzone mu przez dzierzawcę bydło, a towarzyszy mu mały, młodszy o trzy lata Gustaw, który drobną pięścią wygraża opieszałym krowom. Tam idą obaj z trzema mlecznymi krowami, jałówką i wołem. I trzema kozami, które szczypią leszczykę.

Pana de Sainteville widywało się tylko w sali jadalnej, gdzie naprzeciw Paskala, na grubym tomie pani de Genlis, siedziała Joanna, a między nimi, po szerokiej stronie stołu — dziadek.

Jadalnia mieściła się na pierwszym piętrze, gdyż parter przeznaczony był na wielkie okazje i po jego ogromnych, wysokich, ciemnych salach z zamkniętymi okiennicami chodziło się na palcach, w strachu, aby nie obudzić cienia Anny Marii de Sainteville, która w roku 1825 wdarła się na Barre des Ecrins w Alpach Delfinatu, przebrana po męsku, z wielkim agatowym krzyżem na piersiach.

Pokoje zastawione były ciężkimi, połyskującymi sprzętami, w których zapewne kryły się rodzinne tajemnice. Mimo że nigdy o tym nie wspomiano, wiadomo było, że wszystkie stoły, biurka i szafy miały sekretne szuflady.

Pan de Sainteville — z bródką, w cwikierze, w surducie z popielatej alpaki i w staromodnych spodniach bez kantów — żył tam oszczędnie i sypiał w pokoju mieszczącym się w wieżyczce, bo łatwo go było opalić. Wieczorem schodził do wielkiego salonu i czytywał stare książki przy ciężkim srebrnym kandelabrze, w którym nie zapalał wszystkich świec.

Wieczorem wszystko stawało się niezwykle. Oszczędnie używane lampy oświetlały zaledwie dwie lub trzy dolne izby ogromnego budynku, wliczając w to już i kuchnię; od tyłu był to parter, od frontu — sutereny. W pachnącym wilgocią domu rozlegały się wówczas jakieś coraz to głośniejsze pomruki, a brały się nie wiadomo skąd. Gdy zerwał się jeszcze wiatr, zdawało się, że w ścianach rozlegają się szaleńcze, stłumione śmiechy. Brzmiało to bardzo dziwnie, ale można się było przyzwyczaić, jak do wszystkiego na świecie.

Pan de Sainteville niewiele rozmawiał z wnukami przy stole. Joanna bała się go i co dzień umykała przed nim do kuchni. Paskal podczas posiłków niecierpliwie czekał, aby wolno mu już było wstać od stołu i pognać bydło

do parku. Pan de Sainteville nie mógł zapomnieć, że Paulina, matka tych dzieci, popełniła mezalians. Paskal był oczywiście jego wnukiem, ale przede wszystkim był synem nieszlachcica. Pan de Sainteville tolerował tę podwójną dziecinną obecność raczej ze względu na niewielką zresztą sumę, jaką płacili mu za to państwo Mercadier i która zasilała jego skromne zasoby, niż z chęci, aby mieć w domu trochę światła i młodości. Był poza tym chrzestnym ojcem Paskala i fakt, że on, bezdzietny, ostatni z rodu i ostatni dziedzic nazwiska, ma chrześniaka, napełniał go dumą. Przedstawiając malca mówił: „Mój chrześniak Paskal Mercadier...”, i kładł mu rękę na głowie. A wtedy panie de Champdargent, które brekiem przyjeżdżały do samotnego szlachcica, wołały:

— Ach, więc to jest syn Pauliny?

I patrzyły na siebie, kiwając głowami na myśl o mezaliansie, jaki popełniła Paulina. Pan de Sainteville, wciąż z ręką na małej głowie, usprawiedliwiał wszystko w jednym słowie:

— Na imię mu Paskal, tak jak mnie...

Zacna krew nigdy cię nie oszuka, ale krew nieszlachecka zawsze się odezwie; malec czuł się dobrze tylko na folwarku i w polu, z pastuchami. Albo gnał po górach z bandą chłopaków z Buloz. Góry otaczały zewsząd Sainteville, które wyglądało jak odwrócony pagórek. Wychodziło się obok ogrodu warzywnego, obok parku, mijało się duży i mały staw, gdzie już nie było karpia. Biegło się polami poprzez wysokopienny las, aż do wznoszącego się stoku, gdzie wila się pierścieniami droga. Przecinało się tę drogę. Wyżej, po drugiej stronie drogi, zaczynała się wreszcie prawdziwa wieś, mocno osmalona przez wiatr i słońce, pocięta uprawami, zagonami kolzy — spory kawał uprawnej ziemi, po czym dochodziło się do miejsc nieuprawnych, jakby wytartych, gdzie kamień nagle wyzierał spod aksamitu chwastów. Trzeba tam stanąć na chwilę, by złapać oddech. Sainteville mamy już pod stopami, wcielone w krajobraz, jak motyw dywanowej roboty. Płaskowzgórze, wygięte w ogromną dolinę, poszerzało krajobraz. Na prawo widać Champdargent z białą taflą zamku kuzyna Kajetana. Na lewo, ku górze, w kierunku czapy sosen, gdzie kryje się kaplica cudownej Matki Boskiej z Maziere, droga, oderwawszy się od Buloz, wznosi się serpentyną. W połowie stoku buduje się jakiś dom. Zdaje się, że to sanatorium.

W dalszej drodze napotykało się osypisko — zwały ostrych głazów, białych i szarych, pokrytych pyłem, z rudym połyskiem. Szło się po nich w górę trzysta do czterystu metrów, teren umykał spod nóg i trzeba było uważać, aby nikt akurat nie szedł dołem. Osypywało się to jak sterta mąki, zdawało się, że góra się kruszy. U szczytu osypisko urywało się nagle w mchu, który tworzył jakby ząbkowany feston. Dalej zaczynała się trawa pełna stokrotek; trzeba było iść w górę czepiając się pni, pozostałości lasu, który spłonął przed stu laty. Wreszcie było się w lesie.

Góra, ze swymi nagimi, osypującymi się zboczami, okryta była u wierzchołka ciemnozielonym kapturem. Była to wysoka góra stanowiąca

tło całego krajobrazu aż do nieba i już na krawędzi, utworzonej przez drzewa, nie odróżniało się doliny Sainteville i Buloz od całej tej pagórkowatej panoramy, którą miało się u stóp patrząc z zamkowej terasy. Tu zaczynało się królestwo chłopców. Pomimo że park w Sainteville był ogromny i dziki, chłopcy wcale nie lubili się tam bawić z Paskalem; tam czuli się na jego terenie, nie można było swobodnie zrywać kwiatów, a Paskal, nic o tym nie mówiąc, podzielał ich skrepowanie; park był dla niego miejscem marzeń, a nie zabaw. Co innego, gdy chodziło o Gustawa, wnuka kucharki Marty, i Joannę, których Paskal zaledwie uważał za ludzkie istoty i którzy należeli do parku na równi ze zwierzętami domowymi, jaszczurkami i śpiewającą wodą źródeł.

Inna sprawa, gdy szło o tych, z którymi zabawa nabierała akcentu prawdziwego życia, z którymi można było biegać i bić się — o chłopaków z Buloz: Józka, Michała, Maurycego, Ramberta; odnaleziona równość i prawdziwa wspólnota istniały wówczas dopiero, gdy położyło się między światem a sobą całą tę białą przestrzeń osypiska, tylko w tym wysokim kraju, gdzie władza królewska należała do silniejszego, zrecniejszego, do tego, kto zwinnie łąził po drzewach, lepiej umiał wygiąć gałąź na łuk, kto znał drogę poprzez moczary.

Las zwęzał się pnąc się w górę, drzewa miały tu długie korzenie, które miejscami sterczały z ziemi niczym haki, tak zbocze było strome, a ziemia zrazu czerwona, potem różowa, mieszała się z lotnym piaskiem. Przy ziemi — niskie zarośla i płożące się rośliny zdawały się zabierać do dziergania zielonej koronki, pełnej kolców i kwiatów. Od końca czerwca pachniało tam malinami, które, pod chciwymi palcami chłopców, krwią znaczyły od spodu liście. Słychać było młot dzięcioła, a nagle spomiędzy gałęzi patrzyła na was siedząca na zadku wiewiórka z nagim brzuszkiem i zdziwionymi, okrągłymi oczyma. Wszystko dokoła stawało się tak bujne, tak gęste, że ścieżki niknęły. Zwykle swoje dróżki rozpoznawało się wedle starych znaków na drzewach i połamanych gałęzi.

Zresztą każdy miał swoją ścieżkę i swoje tajemnice wędrowania. Jednego dnia na czele kroczył Rambert i szło się za nim bez szemrania, gdy jakimś krótkim, a tak stromym podejściem, że kamienie osypywały się pod nogami, prowadził ich daleko na lewo, tam, gdzie były skały i źródło tryskające na skraju lasu. Innego dnia prowadził Józek, inną drogą, która wiała się w najgęstszych zaroślach; kazał przechodzić pod nawisłymi krzakami, gdzie trzeba się było tak schylać, że niemal twarzą dotykało się ziemi. Najczęściej rozdzielali się przy osypisku, szli osobno swoimi ścieżkami, po czym, kto prędzej zdąży, spotykali się na skraju mokradła albo na polankach między sosnami. Wtedy każdy z chłopców, niemal przylegając do stoku, dysząc i zaciskając zęby, z włosami opadającymi na oczy, czepiając się ziemi, pomykał jak szczur na miejsce spotkania, a w sercu, w którym głośno pulsował rytm współzawodnictwa, żywił pragnienie pobicia rekordu. Pod drzewami, w gęstwinie, od czasu do czasu któryś z nich rzucał wyzwanie, nadając głosowi dźwięk gardłowy i

przeciągły, jakim nawołują się dorośli w tej okolicy. Lżyli się na odległość, wymyślali sobie od ostatnich. Dziwne było usłyszeć nagle, daleko przed sobą, w górze głos Michała; jak on to zrobił? Potem zaczynały się maliny, którym niepodobna się było oprzeć i które zabierały sporo czasu, a dalej dziwaczne kamienie, których trudno było nie włożyć do kieszeni, młode krzaki, kuszące, aby je odciąć nożem, na batogi, i tysiące innych okazji nie w porę, tysiące zdobyczy, które potem pokazywali sobie, porównywali, wymieniali, o które czubili się albo walczyli na ziemi, leżąc na brzuchu, z rękami założonymi na plecach, głowa przeciw głowie, wedle wynalazku Maurycego, co nazywali „przepieraniem się”.

Była to banda tęgich nicponiów, wśród których jeden tylko Rambert był wysoki i już barczysty jak wszyscy w jego rodzinie pochodzącej z gór gdzieś koło Sabaudii. Ze swymi jasnymi, sztywnymi kosmykami, zawsze w nieładzie, ze szczęką mocną już w dziesiątym roku życia, z ciemną od słońca skórą, boso, w łachmanach, stale podrapany do krwi, nie miał sobie równego, gdy szło o wdrapywanie się na gładkie drzewa bez gałęzi, toteż nikomu nie dawał się schwytać. Inni, bez wyjątku bruneci i niscy, krępi, byli wynikiem krzyżowania ras w Buloz, gdzie żeniono się między kuzynami, co nikogo tam nie dziwiło. Wszyscy dość do siebie podobni, z tym, że Michał był słabszy od innych, gdyż chorował jako małe dziecko i kaszlał, gdy się za dużo nabiegał. Obowiązywała między nimi wzajemność umów i powszechność uprawnień, toteż wiele czasu upłynęło, zanim dopuścili do siebie Paskala jako równego. Przez pewien okres krzywo patrzyli na jego miejskie ubranie, ale wkrótce zdarł je solidnie. Było się wśród mężczyzn, dziewcząt sobie nie życzyli. Czasem jednak zabierali na mniej ważne wyprawy jakiegoś pięcio-sześcioletniego malca. Na przykład był to brat Józka, zwany Pędrakiem, albo mały krewniak Maurycego, Pawełek.

Ale nigdy nie zabierali malców, gdy mieli brnąć przez trzęsawisko.

Po dobrej godzinie wspinania się lasem do góry wychodziło się na coś w rodzaju platformy, gdzie roślinność zaczynała się zmieniać. Ukazywały się czarne świerki wymieszane z bladymi modrzewiami. Tam otwierała się duża polana, gdzie na zasłanej igłami ziemi odbywały się narady, poważne rozważania... Było tam drzewo, na którym, jeżeli poszło się w pojedynkę, należało umieścić znak rozpoznawczy, aby zawsze było wiadomo, kto jest w górach, i aby wołając: „Hop, hop!”, można było usłyszeć poprzez drzewa głos Maurycego, jeśli w szparze pnia znalazło się biały kamyk, albo głos Ramberta, gdy ujrzało się tam dwa patyki na krzyż uwiązane sznurkiem u nasady długiej, umówionej gałęzi.

Na tej także polanie „przepierali się” i tutaj regulowali sprawy honorowe. Były tam również ślady rozpalanych ognisk, zagłębienia wygrzebane, aby każdy miał swoją kryjówkę, a pod wielkimi kamieniami nietykalne schowki. Z polany wspólnie wychodzili na bagna.

Przez pewien czas jeszcze spotykało się drzewa, ale u ich stóp nie było już poszycia. Zjawiał się mech, mech cętkowany, zielony i żółty, między

niespodzianymi plamami łysiny i czarnej ziemi. Nagle las się urywał. Z daleka nie można było tego przewidzieć. Las zdawał się okrywać cały szczyt góry i tak ciasno otaczał to jakby rozdarcie, że trzeba było na nie wpaść, aby je zobaczyć. Wyglądało to jak rana w sercu lasu. Mech stawał się grzybiasty i zielony, a zielen ta nie wróżyła nic dobrego. Rośliny zaczynały się płożyć, plątać się z sobą na czarnej ziemi. Czuło się, że ta ziemia jest niepewna, wilgotna i jakaś dziwna; gdzieniegdzie widać było pęknięcia, to znów błotniste wzgórki nad małymi kałużami, gdzie skakały żaby. Bardzo szybko ta niezdrowa roślinność pięła się w górę, tworząc nad ziemią wegetację zbyt zieloną, aby mogła być uczciwa, i chłopcy nieraz nurzali się w niej aż po ramiona.

Nikt nie wiedział, gdzie grunt staje się zdradziecki i niepodobna było myśleć o tym bez zgrozy. Bagniska ciągnęły się na szerokości czterech do pięciu kilometrów i na długość niespełna kilometra. Człowiek zapadał się w błocie z przerażającą szybkością; wielu wędrowców już w nim ugrzęzło, utopił się tam starszy brat Michała. Nigdy nie odnaleziono jego ciała. Trzy znane drogi poprzez moczary. Na tych trzech drogach, biegnących gruntem mniej więcej stałym, nagromadzone były kamienie do ich naprawy. Chłopcy przebywali niebezpieczną strefę w gromadzie. Badali grunt laskami i nigdy nie brali z sobą Pawełka ani Pędraka, których zostawiali, drżących ze strachu, na płaskowzgórzu, przy ostatnich drzewach. Tylko mężczyźni mieli prawo narażać się i po powrocie dumnie pokazywali nogi i płócienne pantofle umazane czarnym błotem bagna, gdzie zgniłe mchy przeobrażały się w lepki i zdradziecki torf.

Chłopcy z Buloz, którzy drwili ze wszystkiego i rośli bez religii mimo usiłowań księdza i matek, nie bali się — a wraz z nimi Paskal — niczego na świecie prócz bagnisk, gdzie szukały schronienia wszelkie tajemne siły. Nad bagniskami krążyły przejmujące drzeniem legendy o koniach, które tonęły wraz z jeźdźcami, wdrapawszy się wprzód nie wiadomo jakim sposobem na górę! W wilgotnych głębiach pod torfem gnieździły się ciemne, odrażające stwory, które swymi ssawkami wpijały się w nogi tonących, gdy zapadali w toń strasznego czarnego błota, wciskającego się im do oczu i uszu. A węże i smoki głębin! Nikt nie widział nigdy karłów kryjących się pod trawą, bo ukazywały się tylko nocą albo gdy człowiek ugrzązł już w trzęsawisku i miał umrzeć. Co do karłów zresztą nie było zgody — na przykład Rambert nie wierzył w nie, Paskal także. Ale ani jeden, ani drugi nie urodzili się w tych stronach.

Kto przebrnął błota, mógł porzucić wszelkie obawy, czuł się lekki i wesół, toteż śmieli się, krzyczeli: „Hop, hop!”

Nadciągali maruderzy i wtedy zaczynał się bieg. Teren znów się wznosił, porośnięty świerkami i krzewami. Potem ciągnęły się przestrzenie bezdrzewne i skały, następnie znowu drzewa i trawa. Tutaj było królestwo grzybów. Rosły tu przede wszystkim kurki, zwane również krwią Pana Jezusa, które wyglądają jak rude lejki, całe żółtkowane, o silnym odurzającym zapachu, i bedłki, wysokie jak damy z parasolkami i w

drobniutkim naszyjniku. Dalej kozie bródki wyglądające jak żółte krzewy koralowe. I koźlaki żółte, czerwone, zielone i szare, prawie wszystkie trujące, ale tak dziwne, że w przejściu strącało się je zamachem patyka, aby zobaczyć, jak zmieniają barwę. Dalej smardze. Las maleje znowu ku szczytowi góry. Przechodzi w zarośla, tu i ówdzie przesyte łąsą granią. Ale na samym wierzchołku wszelka roślinność znika nagle na jakie dziesięć metrów wokoło i jest się naprawdę na górze, ponad drugim stokiem, opadającym stromo nad dziwnym i nieosiągalnym światem. Nad światem wrózek i olbrzymów, o jakich bajki nic nie mówią.

Krajobraz, jaki widać było stamtąd, nawiedzał Paskala, nawiedzał go przez całe życie, jak wszystkie *rzeczy*, o których nie wiemy na pewno, czyśmy tylko o nich śnili, czy też naprawdę widzieli. Nabrał nawet jakiegoś symbolicznego znaczenia, którego Paskal wcale sobie nie uświadamiał. Było to trochę tak, jakby ktoś, doszedłszy na szczyt góry, dotarł do granicy świata widzialnego, poza którą zaczyna się dziedzina fantazji. Wierząc w to i nie wierząc, chłopiec w swojej dziecinnej głowie myślał niejasno, że tak samo dzieje się ze wszystkim, że wszystko dochodzi swego kresu nad przepaścią i że poza tym, co się widzi, zaczyna się obszar podobny do krainy, którą widać było z tej góry. Gdy po raz pierwszy od roku 1889 przyjechał do Paryża, patrzył takimi oczyma na Mont Valerien i przeżył ogromne rozczarowanie, gdy dowlókl wreszcie matkę i Joannę aż na panujące nad stolicą pagórki i zobaczył z nich dokoła tylko kraj małych domków rentierskich. Krajobraz ten zrosł się również tak mocno z jego snami, że gdy cierpiał na zaburzenia w trawieniu lub bał się egzaminu, śnił, że przebrnąwszy lasy i bagna, które przypominały mu zarówno lasy i bagna z książek o rycerzach Okrągłego Stołu, jak pocziwą górę nad Sainteville, wchodzi na szczyt i dosięga krawędzi tajemniczego świata, skąd wyrasta wilgotna stopa tęczy, że pochyła się nad przepaścią, w której tańczą opary i duchy lata, że widzi, jak rozwijają się i skręcają krągliczny małych dolin stworzonych dla rycerzy w pogoni za spadającą gwiazdą, czuł, jak kruszy się pod nim cienka kora pozorów, chwycił się kępy szorstkich lub jedwabistych roślin, aby nie stracić równowagi, ale przychodził zawrót głowy — i oto zawieszony jest na dziwnym ganku rzeczywistości, pomiędzy przyciągającą pustką, ponad światem przygód, tak pięknym i strasznym, że można go porównać jedynie z aniołem Lucyferem.

Gdy Paskal był naprawdę na szczycie góry, próbował sumiennie wbić sobie w pamięć krajobraz, który widywał w snach. Usiłował przypatrzeć mu się trzeźwo głębokimi, młodymi oczyma, z jasną głową, w szerokim tchnieniu szczytów. Miał przed sobą olbrzymi lej, mocno obrysowany i pocięty ciemnymi i błękitnymi płaszczyznami, jeżącymi się od drzew grzbietami i białą drogą, która w dali wiła się przerywaną spiralą; do tego leja prowadziły z miejsca, gdzie stał Paskal, urwiste skały, bez szczelin i schodków, na których kępy różowawej, wypalanej trawy wyglądały w słońcu jak krwawe ślady olbrzyma, który spadł niegdyś z nieba w tę studnię cudów.

W tym leju, ponad niedostępnymi urwiskami, wznoszącymi swe ściany jak twierdza, zaczynała się mroczna roślinność nieznanego kraju. Potem stoki łagodniały, widać było nawet łąki, gdzie w pogodny czas, gdy mgły nie zasłaniały widoku oczom Paskala, można było czasem dostrzec podobne do zabawek trzody baranów, białych, brązowych i czarnych, i psa, który jak szalony biegał między głazami, i małe domki o barwie płonącej żagwi. Z drugiej strony pochyłość leja nie dochodziła do wysokości, na której stał Paskal; ucięta była w połowie, porastały ją smukłe drzewa, zielone i niebieskie, które zdawały się wyłaniać z jakiejś dalszej dekoracji. Czuło się, że poza nimi musi być jeszcze jedna przepaść, inne koliste doliny, z których widziało się w dali tylko nagie ogrodzenia albo lasy podobne do zbitych w grona mrówek. Tak więc, ponad lejem krajobraz poszerzał się, rozrastał ku horyzontowi w szalonej ucieczce płaszczyzn i gór i wydawało się Paskalowi, że w dali ustawił ktoś jakąś fantastyczną serię napoleońskich kapeluszy... Były coraz bardziej płowe, coraz bardziej nagie i coraz bliższe niebu. Ostatnie były już może chmurami. W pełni ranka grzały się na słońcu jak jaszczurki.

Paskal wiedział, że ten wprost przed nim, z ostro ściętym szczytem na tle nieba, to była odwrotna strona tego Dent du Chat, wznoszącego się naprzeciw Revard, niewidzialnego jeziora w Aix-les-Bains. Zabrano go któregoś roku do miasta-uzdrowiska i zachował o nim przeobrażone wspomnienie. Ze szczytu swej góry chłopiec patrzył na Dent du Chat, a głowę pełną miał myśli. Pamiętał cień okrywający na brzegu jeziora opactwo Hautecombe, które jest enklawą obszaru włoskiego, pamiętał tajemniczość jego mnichów w długich szatach. Pamiętał szmaragdowe jezioro i tor kolejowy dyszący wonią białych róż u wylotu tunelu, tak bliskiego jeziora, że było rzeczą zastanawiającą, jakim sposobem nie wpadało się w głąb wody. Pamiętał Aix-les-Bains — miasto cyklamenów. A przede wszystkim teatr, dokąd prowadzono go na opery z roku 1850, grane przez troje skrzypiec. Ogrody kasyna pełne pąsowych kwiatów i liści zadrukowanych w srebrny deseń...

Zwróciwszy głowę w prawo od Dent du Chat, widziało się góry, nie — tylko góry. Iluż cesarzy zostawiło tam swoje małe kapelusiki! Nie co dzień można było dojrzeć w mżącym świetle te białe kształty, rzucające niebieskawe cienie, w które czasem trudno było uwierzyć. Śnieg... lodowce. Tamtędy opuszczało się Francję i ten stos kryształowych gwoździ to był Mont Blanc, gdzie zaczynały się — Szwajcaria i Włochy. Po prawej stronie był Delfinat, jeśli można wierzyć Rambertowi, tam Barre des Ecrins, Pelvoux. I całe mnóstwo masywów i wierzchołków, których trudne do zapamiętania nazwy pełne były chmur i marzeń. Ale nie to całe niebo i ten kraj przeznaczony dla anielskich kawalkad, jego wielkie różowe powijaki i kamienne usta powodowały drżenie w obliczu pobliskiego świata, utworzonego u stóp Paskala w leju, od którego chłopiec na próżno usiłował odwrócić spojrzenie.

W tę właśnie przepaść zanurzyły się w końcu myśli Paskala, w tę przepaść,



której dno było trochę tylko bardziej odległe niż Sainteville, ale do której nie prowadziła żadna droga, choć jest rzeczą wiadomą, że ta droga w dole zaczyna się za zamkiem, okrąża górę przy Notre-Dame de Maziere i biegnie ku Ruffieu niosąc na swym grzbiecie, niby muchy, małe czarne wozy jadące do Sainteville lub stamtąd powracające. Ale aby stąd, z tego kamiennego ganku, sięgnąć dna, trzeba by się rzucić w śmierć, spadać jak wielki kamień; stąd nie widać było żadnego z miast, które tworzyły na pewno nowy kraj, podobny do tego, który się opuszczało: Rambert na próżno wskazywał Paskalowi kierunki noszące ludzkie imiona. Paskal nie wierzył, że naprawdę istnieje to Virieu, gdzie przecież jego wuj zawiózł go raz kabrioletem, ani to Artemare, ani Szampania na południu; Seyssel, tam ponad pierwszymi grzbietami, gdzie płynie legendarny Rodan, czy w północnej stronie wąwóz Vallorse, Abergement... Bywają miejscowości noszące nazwy o brzmieniu czysto muzycznym — wąwóz de la Pierre Taillee, las Cormoranche... Świat Paskala nie mógł sięgać aż tam, bo Paskal gubił się w marzeniach między swoim skalnym gankiem a Grand Colombier, który miał przed sobą ponad niewidzialnym Culoz, gdzie biegnie tor kolei, a jej przeraźliwy gwizd czasem dochodzi aż tutaj. A to, że między tymi dwoma punktami ciągnęła się jak rów dolina Val Romey, której nazwa pełna jest woni i aromatów, to również nie było dla małego rozmarzonego chłopca ani wyjaśnieniem, ani rzeczywistością. W tym ogromnym zagłębieniu marzenia Paskala nabierały ciała i tworzyły życie, w którym każda rzecz stawała się większa i piękniejsza, jak rysy ludzkie, gdy przypatrywać im się z bliska. Wszystko miało tam wymiary bohaterskie i banda obdartych zuchów, jego towarzyszy, stawała się tam rycerstwem z epopei. Paskal wymyślał pieśń o Rambercie, o Józku, o Michale, ich gonitwy wśród skał i zagubionych wiosek. Historie indiańskie mieszały się ze średniowiecznymi legendami, niedźwiedzie z jeleniami, śpiące królowny z córkami traperów. Epopeja nie przekraczała wąwozu Rochette na południu, a wąwozu Vallorse na północy. Ale czerpała z tej ciasnoty swoją namiętność, jak tragedia starożytna czerpała ją z prawa o jedności miejsca.

Paskal bardzo chciał odznaczać się nieujarzmioną siłą, jednym ramieniem zginać pnie drzew, podnosić góry i gołą ręką wstrzymywać bieg wodospadów. W marzeniach nie odmawiał sobie niczego w tej mierze. I rzeczywiście był to wisus o silnych mięśniach, krzepki i niezmordowany; bujał po górach, póki nie zaczynał go morzyć sen. Wtedy zbiegał pędem w dół, niekiedy tak późno, że noc już zapadała. W takie dni różnie z nim bywało, dziadek Paskal bowiem na wszystko pozwalał siostrzeńcowi Paskalowi, nie tolerował tylko spóźniania się na posiłki. Chłopiec najchętniej rzuciłby się w ubraniu na łóżko i zasnął. Ale trzeba było połknąć obiad aż do końca i uważać, aby nie utknąć nosem w talerzu. Joanna w swojej czyściutkiej białej sukience, z kokardkami tu i tam, z łyżką w ręce, wyglądała bardzo grzecznie i była wcielonym wyrzutem tego obwiesia, który w dodatku podarł spodnie.

Nie cierpiał tej smarkuli. W ogóle nie cenił dziewczynek, ale przecież istniały takie, dla których przynajmniej można było walczyć. Joanna... to przecież tylko siostra i w ogóle nie ma o czym mówić...

ix

A jednak mały Gustaw, syn dzierżawcy Loeufo, zakochany był w Joannie. To rzucało się w oczy. Oboje mieli po sześć lat. Joanna była brunetką z kędzierzawymi włosami, krągłymi, drobnymi ustami, zawsze nadąsanymi. I stroiła miny królowej. Kapryśnica. Ryczała, gdy się przewróciła, co trafiało jej się częściej, niżby wypadało, albo gdy starsi chłopcy wyśmiewali się z niej, gdyż była bardzo tchórzliwa i lamentowała o byle co.

Gustaw w starym słomkowym kapeluszu a la Jean Bart, w czarnym, zniszczonym fartuchu, w za dużych spodniach, trzymających się na sznurkach, był to mały wieśniak o grubym głosie, który powtarzał wszystkie przekleństwa, jakie słyszał od ojca i parobków. Z długą twarzą, wystającym podbródkiem, z małym nosem zagubionym między oczyma a ustami, bał się tylko jednej rzeczy w życiu: aby nie zrobić w spodnie, i gdy był w polu, gdzie z zadziwiającym spokojem pasał krowy dziesięć razy większe od niego i bojące się go jak diabła, był w rozpacz, gdy musiał zdjąć spodnie, bo nie umiał potem dać sobie z nimi rady. A już ogarniała go czarna rozpacz, gdy na polu zjawiała się Joanna, aby zbierać kwiaty: „Pomóż mi — błagał Paskala. — Oj, pomóż mi, proszę cię, bo ja nie potrafię zapiąć tych portek.”

Joanna, ta mała bestia, znała swoją władzę nad nim i korzysta z niej, aby odgrywać jeszcze większą księżnę. Była zmanierowana, nienaturalna i wyobrażała sobie, że należy do istot wyższego gatunku. Miłość Gustawa uważała za należny sobie hołd i ciągnęła z niej zyski: kazała mu zbierać maliny, przynosić mleko, szukać nagich i żalonych piskląt. Ale gardziła Gustawem i gdyby go krowy stratowały, nie obeszloby to jej ani trochę. Był chłopem. Ona czuła się panienką z zamku Sainteville. Jej lalki były tam jedynym godnym jej towarzystwem...

Toteż najszcześniejsze chwile przeżywała, kiedy zabierano ją na tydzień do Champdargent. Panowie z Champdargent byli przez żony spokrewnieni z panem de Sainteville. Mimo że bardzo bogaci i sama śmietanka departamentu Ain, uważali tę małą, niemądrą Joannę trochę za kuzynkę, zwłaszcza że była wcale milutka. Zapraszali ją corocznie, w okresie gdy w Champdargent przyjmowano dużo gości. Laleczka, którą podawano sobie z rąk do rąk. Cóż za wspaniałe dni dla Joanny! Istne święta. Wytworne panie, piękni panowie zjeżdżali się w powozach ze wszystkich stron. Dzieci bawiły się na tarasie zamku z okresu Ludwika XIV, tak ładnie ubrane, takie czyste! Mali hrabiowie, synkowie generałów. Panny de Champagne ze swoim pięknym psem. Dziecinny świat jakby wycięty z książek pani de Segur. Cała masa pokojówek ubranych na czarno, w czepeczkach. Wieczorem tańczyło się polkę. Napatrzywszy się na to wszystko, na te

powozy, haftowane chusteczki, nawąchawszy się perfum, Joanna nie mogła wieczorem usnąć. Ach, oczywiście, trudno było zapraszać do Champdargent Paskala. Tego nicponia, wiecznie oberwanego, który zawsze tylko by się bił!

Wuj Pascal zabierał jednak wnuka na wizytę do państwa Champdargent, gdy przebywała u nich Joanna. Kucharka dostawała rozkaz uczesania go. Zmuszano go, aby się umył. Wreszcie chłopiec wkładał czyste ubranie, marynarskie, z długimi spodniami, z gwizdkiem wiszącym na białym sznureczku. Wyglądał mniej więcej tak, że można go było ludziom pokazać. A jakie ręce? No, teraz ujdzie...

Brek czekał na dziedzińcu w Sainteville. Zaprzęgano Jockeya, małego kasztana z jasną grzywą. Powóz był czarny, lśniący, w bardzo delikatne czerwone żyłki. Pan de Sainteville wkładał ciemnopopielate ubranie, w którym prezentował się bardzo godnie, i krawat do konnej jazdy, biały, ze złotą szpilką w kształcie szpicruty. Melonik jasnoszary. I czarne buty, w których spodnie do konnej jazdy ginęły niby spięte klamrą, jak u cyklisty. Siwa bródka i *pince-nez* na łańcuszku nadawały Paskalowi de Sainteville dziwny wygląd profesora, co kłóciło się wyraźnie z przyrodziewkiem wiejskiego szlachcica. Stale nosił rękawiczki, tylko nie przy stole. Czarne rękawiczki, dość sfatygowane, z białymi punkcikami w miejscach najbardziej narażonych.

— A więc, Paskalu? Zwracam ci uwagę, że czekam na ciebie!

Gustaw trzyma cugle Jockeya. Wie, że panowie jadą odwiedzić małą Joannę w Champdargent... W Champdargent, tym wzbronionym mu raj. Zdaje się, że tam jada się tylko ciastka.

Paskal winduje się na miejsce obok wuja. Ho, ho, wyjeżdżają! Mijają budynki gospodarskie; Paskal żałuje trochę, że nie zagrzebał się w siano. Nie lubi tych zbiegowisk rodzinnych i towarzyskich. Pod parkowymi drzewami angielski powóz zjeżdża w dół serpentyną. Na łące roi się od krokusów. Dziadek zrazu milczy. Trzyma się prosto, z lejcami w czarnych rękawiczkach. A potem, nie patrząc na małego:

— Dobrześ się umył dziś rano? — Paskal, zaskoczony, nie odpowiada. — Porządnie się dziś umyłeś? Paskal mruczy coś w rodzaju:

— Ma się rozumieć, dziadziu...

Ale już lody zostały przełamane, przynajmniej jeśli chodzi o dziadka. Może on teraz głośno myśleć. Nie wiadomo, czy takie samo prawo przysługuje wnukowi. Pewne jest tylko, że dziadek o odpowiedzi dba tyle, co o zeszłoroczny śnieg.

— ...a przecież wystarczyło po prostu się wykąpać, ale nigdy sam o tym nie pomyślisz, mały brudasie! Zawsze ja muszę mówić o tym Marcie...

Kąpiel to ulubiony temat rozmowy pana de Sainteville. W południowej wieży kazał urządzić łazienkę, aby móc powiedzieć swoim gościom, jak w Anglii: „Jeżeli państwo chcielibyście się przed obiadem wykąpać...” Na tym kończy się anglomania, gdyż zazwyczaj łazienka zapchana jest różnymi rzeczami, które gromadzi tam stara Marta: bielizną, skrzyniami.

Aby się wykapać, co nie jest wszakże rzeczą niemożliwą, trzeba pompować wodę, przez dobre dwadzieścia minut na dole, koło kuchni.

Dziadek wciąż mówi, z przestankami spowodowanymi przez nierówność terenu, podskoki konia i zakręty:

— Gdy byliśmy dziećmi, mój ojciec, jeśli zobaczył brudne uszy, kazał nas rozbierać do naga, a potem przysyłał nam ogrodnika z węzłem gumowym. I — lu! W lecie jeszcze pół biedy. Ale w zimie! Trudno jednak zaprzeczyć, że jest to niezły sposób hartowania młodej generacji... Gdybym ja z tobą tak postąpił, twoja matka mdłałaby przez tydzień... Przesadzam, w jej nastrojach nie ma tyle konsekwencji!... A przecież oddałbym ci wspaniałą przysługę. Nie wierzysz? Nigdy nie wiadomo. A zresztą jeżeli ojciec chce zrobić z ciebie babę, to jego sprawa... Jesteś jego synem, nie moim. Co za absurd, aby zawsze chcieć oddawać ludziom przysługi. Nigdy by temu nie było końca! Każdy sobie... Taki jest świat, na którym żyjemy. Szkoda fatygi. Tak, naprawdę, szkoda fatygi!

Przejeżdżali dolną częścią parku. Jockey dreptał posłusznie. W dali widać było dymy Buloz. W polu ludzie prostowali grzbiety; droga do Champdargent skręcała w prawo, niemal pod kątem prostym.

— Czym będziesz, gdy dorośniesz? Gryzpiórkim jak twój ojciec. Albo oficerkiem, co przymiera z głodu. Pięknie dziękuję. W każdym razie jesteś w trybach tej maszyny. Będiesz wyznawał idee swojej epoki. Bo i skądże wzięłbyś inne? Czyś ty Sainteville? Tak — czy nie? Nie. A więc można ci tylko jednego życzyć: abyś się przystosował. Będiesz mieszkał w tych ich miastach. W jednym z tych mieszkań jak pudełko, z gazowym oświetleniem. W twoim umyśle też będzie gaz. Demokracja! Jeżeli się ktoś bawi w równość, trzeba sprawę jasno postawić. Kiedy się bijesz z tymi gałganami z Buloz, zwycięża zawsze silniejszy. Nikogo nie obchodzi, co powie *na* to twoja mama. Ale w tej ich demokracji gra się komedię. Prawdziwi zwolennicy równości to my, szlachta, którzy po wsiach zachowujemy resztki ginącego świata... Tak, my! A wy, urzędnicy, czy w ogóle ludzie mający jakiś zawód, wy w gruncie *rzeczy* jesteście wszyscy mniej lub więcej handlarzami. Tak, tak! Pokaż mi choć jednego, który nie kupuje za swe grosze jakichś akcji, nie spekuluje na giełdzie, nie gra na loterii! Weź na przykład swego ojca: chciał być bardzo chytry z tymi akcjami Panamy. Wszyscy oni tacy sami. Handel zastępuje wam prawo. Najuczciwsi są jeszcze ci, co otwierają sklepy. A inni? O, to hipokryci! Ich burżuazja, piękny postęp! Są w kraju tylko dwa rodzaje ludzi; ci, którzy produkują własnymi rękami, i ci, którzy gromadzą wszelkie dobra świata, duchowe i materialne — arystokracja, depozytariuszka honoru i moralnego zdrowia narodu... Wszyscy inni to gracze w „moje— twoje”. Złodzieje pracy i złodzieje honoru. Szanują lud. Nie szanują mieszczaństwa... Jeszcze na początku, kiedy prowadzili swoją podłą wojnę ze wszystkim, co było przeszłością, w dzikości ich była jakaś wielkość... Jeżeliś ciekaw, to dowiedz się, że wołę Marata od Guizota. Wtedy wszyscy oni byli bliscy ludowi, posługiwali się nim... Ich wielkość była wielkością ludową...

Można się było dać oszukać... W naszych szeregach zdarzało się upodlenie, degeneracja, trzeba to przyznać, trudno... Mogło się wydawać, że tych handlarzy sukna i dostawców wojskowych opętał jakiś bzik, a jakże! Ale tak myślał ten, kto ich nie znał... Napoleon I torował drogę Napoleonowi III. Taki wyskrobek! Ale teraz już dali spokój awanturom... Popatrz na twój ojca — „byle nie polityka"! To wszystko, co umie powiedzieć... Taki sam zdymisjonowany jak ci mali durnie, co w Trianon bawili się z Marią Antoniną w pasterzy... Byle nie polityka! A to jest przede wszystkim strach przed polityką, przed odpowiedzialnością... Pozwala się innym ująć lejce... I patrzcie, co się dzieje wśród robotników... Na przykład ten Millerand — ten ma ostre zęby i daleko zajdzie!... Może byłaby to pomyślna chwila dla naszych, gdyby się ktoś znalazł... Ale szkoda gadać!... Nie trzeba się oszukiwać, to, co przetrwało z naszego świata, ocalało jedynie dzięki kompromisom. Myślisz może, że tacy Champdargent majątek swój odziedziczyli po przodkach? Skądże, popatrz na Zuzannę... Jest dość typowa. Zżydzieli ci Champdargent, zżydzieli... Kajetan sprzedaje w radach nadzorczych swoje nazwisko i praktyczny zmysł odziedziczony po matce... i po tych z Frankfurtu. Stary Mannheimer miał tak obrzydliwe łapy, że musiał nosić długie mankiety, aby je zakrywać aż po końce palców... Gdy się pomyśli o Karolu de Champdargent, namiestniku królewskim, który spiskował przeciw Ludwikowi XIV z powodu Mazariniego i który nie cierpiał cudzoziemców! I kto ma więcej rozumu: my czy oni... Trudno powiedzieć... My! Mówię „my" z racji twój wujka Błażeja. Nigdyś go nie widział... Twoja babka wykleła go, zanim się urodziłeś... A jednak... Mimo że wyznaje on najgorsze głupstwa w guście Jana Jakuba Rousseau, był jedynym w całej rodzinie, w którym odnajdywałem coś z siebie... Bo wolę choćby anarchistę, jak on, od tej skomercjalizowanej szlachty... Kim mają być dzisiaj nasi synowie i wnuki? Oficerami kawalerii? Wiejskimi proboszczami? W anarchii pociągają ich szlachtetne pozory... Nie czują się niczym związani, idee ponoszą ich... To odżywa stary duch rycerstwa... Oczywiście, że nie w tych Champdargent i ich małych Mannheimerach! W gruncie rzeczy powinienes być w dobrych stosunkach z tymi ludźmi, Paskalu. Będą ci bardziej przydatni niż ten stary wariat twój dziadek. To ubranie, które mam na sobie, kupiłem dwadzieścia lat temu. Trochę się wytarło, ale jeszcze mocne. Wtedy były materiały! Przyjemnie mi nosić tę starzyznę z czasów, gdy jeszcze mogłem pozwalać sobie na fantazję. Bo to jest tak, jakby nigdy nie istniała ta ich Republika... Tak, chociaż Cesarstwo było błazeństwem, którego nigdy nie przyjąłem do wiadomości! Bo czy jest sens stawiać na czele tych ich rad administracyjnych wystrojonego w mundur lalusia, karanego sędownie? Rozumiesz, oni trochę zdawali sobie sprawę, że ich rewolucja to była blaga... Że ponad ludem trzeba jakiejś kasty, arystokracji... Toteż zanim obalili monarchię, wymyślili swoją szlachtę z kasyna, Muratów, czy ja wiem kogo! A nawet próbowali ją skojarzyć ze starą Francją! O ile im się to udawało... Ale... ale ich tradycja, licząca sobie pięćdziesiąt lat, te ich

żołnierzyki, trójkolorowy sztandar... To niedostatecznie maskuje koleje, banki, fabryki masy papierowej... Błąd ich polegał na tym, że myśleli, iż istota arystokracji leży w szamerunkach. I na nich poprzestali. Istotą szlachestwa, mój mały mieszczechu, jest nie szlachecka partykuła, ale honor! Honor! A czy dzisiaj wiedzą, co to honor? Może jeszcze w Anglii, w niektórych jej zakątkach. Bo ich także dobrze nadgryzł handel. Pamiętam w Dieppe, około roku 1866, pewną ładną dziewczynę, która zwracała ogólną uwagę, bo dosiadała konia po męsku... Co się z nią stało? To była Szkotka. Miała nadzwyczajny głos. Jeżeli jeszcze żyje, jest starą kobietą, ma dorosłych synów... Tak...

Tu lejce zaczęły lekko drżeć. Stary szlachcic patrzył wyblakłymi, zmęczonymi oczyma na pola. Niebo zachmurzyło się, wyglądało jak z ołowiu. Potem musnął lejcami grzbiet Jockeya. Drobnny konik ruszył wesoło. Dziadek Paskal rozmarzył się... Gdzie odbiegł i jaką okrężną drogą znów doszedł do myśli o Paskalu? Zwrócił się ku niemu. Spojrzał na chłopca, jakby oceniał końskie pęciny. Zapewne usiłował go sobie wyobrazić jako dorosłego mężczyznę; oczywiście — to nie Sainteville, ale ostatecznie ma w krwi coś z dawnej awanturniczości tego starego rodu... Będzie się uganiał za kobietami czy poświęci się Bogu? Coś złagodniało w zmęczonych oczach starego człowieka.

— Mały mieszczech — wymruczał.

Na drodze dał się słyszeć kłus koński. Naprzeciw szybko jechał czarny wolant. Powoził człowiek z rudą brodą, dość tęgi na swoich, jak się wydawało, trzydzieści pięć lat. Dziadek zasepił się. Był to doktor Moreau, świeżo osiadły w Buloz, którego pan de Sainteville nie lubił. Gdy się mijali, lekarz podniósł się skwapliwie na siedzeniu i zawołał:

— Dzień dobry, panie hrabio!

Sainteville'owie nie byli hrabiami, ale w okolicy panował zwyczaj, aby ich tak tytułować.

— Dzień dobry, doktorze — odpowiedział dziadek i popędził Jockeya z odcieniem irytacji. Paskal zauważył już, że widok doktora zawsze tak działał na starego pana. Nie miał pojęcia dlaczego. Doktor Moreau specjalizował się w leczeniu gruźlicy i on to budował sanatorium nad Buloz. Czy dlatego tak się zasepił dziadek Sainteville?

W dali ukazała się wieża zamku Champdargent.

x

Dzwonek. Drzwi klas otwierają się w dole na wielki oszklony dziedziniec, a w górze na biegnący dokoła balkon. Huk wezbranych potoków! Trzewiki galopują po żelaznych schodach. Wycie setek smarkaczy, krzyki, śmiechy. Już się biją. Z góry lecą książki.

— No, panowie, dalej! — nosowym głosem woła pedel, stary szkielet z zielonkawą twarzą. Tłum rzuca się ku ustępom.

Piotr Mercadier, który wychodzi ze swojej klasy, znowu słyszy, jak zrywa się ta burza. Codziennie chwyta go ona za gardło i skronie. To dziwne, że

nie może się przyzwyczać do tego rozpętania dziecinnych sił. Zrazu nawet go nienawidził. Dziś osądza je zupełnie inaczej: ta gwałtowność, to dążenie do zamętu, krzyki, zaczerwienione w zabawie policzki, to namiętne zapominanie godzin spędzonych w przymusie budzą w nauczycielu historii jakiś wstyd z powodu wykonywanego zawodu. Czuje się czymś w rodzaju dozorczy galerników.

Gdyby wiedziano, jakie myśli snują mu się po głowie, na pewno nie trzymano by go tutaj i nie pozwolono uczyć młodzieży. Ale młodzieży nic z jego strony nie grozi. Ona nigdy się o tym nie dowie. Te wywrotowe idee zachowa dla siebie. Pozostaną one niejasnym, nieśmiałym marzeniem, buntem prywatnym, na osobisty użytek.

W przejściu kłania się wielu kolegom. Jak szybko w nowym mieście poznaje się nowych ludzi! Wydają mu się starymi znajomymi, a przecież od trzech zaledwie miesięcy jest na nowej posadzie.

Na temat urządzenia nowego mieszkania miał parę scen z Pauliną. Chciałaby wydawać sumy, a oni przeprowadzali się zbyt często. Co roku kapitał trochę topniał... Głupie wydatki poczynione w Alencon nie zachęcały do dalszego szastania pieniędzmi...

— Panie Mercadier!

To dyrektor woła go z daleka, a potem szeroko opowiada o jednym z uczniów, który jest niesłychanie roztargniony. Goniący się chłopcy o mało ich nie potracili. Ślizgają się na drobnych płytach dziedzińca. Piłki krążą w powietrzu. Piotr nie słucha, co mówi dyrektor. Jak zwykle, wspomina własne dzieciństwo, zastanawia się, co myślał jako dziecko, co sądził o życiu, czego pragnął, oczekiwał... Potem został nauczycielem... sam się oszukał, wprowadził w błąd. A dziś nie rozumie już sensu rekreacji.

Dostrzega trochę na uboczu sylwetkę pana Meyera. Pan Meyer czeka na niego, jak zwykle. Pan Meyer jest bardzo nieśmiały i za nic w świecie nie przerwałby, choćby tylko ukłonem, rozmowy pana Mercadier z dyrektorem. Piotr uśmiecha się na tę myśl. Lubi pana Meyera. Rozumieją się. Przeprasza dyrektora i podchodzi do kolegi.

Pan Meyer jest trochę wyższy od Mercadiera. Chudy, ze smutną, długą twarzą, w okularach, z czarną brodą. Ma niewiele ponad trzydziestkę, ale trzyma się pochyło. Prawie nieustannie zaciera ręce. Wykłada matematykę. Pochodzi z Alzacji. W liceum dość źle widziany, bo jest jedynym tutaj Żydem. Tak nieśmiały, że trzeba było całej potęgi muzyki, aby przemówił któregoś dnia do kolegi Mercadier. Bo pan Meyer gra na fortepianie. Gra namiętnie, w każdej wolnej chwili. Ale w jego smutnym kawalerskim mieszkaniu ma tylko wynajęty gruchot. Mercadierowie mają Erarda. Na tym Erardzie wykiełkowała przyjaźń. Paulina oczywiście nie aprobeuje znajomości męża.

— W mojej rodzinie — powiada — nikt nie przyjmował u siebie Izraelitów...

— Z wyjątkiem twoich kuzynów Champdargent, moja kochana, którzy mają w sobie krew żydowską!

— Jesteś niemądry! Przecież to zupełnie co innego... A zresztą...

Pan Meyer gra doskonale na fortepianie. Można go zapraszać, gdy są goście, jest urozmaicenie.

A rozrywek nie ma wiele w tym smutnym mieście wschodniej Francji — oczywiście poza garnizonem.

Czasem obaj nauczyciele wracają razem, z nowymi nutami, świeżo sprowadzonymi z Paryża. Wieczorem, po lekcjach, zamykają się w salonie. Tam przy świetle gazowej lampy pan Meyer gra, Piotr siedzi obok i obraca kartki.

Mercadier oczywiście uczył się kiedyś, ale wyszedł z wprawy... Brak mu także cierpliwości... Nigdy nie starał się dobrze grać. Godzinami czytał nuty pomagając sobie na fortepianie. Teraz już się od tego odzwyczaił, a na prowincji koncerty odbywają się rzadko. Upierał się, aby w domu był dobry fortepian, na którym brzdąkała Paulina. Uczyła się grać w klasztorze. Ma nawet jakiś tam głosik. Jej repertuar zaczyna się od Modlitwy *dziewicy* i kończy na Kadrylu lansjerów; śpiewa parę walców i serenadę Gounoda. I nic jej nie skłoni, aby nauczyła się czegoś więcej.

— A zresztą — mówi — ten twój pan Meyer uznaje tylko muzykę niemiecką.

Piotr wzrusza ramionami. Niemiecką czy chińską... Jest rzeczą pewną, że znajomi Pauliny złym okiem patrzą na pana Meyera. W tym mieście Żydzi nie są lubiani. Dzięki Bogu, nie ma ich dużo. Rzeźnik z rodziną. Dwaj krawcy. Nic szczególnego. Niech wracają do Frankfurtu! Po Sedanie nie chcemy mieć u siebie tych zamaskowanych Niemców.

— Ja — powiada Piotr — nie zajmuję się polityką. Człowiek jest człowiekiem, a pianista — pianistą.

Całe szczęście, że ten Meyer jest nieżonaty. Gdyby miał żonę i dzieci, stosunki musiałyby się ułożyć inaczej. Bo przy całej niezależności umysłu Piotr nie miał ochoty prowadzić wiecznej wojny. Nie marzył o narzuceniu ludziom Meyera. Jeżeli ludzie nie mogą lubić Żydów, jest to ich sprawa.

Mercadier lubił w Meyerze milczącego towarzysza. Nie trzeba z nim było długich rozmów, muzyka ponosiła koszty ich stosunków. Sprzyjała pewnej skłonności do melancholii, która coraz silniej występowała u Piotra Mercadier. Oszczędzała mu udawania, a nawet myślenia; Liszt, Chopin, Beethoven, Mozart zabarwiali marzeniem ich wieczory. Salon Pauliny zniknął, w miarę jak narastała fraza, jak rozwijały się harmonie dźwięków. Piotr nie widział już nic z tego, co go drażniło, gdy bywał pastwą swego krytycyzmu, nie widział tego wszystkiego, co nagromadziła tam kobieta, której wystarczyło, że on jakiegoś przedmiotu nie cierpiał i że o tym powiedział, aby ona upierała się przy tej *rzeczy* i zdobiła nią ich dom.

Zmysłowe upojenie muzyką przez długi czas zastępowało Piotrowi wszelkie inne namiastki uczuciowe. Muzyka... Nostalgia, jaką z sobą przynosi, łatwo staje się klapą bezpieczeństwa w życiu spokojnym, bez wstrząsów. Piotr zapominał o pochylonym nad klawiaturą pianiście, dość śmiesznym, gdy się nań spojrzało, robiącym różne miny, uważnym, o



kościstych palcach, z wyrazem wysiłku na twarzy, nie mającym nic wspólnego z wyrażanymi uczuciami. Był wreszcie sam, wolny, w śpiewnym i dramatycznym świecie, gdzie nie trzeba się wstydzić łez. Dawał się unosić, ulegał temu szlachetnemu i dozwolonemu szaleństwu, tej niewidzialnej rozpuście zmysłów i serca. To była jego rekreacja dorosłego uczniaka, jego bójki i gonitwy, jego sportowe zabawy, dziecinne szaleństwa.

Ale miejscem zabaw był salon uroczej pani Mercadier, cały z żółtego jedwabiu i czarnego drzewa.

Tam powracały do niego myśli z bardzo dawnych czasów. Odnajdywał wątplenia i wahania młodości, filozoficzne niepokoje, bezprzedmiotowe nadzieje i gorzki smak życia, który zatracamy w nieświadomości naszych dni, w rutynie przyzwyczajzeń, w codziennych zajęciach.

Poczucie nieużyteczności istnienia.

Czego oczekiwał od życia? Czy kiedykolwiek czegoś się po nim spodziewał? Dziś głęboko w to wątpił, skłonny raczej znaleźć upodobanie w tej nieużyteczności niż nad nią rozpaczać. Nie jego życie wydawało mu się bez celu, lecz życie w ogóle. Pomyśleć, że są głupcy, którzy lamentują, że na przykład nie są Napoleonami! Tak jakby z punktu widzenia ludzkości zaszczycniej było pędzić armie po całej Europie i z kosmykiem na czole biwakować na spustoszonych równinach niż, powiedzmy, szyć obuwie w swoim kramiku albo dodawać liczby w ogromnej księdze.

Takie myśli dawały mu poczucie wyższości nad światem i czyniły znośnym los, przeciw któremu zrazu się zwracały. Fraza muzyczna sprawiała, że wszystka ta filozofia występowała z brzegów, i było to jak szerokie tchnienie, jak pęd na koniu.

Pan Meyer dał mu poznać Wagnera, o ile było to możliwe na fortepianie. Boże, jak żyć bez opery, bez orkiestry, skrzypiec, bez drżenia podnoszącej się kurtyny!... Ale fakt jest, że się bez tego obchodzimy. Libretta wagnerowskie nabrały dla Piotra potężnej i bliskiej poezji. Czytał płynnie po niemiecku, choć w mowie mocno się jąkał. Tristan i Izolda stali się dla Piotra wzniosłą rekompensatą jego pożycia domowego. Należy dodać, że Wagner miał wówczas posmak rzeczy zakazanej, a to z powodu roku 1871. Piotr nie mówił o tym, ale w głębi duszy uważał się za germanofila. Była to milcząca forma protestu przeciwko ogólnej przeciętności. Jak się to godziło z jego szczerym patriotyzmem, który nie był frazesem do tego stopnia, że w krachu panamskim chętnie byłby utracił dwa razy tyle, byle oszczędzić Francji tej porażki? Otóż tego nie można było pogodzić. Nie jest to pierwsza sprzeczność, jaką spotykamy u Piotra Mercadier. I nie będzie ostatnią. On sam nie zdaje sobie sprawy z tych rozbieżności. Jest ich igraszką. Tak jak jednocześnie kochał dawniej Paulinę i był obojętny na to, co ona myśli i co czuje.

— Ale po co się dręczyć? Czego spodziewać się od życia, jeśli nie tej trochę muzyki? Prawda, Meyer?

— Mój drogi Mercadier — mówił nauczyciel matematyki opuszczając

wieko fortepianu — nie powinien pan tak mówić, pan ma dzieci... a to już daje cel w życiu...dzieci...

Rozcierał sobie mocniej niż zwykle palce, jakby chciał im dać wytchnienie po dwóch godzinach tak smutnej muzyki.

Piotr obracał w palcach list. List od pana de Castro. Znów stracił na giełdzie i znów będzie musiał zaczerpnąć z kapitału, aby uzupełnić uszczuploną rentę. Cóż robić, trudno...

## XI

Tej wiosny Paskal przystąpił do pierwszej komunii. Trzeba było opuścić dom w Normandii i różowy pokój. Piotr został przeniesiony do Lotaryngii. Z niekonsekwencją, znamioną dla jej charakteru, pani Mercadier, która tyle że bywała w kościele, zażądała od męża, aby syn ich nie chodził do państwowego gimnazjum, zanim odbędzie się ta ceremonia. Było to dość kłopotliwe dla nauczyciela państwowego. Mogło mu zaszkodzić w karierze. „Nic mnie to nie obchodzi” — mawiała pani Mercadier. Czarowała w ten sposób panie i panów, z którymi utrzymywała towarzyskie stosunki. Trzeba mieć jakąś rozrywkę, więc przyjmowała ludzi bardziej ze względu na ich zalety towarzyskie niż na to, co mógłby sobie o tym myśleć rząd. Jeżeli jej mąż-profesor uważa, że robi źle, niech tylko powie. Ale on pilnie wystrzegał się zdradzić, co myśli. Paulina, przy swojej lekkomyślności, doskonale wiedziała, że podstawą ich bytu nie jest pensja Piotra. Nawet gdyby jego kariera rozwijała się jak najlepiej. A więc trzeba korzystać z faktu, że jest mało ważne, jak się ta sprawa ułoży, i nadać sobie odpowiedni ton. Nadawała sobie ton. Było to u niej rodzinne.

Piotr Mercadier był całkowicie niewierzący, ale z gatunku niedowiarków tolerancyjnych. Tolerancja jego zresztą nie bywała wystawiana na próbę, nigdy bowiem nie sądził, że ma prawo decydować o losie syna, którego matka mniej więcej co dwa tygodnie obsypywała gorącymi a nieoczekiwanymi objawami macierzyńskiego przywiązania wobec swoich gości. Piotr przyzwyczyił się do myśli, że dzieci należą do matki. W historii prawa były zresztą godne uwagi przykłady takiego matriarchatu... W istocie syn był dla niego kimś obcym, dla kogo nie warto było narażać się na sceny z Pauliną. A przy tym, była to naprawdę wielka różnica, czy chłopiec chodził do liceum rządowego, czy do szkoły prywatnej? Jak gdyby w życiu tak bardzo przydawało się nam to, czego nas nauczono! Owszem, dyrektor czasem napomykał...

— Rozumie pan, panie dyrektorze, jestem liberałem, nie mogę się sobie sprzeniewierzyć. Jego matka jest takiego zdania i dałbym w ten sposób przykład nietoleranckim reakcjonistom.

Tak, ale tymczasem wciąż nie dostawał nominacji do Paryża.

W dużym, posępnym mieście o wąskich ulicach i wrogich domach, gdzie Piotr Mercadier wyjaśniał synom sędziów, sprytnych przemysłowców i wystraszonych rentierów, z jakim podziwem odnosił się Wolter do króla szwedzkiego i jakie wysiłki czynił pan Necker, aby ratować finanse monarchii francuskiej, w tym wielkim mieście bez oblicza, gdzie

fabrykowało się andruty i maszyny rękodzielnicze, z całym ciężarem francuskiego Wschodu na sercu, z nigdy nie zapomnianą groźbą inwazji, mały Paskal wczesnym rankiem wychodził z pięknego, zdewastowanego mieszkania, które jego rodzice wynajęli w starej szlacheckiej rezydencji. Pod monumentalnymi schodami, obok dziecinnego wózka, stał jego rower, przy którym otwierał kłódkę. Potem, trzymając za siodełko, wyprowadzał rower po białych i czarnych kamiennych płytach aż na ulicę. Książki miał ściągnięte paskiem z beżowego płótna, zawinięte w mały dywanik w czerwone kwiatki na niebieskim tle, co zapobiegało zbyt niemięskalnemu niszczeniu spodni na siedzeniu. Musiał przebyć całe miasto, aby dojechać do zakładu naukowego Saint-Elme, który zyskał aprobatę Pauliny, chociaż nie był ściśle biorąc szkołą wyznaniową, gdyż ksiądz przychodził tam tylko, aby nauczać katechizmu starszych uczniów.

Zakład Saint-Elme mieścił się w osobnym budynku, na cichej ulicy. Była to stara mieszczańska siedziba, która utraciła dawną świetność. Tynkowane mury z gipsowymi, łuszczącymi się gzymsami, z żelaznymi wazami w narożnikach, gdzie smutno stała deszczówka, nie mówiły nic o dawnych właścicielach, którzy, zdaje się, mieli jakieś kłopoty z andrutami. Świadectwem marzeń o wspaniałym życiu i bogatych ekwipażach była tylko duża weranda i dziedziniec od frontu, obecnie na wieczne czasy zamknięty dla pojazdów, a także stajnie zmienione w laboratoria, gdzie uczniowie wyższych klas robili doświadczenia chemiczne i odbywali gimnastykę. Od wysokiego parteru aż do drugiego piętra wszystko nabrało jednostajnego smutku sal szkolnych, z wyjątkiem szczupłego mieszkanka, gdzie w ciasnocie gnieździł się dyrektor, pan Legros, z całą rodziną i jednym z korepetytorów, przyjętym na mieszkanie. Pan Legros był niziutki, z chytrymi oczami, wachlarzowatą szpakowatą brodą, która czyniła go jeszcze mniejszym, i sterczącym czubem, mającym ratować sytuację. Nosił długi czarny surdut, z którego wychodziły prążkowane spodnie podobne do korkociągu, mankiety, które wciąż gubił, a w kołnierzyku z odgiętymi rożkami czarny rozłożysty krawat.

Rok pierwszej komunii był też rokiem, kiedy zaczęła się prawdziwa nauka łaciny, w szóstej klasie. Oczywiście już w siódmej, od Wielkanocy, uczył się początków gramatyki. Ale to się nie liczyło i ten ostatni trymestr nabrał od tego jakiegoś dziwnego, niezrozumiałego posmaku. Gdyby ich zamiast tego uczono chińskiego, malcy nie byłiby bardziej zdumieni. Zgnębieni, przyglądali się przerażającym stronicom form deklinacyjnych, bąkali coś nic nie rozumiejąc, mieszając wszystko. Potem przeszło nad tym lato, jak wielki ciepły sen. Po powrocie — nie wiadomo jakim sposobem — wszystko stało się jasne lub prawie jasne... Stwarzało to nagle jakiś próg między klasami, jak między dzieciństwem a wiekiem dojrzałym. O tajemniczo konstrukcji *ablativus absolutus!* Ci młodzi chłopcy, skrępowani sztywnymi kołnierzykami, w grubych czarnych pończochach, w lustrzynowych rękawkach chroniących ubranie przed plamami z atramentu,

nacinający po kryjomu scyzorykami zniszczone pokrywy pulpitów, stają nagle wobec odpowiedzialności życiowej poprzez dziwne meandry martwych języków. Turba *ruit* albo *ruunt*\*/... \*/ Problem gramatyczny: użycie czasownika przy rzeczownikach zbiorowych.

Choć może się to wydać bardzo dziwne, nauka łaciny odwiodła Paskala od religii, w której już miał się zatopić. Uważał się za poganina. Chciał już czytać Wergiliusza. Jest do głębi wstrząśnięty, bo wie, że odbędzie złą komunię. I może lepiej byłoby dopiero po boskiej inicjacji uczyć się deklinacji *urbs*\*/(miasto) albo *manus*/\* (ręka).?

Ich klasa jest dużym pokojem na parterze; okna jej wychodzą na dziedziniec. Nie zatraciła wyglądu salonu przemienionego w klasę. A to dzięki boazeriom jasnym, choć wybrudzonym, dzięki kominkowi z szarego marmuru w głębi, na którym kładzie się słowniki do użytku uczniów, a mimo pieca umieszczonego przed kominkiem. Dzięki dużemu, sięgającemu ziemi oknu, wychodzącemu na podcienia, dzięki oszklonym drzwiom wiodącym do dawnej oranżerii, gdzie teraz odbywają się lekcje angielskiego i matematyki. Ale posadzki już się nie woskuje. ma ona barwę kurzu; pulpity rozdzielone środkowym przejściem stoją w rzędzie po trzy na lewo i trzy na prawo. Z wyjątkiem ostatniego rzędu, bo tam jest kominek, więc jest ich razem dwadzieścia osiem. Są czarne, chyba że gdzieś odpadł lakier i prześwituje naturalna barwa drzewa. Nad pulpitami zapach atramentu i ogryzanych obsadek od piór. Światła najmniej, jak można... Gdy o tym myślę, wydaje mi się, że poza tymi skąpymi oknami zawsze padał deszcz. Nie wiadomo, jakim sposobem jedno zdanie niemieckie zostało na tablicy ponad katedrą, gdzie wegetuje przedwcześnie wyłysiały korepetytor: „*Der Reisende, der in Breslau umsteigen soli, kann in der Bahnhofsbuchhandlung eine Zeitung kaufen.*” \*/ Podróżny, który ma się przesiąść we Wrocławiu, może kupić gazetę w kiosku z książkami.

Nad kominkiem wisi lustro, którego rama zachowała wszystkie perły dokoła.

Nagle rozlega się kołatka. Błady korepetytor w surducie smutnym jak ten dzień prostuje się, a chłopcy przy pulpitach w pośpiechu układają książki; spada ołówek, pióro łamie się pryskając atramentem. Tłoczą się, podnoszą. Dwudziestu pięciu chłopców, z których każdy jest inny, rozczochranych przy pracy, ze skrzyżowanymi rękami, stojąc, powtarza chórem:

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Pan z Tobą...

Na szczęście dla dzieci, wszystko jest dla nich nowością, nawet znój przeciętności. Bo inaczej jakby to wszystko zniosły? Ta szkoła jest taka sama jak wszystkie inne. Nie jest jedną z tych kaźni, o których tyle czyta się w książkach. Obrzydliwa jak sumienne obieranie ziemniaków. Grzęźnie w fałszywej koncepcji wszystkich rzeczy. Nie mam na myśli religii, która jest etykietą tej instytucji, jej usprawiedliwieniem, coś jak trójkolorowe sztandary przy wejściu do pralni. Po prostu tylko to, co tu uważa się za dobre i piękne, nie odpowiada niczemu w życiu. Stanowi to niemal zasadę tutejszego systemu nauczania. O złem się tutaj nie mówi. Chyba że *znaczy*

to — mówić szeptem po kątach, donosić, odpisywać zadania... Żadnej z tych młodych istot, pilnych i obłudnych, nie posądza się nawet, by miała rodziców, przechadzała się po ulicach, by słuchała idąc wieczorem przez miasto kłótni na przedmieściu, czytała gazety pełne morderstw i miłości; ale, jak mawia pan Legros, który uczy w piątej klasie łaciny: „*Felix*, hm, hm... *Felix qui potuit, potuit rerum cognoscere causas.*/\* \*/ Szczęśliwy... kto mógł... przeniknąć istotę rzeczy.

Joachim Levet-Duguesclin był najlepszym przyjacielem Paskala. Starszy o rok, wziął go pod opiekę. Po kądzieli był potomkiem Konetabla i jego dziadek otrzymał był pozwolenie od Ludwika Filipa, aby dołączyć nazwisko Duguesclin do nazwiska Levet. Był to jeden z najwartościowszych chłopców w szkole, nie tyle pod względem zachowania, ile w nauce. Z nagimi łydkami w zimie i w lecie, w szarej flanelowej bluzie, w spodniach ściągniętych pod kolanem gumą, w czapce zsuniętej do tyłu, wyglądał reżolutnie i wesoło, co sprawiało, że uważano go za ładnego chłopca, chociaż jego rysy, bardzo już męskie i wyraziste, czyniłyby go raczej brzydkim, gdyby nie miał i w sobie jakiegoś uroku.

Levet na wszystko zapatrywał się mniej więcej tak samo jak dziadek Sainteville. Wyszędłszy ze szkoły, włóczyli się trochę po mieście, wiedząc, że nadrobiją to na rowerach, aby rodzina nie zrzędziła. Rozmawiali o literaturze. I o mnóstwie rzeczy nie mających nic wspólnego z niejakim Legros i jego wachlarzowatą brodą. Na tym punkcie byli całkowicie zgodni. Poruszanie pięcioma palcami rozstawionymi pod podbródkiem znaczyło w ich konwencji jednocześnie: „Uwaga, Legros!” albo: „Broda!”, albo jakieś wielkie, nieprawdopodobne głupstwo. Poza tym istniały między Levetem a Mercadierem różnice polityczne.

Nie aby Paskal w jedenastym roku życia miał jakieś przekonania polityczne. Ale nie mógł nie określać się przez opozycję. To, co nie formułując się, uformowało się w jego głowie, gdy słuchał nie kończących się monologów dziadka Paskala, w sposób naturalny zjawiało się na jego ustach w obecności Joachima, który we wszystkim określony był przez swą rodzinę, swego słynnego protoplastę i to uczucie krzywdy, że nie odgrywa większej roli w świecie, mimo że pochodzi od człowieka, dla którego trudziła się cała rzesza kobiet, aby zapłacić za niego okup. W taki to sposób Paskal zaczął się głosić republikaninem.

Widziano ich, jak dyskutowali na ulicy, jadąc na rowerach, w pelerynach, z książkami. Przechodnie podchwytywali jakieś zdanie i ze zdziwieniem oglądali się za nimi. Wtedy chłopcy czerwienili się i głośno zaczęli rozmowę o partii kulek. Levet nie miał sobie równego w tej dziedzinie i stale ogrywał Paskala. Oddawał mu kulki za wiersze. Bo Paskal pisał wiersze. Poematy. Levet ukrywał je zazdrośnie w zeszytach, a właściwie pod okładkami zeszytów, z różnymi cennymi rzeczami, jak artykuły o Panamie i o sprawie Dreyfusa... Sprawa Dreyfusa i Panama — Paskal gubił się w tym. Był bardzo mały, kiedy się to zaczęło; Levet na próżno starał się zamknąć mu usta. A zresztą, gdyby nawet Dreyfus był zdrajcą, nie było to

żadnym argumentem przeciw Republice. Poza tym, czyż Paskal nie wyznał pewnego dnia Levetowi, że jego własny ojciec został oszukany przez Republikę w krachu Panamy?

Wiersze Paskala były przeważnie miłosne. Na przykład pieśń o Leandrze i Hero. Albo list Julii, która usprawiedliwia się, że nie mogła przybyć na spotkanie, bo rodzice jej przyjmowali gości... Pełne to było pocałunków i uścisków, niewinności i lęków, jutrzeńek i róż. Levet, któremu wydawało się, że inaczej zna życie niż jego młodszy kolega, patrzył na niego z podziwem i mówił:

— Skąd ty to wszystko bierzesz?... Słowo daję, powiedziałby kto, żeś sam przez to przeszedł...

Był zakochany w jednej z kuzynek, którą widywał tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Mimo że dni zimowe były krótkie, wydawały się one długie chłopcom czekającym na tę chwilę wspólnej wolności, gdy palili po kryjomu pierwsze papierosy i pokazywali sobie palcem kasjerkę ze sklepu spożywczego Sale, mówiąc: „Fajna kobita, trzeba przyznać...” Nauka, modlitwa, lekcje na pierwszym pięttrze, lekcja w oranżerii, znowu modlitwa... I tak dzień po dniu. Poranna rekreacja była za krótka, aby można się było naprawdę bawić. Tyle, co konieczne, aby mocniej odczuwać przymus milczenia i ślęczenia nad zadaniami matematycznymi lub wypracowaniem z niemieckiego, Paskal nie uczył się greki. To stawiało go w pewnym sensie niżej od Leveta. Najcięższa do przetrzymania była godzina między trzecią a czwartą. Zwłaszcza w zimie, gdy się już ściemniało; w klasach nie zapalano światła i trudno było opędzić się senności. W małych klasach było zawsze za gorąco, a w dużych — za zimno. Na przykład w tej, gdzie odrabiało się lekcje. A przy tym o tej właśnie porze najbardziej wzdychali do rekreacji, tej prawdziwej, o czwartej godzinie, rekreacji trwającej dwadzieścia minut.

Diabli brali, kiedy psuto im jej początek każąc robić gimnastykę, która obowiązywała w całej szkole. Dzwonek jeszcze nie wydzwonił, a już zewsząd wysypywali się malcy, pędzili w dół po schodach, biegli załatwić się w głębi ogrodu, w ubikacji, gdzie urządzano konkursy, kto wyżej; darli się, zaczęli bójki, wyciągali z kieszeni piłki, krzyczeli: „Berek!” Ale pośrodku dziedzińca stał profesor, pan Cornu albo pan Glaise, który udawał, że nie słyszy konceptów, i klaskał w ręce... No, panowie, proszę, pospieszmy się!

Rekreacja nie mogła się zacząć, bo naprzód gimnastyka. Trzeba się było ustawić czwórkami, malcy na przodzie, starsi w tyle. Wtedy właśnie zdajemy sobie sprawę, jak dziwną rzeczą jest szkoła, jaka różnaitość panuje wśród uczniów. Dzieci jeszcze bardziej różnią się między sobą niż dorośli, a dodajcie do tego różnice wzrostu, nawet w zakresie tego samego rocznika, i różnice w ubraniu... Ale nie było czasu przyglądać się. Pan Cornu czy też pan Glaise, z gwizdkiem w zębach, klaskał w ręce, potem gwizdał. Biegło się wtedy dokoła dziedzińca, w szeregach, z łokciami przy

sobie, do rytmu gwizdka. Naprzód wolno, potem coraz prędzej. W zimie, gdy był mróz, powietrze paliło w płucach. Wtedy czuło się, że nadchodzi noc i smutek.

Gdy wreszcie dano im spokój, rzucali się do zabawy z zachłannością skazańca, który wypala ostatniego papierosa. Drobnny żwir umykał spod stóp. Piłki wylatywały w powietrze. Drzewa, cztery drzewa na dziedzińcu, stawały się celem w grach, uświęconymi miejscami szalonych harców, w których młodość brała sobie odwet. O byle co wybuchały bójki. Noc zapadała...

Albo było już lato. Kurz. Ale gdy nadchodzi lato, wakacje są już blisko. W republice Paskala było jednocześnie miejsce dla poetów i dla wszystkich; pod koniec roku widział już tylko góry, zamek z wieżami, z wielką terasą. Już samo to znośniejszym czyniło pana Legros, kołatkę, modlitwy i biegi — raz dwa, raz dwa, dokoła pana Glaise albo pana Cornu.

## XII

— Z pana jednak bardzo dziwny człowiek, panie Mercadier — rzekł Meyer, gdy Paulina trzasnąwszy drzwiami wyszła z salonu; powiedział to po długim, bardzo długim milczeniu, z którego obaj zgodnie uczynili pauzę między tą niemiłą sceną a pierwszymi słowami znów nawiązywanej rozmowy.

Piotr oczywiście miał bardzo za złe Paulinie, że uczyniła nauczyciela matematyki świadkiem zajścia domowego. Co prawda, Meyer był osobistością tak bezbarwną, że na jego zwykłą obecność nie zwracało się więcej uwagi jak na świece stojące na fortepianie.

— A poza tym...

Słowa Meyera nie odnosiły się zresztą do scen rodzinnych, o których przypuszczałnym źródle Piotr od razu zapominał.

Nawiązywały one jakby nigdy nic do zdań poprzednich.

Siedzieli obaj w salonie, pełnym jeszcze urwanych w połowie dźwięków. Kryształowy świecznik wydzwaniały jeszcze Brahmsa.

— Wyjdźmy — rzekł nagle Mercadier. — Przyjemniej będzie w kawiarni. Skoro moja żona jest w takim nastroju...

Smutne i piękne kawiarnie na francuskiej prowincji pod koniec zeszłego wieku! Wahali się między trzema lokalami, które można było brać pod uwagę w śródmieściu. Nie mieli przyzwyczajień, jak ich koledzy. To dziwne, że tutaj, jak zresztą wszędzie, kawiarnie tłoczą się jedna przy drugiej, na tej samej ulicy.

Usiedli na zniszczonych ławeczkach przy marmurowym stoliku, pod lustrami w ramach ze rżniętych gwiazdek. Kawiarnia czerwono-złoto-czarna, z oficerami grającymi w domino, z damską usługą. Jeżeli to tak można nazwać.

Skąd wygrzebano te okazy jak z ołowiu? Istoty szare, ciężkie, bez wieku...

— Dwa absynty — rzekł Piotr zwyczajnym tonem.

Meyer zrobił niewyraźny gest przerażenia i odmowy, ale zaraz poddał się, z góry uznając się za pokonanego. Na gorącej, przepalanej, kratkowanej

łyżeczce cukier wolno topnieje, zmętniała woda przybiera piękną barwę opalu, żółknie...

— Mój drogi panie Meyer, nie wiem, co dostrzega pan we mnie dziwnego...

— Dziwnego... to nie jest właściwe określenie... raczej: szczególnego... Tak: szczególnego... Nasze losy były całkiem odmienne... Nasze środowiska... Atmosfera, w której człowiek się rodzi... Gdy usiłuję wyobrazić sobie, jaki pan był... Prawdę powiedziawszy, nie pojmuję pisarzy: jak oni to potrafią?

Mercadier słuchał i próbował wyobrazić sobie jego, Meyera, jako dziecko, jego rodzinę, obyczaje tych ludzi, ich mieszkanie; młodość Meyera interesowała go tylko dlatego, że właśnie wczoraj myślał o czymś podobnym w związku z Lawem — ślezczał nad rękopisem i dziwił się swemu brakowi wyobraźni... Co prawda, w tej chwili nie o to chodziło...

Bo Mercadier próbował właśnie nie myśleć o Paulinie. Bronił się zaciekle, z goryczą. Nieuważnie słuchał Meyera, który mówił:

— Dochodzimy do dowolnego komplikowania obrazów, jakie wytworzyliśmy sobie o świecie liczb i figur geometrycznych. Tło jest przede wszystkim świat stały. Potem, uwzględnivszy niewiadome, mamy świat z problemami. Wprowadza się tam zmienne, jedną czy więcej, wartości zmienne, parametry... Wtedy pomału wszystko zaczyna się wyslizgiwać, drgać, uciekać we wszystkich kierunkach. Ale człowiek przyzwyczaja się, zaczyna to pojmować... Jeśli chodzi o istoty ludzkie, jest tu zbyt wiele czynników podległych prawom urojonym, krążących po krzywych nie dających się obliczyć...

Ostatecznie, czy nie słuszniej było pomyśleć o Paulinie po prostu, że jest nieznośna i nudna? Tak, bez wątplenia. Ale czy to coś zmieni na lepsze? Bo w tym wszystkim jego życie... Jego rodzina... Trzeba przecież, aby rzeczy miały w końcu jakiś sens. Słyszv, jak Meyer mówi mieszając swój absynt:

— Wiem doskonale, że pan, panie Mercadier, nie ma przyjaciół... że nie zależy panu, aby ich mieć... Nie zostawił ich pan poza sobą, w tych miastach, gdzie pan poprzednio mieszkał... chyba może typy w tym rodzaju co ja... Raczej znajomych niż przyjaciół...

Piotr nie zaprzeczył. To była prawda. Nie miał przyjaciół. Nie myślał o tym, aby ich mieć. Miał ich jednak we wczesnej młodości, w liceum, w szkole. Stracił ich po prostu, bez dramatów... z pewną *ulgą*.

— Niech pan posłucha, panie Meyer, była nas mała grupka. Począwszy od drugiej klasy spotykaliśmy się w niedzielę rano i szliśmy do Lasku... Pan mieszkał w Paryżu, prawda? Albo za miasto, w stronę Javel, gdziekolwiek... Gnaliśmy, jakby się nam spieszyło. W rzeczywistości nie mieliśmy żadnego celu. Ale lubiliśmy ruch. Rozmawialiśmy, szliśmy w coraz to innym porządku. Bywało nas trzech, czterech, pięciu. Nie zawsze ci sami. Grupa liczyła ośmiu młodych ludzi, więc zmienialiśmy się... Czasem hałasowaliśmy, sprzeczaaliśmy się... Twarze były pełne powagi;



jeden był bardzo wysoki, wybujały, inny otyły, ten drobny, tamten w okularach... Cała menażeria... Rozumieliśmy się doskonale... kłóciliśmy się...

— A zatem? Co zniechęciło pana do przyjaźni? Za wiele przyjaźni?

— Nic, nic właściwie. Może jest to uczucie, które nie może przetrwać poza pewien wiek u mężczyzny. Kobiety... Ale nie, gdy o tym myślę, nie to jest powodem...

— Ja — rzekł Meyer — pisuję stale do trzech przyjaciół z tego okresu. Są daleko, każdy jest inny... Nie wiem, czy umielibyśmy jeszcze z sobą mówić. Ale listownie... są to monologi...

— Właściwie, mówiąc szczerze, odbyło się to całkiem inaczej...

Mercadier, który nie słyszał słów Meyera, urwał, odetchnął głęboko i od dołu pogładził brodę.

— Prawdę powiedziawszy — rzekł — nabrałem niechęci do moich przyjaciół, a nawet znienawidziłem ich. Trzeba mi było dużo czasu, zanim wypracowałem sobie moją samotność. Przez ten czas moi przyjaciele nie próżnowali: wytworzyli sobie pewne pojęcie o mnie. Widziałem, jak je wokół sprawdzali, jak mnie z nim porównywali. Czasem spostrzegałem, że postępuję tak właśnie, jak oni przewidzieli... Nie domagano się ode mnie rachunków z tego, ale było to tak, jakby... inni nabierali praw do mojej przeszłości. Nie pozwalali mi myśleć tak czy inaczej o faktach, których, jak uważali, są jedynie niepożądanymi świadkami.

Meyer, nie przyzwyczajony do absyntu, słuchał tych słów poprzez lekką mgiełkę, szczęśliwy, zadowolony. Westchnął, zatarł zgięte palce nieświadomym gestem, po którym poznawało się go z daleka na ulicy... Piotr nalał sobie jeszcze. Meyer odmówił. Jak ładnie wyglądał ten cukier na łyżeczce!

— Miałem przeszłość, miałem oblicze dzięki moim przyjaciołom. Mogli powiedzieć, kim jestem. To, co myślałem, co pozwalałem sobie myśleć, natychmiast porównywali z tym, co już mówiłem dziesięć razy... zeszłego roku... czy kiedyś tam! Ludzie są dziwni. Interpretują twoje postępowanie. Chcą zrozumieć jego logikę. Człowiek jest nagi, wszyscy mogą oglądać jego obnażone ciało... Nazywa się to przyjaźnią. Piękny wynalazek. W ten sposób zacieśnia się przyjaźń, przez słabość. W dniu jest tyle pustych chwil... Przy tym jest się młodym, nierozważnym... A już oszaleć można na myśl, co będą mówili o nas ludzie po naszej śmierci... Przyjaciele... Chcieliby rozkazywać, mieszać się do moich wspomnień, odkłamywać, poprawiać... Dreszcz przebiega po grzbiecie... A póki żyję, przyjaciele są to ludzie, do których nie mogę się zbliżyć nie postarawszy się wpierw uzgodnić samego siebie z pojęciem, jakie oni mają o mnie... i to nie wszyscy jednakowe... Co za komedia! Wobec przyjaciela czuję się, z racji tej przeszłości, którą wlokę za sobą, jak zbrodniarz wiecześnie asystujący przy rekonstruowaniu swojej zbrodni... A przecież oni nic o mnie nie wiedzą... Nie mogą nic wiedzieć... Będę się zmieniał im na złość... Będę popełniał szaleństwa... będę...

— No, dobrze — powiedział Mayer — ale po co się pan tak przejmuję, mój kochany Mercadier, jeżeli nie ma pan przyjaciół?

Był trochę pijany, oczywiście. Piotr uśmiechnął się. Zawołał kelnera. Na ulicy powiedział jak do dziecka, któremu chce się wbić do głowy jakieś elementarne wiadomości:

— Po pierwsze, jestem człowiekiem bardzo pogodnym. Optymistą. W większym stopniu, niż to jest dozwolone. Tego należy się wstydić. Jestem wesołym zuchem i lubią mnie w towarzystwie. Optymista. Dobry humor to piękna rzecz. A przy tym taki stopień optymizmu rzadko się spotyka.

Meyer lekko przeczył ruchem głowy:

— Nie przekona mnie pan... Ale ostatecznie, jeżeli sprawia to panu przyjemność... Mercadier, optymista to jest optymista... i bałwan!

### XIII

Wraz z piękną pogodą wracają wędrowni cyrkowcy. Skąd się biorą, nie wiadomo, ale stąd pociągną do Bar. Wozy zajeżdżają na wielki plac i ustawiają się na bulwarze. Dziwaczne, malowane domy; zaledwie wyprzęgną od nich konie, otaczają się napiętymi sznurkami z suszącą się bielizną akrobatów i poskramiaczy; firanki uchylają się ukazując kwiaty w doniczkach, rozczochrane kobiety, ogorzałych mężczyzn w trykotach i dziwaczne, podstępne dzieci.

Przez wiele dni chłopcy po wyjściu ze szkoły asystują przy montowaniu karuzeli i kramów. Ludność gromadzi się koło pracujących. Już nawiązują się znajomości. Kawiarnie wystawiają stoliki na zewnątrz, dokoła tworzącego się kiermaszu. Odbywają się pierwsze próby orkiestry, z tłumikiem. Wreszcie kiermasz gotowy. Słychać wystrzały na strzelnicach, gdzie jaja tańczą w wodotrysku. Znowu są niebieskie huśtawki, przed którymi błyszczą na balustradzie — nie wiadomo po co — zawieszzone rzędem lustrzane gwiazdy podobne do wianków cebuli. *Jest* nowy, jak prosto z igły, maneż na cześć przyjaźni francusko-rosyjskiej, z białozłotymi amazonkami, Kozaczkami i stojącymi dęba przy wejściu końmi. Levet i Mercadier kręcą się wśród tego wszystkiego w swoich pelerynach, z teczkami. Nie mają pieniędzy, aby wejść i obejrzeć tresowane pchły albo zapłacić za grę w noże; a noże są kuszące, zatknięte ostrzami w dekorację z miedzi i czerwonego pluszu.

Jest buda olbrzymki i karła, z firanką, na której oboje są wymalowani. Jest teatr cieni. Jest teatr obrazów plastycznych, gdzie można zobaczyć *Sąd Parysa i Porwanie Sabine*. Są budy zapaśników, gdzie za darmo ma się paradne widowisko. Jest muzeum osobliwości Dupuytren'a, gdzie na podwyższeniu umieszczone witryny dają przedsmak tego, co czeka na widzów wewnątrz: siostry syjamskie zrosnięte żołądkiem, Śpiąca Królowna, księżniczka hinduska, która ma trzy pary piersi, rachityczny chłopiec o trzech nogach. Wszystko to oczywiście z wosku, ale tak zręcznie zrobione, że wygląda jak prawdziwe. Po bokach wielkie płótna,

dość już wyblakłe, poszarzałe, przedstawiają sceny szpitalne: lekarz przy pracy, w otoczeniu asystentów i pielęgniarek, bada chorego; z drugiej strony w laboratorium uczeni przyglądają się pod światło probówkom, a dokoła nich mnóstwo retort, aparatów destylacyjnych, palników Bunsena... Levet, który wyrzekł się pisania poematów od chwili, gdy Mercadier przeczytał mu swoje, podsuwa mu:

— A gdybyś tak opisał taki kiermasz wierszem? Oczywiście, że nie w aleksandrynach... — Paskal uważa, że to nie miałyby żadnego sensu. Nawet wierszem trzystopowym. Zaczął nowy zeszyt, u góry napisał: „Moce i marzenia.” Pierwszy poemat opiewa rzeki. Potem przyjdzie kolej na oceany, burze, wulkany, gejzery, oczywiście zorze borealne, motyle, burze na morzu, błędne ogniki — czy ja wiem, co jeszcze? — lasy, tęczę, elektryczność ujarzmioną przez człowieka, koleje żelazne, lawiny śnieżne, odwilż, no, po prostu — moce i marzenia!

Pewnego wieczoru poszli na kiermasz całą rodziną. To znaczy tatuś i mama, z Paskalem, ale bez Joanny, bo jeszcze za mała. Za to poszła z nimi babcia. Pani d'Amberieux była podobna do córki; farbowała swoje popielate włosy, ale tylko na przedzie, bo reszty nie widziała, zawsze uważając potrójne lustra za diabelski wynalazek. W roku 1897 miała sześćdziesiąt lat i nic już nie zostało z jej olśniewającej piękności; idąc opierała się na lasce, bo przeszła niedawno zapalenie żył. Ale różniła się od Pauliny nie tylko ciężkim chodem, nosem, który na starość stał się bardziej wydatny, i skórą zwiotczałą na szyi, jak to bywa u kobiet, które odchudzały się w późniejszym wieku; mianowicie, Paulina miała ptasi mózg, a pani d'Amberieux była „tęgą głową” rodziny. Nawet jej brat, Sainteville, to uznawał. Sprzeczali się przez całe życie, mając dość rozbieżne gusta. A jednak ją właśnie dziadek Paskal kochał najwięcej na świecie. Odnajdywał w niej charakter swego rodu, pewien instynkt panowania połączony z bezinteresownością, dumne umiłowanie ubóstwa, które u niej przybrało zabarwienie religijne, a miało źródło w myśli wspólnej wszystkim Sainteville'om — że przy ich nazwisku można nic nie mieć, a jeszcze jest się szanowanym przez pospólstwo. Co prawda, pani d'Amberieux przeżyła dwadzieścia lat w najwspanialszym okresie dworu w Compiègne, a jej mąż opowiedział się za cesarzem. To było stałym tematem sprzeczek między Paskalem de Sainteville a jego siostrą, jeszcze w ostatnich dniach XIX wieku, długo po śmierci pana d'Amberieux.

Tego wieczora chore nogi babki dały się wszystkim we znaki. Babka, ubrana na ciemnozielone, posuwająca się naprzód gwałtownymi ruchami, podobna była do wielkiej żaby. Paskal nie mógł, niestety, biegać od kramu do kramu i od widowiska do widowiska. Pani Mercadier, bardzo rozrzutna, gdy chodziło o nią samą, była wielce wstrzemięźliwa w wydatkach na rzecz rodziny — uszczuplało to jej własny budżet. Rozpoczęła się więc długa dyskusja, gdzie mają pójść. Ojca wszystko bawiło, on obszedłby z dziesięć kramów. A może by zajrzeć do poskramiaczy?

— Przecież to okropność! — zawołała Paulina, — A jeżeli ktoś tam

zostanie zjedzony?

Trzeba zaznaczyć, że befsztyk z poskramiacza nie był za darmo — wstęp kosztował półtora franka.

Pani d'Amberieux jęczała:

— Nie macie litości nad moimi biednymi nogami, moje dzieci, dajcież mi odsapnąć... No, a co byście myśleli o tym przedstawieniu? Nic nie kosztuje, można popatrzeć.

Nie interesowało to Paskala: widział przedstawienie już dzisiaj po południu z Levetem, ale nie mógł się przyznać, bo dostałby policzek od matki, gdyby się dowiedziała, że włóczy się zamiast prosto ze szkoły wracać do domu.

Popatrzyli więc na przedstawienie. Paskal nie śmiał się. Miał idiotyczną minę. Ojciec objaśniał mu dowcipy. Paskal rozumiał je tym lepiej, że przed paru dniami były tematem dyskusji w szkole. Paskal nie cierpiał kalamburów. Na tych, którzy się z nich śmiali, patrzył jak na wariatów. Z tej racji wytlukł nawet jednego typa z klasy szóstej A.

— Calino — wołała pani d'Amberieux — podaj mi rękę, bo zgubicie mnie w tym tłumie!

Tymczasem pani Mercadier kolejno nie pozwoliła mężowi zagrać na loterii, rzucać pierścieni na butelki z winem szampańskim. (Co począłbyś z tym podłym szampanem, gdybyś wygrał? A zresztą, jeżeli już masz taką ochotę pić, mamy szampan w domu!) Z panią d'Amberieux nie można było wejść na karuzelę ani zostawić jej na tych bolących nogach, aby patrzyła, jak ty wirujesz. Ojciec mógłby postrzelać do tarczy, aby pokazać synowi, że można być profesorem i mieć mocne nogi i pewne oko. Ale nic z tego. Pani Mercadier postanowiła, że gdzieś tam mają wstąpić, więc nie ma sensu czynić wydatków, zanim się dowiedzą, ile to będzie kosztować. Przecież gdzieś trzeba wejść; pani d'Amberieux miała wielką ochotę popatrzeć na zapaśników. Piękni mężczyźni! Córka jej była odmiennego zdania. Jest coś zwierzęcego w tych ludziach z gminu, nagich lub prawie nagich. Nie jest to widok odpowiedni dla Paskala. Dość bijał się ze swymi koleżkami. Zły przykład. A w dodatku dwadzieścia su. Było ich czworo. Tyle kosztuje ładny kurczak. Należało jednak na coś się zdecydować... Są przecież teatry, ale nie wiadomo, co tam grają. Zdarzają się przedstawienia, za które można zostać wyklętym, mamó.

— Moja droga Paulinko—rzekła pani d'Amberieux, lekko krzywiąc się z bólu—dość nagle opanowała cię troska o nasze zbawienie. Jestem bardziej religijna od ciebie, a zdaje mi się... zresztą w razie potrzeby poproszę jego ekscelencję o dyspensę dla nas wszystkich.

Jego ekscelencja, daleki kuzyn Sainteville'ów, był biskupem *in partibus infidelium*\*/.\*/ To znaczy, że miał tytularną godność biskupa jednej z diecezji w krajach nie podlegających w sprawach wiary Watykanowi.

Paskal chętnie zaszedłby do muzeum Dupuytrena. Co do tego jednak panowała jednomyślność. Nie ma mowy! Wreszcie pani Mercadier

zdecydowała się nagle na obrazy plastyczne, po piętnaście su od osoby, gdyż mąż zaczął przebąkiwać, że pójdzie do kawiarni.

Pani d'Amberieux mruknęła między sztucznymi zębami, że to właśnie nie jest widowisko stosowne dla dziecka, a tym bardziej dla uczciwej kobiety. Ale mimo wszystko wolała nie mówić tego głośno. Usiądzie... zapalenie żył usposabiało ją pobłażliwie. Prawdę mówiąc bez niechęci patrzyła na oblepionych gipsem jarmarcznych aktorów, których było widać przez cienką zasłonę, przemienionych w starożytne posągi. Szydliła z nich na boku, porównując ich ze swym zięciem. Pani d'Amberieux nie lubiła córki — ani temperamentu, ani pobożności, ani rozumu...

Tu w środku pachniało czosnkiem, a tymczasem *Zuzanna w kąpiel* ustępowała miejsca *Fryne stojącej przed areopagiem*... Widowisko się skończyło; trzeba było wracać. Zapalenie żył babki przybrało charakter nieodpartego argumentu.

Zdarzyło się nazajutrz, że pan Glaise, który uczył francuskiego i łaciny w szóstej klasie, dał swoim uczniom jako temat ćwiczenia stylistycznego: „Co można zobaczyć na kiermaszu?” W szkole, gdzie Paskal był poprzednio, w Orne, zadania francuskie nazywano „redakcjami”; tu określano je jako „style” — w środę oddacie mi wasze „style”; ostatnie „style” nie wypadły zbyt świetnie itd. Z początku wydawało się to Paskalowi dziwaczne, a potem i on mówił „style”, jak wszyscy.

A zatem w najbliższą środę pan Glaise kazał sobie złożyć „style” I w piątek ogłosił wyniki. Ocena obejmowała stopnie od 0 do 10, Paskal dostał 9. Nota wyjątkowa. W klasie zrobiło to wielkie wrażenie, a pan Glaise odczytał na głos ćwiczenie Mercadiera.

— Byłbym ci nawet postawił 10, mój Mercadier — oświadczył pan Glaise — ale jest tam pewien szczegół, pewien szczegół... zresztą nie mam ochoty dyskutować o tym w klasie. Sam zobaczysz adnotację czerwonym atramentem...

A o co chodziło? Powróciwszy do sali, gdzie odrabiało się lekcje, Paskal przeczytał na marginesie napisane wykwinnym pismem pana Glaise: „Tak się nie mówi.” Jak się nie mówi? Ach... w tekście podkreślony był wyraz „embriologia”. Paskal bardzo się dziwił. Dlaczego tak się nie mówi? Oczywiście, że nie jest to słowo potoczne. Ale wypisane jest ogromnymi literami na muzeum Dupuytren: „Chirurgia — Embriologia” — z jednej i drugiej strony. A więc jednak tak się mówi.

Zadanie matematyczne zatarło mu się przed oczyma. Myśli o czymś innym. A gdyby zajrzał do słownika? Słowniki, ułożone w stosy, drzemają na kominku, tuż za plecami Paskala. Embriologia... Dobrze. Teraz trzeba poszukać pod „embrion”. Od embrionu przechodzi do płodu, zarodka, spermatozoidu, spermy, kopulacji. Matematyka leży odłogiem. Levet kątem oka śledzi zza pulpitu manewry Paskala, który odnosi tomy słownika, przynosi nowe...

— Mercadier — mówi korepetytor — proszę skończyć te spacerki! Owszem, ale wpierw spojrzaj jeszcze pod „ciąża” i „penis”.

Ale potem daje temu spokój, bo przecież trzeba odrobić zadanie matematyczne, a także dlatego, że nie ma ochoty kłamać, jeżeli spytają go, czego szukał tak pilnie w słownikach. Oczywiście, jak będzie miał czas, zrozumie wreszcie wszystko... Ktoś znający te sprawy mógłby w paru słowach uporządkować te kłócące się z sobą pojęcia. Płód jest wynikiem kopulacji... Paskal czuje, że nabiera wielkiej ważności. Tę nową wiedzę, która przyszła do niego, zawdzięcza zacnemu panu Glaise, czerwonemu atramentowi zacnego pana Glaise...

Levet szepcze w swoją pokrywę;

— Psst, Mercadier!

Paskal robi pytającą minę. Dostaje w sam nos papierową bulkę. Ach, ten Levet, czy nie mógłby być trochę ostrożniejszy? Co on sobie myśli? Marny *foetus* (płód) Dugesclina! „Czego szukałeś w słownikach?” — napisane jest na skrawku zmiętego papieru. Paskal potrząsa głową. Potem przychodzi mu coś na myśl. Pod pytaniem pisze odpowiedź: „Powiem ci, gdy wyjdziemy.” Kuleczka pada między kolana Leveta. Co za niezdara! No dobrze — złapał ją na ziemi, udając, że podnosi chusteczkę.

Wychodzą ze szkoły i idą ramię w ramię. Paskal ma na głowie beret, Levet czapkę uczniowską, obaj są w pelerynach, pod którymi wsparta o biodro teczka tworzy dziwaczną narośl. Mówią o tym i o owym. Paskal nie poruszy sam tematu, który interesuje ich obu. Niech zaczyna Levet. Wreszcie tamten decyduje się.

— No, więc czego szukałeś w słowniku?

Minęli właśnie sklep spożywczy. Paskal jak zwykle rzekł: „Fajna kobita”, w kierunku kasjerki, ale bez przekonania. Szli jezdnią, tuż przy chodniku, prowadząc rowery. Zgodnie, nic nie mówiąc, nałożyli drogi, przechodząc ulicą R., żeby obejść bulwar i kiermasz... Była to uliczka małych, skromnych domków o wąskich bramkach; przez okna widać było ludzi. Gdy rozmowa przybrała właściwy kierunek, zatrzymali się przy kracie Domu Zdrowia, który wychodził na ogród.

Paskal, mówiąc o tych sprawach, wybrał *ton* obojętny. Nie chciał, aby wyglądało, że odkrył je dopiero teraz, w sali szkolnej, pod okiem Leveta. Naturalnie, że już poprzednio miał o tym wyobrażenie, dość niejasne... nie interesował się nigdy...

Levet chciał dokładnie ocenić, co wie Mercadier.

— Ale czy ostatecznie — zapytał — masz jasne pojęcie, jak się to naprawdę odbywa?

— No tak — Paskal zaczął improwizować, przypomniał sobie, że o jakiejś kobiecie mówiono, że nosiła dziecko w łonie... — Po kopulacji kobieta jest ciężarna... nosi w sobie embriona, to znaczy foetus, w swoim łonie... Uderzył się w pierś, rower omal się nie przewrócił.

— No dobrze. A potem?

— Potem... Potem... Dziecko po prostu wychodzi...

— Którędy?

— Rzecz jasna, że przez ten fałd w skórze.

— Przez fałd?

Paskal widział, jak pani d'Amberieux rozbierała się.

Spostrzegł między jej piersiami, ponad brzuchem, poziomy fałd. Stąd był już tylko krok, aby błyskawicznie wykombinować, że tamtędy właśnie wychodzi dziecko.

— Nie rozumiesz tego — rzekł z naukową powagą Levet. — Jakże więc? Którędy?

Paskal nie chciałby wywoływać dyskusji, niewiele o tym wie, ale ponieważ Levet... ale jeżeli Levet...

Levet zrobił ważną minę. Prztyknął o daszek swojej czapki i dawał się prosić. Jest o rok starszy od Mercadiera, to nakłada na niego odpowiedzialność. Nie wie, czy mu wolno.

— Słuchaj — powiada Paskal — nie jesteś swój chłop... i jeżeli wolisz, abym czytał złe książki...

Tak, to był argument. Levet powziął decyzję.

— Tylko widzisz, to, co wiem, powiedział mi ktoś w zeszłym roku... Ktoś bardzo doświadczony...

— A kto?

— Obiecałem, że nie zdradzę... Ktoś, kto grubo ryzykował udzielając mi tych wyjaśnień... To zresztą nie ma znaczenia... Ale gdyby się wykryło... Rozumiesz, ty i ja jesteśmy ludzie rozsądni... Ale w szkole... Inni... Pomyśl tylko, dowiedzą się, że to taka łatwa sprawa, i wszyscy tak zaczną. Co by z tego wynikło...

Paskal kpił sobie z konsekwencji. Chciał wiedzieć.

— No mów, mów nareszcie...

— Dobrze, powiem ci wszystko! Ale musisz mi uroczyście przysiąc, że nie powtórzysz tego nikomu, nigdy!

— Uroczyście przysięgam.

— Dobrze. Wierzę ci. A więc...

Rzucił wokoło spojrzenie... przyciszył głos. Ulica była prawie pusta. Młoda kobieta szła chodnikiem w ich stronę. Była jeszcze dosyć daleko.

Pogoda była śliczna, powietrze łagodne; słońce wchodziło na ulicę poprzez drzewa przy Domu Zdrowia. Z dalekiej budowy dobiegał odgłos młota uderzającego w kamień.

— To bardzo proste. Bardzo łatwe — rzekł Levet. — Każdy to potrafi. Wkładasz twój interes do siusiania w otwór między nogami. Widzisz, jakie to proste i łatwe. Każdy potrafi!

— Jesteś tego pewny?

— Przecież ci mówię. Tak właśnie robi się dzieci. Potem kobiety noszą je w brzuchu, a nie w łonie, jak ty myślałeś.

— A jednak ludzie mówią...

— Ludzie mówią dużo głupstw. Pewnie dlatego, żebyśmy się nie połapali.

— A którądy dziecko się wydostaje?

— Tamtędy, którądy je włożono. Przez otwór między nogami. Po prostu...

Coś się w tym wszystkim Paskalowi nie zgadza. Ale przede wszystkim czuje niesmak. Umysł jego pracuje; nie zdaje sobie sprawy, że mówi głośniej.

— Ach, więc to trzeba zrobić, aby mieć dzieci? Ależ to obrzydliwe.

Kobieta przechodząca obok nich odwróciła się gwałtownie, ze zdziwieniem spojrziała na dwóch chłopaków w pelerynach, z teczkami, prowadzących rowery. Poszła dalej. Levet lekko się zarumienił.

W domu Paskal spogląda na swoich z pewnym obrzydzeniem. Nie słyszy prawie, o czym rozmawiają przy stole. Pani d'Amberieux sprzecza się z zięciem o kapitana Dreyfusa. Dziwna *rzecz*, ale ten temat wytrąca papę z jego zwyczajnej rezerwy.

— Przede wszystkim — powiada Paulina — ten twój kapitan został zdegradowany, a więc przestał być kapitanem...

— Kapitan czy nie kapitan, sprawa zostanie wznowiona, mogę mamę o tym zapewnić.

— Trudno mi pojąć, mój zięciu, to historyczne zainteresowanie, z jakim odnosisz się do tego Żyda, do tego zdrajcy...

— Owszem, jest Żydem. Zdrajcą nazywa go mama... A przy tym, a przy tym nie życzę sobie, aby mi mówiono, że jestem histerykiem...

Broda profesora faluje.

— No, mój drogi — wtrąciła się Paulina — nie masz chyba zamiaru obrażać mamy?

— Ale to przecież mama... Ja nigdy nie zaczynam rozmów o polityce!

— Daj spokój, dajże spokój, Paulino! Trudno, aby wszyscy na świecie mieli dobre maniery... Paskal myśli tylko o jednym: aby wstać od stołu.

— Jak to, Paskalu, dokądże idziesz? A deser? Gdy wreszcie udaje mu się wymknąć, biegnie do swego pokoju, wskakuje na krzesło stojące przed kominkiem, spuszcza spodnie, zadziera koszulę, ile się da, i wypatruje otworu między nogami. Nic takiego nie ma. Jest zakłopotany. To widocznie wada organiczna, jak mówi encyklopedia.

xiv

— Słucham pana — mówi Meyer, z żalem opuszczając wieko fortepianu. Nie udało mu się uniknąć tej lektury. Mercadier trzy razy powracał do swego... Chciał tylko wypróbować na nauczycielu matematyki przedmowę do swojej pracy o Johnie Law, przedmowę śmiałą, o którą był dość niespokojny. Piotr usadowił się więc pod lampą, odchrząknął, przyjrzał się swoim paznokciom, jakby interesowały go znacznie bardziej niż rękopis, a potem zaczął czytać monotonnym, oschłym głosem, jakiego Meyer jeszcze u niego nie słyszał:

„Gdyby nawet nie istniały inne przyczyny pisania biografii sławnych ludzi, wystarczającym uzasadnieniem ich jest ten chociażby wzgląd, że przynoszą one czytelnikowi wielkie rozczarowanie. Najbogatsze biografie, gdy się je już zawrze w czcionkach drukarskich, gdy się je w nich zamknie, wydają się, w najlepszym razie, tak zasadniczo ograniczone, że ich morałem jest



nieuchronnie gorycz, którą, niestety, przenosi się na życie w ogóle. Aleksander Wielki czy Newton pozwalają nam lepiej niż ogół zwykłych śmiertelników zrozumieć błahość naszego losu; *Sic transit gloria mundi* — (\* / Tak przemija sława świata.) które tak wzbogaciło kościoły, nigdy nie wyraża lepiej swojej upokarzającej prawdy niż wtedy, gdy stanowi zakończenie opowieści o wspaniałej i pełnej egzystencji, którą uważano za godną naśladowania.

Zapewne czytelnicy będą zdania, że odpowiedzialność za to ponosi biograf, a nie opisywany wielki człowiek. Plutarch, Commines, Saint-Simon i Las Cases jednakże upoważniają nas do innych wniosków. Jakkolwiek skomplikowane byłyby losy człowieka, czy był królem greckim, florenckim awanturnikiem lub podróżnikiem francuskim, dają one w rezultacie parę stron, parę suchych rozdziałów, trochę skąpych zdań. Najgrubsza księga świata sprowadza żywot ludzki (choćby najbogatszy i najdłuższy) do niespełna dwudziestu czterech godzin lektury, jeśli założymy, że przeciętny czytelnik czyta dwadzieścia stron na godzinę. Cóż za ubóstwo!

Można by z tego, jeżeli ktoś ma ochotę, wyciągnąć wniosek, że dzieła człowieka niezdolne są zawrzeć w sobie jego życia. Za rozsądniejsze jednak uważałbym zdanie, że biografie wiernie odtwarzają żywoty ludzkie i ukazują urojony obraz, jaki sobie w tej dziedzinie tworzymy. Tak więc pierwszym dobrodziejstwem biografij jest to, że rzucają one na los człowieka okrutne światło, ukazując jego błahość i nieużyteczność.

Żadna myśl nie jest dla nas straszniejsza i trudniejsza do przyjęcia. Chyba myśl o śmierci takiej, jaką ona jest, to znaczy śmierci bez życia poza nią, bez targów z nicością, z prochem. Nasza (niedojrzałość odrzuca jedną i drugą, wbrew wszelkiemu świadectwu nauki. A jednocześnie chcemy umrzeć, i to zupełnie, o ile w ogóle żyliśmy. Przeczytajcie wszystkie autobiografie, jakie pozostawili po sobie najwięksi ludzie, a zobaczycie, że trzeba zrezygnować i z tej jeszcze pociechy.

Powtarzam, że to właśnie usprawiedliwia istnienie zarówno biografij, jak i biografów. Biografie spełniają wobec umysłowości ludzkiej rolę wprost odwrotną do tej, jaką odgrywają powieści; i każdy, kto pójdzie torem mego rozumowania, przyzna, że istnienie biografii stanowi jakby formalny wyrok śmierci na wszelką powieść. Uspokoję jednak powieściopisarzy, że nie grozi im utrata zarobków, gdyż powieść, bezużyteczna z każdego innego punktu widzenia, zachowuje jednak przydatność taką, jaką ma kłamstwo w życiu. A jest to wielka przydatność.

Historyk-biograf, który zdaje sobie sprawę z destrukcyjnej siły historii, a więc i każdej biografii, staje się tym samym jakby moralistą w duchu paskalowskim. Wielkość swą czerpie z ilości rozpaczy, którą gromadzi i określa. Można go równie dobrze uważać za wroga ludzkości, jak za jej najwierniejszego rzecznika. Zależnie od władzy, jaką talent daje mu nad tymi, którzy go czytają, będziemy mieli równie dobre racje, aby go spalić, jak stawiać mu pomniki.

Wątpię, aby te rozważania zjednały mi uznanie moich kolegów-historyków, którzy na ogół uważają się za zainteresowanych w tym, aby utwierdzić poprzez siebie samych i swoje dzieła zupełnie odmienną opinię. Jest mi ogromnie przykro, ale zapewne tak samo zirytowani byliby niegdyś alchemicy, gdyby jeden z nich nagle był im wyznaczył tę rolę i funkcję, jaką dziś bez zdziwienia przyjmują ich spadkobiercy chemicy. Historia nie wzniesie się nigdy na wyżyny wiedzy, a historycy nie spełnią swej prawdziwej misji, jeżeli i ona, i oni nie wyrzekną się bezpowrotnie poszukiwań swoistego kamienia filozoficznego, co czyni z nich zapóźnionych magów, szarlatanów losu ludzkiego.

Zapewne zdziwienie obudzi nieroztropność, z jaką autor umieszcza na czele swego dzieła rozważania, które mogłyby zniechęcić do niego czytelników, a przede wszystkim ściągnąć nań oburzenie wszystkich jego kolegów po fachu, polityków, kapłanów przeróżnych panujących religii, pisarzy wszelkiego autoramentu, dusz wrażliwych i w ogóle ludzi z poczuciem obowiązku.

Należy się w tym dopatrywać raczej skromności autora; czuje się on bowiem całkiem bezpieczny pod osłoną swojej mało znaczącej książki; ma nadzieję spokojnie dokonać żywota, nie zawarłszy znajomości z osobami najbardziej urażonymi tym, co wyżej powiedziano, i nie lęka się koalicji nielicznych czytelników, jakich znajdzie jego dzieło.

Można by mi jeszcze zarzucić, że ten, kto zawiera okładce, kontrtytułowi i tytułowi, zapowiadającym poważne studium o życiu, charakterze i koncepcjach Johna Law, finansisty, ma prawo zdziwić się, że autor takie właśnie studium zaczął od powyższych rozważań. Nie odmawiam takiego prawa czytelnikowi. Ale wtedy będzie on się musiał dziwić również wielu innym rzeczom, które wydają się naturalne; gdyż dowolność wyboru bohatera nie uderza nikogo od chwili, gdy nazwisko jego znajdzie się wydrukowane dużymi czcionkami na okładce, jakkolwiek można by słusznie żądać ode mnie podania motywów takiego właśnie wyboru, co zapewne nie przyszłoby mi z łatwością.

Gdybym powiedział, że nie postanowiłem sobie pewnego dnia przestudiować i napisać biografii Johna Law, jak to najczęściej czynią kandydaci do egzaminu nauczycielskiego lub doktorskiego, prosząc nawet niekiedy profesora, aby sam wybrał im temat, na którym mogliby wykazać swe wiadomości, gdybym to powiedział, powiedziałbym prawdę, ale nie wyjaśniłoby to wcale tej kwestii. Ponieważ prawdą jest, że zanim napisałem tę książkę, atakowałem Lawa wielokrotnie, w dla siebie tylko prowadzonych notatkach, potem w artykule, który ukazał się w druku, a wreszcie w zapiskach gromadzonych przez całe lata, w zależności od rozważań płynących raczej z refleksji o roli papierowego pieniądza, za który ów finansista ponosi odpowiedzialność, niż z zainteresowania kolejami jego żywota. I że w istocie do tego systematycznego dzieła doprowadził mnie w ciągu lat nie tyle jakiś przyjęty przeze mnie system, ile łańcuch przypadków, myśli porzucanych i znowu snutych w marzeniu,

ułankowych i wątpliwych koncepcji, w których pociągało mnie to właśnie, co w nich było wątpliwe, niepewne i mało prawdopodobne.

Nie wstydzę się wcale wyznać tej powolnej i nieprawidłowej krystalizacji dzieła, które mieści się na płaszczyźnie wiedzy, a życie swoje zawdzięcza działaniu fantazji. Wiele razy zamierzałem je porzucić i w chwili gdy piszę tę przedmowę — raczej, aby utwierdzić siebie niż innych w przekonaniu, że istnieją głębokie racje, dla których nie powinienem porzucać tego niewdzięcznego przedsięwzięcia — i w tej chwili nie wiem jeszcze, czy doprowadzę je do końca. Z natury jego wynika, że nigdy nie będzie ukończone, i tam, gdzie inni widzieć będą klęskę, należałoby dopatrywać się tylko potwierdzenia zasad, z których niniejsze dzieło wyrosło. Może jednak owocem tego wszystkiego będzie niewielki tom, jeden z tych, jakie, nie przecięte, wpadają do śmietników na bulwarach i jakie w młodości ja sam przerzucałem z niezdrową ciekawością, przekonany zresztą, że nie znajdę tam nic z tego, co by mi mogło być w jakikolwiek sposób użyteczne.

Taki efekt moich prac i zainteresowań mógłby prowadzić do czegoś wręcz przeciwnego — do ich wyrzeczenia się. I jeżeli mógłbym odnieść się do idealnego świadka, w którego istnienie zresztą nie wierzę, wynik ten miałby ten sam demonstracyjny charakter w zasadniczym punkcie, przy którym się upieram, a mianowicie, że życie człowieka nie ma żadnego celu, tak jak nie ma celu jego ziemski działalność, i że jedynym sensem życia jest chaos, ta skomplikowana wypadkowa sił materialnych, którą ludzie, aby się uspokoić, nazywają przez antyfrazę porządkiem naturalnym, nie dostrzegając, że w tym zestawieniu rzeczownikowi przeczy towarzyszący mu przymiotnik; gdyż wprowadzać porządek znaczy gwałcić naturę; inaczej mówiąc — i jeśli identyfikuje się porządek i naturę — porządek ludzki jest właściwie nieporządkiem.

Zamiarem moim było jedynie przedstawić żywot genialnego twórcy nieporządku, Johna Law, który wymyślił pieniądze papierowe, co w hierarchii zbrodni i szaleństw jest faktem nieskończenie donioślejszym niż spalenie Biblioteki Aleksandryjskiej."

Milczenie zapadło w żółto-czarnym salonie. Meyer czynił rzetelne wysiłki, aby sumiennie nadażać za myślą Mercadiera. Nie udało mu się to. Smugi roztargnienia rzuciły na lekturę swoje połyskliwe cienie. Utworzyły się luki w tym, co usłyszał. Prawdę rzekłszy, wysłuchał dość, aby wytworzyć sobie ogólne pojęcie o tym, co mu przeczytano. Ale będąc z natury bardzo skrupulatny, wstydził się swojej nieuwagi. Chciał sformułować sobie o tym jakiś sąd, ale nie umiałby go uzasadnić. Więc milczał.

— No i co — zapytał Mercadier — co pan o tym myśli?

— Nie wiem — odrzekł. — Wydaje mi się to bardzo pesymistyczne... Czy jest pan pewny, że życie nasze nie ma żadnego sensu i że nasz pobyt na ziemi nie jest miarą niczego?

Drobna zmarszczka ukazała się na twarzy Piotra, koło ust.

— No, mój drogi — powiedział — niech mi pan zagra tę rapsodię; to pan

przynajmniej rozumie.

xv

Paskal nie mógł nigdy pojąć, jakim sposobem jego dziadek, posiadając zamek, folwarki, pola, może być biedny. Odczuł to gwałtownie tego roku, gdy zastał w Sainteville lokatorów na lato, lyończyków, którym dziadek wynajął pierwsze piętro i salony na dole, cały luksus zamku, pokoje, gdzie królowało wspomnienie Anny Marii de Sainteville, alpinistki z okresu Restauracji. Była to jakaś profanacja; wszystkie sale tonęły w świetle, okiennice otwarte, wewnątrz ludzie. Oczywiście meble zostały zamknięte na klucz, albumy z czerwonego pluszu, zawierające pamiątki z lodowego rajdu ciotecznej babki, schowano bezpiecznie w ciasnym mieszkaniu w wieży, ale bądź co bądź Sainteville zamieniło się w hotel. Dziadek nie zachowywał zbyt dumnej miny nawet wobec wnuka. Wymruczał coś w tym sensie, że to dość osobliwe, mimo wszystko, zrobić z siebie oberżystę i wyciskać pieniądze z tej starej rudery.

— A może masz ochotę na kąpiel?

Tym razem propozycja ma za źródło nie tylko anglomanię pana de Sainteville. Kąpiel istotnie przydałaby się po nocy spędzonej w pociągu i po trzech godzinach jazdy powozem od stacji, zwłaszcza że koń włókł się powoli, ciągle pod górę, w kurzu i słońcu; propozycja dziadka jest zapewne wynikiem skojarzenia myśli. Ci ludzie z Lyonu, mimo że łazienka nie leży na przyznanym im terenie, nieustannie proszą o pozwolenie korzystania z niej. Ponieważ łazienka przytyka do pokoju pana de Sainteville, coraz to zmuszony jest wynosić się; nie ma już swego kąta.

Właśnie słychać czkawkę pompy na dole.

— Ach tak! — powiada pan de Sainteville. — Lokatorzy będą się kąpać... Wobec tego lepiej to odłożyć na później, mój chłopcze. — Zaciska lekko wargi i w roztargnieniu klepie po policzku Joannę, która ocieka potem w swoim płaszczyku w zielono-popielatą szkocką kratę, z pomarańczowym paskiem.

Dramat zrodził się z podziału kuchni między służbę lokatorów i starą kucharkę Sainteville'ów, Martę. Tam nie było udawania, rana krwawiła. Pod sklepieniem dawnej sali straży przybocznej, w suterrenach, z wyjściem na poziomie zamkowej fosy, klęska przybrała postać udręczonej chłopki, która przeklinała nowe czasy, chowała sól przed intruzami i bała się zostawić na wierzchu mąkę.

Paskal wiedział wprawdzie, że corocznie mała suma, jaką jego rodzice wpłacali dziadkowi za ich pobyt, Joanny i jego, była pomocą dla starego szlachcica. Ale nigdy nie dostrzegł związku między tym, co mówiono przy stole w domu, a widocznym skąpstwem dziadka. Związku ubóstwa. Sainteville zastało dla niego odarte z uroku. Wesołe będą wakacje z tymi ludźmi na karku! Zwłaszcza że wszędzie ich pełno. W sobotę przyjeżdżał z Lyonu mąż, czasem z gośćmi. W tygodniu zostawała pani, jej córka i

jeszcze jedna dziewczynka, jej przyjaciółka, i oczywiście czeladź, jak mówiła Marta. Dwoje służby, proszę państwa! Kucharka i pokojówka pani. Nawiasem mówiąc, ta pokojówka prezentowała się wcale nieźle. Poza tym ludzie ci panoszyli się i nie żalowali sobie niczego. Ani za grosz taktu! Zamiast starać się, aby o nich zapomniano, aby wybaczone im ten najazd, wynosili szezlongi, wyciągali się na nich przed samym domem albo na terasie. Spotykało się ich na każdym kroku.

Paskal natychmiast przyrzekł sobie, że będzie unikać „tych ludzi”. Wystarczyło zresztą wymknąć się z pokoju wąskimi schodami i przez sutereneę. Z fosy zbiegało się do parku, ku łące, gdzie ginął mały strumyk. Tam można było spotkać tylko Gustawa z krowami. Dzień dobry, Paskal! Dzień dobry, mały! Dziwny ten Gustaw, nie zajrzał do zamku, mimo że wiedział o przyjeździe małych Mercadier. A przecież jest tu Joanna, jego bóstwo. Ach, tak? Gustaw nawet nie pyta, co u niej słychać. Minę ma obłudną, skrytą, mówi przez zaciśnięte wargi, plując trochę, bo wypadły mu dwa mleczone zęby, które znacznie dłużej przetrwały w jego ustach, niż się to zwykle zdarza. Śmieje się i bajdurzy. Co to ma znaczyć? Czy w siódmym roku życia zrozumiał już ubóstwo pana de Sainteville i dlatego tak traktuje jego wnuka?

Ale łąka jest śliczna, niebo błękitne, głębokie, upał nie dokucza dzięki powiewom z gór. Paskal już jest pod drzewami i w zapamiętaniu zjeżdża na spodniach z wierzchołka po zboczu, które biegnie ku drodze. Oto Buloz! jaszczurki przemykają między stopami. Lato pełne zapachów; tam w górze las, maliny. Zapomina o lyończykach, biegnie przez łąki. Stawy jeszcze opadły od zeszłego roku, wyschnięty muł u brzegu popękał. W przejściu zrywa się agrest. Właściwie Paskal nie lubi agrestu. Za dużo w nim pestek, więc wypluwa je. Nie cierpi łykać pestek. I skórka taka gruba. Agrest podobny jest do małych prążkowanych piłek. Jeżeli chodzi o smak, nic nadzwyczajnego, sam nie wiem, do czego to podobne. Bywają ludzie, którzy tak właśnie pachną... Ale taki już zwyczaj, aby w biegu pogryzać agrest. Szum pola, rojącego się od owadów, jest ogłuszający; Paskal zapomniał już o tym szumie polnym. Teraz upaja się nim.

Uspisko. Inni chłopcy, to znaczy Ramibert, Józef i reszta, powinni już od rana być na malinach. Czy wdrapać się tam i krzyknąć? Albo przejść przez polanę i zobaczyć, czy w pniu drzewnym nie ona jakiej wiadomości? Ale oni nie wiedzą jeszcze o przyjeździe Paskala. To dziwne, ale w gruncie rzeczy Paskal nie ma ochoty zobaczyć się z chłopcami. Dotknął rozpalonych kamieni usypiska, a potem zawrócił ku stawom. Co mu jest? Chce mu się płakać. Po prostu dusi go! Wspomniał małe pole otoczone żywopłotem, pole lucerny, gdzie będzie się mógł ukryć. Pobiegł tam co sił, rzucił się w trawę i zapłakał. Ale co to właściwie ma znaczyć? Usiadł na ziemi i spojrzał na świat zdziwionymi oczyma. Było pięknie, cudownie. Białe motyle, brzęczące muchy. Żywopłot z berberysu otacza pole. Lucerna krwawiła się już w pierwszych kwiatach. Rosły tam cztery małe drzewka owocowe, mniej więcej regularnie rozmieszczone na poletku.

Przypominało to cztery drzewa na dziedzińcu szkoły Saint-Elme. Akurat na tyle, aby się roześmiać. Niebieskie niebo. Słodycz bezgraniczna. Paskal opuścił wzrok na ziemię. Poniewierały się tam drobne źdźbła, ułamki suchej trawy, jak szpilki we włosach wsi. Ziemia miała w sobie coś różowego i niezwykle ciekawego, można się jej było bez końca przyglądać w bruździe obiegającej pole albo między lucerną, rozgarniając łądygi. Dziwna ta ziemia! Nie jest jednolita, ma brodawki, zmarszczki, najrozmaitsze niniejsze i większe nierówności. Tu niespodzianie coś ciemniej, tam się zapada. Albo pokrywa się drobnym, drobniutkim pyłem, po którym spacerują owady, równie suche jak on, niemal jednej z nim barwy albo też bardziej brunatne, czarniejsze — co za ruch!

Dlaczego się rozpląkał? Nie było mu smutno. Ci z Lyonu? „Ci ludzie!” Gdzie tam! Nie, ale gdy się przez cały rok oczekiwało tego rajy utraconego, myślało tylko o powrocie, teraz, sam nie wiem, nagle wszystko wydaje się jakieś zbyt dziwne. Nie spodziewał się przecież, że krajobraz rzuci się mu na szyję! A przy tym góry wydają się niższe. Wyrosło się przez ten rok. Boi się, że gdyby znowu wydrapał się na szczyt, rozczaruje go kraina, która rozciąga się poza wszystkim. A jeżeli i ona okaże się mniej głęboka, mniej straszna, mniej fantastyczna? Zdawało się Paskalowi, że mocniej teraz odczuwa *rzeczy* drobne, zapachy pól, urok wycinka drogi, barwę wody przy źródle. Ale ogromna, ukochana dotąd dekoracja jakby się zużyła, wypełzła. Pola. A dalej znowu pola. Nic, tylko pola.

Co zaszło od tego czasu? Pierwsza komunია? Szkoła? Łacina? Poematy? Wszystko to nie stanowi żadnego wyjaśnienia. Niedługo skończę dwanaście lat, a tak beczałem! Dwanaście lat... Może tu trzeba by szukać odpowiedzi. Dwanaście lat! A jeżeli jestem za dojrzały na swój wiek? To jest widoczne. Oczywiście. Wszystko się wyjaśnia; trzeba mi kobiety! Już! A zatem, moi drodzy...

Paskal wie już teraz, że będzie mógł bez obawy pójść w góry. Nie spotka go rozczarowanie. Bo cokolwiek zrobi, każdy krok, każdy leśny bieg ku chmurom będzie jakby wielkim poszukiwaniem tej, na którą czeka. Wszystko odzyskuje sens pod działaniem tej nowej myśli. Kraina, która jest poza całą tą resztą, jest nieznaną krainą kobiety, jest kobietą. Nie boi się już, że lotne mgły nad stromymi urwiskami dolin, które opadają ku Ruffieu, wydadzą mu się zwykłą parą. Czy nie są one jak rozwiązany pas wróżki? Las, bagna, wszystko odzyska swoją tajemnicę. Czyż na każdym drzewie nie można wyryć jakiegoś imienia? Paskal namacał nóż w kieszeni. Piękny scyzoryk o siedmiu ostrzach, podarunek od Leveta. Levet jest nad morzem. W Parame.

Paskal wraca do zamku z ogromnym pękiem kwiatów. Wybrał je ze starannością, której może nie widać na pierwszy rzut oka. Na przykład skabioza... Wygląda jak wszystkie inne skabiozy... A tymczasem są to okazy szczególnie silne, o prostej, mocnej łodydze... Jaskry... Wielki bukiet lila, żółty i biały, o długich łodygach, otoczony liśćmi... Bukiet bijącego serca... Koło małego źródła, płynącego wśród łupków, Paskal przystanął,

ukląkł i napił się. Woda śmierci. Powoli zmienia ci serce w lód. Zwilżył nią twarz i włosy, usiłując je przygładzić! Parę kropel stoczyło się za koszulę, po całym ciele. Ach, ci z Lyonu! A przy tym nie ma komu ofiarować bukietu. Położył go u stóp drzewa. To jesion. Coś przyszło mu na myśl.

Wyjął nóż, podszedł do pnia. Ostrzem starannie wyciął w korze litery... Dla C i e b i e... Tak, po prostu tak. Ostatnie spojrzenie na bukiet, złożył nóż i poszedł ku terasie jak inny, nowy człowiek.

## XVI

Gdy dochodził do terasy, koło wielkich oleandrów zobaczył dwie dziewczynki z Lyonu. Przysiągł był sobie, że z tymi ludźmi nie będzie miał nic wspólnego. Ale nie spodziewał się, że spotka „prawdziwe dziewczęta”, jak pomyślał na ich widok. Mogły mieć po dwanaście lub trzynaście lat, były niewątpliwie starsze od niego.

O ile mógł się zorientować, odsunęły się, gdy nadszedł, i teraz szeptały coś patrząc na niego; jedna z nich, bardzo jasna blondynka o bladych włosach puszczonej na plecy i związanych niebieską wstążką na boku, w białej sukience w niebieskie kropki i w skarpetkach, była młodsza, choć miała dłuższą sukienkę. Ale uwagę jego pochłonęła przede wszystkim druga dziewczynka. Miała jasno-kasztanowate włosy, bardzo puszyste, i czerwoną wstążkę z boku, bluzkę w zielono-czerwoną kratę z przewagą zieleni, na nogach, widocznych spod spódniczki powyżej kolan, czarne niciane pończochy. Twarz bardzo blada, dziwacznie poznaczona przez słońce, wielkie oczy, wyraz marzący. Co też ta druga, z rozczochranymi włosami, robiąca głupie miny, szeptała tamtej do ucha? Drobne usta rozchyliły się do śmiechu. Paskal zaczerwienił się i wpadł na kogoś, kto przytrzymał go za ramię.

— Ach — rozległ się kobiecy głos dość wysoki, ale nie ostry — założę się, że to jest ten wnuczek!... Pokaż no swój pyszczek! Ależ jesteśmy wcale ładnym chłopcem!

Osoba, która to mówiła, siedziała w wielkim plecionym fotelu, lakierowanym na zielono, i jedną nogę miała wyciągniętą na ogrodowym krzeselku, tak że spod długiej białej perkalowej spódnicy widać było stopę i trochę łydki nad wysokimi, czarno-białymi trzewikami z koźłej skóry, o dziwacznie skrzyżowanych sznurowadłach. Była to kobieta lat około trzydziestu czterech, nonszalancka w sposób wystudiowany, prawie bezczelna, tak że Paskal był niemal jednako zaskoczony wielkimi zielonymi oczyma, z którymi kontrastowały włosy jakiegoś dziwnego koloru, hebanowe, ale o jasnych błyskach, trochę przypalone, spiętrzone nad czołem, ale odsłaniające kark i przykryte białym słomkowym kapeluszem — niemal jednako zaskoczony był oczyma z drwiącej toni jak i bluzką tej pani; jej czarną bluzką z długim stanem, uszytą z matowego jedwabiu, o rękawach modnego kroju, jakich Paskal nigdy jeszcze nie widział — olbrzymie, wydęte u ramion bufy wyglądały jakby nie wykończone.

Pani trzymała w drugiej ręce otwartą książkę, a koło niej zsunęła się na ziemię biała koronkowa parasolka z hebanową rączką, której zdawała się strzec dziwaczna malutka psina, biała ze spiczastymi uszkami, czarną mordką, ostrzyżoną na lwa, z nagim zadkiem; piesek zaszczekał przeraźliwie.

— Cicho, cicho — powiedziała pani — ten młodzieniec jest naszym przyjacielem, Ganimedzie. Przedstawiam ci Ganimeda, mój chłopcze, ale nie trzeba być również nieśmiałym wobec dam; czy się ich boisz?

Jakaż to mucha ugryzła Paskala? Uczuł chęć pokazania tej przybłędzie, że to wszystko nie jest takie proste, jak jej się wydaje, i zdanie, które wypłynęło mu na usta, było co najmniej niezwykle i przyprawiło go o lekki rumieniec.

— Jestem dzieckiem jesieni — rzekł jednym tchem — więc czemuż bym miał się ich bać?

Pani o zielonych oczach roześmiała się, zaskoczona, i puściła ramię Paskala.

— Popatrzcie no! Dziecko jesieni? Mówimy w sposób dziwaczny i mamy ładne zęby młodego drapieżnika.

Bezczelna! Patrzyła mu prosto w oczy i śmiała się. Wytrzymał to spojrzenie; nie mógł się cofnąć, a pierwsze jego zdanie już go zobowiązało, czuł, że musi natychmiast odpowiedzieć tak, aby nie stracić zdobytej pozycji. Usłyszał swój głos mówiący:

— To, aby mocniej panią ugryźć!

— Cóż to ma znaczyć?

Słowa jego były tylko reminiscencją z *Czerwonego Kapturka*, gdyż podświadomie wciąż myślał o dziewczynce z czerwoną wstążką, którą widział z boku, lecz gdy tylko je wypowiedział, pojął, że jego rozmówczyni zrozumiała je inaczej, i oblał się purpurowym rumieńcem. Zdołał się uklonić i pobiegł, przy czym niezgrabnie nadepnął na koronkę u parasolki, co przypomniało mu się jak wyrzut sumienia, gdy już znalazł się w kuchni.

Czy powinien był powiedzieć te słowa? A zresztą dobrze jej tak, tej babie z Lyonu!

Przysięga jest przysięgą. Resztę dnia spędził Paskal na beczynnych marzeniach w parku, w jego okolicach niedostępnych i tajemnych, pilnie bacząc, by nie zaskoczyli go najeźdźcy. Przez swe podwójne działanie jego przysięga skazuje go na odosobnienie i wiąże z tajemniczą kobietą, dla której wyrzył owe dwa słowa na jesionowym pniu. Nie zna jej jeszcze, ale to tylko sprawa cierpliwości. Niech płynie czas, niech minie upał. Powietrze jest tak pełne ćwierkania świerszczy, że zastępuje ono wszelką myśl. Przede wszystkim nie będzie się starał zobaczyć z Rambertem i innymi — to byłoby zbyt proste. Bawić się? Nie, niechaj czas, straszliwie samotny, gęsty jak ziemia, przechodzi od cienia do krążącego słońca, po gorącej ziemi, wśród kwiatów, motyli, świerszczy. A przy tym dość ma roboty, aby wyobrażać sobie kobietę z jesionu. Kim ona będzie? Co najmniej



księżniczką... Dziewczyną w długiej sukni, z nagimi ramionami, drobną piersią. Paskal zastanawia się, czy należy myśleć o jej piersiach. Jest to może świętokradztwo, ale nie potrafi myśleć o kobiecie, o dziewczynie, aby zaraz nie marzyć o jej piersiach. Może jest zepsuty? Ale co na to poradzi?

Parę razy przypomniał sobie dziewczynkę dojrzaną przy oleandrach, Czerwonego Kapturka, jak ją sobie nazwał. Czy ma już piersi? A długie nogi w czarnych nicianych pończochach? Nie ma potrzeby krępować się z Czerwonym Kapturkiem; to nie jest jego wielka miłość, nie dla niej pisał na jesionowej korze. Jak ona była dziwnie opalona, plamy na białych policzkach... W tej myśli była jakaś pogarda.

Paskal wyciągnął się w pełnym słońcu, aby jak najszybciej wyglądać po męsku, aby skóra jego zapomniała o mieście, szkole, łacinie, lampach.

Podczas obiadu dziadek stawia przeróżne kłopotliwe pytania. Coś robił? Gdzie byłeś? Z kim się bawiłeś? Paskal odpowiada jak Sybilla. Zresztą sytuację ułatwia Joanna, która trzepie jak młynek. Jest ogromnie podniecona, podryguje na krześle, dławi się, łyka ślinę, bo ma jej za dużo.

Oczywiście, mogłem się o to założyć: ta mała idiotka zawarła już znajomość z „tymi ludźmi”. Ona na pewno nie składała żadnej przysięgi! Pełna już jest tej nowej znajomości, mówi tylko o Iwonie i Zuzannie i o matce Zuzanny, która dała jej cukierków. Ach, jakież to wstrętne! Dziewczęta dają się przekupić lepkimi karmelkami. To nie były karmelki, lecz owoce w cukrze, w papierkach, takie błyszczące!

— Widziałeś panią Pailleron i dziewczęta? — pyta dziadek Paskala. Czy ta pani mówiła coś dziadkowi? Gdyby Paskal był pewien, że nie, oczywiście coś by skłaniał. Ale tak...

— Widziałem — rzekł niedbałym tonem.

— Pani Pailleron mówiła, że Paskal to już mały mężczyzna — odpowiada Joanna z ważną miną — ale Iwona mówiła, że on jest jeszcze małym chłopcem...

Ach, ta Joanna! Co za głuptas. Zawsze plotkuje.

Jak dziwnie kłaść się spać przy świecach, gdy się już od tego odwykło; воск kapie po palcach. Łóżko jest wysokie, jego ładne drzewo pełne jest żyłek przypominających długie, długie włosy. Tonie się w puchowych poduszkach. Nigdy, nigdy nie zasnę... Przez okno wchodzi zimne powietrze górskie.

Nazajutrz była sobota. Zaledwie wstał i jako tako umył się w miednicy — te tutejsze malutkie dzbanki na wodę, w niebieski deseń! — pobiegł do kuchni. Marta od rana piecze ciastka, wałkuje ciasto, są też smażone maliny, pełny rondel malin, rondel miedziany, pękaty...

— Marto — mówi Paskal — chciałbym się wykąpać.

— O tej godzinie? Czyś oszalał, Calino? Zbudziłbyś pana hrabiego!

To prawda, jest dopiero siódma, a pompa hałasuje jak diabli. Paskal zaczeka. Rankiem terasa jest śliczna, pełna jeszcze cieni! Wielkie psisko Ferragus, czarno-biały bernard, chodzi krok w krok za młodym panem. Jest

się u siebie: dokoła cedry, suche igły na ziemi, zrujnowana chatka babki.

— Czy dziadek już dzwonił?

Jest ósma. Pan hrabia kazał podawać śniadanie. A więc można robić kąpiel. Paskal pompuje. Woda podchodzi powoli, tryska na boki. Zapomniał, jak się to robi. Aha, teraz dobrze.

— Calino, lepiej byś naprzód uprzątnął w łazience... — mówi Marta.

Dobrze, uprzątnie. Teraz już wiadomo, dlaczego Marta niechętnym okiem patrzyła, jak Paskal pompuje: wczoraj włożyła do wanny ziemniaki. Teraz, odkąd są ci ludzie, wszędzie jest tak ciasno!

— Chodź, zabierzemy je razem!

Teraz ona nie ma czasu — śniadanie dla pana hrabiego... Paskal jest wściekły. Nigdy jeszcze nie miał takiej ochoty na kąpiel. Idzie na górę do dziadka. Pan de Sainteville siedzi na łóżku, na głowie ma czarną jedwabną czapeczkę; jest zarośnięty, koszula rozpięta, widać chudą i pomarszczoną szyję. Rano pija czekoladę. Śpi przy zamkniętym oknie.

— Dzień dobry, Paskalu! Dobrze ci się spało, chłopcze? Kąpiel? Owszem, jeżeli porozumiesz się z Martą... Bo ona umyślnie trzyma różne zapasy w wannie, aby lokatorzy nie mogli się kąpać... są o to co parę dni awantury...

Paskal widzi, jak dziadek postarzał się od zeszłego roku. Zmarszczki pogłębiły się mu na twarzy, biegną bruzdami wśród zmierzwionego zarostu. Ręce nie są już zbyt pewne. Dziadek oddycha z trudem. Zawsze cierpiał na astmę i Paskal widzi na kominku buteleczki, po które go raz posłano, gdy pan de Sainteville dostał ataku na dole, po śniadaniu. Żył na dziadkowych skroniach stały się jeszcze wypuklejsze i bardziej kręte.

Wreszcie, pokonawszy wszelkie możliwe przeszkody, Paskal siedzi w wannie. Ramiona bołą go od pompy, woda nie jest dostatecznie ciepła; w piecyku pali się drzewem i to zabiera dużo czasu. Niekiedy piecyk wybucha. Trzeba uważać. Tu używa się marsylskiego mydła. Nie ma nic lepszego dla skóry. Łazienka jest prawie okrągła, bo mieści się w wieży. Na ziemi czerwone płyty, ściany do wysokości półtora metra wyłożone niebieskimi kafkami, górą biegnie pas z kafli turkusowych. Reszta ścian i sufit są wytynkowane na biało. Okno, przez które widać ciężką, gęsto ulistnioną gałąź, oświetloną od dołu nie wiadomo skąd padającymi promieniami słońca, jest niewiele większe od strzelnicy. Ściana, gruba prawie na metr, tworzy przy oknie szafkę bez drzwiczek, gdzie Marta ułożyła ręczniki, wielkie, białe ręczniki w czerwone prążki, znaczone literą S.

Na suficie jest pęknięcie dobrze Paskalowi znane. Zaczyna się tam, wybiega, zawraca... Jak żyła na dziadkowej skroni, i ona się wydłużyła od zeszłego roku... W małym owalnym lustrze w złoczonej ramie, zawieszonym tak wysoko, że nikt nie może się w nim przejrzeć, Paskal widzi ukośny, turkusowy pas, to odbicie fryzu z kafelek. Guzdrał się trochę, a teraz ogarnia go niecierpliwość, jak gdyby w tej kąpieli rozpuszczało się nie mydło, lecz jego życie. Może zmarnował jakieś cenne chwile?

Nagle przez okno wpada z porannym powietrzem muzyka. Kto gra na fortepianie? Melodia rozdzierająca, bolesna, gorzka, która wikła się w sobie jak dziewczyna w zbyt długich włosach. Nie wiedział, że tak mu smutno... (Paskal poznaje tę melodię, wygrywał ją bez końca pan Meyer, którego ojciec często zapraszał.) To preludium Chopina. Ręce, które to grają tam na górze, w wielkim pokoju, na inkrustowanym miedzią fortepianie, są jeszcze niewprawne i czasem serce boli z obawy, że melodia nie znajdzie swej drogi. Ale jakąż to niezasłużoną władzę może dać muzyka komuś niewidzialnemu, aby aż do wanny przybył niepokoić rozmarzonego chłopca? Dla tamtych rąk jest to może tylko sprawa szesnastek, ale tutaj w grę wchodzi serce i świat, i wiosna, i lato, marzenia, jakiś lęk, nieznanne kobiety, a zielono-złota gałąź daje przez małe okienko powolne i tajemnicze znaki powiewom wiatru.

Fortepian milknie, Paskal podrywa się, wyciera, sięga po ubranie. Nie, w ten upał nie włoży tej flaneli; niech sobie gadają, że to nie trzyma gorąca, że higieniczna, że skóra oddycha... Ma już dość tych trykotów „Rasurel”, które wydają mu się tak śmieszne, bo mają nieprzyzwoity rozporek, co biegnie pośrodku brzucha i rozszerza się ku udom. Wystarczy mu koszula. Wziął nowe skarpetki. Aha, zapomniał umyć zęby. Szybko...

Gdy Paskal schodzi na podwórze, zastaje tam wielki ruch. Lyończycy stoją na ganku. Miejscowa bryczka na wysokich kołach, odkryta, czarna, z szarym ozdobionym pomponami daszkiem od słońca, odjeżdża w stronę parku. Na ganku stoją panowie hałaśliwi, rozbrykani, ordynarni. To pan Pailleron przyjechał w odwiedzinach do żony, z dwoma godnymi siebie przyjaciółmi z Lyonu; wstali o piątej, aby wcześniej znaleźć się w Sainteville, ale od stacji wlekli się bez końca tym ledwo zipiącym koniem. Paskal rzuca się do ucieczki. Może łamać przysięgi dla kobiet, ale dla mężczyzn — to już byłoby za wiele! Zresztą w poniedziałek odjadą. A więc po co się trudzić.

## XVII

Państwo Pailleron sprowadzili szampan z miasteczka. Piją aperitif na terasie: mąż przywiózł z Lyonu absynt. Śniadanie i obiad jedzą pod gołym niebem. Słychać wybuchy śmiechu, krzyki, szczęk widelców, podśpiewywanie.

To bardzo wulgarni ludzie. Przynajmniej on. I jego przyjaciele. Jest to niski człowiek z ufryzowanymi, siwymi wąsami; ale włosy ma jeszcze bardzo czarne. W swoim szarym ubraniu, panamie, szerokim marynarskim pasie barwy szafirowej, który nosi zamiast kamizelki, w koszuli w paski, kręci się po całym domu i parku. Spłoszył Paskala, który poszedł położyć się z książką na krokusowej łące. Jak jaszczurka. Nikt z nich nie poszedł na mszę.

Paskal, już niewierzący, był jednak trochę zgorszony taką swobodą. On sam na chwilę zjawił się w Buloz, z uprzejmości dla księdza proboszcza.

Spotkał tam Ramberta. Ramberta spłoszonego. Nie, dawne wyprawy nie zaczęły się jeszcze... „Teraz się pracuje...” Paskal jest urażony: może Rambertowi wydaje się, że on nie pracuje? W ogóle oni wszyscy już teraz pomagają w polu jak dorośli, z wyjątkiem Michała. A to dlaczego? Michał zanadto kaszle. Czuje się bardzo zmęczony. A czy nie zaprowadzili go do lekarza? Ależ tak, ma się rozumieć. I co? Doktor Moreau leczy go...

Czy kto uwierzy, że po śniadaniu Paskal zobaczył, jak od strony zamku pan Pailleron siusiał na grządki, i to przy wszystkich; siedzieli jeszcze przy kawie, sypały się żarty i komentarze.

A ile wypalali papierosów, można było wywnioskować z niedopałków, które znajdowało się w alejach.

Joanna, oczywiście, nie opuszczała ich ani na chwilę. Pan Pailleron podrzuca ją na kolanach. Jedzie, jedzie pan, na koniku sam...

W poniedziałek znowu panuje spokój. Okiennice długo pozostają zamknięte. Pani Pailleron wyleguje się. Dziewczynki grają w serso w żwirowej alei. Paskal podpatruje je z daleka. Próbował usiąść na kamiennej ławce pod cedrami i odrabiać wakacyjne zadania. Ale zadania wakacyjne to idiotyzm; dają ich zawsze tyle, że nie można odrobić całego materiału. Wszystko zaznaczone jest w małej książeczce, dzień za dniem, wydrukowane czcionką naśladowującą pismo odręczne. Wydawać by się mogło, że ludzie, którzy układają te zadania, mają jeden tylko cel: aby uczniowie przez całe wakacje pracowali tyle co podczas roku szkolnego. A poza tym są tutaj rzeczy, których „nie brało się” w szkole. Więc czego właściwie im się zachciewa?

Jednakże Paskal chciałby tego lata przerobić wszystkie zadania wakacyjne, chociaż to praca nadobowiązkowa, bo ma niezwykły pomysł: chce być bardzo mądry, doskonale obkuty, chce prześcignąć wszystkich kolegów, aby nauczyciele zostawili go w spokoju i aby mógł mówić wszystko, co przyjdzie mu na myśl.

Przekład Salustiusza okazuje się jednakże o wiele, o wiele za trudny. Ach, co za piła ten Salustiusz! Powiedziałby kto, że ma jakąś przyjemność w tym motaniu zdań. Wielki brązowy słownik leży na ziemi.

Czerwony Kapturek jest znacznie zręczniejsza w serso niż ta druga, blondynka. Która nazywa się Iwona, a która Zuzanna? Można by się o to założyć.

Paskal widywał już, jak młodzi ludzie zaczepiają kobiety na ulicy. Wie, jak się to robi. Idzie się za nią, trochę w tyle, uchyla się kapelusza, mówi się z miną uradowaną, na przykład: „Zdaje mi się, żeśmy się już gdzieś poznali?” Ten ostatni sposób zdradził mu Levet. Level ma kuzyna, który zagaduje do kobiet na ulicy i sypia z nimi. Czas by już było o tym pomyśleć!

Ale tutaj, u dziadka, i z tymi dziewczynkami lokatorów sprawa przedstawia się inaczej... Tamte reguły nie przewidują takiej sytuacji. Paskal kładzie zeszyty i broszury pod wielkim kamieniem, koło ławki. Potem biegnie do źródła, gdzie jest mnóstwo kwiatów.

Są to ubogie kwiaty, których trochę się wstydzi; ale zrywa je całymi garściami, z wielką szybkością. Wraca zadyszany na terasę. Gdzie one? Nie bawią się już w serso. Paskal stoi ze swoim barwnym naręczem. Czuje się jak dureń.

Ale oto z zamku dobiega drobna fala muzyki Schumanna. Biegnie i potyka się lekko, powraca nieudana fraza. Z kwiatami w rękach Paskal podchodzi bliżej. Na jego widok biały lewek przybiega ze szczekaniem i wyszczerzonymi zębami, kręci się koło łydek Paskala, chwyta go za skarpetki.

— Obrzydliwy kundlu, będziesz ty cicho!... Jak się to-to wabi? Ganimed, no, no, Ganimed!... Nazywa się niczym jakiś tort... Stul pysk, psi synu psiej mamy!

Paskal jest naprawdę wściekły. Ale psia mama jest tuż, o trzy kroki, za drzewami, na fotelu, dziś ubrana na bladozielone, w dużym miękkim kapeluszu, i śmieje się serdecznie. Czy słyszała?

— Dokąd tak spieszysz, o synu jesieni, z tym naręczem kwiatów?

Trudno, trzeba coś zblagować.

— Szedłem właśnie do pani.

— Do mnie? Ach, ty mały kłamczuchu!

— Nie cierpię tego paninego kundla, ale pani... pani mi się podoba.

Pani Pailleron przestaje się śmiać. Paskal podaje jej kwiaty, które ona przyjmuje. Jest bardzo zmieszana uprzejmością Paskala. Ten chłopiec... Czuje się młoda, młoda...

— Nigdy jeszcze kwiaty nie ucieszyły mnie tak, jak te od ciebie. Są doprawdy prześliczne.

Mówiła mu „ty”, trzeba z tego skorzystać.

— Ale ja nie lubię pieska pani, jest komiczny i głupio się nazywa.

Uśmiechnęła się:

— Ganimed? Ależ to bardzo ładnie: Ganimed. Chodź no tu bliżej, niech cię pocałuję.

Paskal jest straszliwie zakłopotany. Pani Pailleron tuli go do siebie; pachnie mocno i słodko. Nie wypuszcza chłopca.

— Jak się nazywasz?

— Paskal... Paskal Mercadier. A pani?

— Jakiś ty ciekawy! Nazywam się Pailleron... Paskal to ładne imię.

— Pailleron to mi się nie podoba, bo to nazwisko męża pani...

Tym razem pani zaśmiała się serdecznie.

— No, dobrze, nazywam się Blanka... To już lepiej?

Paskal odzyskał swobodę, patrzy na nią, a potem odzywa się z całą bezczelnością, na jaką go stać:

— Blanka... to ujdzie... to nieźle... Ale Ganimed!

Fortepian właśnie zamilkł, ale Paskal nie ma już kwiatów dla Czerwonego Kapturka.

Na całe popołudnie uciekł w góry. Odzwyczaił się od usypiska. Nie lubi już tak malin, boi się, że zapomniał drogi przez moczary. W końcu

pokazała się słoneczna mgła i z góry nie widać było Mont-Blanc. Ale kraina leżąca za światem zachowała swój urok, nawet dziś, w taki upał. Dlaczego Paskal, patrząc na ostre skały, na wierzchołki sosen, na opadające łąki, gdzie przesuwa się stado owiec, myśli nieodparcie o ulicy R, o jej małych domkach w stylu wschodniej Lotaryngii, zimnych i szarych, i o ludziach ukrytych za obojętnymi oknami, i o zamkniętym czarną kratą ogrodzie przy Domu Zdrowia, o jego ścianie z kamienia i o Levecie w pelerynie, w zsuniętej do tyłu czapce, i o rowerach, które o mało nie padają na ziemię?

## XVIII

Oczywiście, że w końcu nie obeszło się bez Joanny. W co tu się bawić? Mniejsza z tym. Ale trzeba było jeszcze jednej osoby — i Iwona, i Zuzanna... A prawda, Czerwony Kapturek ma na imię Zuzanna! Jest córką pani Pailleron. Ta druga to tylko przyjaciółka. Zapewne mniej zamożna.

Dwa dni upłynęło, zanim zaczęli sobie mówić po imieniu. Ale trzeba było przez to przejść. W drugim dniu Paskal pokazał dziewczynkom góry. Gdy doszły do osypiska, miały dość. Trzeba przyznać, że upał był straszny. W takie słońce! Póki szły lasem, myślały tylko o malinach. Z dziewczętami niełatwa sprawa, bo trzeba z nimi wciąż rozmawiać; inaczej przestają cię podziwiać. Z chłopakami można być takim, jakim się jest.

Miał im sporo do powiedzenia. Pokazał kryjówki, wytłumaczył zabawy, nauczył, jak się turlać na polance, jak brnąć po moczarach. Uważały, że on przesadza, że nie ma takiego niebezpieczeństwa. Nie ma niebezpieczeństwa? A brat Michała, który się utopił?

— Zginął, naprawdę zginął? — zapytała Iwona.

Paskal już zaczynał opowiadanie o śmierci Michałowego brata, obficie kraszając je wstrząsającymi szczegółami. „To dziwne — myśli jednocześnie — ale z chłopcami nigdy się nie kłamie... Chyba przy grze w bile. Zresztą tak było naprawdę! Brat Michała naprawdę zginął.”

Nie zabrali z sobą Joanny, bo jest za mała. Beczała na głos, a potem pocieszyła się w kuchni, bo Marta dała jej całą masę łąkoci. To nie szkodzi, te bachory są takie nudne.

— Chciałybyście, żeby była z nami? Ja nie — oświadcza Paskal.

A Zuzanna mówi:

— Doskonale to rozumiem.

— Wiecie — proponuje Iwona — a gdybyśmy tak mówili sobie po imieniu?

Czy one polubią tę krainę leżącą w górze poza światem? Paskal, nie przestając rozmawiać, czuje niepokój. Czy powie im o tym? Nigdy jeszcze nikomu o tym nie wspominał. Z Rambertem, z innymi chłopcami chodził w góry, sprzeczał się, bawił, ale nie czuł ochoty, aby z nimi rozmawiać, tak, co się nazywa rozmawiać.

Nie, nie zawierzy tego dziewczętom. Bywają rzeczy święte.

Zuzanna i Iwona są bardzo różne. Paskal będzie asystował Zuzannie. Ale

nie trzeba, aby to było zbyt widoczne, aby się o tym ktoś dowiedział.

Iwona wciąż biegnie na wszystkie strony; długimi jasnymi włosami zaczepia o cierniste krzaki, śmieje się bardzo głośno, na widok kwiatów podnosi ręce w górę, upada i obciera sobie kolano. Zuzanna, zapewne silniejsza do Iwony, jest trochę wyższa i wygląda znacznie łagodniej. Jest raczej milcząca. Uśmiecha się i uśmiech Zuzanny wobec jej milczenia przypomina nieprawidłową opaleniznę na jej bladej miejskiej cerze.

Te jej długie czarne pończochy...

Drażni go, że od czasu do czasu obie dziewczynki szepczą sobie coś do ucha i śmieją się spoglądając na niego. Paskal rumieni się i czuje w sobie złość.

Tutaj podejście jest dosyć strome i zapewne chcąc mieć pretekst do zatrzymania się Iwona woła do Paskala, który idzie przed dziewczynkami, chwytając się korzeni:

— Paskal!

— Co takiego?...

— Powiedz mi, ile właściwie masz lat?

Paskal idzie dalej nie oglądając się na dziewczynki.

— Dwanaście.

Dodał sobie zresztą tylko dwa miesiące. Głos Zuzanny, trochę zdyszany i stłumiony z powodu malin, trafia go w plecy:

— Widzisz, Iwonko, a ty myślałaś, że on ma najwyżej jedenaście...

Ach tak, więc to sobie wtedy szeptały. Że jest małym smarkaczem, tak?

— Jest niższy od nas, Zuzanno, więc dlatego... Tym razem Paskal odwraca się.

— Niższy? Bo nie noszę takich kokard na głowie!

— A jednak — mówi Zuzanna — jesteś trochę niższy...

Już on pokaże tym dziewczętom! Patrzcie, oto świerk pozbawiony dołem gałęzi. Jeden z tych strzelistych świerków, z którymi inne drzewa, zwykłej wysokości, na próżno usiłują ścigać się w górach, aby ich liście także dosięgły słońca...

— No dobrze, a czy wy, dziewczęta, potraficie zrobić coś takiego?

Chwytał się pnia rękami i nogami z całych sił; zawzięcie wspina się ku górze, jak może najszybciej, obcierając ramiona i nogi, kalecząc dłonie, w strachu, że osłabną mu mięśnie w udach i rękach... Dziewczęta, z zadartymi głowami, podziwiają go...

— Ale to nie przeszkadza — mówi Iwona — że jesteś niższy...

— To nie ma żadnego znaczenia — rzuca Paskal z wysokości drzewa i własnej nielojalności. Ale to naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

A tymczasem wspinał się trochę za wysoko jak na swoje siły i zejście odbywa się z trudnością i nie w przewidzianej chwili. Stopy Paskala gwałtownie trzasnęły o ziemię.

— Ach — woła Iwona — czy Paskal zrobił sobie coś złego?

Paskal z pewnym wysiłkiem zaczyna mówić. Boi się, że w jego głosie odezwą się lzy.

— Zdawało mi się— powiedział — że mieliśmy sobie mówić „ty”.

Zuzanna pochyła się ku ziemi, po raz pierwszy ton jej jest wesoły.

— Grzyby! Grzyby!

Paskal jest trochę podrażniony, że nagle te grzyby stały się takie ważne. Rzuca na nie okiem i postanawia użyć ich jako narzędzia zemsty.

— Nie dotykajcie ich, to nie są grzyby jadalne!

Ale Zuzannie to nie wystarcza; powtarza:

— Grzyby! Mam w domu książkę przyrodniczą... Muszę ją tutaj przynieść.

Paskal jest wściekły.

— Przecież mówię, że nie są jadalne!

Zuzanna potrząsa głową. Jest oczywiste, że zajrzy do tej swojej książki. Ale przecież może jej wyjaśnić: to nie są maślaki, lecz muchomory, bo mają na czapkach kolorowe plamki, i stają się niebezpieczne po deszczu, który zmywa te plamy, tak że wyglądają wtedy jak grzyby jadalne... I tak właśnie można się otruć...

Zuzanna podniosła wzrok na Paskala. Nic nie mąci jej pogody. Ściąga lekko usta, tak że stają się węższe.

— Ale w każdym razie są to grzyby — powiada. — Choćby nawet nie były jadalne.

Jak dziwnie rozumują te dziewczęta. Paskal niejasno przewiduje na przyszłość najrozmaitsze komplikacje.

Na terasie, w porze podwieczorku, pan de Sainteville wita panią Pailleron. Widoczne jest, że nie pozostaje obojętny na obecność tej ładnej kobiety w zamku. Okazuje więcej starania o ubiór, fryzuje zarost. Paskal i Zuzanna, której pomaga Iwona, grają grzeczniutko w warcaby na wyplatany stole. W czarnych brakuje jednego pionka; zastępują go fasolą umaczaną w atramencie. Pies Ferragus z niekłamany zdumieniem przygląda się trochę zaczerwienionym okiem temu kundlowi Ganimedowi, który najeżył się całej i warczy.

— Pański wnuk to czarujący chłopczyk — mówi Blanka Pailleron. — Zdaje mi się, że to samo myślą o nim dziewczynki.

— Tak pani uważa? A czy nie jest natrętny? Czy nie daje się we znaki? Jest to młodzieniec dość hałaśliwy...

Staroświecka grzeczność wymaga takiej właśnie odpowiedzi, w której przez skromność oczernia się swoich bliskich. Wszystko można powiedzieć o Paskalu, tylko nie to, że jest hałaśliwy. Dziadek mówi dalej:

— Jest w tej chwili brzydki, to taki niewdzięczny wiek... ale z czasem wyprzystojnieje...

— Brzydki? — protestuje Blanka. — Jeżeli podobny do ojca, wolę tego pana nie poznawać, bo zanadto by mi się podobał...

Pan de Sainteville lekko chrząka:

— Jest podobny do naszej rodziny. Nie ma w nim nic z ojca...

Kłamstwo! Paskal podobny jest do ojca. Wie o tym i słucha rozmowy z takim zainteresowaniem, że Zuzanna, która gra białymi, zabiera mu fasolę i stawia sobie damę. Wprowadza to zamieszanie do gry.



— Gdybym była tobą — szepcze Iwona — poszłabym tutaj...

— No naturalnie — woła Zuzanna — jeżeli ty jemu radzisz!

Pan de Sainteville ciągnął dalej:

— Zresztą sama pani będzie mogła to osądzić. Moja siostrzenica z mężem, którzy w tej chwili bawią w Paryżu, przyjadą tu, gdy tylko użyją sobie na sklepach, teatrach i miejskim kurzu... Zjawią się tutaj za tydzień...

Jest mnóstwo różnych gier. Ale tylko do krokieta trzeba wbijać bramki i paliki w twardey grunt terasy, a potem wyjmować je, aby ludzie nie wpadali na nie w ciemności. Są przecież kręgle. I nawet dziadek nie wzbrania się przyjść i zagrać z wnukiem i dziewczynkami. Są stare i poplamione karty, którymi gra się w manilę, w bezika, w ramsza, i co tam jeszcze? W warcaby, w tryktraka, w żabę. Ale nic nie dorównuje zabawie w cztery kąty, w dwa ognie, zabawom, przy których dużo się biega.

Przez trzy dni od rana do wieczora z namiętnością, z jaką ulega się modzie, bawili się w kota na żerdzi. Tempo musiało być jak najszybsze. Wymyślili nawet warianty, nowe pravidła. Toczyli dyskusje na temat, co właściwie jest żerdzią. Nikt nie może zmusić Paskala, aby nie łąził po drzewach. Na terasie jest to rzeczą zbyt prostą.

Teraz, gdy się poznali bliżej, Zuzanna nie sprzeciwia się już zabawie w chowanego. W pierwszych dniach nie chciała się zgodzić. Tutaj zabawa ta będzie niezwykle trudna, tyle kryjówek i tak rozmaitych. A gdzie nie wolno się chować? Ach, zawsze to nie wolno, nie wolno. Wszędzie wolno! A Joanna?

— Ach, ona się nie liczy, biorę ją z sobą — mówi Iwona.

Liczą:

„Poszła pani do piwnicy, wzięła rysik i tablicę.”

Zuzanna szuka. Robi nadąsaną minę, ale trudno. Meta jest na ganku; jak to serce bije, gdy ukrywszy się za drzewami pozwalamy przejść obok temu, który szuka. Wszystkie początkowe partie zepsuła im Joanna, bo trzeba było udawać, że się jej nie widzi, ona zaś pętała się przy Iwonie, to znowu przy Zuzannie.

— Ja jej nie biorę — mówi Paskal — jest moją siostrą, ale nic mnie to nie obchodzi.

Wreszcie Iwona proponuje: ponieważ jest ich trójka, dwoje chowa się razem, a trzecie szuka. Zuzanna nie zgadza się. Ale co prawda, głupio jest czekać samemu w swoim kącie, zwłaszcza że niektóre kryjówki są bardzo daleko i że „spalono” już tych, co ukryli się bliżej. Tak będzie prościej. Dlaczego nie? Zuzanna mówi coś do ucha Iwonie, która śmieje się i śmieje. Tym razem Paskal szuka.

Co też one wymyśliły? Przygotowały to z góry. Gdzie się skryły? W domu — to byłoby niezgodne z pravidłami zabawy. O Boże, jakież to denerwujące bawić się z dziewczętami! I jaki wstyd dać się im nabrać. Trzeba wciąż czymś imponować, biegać szybciej niż one, myśleć o wszystkim... Może w stajni? Nie, nikogo... Ach, w chatce ciotecznej babki... Już ja was złapię! Ale nie, nie ma nikogo...

Ktoś przebiegł za Paskalem. Rusza całym pędem. Za późno, by dopędzić Zuzannę, która jest już u celu, ale chwyta Iwonę.

— Gdzieście były?

Ale one nic mu nie powiedzą. Kryjówka przyda się na następny raz.

Przez okno na pierwszym piętrze pani Pailleron patrzy na dzieci i wzdycha. Przez cały ranek dokuczała jej jakaś migrena. Co jej jest? Pogoda taka śliczna. Wszystko układa się pomyślnie.

Zuzanna pociąga Paskala do parku, ale gdy tylko schodzą z oczu Iwony, z tajemniczą miną prowadzi go w stronę zabudowań gospodarczych...

— Powiedz mi, gdzie mamy się schować?... — Te dziewczęta, trzeba im zawsze ustępować!... Zuzanna nie odpowiada, biegnie na palcach. Długie nogi w czarnych pończochach przemykają pod zielonymi drzewami.

— Zuzanno! — Odwraca się z palcem na ustach, z twarzą poważną i zalęknioną. Myślałby kto, że to już nie zabawa.

W stodole chwyta ich zapach siana; unosi się w powietrzu i mroku. Jest ciemno, tylko trochę złota płynie przez wpółotwarte drzwi. Potykają się o drewniane widły, obchodzą wyprężony wózek.

— Tędy...

Zuzanna mogłaby mówić głośno, nikt by ich nie słyszał, ale nie... nie można mówić głośno, gdy trzeba się ukryć!

Po wysokiej i stromej drabinie dostają się na strych, gdzie złożono paszę, na strych, który zamyka budynek od góry, ale otwarty jest nad stodołą, tak że zanim kto spostrzeże, można zsunąć się w dół, za siano, i stoczyć się po drugiej stronie do końskich żłobów w stajni, nad którymi jest otwór wychodzący przez sufit na strych.

Na szorstkich, szarych deskach grubą warstwą leży zielony, lekki pył z suchych traw. Grube belki, podtrzymujące sufit, zmuszają do schylania głowy; chwytając się ich, łatwo wbić sobie drzazgę w rękę. Niepewne i skąpe światło, z którym oczy nie od razu się oswajają, przeciska się z zewnątrz przez źle spojone deski...

— Tu — cichutko szepcze Zuzanna. Wybrała najciemniejszy kąt, za sianem, podobny do posłania z różnych odpadków, pod ścianą z nierównych kamieni. Sadowią się. Paskal chce coś powiedzieć. Dziewczynka nakazuje mu milczenie. Przytula się do niego. Jak jej serce bije!

— Iwona nigdy nas tutaj nie znajdzie — szepcze. A zresztą potem można jeszcze skoczyć do stajni.

Paskal daje sobie narzucić ten szept i odpowiada podobnie. A przynajmniej tak mu się zdaje. Bo Zuzanna kładzie mu palec na ustach. Mały, drżący paluszek.

— Czego się boisz? — pyta Paskal. Ona przytula policzek do jego policzka.

— Wszystkiego — odpowiada — wszystkiego... A czy ty nie lubisz się bać?

Paskal nie lubi się bać. Ale przyjemnie mu, gdy inni się go boją, o tak! Jak

delikatny jest policzek Zuzanny i jak ona dziwnie pachnie!

— Bać się? Czego? — powtarza Paskal. — Że nas znajdą? Iwony? Nie można się bać Iwony. A gdy nas znajdą, no to znajdą!

Zuzanna potrząsa głową, jej puszyste włosy muskają go po twarzy.

— Nie mów tak! Nie znajdą nas. Nie trzeba dać się znaleźć... Zresztą Iwona nigdy tutaj nie przyjdzie...

— Tyś to już dobrze wymyśliła...

— Tak, ale Iwona... Słuchaj... Myśmy się właśnie tutaj schowały przed tobą...

— Ach tak, a ja myślałem, że nie chcesz mi tego powiedzieć...

— Właśnie. Przysięgam. Dlatego Iwona... będzie nas szukała wszędzie, tylko nie tu!

Oto gałgaństwo, zdrada, takie są dziewczęta! Przysięgła, i oto jak się pospieszyła... Roześmiał się.

— Nie śmiej się! Mógłby ktoś usłyszeć... Wiem, co sobie myślisz. To źle złamać słowo... Ale chciałam być samą z tobą, naprawdę sama...

Ach to zupełnie zmienia postać rzeczy. Kłamstwo, złamanie słowa przestaje być czymś haniebnym. Przysiedli tuż przy sobie, ona przeciąga dłonią po włosach Paskala, chcieliby się pocałować, ale brak im odwagi, zaczynają drżeć.

— Rozumiesz teraz — mówi Zuzanna — co to znaczy bać się...

— Nie boję się — próbuje jeszcze mówić Paskal, ale teraz i on się boi, że ktoś przyjdzie; jakiś trzask sprawia, że nasłuchuje w ciemności... Dwie zgięte nogi w czarnych pończochach kuszą jego ręce; pończochy w prążki; spódnica trochę się zadziera, widać, na czym trzymają się pończochy, i nad nimi biały skrawek.

— Zostaw — mówi Zuzanna — podrzesz mi bieliznę...

Tym razem on cofa rękę. Nie ma jeszcze dwunastu lat.

Na zewnątrz słychać głos Iwony.

— Jeżeli znajdzie nas tutaj, ładnie będziesz wyglądała — powiada Paskal powodując się resztką poczucia honoru.

Zuzanna powtarza z zamkniętymi oczyma:

— Ona nie będzie nas tutaj szukała... Nigdy... Znam Iwonę...

Głos oddala się.

Paskal postanowił był wprawdzie zalecać się do Zuzanny, ale jeszcze nawet nie zaczął, więc jak ona to odgadła? A czy rzeczywiście odgadła? Ależ tak, bo inaczej... Postanowił, że będzie się do niej zalecał. Ale nie, że się zakocha. I oto nie zaleca się do niej, a boi się, że się zakocha...

— Pocałuj mnie — mówi. Bo jeżeli po tym nie będzie stracony, nie ma się już czego bać. To szaleństwo, ale trzeba zaryzykować. Przywarła do jego policzka gorącymi i wilgotnymi ustami. Paskal ociera policzek. Nie może słowa wymówić. Nie wie, czy jest zakochany.

— Widzę was! Widzę was! — woła na wszelki wypadek Iwona na terasie.

— Ona nic nie widzi — szydzi Paskal. — Możemy sobie kpić z niej!

Zuzanna drży. Od razu utrafił w jej najniższe uczucia. Jest szczęśliwa. On

ją rozumie.

— Tak — powiada — będziemy z niej strasznie kpili...

xix

Blanka Pailleron dwukrotnie zmieniła suknię, więc pokojówka mruczy, bardzo niezadowolona. Pani słyszy to doskonale, ale zachowuje się, jakby nic nie słyszała. Przesiane światło pada na antyczne meble; pokój jest ogromny, a dywany na lato zastąpiono zielonymi niegdyś matami, pod którymi źle woskowana posadzka tworzy regularne desenie. Do pokoju wchodzi się po trzech stopniach, a nad łóżkiem wisi wielka zasłona, pod którą co wieczora Blanka czuje się wśród pierzyn jak zagubiona.

Po dwóch tygodniach, nie! po trzech, nuży ją już trochę ten ustawiczny anachronizm. Gdy pomyśli o swoim komfortowym mieszkaniu w Lyonie! A poza tym ta samotność! Gdyby nie hałasujące dzieci...

Jest ten stary szlachcic. Trochę zabawny. Trochę zaniedbany. Ale ostatecznie mogłaby korzystać z jego towarzystwa. Byle tylko nie chciał zalecać się do niej. Śmieje się na tę myśl.

— Słuchaj, Rozyno... tak niechętnie zajmujesz się moimi sprawami... Zastanawiam się właśnie, co ty tu robisz? Ja zabawiam się przymierzaniem sukien. Ale ty...

— Nie uskarżam się, proszę pani, i jeżeli pani mnie potrzebuje...

A więc wszystko w porządku. Niech tam sobie Rozyna robi miny. Widocznie zostawiła kogoś w Lyonie.

Zaledwie Blanka usadowiła się na terasie z książką, którą przywiózł jej Ernest w niedzielę, natychmiast zjawia się pan de Sainteville. Sznuruje lekko usta. Widocznie śledził ją poprzez firanki.

— Co też droga pani czyta? Paul Adam... Hm, hm, to autor trudny... A jakże... Czy pozwoli pani, że przysunę sobie krzesło?

Nie pozwala... Zamyka oczy. Odrzuca głowę do tyłu.

— Czy pan *zawsze* tu mieszkał, panie hrabio? Nie? Bo ta okolica tyle ma uroku...

On kiwa głową. Rozumie ją, odgaduje. Jasne, że ona nudzi się śmiertelnie.

— A jakże... w pani wieku i ja nie całkiem dobrze znośłem tę samotność...

— Ależ ja uważam, że Sainteville jest czarujące. Pan de Sainteville z powątpiewaniem i wyrozumiałością wzrusza starymi ramionami. Nie powie nic o racjach, które zmuszają go do zadowalania się tym czarem. Z kobietami nie należy nigdy mówić o pieniądzach. Nie zapyta tej pani, dlaczego zagrzebała się tutaj przez lato. Przecież ma męża.

— Myślę nieraz — mówi ona — o kobietach, które tutaj żyły; pańska matka zapewne, a przedtem inne... Myślę o kobietach, bo nie wiem, jakie są myśli mężczyzn... Trochę lepiej umiem wyobrazić sobie kobiety, ich myśli... Albo tak mi się tylko wydaje... Bo dzisiejsze kobiety, choćby ja sama, są całkiem inne...

Pan de Sainteville lekko się skrzywił. Nie lubi, gdy jakaś tam pani Pailleron porównuje się z jego matką i paniami z rodu Sainteville...

— Och, wiem — ciągnie dalej pani Pailleron, jakby wyczuła ten lekki odruch niezadowolenia u swego rozmówcy — może wydać się rzeczą niestosowną, że ja...

— A dlaczegoż to, szanowna pani? Skwapliwość odpowiedzi jest przyznaniem się. Teraz już oboje się śmieją.

— Dawniej — powiada Paskal de Sainteville — życiem kobiet rządziły inne zasady, inne pragnienia...

— Tak pan sądzi? Te same uczucia nazywano inaczej, ale my jesteśmy zawsze takie same...

— Pani nie umiałaby się zadowolić tym, co niegdyś stanowiło szczęście.

— Co pan wie o tym, czym my się zadowalamy?

— Są to jakieś drobiazgi...

Pogładził wąża z porozumiewawczą miną. Blanka myśli, że mężczyźni są zawsze tylko zepsutymi uczniakami.

— To, co niegdyś wypełniało kobietom życie, pani wydawałoby się nieznośne i nudne...

— Tak pan sądzi? Zastanawiam się, co też pan wie o rzeczach, które mogłyby wypełnić moje życie... Weźmy jeden dzień, jeden z naszych dni... Pan de Sainteville musi przyznać rację. Nie ma najmniejszego pojęcia... A gdy się zastanowi... I znowu oboje się śmieją...

— Ale to nie znaczy — ciągnie ona — że to, co mówimy, jest bardzo fajne...

Słowo to dziwacznie brzmi w obliczu wieżyc zamku Sainteville. Nie należy ono do słownika starego szlachcica; czyni go natychmiast obłudnikiem. Powiada:

— Tak, nasze matki zaludniały sobie pustynię uczuciami religijnymi...

Te pełne fałszu słowa wywołują nieoczekiwaną reakcję:

Blanka westchnęła. Czy dusza jej miała w perspektywie przełom wewnętrzny? Prawdę powiedziawszy, Blanka westchnęła, bo zobaczyła religię taką, jaką wydawała się stąd, z tej terasy, gdzie właśnie przeleciała jej nad głową wielka błękitno-czarna ważka — jak coś niezmiernie eleganckiego, dalekiego, jedyne w swoim rodzaju, a westchnienie to znajduje ciąg dalszy w widocznym rozmarzeniu, którego nikt nie zamąci... W rozmarzeniu krótkotrwałym, rodzącym jednakże dalsze zdanie w tym dialogu, kierowanym, jak sądzi w swej naiwności stary szlachcic, przez pana de Sainteville.

— One miały nie tyle religię, ile księży... ksiądz, spowiednik... Ach, ile w tym uroku! Jakie ukojenie!

— Mój Boże, Republika nie wymordowała jeszcze wszystkich księży, więc jeżeli łaskawa pani zapragnie spowiednika, będę mógł sprowadzić go z miasteczka.

— Doprawdy, hrabio — Blanka mimo woli powraca do uzurpowanego tytułu — doprawdy, zbyt pochopnie żartuje pan z rzeczy najświętszych. Owszem, jestem niewierząca; ale pozostał mi szacunek dla spraw związanych z religią... Dziś już za późno, ten rodzaj związku między

bożym człowiekiem a mną nie mógłby się już wytworzyć; żałuję... żałuję, że nie mogę wierzyć, choćby w kłamstwa... Jest w nas pragnienie, aby otworzyć przed kimś duszę, leży to w kobiecej naturze... I to oczywiście przed mężczyzną, bo czyż kobieta może zaufać innej kobiecie? Innej słabej istocie?

— Prócz księży są jeszcze inni mężczyźni.

— Stosunki między mężczyznami a kobietami mają w sobie fałsz. Z chwilą gdy stają się bliskie, z chwilą gdy dochodzą do istoty *rzeczy*, zaczynamy się wahać... chodzi o coś innego... Spowiednik...

— Bywają ludzie, którzy przekroczyli wiek pokus, a nie zapomnieli jeszcze, czym jest życie, i którzy mogliby być podporą...

Spojrzała na niego przeciągle i znów westchnęła.

— Tak — powiedziała tonem osoby, która nadaje słowom inne, głębsze znaczenie, niż mają zazwyczaj — bywają ludzie, którzy przekroczyli może wiek pokus...

Pan de Sainteville przesunął rękę za oparcie jej krzesła i zwiesił głowę z miną opiekuńczej dobroci. W głębi nie był całkiem pewny, czy mężczyzna kiedykolwiek przekracza wiek pokus. Przeżywa samego siebie, myślał. Powiadał sobie jeszcze w dawnych formułach wiele rzeczy, które go zachwyciły i zdziwiły. Na przykład, że nigdy nie jest za późno wahać kwiaty... że dusza pozostała młoda... Rezultatem tego wszystkiego było parę słów, które wydały się całkiem nieoczekiwane.

— A tak naprawdę — usłyszał swój głos — co właściwie wypełnia dzień życia pani?

XX

W wiejskiej chatce zapomina się o bożym świecie...

Środkiem terasy, gdzie tańczą cedry o pniach różowych w słońcu, z ciemnymi liśćmi, wycinanymi jak ołowiane zabawki, źle utrzymana ścieżka prowadzi do sporej, okrągłej chaty, zbudowanej z okrągłaków i krytej strzechą. Wewnątrz jest jedna wysoka izba, gdzie pośrodku wpuszczano w ziemię stół zrobiony z pnia i z przybitej do niego gwoździami wielkiej deski. Światło nabiera niby kościelnej barwy, bo okna, a jest ich cztery, są wąskie, lekko łukowate, z kolorowymi szybkami. Powoduje to niebieskie i czerwone plamy na ziemi. Nie ma podłogi i właśnie teraz Iwona miotłą z liści zamiata ubitą ziemię. Zuzanna wróciła przed chwilą z kwiatami. Paskal, siedząc w trzcinowym fotelu, udaje, że pali wielką fajkę, którą zastępuje znaleziona wczoraj dziwaczna gałązka.

W tej romantycznej chatce narodziła się cała mitologia, wyłoniona z wyobraźni babki w epoce „Różowej Biblioteki”, gdy prawdziwe bohaterki pani de Segur, wkraczając w wiek młodzięńczy, odkrywały Chateaubrianda i po kryjomu czytywały *Rene*, Ale mity lęgnące się w głowie Iwony w niczym nie przypominają tęsknot Drugiego Cesarstwa. Paskal jest myśliwym amerykańskim, Zuzanna zabłąkaną w lesie księżniczką... Iwona, ach, Iwona gra bardziej skomplikowaną rolę!

Ustalono, że jest tutaj służebną, istotą nie całkiem przy zdrowych zmysłach, jak na to wskazują jej długie, rozburzone włosy; nie zna żadnego ludzkiego języka. Na to, co mówią do niej, odpowiada jakimś „ojejej” wariatki, stroi dziwne miny, opuszcza dolną szczękę, przewraca nieprzytomnie oczyma. Jednocześnie jest, zdaje się, zaczarowana; nie wiadomo, skąd się wzięła; Paskal znalazł ją siedzącą na drzewie i gadającą z ptakami... Oczywiście, że pewnego dnia stanie się wiadome jej królewskie pochodzenie, ale nic jeszcze w tej sprawie nie postanowiono... Przy tym wszystkim niewątpliwie pozostaje ona na rozkazach złowrogich potęg i mogłaby Paskalowi i Zuzannie wypłatać niejednego groźnego figla. Wszystko to jest czymś w rodzaju ustępstwa na rzecz Paskala, aby mógł bez uchybienia sobie uczestniczyć w zabawach dziewcząt: w gospodarowaniu, obiedzie dla lalek, opowiadaniu bajek. Iwona jest bardzo dziwna, trochę straszna. W jej rozczochraniu jest coś zbyt naturalnego. Paskal nie ma całkowitej pewności, czy nie jest ona naprawdę wariatką. To odpycha go i pociąga. Ferragus bawi się z nimi. Przy drzwiach jest psia buda; prowadzą go tam, a on warczy, ale kładzie się. Jest strażnikiem. Bo świat otaczających chatę cedrów jest światem pełnym nieznanym niebezpieczeństw, istot fantastycznych i złośliwych, toteż nie bez drżenia przebiega się drogę wiodącą do zamku, na co trzeba co najmniej paru tygodni podróży. Zresztą ranki przeznaczone na tę zabawę nie dzielą się na godziny, lecz na miesiące.

Mówi się na przykład: „Co robi Zuzanna? Już dwa tygodnie mija, jak wybrała się na polowanie...”, albo: „Siedzimy tu już trzy miesiące... możemy spóźnić się na śniadanie...”

Na szafce-kredensie, niegdyś malowanej na żółty niby-marmur, rozłożono całą kolekcję zdobyczy wojennych: są to przyszpilone do listwy odcięte głowy os, szarańczy i much, a w drugim rzędzie całe motyle.

Szkoda, że nie wolno im otwierać tej szafy, gdzie jeszcze mieści się porcelana i szkło.

Postanowili, że w chowanego będą się bawić tylko po południu. Niekoniecznie każdego dnia. Te zastrzeżenia pochodzą od Zuzanny i Paskala. W głębi duszy lękają się trochę swojej tajemnicy, współnictwa. A także tego zostawiania we dwoje, jakkolwiek o tym tylko myślą. Natomiast Iwona chętnie bawiłaby się wciąż w chowanego. Męczy ją to „ojejej” i lubi opowiadać historie... Historie szalone jak jej czupryna...

A przy tym Paskal i Zuzanna nie za każdym razem chowają się w sianie na strychu... Na dłuższą metę stałoby się to wreszcie podejrzone, gdyby ich tak stale nie można było odnaleźć. Paskal pozwala się dopaść w zagajniku po drugiej stronie zamku. Teraz już nie wstydzi się, gdy *go* znajdą. Jest to rodzaj rycerskiej ofiary... Gdy znajdzie się znowu z Zuzanną, w gorącym cieniu strychu, serce mu bije. Wymieniają niezgrabne pieścizoty. Zuzanna przymyka oczy, mówi jakieś dziwne słowa. Nazywa go: „*Darling*”.

— Zuzanno, gdzie byłeś na wakacjach w ubiegłym roku?

Zwleka z odpowiedzią, czerwieni się. Paskal czuje, że jest jej przy nim

nieswojo.

— W Anglii — mówi — przecież wiesz dobrze...

Nic o tym nie wiedział. Ale teraz różne rzeczy stały mu się jasne. To pewnie tam nauczyła się tak bawić? A z kim? Jest zazdrosny. Lepiej nie pytać, nie wiedzieć. Przez klapę w głębi słycać hałasy w stajni. Mały konik Jockey rży cichutko... Paskal nie lubi cierpieć. Chwyta się pierwszego z brzegu pozor, by uniknąć przykrości.

— Dziadek pozwolił twojej mamie — mówi — zaprząć Jockeya do wózka... Wiem o tym, bo słycałem, jak mówił do dzierzawcy... Czy twoja mama umie dobrze powozić?

— Nie wiem — odpowiada Zuzanna aprobując zmianę tematu — nigdy nie widziałam, jak powozi... Matka nic mi nie mówiła...

— Nigdy nie rozmawiasz z twoją mamą, więc nic dziwnego.

— A co mam jej mówić? Nie kochani mojej matki. Paskal jest bardziej zgorzony niż zdziwiony. Zuzanna mówi zawsze „matka”, nigdy „mama”, jak mówią wszyscy. Zapewne, że jest to wytworkniej, ale gdy zobaczy się pana Pailleron...

— A ojca kochasz?

— Nie.

Paskal jest przejęty nie tyle potworną treścią wyznania, ile jego szczerością. Ostatecznie nikt nie jest panem swoich uczuć. Razi go nie to, że Zuzanna nie kocha rodziców. Ale że o tym mówi. Patrzy na nią: leży wyciągnięta, z podkulonymi nogami w czarnych pończochach...

— Zuzanno!

— Co?

— Nie mówisz tego żartem? Naprawdę nie kochasz rodziców?

— A czy ty — szepcze Zuzanna — kochasz swoich?

Ma się rozumieć. Paskal kocha rodziców. Gotów jest na to przysiąc. To znaczy, nawet przez myśl nigdy mu nie przeszło, że mogłoby być inaczej. Nie stawiał sobie takiego pytania. Nagle przychodzi mu do głowy, że przecież nie kocha ich tak bardzo. Czy mu wstyd, że przyznał się Zuzannie do swoich dobrych uczuć, czy wydaje się sobie nagle dzieciakiem, bo powiedział: „Tak, kocham ich”? Waha się, czuje wstyd, a potem z jakimś zdecydowaniem oznajmia wyraźnie:

— Tak, lubię tatusia i mamę... Zuzanna podniosła się, patrzy na niego:

— To nadzwyczajne... — mówi bardzo powoli. On sam czuje wyrzuty sumienia, bo w głębi duszy jasno zdaje sobie sprawę, że nie kocha ani ojca, ani matki. Są mu całkiem obojętni.

— Chcesz przez to powiedzieć, że gwiżdżesz sobie na rodziców? — zwraca się do Zuzanny, której oczy błędzą w pustce.

— Nie — odpowiada. — Nie kocham ich! Nie kocham. Nie cierpię ich. Chciałabym, aby umarli...

Tym razem Paskal jest zaciekawiony. Patrzy na nią, jakby ją widział po raz pierwszy. Potem próbuje myśleć o swoich rodzicach. Oczywiście, nie przepada za nimi, ale gdyby mieli umrzeć... Ojciec... Co by zrobił, gdyby



od niego zależało ich życie lub śmierć? Z egoistycznym przerażeniem myśli o świecie, w którym znalazłby się zabłąkany, samotny. Nie, nie, nie chce śmierci rodziców! Jest jeszcze małym chłopcem, boi się tych myśli nienaturalnych, niemożliwych do wyznania...

— Popatrz, Zuzanno, rozdarłaś pończochę... I jak jeszcze! Prawą. Co powie na to mama?

— Przestań mi mówić o matce. Paskalu! Mówię ci, że jej nie cierpię, nienawidzę!

Dają słowo, ona płacze. Zuzanno, moja mała Zuziu...

Siada bliżej niej na sianie, ona odpycha go, kopie w nogi. Naprawdę płacze... prawdziwe łzy płyną po palcach... Zuzanno! Nagle ona zaczyna się śmiać, trochę pociągając nosem. Co to ma *znaczyć*? Komedia? Ale kiedy komedia? Teraz czy przed chwilą?

— Żartowałam — mówi. I przygląda ręką włosy, wyciera nos. — Czy twoi rodzice już niedługo przyjadą do Sainteville? Ja tylko żartowałam!

Paskal nie wie, co myśleć. Sam przecież o mało nie powiedział tego, co Zuzanna. Nagle przypomina mu się Anglia... On, psiakrew, zawsze nie cierpiał Anglików!

— Jutro przyjeżdżają z Paryża. Dziadek wyjedzie po nich na stację. Już przygotowali dla nich pokój na piętrze.

— Wyjedzie po nich Jockeyem?

— Głupiaś! Powozem „Hotelu Alpejskiego” w Buloz...

Ona myśli już o czymś innym, tuli się do niego, szepcze:

— Zrób mi coś złego!

— Chętnie — odpowiada. — Ale jak?

xxi

Dwie otwarte walizki stoją razem między oknami: czarna, trochę zniszczona, z wypukłym wiekiem, należąca do Piotra, i druga, zielonawa, własność Pauliny.

Wyjęli z nich już mnóstwo rzeczy, trochę na ślepo, i rozrzucili po pokoju, ale nie natknęli się jeszcze na konieczne przybory toaletowe, które Paulina ukryła wśród bielizny Piotra i które, może na to przysiąc, położyła na wierzchu. Suknie piętrzyły się na kanapie obitej materiałem w białe bukieciki; na mahoniowym stole leżały buty, spodnie Piotra, książki mieszały się z gąbkami... Pośród tego wszystkiego krzątała się Paulina z obnażonymi ramionami; byle jak spięte szpilkami włosy odsłaniały jej kark; miała na sobie jasnobrązową halkę z falbankami, rozsznurowany gorset, który ukazywał biust trochę tylko skażony latami.

Paulina — nieznośna, z przymrużonym prawym okiem i niezależnie od tego uniesioną lewą brwią.

Piotr siedział na skraju szerokiego łóża zasłanego czerwoną kapą. Był tylko w skarpetkach; przyglądał się swoim zapinanym na guziki trzewikom i prążkowanym skarpetkom. Zdjął kołnierzyk i krawat, rozbierał się powoli, bardzo zmęczony podróżą. Doprawdy, bez końca jechało się z Paryża do

Sainteville, a potem parę godzin powozem od stacji, pod płonącym słońcem... Sprzeczhali się przez całą drogę. Paulina naprawdę za dużo wydaje i wścieka się, gdy się jej o tym powie... W pociągu wypomniała mu giełdę i Panamę, krzykliwa, ziejąca nienawiścią, zmieniona nie do poznania.

Obiad minął w posepnym nastroju. Wuj postarzał się... Dzieci... były, na szczęście, zdrowe. Dwie świece skąpo oświecały duży pokój o mrocznych kątach i unoszące się w powietrzu ćmy, których Paulina panicznie się boi. Zawsze im dawali ten właśnie pokój. Ale teraz, gdy przyzwyczaili się sypiać oddzielnie, powstało między nimi nagłe skrepowanie, do którego nie chcą się przyznać. Zupełnie różne od zażenowania kochanków, którzy boją się, że się sobie nie spodobają.

— Nie spodziewałam się — rzekła Paulina, starannie układając trzy pudełka szpilek na toalecie — że zastanę w Sainteville istny hotel. Tak jakby wuj nie mógł się bez tego obejść!

— Przecież wiadomo ci, że jest bez grosza.

— No, no. To stary kutwa... I wszędzie pełno tych ludzi! Nie można się ruszyć, aby się na kogoś nie natknąć. To nieznośne! Co to za jedni?

— Jacyś z Lyonu.

— Ona niebrzydka. Widziałam ją. Elegancko ubrana... Pomyślał, że to zapewne skłoniło Paulinę do wydobycia sukien, ale nie odezwał się, bojąc się, że znów zaczną się kłócić, jak w pociągu.

Popatrzył na żonę z pewnym zdziwieniem. Poprzez zmęczenie przebijało niepewne jeszcze pożądanie. Ale wydało mu się niesmaczne tak korzystać z pierwszego wieczoru sztucznie wytworzonej bliskości, a przy tym stały jeszcze między nimi gorzkie słowa, złość nagromadzona przez cały dzień.

„To dziwne — pomyślał — że zawsze najbardziej pożądam jej wtedy, gdy jej nienawidzę”...

W małej, śmiesznej misce, do której trzeba było wlewać wodę z ciężkiego, wyszczerbionego dzbanka w kwiaty, umył sobie brodę i szyję. Trudno wprost uwierzyć, jaki człowiek jest brudny po podróży. Schylony nad umywalnią, widział z boku Paulinę, która stała w blasku świec i zmieniała koszulę. Dzienną koszulę przytrzymała zębami, a tymczasem nocna powiewała w powietrzu nad wzniesionymi ramionami. Ta pensjonarska wstydlivość w trzydziestym trzecim roku życia przejmowała go dreszczem zgrozy. Niepodobna zresztą nie pomyśleć, że w ten sposób dawała mu do zrozumienia, że krepuje ją jego obecność. Westchnął. Paulina była bardzo biała, z ciepłymi refleksami na plecach. Płócienna koszula, kremowa, w drobne fałdki, opadała na nią jak futerał.

Gdy przyszedł położyć się obok niej, stwierdził, że otulona w puchową kołdrę, łokciem wsparta na poduszce, aby trochę przed snem poczytać, jakby przypadkiem zawnawszy się w pościel, odgrodziła się na posłaniu. Wydawało się, że boi się wszelkiego z nim kontaktu. Wobec tego ułożył się ostentacyjnie w pewnej odległości od niej i, jak to było jego zwyczajem, skrzyżował ręce za głową, pod poduszką, z brodą na kołdrze...

Co go w tym właściwie dziwiło? Czyż nie istniała między nimi milcząca umowa? Ale dzisiejszy wieczór był jednym z tych, kiedy różne sprawy, nie wiadomo jak i dlaczego, nabierają uroczystego charakteru, kiedy nie może się wydarzyć nic, co byłoby bez znaczenia, kiedy decyduje się o wszystkim i o niczym. Myślał o ich młodości, o uniesieniach pierwszych lat... Co prawda, ona tylko poddawała się — wiedział to dobrze. Jak życie przeminęło i pozostawiło po sobie uparte i niepokojące uczucie niepełności, melodię, którą podejmuje się stale w jednym miejscu i której zakończenie jest nam niewiadome.

Czuł, że Paulina się poruszyła. Miał ochotę płakać z tego głupiego bezprzedmiotowego smutku. Co oznaczało to pragnienie godne uczniaka? To zwilgotniałe czoło? Ta chęć, by jej dotknąć, pieścić ją?

— Paulino — szepnął nieśmiało. Drgnęła lekko, nic nie mówiąc. Przysunął się do niej.

— O co chodzi? — zapytała.

— Paulino — powtórzył jak w modlitwie. Odwróciła się nagle ze strachem i zawołała:

— Brutal, cóż za brutal!

Nie dotknął jej. Przez myśl mu to nie przeszło. Patrzył na nią ze zgrozą: siedziała teraz z przerażoną miną, z rękami na piersiach trochę tylko bujniejszych niż wtedy, gdy ją poznał. Chciał powiedzieć: „Przecież nawet ciebie-nie dotknąłem...” Ale ona już z płaczem opadła na poduszkę, wyrzucając z siebie szybkie słowa, niespodziane jak letni deszcz:

— To ohydne, ohydne! Dali nam wspólny pokój, a więc... Nie mam już swego łóżka... Mężczyźni są obrzydliwi... Jestem taka zmęczona... Ta okropna podróż... Pociąg...

I nagle pomyślała coś, co było szczytem nienawiści. Odwróciła się i spojrzała prosto w twarz Piotra, który, leżąc na boku, w osłupieniu śledził przebieg tej sceny.

— Ach, tak — powiedziała z pogardą. — Pociąg... już rozumiem. To w pociągu przychodzą wam takie myśli do głowy.

Byłby się roześmiał, gdyby nie dławiała go wściekłość i pożądanie. I absolutnie nie mógł wstać, uciec od niej, pójść sobie... gdzie? Leżeli razem w nienawiści. Nie był człowiekiem zdolnym do wywoływania skandalów, i to w Sainteville! Powiedział tylko:

— Może zgasisz światło?

Zgasić? Odwróciła głowę ku świeczce, po której wspinał się motyl z cielistego jedwabiu, potem, nagle przestraszona, zwróciła się ku tej groźbie, ku leżącemu w pościeli mężczyźnie.

— Zgasić — powiedziała. — Chcesz, abym zgasiała?

Milczenie spadło na nich oboje, niczym rzeczywista sieć.

Szamotali się w niej przez chwilę. Kto pierwszy przerwie to milczenie. Ona.

— Jeżeli życzysz sobie, zgaszę.

— Doskonale — rzekł. — Zgaś i śpij.

Na jej twarzy ukazał się trwożny uśmieszek, który zdziwił Piotra. W tej uldze było coś podłego. Zdmuchnęła świeczkę, niezupełnie jeszcze uspokojona. Szepnęła:

— Dobranoc.

I wtedy zapadły ciemności. Dławiące ciemności, które wciskały się do oczu, ust i uszu. Ciemności, w których czujecie, jak pulsują wam skronie. Ciemności jak szmaty, ciemności upokarzające. Oni dwoje, zamieszkujący te ciemności, odsunięci od siebie najdalej, jak to było możliwe, słyszeli wzajemnie swe przytłumione oddechy. Bardzo szybki oddech kobiety stał się nienaturalnie regularny. Wiedział, że ona udaje. Nie śmiał się poruszyć, z obawy, aby go źle nie zrozumiała; sama myśl o tym raniła go śmiertelnie. Zabiłby ją, gdyby mógł ją dotknąć, zanim cień świadomości tego mógłby się w niej narodzić. Nienawidził jej, nienawidził także siebie. Chciał zmienić pozycję. Czuł skurcz w nodze i zaklął z cicha. Zmieniło to rytm oddechu w ciemności. I kiedy usiłował ostrożnie ująć ręką stopę, aby zbliżyć do pozostałych duży palec, który wydawał mu się boleśnie odstający, jego nieruchome i nieme wargi uformowały bezgłośny wyraz, którego nikt nie zdołałby na nich odczytać: „Kłępa!”

Noc płynęła między ich wrogimi oddechami.

## XXII

— Czy masz wszystko, co ci potrzebne, mój siostrzeńcze?... Prześcieradła, ręczniki...

— Dziękuję, wuju, mam wszystko...

Piotr Mercadier guzdrze się w kąpieli. Mała łazienka w wieży pełna jest pary. Polana w piecyku pryskają jeszcze iskierkami. Piotr, jak zawsze, umył naprzód stopy, potem uda, zamyślił się trochę przy nacieraniu kolan. Spał źle i ciężko. Wściekłość z ubiegłej nocy pozostawiła mu uczucie upokorzenia i ulgi jednocześnie. Jednakże nie myśli już o Paulinie. Jest mu zdumiewająco obca.

Kiedy zrozumiał, że już nie zaśnie, chciał wstać. Ona odwróciła się postępując. Chyba spała mocno. Świt ukazał na jej twarzy zwierzęcy wyraz, który lubił niegdyś, ale który odpychał go dzisiaj. W tym pokoju wszystko powoduje piekielny hałas: podłoga, miednica. Trochę się przecesał, ubrał się... W kuchni stara Marta, sucha i koścista, cała w zmarszczkach, z włosami okrytymi czarną chustką, dała mu gorącej kawy. Niezbyt świetnej, jak zawsze, ale gorącej. Uśmiechała się do niego bezzębnyimi ustami.

To Paskal napompował wody na kąpiel, gdy nie mogło to już obudzić pana de Sainteville. Wuj nie wygląda zbyt świetnie. Skarżył się, że coś mu świzzcze w płucach. Nawet wezwał lekarza i oczekiwał go dzisiaj. Prawdę rzekłszy, to nic nagłego: wuj co pewien czas stale sprowadzał sobie doktora Moreau z Buloz, bo choć go nie cierpiał i wieszał na nim psy, miał do niego zaufanie. Doktor wiedział, że pan de Sainteville nie jest ciężko

chory, zjawiał się jednak; leczył go stale, bo miał po temu powody.

Piotr dumał sobie w kąpieli. Z namydlonymi teraz ramionami rozmyślał, że dziwna jest ta nieunikniona ceremonia, jaką odprawiał, aby się oczyścić. W wodzie jego kosmate ciało wydłużało się. Dość był dumny ze swego owłosienia, chociaż z przykrością stwierdził niedawno, że wysypały mu się włosy i na ramionach. Czterdzieści jeden lat... Dotąd nie dostrzegał swego wieku. Czuł się jeszcze zupełnie młodym człowiekiem, nie zdawał sobie sprawy z upływającego czasu.

Ale w ostatnich miesiącach zauważył w sobie zmiany. Przeobrażenia czterdziestki. Spostrzegł parę oznak starzenia się: mniej młodzieńcza skóra, brzuch rośnie.

Podniósł się w wannie, aby lepiej się umyć. Mocne jego barki tworzyły kontrast ze słabo wyrobionymi rękami intelektualisty. Wypiął tors i wciągnął brzuch. Czy mógłbym się jeszcze podobać? Na pewno mogę się podobać. Na szczęście zęby są zdrowe. Mimo woli pomyślał o bezzębnych ustach starej Marty. Klepnął się po udach, aby upewnić się, że są mocne. Solidnie stał na nogach. Mimo nawet tej drobnej niebieskiej siatki żył pod skórą na łydkach, bo nie były to jeszcze żyłaki. Zapewne uciskały go podwiązki od skarpetek. Bardzo możliwe.

To dziwne. Już czterdzieści jeden lat. Ach, to zmarnowane życie... Nagle ze złością pomyślał o Paulinie. Jak to niepostrzeżenie kruszy się ludzka egzystencja... Pogoda była piękna, w oknie niebieskie niebo przecięte opadającą gałęzią. Marzy się o życiu bogatym, olśniewającym, wypełnionym głębokim uczuciem, o jakiejś wiecznej, stałej wzajemnej kokieterii między kobietą a mężczyzną, którzy, oczywiście, związani są z sobą prawnie, ale dla których rozkosz jest wielką tajemnicą znaną tylko im dwojgu... Marzy mu się... Czterdzieści jeden lat... Czy jest już za późno?

Muszę dbać o siebie, zrobiły mi się fałdy tutaj na udach... Piotr dobrze wiedział, że nie starczy mu zapału do codziennej gimnastyki, ale zawsze z lubością snuł takie projekty, ilekroć przypominał sobie te fałdy na udach. No, nie trzeba przesadzać: gdy się wyprostuje...

Ile człowiek ma pobłażliwości dla swego ciała! Po prostu jest, jakie jest. Trudno pomyśleć, że inni zrzucają odzież i także są, jacy są. To znaczy mężczyźni... Kobiety widział Piotr zawsze nagie, łatwo mógł je sobie wyobrazić. Ale mężczyźni są odpychający. Na przykład wuj. Musi to być ładny widok!

Wuj de Sainteville to swój chłop. Trzeba być klepą, aby nazwać go, jak Paulina, starym kutwą. Łatwo powiedzieć: kutwa! Przecież on nie ma już grosza w kieszeni. Na zamku wisi hipoteka. Dziwne to, że Paulina nie umie przebaczyć ludziom ubóstwa. Byłaby zdolna traktować ich za to jak przestępców. Pieniądze... Oczywiście, nie wiadomo, co myśli o nich wuj Paskal. Był zawsze bardzo miły dla Piotra. Ale któż może wiedzieć, czym podszyta jest ta uprzejmość? Potrzebne mu było to, co płacili za dzieci i co dawali mu jeszcze, gdy oboje z Pauliną przyjeżdżali do Sainteville. Dzięki temu ciągnął jakoś przez lato. Gdyby nie to... Ale czy to naprawdę ma

jakieś znaczenie? Pieniądz dzieli i pieniądz łączy.

Pieniądze przypomniały mu Paryż, gdzie miał swego bankiera, tuż koło placu Gierty; były tam piękne mahoniowe kontuary i miedziane balaski, starannie oczyszczone, błyszczące. Prospekty dotyczące różnych interesów rozłożone były w salonie-poczekalni... Pan de Castro zawsze osobiście przyjmował klientów. Bankier był człowiekiem nadzwyczaj inteligentnym i zapewne bardzo uczciwym. Drobny brunet z siwiejącymi na skroniach włosami. Piotr wiele się od pana Castro nauczył; od niego zaczerpnął pewne określenia techniczne z dziedziny bankowości, bardzo mu przydatne w studiach, jakie prowadził nad systemem Lawa. A sam Law, co za dziwna figura... Dawna myśl opanowała go znowu, gdy wychodził z kąpieli. A jeżeli Paulina wyszła za niego tylko dla pieniędzy? Zakłuło go to w serce, a jednocześnie powiedział sobie w sposób cyniczny, to znaczy w sposób, który on uważał za cyniczny, że okoliczność ta z każdym dniem traci znaczenie, bo z każdym dniem pieniądze jego nieco topnieją...

Nawiasem mówiąc, do tej zapadłej dziury gazety paryskie docierają dopiero po południu. Gazety lyońskie przynosił posłaniec około godziny dziesiątej. Ale tam nie podają informacji giełdowych.

A gdyby tym razem wygrał na tej nowej kombinacji, którą podsunął mu ten diabelski de Castro? Jak zwykle, budował zamki na lodzie, ale nie wierzył w nie, robił to dla samej gry. Bo zapalał się do niej. Tego ranka w jego zamkach na lodzie nie było Pauliny, a jednak błąkała się tam jakaś kobieca obecność... Hojny był dla tej nieznanym, miała bieliznę niczym kokota i perfumy... To bardzo trudno wyobrazić sobie zapachy... Czy ktoś wynalazł kiedy perfumy w pamięci? Tak jak komponuje się muzykę...

O Boże, istnieją ludzie, których nic nie kępuje, którzy udają się tu albo tam, jak im przyjdzie ochota! Przenoszą się do innego miasta, jadą do Nicei, do Włoch. Mieszkają w hotelu, nie trzymają służby. Pozwalają sobie na okres szaleństw, przez całe miesiące bawią się wieczorami, potem mają tego dość. A wtedy unosi ich pociąg lub statek. Piotr zamknął oczy, wyobraził sobie, że jest na morzu.

Głosy bawiących się dzieci wpadły przez okno wraz z ich śmiechem. Piotr mruknął: „Obowiązek”, i zaśmiał się gorzko. Gdy się wierzy w obowiązek, staje się on może racją działania. Ale gdy człowiek w obowiązki nie wierzy, mimo że zbudował na nich całe życie?

Chodzić na koncerty, nie — jak dotąd — po kryjomu, bo to złości swoją żonę, która nie rozumie, że można słuchać muzyki godzinami. Muzyka, w pojęciu Piotra, była największym usprawiedliwieniem jego wybryków myśli. W imię muzyki przebaczyłby sobie nie wiadomo co. Gdy wyobrażał sobie siebie żyjącego samotnie, bez wyrzutów sumienia, właśnie muzyka usprawiedliwiała wszystko. Co prawda, roił też o kasynach, wyścigach, kobietach. Ale wszystko to było zaprawdę tylko długim modulowaniem dalekiej frazy muzycznej.

Powrócił do swego pokoju, aby się przebrać. Trudno ubierać się na wsi tak jak w Paryżu. Jego pani siedziała w łóżku, z tacą na kolanach... Jadła

śniadanie.

— Wczesny ptaszek z ciebie — rzekła. — Byłeś na spacerze?

— Kapałem się.

— Ach, tak?

Była to już pogawędka niemal serdeczna. Piotr włożył krótkie myśliwskie spodnie i sztylpy. Z ulgą patrzyła, że wychodzi. Na jego widok bowiem ze strachem pomyślała, że zechce znów powrócić do swego.

„Właściwie — myślał idąc parkiem (jako cel postawił sobie pójść zobaczyć, co się w Buloz przez ten rok zmieniło) — nasze stosunki są stosunkami natury pieniężnej. Ja płacę za jej suknie, ona rodzi mi dzieci. Trzeba, aby wszystko to szło, aby dzieci rosły, aby przyjaciółki jej zazdrościły, a zwłaszcza ta Deniza; ja zaś czerpię zapewne z tego zadowolenie natury społecznej... Bardzo nieznaczne jak dla mężczyzny w moim wieku... Bardzo nieznaczne, doprawdy...”

Na drodze przykry hałas. Ach tak, to samochód. Jeżeli teraz samochody prześladują człowieka nawet w górach!... Ładny postęp. Ten zbliżał się od strony Buloz. Wóz otwarty, wysoki, lakierowany na brązowo, z szoferem w czarnych okularach, czapce i szarym prochowcu. Zwolnił na widok Piotra.

— Dzień dobry, panie Mercadier!

Był to doktor Moreau. Mój Boże, to on! Kupił sobie tę maszynę. Trzeba nadażać za epoką. Nie jest to jeszcze zbyt praktyczne, ale w każdym razie — jaki zysk na czasie! Gdy chciał ruszyć dalej, okazało się, że motor zaciął się. Doktor wysiadł i z trudem wprawił go w ruch.

— Zdaje się — rzekł Piotr — że ta korba to rzecz niebezpieczna...

— Tak — odparł doktor spiesząc się, aby skorzystać z dobrej woli silnika — można przy tym jak nic złamać rękę...

Pojechał ku zamkowi. Piotr dochodził do pierwszych domów miasteczka. Zapomniał spytać doktora, co słyhać z jego projektem wybudowania sanatorium. Trudno. A czym podszyta jest uprzejmość doktora? Pozornie był po prostu lekarzem wuja.

## XXIII

— Gdzież ona jest, ta Ojejej? — spytała Zuzanna z niezadowoloną miną, jak gdyby zgubiła łyżeczkę do herbaty, i wybiegła z wiejskiego domku. Obmyśliła bardzo zawiłą historię i oto Iwona gdzieś przepadła.

Paskal siedzi w chacie, ale myślami jest daleko. Wycina sobie szablę. Szablami nazywa się tu płaskie, wygięte deseczki, które Paskal wycina i poleruje, jak umie najlepiej; wyczynem w wielkim stylu jest trafienie takim ostrzem w lecącą osę. A potem ucina się jej głowę.

Ktoś skrobie do drzwi, dziwnie przy tym poświstując. To Iwona, oczy jej błyszczą. Wróciła na palcach. Wystroiła się na kłowna; jasny kosmyk spuszczonego na środek twarzy zasłania nawet nos. Wyprawia najrozmaitsze miny i skomli:

— Ojej!

Paskal patrzy na nią niechętnie.

— Nie rozumiem, dlaczego lubisz robić się tak brzydką, tak szkaradną? Przykucnęła koło niego. Zaczyna opowiadanie:

— W kraju, gdzie jada się świeczki, była maślana wieś, której mieszkańcy w nocy zamiast spać płakali... Mieli potem za dnia tysiąc kłopotów z sadzeniem marchwi, która im służyła w lecie za opał... Tak, bo w lecie było zimno w tym kraju, gdzie jadało się świeczki... a na ulicy, na chodniku, siedział mały chłopak w zielonym ubraniu i sprzedawał wstążki... nikt nie chciał kupować...

— Słuchaj, Ojej, twoja bajka jest bardzo głupia.

— Ja opowiadam głupie bajki? Tobie podobają się bajki wtedy, gdy jest tam mowa o królowej, której zginęło koźlątko...

— Ojej, złościsz mnie! Odgarnij włosy. Jesteś brzydka! Iwona, w chwili gdy Paskal najmniej tego oczekiwał, odrzuciła nagle włosy do tyłu i mocno je ściągnęła. Od razu stała się inna i patrzy na małego chłopca z miną, jakiej jeszcze u niej nie widział.

— Zuzanna cię szuka — mruknął.

— Nigdy nas nie znajdzie. Chodź, schowamy się. Będziemy się śmiać. Będziemy się trząść ze śmiechu. Będziemy się bawić przeciwko niej.

To nie jest w porządku, tego się nie robi. Ale jak się oprzeć Iwonie? Jest taka inna od siebie samej. Nie ma już tej miny wariatki, wargi jej są blade.

— Chodź — szepcze mu tuż przy uchu, muska jego twarz: jaką ona ma gładką skórę!

Chowają się wśród cedrów. Używają podstępów godnych trapera. Skradają się od zarośli ku domowi. I tam... słychać w dali głos Zuzanny, wołającej:

— Paskalu! Iwono!

— Musi być wściekła! — mówi Iwona patrząc z ukosa jakby zrobiła coś bardzo podłego. To prawda, niedobrze się stało. Jeżeli chodzi o Paskala, jest prawdziwym zdrajcą. Potępia się w głębi serca. Bardzo podły z niego typ. Sprawia mu to pewną satysfakcję.

— Bawić się w chowanego to w porządku — mówi. — Ale tak...

— Tak, tak — dodaje Iwona — to nie jest zabawa... To bardzo dziwne, że natychmiast stali się współnikami, bez słowa. A gdzie się teraz ukryją naprawdę?

— Tędy — mówi Iwona i pociąga go w dobrze mu znanym kierunku; Paskal z początku opiera się, ale gdy Iwona powtarza: „Tędy”, czuje, że tym niezrozumiałym oporem mógłby zdradzić tajemnicę Zuzanny... Co to, to nie. Pozwala się więc zaciągnąć do stodoły. Iwona idzie prosto do drabiny na strych. Gdy są już na górze w ciemności, Paskal doznaje uczuć, uczuć mieszanych, dziwacznych. Nieswojo mu, że znalazł się tutaj z inną. Iwona mówi półgłosem:

— Ona nigdy, nigdy nie przyjdzie tu nas szukać!

A właśnie! Przecież one obie przysięgły zachować tajemnicę tej kryjówki i oto już druga z nich, bo Zuzanna zrobiła to pierwsza, łamie przysięgę. Jego



męski punkt honoru każe mu udawać, że nic o tym nie wie. A jednak powinien był uciec, nie popełniać tego świętokradztwa. Tutaj Zuzanna i on, to znaczy... Jest bardzo przejęty, podniecony tą grą, której Iwona nawet się nie domyśla. Czuje się ważny, rozumie, że nie powinien stracić żadnego ze stu aspektów tej niezwyklej sytuacji... Jak w teatrze!

Upadli na siano, Iwona mówi głosem pełnym upojenia, głosem, którego nigdy jeszcze u niej nie słyszał:

— Och, długo czekałam na to, aby przyjść tutaj z tobą... Nie miałam odwagi, przysięgam... A odkąd przysięgam, wiedziałam, że cię tu przyprowadzę... wiedziałam, że przyprowadzę cię tutaj właśnie dlatego, że przysięgam... Bo to tak przyjemnie złamać słowo... grzeszyć... Czy ty, Paskalu, mój Paskalu, nie lubisz grzeszyć?

Co ona bredzi? Jej piękne jasne włosy, w cieniu niemal liliowe, włosy delikatne, miękkie... Zawsze jest blada, ale teraz wydaje się, że wszelkie barwy z niej spłynęły. Jaka ona inna od Zuzanny i jaką to jemu sprawia przyjemność...

Odkrywa niejasno to straszliwe upodobanie do odmiany, i które będzie panować nad jego życiem. Czuje, że z Iwoną nie może być inaczej jak z Zuzanną... Jak z innymi dziewczętami później... Nie spieszy się. Dobrze widzi, że ona umiera z chęci pocałowania go. Obejmuje go. Piersi jej już rosną...

— Ach, mój ukochany — mówi — jak długo, długo czekałam na ciebie!

Tarzają się bez końca na sianie, a Paskal myśli o wściekłej Zuzannie, tam w chacie.

W każdym razie żadna z nich nigdy się nie dowie, że obie popełniły wobec siebie jednakową zdradę. Jak on, chłopiec, będzie lawirował między nimi, z jaką przyjemnością będzie tym silniejszym! Iwona bardziej mu się podoba, bo jest nowością. Iwona mówi, mówi bez ustanku.

— Paskalu... mój mały... Cóż mi to szkodzi, że jesteś o rok młodszy ode mnie? Niech się tym Zuzanna martwi. Słuchaj, mnie nikt nie kocha. Dlatego właśnie rozśmieszam wszystkich.

Skrzywiła się, aż mu się zimno zrobiło, i ciągnęła dalej:

— Ale ty, ty nie lubisz mojego małpiarstwa... Wiem... Nie mówisz mi tego, ale ja wiem... ty wolisz moją twarz grzecznej dziewczynki... Widziałam to w twoich oczach... A Zuzanna?... Co myślisz o Zuzannie?

Drażliwy moment. Z dziewczętami trzeba kłamać. Zresztą nie może postępować jak drań... I czego właściwie ona od niego oczekuje?

— Nie wiem — mówi — a po co mam w ogóle o niej myśleć?

Obłudnik. Ona uspokaja się i znów zaczyna:

— Nie lubię Zuzanny... To ona jest wariatka, a nie ja... Ja udaję wariatkę, a ona jest wariatka — mówi kiwając głową.

— Myślisz tak? — pyta Paskal.

Iwona odpowiada z całą powagą:

— To straszna, straszna dziewczyna... I zdolna do wszystkiego...

Zapanowało długie milczenie, a potem Paskal dowiedział się, że to Iwona,

a nie Zuzanna grywa rano w salonie Chopina. Pograżyło go to w osłupienie. Próbował pieścić Iwonę tak, jak nauczyła go Zuzanna. Iwona rozplakała się nagle. Podniósł się zmieszany. I nagle ona, całkiem już spokojna, staje tuż przy nim...

— Chodź! Dosyć na dzisiaj... Ona mogłaby coś podejrzewać. Dziś po południu będziemy się bawić w chowanego.

Gdy przyszedli na dziedziniec, natknęli się na panią Mercadier i dziadka. Podczas gdy dziadek zagadnął go, a Paskal, trochę zaczerwieniony, coś odpowiadał, rozległ się tętent kopyt końskich i turkot powozu. Biały lewek Ganimed wypadł jak strzała, ujadając przeraźliwie, niczym papuga. Paulina zawołała: „Ach!”, ze zdziwieniem; dzieci się obejrzały.

Koń Jockey wbiegł na dziedziniec, cały w płatach piany, ciągnąc za sobą dogcart, w którym na koźle siedział Piotr Mercadier w zmiętym ubraniu i z rozdartym rękawem, obok niego zaś pani Pailleron w białej sukni, bielsza od tej sukni, w kapelusiku na bakier; omal nie upadła, gdy Piotr jednym ruchem postawił ją na ziemi. Uczepiła się jego ramienia, a tymczasem Paulina i pan de Sainteville podeszli zdziwieni. Wtedy pani Pailleron, mocno przytulona do Piotra, wciąż drżąca od niedawnego przerażenia, zwróciła się do Pauliny, która dotąd jeszcze słowa z nią nie zamieniła:

— Ach, pani, pani mąż... Gdyby nie on, zginęłabym... Jest taki silny! Jaka pani szczęśliwa...

Przymknęła oczy, zakręciła się w miejscu i osunęła się na ziemię.

Wszyscy rzucili się ku niej. Mercadier, który tymczasem wyprzągnął konia i miał go odprowadzić do stajni, podniósł zemdloną.

— Szybko, sole angielskie — zawołał hrabia, a Paulina krzyknęła;

— Proszę pani, niech pani oprzytomnieje!

Ale już Piotr dźwignął panią Pailleron i triumfalnie szedł ku gankowi. W półmroku salonu wszystko wróciło do ładu. Pani Pailleron odzyskała przytomność i rzekła do pani Mercadier:

— Co też pani o mnie pomyśli! Tak głupio stracić przytomność...

Teraz dopiero opowiedzieli, co zaszło. Piotr wracał z miasteczka, gdy minął go samochód doktora Moreau wracającego z Sainteville, po czym nagle zobaczył Jockeya, który, nie przyzwyczajony do tych diabelskich machin, stanął dęba i ciskał na wszystkie strony małym dwukołowym powozikiem, tak niepewnym i wywrotnym, a siedząca tam kobieta w białej sukni, blada jak ściana, krzyczała wypuściwszy lejce i nie mając odwagi wyskoczyć. Wtedy...

— Gdyby pani mogła męża widzieć, jak rzucił się do konia!... Właśnie o niego bałam się najwięcej, proszę mi wierzyć! Gdy zobaczyłam, że koń wlecze go ku drzewu... to drzewo stanowiło największe niebezpieczeństwo... Mogliśmy się o nie roztrzaskać... Tam właśnie rozdarł sobie rękaw. I tak...

Piotr zaprotestował. To przecież drobnostka, rzecz zrozumiała sama przez się, każdy zrobiłby to samo.

— Tak — rzekła Blanka — ale pod warunkiem, że miałby pańskie mięśnie

i ramiona...

Paskal z dumą spojrział na ojca. Ojciec ma naprawdę szerokie ramiona.

## XXIV

— Dobra wiadomość... Przyjeżdża twoja matka... Pan de Sainteville potrząsnął listem. Wszyscy siedzieli przy stole, pod drzewami na terasie, w małej bocznej alei; dzień był upalny, a Rozyna z Martą obsługiwały biesiadników. Pan Pailleron, przybyły z Lyonu na niedzielę, domagał się, aby hrabia i Mercadierowie byli jego gośćmi, bo chciał okazać wdzięczność za ocalenie życia Blance, której zabroniono odtąd jeździć samej Jockeyem, ponieważ w okolicy był samochód... Dzieci siedziały wszystkie na końcu stołu, to znaczy od strony zamku, i słychać tam było szcęk talerzy i przytłumione śmiechy. Pierwsze miejsce zajmował hrabia, mając panią Pailleron po prawej, siostrzenicę zaś po lewej stronie. Panowie siedzieli naprzeciw siebie. Nie było to ściśle zgodne z etykietą, ale co tam etykieta! Grunt, że knedelki Marty są jak zawsze doskonałe, a mnie niełatwo dogodzić.

Piotr Mercadier pomyślał, że właściwie dziwny to zwyczaj — tak oto oznajmiać nowinę zawartą w liście, potrząsając nim w powietrzu jako dowodem, który jest niesprawdzalny, bo nikt nie poprosi, aby dać mu go do przeczytania, a przecież może to być równie dobrze rachunek od rzeźnika... Pani Pailleron przechyliła się poprzez wuja Sainteville i spytała Pauliny:

— Ach, więc przyjeżdża szanowna matka pani?...

Tak jakby powiedziała: „Moje gratulacje...” Albo jakby uważała za fakt zastanawiający i pochlebny, że pani Mercadier ma szczęście posiadać matkę, która w dodatku raczy zmienić miejsce pobytu.

Ale nie wcześniej jak w czwartek, piątek — więc Piotr odetchnął z ulgą. Jeszcze parę dni spokoju. Za nic w świecie nie chciałby okazać na zewnątrz swego niezadowolenia z przyjazdu teściowej. Ach, wcale nie ze względu na Paulinę, lecz dlatego że wiedział, jak bardzo wuj jest przywiązany do siostry. Zresztą pozostawi panią d'Amberieux Paulinie. Może to lepiej, że ona przyjedzie. Blanka... Pani Pailleron miała suknię niby wykrochmalony biały obłok, haftowaną w czarne grochy, a przy tym ta swoboda, ten uśmiech... Czarująca kobieta.

Powiedziała mu:

— Chcę, aby poznał pan mego męża... Aby go pan ocenił... Jest to człowiek wielkich zalet... Sam doszedł do tego, co posiada... Polubicie się? Zastanawiałam się nad tym... Tak? Polubicie się, przyrzeka pan... To rzecz postanowiona...

Ganimed i Ferragus, już zaprzyjaźnieni, siedząc grzecznie w odległości dziesięciu kroków, przyglądały się posiłkowi, niby w teatrze... Joanna była niemożliwie hałaśliwa, podniecona, nerwowa i jeżeli się nie uciszy, trzeba ją będzie w końcu odesłać do kuchni. Paskal natomiast w milczeniu wymieniał spojrzenia z Iwoną, tak aby Zuzanna nic nie spostrzegła, i z

Zuzanną, aby nie widziała tego Iwona. Rozmawiano o sąsiednich dworach, o kuzynach Champdargent, o spacerach, jakie można by wspólnie odbyć, gdyby zaprząć do breku... ,

— Czy pani lubi pikniki? — zapytała Paulina.

— Uwielbiam je... Nie w każdym towarzystwie, naturalnie...

— Ja — rzekł Pailleron — byle tylko było dużo ludzi i nie rozbijano butelek po drodze... Na przykład w zeszłym roku, w okolicy Montluel...

Zapanował bardzo wylewny nastrój. Oczywiście, hrabia de Sainteville nikomu na świecie nie pozwoliłby się wyreczyć w przyprawianiu sałaty. Opowiedział sąsiadce miejscowe zdarzenie... Dramat w górach... Pewien wieśniak, proszę sobie wyobrazić, zapalony myśliwy i piękny chłopak, jak się tutaj często zdarza, trochę za chudy... I pewna pani z Lyonu, no proszę, właśnie... Przyjechała do Buloz do swego męża, chorego na płuca, któremu zalecono górskie powietrze... Doktor Moreau leczył go, a jakże, ten sam, co to przeraził Jockeya swoją machiną, tym swoim „puf— puf”... O, to wyborny lekarz, o ile jest lekarzem, bo...

— Zawsze to powtarzasz, wuju, ale jesteś niesprawiedliwy! — zaprotestowała pani Mercadier dobierając z salaterki gofrowany liść sałaty, na którym zatrzymało się parę kropli octu.

W sercu Piotra walczyły sprzeczne uczucia i brzmiał śpiew wypełniający gęste, letnie powietrze.

— Ale co z tym dramatem? — zapytała Blanka Pailleron. — Erneście, uważaj, wiesz, że w południe wino ci nie służy.

— Dramat?... A jakże... Na czym to stanąłem? Mówiłem o doktorze Moreau...

— Podobno buduje sanatorium — przerwał raz jeszcze pan Pailleron, który nie dostrzegł lekkiego grymasu niezadowolenia na twarzy pana de Sainteville. — Czy to nie ściągnie państwu tutaj zbyt dużo... zbyt dużo chorych?

Nie powiedział: „gruźlików”, bo to wyraz nieprzyjemny.

Oczywiście, było ich tutaj z każdym rokiem więcej. Ale przecież Sainteville leży dość daleko od miasteczka, a mając własny park nie od razu odczuje się te zarazki.

Powracając do dramatu...

— Spotykali się w cudownej kaplicy... Wiedzą państwo, tam na górze... w tym czarnym lesie... W wąwozie... Pani jeszcze tam nie była? Nikt się nie domyślał... Święte miejsce... Ludzie przychodzą tam, aby pić wodę ze studni... Jest tam Matka Boska... No, wszystko, co trzeba... On przychodził ze strzelbą... Miał psa... Rudego setera... piękne zwierzę! Oczywiście mąż, z chorymi płucami, nie mógł się tam wspinać.

Biały lewek przypomniał się nagle powszechnej uwadze wściekłym ujadaniem. Rzucono kości obu psom. Ferragus zaniósł swoją gdzieś dalej, w cień, z powolnymi ruchami dzikiej bestii, która przynosi swoim małym ćwiartkę Murzyna.

Jakim właściwie człowiekiem jest ten Ernest Pailleron? Wulgarnym, to

pewne. Paulina osądziła go wedle tego, jak trzymał nóż i w jaki sposób ocierał wąsy, które nazywał bachantkami, proszę sobie tylko wyobrazić!... Ale Piotr umiał nie zważać na podobne drobiazgi... Zastanawiał się przede wszystkim, co łączy tych dwoje, tak bardzo różnych ludzi... Tę subtelną kobietę... Oczywiście, córka... trzynaście lub czternaście lat temu Blanka musiała być bardzo młodziutka... to się zdarza, on zaś na pewno miał wtedy ze trzydzieści trzy, cztery lata... W każdym razie bardzo niedobrana para...

— Trudno nie przypuścić, że ksiądz był wtajemniczony... A w każdym razie musiał się czegoś domyślać... Czy aranżując to liczył na świętość miejsca? Nie wiadomo, co się czasem snuje po księżowskich głowach... My na przykład mamy kuzyna, który jest biskupem, prawda, Paulinko? Och, ja go bardzo szanuję, ale miewa on dziwne pomysły, trzeba przyznać, że dziwne...

— Takie historie podniecają ich — rzekł jowialnie pan Pailleron, mrugając okiem. Zmroziło to wszystkich dokoła. Na szczęście podano kozi ser. Biedny hrabia nie mógł skończyć swego opowiadania; wciąż mu ktoś przerywał. Blanka z wdziękiem położyła mu dłoń na rękę i rzekła:

— Proszę mówić dalej, ja słucham...

Cóż to za uroczą, taktowną kobietą.

Paulina pomyślała, że gdyby nie pewne nieprawidłowości stylu, niewątpliwie wpływ męża, pani Pailleron mogłaby uchodzić za kobietę z towarzystwa. Zresztą, nawet tak, podobała się jej bardzo. Jak na osobę mieszkającą w Lyonie ubierała się nieźle.

Dzieci nie mogły już usiedzieć na miejscu. Więc dobrze, jeżeli chcecie, weźcie sobie owoce i idźcie się bawić. Wróćcie za chwilę... Dzieci nie kazały sobie tego powtarzać, z wyjątkiem Joanny, w której widoczna chęć spania walczyła z pragnieniem, aby pójść ze starszymi dziećmi... Marto, proszę zabrać małą, widzi Marta, że ona już się ledwie trzyma na nogach... Pan Pailleron przywiózł cygara, które dosyć smakują panu de Sainteville. Czy pan Mercadier nie chciałby spróbować? Niech pan sobie wyobrazi, że mój siostrzeniec nie pali.

— Pani doprawdy ma szczęście, droga pani — mówi Blanka do Pauliny.

— Tak, człowiek nie zdaje sobie sprawy ze swego szczęścia.

— Ja — powiada Ernest Pailleron, gdy wreszcie suchotnik bez pardonu zastrzelił dwoje kochanków koło cudownej studni — nie rozumiem, że takie rzeczy mogą się zdarzać jeszcze dzisiaj, skoro istnieją rozwody...

Rozwód! Paulina ściągnęła usta i potrząsnęła głową. Rozwody istnieją może w środowisku Pailleronów, ale nie w jej świecie. Nie powiedziała tego tak wyraźnie, ale wiadomo było, co miała na myśli.

Pan de Sainteville spojrział na siostrzenicę i raz jeszcze stwierdził, że jest idiotka. Szepnął nawet do Blanki, która się uśmiechnęła: '

— Oto prostactwo naszego środowiska...

Ale na pewno wydanie dekretu o rozwodach nie oznacza jeszcze, że rozwody się rozpowszechnią. O ile powinny się rozpowszechnić... Sprawa

to jeszcze nie całkiem dojrzała.

— Są kraje, gdzie wszedł już w obyczaj — rzekł Pailleron — choćby Stany Zjednoczone...

— Tak — potwierdziła Blanka. — Zawdzięczamy temu historię Klary Ward...

Był to aktualny temat, cała prasa rozpisywała się o eks-księżnej de Caraman-Chimay, która uciekła z Cyganem Rigo, porwanym przez nią pewnego wieczoru z wypełnionej ludźmi kawiarni paryskiej.

— Zastanawiam się — rzekła Paulina — co takiego jest w tym pajacu, który, sądząc z fotografii, jest czarniawy, niski i ospowaty...

— O, proszę drogiej pani — odparła Blanka :— bywają niscy mężczyźni pełni uroku... a przy tym fotografie... Aby tak wyrzec się wszystkiego...

— Z wyjątkiem majątku — zakpił Pailleron.

— To prawda, ale czytałam, że ostatnio w Wiedniu, gdzie piękna Amerykanka pojechała ze swoim Cyganem, pokazała ona jednemu z dziennikarzy wspaniały tatuaż na lewym ramieniu, który dała sobie zrobić jako dowód, że tym razem to już na śmierć i życie z Rigiem...

— Cóż za ohyda! — zawołała Paulina.

— Nie wydaje mi się — odparła Blanka. — Nie jestem amatorką tatuażów, zwłaszcza u kobiet, ale gdy się kocha... trzeba może znaleźć mowę zrozumiałą dla człowieka, którego się kocha. Może to była właśnie droga do serca Cygana...

— Bardzo pani wspaniałomyślna, ale to wariatka, i nic więcej — zaprotestowała Paulina. — Wytatuowała się, fe!

— Zresztą Rigo był też żonaty, ale jego małżonka skorzystała z okazji i znalazła sobie innego Cygana, tak że obie sprawy rozwodowe, i państwa Rigo, i księstwa Caraman-Chimay, odbędą się jednocześnie... I znów zaczęto mówić o rozwodach.

— A pan nic nie mówi? — zwróciła się do Piotra pani Pailleron. — Co pan o tym myśli?

— Zaskoczyła mnie pani trochę tym pytaniem... nic o tym nie myślę... Osoby wierzące, jak moja teściowa...

— Zostaw mamę w spokoju — przerwała Paulina. — To naprawdę rzecz szczególna, że kiedy moja matka wybiera się tu przyjechać, co jest nadzwyczaj miło z jej strony, bo zresztą bardzo kocha nasze dzieci, mój mąż zaraz musi mi dokuczać na jej temat...

— Ja? W jaki sposób? Cóż ja powiedziałem?

— No, musi pan przyznać — rzekła Blanka — że chciał pan trochę podrażnić panią Mercadier...

Na próżno protestował. Nic z tego nie rozumiał. Widocznie była to solidarność kobieca... Te panie... Śmiały się...

— O czym mówiliśmy? Ach tak, o rozwodach...

To Pailleron nie mógł się oderwać od tego tematu. Przy nim niepodobna zmienić przedmiotu rozmowy... A zatem rozwody...

— Ja nie wiem — rzekł w końcu Piotr — ale nie rozumiem tego

rewolweru... Gdy się dojdzie do tego punktu, lepiej już wziąć rozwód...  
— Ech, tam! — mruknął pan de Sainteville. — Dawniej ludzie się pojedynkowali... Dzisiaj wolą zabójstwo...  
— Ja — ucięła Paulina — wolałabym śmierć niż rozwód.  
Wszystkie głowy zwróciły się ku niej, a potem oczywiście ku Piotrowi.  
— Rozumie się — rzekła pani Pailleron — gdy kocha się męża... Słyszysz pan, panie Mercadier?  
— Nie o to chodzi — odparła w prostocie ducha Paulina — lecz co ludzie powiedzą...  
— To mogłaś sobie darować!  
— A to dobre! Pan Mercadier pogiębiony! Och, droga pani, mężczyźni są paradni w swej próżności!

## XXV

Panie wyszły po śniadaniu, aby pokazać sobie jakieś fatalaszki. Po krótkiej pogawędce w męskim gronie z kolei pan de Sainteville wycofał się, pod pozorem, że ma pilną robotę.

Pailleron i Mercadier zostali sami.

— To stare przyzwyczajenie — rzekł Piotr. — Wuj odbywa drzemkę po jedzeniu, ale nie chce się do tego przyznać; sądzi, że to go postarza. Ale zawsze między wpół do pierwszej a drugą spada mu jak z nieba masa pilnych zajęć...

Pośmiali się zdrowo z pana hrabiego: jak to gwizdnął na psa, można by pomyśleć, że zamierza obejść swoje włości! Pan Pailleron pokiwał głową:

— Nie mówiąc o tym, że gdyby kto chciał, znalazłoby się dosyć roboty w takim majątku...

— Tak, ale właśnie, że wuj nie chce!

Piotr ciekawie przyglądał się mężowi Blanki. Dziwne były jego wąsy, które — inaczej niż zwykle u mężczyzn — pierwsze zrezygnowały i były już dobrze siwe, podczas gdy krótkie i gęste włosy zachowały jeszcze barwnik młodości. Nie był wyższy od Mercadiera, ale mniej barczysty. Szeroki w biodrach i ruchliwy, Pailleron wyglądał jakby za chwilę miał uruchomić coś bardzo trudnego lub zrobić jakiś kawał. Spojrzenie nie całkiem pewne, ale dość zuchwałe. Twarz zniszczona. Zdjął marynarkę, którą położył na ogrodowym krześle. Miał na sobie niebieskie szelki, koszulę w paski, szeroki jedwabny pas z łańcuszkiem od zegarka — i lekko się pocił. Nos spłaszczony, a na jego skrzydełkach mnóstwo drobnych dziureczek.

— Czy pan pozwoli? — zapytał i zdjął kołnierzyk, a na oswobodzonej wreszcie szyi uwydatniło się jabłko Adama. — Teraz, kiedy panie nas opuściły... — I mrugając okiem dodał: — Nasza mała ma dwanaście lat... Oznacza to dla mnie czternaście lat ze starą.

Pili chartreuse z minami znawców. Trudno było o dwóch ludzi bardziej sobie obcych. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Musiał jednak istnieć między nimi jakiś węzeł, z którego nie zdawali sobie sprawy, gdyż banalna rozmowa, której mogli przecież nie kontynuować, sprawiała im pewną

przyjemność. To, że byli w jednym wieku, czy coś innego...

— Taka podróż z Lyonu, na samą tylko niedzielę, jest chyba bardzo męcząca?

— O tak, zwłaszcza ten stromy i ciężki kawałek drogi końmi od stacji kolejowej. Ale chciałem znaleźć jakiś spokojny kątek dla żony. Ten zamek jest jak wymarzony... Tegośmy chcieli... Wie pan, w jej rodzinie byli do tego przyzwyczajeni... Mnie tam nic nie potrzeba, ale taka kobieta jak ona...

Mówili byle co. Muchy, upał, chartreuse, odgłosy dobiegające z zamku, wszystko to wykolejało swobodną rozmowę. Była w nich niejednaką chęć poznania się nawzajem—Pailleron był szerszy, a jednocześnie bardziej podstępny, w Piotrze było więcej ciekawości. Rozmawiali, bo często w życiu rozmawiamy z ludźmi dlatego tylko, że właśnie są pod ręką, nam zaś nie chce się wstać i uczynić tych paru kroków, które zwróciłyby nam samotność. Nawet przeciwnie! Chwytny się obecności fizycznej rozmówcy. Wreszcie zaczynamy uważać jego oblicze za coś naturalnego. Chcemy zobaczyć na nim aprobatę. Aprobatę czego? Nie wiemy. Wszystkiego i niczego. Siebie.

Czternaście lat z tymi wąsami, z tym spłaszczonym nosem, z tymi szelkami...

Wszystko w rozmowie prowadziło do Blanki. Ponieważ Pailleron patrzył na świat przez pryzmat jej osoby. Nie dlatego, aby był w niej zakochany po czternastu latach małżeństwa! Ona była tym, co pochlebiali mu w życiu, dowodem jego wyniesienia, rodzajem legitymacji, którą lubił pokazywać... A Piotr nie powstrzymywał go na tej drodze. Ernest Pailleron przeszedł na ton zwierzeń.

— Panie Mercadier, wszystko w życiu jest kwestią odpowiedzialności... Zaczynasz jakąś sprawę, idzie łatwo. Ale sęk w tym, aby pchać ją dalej... Powiedział pan sobie: dlaczego nie? Zważył pan wszystkie za i przeciw. Sprawa ma szansę powodzenia. Ale potem przychodzi to codzienne popychanie sprawy... Trzeba uczyć się tysięcy trików, o których przedtem nie miał człowiek pojęcia... Naprzód jest to tylko plan na papierze, ale potem przychodzi już sama rzecz. Życie pańskie zmieniło się. Gdy się człowiek spostrzeże, strach go oblatuje, chętnie by zawrócił, pozwolił wszystkiemu zmarnieć. Ani mowy! Podpisało się. Przyjęło się odpowiedzialność. Nie można powiedzieć, że się żałuje, a jednak... Wtedy zaczyna się zastanawiać... A nie trzeba się zastanawiać. To źle wpływa na żołądek. Zwłaszcza po śniadaniu...

Dokoła czego to dreptał ten wulgarny jegomość, żujący kawałek drzewa, który wystrugał sobie zamiast wykałaczki? W jego słowach były banały, które dla Piotra tak dobrze pasowały do małżeństwa, jego małżeństwa, że powiedział odrzucając papierosa:

— Gdyby nie dzieci...

Tamten spojrział na niego. Naprawdę doszli do zwierzeń. Co prawda, Pailleron nie to właściwie chciał wyrazić. Można to było zastosować i do



małżeństwa, oczywiście. Ale przede wszystkim była to filozofia prowadzenia interesów. Tego Mercadier nie mógł zrozumieć — był nauczycielem; bo człowiek, który gra sobie na giełdzie, nie ruszając się z domu, nie ma pojęcia, co to niepewność i bezsenne noce przemysłowca. Lyończyk przymrużył oczy i ujrzał drgającą w upale, niematerialną plamę jasnej sukni...

— Gdy zobaczyłem po raz pierwszy moją przyszłą żonę — powiedział — przez myśl mi nie przeszło, że się kiedyś z nią ożenię!... Byłem robotnikiem u jej ojca, na przedmieściu Lyonu... Zarabiałem pięć franków dziennie, potem sześć. Byli to państwo całą gębą, mieli folwarki, powozy... Wieczorem widziałem, jak się u nich świeciło... Mieszkałem w brudnym, czarnym hoteliku, w pokoju, z którego by się pan uśmieł... Stołowałem się także w tej budzie... Sierotą zostałem w wieku mojej małej... Byłem parobkiem na folwarku, przy winnicy... A potem, po trochu, po trochu... Gdy widywałem pannę Blanę, śmiech pomyśleć... Nie wydawała mi się nawet kobietą, tak daleki byłem od myśli... To niesłychane, jakim człowiek może być durniem... Robotnik to przecież taki sam człowiek jak inni, no nie?

Było tak gorąco, że w powietrzu unosiła się mgielka. Wielkie pomarańczowe motyle wirowały na skraju lasu. Piotr widział w perspektywie okrągłą wieżę zamkową i jej łupkowy dach. Ten fabrykant, rozmamłany i pogrążony we wspomnieniach swoich początków, tworzył kontrast z wielkopańskim tłem, ale nie z myślami Piotra, który stwierdził, że wprawdzie ludzie wyglądają bardzo różnie, ale potem okazuje się, że wszyscy są diabło do siebie podobni.

— Ojciec Blanki był to bardzo porządny człowiek, trochę słaby... odziedziczył fabrykę... po swoim teściu, który ją zbudował... Ale jakoś dawał sobie radę. Nie był zły dla robotników. Tego nie można powiedzieć. Lubiliśmy go. Ale strwonił majątek. Niech pan zauważy, że tak już bywa... Nikt na to nie poradzi... Chyba że patron sam wszystkiego dogląda... Na nieszczęście, on niczego sam nie pilnował. Liczył na syna. Ale ten... I tak pomału, pomału ja nabrałem znaczenia w ich domu...

Cisza pełna była brzęczących owadów i budujących książek, które dawano Piotrowi kiedyś w dzieciństwie do czytania. Przypomniało mu to bankiera Laffitte, jego początki, i inne pouczające historie. Wznieść się w hierarchii społecznej nie było dla niego ideałem. Pomyślał, całkiem zresztą platonicznie, że jego sympatia kieruje się raczej ku zstępującym, zdeklasowanym... Powiedział coś, aby zapełnić pustkę:

— Dziwne to, jak ludzie przechodzą z jednej klasy społecznej do innej... Jedni idą w górę, drudzy w dół... Ale nie mijają się, jak na schodach.

— Słucham?

— Nic... chciałem tylko powiedzieć... że my wyobrażamy sobie zwykle społeczeństwo tak, jakby składało się z nieprzepuszczalnych komórek, ściśle odgradzonych... a tymczasem odbywa się wymiana, wędrówka... w rzeczywistości klasy społeczne nie istnieją...

— Z jednej strony, ma pan słuszość; a z drugiej... Mówi pan sobie, że nie ma klas, bo pan żył zawsze w jednej i tej samej klasie... Niech pan zauważy, że ja nigdy nie byłem socjalistą, nawet dawniej. Nie. Ale byłem robotnikiem. Wtedy przejrzałem te wszystkie kłamstwa. Te, które mówi się na dole, i te, które mówi się na górze. Z konieczności dzisiaj inaczej patrzę na te *rzeczy*. Tego zazwyczaj brak właśnie patronom, że na te historie nie patrzyli najpierw z innego punktu widzenia. Robotnikom też. Ci znają tylko odwrotną stronę medalu. Naprzód byłem taki jak oni. Dopiero potem zacząłem porównywać. Zrozumiałem. Zmieniłem się. Przyznaję to. I dzięki temu zrobiłem majątek. Widzi pan, gdy spojrzymy na te góry w oddali, wydaje się, że wznoszą się łagodnie wraz z drzewami, a ja widziałem je z innej strony, od Virieux, gdzie opadają stromo i wszędzie prześwituje skała... to panu chciałem powiedzieć... Teraz jestem tutaj...

Było to dziwne: Piotr, którego nic nie obchodzili robotnicy pana Pailleron, czuł się po ich stronie, a przeciw niemu. Ten człowiek musiał być nie lada rekinem; zaczął z niczym, a teraz siedział na pieniądzech. Tymczasem Piotr miał więcej sympatii dla ludzi, którzy się rujnują. Pailleron jest burzumem, jak tyłu innych. Gorszy od innych, bo świeżej daty. Wiadomo, że nie ma gorszego burzumia jak wzbogacony robotnik. Piotr powiedziałby nawet mimo pozornej, tylko pozornej sprzeczności, że nie ma gorszego burzumia jak robotnik w ogóle. Ach, ta kobieta, tak subtelna, tak ładna, nie zasłużyła sobie na podobnego męża...

— Oto co zdarzyło się rodzinie mojej żony, panie Mercadier. Byli to ludzie zupełnie przestarzałych poglądów, a tu już niedługo wkroczymy w wiek XX. Więc trzeba im świeżej krwi, a skąd mają jej wziąć? Świeża krew... Znajduje się ją w fabryce. Takie typy jak ja. Jeżeli są inteligentni, pną się w górę... Znają oni sprawy fabryczne jak własną kieszeń, pojmuje pan... Mój szwagier wcale nie był nicponiem... Gdyby go inaczej wychowali... Ale co pan chce, dla młodego człowieka takie łatwe życie, pieniądze, kobiety — to wielka pokusa... Och, nie był to co się nazywa kobieciarz... Ale nie miał serca do roboty... Najchętniej byłby rzucił to wszystko... Lyon jest miastem, gdzie trzeba mieć mocną głowę... Powie mi pan, że to nic w porównaniu z Paryżem... Wreszcie, gdy się, biedaczysko, zastrzelił, miał dwadzieścia sześć lat; wybuchł wielki skandal z powodu jednej pani, która była w to zamieszana, a jego matka nigdy się już nie otrząsnęła z tego nieszczęścia... Interesy zaczęły iść źle, patron miał co innego w głowie. Zrobili mnie podmajstrzym i pojąłem, że jeżeli nie wezmę się na serio do tego interesu, wszystko rozleci się i w kawałki.

Historia ta była zbyt zawikłana dla Mercadiera. Ernest Pailleron źle opowiadał. Ludzie nieraz tak opowiadają, bo wydaje im się, że ich słuchacze wiedzą już to, co najważniejsze, gubią wątek, rozwodzą się nad szczegółami... Dla Piotra z chaotycznej opowieści tego żywota wynikało coś wręcz odmiennego niż to, co Pailleron uważał za wpływający z niej morał. Profesor był bardzo mało wrażliwy na poezję podmajstrzych, którzy poślubiają córki fabrykantów. Jego pociągało wypatrywanie poprzez słowa

rozmówcy tych patetycznych, nieznanymi twarzami, której zaćmił nieubłagany los, bo na świecie wszystko ulega zawrotnemu rozkładowi. Gdy trzyma się jakiś przedmiot w ręce, ma się czasem ochotę upuścić go, aby zobaczyć cząstki, na jakie się rozpadnie, usłyszeć hałas tej małej katastrofy. Taka perwersja jest częstsza, niż myślimy, u ludzi, nie powiedziałbym, bogatych, bo nie o to chodzi, ale ludzi należących do elity. Odnajduje się takie typy we wszystkich rodzinach; nie brakło ich także wśród Mercadierów, a taki Błażej d'Amberieux, brat Pauliny... Uśmiechnął się na myśl, w jaką pasję wpadłaby jego żona, gdyby wiedziała, że on widzi poezję w ucieczce Błażeja...

— No, myślę, że jużście się nagadali — rzekła Blanka. Weszły obie z Pauliną, trzymając się wpół.

## XXVI

Dziwna dziewczyna z tej Iwony! Nieustannie wyplatała jakieś historie. Zuzanna jest całkiem inna. Znacznie bardziej zamknięta w sobie. Ma inny typ wyobraźni. Dokoła Iwony tworzy się jakiś świat fantastyczny. I dzięki temu daje sobie radę z tysiącem różnych spraw. Z tym na przykład, że jest zaproszona przez panią Pailleron, która daje jej to odczuć. Rodzina Iwony nie ma ani grosza. Ojciec umarł, matka pracuje; Iwona jest w jednej klasie z Zuzanną. Są oczywiście wielkimi przyjaciółkami, ale, szczególnie rzecz, jak te przyjaciółki nie cierpią się wzajemnie. Wśród chłopców sprawy te wyglądają inaczej.

Tak więc Iwona wyprawia swoje „ojejej” i wszystko idzie jak po maśle: pojawiają się czarodziejskie zioła, guziki-talizmany od spodni, zaczarowane nożyczki... Inni przyjmują reguły gry, zapominając o wszystkim innym. Ktoś jest więźniem złośliwych olbrzymów i jeżeli nie zdąży policzyć ziarek w kopcu piasku za kurnikiem, zanim słońce zajdzie w swej bawełnianej szlafmocy...

— Odkądże to słońce nosi bawełnianą szlafmycę?

— Nie nosi jej, lecz tylko nakłada, gdy idzie spać... a jeżeli nie zdąży policzyć tych ziarek, i to nie byle jak, ale naprawdę, o, wtedy wszystko przepadło i ludożercy już przygotowują odpowiedni sos.

A teraz przepis na sos dla ludożerczyni. Dodaje się tam wszystkiego: oliwy, oczywiście octu, ale także parę kropel nafty, trochę ziarek różańcowych, drobno usiekane żywe prosię... łyżę piekarskiej... tak, właśnie piekarskiej... dusić to razem. To rzecz najważniejsza — udusić.

Iwona biega szybciej od Zuzanny, toteż gubią ją po drodze. Ojciec i pani Pailleron, których głosy słyszeć w tyle, nadchodzą bez pośpiechu. Iwona jest sama w polu ze swoim księciem.

— Iwono, dlaczego nazywasz mnie swoim księciem?

— Ot tak, bo w bajkach zawsze jest się zakochaną w księciu... Biedno tu u nas; podaruj mi pałac...

I już w najlepsze opisuje ten pałac. Jest to śmieszny pałac, cały z luster, gdzie bez ustanku można wykrzywiać się do siebie i robić miny. Nie wie

się, gdzie jest lustro, a gdzie pusta przestrzeń. Mówisz do kogoś w prawo, a tu paf, masz go po lewej stronie!

— Zagrasz mi na fortepianie, Iwono?

— W pałacu? Ależ tam można wziąć własną lewą rękę za prawą nogę, sam rozumiesz!

— Nie, nie wyrabiaj przy mnie tych „ojejej”... Chcę, ażebyś mi zagrała tak jak wtedy...

Iwona uśmiecha się. Lubi swoją muzykę, jest to jej wyższość nad Zuzanną. Woła:

— Ach, patrz, jaki śliczny kwiat! I już składa przed kwiatem głęboki ukłon. Przed białym kwiatem wśród zboża.

— To ogromnie miło z twojej strony, panie Kwiecie, że jesteś taki śliczny. Powiem królewiczowi...

— To powój — mówi Paskal, a ona czerwienieje i wpada w złość:

— Powój, co ty wygadujesz? Powój? To przecież wilec... Wilec!

Napawa się tym wyrazem. Paskal próbuje uzasadnić swoje zdanie: to naprawdę powój. Lepiej dałby spokój, bo to może źle się skończyć.

— A ja wolę, aby to był wilec.

No, dobrze, jeżeli ona woli... Cicho, dla samego siebie, Paskal powtarza:

— Wilec, wilec, wilec... — i za karę tak manewruje, że idą wolniej i Zuzanna dogania ich. Zuzanna jest wściekła. Czy musicie tak gnać? Mama i pan Mercadier nie mogą nadążyć.

Ta ostatnia myśl wyprowadza ją z równowagi, ogląda się za siebie, poprawia pończochy, zagryza wargi.

— No to co? Przecież nie zabłądzą?

Nie, ale będzie za późno na śniadanie, a to niegrzecznie wobec twojej matki! Mojej matki? Mojej matki? Przede wszystkim zostaw mamę w spokoju, a po drugie, mama mogła pójść na spacer jak wszyscy inni. A jeżeli taki z niej leń, to trudno...

— Paskalu — strofuje go Iwona — mówisz niczym jakiś Szast-prast...

— A kto to jest Szast-prast?

— To jest Ojejej rodzaju męskiego.

I tak wybrnęli z przykrew sytuacji dzięki temu Ojejej. Iwona okazuje się nawet tak uprzejma, że zbiera kwiaty dla Zuzanny. Podaje jej bukiet ze słowami:

— Patrz, dla ciebie zerwałam ten powój. Zuzanna dziwi się. Przecież to rumianki.

— Dlaczego mówisz, że to powój? Iwona wzrusza ramionami:

— Aby zrobić przyjemność księciu Szast-prast, on wszystko nazywa powojem; poczekajcie, niech zwiążę moje powoje. Nie wiem, która godzina, bo zgubiłam mój powój...

— Głupia jesteś, moja Ojejej!

— Ja? Przecież nikomu nie wmawiam, że rumianki są powojem, mówię, że to maki! Każdą sobie rzepkę skrobie!

Zuzanna nie słucha już. Odwraca się, przykładą rękę do oczu, szuka

wzrokiem matki i pana Mercadier, woła:

— *Mother, mother darling!*

Tak jakby „mamo” nie słychać było na tę odległość!

Gdy wszyscy wracają do zamku, pani Pailleron zrzędzi:

— Dlaczego gnaliście tak, że nie mogliśmy was dogonić?

— Widzisz, mówiłam ci — mówi Zuzanna do Iwony tupiąc nogą.

Od razu odsuwa od siebie niegodną myśl, jaka w niej powstała. Ujmuje nagle rękę matki i całuje. Dziwne dziecko! Blanka patrzy na córkę z pewną czułością, a Paskal zastanawia się, jaką one obie odgrywają komedię?

Papa nie słyszy, co się do niego mówi. Jakby spadł z nieba. Po powrocie nie zajrzał nawet do gazety na kursy giełdowe. Często przystrzyga teraz brodę i nawet ją perfumuje, nie wiadomo czym.

Paulina zauważyła to i rzekła:

— Słowo daję, że ty zaczynasz dbać o siebie, mój drogi! Coś podobnego!

## XXVII

Było to, co powiedział Pailleron. Było i to, czego nie powiedział. On widział przede wszystkim własną karierę społeczną, a Blanka stanowiła dowód, że mu się powiodło. Ale Piotra Mercadier interesowała przede wszystkim zagadka: jak te rzeczy odbyły się między nimi. Usiłował sobie wyobrazić, ale na próżno.

Niewątpliwie Pailleron zjawił się jako zbawca fabryki. Niewątpliwie. Ale to niczego jeszcze nie tłumaczyło.

Nie brał pod uwagę rzeczy najprostszej, najbardziej niewiarygodnej. Że młoda dziewczyna uczuła pociąg do tego jegomościa pełnego energii i stanowczości, tak odmiennego od jej bliskich, od jej bezbronno ojca, od porwanego burzą brata. Nie domyślał się tego, a kto miał mu powiedzieć prawdę? W każdym razie nie Blanka, przede wszystkim nie Blanka, która pragnęła zachować swoją tajemnicę, aby mu się lepiej podobać, i, rzucając podstępne słówka, pozwalała, aby dokoła jej przeszłości narosła jakaś legenda, jakiś romans.

Dzieje się tak zawsze, gdy spotka się dwoje ludzi mających to upajające szczęście, że wzajemnie nic nie wiedzą o swojej przeszłości. Powstaje wówczas silna pokusa, aby wyretuszować życie, które kształtowało się, jak mogło, a nie tak, jakby się chciało. Blanka nie kłamała, ale nie wyprowadzała Piotra z błędu. Dawała do zrozumienia, on zaś skwapliwie podnosił rozproszone liście, po swojemu przemieszczał zwodnicze światelka.

Wyobraził sobie, że w życiu Blanki był inny mężczyzna, że rozegrał się tajemny dramat i że Pailleron skorzystał z niego, że był jego społeczną maską... wyobrażał sobie wszystko z wyjątkiem prawdy. Bo prawdy nie byłby zdolny pojąć. Blanka czuła to niejasno, gdyż Mercadier był przeciwieństwem Paillerona, i to, co stanowiło wielkość Ernesta, było niezrozumiałe dla Piotra.

Dzisiaj, starsza o tych parę lat, mając dom, córkę, Blanka gotowa była

kochać w Piotrze to, co wydawało się jej w nim niszczycielskie i negatywne. W gruncie rzeczy był to jej odwet nad mężem, nad tym upadkiem społecznym, na który niegdyś chętnie się zgodziła. Wybujały indywidualizm! Aż do tego odwrócenia się od polityki, które głosił Mercadier. W tym widziała jego wyższość nad Pailleronem, tak samo jak i w tym, że nie palił cygar. Ach, Ernest dość ją nadręczył tą swoją polityką! Nic zresztą z tego nie rozumiała. Nie była to jej pierwsza zemsta. Ale bywają *rzeczy*, za które nie można się nigdy dość pomścić.

Dni mijały tak, jak mijają tylko podczas wakacji. Zbliżało się Wniebowzięcie. Pan de Sainteville nastawał, aby urządzić wielki piknik w lesie. Jakies opustoszałe ruiny klasztoru stały się pretekstem wyprawy. Jak było ułożone, wzięli brek i dwa konie od dzierżawcy. Powoził parobek z folwarku. Dzień ten spędzili nadzwyczaj miło, wesoło, w serdecznej atmosferze, tylko Paskal i Zuzanna sprzeczali się i doszło nawet do łez.

— Jaka szkoda, że urządziliśmy ten piknik w tygodniu — mówiła w powrotnej drodze pani Pailleron. — Ernest byłby zachwycony.

Paulina ściągnęła wargi i mruknęła:

— Nie wątpię.

Tymczasem pani d'Amberieux wylądowała w Sainteville. Nie wyglądała dobrze, była za czerwona, nogi miała opuchnięte. Paulina, nie mogąc jej zostawiać ciągle samej, zmuszona była dotrzymywać jej towarzystwa.

— Nie widzimy pani Mercadier — biadała Blanka — odkąd przyjechała jej matka! Nie chodzi już na spacer... Jakież to smutne, a przy tym ja... niech się drogi pan nie gniewa, ale kobiecie trudno obejść się bez kobiecego towarzystwa...

— Tak pani sądzi? — spytał zuchwale Paskal, który zbierał grzyby.

Ojciec roześmiał się, klepnął go lekko po głowie i powiedział:

— Lepiej byś zawarł pokój z panną Zuzią zamiast mieszać się do rozmowy starszych!

Rzeczywiście pokłócili się znowu, ale Paskal nie powiedział ojcu dlaczego. Zuzanna dostała ataku nerwowego, ponieważ matka kazała jej wyjść z altany, gdzie dziewczyna marudziła bez powodu, przeszkadzając jej w rozmowie z Piotrem Mercadier. W tym wypadku Paskal stanął po stronie pani Pailleron i rzekł po prostu Zuzannie:

— A jeżeli twoja mama chce zostać sama z moim tatusiem? Ty nie zapraszasz jej z nami na strych, prawda?

Wtedy Zuzanna wpadła w niesłychaną pasję. Byłaby oczy wydrapała temu źle wychowanemu smarkaczowi. Mój tatuś, mój tatuś... Mały dureń! A więc dobrze, Zuzanno, nie będę się już z tobą chował. I ostentacyjnie poszedł z Iwoną.

Piętnastego sierpnia pani d'Amberieux, którą brat zawiózł powozem do Buloz na mszę i która zauważyła, iż nikt z rodziny Pailleron, nawet dzieci, nie wybrał się do kościoła, urządziła wujowi Paskalowi burzliwą scenę. Zanim się wynajmie swój dom obcym ludziom, trzeba, do diabła, zasięgnąć informacji!

— Ależ oczywiście, Mario, zasięgałem informacji... I zapewniam cię, że były bardzo pochlebne... to ludzie niewątpliwie wyplacalni!

— Paskalu, mówisz głupstwa! Przecież nie o to chodzi!

Czy widział kto, aby wprowadzać pod swój dach ludzi bez żadnej moralności i religii? I pozwalać, aby stykała się z nimi twoja rodzina, twoja siostrzenica, dzieci...

*Dogcart* mijał właśnie panią Mercadier z obojgiem dzieci, wracającą do domu. Słońce prażyło jak diabli i Jockey człapał ku cienistemu parkowi.

— Upewniam cię — rzekł wuj — że przesadzasz... To bardzo przyzwoici ludzie... Nie płynie w nich błękitna krew, to prawda, ale... Pani Pailleron pochodzi z całkiem dobrej rodziny...

— Wcale tego nie widać! Nie podoba mi się ta kobieta. Gdzie ona się wychowała? Żeby piętnastego sierpnia nie pójść do kościoła!

— A jakże, a jakże, rozumiem... ale ostatecznie jest to sprawa między nią a Bogiem... Jeżeli jest niewierząca...

— Co też ty wygadujesz, mój panie bracie? Jesteś po prostu parady! Sprawa między nią a Bogiem! Powinna robić to, co wszyscy: pójść na mszę; zachowywać się przyzwoicie, wstawać i siadać w odpowiedniej chwili... A co tam sobie myśli, o to nikt nie pyta!

— Jak to, Mario, więc uważasz, że to byłoby lepiej? To przecież profanacja!

— Radzę ci nic nie mówić, Paskalu, bo ty sam...

— Ach, ja, ja... Przede wszystkim ja reprezentuję rodzinę, zamek, stare szacowne tradycje... więc...

— A czy ci twoi Pailleron nie mieszkają w zamku? Co też sobie muszą myśleć chłopci!

— Przesadzasz!

— Przesadzam? aha, przesadzam! I dlatego zapewne, że przesadzam, mąż mojej córki pozwala jej samej maszerować piechotą... i nie był z nią w kościele.

— Wiesz przecież, że Piotr nie bywa w kościele.

— Zawsze bywał piętnastego sierpnia! Dziś nie był po raz pierwszy od ich ślubu. Nie kiwaj tak głową, bo drażnisz mnie. Paskalu! Wiem, co mówię. Piętnasty sierpnia! To oczywiście zaraźliwe, a poza tym on się wciąż gdzieś podziewa z tą kobietą...

Pan de Sainteville wolał nie słyszeć ostatnich słów. Puścił wolno lejce; droga wznosiła się teraz pod drzewami ku zamkowi i Jockey stracił swoją zwykłą żwawość.

— No, Mario — podjął pan de Sainteville — daj już pokój temu wszystkiemu... Myśl o dzisiejszym wieczorze... O obiedzie...

— O wieczorze? O obiedzie? — spytała stara dama, nagle ułagodzona i robiąc taką minę, jakby nie wiedziała, o czym on mówi. Hrabia lekko się uśmiechnął. Dobrze znał siostrę. Z tego niedbałego tonu wywnioskował, że trafił celnie i że złość już minęła, ustępując miejsca naiwnej radości, która chciała się ukryć.

— Jak to, przecież dziś piętnasty sierpnia... twoje imieniny!

— Moje imieniny! Popatrz, nie pomyślałam o tym! Jak ładnie, że ty pamiętałaś! Zadysponowałaś obiad?

Patrzył na nią trochę złośliwie. I pomyśleć, że pod tym względem Maria nie zmieniła się od czasu ich dzieciństwa ani na jotę! Miał ją przed oczyma jako młodziutką dziewczynę, która udaje, że zapomniała, co oznacza piętnasty sierpnia. Jakże lubiła te swoje imieniny! *Co* roku od miesiąca cieszyła się na nie. Radość dziecinna, ale jakże głęboka. Stanowiła jakby ciągłość jej życia i całą jego słodycz... Niegdyś jej ojciec... potem mąż... Pan de Sainteville rozumiał ją i wzruszało go to; kłócili się z sobą, ale hrabia bardzo lubił tę swoją dużą Marię, starszą siostrę.

— Moje imieniny — powtórzyła. Przechyliła się lekko na bok, z otwartą parasolką ze złotawego jedwabiu na ramieniu. Zmrużyła oczy. Dodała jeszcze: — Ale przynajmniej ten wieczór spędzimy w rodzinie... ściśle w rodzinnym gronie... nikogo obcego...

— A jakże, a jakże — mruknął brat.

Pomyślał jednak, że po obiedzie można by wypić kawę na terasie z panią Pailleron... w ogóle z rodziną Pailleron. Dzieci bawiłyby się razem. A co do niego, dawno już chciał pomówić z Blanką, ostrzec, aby miała się na baczności, ale brakło mu odwagi, gdy tymczasem w cieniach wieczoru, w ciszy zielonej terasy...

— W każdym razie — zawołała pani d'Amberieux zamykając parasolkę — mów sobie, co chcesz, ale mój zięć mógł piętnastego sierpnia pójść do kościoła!

## XXVIII

Do obiadu podano asti, a na deser szarlotkę. Jakaż ta Joanna była hałaśliwa! Paskalowi znowu musiano cztery razy powtarzać, aby nie opierał się łokciami na stole. Dziadek zaśpiewał piosenkę, którą babcia lubiła za młodych lat. Mama miała suknię z krótkimi rękawami i całą masą drobnych falbanek z kremowego tiulu, wykończonych brązową lamówką. Wszystko jest zarazem wesołe i uroczyste. Przyjęcie imieninowe na cześć pani d'Amberieux zawsze odbywa się uroczyście. Babka obdarzała wnuczeta: świat na opak. W tym roku podarowała Joannie neseserek do nauki szycia, z prawdziwymi nożyczkami, które naprawdę cięły, Paskalowi zaś *Naśladowanie Chrystusa* oprawne w czarny safian.

Miły nastrój prysnął po szarlotce, kiedy tatuś wstał i rzekł:

— Proszę mi wybaczyć, ale przyrzekłem Pailleronom, że wypiję z nimi kawę...

Gdyby piorun wpadł do jadalni, obecni nie zbledliby tak mocno. „Oj” — pomyślał Paskal i stwierdził, że ojciec ostro idzie. Pan de Sainteville niewiele się tym przejął, ale znając siostrę wiedział, że sprawa nie ujdzie płazem.

— Mój zięciu — rzekła pani d'Amberieux zrywając się na swoje biedne, chore nogi — mój zięciu, czy straciłeś już resztki poczucia godności?



Piotr Mercadier odwrócił się w swojej marynarce z szarego drelichu, trochę za wąskiej po kilku praniach. Stał już prawie przy drzwiach, w pokoju było jeszcze dość jasno i przez okno wpadało światło barwy dojrzałej czerwieni, plamiąc mu ubranie, jakby właśnie jadł maliny. Gniewny ton teściowej zdziwił go, ale spytał:

— A to dlaczego? — z taką żywością, iż wywarło to, fałszywe zresztą, wrażenie, że czekał na scenę, że jej sobie życzył.

— Piotrze — zawołała Paulina — przecież nie masz zamiaru krzyczeć! Mama obchodzi imieniny!

— Ale to twoja matka, Paulino...

Tego już było za wiele. Pani d'Amberieux wsparła się ręką na ramieniu brata, który zwrócił się w jej stronę, a siedział na prawo od niej. Stara dama zaczęła znowu z pasją, w której mieszały się wszystkie rozczarowania jej życia, jej wdowieństwo, ucieczka syna, mezalians Pauliny i jej własna pogarda dla pozbawionej temperamentu córki:

— Panie Mercadier, czy musiało się to odbyć w starym gnieździe mojej rodziny?... Tak bezwstydnie, bez żadnego względu na moją biedną córkę...

W głosie jej było tyleż łez, ile wściekłości.

— No, no — odezwał się wuj — o ile mogłem zrozumieć...

Tu pani d'Amberieux, dosięgnąwszy szczytu oburzenia, odzyskała siły.

— Jest pan bezwstydnym, bezwstydnym! Pan dobrze wie, co chcę powiedzieć! Proszę, idź pan do tej kreatury, ognisko rodzinne nie pociąga pana, a niepojętą łagodność żony wyzyskuje pan, aby ją oszukiwać!

— Mamo, co ty mówisz?

Teraz przyszła kolej na Paulinę. Wuj podniósł ku niebu bezsilne ramiona, obaj mężczyźni patrzyli na siebie z głupimi minami. Paulina, choć tak ciężko myśląca, nie mogła nie rozumieć, o co chodzi. Z całym dziedzicznym u kobiet niepokojem w gardle spytała:

— Piotrze, to nieprawda? Powiedz, że to nieprawda? Mama się myli!

Groteskowość tej całej historii tak uderzyła Piotra, że czuł się niezdolny do wypowiedzenia krótkiego zdania, które naprawiłoby wszystko. Ograniczył się do wzruszenia ramion. A przy tym za żadne skarby nie chciał ustąpić: postanowił pójść do Blanki, i pójdzie.

Wtedy Paulina wybuchnęła płaczem i zakryła oczy rękami. Mała Joanna, przerażona, podbiegła do niej i z krzykiem utonęła w jej spódnicy. Paskal przyglądał się scenie w milczeniu.

— Przy dzieciach! Przy dzieciach! — huczała pani d'Amberieux z charakterystyczną dla siebie niekonsekwencją. — I trzeba chyba być idiotką, moja biedna Paulinko, żeby tego wcześniej nie zauważyć. Przecież to się rzuca w oczy, ci wstrętnei ludzie afiszują się, a mąż jej zapewne patrzy na to przez palce! Ach, ładne towarzystwo, ładne towarzystwo!

Teraz Piotr stracił cierpliwość.

— Proszę mi wybaczyć, mamo — rzekł tonem, który chciał uczynić sarkastycznym — ale istotnie są tutaj dzieci... i okno otwarte... Proszę więc zrobić mi tę przyjemność i nie krzyczeć, nie mówić głupstw, które położę

na karb wypitego asti, bo dobry ze mnie chłopak...

— To szczyt wszystkiego! — krzyknęła jeszcze głośniejsze pani d'Amberieux.

— Temu potworowi chodzi tylko o to, aby ludzie nie słyszeli krzyków! Moja córka płacze, a mój zięć myśli tylko o swojej lafiryndzie!

— Dość tego! — teraz i Piotr wrzeszczał. — Paulino, wyślij dzieci spać!...

W tym momencie babka stała się wzniosła:

— Spać? Dzieci? W mój wieczór imieninowy? Nigdy! Nastroszyła się jak kwoka.

— Przeczekaj, aż burza ucichnie — poradził siostrzeńcowi półgłosem pan de Sainteville. Usłyszała go pani d'Amberieux i wściekłość jej zwróciła się przeciw bratu.

— Burza! Burza! Stoisz po stronie tego pana i tej kokoty!

— Zabraniam mamie obrażać panią Pailleron — stanowczo oznajmił Piotr, którego też zaczęła ogarniać pasja.

— A więc to prawda? — jęknęła Paulina. — Przecież sam wymienił jej nazwisko! O Boże, jaka ja nieszczęśliwa!

Ta kobieca logika wyprowadziła Piotra z równowagi. Rzekł krótko, hamując złość:

— Nie wiem, która z was jest głupsza i bardziej szalona... Ale ja zrobię to, co mi sprawia przyjemność!

Wyszedł trzaskając drzwiami. Wtedy Paulina zwróciła się do matki:

— Ale czy to w ogóle możliwe, mamó? Co ty wiesz o tej sprawie?

Paulina miała dar wyprowadzania starej damy z równowagi; pani d'Amberieux usiadła, potarła swoje bolące nogi i głośno dyszała, czerwona i niezdolna wymówić słowa.

— No już, już — powtarzał wuj chcąc uspokoić obie kobiety.

Pani d'Amberieux, zaczerpnąwszy oddechu, wybuchła znowu. Tym razem napadła na córkę:

— Głupia! Koronowana oślica! Ślepa i głupia! Jak mogłaś nie widzieć tego! Pod samym twoim nosem... pod samym nosem! Ach, gdybym ja tak postępowała z twoim ojcem! Ale to był przynajmniej piękny mężczyzna; nikt nie śmiał się widząc, że nadskakuje jakiejś kobiecie. Ale ten chłystek, twój mąż... wiesz, że wstyd mi za ciebie! Jeżeli jest się niezdolną utrzymać przy sobie nawet jakiegoś tam kupczyka. Jesteś kobietą czy nie?

Paulina tak była zdruzgotana nowiną o swoim nieszczęściu, że nie zważała na obelgi, które nic jej nie obchodziły; jednakże mocno odczuła tego „kupczyka”, który był naprawdę niewybaczalny.

Wynikła z tego chaotyczna sprzeczka między kobietami, przerywana płaczem Pauliny, a tymczasem pan de Sainteville usiłował wyprowadzić dzieci, które wcale nie chciały iść spać. Pani d'Amberieux nagle to spostrzegła i napadła na brata.

— A więc nic się nie zmieniłeś? Znieść nie mogę tego twego sceptycyzmu!

— Ależ, Mario...

— Tak, tak, rozumiem cię bez gadania, a co do dzieci, to zostaną tutaj! Nie pójdziecie spać, moje skarby... Są moje imieniny czy nie? A poza tym

zostało jeszcze trochę szarlotki i wina!

## XXIX

Paulina była tak daleka od podobnej myśli, że to, czego się dowiedziała, wstrząsnęło nią jak małą dziewczynką. Nie była zazdrosna, brakło jej wyobraźni. W pierwszej chwili, zaskoczona, przyjęła to jako straszne nieszczęście. Nie była ani trochę przygotowana na podobny obrót spraw, więc przeciwstawiała mu jedynie konwencjonalne odruchy i łzy, straszne, gorące łzy istoty pokrzywdzonej.

Powoli, stopniowo doznała w swojej rozpaczynie innego uczucia, które wyrastało właśnie z tej rozpaczynie: rodzaju osłabienia przez ból, zadowolenia z tego, że się cierpi. Nie chce przez to powiedzieć, że Paulina czerpała poczucie swej ważności z faktu swego nieszczęścia; byłoby to krzywdzące... a przecież tak właśnie było, chociaż jasno sobie tego nie uświadomiła... miała zmartwienie, zmartwienie prawie tak ciężkie jak wówczas, gdy straciła córkę, lub wtedy, gdy była jeszcze w klasztorze.

Toteż gdy obiad dobiegał tragicznego i absurdalnego końca, wobec milczących dzieci, wobec hrabiego, który stracił głowę, i wobec tyrańskiej, wzgardliwej matki, jej rad, biadolenia i ataków wściekłości, Paulina kołysała się w smutku i goryczy, nie stawiając sobie pytań, które przysły dopiero później.

Dlaczego było to tak ohydne? Jak to, Piotr ma kochankę? No to cóż? Jakie to dziwne! Daremnie mówić sobie „No to cóż!” To zostaje, gnębi, sprawia ból. Została upokorzona? Tak. To może jest najgorsze... Chciała wierzyć, że to jest upokorzenie. A jeżeli to coś innego? Całe jej życie opierało się na Piotrze, na nieuzasadnionym zaufaniu do niego. Nie pomyślała jeszcze: „A czy ja go o s z u k u j ę?” To była myśl dnia następnego. Pierwszego wieczoru ohyda tkwiła gdzie indziej. Między Pauliną a rzeczywistością była cała masa różnych powiedzeń, wszystkie przeczytane powieści, wiarołomstwa, o jakich wie się z historii, cały świat myśli przyswojonych... Ośmieszające obrazy, jakie okrutny świat kojarzy ze zdradą małżeńską... Paulina nie rozumiała, iż Piotr jest jej obcy, że ona nie cierpi... Więc cierpiała.

Do diabła! To było naprawdę trudne do pojęcia. Co, jak? Piotr i ta Blanka... Nie umiała powiązać tych osób, zrozumieć, że coś je łączy. Stała przed tym, jakby nie była matką trojga dzieci i nie miała za sobą piętnastu lat małżeństwa. Był to ten sam rodzaj absurdalnego zaślepienia, na które cierpią matki nie mogące w żaden sposób uwierzyć, że ich syn jest już dorosłym mężczyzną.

Przez okno mogła dojrzeć pod drzewami na terasie złote punkciki papierosów i słyszeć śmiech pani Pailleron wraz z niewyraźnym zgiełkiem dalekich głosów. Ten Piotr nie wraca. Ociąga się w nieskończoność; tak zresztą było lepiej. Bała się jego powrotu, nie mogła się zdecydować, czy ma powiedzieć mu raczej to czy tamto, zachować się tak czy całkiem inaczej. O Boże, jakież to kłopot! Wykręcała sobie palce, chodziła po

pokoju, zajmowała się głupimi drobiazgami. Przyszyła nawet guziki do jakiejś koszuli Piotra. Potem, wściekła na samą siebie, oderwała je. Piotr! Ach, i ona teraz musi zostać z Piotrem w tym zamkniętym pokoju, w jednym łóżku!

Noc była bardzo ciepła i duszna, jak łąy Pauliny. Noc, kiedy nietoperze latają nisko pod drzewami i nawet któryś z nich widocznie zaplątał się we włosy tej łotrzycy, bo rozległ się tam cichy okrzyk przestachu. Była to noc gorzka, pełna przetrawianych myśli i owadzych głosów. Paulina przypomniała sobie o matce.

Z dziką urazą. Z wyrzutem w sercu. Czy ta stara kobieta musiała zjawić się tutaj i zburzyć spokój córki, zatruć jej życie tymi sprawami? Bo Paulina nic nie widziała; o ile mogła nic nie widzieć... Kto wie, może widziała już od dawna, ale okłamywała się, bo nie chciała cierpieć.

Właśnie jej nienawiść do matki dochodziła szczytu, gdy drzwi się otworzyły i pani d'Amberieux, w nocnej koszuli, liliowym szlafroku i z głową uwieńczoną papilotami ukazała się w pokoju, niosąc świeczkę w ręce. Przyszła zobaczyć, co słyhać. Czy mogłaby w czymś pomóc córce?... Nie, nie mogła jej pomóc, nie mogła nic dla niej zrobić.

Paulina tupnęła nogą.

— Zostaw mnie, zostaw mnie, mogę chyba cierpieć w samotności ten raz, ten jedyny raz...

— Paulinko, moje dziecko, źle robisz! Nie doceniasz swojej matki...

— Mojej matki? Co tu mówić? Przychodzisz, aby znowu mnie dręczyć, aby zmuszać mnie do myślenia o tym, aby wtykać nos w cudze sprawy? Nie mogłaś milczeć? Nie mogłaś zachować tych wszystkich brudów dla siebie? Piękna mi matka! Ach, mamó, mamó!

W nielogicznym porwywie serca łkała teraz w objęciach matki, która uśmiechała się nad jej włosami („No, no, to nic znowu tak straszno"…), triumfująca całą swą opiekuńczą wyższością, z tym odcieniem wzgardy, która zawsze je dzieliła.

Pani d'Amberieux przyszła po wieczornej modlitwie i rachunku sumienia, który utwierdził ją w przekonaniu, że dobrze uczyniła przed Bogiem; pani d'Amberieux przyszła, aby udzielić córce rad i pociech matki chrześcijańskiej. Ale przygotowane słowa, godne i święte, natknęły się na taką słabość, na takie niezrozumienie rzeczy, że w jednej chwili w matce zbuntowała się kobieta.

— Cóż to za niedojda! Nie rozumiem cię, Paulino, doprawdy, nie pojmuję cię! Daję słowo. Ale to ani trochę... Jak to, mąż zdradza cię, a ty masz tylko tyle do powiedzenia? Twój biedny ojciec... Zresztą to nie ma z nim nic wspólnego... Męża trzeba pilnować. Czuwać nad nim. To kosztuje wiele trudu. Wiesz, że mnie zadziwiasz! Zacznę chyba myśleć, że spotkało cię po prostu to, na co zasługujesz... Zacznę rozumieć tego człowieka... Do licha, moja córko, nie masz o niczym pojęcia, żadnego pojęcia...

Paulina z trudem nadażała za powodzią słów. Zrozumiała tylko tę oszołamiającą *rzecz*, że jej matka zamierza bronić Piotra! Więc to tak! A

poza tym, co mają znaczyć pytania, jakie jej zadaje na temat ich pożycia małżeńskiego?

— Czy to siostry augustianki wyhodowały w tobie tę ciekawość?

Córko zuchwała! Nie potrafiła utrzymać przy sobie mężczyzny, jest więc rzeczą naturalną, że matka, która, dzięki Bogu, była zupełnie inną żoną, chciała przyjść jej z pomocą, udzielić dobrych rad. A przy tym trzeba wiedzieć... Pani d'Amberieux ujęła rękę córki i zniżyła głos... Paulina, urażona, zawstydzona, wyprowadzona z równowagi, odsunęła się, uwolniła się od niej i zaczęła płakać w poduszkę.

— Zostaw mnie, mammo! Proszę cię, zostaw! Nie mogę cię znieść! Już dłużej ciebie nie ścierpię! Wstydu nie masz! W twoim wieku! Daj mi spokój!

Pani d'Amberieux, w papilotach, ze świecą, wycofała się do drzwi, rozwścieczana głupotą Pauliny.

— Zapamiętaj sobie, co powiedziałam, moja mała, to dla twojego dobra... Jeżeli mnie nie rozumiesz, tym gorzej... Idę się pomodlić za ciebie. — I na wychodnym dodała: — Jeżeli nie o sobie, to pomyśl o dzieciach.

Wyszła majestatycznie. Półmrok, w jakim została teraz Paulina — jak w teatrze, gdy ktoś wyniesie lampę — uczynił nagle całe przeżycie jeszcze bardziej dręczącym, brudnym i dojmującym. Paulina jak szalona kręci obrączkę na palcu; boi się, boi się powrotu Piotra.

xxx

Świt ukazywał się na oknach, gdy Piotr ustąpił.

Zmagali się przez całą noc. Przemierzali pokój jak skazańcy i mówili, mówili bez końca, a gdy głos jednego wznosił się z serdecznym gniewem, drugie napominało: „Cicho”, wskazując noc dookoła, dom ciężki od uśpionych oddechów, pełen istot gotowych tłumaczyć po swojemu te krzyki, wołania, westchnienia, co mieszały się z dziwną nieruchomością otaczających drzew, w upale, którego nie uśmierzała ciemność.

Wyrzuty, obelgi, łzy...

Najpierw wzbraniał się przed wszelką dyskusją. To było poniżej jego godności. Potem wdał się w dyskusję. Dyskutował tak, jakby bił głową o ścianę. Dyskutował do utraty tchu, na śmierć i życie. Dyskutował wbrew wszelkiej godności, rozsądkowi, dumie.

Skąd czerpała siły Paulina, aby tak ciągnąć i przerzucać Piotra od zaprzeczeń do wypierania się, od przysięg do szalonych protestów? Nic jej nie obrażało, nic jej nie zadowalało, nic jej nie załamywało. Targała własne serce, aby cała rzecz stała się jeszcze gorsza, jeszcze niemożliwsza do przyjęcia, bardziej okrutna i piekielna.

Na próżno bił się w piersi, przysięgał, że to wszystko kłamstwo, domagała się szczegółów, przeczył zaciekle, bronił się i nieustannie wracał do jedyne go ważkiego w jego oczach argumentu, który ona odrzucała jako śmieszny: „Ale przecież mówię ci, że to kłamstwo, że ona nie jest moją

kochanką!" Na próżno mówił, co chciała, groził, prosił, wpadał w obłudne sidła: „Ostatecznie, przypuścimy nawet, że tak jest” — a potem znowu zaprzeczał, gniewał się, o mało jej nie uderzył, plótł jak obłąkany i siadał na łóżku, miał poduszki, znów chodził, wszystko, wszystko na próżno!

Gdy rozpląkała się po raz pierwszy, spojrzął na nią z nienawiścią. Powiedział sobie, że na łzy go nie nabierze. Jaka z niej płaksa! Niech się martwi, jeżeli ma ochotę. To zbyt łatwe: popłakać sobie, drzeć chusteczkę w rękach... Ale wreszcie stało się to nieznośne, nie wytrzymał. Paulino!

Niepojęta była dla niego ta Paulina, Paulina we łzach. Cóż z tego, że jej nie cierpiał, i tak była to Paulina, którą tak kochał, jego dziewczynka, jego szczęście... Nie, błagam cię, nie płacz, nie płacz! Wziął ją w ramiona, kołysał. Odepchnęła go z wściekłością.

Ta drobna klasyczna scenka powtórzyła się przez noc dobre dziesięć razy. Rozbijał się o to regularnie co pewien czas. Niemożliwością było rzecz zakończyć. Mężczyzna jest głupi, sentymentalny i strasznie słaby.

Ale co do meritum sprawy, trzymał się mocno. To jakiś szalony wymysł. Pani Pailleron jest dla niego absolutnie niczym, a nawet jeszcze mniej... Niech mu wierzy albo nie, to nie zmieni postaci rzeczy... A zresztą, czy twoja matka podała ci jakiś dowód albo chociaż jakiś określony szczegół? Nie. Więc ta stara wariatka... No dobrze, dobrze, cofam to słowo, nie chcę cię rozgniewać, twoja matka, po prostu twoja matka, ale powinnaś zrozumieć, że ona wyprowadza mnie z równowagi tym... tym...

Paulina wbiła sobie w głowę pewną myśl, której nie można jej było wyperswadować. Jeżeli Piotrowi nic na tej damie nie zależy, to doskonale; po prostu zerwie się z nią wszelkie stosunki... To łatwo przeprowadzić... Można jej się kłaniać z daleka, bo jest lokatorką wuja... i nic więcej, to wystarczy... Obiecuj, obiecuj, bo inaczej nie będę ci już wierzyła, nie będę mogła ci wierzyć!

Ależ, Paulino! To nie ma żadnego sensu! Jakież by to było niewygodne! Pod jednym dachem! Między ludźmi, którzy się wciąż spotykają; i jak to wytłumaczyć? Nawet ze względu na wuja niemożliwe... No i skoro nic nie zaszło...

Paulina zajadłe stała przy swoim. Próżne wysiłki logiki, przykłady absurdalnych sytuacji, jakie się wytworzą. Ponieważ odmawiał, wracały łzy, oskarżenia... dzieci, życie, zmarnowana młodość... Wszystko zaczynało się na nowo, błakali się w gęstwinach bólu, lata wzajemnego niezrozumienia, przykre sceny... Cały świat ukrytych myśli wyłaniał się z łez, jak wyspa z morza. Gruntowali tę zimną i głęboką nienawiść, dojrzałą w powszednim milczeniu.

Małżonkowie, przerażeni, odkrywali w sobie postępy nieznannej choroby, cierpliwą budowę uraz, tysiące faktów nieświadomie, ale drobiazgowo zanotowanych przez każde z nich, małżeński smutek ukrywany przez grzeczność i przyzwyczajenie. Zatrzymali się na chwilę, jak dwoje zapaśników na odgłos gongu, i dyszeli po ostatnich uderzeniach, które zadali sobie, ogłuszeni, współprzymotni.

Ale Paulina, która tak się bała, gdy sama czekała na zniechęconego męża, teraz nie czuła potrzeby wytchnienia; chciała tylko jeszcze bardziej podeptać życie i tego człowieka, tego wroga, którego ogarniało zmęczenie, w miarę jak upływały śliskie, nieskończone, lepkie godziny. Trzeba jej było zwycięstwa, choćby absurdalnego. Zwycięstwa zarówno nad matką, jak nad mężem. Ujrzała je w tym żądaniu, które może zatruje im dalszy pobyt w Sainteville, ale które z każdą minutą przybliży chwilę jej triumfu. Powtarzam ci, Paulino, że ja się na to nie zgadzam...

Możesz się godzić albo nie, ale jeżeli ta kobieta nie jest twoją kochanką... Mówię ci, że ona nie jest moją kochanką... A jaki mam dowód, że ona nie jest twoją kochanką? A jakież masz dowód, że ona jest moją kochanką? Dowiedz mi, że nie jest twoją kochanką! Och, można zwariować.

Nie zgadzam się, nie zgadzam.

O świcie zgodził się.

XXXI

Paskal przemykał się koło zamku, gdy dosięgnął go głos Iwony:

— Paskalu!

Zawahał się na chwilę. Obiecał. Obiecał, że nie będzie rozmawiał z nikim od Pailleronów, tak, ale co do Iwony... Zawrócił ku niej, upewnił się, że mama nie patrzy przez okno, i zjechał wzdłuż kamiennej omszałej balustrady.

— Dlaczego nie chcesz się już z nami bawić? — spytała od razu Iwona.

Odpowiedział po cichu:

— Chodź, zaraz ci to wytłumaczę... Nie, nie do stodoły...

Pociągnął ją do parku, za źródło, tam gdzie w pierwszy dzień tegorocznych wakacji w Sainteville pisał nożem na drzewie. Był to pięknie ocieniony zakątek, nieco wilgotny, i teraz, po upływie miesiąca, nie tak już ukwiecony.

Bywają rzeczy, które wydają się łatwe do wytłumaczenia; ale gdy trzeba ująć je w słowa... zwłaszcza jeżeli nie chce się powiedzieć wszystkiego o swoim tatusiu... Paskal dość niejasno pojmował, co zaszło. Wolał zresztą nie wyrabiać sobie obrazu zbyt wyraźnego. Granice ciekawości wytyczała mu jego wstydlivość. Wiedział, że mama i papa posprzeczali się, ale jak powiedzieć o tym Iwanie? A bez tego zasadniczego szczegółu cała historia stawała się bardzo niejasna.

— Nie rozumiem cię, Paskalu. Teraz z kolei ty wyczyniasz „ojejej”... No, więc cóż to za tajemnica?

Przyrzekła wszystko, co chciał. Będzie milczeć jak grób. Ale mimo tego nawet wiał się jak piskorz. Z jego słów wynikało, że z jakiegoś nieznanego powodu państwo Mercadier pogniwiali się na państwa Pailleron.

— Pani Pailleron mówiła, że nic nie rozumie.

— Ach, daj spokój, nie rób żadnych plotek...

— Głupiś! Wobec tego będziemy się spotykać po kryjomu...

Była zachwycona. Paskal przestanie widywać Zuzannę, a z Iwoną będą się

spotykali w parku i kryli w górach!

— Tak, ale cała trudność w tym, czy Zuzanna zgodzi się, abym zniknęła na całe godziny!

Łamali sobie głowy nad tę przeszkodę.

— Jacyśmy głupi! A zadania wakacyjne?! To była myśl. Iwonę ogarnie zapał do pracy; zechce odrabiać zadania wakacyjne, sama, na uboczu. Klasnęła w ręce...

— Zagrasz zawsze Chopina, aby mnie uprzedzić, że mam zejść — rzekł Paskal. — Usłyszę cię z daleka... Będiesz wiedziała, że grasz dla mnie.

Mój Boże, jakie to wszystko było romantyczne! Iwona, u szczytu podniecenia, zrobiła jedną ze swoich najszkaradniejszych min. Paskal rzucił się na nią, aby ją ukarać. Potoczyli się na ziemię, w trawę i wilgotne liście.

Pani Pailleron istotnie nic nie rozumiała. Przez dzień, dwa jakoś sobie tłumaczyła zaszłą zmianę. Ale gdy Ernest wyjechał, ściśle odosobnienie Pauliny Mercadier i długie, samotne wycieczki Piotra, na które wychodził o świcie, wydały się jej dziwaczne i niepokojące. W dodatku dzieci też zdawały się gniewać na siebie...

„Jeżeli to on się dąsa — myślała — tym gorzej dla niego! A jego żona? Nie będę się przecież uganiać za nimi!”

Zuzanna płakała i śmiała się z byle czego szalonym śmiechem młodych dziewcząt, który wywiera tak przykre wrażenie. Ostentacyjnie nie mówiła o Paskalu i miała zaczerwienione oczy. Potem nagle zapałała gwałtowną czułością dla matki, co zawsze było bardzo niepokojącym objawem. Iwona pod najrozmaitszymi pozorami ulatniała się, aby odrabiać zadania. Zuzanna zresztą nie zatrzymywała jej. Czytała książki i kręciła się koło matki. Wydawało się, że zamek pogrzyżył się w sen w pełnym rozkwicie lata. Nawet małej Joanny nie było widać.

— A więc przekonał cię? Dałaś się otumanić? — pytała pani d'Amberieux.

— Ponieważ oni nie rozmawiają teraz z sobą, tobie zdaje się, że on cię nie zdradził. Co ja też najlepszego zrobiłam, wydając na świat taką świętą naiwność? Oho, ten pan ma szczęście! Gdybym to tak ja...

Co prawda, Paulina uspokoiła się tylko częściowo. Ale wygodniej jej było udawać, że uwierzyła Piotrowi — w ten sposób zwycięstwo jej było pełniejsze; toteż nieufność matki drażniła ją.

— Daj spokój, mamo, przecież nie mam piętnastu lat...

Piotr Mercadier prawie się nie pokazywał. Przyjął warunki podyktowane mu przez Paulinę, ale nie przyrzekł, że będzie rozmawiał ze „starą”, jak nieuprzejmie nazywał teściową. Przy stole czytał gazetę mimo docinków pani d'Amberieux. Nie czekał na deser, wychodził gwizdząc na Ferragusa, i tyle go widziano.

Najbardziej zmartwiony był tym wszystkim pan de Sainteville. Od niego nie wymagano, aby nie odzywał się do swoich lokatorów; brał od nich pieniądze, więc... Ale spoza firanek jego siostra śledziła, jaki przebieg miała rozmowa. Uważała, że jej brat zbyt cacka się z panią Pailleron.



On uważał sprawę za idiotyczną. Nie był już panem w swoim domu. Taka atmosfera była nie do zniesienia. Zaczął niedomagać, powróciły mu bóle. Wezwał lekarza. Pani d'Amberieux oświadczyła mu, że jest śmieszny ze swoimi doktorami. Jest zdrów jak ryba. To ona powinna by się poradzić lekarza.

— Czy chcesz — zapytał — abym zawrócił doktora Moreau?

Naprzód było wiele krzyku. Doktor Moreau! Doktor Moreau! Czy ja wyglądam na suchotnicę? I zaczęło się!

— Ta biedna Maria gniewa się z lada powodu — rzekł wuj do Piotra. — Nie powinieneś mieć jej tego za złe. To sprawa krążenia krwi. Widzisz, niektóre stare kobiety nie postarzały się zupełnie... Nic o tym nie wiedzą; pobożność ukrywa przed nimi te rzeczy, które tłumaczą ich żarliwą pobożność...

Hrabia widział się z panią Pailleron. A cóż ona mówi o tej idiotycznej sprawie? Czy jakoś to sobie wytłumaczyła?

— Mój siostrzeńcze — odparł pan de Sainteville — muszę wyznać, że z początku trochę przed nią uciekałem... Nie chciałem poruszać tego tematu, zanim przynajmniej ona sama nie zda sobie jakoś sprawy... Ale nie można zawsze kłaniać się tylko z daleka... Gdy przechodziłem obok stajni, zagadnęła mnie z uśmiechem i nazwała mnie zbiegiem! Możesz sobie wyobrazić, jak głupio się czułem. Udawałem, że nie wiem, o co jej chodzi... Zabrałem ją... — W tym miejscu pan de Sainteville, przerażony swoim zuchwalstwem, rozejrzał się wokoło, jakby oczekiwał nagłego zjawienia się pani d'Amberieux. — Zabrałem ją na przejażdżkę Jockeyem. Była jeszcze bardziej urocza niż kiedykolwiek... Nie umiałbym ci powiedzieć... — Skręcili w aleję schodzącą do Buloz. Nagle stary szlachcic zatrzymał się i dał kuku Piotrowi: — Piotrze, tak między nami, przyznaj się, och, nie wymagam od ciebie żadnej niedyskrecji... ale przyznaj, że Paulina miała rację...

— Ależ, wuju, nigdy w życiu, nie ma mowy o niedyskrecji. Przysięgam ci, że pani Pailleron i ja...

— Nie przysięgaj; wierzę ci. To jednak rzecz nadzwyczajna... gdybyś słyszał, jak ona mówiła o tobie... jakże tu potem uwierzyć...

W sercu Piotra zaświeciło jasne słońce.

— Co ona mówiła o mnie? — zapytał głosem tak wzruszonym, że pan de Sainteville spojrzał mu prosto w twarz. Zawahał się:

— No tak, słowo daję... Nic mi nie kazała powtórzyć, a przy tym nie mogę tego zrobić ze względu na Paulinę... W końcu wyznał, że mniej więcej powiedział Blance, o co chodzi. Powiedział niby nic nie mówiąc... Całą winę złożył na biedną Marię... Pobożne kłamstwo, w którym było trochę prawdy.

— A cóż na to pani Pailleron?

— Oczywiście rozgniewało ją to, chciała iść do Pauliny, rozmówić się z Marią... Odradziłem jej... Jeszcze nie teraz, niech czas zrobi swoje... Postanowiła rzecz zlekceważyć; powiedziała, że to wszystko jest komiczne

i że ona nic sobie z tego nie robi, ale że tobie szczerze współczuje...

Piotr tak był całą tą sprawą pochłonięty, że nie zwrócił uwagi na list, który doręczono mu tego dnia. List był od jego komisanta. Castro przesyłał mu rachunek i radził swemu klientowi, zachęconemu sukcesem poprzedniej operacji, aby jak najszybciej, po najwyższym kursie, sprzedał kupione niedawno akcje, polecając odprzedać je przy końcu miesiąca. Castro pisał, że spadają w oczach... straciłoby się... ale mniej niż na czekaniu... To wymagało oczywiście pokrycia różnicy. „Ach, pozwólmy im spadać — pomyślał Piotr. — Kto nie ryzykuje, nie ma nic... a przy tym sprzedać po najwyższym kursie znaczyłoby tyle, co sprzedać najgorzej.”

Najbardziej zadziwiający refleks zamkowej kłótni tańczył po kuchni. Rozyna i Marta przyłączyły się do sporów, których istotną przyczyną była im nie znana, i zawadzając sobie wzajemnie przy rondlach, ciskały w siebie wściekłymi i pogardliwymi słowami, a głośne ich wymysły docierały aż na terasę. Krytykowały wzajemnie swoich chlebodawców i czasem Paskal słuchając ich bał się, że zagłębiają się w szczegóły, które potem wyjdą poza izbę czeladną.

## XXXII

W wielkim łożu pod kolumnkami, odrzuciwszy kołdry, bo było gorąco, z prześcieradłem na nogach, w świetle przymkniętych okiennic, leżeli przy sobie nadzy i zmęczeni, swobodni, bez pragnień, i rozmawiali jak w tych snach, kiedy człowiek zapada się z całym światem w wełnistą chmurę.

W trzydziestym czwartym roku życia Blanka nie miała już młodzieńczego biustu, ale skóra jej odznaczała się połyskiem masy perłowej, który podobał się Piotrowi, gdyż stanowił odmianę po matowej skórze Pauliny; przytulił się do niej, leżącej wysoko na poduszce, tak że jego broda znalazła się w jedwabistym zagłębieniu jej pachy, a głowa na jej uniesionym ramieniu. Lekko gładziła jego ramię, jakby był miłym zwierzęciem, opadła bezwolnie obok niego, jak czynimy w morzu, ufając prawu Archimedesesa, że wyniesie nas na powierzchnię. Jej rozpuszczone włosy spływały jak rzeka starego bursztynu aż na oczy mężczyzny, toteż nie widział jej zielonych oczu zwróconych na wytapetowany sufit.

Odzież na krzesłach, niezgrabna i sztywna, wyglądała jak zakłopotani świadkowie zdarzenia z innej epoki.

— Och — mówiła Blanka — nie wiesz, jak na ciebie czekałam, jak płonęłam z niecierpliwości, pytając samej siebie, czy nigdy się nie zdecydujesz... Dlaczego mężczyźni są aż tak ślepi... Czekasz, czekasz... Czujesz, że on krąży, coś knuje za twoimi plecami. We wszystkim, co robi, chce się podobać, a więc zrozumiał wreszcie! A potem... a potem... jeszcze jeden dzień mija... Dobry wieczór panu! Dobry wieczór pani. Te gorące noce w Sainteville... sypiałam źle... rzucałam się na łożku myśląc o was dwojgu tam, na górze, w waszym pokoju... Dobrze widziałam twoje wzburzenie, nie myliłam się... Ach, głuptasie, głuptasie, zmarnowałeś tyle

czasu!

Przesunęła mu ręką po karku. Piotr kręcił głową jak kot i pod naelektryzowanymi palcami przeżył kark, gdzie włosy miał krótko przystrzyżone. Czuł się niezwykle młodo, tego wieczora miał dwadzieścia lat — mimo zmęczenia, mimo starzejącego się ciała, mimo gęstego owłosienia, tajemnej kłęski, o której nie zapominał ani na chwilę, mimo otłuszczonych bioder i niepokoju, którego nie zaznawał dawniej przy kobietach na myśl o ewentualnych porównaniach.

Rozmawiali półgłosem, czując dreszcz niebezpieczeństwa. Czyż nie byli szaleni, oddając się sobie tutaj, w tym zamku, wśród ogromnych ścian, w pokoju, z którego trzeba będzie przecież jakoś wyjść. Na próżno ona udawała, że ma straszliwą migrenę; służąca przyszła przed chwilą powiedzieć jej coś przez drzwi. A jeżeli w ciężkiej duchocie popołudnia dosłyszała ich stłumiony szept? Tyle ludzi dokoła, skandal...

— Trudno — rzekła — nie mogłam już dłużej; czy w naszym wieku można uprawiać miłość w polu, na kamieniach? A może widzisz nas zajeżdżających do hotelu w Buloz? Mówisz o skandalu... Ale nie było wyboru...

Zresztą oboje lubili niebezpieczeństwo, skrajną nieostrożność swego szaleństwa. Przy tym to średniowiecze dokoła czyniło z niego przygodę kasztelanki i truvera, romancę, co prawda oklepaną, trywialną, jeśli chcecie, ale i mającą w sobie coś szczególnego: te dwa nagie ciała, splecione, wzajemnie sobie ciekawe, kąsane tą samą dziwną namiętnością, której nie odczuliby nigdy, ona — dla bardzo pięknego mężczyzny czy on dla bardzo młodej kobiety, niejasny pociąg do wzajemnej niedoskonałości, odurzający przypadek, który ich połączył... dlaczego właśnie ich, tego nikt się nigdy nie dowie...

— Gdy Ernest wspomniał mi o Sainteville, powiedziałam: „Nie chcę tego twojego zamku z wieżami"... Nie ma wątpliwości, że w każdym razie byłabym sobie tego lata wzięła kochanka; nie mogłam już dłużej... Nie rób takiej miny, moje dziecko, jesteś niemądry: bo ty jesteś kochankiem... Wymarzonym kochankiem mimo twoich czterdziestu jeden lat, brody... i różnych głupstw...

— Dlaczego kłamiesz? Wiem dobrze, o czym marzyłaś...

— Nic nie wiesz... To musiałeś być właśnie (ty; co prawda, nie wyobrażałam sobie ciebie ani tak, ani inaczej... Ale nie wiesz, że jesteś może ostatnim mężczyzną starszym ode mnie, którego mogę kochać... Nie, nie przerywaj! Wiem, że nie jestem jeszcze taka stara, ale mam już dużą córkę, której bardzo się wstydzę... A przy tym zaczynamy się starzeć tak wcześnie... Z każdym rokiem, rozumiesz... Mężczyźni, których kochałam jako młoda dziewczyna, zbliżają się do wieku, kiedy nie można ich już kochać...

— Dziękuję!

— Cicho bądź, nic nie rozumiesz! Bo naprzód starzejemy się w mężczyznach, którzy nas pożądają... Zachowuj się spokojnie, głupcze...

dobrze przyjrzałam się liniom, które już lekko żłobią ci się koło nosa, tym bruzdom biegnącym od powiek... Mówię ci, że masz być cicho! Widzę je inaczej niż ty, kocham je, chociaż to mnie one niszczą, to ja zaczynam umierać w twoim coraz mniej młodym sercu, w...

Rzucił się na jej usta, aby nic już więcej nie słyszeć.

Walczyli przez chwilę; włosy kobiety splotły się z palcami mężczyzny; zawołała:

— To boli! — więc, zawstydzony, przeprosił.

— Czy możesz mi wytłumaczyć — rzekł po chwili milczenia — dlaczego powiedziałaś do Pauliny: „Może pani zatrzymać sobie swojego brodacza”? To sprawiło *mi* przykrość.

Śmiała się z zamkniętymi oczyma.

— Byłam zła na ciebie. Od dzieci dowiedziałam się o tej całej historii...

— Od dzieci?

— Oczywiście, twój syn powiedział dziewczynkom...

Zresztą wiedziałam o waszej kłótni, o idiotycznej zazdrości twojej żony...

— Nie tak znowu idiotycznej...

— Idiotycznej wtedy, nie przerywaj mi ciągle, bo dostaniesz w skórę! A najśmieszniejsza ze wszystkiego jest ta przysięga, że nie będziesz się do mnie odzywał... Po prostu byłam zła.

— Ale to jeszcze nie powód, aby nazywać mnie brodaczem.

— O co ci właściwie chodzi? Trwało to z tydzień, służba już sobie żartowała na nasz temat. Wtedy spotkałam na terasie Paulinę, podeszłam do niej, zdecydowana, aby z tym skończyć, sądząc, że jeżeli powiem jej coś serdecznego, zrozumie może...

— A to świetne! Coś serdecznego!

— Z początku byłam miła, ale nie wyobrażasz sobie, co ta twoja żona... To numer, więc co chcesz...

— Zostaw ją w spokoju, niewiele nam zawadza...

— Po pierwsze, przestań jej bronić. Ale ostatecznie między nami nic nie zaszło. Trzeba było słyszeć jej odpowiedź! Bezczelna! Nagle zaczęła krzyczeć; zrozumiałam, że chodzi jej o jakieś moje intrygi... Wtedy powiedziałam: „Może pani zatrzymać sobie swojego brodacza, bo to i tak nie przeszkodzi mu zdradzić pani, jeżeli mu przyjdzie ochota.”

— Ach tak, tego mi nie powtórzyła. Ograniczyła się do brodacza.

— Mój brodaczu!...

Przerazili się nagle. Mówili głośno i wydało im się, że coś porusza się w ścianach. W takich zamkach pełnych tajemnic nigdy nic nie wiadomo!

— Wiesz — zaczął znowu — ta twoja impertynencja sprawiła, że nagle się zdecydowałem... gdy ona mi to powtórzyła. Chciałem być w porządku. Ale...

— Zarozumialec...

— A przy tym, rozumiesz, przysiągłem... Nie ma nic równie kuszącego jak złamanie słowa...

Odwróciła się, nagle poważna, i spojrzała na niego z bardzo bliska, z

niezwykłą intensywnością. Z tak bliska, że musiała widzieć go podwójnie...  
— Potworze — rzekła — oto jaki jesteś naprawdę!

### XXXIII

— Bądź grzeczny, nie rób takiej złej miny — powiedziała Iwona — to jest, ostatecznie, moja przyjaciółka... Wiesz, w tych dniach zachowuje się jak zupełna wariatka. Nie może pogodzić się z całą tą sprawą. Ty nie chcesz się z nią widywać, a ja znikam pod pozorem odrabiania zadań wakacyjnych. Zostaje więc sama ze swoim zmartwieniem. Wyobraża sobie różne rzeczy. *Jest* smutna. Miewa ataki nerwowe... Nie, nie mów, żeś obiecał swojej mamie. Wiem, że gwizdziesz sobie na to...

Ostatecznie Paskal, „pod warunkiem, że wszystko odbędzie się jakby nigdy nic”, obiecał wybrać się po kryjomu z dziewczynkami na długą wycieczkę w góry; spotkają się koło stawu... Czy zabiorą Joannę? Nie, jest za mała i to kłopot... a zresztą wygada wszystko w domu.

Paskal włożył duży słomkowy kapelusz za cztery su, jakie noszą chłopi. Nogi miał obnażone, ubranie płócienne w białe i niebieskie paski. Uzbroidł się w piękną, własnoręcznie wyciętą laskę o korze nacinanej w ślimacznice, z monogramem na boku. Ponieważ uprzedził w zamku, że nie wróci na śniadanie, dano mu chleba, kielbasy i małe pudełko sardynek. I składany metalowy kubek. O ósmej rano, ze swoim zawiniątkiem przytroczonym u pasa, czekał na dziewczynki przy stawie zarosłym złotobrazową roślinnością. Nie było jeszcze wielkiego upału, ale w polu słychać już było szum owadzi, tworzący jakby jego akompaniament.

Kwiatów jest teraz takie mnóstwo, że uwierzyć trudno, kiedy się później o tym pomyśli! Wyobrażając sobie wieś, mamy zazwyczaj w oczach jakieś dwie czy trzy rośliny. A tymczasem jakież tam bogactwo odmian, ile ziół i roślin!... Paskal miał jeden z tych dni, kiedy jest się wrażliwym na rzeczy drobne, na różnicę między trzema odmianami rumianków ujrzanych na przestrzeni dziesięciu minut. Na przykład te duże kwiaty, przekwitłe już, liliowe czy żółte... co za szkoda, że ich nie widział przed dwoma tygodniami... Lubił te gwiazdy z czarnym środkiem, których nazwy stale zapominał; nie chciał się uczyć botaniki.

— Zanadto lubię kwiaty, aby się o nich uczyć — powiedział do Zuzanny, gdy nadeszła wraz z Iwoną.

Zuzanna wyglądała bardzo mizernie. Na pewno płakała; Paskal poczuł się winny. Ale czy to naprawdę z jego powodu? A jeżeli nie z jego winy, to z czyjej?

Oczywiście Iwona, jak zawsze, taszczyła ich wspólne śniadanie. Zuzanna miała czarno-zieloną plisowaną spódnicę i bluzkę w czerwono-zieloną kratę, tę samą, w której Paskal zobaczył ją po raz pierwszy. Rozmawiali, jakby nic nie zaszło. Poważna rozmowa o Tybecie, o dalajlamie, którego nikt jeszcze nie widział, i o podróżniku Savage Landor. Paskal czytał artykuł w „Lekturze dla Wszystkich”, a Zuzanna widziała lamy w Ogrodzie

Zoologicznym w Paryżu.

Przeszli wszystkie zagajniki — dalej ciągnęły się pola.

Wielkie zielone liście, mięsiste i włochate, czołgały się u stóp ostatnich drzew. Iwona, która milczała, nagle wyciągnęła rękę. Co takiego? Po prostu zwyczajny cień orzecha na brzegu pola obsianego zbożem, cień, który łamał się na kłosach, cień szary jak żelazo na bladym złocie... Iwona powiedziała:

— To ciekawsze od Tybetu...

I zaraz się posprzecziali.

Minęli uprawne pola, pilnie trzymając się wąskich ścieżek między zagonami. Chcieli wejść od razu na górę, aby nie nakładać drogi przez Buloz. Przebyli pierwsze zbocza, podparte i pokreślane niskimi murkami ochronnymi z rudego, porowatego kamienia. Wszędzie krążyły motyle, drobne niebieskie i duże płowe, bielinki kapustmki, słomkowo-żółte.

— Powinienem był zabrać siatkę — rzekł Paskal — ale zapomniałem.

Wspinając się w górę zaczęli rozmowę o motylach. W Lyonie pewien dobry znajomy Pailleronów ma wspaniałe gabloty z motylami. To straszne, że niszczy się najpiękniejsze okazy zabijając je. Białe ze szpilką na korek, trzepoczą się jak szalone, łamią sobie skrzydła, opada z nich cały pyłek. Pewien kolega Paskala miał do uśmiercania motyli pudełko z cyjankiem... właśnie z cyjankiem... Wkłada się je tam, giną bardzo szybko, zanim zdążą zatrzepotać skrzydełkami.

— Cyjanek — rzekła Iwona — ależ to trucizna!... A gdyby się tak pomylił i włożył tam kawałek czekolady...

— Ależ głupia ta nasza Ojejej! — zawołała Zuzanna.

— Od motyli przeszli do znaczków pocztowych. Jeżeli o to chodzi, Paskal miał ich dwa albumy, jeden mały — „Maury”, i duży, wspaniały, czerwony. Miał trójkątny znaczek z Przylądka Dobrej Nadziei, znaczek Helgolandu, z którego był bardzo dumny i który dokładnie im opisał... Doszli do drogi. Zgrzali się podchodząc w pełnym słońcu. Mieli ochotę napić się wody, ale aż do lasu nie było źródła ani studni. Droga wznosiła się powoli, biała, kredowa, ponad doliną, gdzie u stóp Sainteville przycupnęła wioska Buloz. Biegła ku przełęczy, która prowadzi do doliny Romey. Minęli budowę, gdzie robotnicy z Piemontu uwijali się przy fundamentach dużego domu — było to sanatorium doktora Moreau. Paskal z wielką powagą udzielał różnych wyjaśnień na temat gruźlicy.

Zuzanna znów zamilkła i posmutniała. Co jej właściwie było? Przecież są razem, na wycieczce.

— W tych dniach — rzekła nagle — mama wciąż ma migrenę...

Jakby chciała w ten sposób wytłumaczyć swą zatroskaną minę.

— No tak — odezwała się na to Iwona — ale dziś wyjechała Jockeyem, którego zaprzęgli jej do wolanta...

— Żeby tylko znów nie zdarzyło jej się coś złego — rzekł Paskal. — Tym razem nie byłoby już mojego papy...

Zamilkł. Zrobił gafę, a właściwie dwie.

— Och, teraz twoja mama jest ostrożna — odparła szybko Iwona i objęła Zuzannę, jakby chciała ją uspokoić.

— Daj spokój — rzekła Zuzanna odpychając ją. — Jest za gorąco.

Słońce i ten kurz! Iwona włożyła na kark pod kapelusz chusteczkę.

— Wiesz, Paskalu, mógłbyś nieść nasze śniadanie... bądź co bądź, jesteś mężczyzną!

Skrzywiła się lekko, co miało znaczyć: „Gdybyś po tym komplementcie jeszcze odmówił”...

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Paskal — z dziewczętami zawsze ta sama historia... Dawaj ten tłumok!

Droga skręcała wreszcie i biegła teraz w cieniu góry. Tworzyło to jakby wąwóz; zdążali ku lasowi. Leżał tam, przed nimi, czarny, z pokręconymi drzewami, spośród których wystrzelały śmigłe sosny. Mały strumyk przerzynał się pod drogą, bardzo przejrzysty i taki kręty, że przypominał białe smużki kłębiące się w karmelkach.

— Co robisz, Paskalu?

Paskal zeskoczył nagle z drogi i przykucnął przy wodzie. Jakaż pyszna była ta lodowata woda niosąca kamyczki, woda pachnąca górą!

— Chcecie się napić, dziewczęta?

Wypiły dwie duże porcje ze składanego kubka. Spływało to do wnętrza jak coś zakazanego. Było dobre. Czuli się potem, jakby zrobili jakąś psotę.

Iwona biegnie naprzód.

— Będę pierwsza w kaplicy!

Zuzanna i Paskal spojrzeli na siebie. Nie przyjęli wyzwania. Przez chwilę szli w milczeniu, potem Paskal szepnął:

— Zuzanno!

Nie odpowiedziała. Zadarła głowę do góry.

— Zuzanno!

— Co? — spytała.

— Czemu się dąsas?

O, z tą nie było *tak* łatwo! A więc, pana zdaniem, to Zuzanna się dąsa. A ostatecznie —czemu by nie?

— Bo byłeś w stodole z Iwoną...

— A to dobre...

— Nie kłam; ona mi powiedziała...

A zatem nie można ufać Iwonie; jest taka jak wszystkie dziewczęta. W dali Iwona już zwracała się do nich i wołała coś, czego nie słyszeli.

— Biegnijmy! — powiedziała Zuzanna i wysunęła się pierwsza... Gdy dognali Iwonę, uraczyła ich obficie słownikiem „ojejej”, a był on bogaty. Weszli w las i szybko znaleźli się jakby na placu, wydeptanym zapewne przez konie i wozy; ziemia była tam łysa i ubita, przecięta drogą. Na prawu, za dwoma wielkimi dębami, mała kapliczka z dużym dzwonem, szara i biedna, wychylała się spośród gałęzi, a studnia nad wielkim omszałym basenem podobna była do umywalni. W głębi opuszczona szopa z zatarasowanym wejściem i dziurawym dachem, w którym brakowało

słomy, ukazywała szkielet ze zniszczonych desek.

Była to cudowna kaplica. Drzemała tu Matka Boska, do której pielgrzymowano 15 sierpnia i 8 września, a po dniu Wniebowzięcia wały się tu przeróżne odpadki, papiery — materialne ślady pobożności, która przywiodła tam przed tygodniem kaleki, ślepców, gruźlików, zdradzonych kochanków, strapione matki, stare panny, strudzone życiem i oczekiwaniem zmiany, która nie miała nigdy nastąpić.

Dzieci przystanęły. Tyle nasłuchiwały się o tej kapliczce, że miały teraz o czym myśleć. Nagły chłód lasu obudził w nich respekt dla tego miejsca. Ptaki polatywały wśród liści. Poszycie było wysokie i ciemne.

— Zatrzymamy się tutaj? — spytał Paskal.

— A co będziemy robić? — odezwała się Zuzanna.

— Nic...

Iwona zaczęła śpiewać. Miała czysty, ładny głos i lubiła romances. Świeckie słowa zdawały się płoszyć ptaki w tym świętym miejscu. Wielka sroka poderwała się ciężko do lotu; Paskal odczuł to jako profanację.

— Iwono, bądź cicho... Uszanuj kaplicę! Sprowokował ją tym do szalonego śmiechu i nowego popisu w stylu „ojejej”; zaczęła skakać ma jednej nodze poza drzewami, ścigana przez Paskala, potrząsając na boki bujnymi blond lokami, jakby to były ośle uszy.

— No, dosyć tego — zawołała Zuzanna. — Idziemy w góry!

Ale tamtych dwoje zaczęło się bawić; Iwona wymykała się. Paskal o mało nie upadł. Są już przy kaplicy. Zuzanna nie miała ochoty zostać przy tej, jak mówiła, „pielgrzymce”. Coś ją tutaj krępowało. Może chłód.

Pobiegła za nimi. Minęła zamkniętą szopę. Tamci właśnie ją okrążali. Pac! zaczęła sukienką o stary, zardzewiały gwóźdź. Uwalnia się, ale co to się z nią dzieje? Serce jej zamiera. Ucieka pędem od szopy, patrzy rozszerzonymi oczyma na wrota.

— Zuzanno! Zuzanno!

Paskal schwytał Iwonę. Teraz mogą już iść dalej. Ale Zuzanna stoi nieruchomo. Dojrzała coś w mroku kaplicy, w głębi.

— Czy mam pójść po ciebie, Zuzanno?

Nie, nie. Ona idzie, idzie. Szybko chodźmy, chodźmy stąd.

— Co za dziwna dziewczyna z tej Zuzanny — powiedział Paskal do Iwony, gdy już biegli za nią.

Nie dostrzegli za kaplicą Jockeya uwiązanego do pierścienia w ścianie i grzebiącego kopytem ziemię.

#### XXXIV

— Czy już poszli?... Jesteś pewny?... Patrz, jak serce mi bije. Ależ się przeraziłam! Bo przecież... Ale nic nie mogło nas zdradzić. Ach, a może wolant! Albo koń!

— Czyś oszalała? Nie mieli przecież żadnego powodu, aby obchodzić kaplicę. Powóz był dobrze ukryty!



— Och, nic nie wiadomo! Przytul mnie, uspokój... dzieci... to byłoby zbyt straszne! Powiedz, nie mogli nas słyszeć? Nie mogli?

— Aleś ty nerwowa! Nie poznaję cię! Gdybyś wciąż tyle nie mówiła, nic by nie słyszeli...

— Tak myślisz? O Boże!

— Ależ nie, nie! Aby usłyszeć twój szept, musieliby przytknąć ucho do drzwi, a sama wiesz, że nie mieli żadnego powodu, aby to robić!

W mroku szopy, gdzie światło pada przez dziury w dachu, para ludzi wtuliła się w słomę. W powietrzu unosi się pył z lucerny. Serce Blanka uspokaja się powoli.

— I ta historia zabójstwa... nie wiem... ale sam rozumiesz, myśl o tym, co się tutaj kiedyś stało...

— Przecież sama chciałaś tu przyjechać, i to właśnie z powodu tej historii...

— Tak, ja chyba oszalałam! Wbiłam sobie tamtą historię do głowy! Ona też była z Lyonu... Zastanawiam się, jak wyglądał ten chłop...

— Blanko!

— Zazdrość? Drogi głuptasie! Ale czy nie podnieca cię myśl, że kiedy oni byli tutaj, w tym cieniu, gdzie my, drzwi się otworzyły i wszedł mąż... Strzały...

— A może ty boisz się Ernesta?

— Nie udawaj durnia... Gdyby tak poszukać, znalazłoby się może gdzieś jeszcze plamy krwi...

Upłynęło blisko pół godziny, zanim zdecydowali się wyjść. Gdy się podnosili, Blanka powiedziała:

— Widzisz, jak tymczasem niebo się zachmurzyło? Istotnie, światło padające od dachu zmierzchnęło. Było tak samo gorąco, ale duszniej.

Na dworze, gdy Blanka zobaczyła, że Jockey dobrze był ukryty w gęstwinie za kaplicą, uspokoiła się zupełnie.

— Ach, te dzieci! — rzekł Piotr. — Rodzicom zdaje się, że one boją się ich i słuchają. A potem dzieją się takie rzeczy... Powinienem dobrze natrzeć uszu Paskalowi...

— Ale szanowny pan nie może tego uczynić, i całe szczęście. Piotrze, śmiałybyś karcieć syna, gdy ty sam... Zresztą to szkaradnie przeszkadzać dzieciom bawić się razem. Twoja żona... nic nie powiem, ale co myślę, to myślę. Jednakże z twojej strony tchórzostwem jest, że na to pozwalasz...

— Uważasz, że powinienem upominać się o krzywdę dzieci? A my?

— Właśnie powiedziałam ci, że jesteś tchórz. Ale i tak cię kocham... Jockey dreptał pod szarym niebem.

— Boję się, że będzie burza, a dzieci poszły w góry...

— Przecież skryją się w razie czego...

— Ty zawsze umiesz sobie wszystko wytłumaczyć...

A jeżeli burza je zaskoczy?

— A więc chcesz, abyśmy poszli ich szukać czy co? Zresztą nawet nie pomieścilibyśmy się w powozie. Wyszadysz mnie trochę pod parkiem, a

potem objedziesz przez Buloz...

— Tak, mnie zleje deszcz, a tymczasem szanowny pan...

— Wolisz, abyśmy wracali razem albo żebym ja drałował trzy kilometry z Buloz do Sainteville? Oczywiście zawsze wszystko powinno skrupiać się na mężczyźnie... wszystkie kobiety są jednakowe!

Dzieci wspięły się na północny stok wężozu; zamierzały wejść na szczyt od tej strony, zanim natkną się na bagniska, I jak długo się da, iść granicą, ażeby potem zejść na zwykłą drogę Paskala, którą prowadził on już raz dziewczynki i którą można było przebrnąć przez bagna.

Zuzanna była bardzo wesoła, ale jakaś dziwaczna. Śmiała się głośno, ścisnęła Iwonę. Biegła przez cały czas, zrywała kwiaty, porzucała je, uplotła wianek z rumianków dla Paskala i mówiła do niego po angielsku.

— Sam widzisz — szepnęła ukradkiem Iwona — ona jest jakaś nieswoja. Boję się o nią. Boję się...

— Daj spokój — odszepnął Paskal. — Wy, dziewczęta, wszystkie jesteście trochę zwariowane. Jest wesoła. I ma rację.

Nie doszli jeszcze do szczytu, gdy niebo się zachmurzyło. Iwona zwróciła na to uwagę:

— Czy nie będzie deszczu?

— A czy ja wiem? Wydaje mi się, że nie.

— Lepiej byłoby wracać.

— Nigdy w życiu! — krzyknęła Zuzanna. — Ja lubię deszcz! Niech pada, niech pada!

I puściła się biegiem, o ile to było możliwe na stromym zboczu. Byli na bezdrzewnej polanie, na której gdzieś leżały kamienie; pod sobą mieli las w dolinie z niewidoczną kaplicą, a tuż nad sobą, o niecałe sto metrów, kępę świerków na szczycie.

— Ja wolę jednak, żeby nie padało — rzekł Paskal. — Ale gdyby nawet... mamy za sobą bądź co bądź dwie godziny drogi...

— Nawet gdybyśmy wracali biegiem?

— Żeby która skręciła nogę? Dziękuję! Kto będzie was dźwigał na plecach? Po tych słowach, godnych atlety, Paskal ruchem pełnym powagi wydobyl z kieszeni zegarek z oksydowanej stali, dar Joachima Levet-Duguesclin.

— A tymczasem, jeżeli pójdziemy dalej, zajmie nam to trzy godziny — oznajmił. — Nie licząc śniadania. — Potrząsnął zegarkiem. — To idiotyczne, ale moja cebula stoi. W środku coś jakby się tłucze... Stało się to pewnie przed chwilą, gdy się wywróciłem... Jest może za kwadrans dwunasta... Z tym przeklętym słońcem nigdy nie wiadomo...

Paskal oglądał się na słońce z miną bardzo niezadowoloną, naśladując traperę czy też Mohikanina, a czynił to z przesadą, która zawsze rozśmieszała Iwonę.

Od pierwszych drzew na górze wołała Zuzanna. Pospieszyli się.

Chmury zaniepokoiły również panią Mercadier. Ciężkie, duszne powietrze wpłynęło także bardzo niekorzystnie na nerwy jej matki i stara dama stała

się tak niezdolna, że Paulina poprosiła wujka, aby, zanim spadnie deszcz, zabrał panią d'Amberieux na przechadzkę po terasie.

Odetchnęła, gdy została sama, i zabrała się do układania bielizny; Marta wczoraj urządziła pranie. Błysnęło. Paulina drgnęła; jakieś drzwi trzasnęły. Ale deszcz nie spadł. Huczenie gromu dobiegło w długą chwilę po błysku, przygłuszone, dalekie.

Mój Boże, naturalnie Paskal i Piotr muszą być w taki czas poza domem... Burza bywa tutaj raz na całe lato — i właśnie... Czy przynajmniej są razem? Zdecydowała, że są razem, wobec czego uspokoiła się. Zmokną i będą mieli nauczkę. Co za upał. Deszcz przydałby się. Ale wciąż jeszcze namyśla się.

Pani d'Amberieux, wsparta na lasce i trzymając się braterskiego ramienia, również zadrżała, gdy błyskawica smagnęła niebo.

— Burza się oddała — rzekł pan de Sainteville, aby ją uspokoić.

— Takie duszne powietrze bardzo źle wpływa na moje serce, Paskalu; tyle elektryczności w powietrzu... Ciężko mi oddychać, czuję całe ciało... Moje nogi...

— Moja biedna Mario... Ale przynajmniej nie masz żadnych ran?

— Nie, w tej chwili wrzód zasklepił się... Lekarz mówi, że znów się otworzy. Ale żyłki są ogromne.

— Masz ochotę usiąść?

— Jeszcze nie w tej chwili. Trzeba zrobić choćby parę kroków... Moje serce wymagałoby ruchu... a nogi wypoczynku... Chodźmy w stronę pawilonu, dobrze? Zatrzymamy się przy ławce...

Małą, krętą alejką pod cedrami doszli do okrągłej chaty, w której oboje bawili się jako dzieci, a którą kazała zbudować ich ciotka — pamiętali to jeszcze po upływie niemal pół wieku.

— Pamiętasz ciotkę Eudoksję? — spytał stary szlachcic.

— Co za niezwykła kobieta, Paskalu! Była bardzo ładna, nie tak ładna jak mama, ale wielka dziwaczka... Nieraz zastanawiałam się, jaki był ten dramat jej życia, o którym mówiło się w niejasnych słowach...

— Nigdy się nie dowiemy, Mario. Wszyscy ci, którzy znali jej tajemnicę, zeszli już do grobu... Ona żyje już tylko pomiędzy nami dwojgiem... Jego ekscelencja znał ją trochę...

— Została po niej tylko ta chata, którą tak lubiła... Zamykała się tu na całe godziny... Co tam mogła robić?

— Marzyła... Może się modliła?

— Nie! Nie ma tam żadnego świętego obrazu, krucyfiks... mimo witraży w oknach... Może dusza jej została potępiona... Wiele wycierpiała na tym świecie...

— Czy sądzisz, Mario, że gdy się wiele przeszło na tym świecie, trzeba jeszcze cierpieć i na tamtym? Nie wydaje mi się to bardzo sprawiedliwe.

— Jesteś niedowiarkiem, biedny mój Paskalu... Może masz słuszość... Bóg wie, co czyni, a my jesteśmy tylko jego stworzeniami... Może modliła się... może nie jest potępiona ta ciotka Eudoksja...

Pan de Sainteville uszanował milczenie siostry. Jego niedowiarstwo nie miało w sobie nic agresywnego. Uważał, że jeśli pani d'Amberieux znajduje ukojenie w modlitwie, rekolekcjach, w kościele, należy się z tego cieszyć i uszanować to.

Stara dama, siedząc na ławce o niezgrabnym oparciu, przesuwała laską w różne strony kamyki, aby utworzyć z nich krąg. Mówiła dalej z cicha:

— ...Może... Któż wie, czy będzie zbawiony, któż wie, czy nie obraża Boga?

xxxv

Ponad doliną Romey, wzdłuż tego szczytu, o którym marzył, mając przed oczyma nieograniczony krajobraz górski, z którym wiązała się mitologia jego lat dziecięcych, chłopak z dwiema dziewczynkami przyspieszał kroku, gdyż napędziły im strachu dalekie, częste błyskawice. Położenie było niewesołe; udając zupełną beztroskę, wszyscy dobrze czuli, że nie byłoby rozsądne guzdrać się.

Szybko zjedli swoje zapasy, nie czekając, aż dojdą do miejsca, gdzie mogli się napić wody, toteż nie stracili wiele czasu na posiłek, a Paskal nie otworzył nawet pudełka sardynek. Chleb i kielbasa, nie popijane wodą, nasyciły go. W gruncie rzeczy wycieczka wcale się im nie udała.

Jockey nie lubił błyskawic. Piotr musiał go mocno trzymać, aby powściągać jego wybryki. Blanka chciała wrócić przed deszczem, który wciąż jeszcze nie padał. Jechali dość szybko. Tę chwilę wybrał Piotr, aby wypowiedzieć słowa będące oczywiście wynikiem myśli, które zaprzętały go od chwili, gdy wyszli z kaplicy:

— Jeżeli chodzi o mnie, nie tyle ta historia, która rozegrała się tam na górze... chcę powiedzieć, że gdy ty wyobrażałaś sobie tych dwoje ludzi, którzy byli tam przed nami, ja myślałem o czymś innym... nasza historia, widzisz, bardziej przypomina mi coś innego... dzieje Tristana i Izoldy...

— Ogromnie chciałabym usłyszeć tę operę... ale trzeba by jechać do Bayreuth...

— Nie myślę o operze... to historia... miłość doskonała... wobec której wszystko znika, zaciera się... Miłość, jakiej każdy pragnie... Miarą miłości Tristana i Izoldy można mierzyć to, co nam się wydarzyło, żalną rzecz, która nam się przytrafiła...

— Bardzo to uprzejmie z twojej strony! Myślisz, że najlepsze, co możemy zrobić, to zastanawiać się nad niedoskonałością naszej przygody?

— Blanko, źle mnie rozumiesz... Nie możesz być bardziej zazdrosna o Izoldę niż ja o tego chłopca...

— O chłopca nie, ale może o Tristana!

Gdy przejeżdżali obok budującego się sanatorium, zobaczyli wypadający samochód doktora Moreau. Piotr ściągnął lejce, zatrzymał konia, który nerwowo dreptał w miejscu i chciał stanąć dęba, i zwrócił go w bok.

Doktor uklonił się i również stanął.

— Dzień dobry, panie Mercadier! Moje uszanowanie pani! Czy pańska

szkapa zawsze tak samo boi się motorów? No, Jockey, spokojnie, spokojnie! Całe szczęście, że dziś powozi pan Mercadier! Raz jeszcze najmocniej przeproszam za tamto wydarzenie, szanowna pani... Jadę, aby popatrzeć, jak postępuje praca... Będziemy mieć sześćdziesiąt pojedynczych pokoi... Położenie wymarzone dla chorych na płuca...

Grzmot wraz z oślepiającą ognistą paprocią, która smagneła górę, buchnął nagle z ogłuszającym hukiem i Jockey tym razem naprawdę stanął dęba. Piotr walczył ze zwierzęciem. Pożegnali się szybko z doktorem, któremu spieszo było na budowę, i powóz potoczył się drogą.

— Uderzył gdzieś blisko — rzekła Blanka w potokach ulewy, która ściekała jak długo powstrzymywany pot. Blanka przytuliła się do Piotra. Szepnęła:

— Dzieci!

Tymczasem w zamku Paulina przeraziła się usłyszawszy grzmot. Zgiełk, który zdawał się na dwoje rozłupywać świat. Z tej strony, na którą wychodziło jej okno, nie widziała błyskawicy, lecz tylko jej daleki odbłask. Wychyliła się i zawołała:

— Mamo! Wuju! Na próżno — nie mogli jej słyszeć, a że spadły na nią pierwsze krople ulewy, cofnęła się gwałtownie. Trzeba było wszystko zamknąć, nie dopuścić do przeciągów, bo one sprowadzają pioruny. Na zamku był gromochron, ale Paulina nie wierzyła w gromochrony. Wychowano ją w strachu przed tymi wizytami o dziwacznej marszrucie, jakie piorun składa w ludzkich domostwach, biegnąc wzdłuż rurociągów, rzucając się zwłaszcza na lampy, dosięgając stołu, a potem, niczym żywa istota, wypadając przez drzwi. O Boże, a Piotr i Paskal... jakie to straszne! Pani d'Amberieux wstała, ale wobec takiej ulewy nie mogła myśleć o przejściu przez terasę. Wraz z bratem schroniła się w pawilonie. Burza znowu zahuczała.

Pani Mercadier wraz z Martą rozniecała na kominkach suty ogień, gdy wszedł Piotr, przemokły do nitki w swojej beżowej drelichowej marynarce, ciemnobrązowej od deszczu; z brody ściekała mu woda.

— Gdzie byłeś? Wysusz się... Podam ci zaraz suchą bieliznę. Gdzie byłeś?

— Oczywiście, na dworze. Burza zaskoczyła mnie niedaleko parku. Nagle Paulina przypomniała sobie:

— A Paskal? Gdzie jest Paskal? Czy Calino nie był z tobą?

— Ależ nie! Mam nadzieję, że jest gdzieś niedaleko.

— Co ty możesz o tym wiedzieć? O Boże, tracę głowę! Gdzie się mógł podziąć ten mały? Myślałam, że jesteście razem, a on nie był z tobą?...

— Nie był! Widocznie gdzieś się skrył. Nie denerwuj się tak od razu! Straszliwe uderzenie gromu z zygzakiem godnym Sądu Ostatecznego zagłuszyło słowa Pauliny.

— Boję się! — krzyknęła. I rzuciła się w ramiona męża. Ale był zupełnie przemokły. Myślał nie o Paskalu, lecz o Blance, samej na drodze, z Jockeyem...

Gdy odbity w dolinie huk przewalającego się gromu ucichł, usłyszeli stuk

kopyt końskich na bruku terasy. Paulina spojrzała w okno i zobaczyła wjeżdżający *dogcart*, a w nim Blanę.

— Popatrz — rzekła — ta również musiała porządnie zmoknąć... Ale to jej tylko dobrze zrobi... Zdaje mi się, iż nie powinni już dawać jej Jockeya po... po...

Zwróciwszy oczy na Piotra, zobaczyła, że jego oczy wyrażają tak skupione, tak głębokie zainteresowanie widokiem pani Pailleron, że doznała wstrząsu i oblała ją fala gorąca.

— Nie patrz na tę kobietę — rzekła. Piotr wzruszył ramionami i usiadł przy ogniu.

— Braciszku — mówiła w pawilonie pani d'Amberieux, patrząc, jak po witrażach spływa strumieniami namiętna letnia ulewa — braciszku, po co właściwie żyjemy na ziemi? Ty możesz żyć nie stawiając sobie tego pytania?

— No, przecież trzeba, a jakże...

— A ja nie mogę. Póki jesteśmy młodzi, o niczym nie myślimy. Ale zastanów się nad swoim życiem, moim, naszej mamy... Wszędzie ta pustka... Wszystko to wydawało się niegdyś zawierać jakiś sens... Czy myślisz, że ja urodziłam się po to, aby wydać na świat tę idiotkę Paulinę i tego łotra Błażeja? A potem? A potem żylaki i powiększenie serca... Gdy czujemy, że to wszystko zmierza ku końcowi, chcemy znaleźć dla siebie jakąś wymówkę, jakieś uzasadnienie... Tobie tego nie trzeba? To nie jest żadnym argumentem! Obchodzisz się bez tego do czasu... Jesteś młodszy ode mnie. I nie wiadomo, czy któregoś dnia, może już wkrótce, nie odczujesz tej potrzeby... wtedy właśnie odkrywa się Boga... Boga, który nadaje sens wszystkiemu... Boga, z którym rozmawia się wtedy, gdy nie rozmawia się już z nikim... Bo, widzisz, starzy ludzie gawędzą ze wszystkimi, ale nie rozmawiają z nikim, i wreszcie nie mogą już znieść tej samotności...

— Słuchaj, Mario...

— Nie, nie, pozwól mi mówić... Zdaje mi się, że w tę burzę mogę z tobą pomówić, z tobą... dlatego że niegdyś tutaj... ciotka Eudoksja... kiedy bawiliśmy się z kuzynami Champdargent...

Niebo jeszcze huczało i przesywały je świetliste gałęzie błyskawic.

Paulina stanęła jak słup soli, gdy drzwi jadalni otwarły się i weszła pani Pailleron, przemoknięta do nitki — ta kobieta ośmiela się tutaj pokazywać!

— Pani... — zaczęła. Piotr, który siedział przy ogniu, podniósł się. — Niech pani wybaczy to wtargnięcie — rzekła Blanka, nie patrząc na Mercadiera, tym falsetem, którego Paulina nie mogła ścierpieć — ale muszę pani powiedzieć, że dojrzałam z daleka synka państwa z dziewczynkami, jak wspinali się na górę, a było to co najmniej przed godziną... Chciałam się więc dowiedzieć, czy już wrócili...

— Paskal? Z kim?... Ach, nic nie wiedziałam... Nie, nie wrócili...

Sprzeczne uczucia walczyły w Paulinie. Piotr odezwał się oficjalnym tonem, jakim posługiwał się w szkole:

— Schronią się gdzieś i przeczekają...

— Dzień dobry panu! Czy nie uważa pan, że należałoby coś przedsięwziąć?

W tej chwili, na szczęście, zahuczały grzmoty.

— Ale co robić? — rzekł Piotr. — Rozsądniej jest zaczekać...

Wszystko to razem tworzyło scenę wielce kłopotliwą.

### XXXVI

Jednakże położenie dzieci nie było tak tragiczne. Burza zaskoczyła je tuż po śniadaniu. Od pierwszej chwili, ku zdziwieniu Paskala, okazało się, że z dwu dziewczynek bardziej boi się Iwona, która krzyczała na widok błyskawic i zakrywała sobie oczy. Zuzanna więcej niż kiedykolwiek podobna była do kotki: zdawało się, że trzaskające pioruny przynoszą jej ulgę. Natychmiast przemokli do nitki.

Niepodobieństwem było dalej trzymać się nagiej grani, więc zbiegli na przeciwne zbocze, pod drzewa, gdzie posuwanie się ku stronie północnej nawet w zwykłym czasie nie było zbyt łatwe. Tam, gdzie drzewa rosły gęściej, zatrzymali się na chwilę, aby zaczerpnąć tchu, jako tako osłonięci od deszczu. Potem znów naprzód przed siebie — pada mniej, nie wolno się guzdrać! A tu znów błyskawice i huk, jakby świat się walił.

Ziemia pod nogami prawie natychmiast zaczęła tonąć w wodzie, strugi łączyły się i rozchodziły podmywając grunt. Gdyby nie to, spróbowaliby iść do Sainteville na przełaj, kierując się wyczuciem, i zeszliby zapewne na drogę na wysokości budującego się sanatorium.

— Czy te bagna są naprawdę niebezpieczne? — Spytała Zuzanna.

O ile pozwalały na to zacinająca w oczy ulewa i grzmoty, Paskal skwapliwie zabrał się do opowiadania historyj zasłyszanych od chłopaków z Buloz. Niektóre już raz opowiadał. Ale to nic nie szkodzi. Powoli bagniska zaczęły w ich wyobraźni nabierać legendarnych proporcji.

— Ale przed bagnami jest jeszcze ścieżka... gdybym tak spróbował ją odszukać?

Kto nie widział deszczu w górach, nie wie, co to znaczy deszcz. Padał i padał, przenikając ich do szpiku kości, spływał strumieniem po twarzy; nie był to już deszcz, lecz potop. Letnie ulewy odznaczają się gwałtownością, jakiej nie znają inne pory roku. Dziewczynki zarzuciły spódniczki na głowy, a ich białe halki z angielskim haftem, sine od wody, wyglądały bardzo żałośnie.

Doszli do moczarów. Paskal zawahał się. Czy nie minęli już właściwego miejsca? Tak... Trudno się zorientować; torfowiska znikły pod dziesięciocentymetrową co najmniej warstwą wody. Było to coś w rodzaju trawiastego jeziora, w którym odbijały się błyskawice, podwajając swoje groźne efekty. Grzmoty wydawały się tak bliskie, że przy każdym uderzeniu trzeba było zatykać uszy rękoma.

— To musi być tutaj — rzekł wreszcie Paskal i zbadał teren laską. Poszli

przed siebie. Pod wodą leżały kamienie, ale dopiero w odległości paru metrów. Paskal znów się zawahał. Nagle rozległ się krzyk Iwony. Niespodzianie noga jej ugrzęzła w błocie aż po łydkę. We dwoje pomogli jej się wydobyć, ale przeraziło ich to, więc wrócili na stały grunt i ponieważ lało jeszcze mocniej, znowu schowali się pod drzewa mimo obaw Iwony, która utrzymywała, że pioruny najczęściej biją właśnie w drzewa.

Tymczasem w Sainteville, korzystając z chwilowego przejaśnienia, choć nie oznaczało to jeszcze końca ulewy, pani d'Amberieux i jej brat wrócili do zamku najspieszniej, jak pozwoliły żyłaki starej damy, w pawilonie bowiem zrobiło się wilgotno. Doszło do zabawnej sceny, gdy w jadalni zastali panią Pailleron z Mercadierami i obiema służącymi. Paulina pospieszyła z wyjaśnieniami bojąc się, że matka wybuchnie, i w słowach jej wspólny niepokój obu rodzin mieszał się z pytaniami dotyczącymi matki:

— Musiałaś zupełnie przemoknąć? Nie? Wiesz, Paskal i dziewczynki... Musicie się ogrzać... Powiedziałam pani Pailleron... A może by tak gorącą cegłą?

Wszyscy mówili jednocześnie; a pies Ferragus wszedł do pokoju i parskął roztaczając zapach mokrej sierści. Wypędzono go.

— Niechże pani usiądzie — powiedziała wreszcie z najbardziej uprzejmą miną Paulina, gdy jej matka wyszła do swojego pokoju, aby się przebrać. Hrabia przysunął do ognia fotel, na który opadła pani Pailleron. Była naprawdę bardzo niespokojna. Paulina również, ale u Pauliny łączyło się to z jakimś dziwnym, bardzo podniecającym uczuciem — z chęcią zawarcia zgody w obliczu grożącego dzieciom niebezpieczeństwa. To sprawiało, że mówiła rzeczy zbyteczne, zdawkowe, prześcigała się w uprzejmościach. Piotr uważał, że jest śmieszna. W gruncie rzeczy nie zależało mu na tym pogodzeniu się, które raczej mogło skomplikować sprawę... Blanka czuła tylko jedno: strach. Strach, którego nie wywołała ulewa, burza ani te bagna, o których mruczała coś pod swoją czarną chustką stara Marta:

— Gdy deszcz pada, tam topią się zwierzęta, a także ludzie... pamiętam... Tak było w roku, kiedy zmarło się mojemu dziadkowi... będzie temu z pięćdziesiąt lat... taki młody z Buloz, co niedawno się ożenił... jego żona pochodziła z okolic Bourg...

Strach, w którym wirowała pełna powagi i skrytości twarz Zuzanny, jej sylwetka wyrosniętej dziewczynki, jej czarne pończochy... I głucha pamięć chwil spędzonych w szopie, obok kaplicy, gdy wesołe głosy dziecięce rozległy się na zewnątrz...

Ulewa uspokoiła się trochę. Trójka dzieci skorzystała z tego, aby przebiec brzegiem bagniska nie szukając już schronienia przed deszczem. Stopy pluskały na rozmiękłym gruncie. Nieszczęsna Iwona miała całą nogę czarną od torfu. Zuzanna drżała z zimna. Paskal usiłował nie myśleć o koszuli, która lepiła mu się do ciała, starał się tak trzymać w swym ubraniu, aby go jak najmniej dotykało.



Nagle usłyszeli, że w gęstwinie ktoś idzie; trudno było powiedzieć, że idzie, bo ci ludzie raczej chyba biegli.

— To ludzie ze wsi! — rzekła Iwona z nadzieją w głosie.

Paskal nie uważał, aby spotkanie z ludźmi mogło im się na coś przydać... Zuzanna odwróciła głowę.

— Może oni znają drogę...

Nie mogła bardziej chłopcu dopiec! Ale Iwona gorąco pragnęła widoku ludzi, bo, jak wszystkie zabłąkane dzieci, bardzo się bała...

— Ależ wy, dziewczęta, jesteście głupie...

W tej chwili ten sam odgłos dał się słyszeć bliżej i coś się zaruszało na skraju lasu. Iwona krzyknęła. Były to dwa dziki, duży i mały, które wyszły z zagajnika. Miały niepewne miny, wyglądały niezbyt groźnie i przypatrywały się dzieciom.

— Nie ruszać się, ani drgnąć! — szepnął Paskal. Zwierzęta szukały sobie drogi. Nie interesując się zgoła małymi ludźmi, z węszącym ryjem przy ziemi, jakby zniechęcone połyskliwą powierzchnią bagiennej wody, z powrotem zaszyły się w gęstwinę. Znów błysnęło i zagrzmiało, znów lunął deszcz.

— Trudno, przemoknę — rzekła Iwona — ale już więcej nie skryję się pod drzewa.

Paskal wzruszył ramionami. Miał trzewiki, które przepuszczały wodę aż miło.

Pani d'Amberieux weszła do swego pokoju, odłożyła laskę, zdjęła kapelusz; zmęczyła się przechodząc z pawilonu do zamku i niepokoiła się o Paskala, ale nad wszystkim górował wstyd, że córka nie umiała się odpowiednio zachować.

— Wdzięczy się do tej kreatury — mruzczała. W uszach jej szumiało, w skroniach tętniło. Czuła się źle. Co się z nią dzieje? Jakby ją mdliło. Spojrzała na obraz Matki Boskiej nad łóżkiem, na kropielnicę z bretońskiego fajansu i starą, uschniętą gałązkę bukszpanu. Wszystko zawirowało jej przed oczyma. Zdołała jeszcze dowlec się do łóżka i padła na grubą koronkową kape, nie troszcząc się, że ją pobrudzi bucikami i mokrymi od deszczu włosami.

„A więc tak — powiedziała sobie. — Bóg wzywa mnie do siebie...”

Myśl ta utonęła w mętym przyływie obrazów, fal światła i cienia w oczach; pani d'Amberieux oddychała z trudem. Czas mijał. Wreszcie poczuła się lepiej. Na dworze błyskało się jeszcze. Burza nie zniechęcała się wcale. Stara kobieta, cała obłocona, ciężko dysząc, zdołała usiąść na łóżku.

— No — powiedziała — nie tym razem...

Była jeszcze bardzo osłabiona, ale ześliznęła się na ziemię, a że kolana same się pod nią uginały, uznała to za rozkaz niebios, uklękła i zaczęła się modlić, z głową na kołdrze.

Około piątej po południu dzieci ukazały się na zamkowej terasie, brudne, całe w błocie, zbiedzone. Niebo wyjaśniło się i od dziesięciu minut deszcz

ustał.

Grzmot cichnął w dali.

### XXXVII

— Byłam bardzo niesprawiedliwa wobec pani Pailleron... Przyznaję. Ta kobieta kocha swoją córkę. Jest to przede wszystkim matka. Ty obchodzisz ją tyle co zeszłoroczny śnieg. Teraz cię to drażni? Sam nie wiesz, czego chcesz. To mama wbiła mi te historie do głowy. Muszę powiedzieć, że jej tego nigdy nie zapomnę. Czemu ona tak mnie dręczy! „Dlaczego on zostawia cię zawsze samą? Albo jest zajęty, albo się zabawia...” „A jeżeli on lubi chodzić i włóczyć się sam?”... Deniza ma rację — niedźwiedź, z ciebie prawdziwy niedźwiedź... Ach, nie przerywaj mi ciągle... Skoro wreszcie cię widzę... Myślałam, że jesteś zadowolony z tego ogólnego pojednania; a tymczasem... nie. I jak tu zrozumieć mężczyzn!

To mówiąc Paulina położyła się i zgasiła światło. Piotr zadumał się nad kobiecą niekonsekwencją. Pikanterię całej sprawy oceniał tylko on. Nie sprawiało mu to przykrości. Ale nawet jego perwersja obeszlaby się bez tego obiadu, do którego mają wspólnie zasiąść jutro, aby uczcić przyjazd pana Pailleron. Jeszcze jedna piła! Czy będzie się wznosić toasty na cześć zawarcia pokoju? Spotwarzonej cnoty? Miłości małżeńskiej? Zaśmiał się w poduszkę.

— Co mówisz? — westchnął w mroku bardzo zaspany głos Pauliny. Nie odpowiedział nic i długo nasłuchiwał w ciszy.

Naprawdę szczęśliwy czuł się tylko wuj, bo, nie narażając się na awantury, mógł pójść i pogadać z ładną panią Pailleron. Tego rana niemało czasu poświęcił toalecie. Odnalazł w pamięci przeróżne melodie, które pogwizdywał bardzo fałszywie a radośnie.

Zadowolona też była Joanna, bo dwie duże dziewczynki urządziły dla niej fetę na cześć pojednania.

Na drugi dzień od rana wszyscy zorientowali się, że z panią d'Amberieux będzie ciężka przeprawa. Na początek Paulina zrobiła jej scenę. Pani d'Amberieux na pewno byłaby uznała swój błąd od strony faktycznej, ale nie chciała przyznać, że założenia jej były błędne. Nie chciała też ponosić konsekwencji pojednania. Jej córka wołała tę obcą niż ją! Ach, doskonale! Bóg świadkiem, ona nic nie powie. Będzie się pilnowała. Nie od dziś chodzi po świecie. Niewdzięczność to dla niej nic nowego. Sprawy nie posunęły się dalej podczas pierwszej rozmowy, którą stara dama prowadziła z córką przy śniadaniu. Pogoda była wspaniała, niebo jasne, temperatura idealna. Burza złagodziła letni upał.

Ale w ciągu przedpołudnia doszło do pierwszego starcia między panią d'Amberieux i panem de Sainteville.

Działo się to koło ogrodu warzywnego, gdzie pani d'Amberieux wybrała się po ślaz na herbatkę, którą stawiano jej przy łóżku. Nogi ją bolały. Poza tym nie czuła się jeszcze dobrze po tej dziwnej rzeczy, która wydarzyła się jej poprzedniego wieczora; niepokoiło ją to. Wołała nic nikomu nie mówić,

aby nie nadawać tej sprawie znaczenia, konkretności... Ale uczucie niejasnego niebezpieczeństwa stanowiło rezonans i uzasadnienie każdego jej słowa. Gdy brat jej się sprzeciwiał, myślała: „Gdyby wiedział”... i napawała się tą gorzką wyższością.

— W końcu — rzekła wymachując laską — chce mi się z was śmiać, serdecznie śmiać!

Co na to hrabia? Nic albo prawie nic. Wspomniał coś o projektowanym obiedzie...

— W porządku, dzieci napędziły wam strachu, zabłąkały się w niepogodę w górach... Ale ostatecznie wróciły, są w domu, nie ma się już czego bać! To jedno jest pewne... Ale co to ma wspólnego z romansami mego pana zięcia? No, co?

— Czekaj, Mario; przyznaj, że, jak wszyscy, omyliłaś się...

— Jak wszyscy? Kto to są ci wszyscy? Głupia i zaślepiona kobieta i stary zarozumialec, z którego młode kobiety jednym uśmiechem robią durnia!

— Mario, Mario!

— Zostaw Marię w spokoju! Fakty są faktami! Córka moja ośmieszyła się. Ośmieszyła!

Nie należało dopuścić do zmaczenia uroczystości. W drugiej rozmowie z matką Paulina usiłowała znów ją przekonać.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to zrobi wrażenie, jeżeli nie przyjdiesz na obiad?

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i nadzwyczaj się z tego cieszę. Ach, moja córko, więc wyobrażasz sobie, że wezmę udział w tej groteskowej i niemoralnej fecie? Że zasiądę do stołu z kochanką mego zięcia? Gdy wiem to, co wiem?

Teraz Paulina wpadła w wielką złość. Więc dobrze, niech sobie wreszcie ta stara wariatka zostanie w swoim pokoju, i żeby już nie było o tym mowy! Sprawa nabrała teraz charakteru kłótni. Pani d'Amberieux nie była przyzwyczajona, aby córka stawiała jej czoło. Przyprawiło ją to o irytację i niepokój. Dołączyło się wspomnienie niedawnego zasłabnięcia. Mogłaby mieć piękny argument na swoją korzyść. Ale nie uciekła się do niego. Budził lęk w niej samej.

Powiedziała jednak:

— A zresztą wolę położyć się wcześniej, wczoraj wieczór czułam się niedobrze...

Paulina nie spytała o bliższe szczegóły; w zdaniu tym widziała tylko coś w rodzaju przyznania się do klęski. Rzekła impertynencko:

— O, doskonale, powie się, że czujesz się źle...

Pani d'Amberieux spuściła głowę.

Wczesnym popołudniem przyjechał do Sainteville pan Pailleron. W chwilę potem Iwona przyszła po Paskala i Joannę. Na żelaznym stole pod drzewami leżał odpakowany prezent, który lyończyk przywiózł rodzinie. Gramofon! Cóż za radość! Paskal nigdy me widział tego z bliska; była to prostokątna skrzynka z mahoni, na której umocowany był krążek, nad nim

metalowa tuba, na przodzie zaś mechanizm, który nakręcało się dużym kluczem. I cała kolekcja płyt w metalowych pudełkach, ułożonych w rzędach po pięć w dużej skrzynce. Wyobraźcie sobie, że to na nich się grało! Oczywiście najpierw Marsylianka. Potem *pizzicato* z baletu *Sylwia*, solo na cytrze w wykonaniu profesora Wormsera.. Marsz *małych pierrotów*...

Zgiełk przywabił wszystkich z wyjątkiem babki, która się dąsała. Nawet służące przybiegły podziwiać. Pani Mercadier była uszczęśliwiona, że ma temat do żartów; mianowicie jedna z płyt zawierała romancę *Kiedy znów zakwitną bzy* w wykonaniu Mercadiera.

— To zapewne nie nasz Mercadier... A może ukrywałeś przede mną, Piotrze, że jesteś tenorem?

Pan Pailleron śmiał się do łez! Piotr nie uważał, aby to było dowcipne...

Hrabia zainteresował się ceną aparatu. Sto czterdzieści siedem franków! Ależ to za bezcen! W dodatku ułatwienia przy spłatach.

Paulina gawędziła z Blanką, a tymczasem machina grała: Pastereczko, pada deszcz, śpiewane przez małe dziecko.

— Urocza rzecz ten gramofon! Taka muzyka, to rozumiem: niezbyt długie kawałki, w każdej chwili można przerwać! A jaka przy tym różnorodność... Coś poważnego, potem lekkiego, jakiś monolog... Nie to, co z tym Meyerem!

— Z Meyerem?

— To nasz znajomy.

— Znajomy mojego męża... Żyd...

Blanka z ukosa popatrzyła na mężczyznę i położyła palec na ustach:

— Ciszej, droga przyjaciółko! Ani słowa o Żydach! Mój mąż stoi po stronie Dreyfusa, wie pani... a zdaje mi się, że tutaj, w obecności pana de Sainteville, dyskusja nie byłaby pożądana...

Ale urocze było to dzieciątko mylące się w środku piosenki; zawstydzone, zaczynało na nowo... jakież to naturalne! Na ogólne żądanie puszczone tę płytę kilkakrotnie.

*Niemy meloman*, monolog z towarzyszeniem kornetu pistonowego, cieszył się mniejszym powodzeniem.

Panią Pailleron bawiło podniecenie dzieci, a także Pauliny i hrabiego. Ernest rozmawiał z Piotrem na różne tematy. Ale nie uszło jej uwagi, że Zuzanna nie cieszyła się tym wszystkim tak jak Iwona czy Paskal. Stała przy stole, kręcąc czasem korbą, ale zatopiona w myślach, rzadko się odzywała i wyglądała jakoś dziwnie. Co jest tej małej?

Blanka zapytała nawet o to dyskretnie Iwonę.

— Och — odpowiedziała dziewczynka — pewnie znów pokłóciła się z Paskalem!

Może naprawdę nic więcej w tym nie było.

Oczywiście przyszła kolei i na Carmen, arię toreadora.

Przed obiadem pani Pailleron wyszła przejść się na chwilę po parku z panem de Sainteville. Przez ten czas Pailleron odpoczywał.

— Teraz, drogi panie hrabio — rzekła Blanka — kiedy się to nareszcie skończyło... niechże pan powie, między nami, skąd właściwie poszło to nieporozumienie?

Ze złośliwą przyjemnością myślała, że zmusi go do jakiegoś kłamstwa. Ale nie skłamał.

— A jakże, a jakże, droga pani... Nie weźmie mi pani tego za złe? Trudno, moja biedna siostra to osoba niemłoda... miewa swoje przywidzenia... Nagadała mojej siostrzenicy, że pani... że jej mąż i pani... czy pani rozumie mnie?

— Słowo daję, że nie... nie rozumiem pana...

— Mój Boże, jak trudno o tym mówić! Że Mercadier i pani... że Mercadier...

— Ach, coś podobnego! Rozumiem! Ależ to okropność! Ale proszę mi powiedzieć: pan, pan w to nie wierzył?

Zatrzymała się w patetycznej postawie, ujęła jego rękę; biedny hrabia, nie wiedząc, co z sobą zrobić, tym razem skłamał. Nie, nie, oczywiście, że nie!

— Ach, lżej oddycham — powiedziała Blanka. — Gdyby pan choćby przez chwilę uwierzył w podobną obrzydliwość, zdaje mi się, że nigdy w życiu już nie przemówiłabym do pana! A pan wie, ile mam dla niego sympatii!

Pan de Sainteville czuł się jak na mękach; uszczęśliwiony był z tej deklaracji i zmieszany, że zasłużył na nią dopiero kłamstwem. Wyjąkał coś. Blanka odwróciła głowę, aby nie widział jej uśmiechu, bo i ona była tą sceną zachwycona. Pomyślała, że nie ma nic rozkoszniejszego jak bezinteresowne kłamstwo doskonałe.

Ale do obiadu postanowiła się wystroić.

— Wybacz mi pan? — spytała. — Wrócimy jeszcze do tej sprawy jutro, gdy Ernesta już nie będzie... Teraz, skoro odzyskałam ufność do pana... — akcentowała złośliwie wyraz „ufność” — ...powiem panu wiele rzeczy... Potrzeba mi kogoś bliskiego, wie pan, człowieka znającego życie... Jestem tak sama, tak okrutnie samotna...

Ucałował jej ręce z wielkim wzburzeniem, wściekły na siebie, że mógł podejrzewać tę uroczą kobietę. Mercadier?! A czemu nie papież? Czy taka kobieta byłaby zdolna zawrócić sobie głowę takim Mercadier? Nedorzeczność!

Zuzanna została w dużym salonie, gdzie zamknięto już okna, mimo że było jeszcze widno. Nie świeciło się jeszcze i cała jasność wchodziła drzwiami od ganku. Zuzanna rozmyślała siedząc w niskim fotelu; skrzyżowała długie nogi w czarnych pończochach, ręce złożyła na kolanach.

— Zuzanno, sto razy mówiłam ci, abyś nie zakładała nogi na nogę!

Dziewczynka drgnęła. Nie słyszała kroków matki. Szybko odwróciła głowę. Oczy miała pełne łez.

— Co ci jest, moje dziecko? Dziwna jesteś w ostatnich dniach. Może ukrywasz coś przede mną?... Komu mogłabyś powiedzieć, co cię gnębi, jeżeli nie matce? Zuzanno, Zuziu...

Zuzanna odwraca głowę od światła, nie poddaje się. Milczy.

— Słuchaj, Zuziu, przecież to niemożliwe, abyś tak przejmowała się kłótniami z tym chłopcem... Miły jest ten malec, ale malec, a tyś już duża dziewczynka... Prawie panienka... No, powiedz swojej mamie...

Zuzanna odsuwa się ramieniem od matki. Wysiłkiem woli zmienia wyraz twarzy i odwraca się.

— *Nothing, Mother, nothing serious.* \*/ \*/ Nie, mammo, nic poważnego.

— Nie lubię, kiedy mówisz do mnie po angielsku; robisz to zawsze, gdy jesteś podrażniona. Jeżeli nie chodzi tu o małego Paskala, to o co? Powiedz mi, moje maleństwo, Zuziu, dzieciątko...

Widzi, że im pieśczośliwiej przemawia, tym bardziej Zuzanna oddala się od niej, sztywnieje. Blanka czuje, jak w jej sercu wzrasta lęk, który zwalcza w sobie od wczoraj, od zdarzenia w cudownej leśnej kaplicy.

— Moje dziecko, ale przynajmniej nie masz nic przeciwko twojej matce? Żadnej myśli...

Zuzanna przecząco potrząsa głową.

— A więc pocałuj mnie...

Dziewczynka gwałtownie przyciska do policzka pani Pailleron zimne i drżące usta. Wydaje się, że to właśnie poderwało ją z miejsca. Ucieka z pokoju.

— Idź się szybko ubrać! — woła za nią Blanka, aby dodać sobie kontenansu.

Ona też idzie się ubrać...

Jaka szkoda, że pani d'Amiberieux jest cierpiąca! To jedyny cień tego obiadu... Ernest oświadcza, że wyzerka była pierwszorzędna. Ochłodziło się trochę po burzy, za dnia tak się tego nie odczuwało, ale wieczorem... Toteż wstali od stołu pod drzewami i poszli na kawę do salonu.

— Czy panna Iwona zagra nam coś? — pyta Mercadier w obawie, że znów nastawią krzykliwy gramofon.

— Wybaczy mi pani — rzekł pan de Sainteville do Blanki — zajrzę na chwilę do siostry.

— Proszę powiedzieć pani d'Amberieux, że ogromnie nam jej brakowało.

Pani d'Amberieux po prostu kipi... Pokój jej nie jest duży. Nudzi jej się tam. Pomodliła się, odmówiła różaniec, ale trudno się wciąż tylko modlić. Ponieważ trzeba było jakoś upozorować to jej odosobnienie, musiała się zagrzebać u siebie na całe popołudnie. Nikt do niej nie zajrzał. Z wyjątkiem Joanny, która chciała cukierków. Stara dama nudziła się. Piekielnie. Ani ludzkiej twarzy! Zostawiają mnie jak starego psa; niech zdycha w kącie! Mario! Mówię, jak jest. Pan de Sainteville raz jeszcze protestuje: a przecież on przyszedł, zostawił towarzystwo przed końcem obiadu.

— Ma się rozumieć, ty masz trochę skrupułów, że mnie tak opuszczacie...

Nie jesteś już młody... Mówisz sobie, że niedługo twoja kolej... Ale cały dzień nie zajmowałaś się mną, a ja tymczasem miałam mały...

Nie wyrzekła tego słowa, powtarza je sobie po cichu: „Mały atak wczoraj wieczorem.” Gdyby słowo to zeszło z jej warg, nabrałoby zbyt wielkiego znaczenia. Jeżeli chodzi o brata, jak zwykle, przerwała mu w pół słowa, więc nie zauważył, że koniec zdania zawisł w powietrzu.

— To straszne! Tutaj można się udusić! Muszę się trochę przejść po ogrodzie, bo nie zasnę i znów będę miała taką okropną noc... Jakie myśli przechodzą wtedy przez głowę... Podaj mi rękę, bez ciebie nie mogę się ruszyć, nogi bardzo mnie bolą...

— Ale pomyśl, Mario... Gdyby ktoś cię zobaczył... przecież powiedziało się...

— Ty zawsze stajesz po stronie ludzi... Mówiłeś, że są w salonie... Cicho, słuchaj!

Przez okno płynął nokturn Chopina. Widocznie wszyscy siedzą na dole, w dużym salonie z kandelabrami, i robią miny, jakby im to sprawiało wielką przyjemność. Hrabia podał więc ramię siostrze i zeszedł wąskimi schodami od strony kuchni. Jak przed paru dniami, doszli do pawilonu ciotki Eudoksji i siedli przed drzwiami na ławce ogrodowej.

Mówili o różnych rzeczach, jak to starzy ludzie, którzy tyle mają wspólnych wspomnień, że byłe słowo wystarcza, by dalej snuć rozmowę. Laska starej damy coraz to stuknęła o ziemię. Muzyka dalekiego fortepianu dochodziła tu falami. Tu pod drzewami było ciemno, ale na zachodzie, w stronie Buloz, migęło jeszcze trochę dnia. Stary szlachcic odezwał się nagle:

— Wiesz, miałem wiadomości od Błażeja...

— Ach, nie wspominaj mi o nim. To syn wyrodny! Cisza. Potem pani d'Amberieux zapytała jakby nigdy nic:

— Co u niego słyhać?

— Daje sobie radę w życiu... Zdaje mi się, że on nie ma wielkich ambicji... ot, żyje byle jak! Jest zawsze z tą kobietą.

— Z tą kreaturą!

Powrócił cały gniew obrażonej matki. Ta kreatura! Wyraz ten, którym określała również panią Pailleron, przywiódł ją do zapomnianej na chwilę nieprzyjaciółki. Błażej, jej syn, do tego stopnia wyszedł z jej życia, że nie mogła zatrzymać się dłużej na myśli o nim. Pani d'Amberieux pogroziła laską w kierunku salonu.

— Takie kobiety są źródłem wszelkich nieszczęść rodzinnych. My wydajemy, Bóg jeden wie, z jakim trudem, dzieci na świat po to, aby one je nam zabierały, aby marnowały im życie, porywały im mężów! Ach, te istoty bez religii, uczciwości, bez serca! I pasja mnie ogarnia, kiedy widzę, że wszyscy na wypródki łasicie się jak durnie do takiej Pailleron! Co wy właściwie widzicie w tej dziewczce"?

— Mario, zabraniam ci...

— A to dobre! Ty mi zabraniasz? A co ty mi zabraniasz? Aby mi ulżyła

swemu sercu? Coś podobnego!

— Pani Pailleron jest kobietą uczciwą i ja nie...

— Wiesz, że jesteś paradny! Słyszysz: jesteś paradny! Ale nie mnie opowiadać takie historyjki! Jeżeli moja córka jest idiotką, nic na to nie poradzę. Ale ci śpią z sobą tuż pod twoim nosem. Co do Piotra, nigdy nie lubiłam tego człowieka. Zresztą to nie człowiek, tylko profesor. Bezwstyd tej waszej Blanki przechodzi wszelkie wyobrażenie... Co też ona musiała zadać temu niedołądze, że się jednak na to zdobył...

— Mario, raz jeszcze powtarzam: pani Pailleron jest uczciwą kobietą! Jest moim gościem i nie pozwalam...

— Twoim gościem? Biedny Paskalu, jesteś jej hotelarzem! Można pęknąć ze śmiechu! Owinęła cię sobie dokoła palca jak innych. Warto cię widzieć, gdy z nią rozmawiasz... Jesteś komiczny! W twoim wieku!

— Mario, posłuchaj mnie... Wszystko to jest strasznym nieporozumieniem. Muszę się szczerze przyznać, że ja sam do niedawna myślałem...

— Aha, widzisz!

— Nie przerywaj mi... Nie zaprzeczysz, że pani Pailleron jest urocza, młoda, pociągająca... i inteligentna...

— No i co jeszcze, co?

— Nie przerywaj mi, Mario... i lubi męskie towarzystwo. To rzecz naturalna. A tutaj jest sama przez cały tydzień. Wyznaję, że gdy przyjechali Piotr i Paulina, a ja mało jeszcze znałem panią Pailleron, zastanawiałem się nawet... widząc, że oni szukają samotności, że we dwoje odbywają spacer... Mówili coś po cichu siedząc tuż przy sobie... W końcu — uwierzyłem. Chciałem im nawet powiedzieć... Było mi przykro, że dzieje się to u mnie, ze względu na Paulinę, na ciebie i tysiąc innych rzeczy. Na to wszystko ty wybuchnąłeś, zrobiłaś ruch koło tego... Dało mi to do myślenia. I dzisiaj, przed obiadem, rozmawiałem z panią Pailleron... No i...

— Omotała cię na nowo!

— Nie przerywaj... ta kobieta jest wcieloną niewinnością... Gdybyś widziała jej cierpienie na myśl, że ją podejrzewają!... Ach, Mario, byliśmy niesprawiedliwi...

— Ależ z ciebie dureń, Paskalu! Nabrała cię jak smarkacza! Powiadam ci, że jest jego kochanką! Jak oni to sobie urządzili, nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi. To jest kokota, i nie ma o czym gadać.

— Mario!

— Chcesz dowodów? Dobrze, dam ci je! Stara Marta była w Buloz i spotkała doktora Moreau, który tak jej powiedział: „Mam nadzieję, że pan Mercadier i ta pani, która mieszka w zamku, zdążyli wrócić przed burzą; spotkałem *dogcart* niedaleko sanatorium, a wasz konik jest taki płochliwy!”

— To niemożliwe!

Pani d'Amberieux szyderczo się zaśmiała. Fortepian zamilkł. Noc stała się całkiem czarna. W cieniu, za plecami, usłyszeli jakby płacz.

— Co to takiego? — po cichu spytała stara dama.



— Nie wiem, to coś tam wewnątrz, ktoś tam jest... Wstał, otworzył gwałtownie drzwi pawilonu. Zamajaczyła jakaś postać. Szepnął:

— Panno Zuzanno, co pani tutaj robi?

Dziewczynka wyszła z ukrycia. Ukłoniła się pani d'Amberieux i nagle pobiegła w stronę zamku. Stary szlachcic odwrócił się do siostry.

— Jak sądzisz, czy nas słyszała? Mówiliśmy głośno. Oby tylko...

— Podśłuchuje to pod drzwiami, złe nasienie!... Sama nie wiem... Nic nie poradzę. Ona zresztą musi niejedno wiedzieć... mając taką matkę. Pewnie widzi i inne rzeczy. Mogła się już przyzwycząić.

Pan de Sainteville był bardzo wzburzony.

— Wracajmy — rzekł.

Prawie w milczeniu odprowadził siostrę aż do jej pokoju. Myślał o tej dziewczynie, oniemiałej i słuchającej za ich plecami okrutnych słów... Przyszła tam, aby skryć się: bawiła się z innymi dziećmi. Gdy zszedł do salonu, spytał od razu:

— A dzieci?

— Poszły się bawić w chowanego — odpowiedziała Paulina. — Zawołam je, aby się już kładły spać. Zwłaszcza że jest z nimi Joanna... Ona jest za mała na takie wybryki!

Hrabia nie śmiał wprost spytać o Zuzannę. Skoro bawiła się z innymi dziećmi... A poza tym może nie zrozumiała, nie śledziła wątku rozmowy... Czy padły jakieś imiona?

Tymczasem Paskal z Iwoną pozbyli się Joanny, która została ze służącymi w kuchni. A ponieważ Zuzanna znikła zaraz po deserze, poszli do stodoły, mówiąc, że dobrze jej tak, jeżeli się na nas boczy...

— Jeżeli jeszcze nie za późno — rzekła Paulina *wróciwszy* do salonu — można by nastawić gramofon... *Panie Pailleron*, niech pan zagra jeszcze raz *Pastereczko*, pada *deszcz*... głos tej dziecińy jest tak rozczulający!

### XXXIX

Gdy około ósmej rano przekonano się, że Zuzanny nie ma, w całym zamku wszczął się wielki rwetes. Rozyna poszła zanieść dziewczynce filiżankę czekolady; łóżko było nie tknięte. Gdy zapytano Iwonę, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wczoraj wieczór długo bawiła się z Paskalem, a gdy wróciła, drzwi pokoju były zamknięte, więc pomyślała, że Zuzanna już śpi. Pani Pailleron, zdenerwowana, w negliżu, przybiegła do państwa Mercadier. Tymczasem Ernest Pailleron wypytywał służbę. Nie był zbyt zaniepokojony wybrykiem córki; nie pojmował, dlaczego żona tak się tym przejmuje... może dziewczynka sama posłała swoje łóżko...

— Czy jest pani tego pewna? Tak bez słowa? Gdzież mogła pójść, jak. pani myśli? — mówiła Paulina.

— Nie zna pani tego dziecka: kapryśna, nerwowa, egzaltowana! Wczoraj wieczorem znalazłam ją we łzach... Słowa nie mogłam z niej wydobyć...

Spytano dzieci. Oczywiście było, że nic nie wiedzą. W całym domu słychać

było trzaskanie drzwi. Psy szczekały. Zwołano wszystkich: dzierżawcę Loeufa i jego syna Gustawa, służbę folwarczną, wypytywano ich... Nie. Ranek narastał wraz z upałem przedburzowej pory.

Blankę najbardziej nękało to, że nie mogła pomówić z Piotrem. Czowała, że ją szpiegują. Chciała wyznać Piotrowi, przynajmniej jemu, gnębiące ją od dwóch dni wątpliwości, obawy, wyrzuty sumienia, tę palącą pewność, jaką w sobie nosiła... Mój Boże! Mój Boże, co mogło zrobić to biedne dziecko? I nie ma nikogo, kto mógłby uspokoić nieszczęsną matkę, nikogo! Wszystko, co jej mówią, spływa po niej bez wrażenia... Ernest jest nie do zniesienia z tym swoim udanym spokojem, zimną krwią... zimną krwią, za którą ona nie dałaby grosza!

Wszyscy dokoła dręczyli się sprawami, które splatały się z sobą: Paskal i Iwona tym, że nie mogli się przyznać, iż dwie godziny przesiedzieli w ciemnościach stodoły; Piotr i Blanka — bo znali powód, który skłonił Zuzannę do ucieczki; pan de Sainteville i jego siostra martwili się z powodu sceny w pawilonie. Jedyne Paulina i pan Pailleron byli w stanie traktować to zdarzenie jako zwykłą przygodę bez większego znaczenia. Ale nawet oni nie wierzyli we własną beztróskę.

Służba odgrywała w tym rolę antycznego chóru, a zagadkowe jej słowa nabrzmiały były od aluzji i przemilczeń, z których wyłoniłaby się prawda, gdyby było komu jej słuchać.

Tak minął ranek. Na byle odgłos na dworze wszyscy rzucali się do okien. Wciąż im się zdawało, że widzą nadchodzącą Zuzannę. Śniadanie w obu rodzinach odbyło się w ponurym nastroju. U Mercadierów wśród ogólnego skrepowania głos zabierała tylko Paulina. Gdy posiłek się skończył, każdy poszedł w swoją stronę, bo nie mogli wzajemnie się znosić.

Paskal natknął się na Iwonę.

— W co się bawimy?

Ale Iwona rozplakała się. Była przerażona. Za dobrze знаła Zuzannę.

— Jak myślisz, co ona mogła zrobić?

Iwona z drzeniem wskazała góry. Moczary! O tym Paskal nie pomyślał. Moczary!

Blance udało się wreszcie pomówić z Piotrem w parkowym zakątku. Była wzburzona, bardzo zmieniona, rysy miała ściągnięte, oczy zaczerwienione.

— Jednego nie rozumiem — powiedział Mercadier. — Przecież wieczorem, jak zawsze, poszłaś ją ucałować na dobranoc.

— Nie, niestety nie. Nie mogę sobie tego wybaczyć.

— Dlaczego?

— Ernest... rozumiesz, gdy poszliśmy na górę, był taki niecierpliwy...

Okrutny obraz tych stosunków małżeńskich ukłuł Piotra w serce. Ich brutalność i prostota zawarta w tym krótkim zdaniu Blanki nie dotknęły go jednak przez swą łączność z losem Zuzanny... mimo cynicznej ohydy tego zmagania się matki i żony. Ale pobudziło to jego zazdrość, głupią i ciasną zazdrość; nie wiedział, że jest do niej zdolny.

— Piotrze, boję się, boję się... Nie mogę nic powiedzieć Ernestowi; tylko z

tobą mogę o tym mówić... Wiem, jestem pewna, że ona słyszała nas tam, koło kaplicy...

— Pleciesz głupstwa!

— Dlatego uciekła! Nie chcę tego! Nie, ona tego nie zrobiła, powiedz mi, że nie zrobiła!...

— Ale przecież to dziecko, nie zapominaj, że to jeszcze dziecko...

Tymczasem pan de Sainteville poszedł do siostry. Był blady, poprawiał szklę, targał bródkę. Czuł, że w tej sprawie ponosi wielką część odpowiedzialności. Cierpiał, że musi zachować w tajemnicy scenę w pawilonie.

— My zapewne widzieliśmy ją ostatni... Czy nie powinniśmy o tym powiedzieć?

— Jeśli ci to sumienie dyktuje! Ja nie widzę żadnego powodu, aby ukrywać, o czym rozmawialiśmy. Co do mnie, jestem gotowa...

— Nie! Mówisz bez sensu! Czy zdajesz sobie sprawę, jakie skutki w życiu dwóch rodzin... z chwilą gdy pan Pailleron... Jeszcze ci nie dość?

— Skutki... teraz właśnie jest czas o nich myśleć! Ci ludzie, pozbawieni wszelkiej moralności, nie troszczyli się o skutki, myśleli tylko o swojej przyjemności... Ładna historia!

— Mario, dość tego! Twoje kalumnie zrobiły już dość złego!

— Moje kalumnie? Moje kalumnie? Zamiast mieć o to pretensje do mnie, miej je do tej bezwstydney kobiety... do jej żalosego współnika...

— Ale pomyśl, Mario, o tej małej! Gdzie podziewa się w tej chwili? Obyśmy tego nie żalowali...

— Tak, lamentować to ty umiesz! Teraz już tylko Bóg jeden wie... Twoja pobłażliwość dla wszystkich, twoja niegodna pobłażliwość...

— Proszę cię...

— O co mnie prosisz? Ta kobieta jest nierządnicą, a jej córka istotą nieszczęsną. Czy w naszych rodzinach dziewczęta w tym wieku w ogóle by zrozumiały, o co chodzi? Ta Pailleron ma, na co zasłużyła!

Głosy stawały się coraz donośniejsze, ale tutaj ściany były grube. Pan de Sainteville wciąż miał przed oczyma sylwetkę Zuzanny w mroku pawilonu. Zapomniał o słowach siostry, które go wtedy tak wzburzyły. Zapomniał o obłudzie Blanki. Pozostała już tylko ta drżąca sylwetka, ta dziewczynka w czarnych pończochach. I wzrastająca złość na panią d'Amberieux, złość, do której dołączyły się teraz wszystkie irytacje i gorycze długiego życia, rodzinne zwady, wspomnienia, o których sądził, że dawno się rozwiały... Rozmowa przerodziła się w kłótnię. W kłótnię głośną, zażartą. Kochali się wzajemnie, gdy nie czuli do siebie nienawiści. Ale chwile nienawiści między rodzeństwem gorsze są niż między kochankami.

Czego sobie ci dwoje nie powiedzieli! Jakie błoto, jakie nedorzeczości ciskali sobie w oczy! Hrabia zwał na siostrę wszystkie urazy starości, zawód, jaki sprawiła mu Blanka, dziką zazdrość, jaką nieświadomie żywił o Piotra, i lęk o losy Zuzanny. Pani d'Amberieux, dusząc się, czerwona, z trudem chwytnąc świszczący oddech, rzucała bratu wszystkie krzywdy

życia, wszystkie zapiekłe urazy. Zawsze widziała swego wyrodnego brata po stronie tych, którzy zadawali jej cierpienie. Niegdyś brał stronę jej męża. Potem podtrzymywał opór Błażeja, jeszcze wczoraj miał czelność mówić jej o nim! To samo działo się za ich młodości.

Hrabia oskarżał siostrę, że miesza te wszystkie sprawy, aby wykręcić się od odpowiedzialności za ucieczkę Zuzanny. Było to celne, jasne i bolesne.

Pani d'Amberieux huknęła, że to, co on mówi, jest bezwstydne.

Kłótnia zaogniła się. Doszło do obelg. Kto zaczął? Porcelanowa Matka Boska nad kropielnicą coś o tym zapewne wiedziała, o ile poświęcana gałązka bukszpanu nie przysłoniła jej rzeczy najważniejszych. Pan de Sainteville, znowu on, krzyknął:

— Stara kłępa!

Trzasnął drzwiami i wybiegł.

Stara kłępa! Tego już trochę za dużo! No, zobaczymy. Stara kłępa! Ani chwili dłużej... ani chwili... Jej brat, rodzony brat! Pod dachem ich rodziców... W domu, gdzie się urodziła... tym gorzej!... Ani chwili, ani chwili dłużej...

Rzucała byle jak wszystko, co wpadało jej w rękę, do walizki, ogołacała wieszaki. Dreptała w miejscu z wodą do ust w rękę. Suknie. Chustki do nosa.

Ani chwili dłużej! Tak... ani chwili! Z tym ciężkim oddechem, nogami opuchłymi jak banie i strasznym pulsowaniem w skroniach: pam-pam-pam, ze zmęczonym wzrokiem... Doskonale warunki, aby się pakować, ale trudno! Stara kłępa! on powiedział: „Stara kłępa!” No, to teraz zobaczymy!

## XL

Gdy Paskal wyrzekł do ojca słowo: „Moczary”, rozdarło ono zasłonę. Piotr Mercadier powtórzył je wujowi. Moczary! W całym domu od razu się zakotłowało. Moczary! Oczywiście! Jak się to stało, że nikt wcześniej o tym nie pomyślał!

Blanka Pailleron przeraziła się. Dostała ataku nerwowego w wielkim salonie. Wiła się na podłodze łamiąc ręce. Potem oczy jej stanęły w ślup, bladła coraz bardziej, a wreszcie straciła przytomność. Iwona, która była przy niej, zawołała o pomoc. Ernest i Piotr zanieśli ją na kanapę, gdzie odzyskała zmysły. Wówczas spadła na nią dobroczynna ulewa łez. Powtarzała:

— Moczary! Moczary!

Nic więcej niepodobna było wyciągnąć z tych jej ust dziwnych, bo ich nie umalowała i wargi jej odzyskały naturalny rysunek — stały się podobne do ust Zuzanny.

Postanowiono więc około godziny wpół do trzeciej zorganizować wyprawę. Piotr i pan Pailleron poszli wraz z trzema parobkami z folwarku, Loeufem i chłopakami z Buloz, po których również posłano. Byli to ci sami, którzy w swoim czasie na próżno szukali Michałowego brata. Towarzyszył im Paskal. Wzięli tyki do grindowania terenu i liny.

W tym wszystkim Ernest Pailleron okazał niezwykle opanowanie. Żadnej czułości. Organizował wszystko, jakby nie chodziło o jego córkę. Tyle tylko, że z czoła spływał mu straszliwy pot. Wyruszyli jeszcze przed trzecią. Rozdzielili między siebie teren. Iwona została przy pani Pailleron. Paulina, nie wiedząc, co z sobą zrobić, szła kawałek drogi z Piotrem i Ernestem.

Wracała przez terasę, gdy dwa powozy zajęły parkową drogą niemal jednocześnie. Jeden z szarym, płóciennym daszkiem należał do „Hotelu Alpejskiego” w Buloz i był pusty. Drugi był to mały, bardzo elegancki brek, zaprzężony w dwa zgrabne konie, którymi powoził Norbert de Champdargent, kuzyn Norbert. Siedziało w nim mnóstwo wesołych i hałaśliwych ludzi, kobiet w bieli i młodzieńców w słomkowych kapeluszach.

„Nie mogli gorzej trafić” — pomyślała Paulina. Ale zapomniała o wszystkim, gdy konie stanęły przy niej i wśród okrzyków i powitań podniosła się w powozie urocza kobieta w perłowszarej sukni i różowym kapeluszu. Była to Deniza, która właśnie zdjęła żałobę. Miała koronkową parasolkę i dawała Paulinie gwałtowne znaki.

Rzuciły się sobie w objęcia.

Nastąpiło wielkie zamieszanie, gdy przybysze, przedstawieni przez Denizę i Norberta, otoczyli panią Mercadier. Mieli mnóstwo planów, będą się bawić, że ha! Ale Paulina uciszyła ich i wyjaśniła, co zaszło.

Cóż za kłopotliwa sytuacja! Lepiej wobec tego jechać dalej.

— Zostawcie mi Denizę — błagała Paulina. Młodzi ludzie zaprotestowali, ale Deniza wyraziła zgodę.

— Moi kochani, kiedy zmarł mój biedny mąż, Paulina została ze mną... w takich warunkach! Moim obowiązkiem jest zrobić teraz to samo dla niej.

Przybysze znów wsiedli do breku, który zatoczył półkole; obie kobiety machały ku niemu rękoma. Potem zawróciły do zamku. Wówczas ujrzały zadziwiającą scenę.

Powóz „Hotelu Alpejskiego”, który je wyminął, gdy rozmawiały z Norbertem i gośćmi z Champdargent, stanął przed gankiem. Tam załadowano nań kufer, walizy, pledy, a teraz właśnie ruszał unosząc panią d'Amberieux zawiniętą w waterproof \*/( Płaszcz chroniący od deszczu.) koloru łososiowego w kapeluszu przystrojonym kiścią czarnych winogron.

— Mamo, co to ma znaczyć? — krzyknęła Paulina.

Służba stała przed zamkiem. Stara dama odkrzyknęła poprzez walizy:

— Opuszczam dom, w którym mnie obrażają! Zamieszkałam w hotelu!

Deniza i Paulina spojrzały na siebie. Na pewno zaśmiałyby się serdecznie, gdyby nie były tak zaskoczone.

— Ależ, mamo!

Woźnica zawahał się. Czy ma zatrzymać konia? Ale z głębi powozu wzburzona stara dama krzyczała:

— Woźnica, ruszaj! Woźnica, zatnij konie! Do Buloz!

Tak więc powóz wyjechał na drogę parkową.

— Och, jak to dobrze, powiadam ci, Denizo, przyjechałaś w sam czas!

W zamku zastały pana de Sainteville w strasznym wzburzeniu: usiłował zatrzymać siostrę, co wywołało tylko nową kłótnię. Stara dama, czerwona jak piwonia, użyła słów, o jakie trudno było ją posadzać, a stosowała je łącznie do Blanki, swego brata i zięcia. Ponieważ pani Pailleron mogła dosłyszeć wybuchy tej furii, stary szlachcic musiał skapitulować. Wyobraźcie sobie, jaki ból mogłoby to sprawić kobiecie tak zrozpaczonej, przekonanej, że dziecko jej nie żyje!

Deniza czuła się w tej atmosferze jak ryba w wodzie. Paulina bowiem przedstawiła jej sytuację w ogólnych zarysach. Co pani d'Amberieux miała przeciw tej kobiecie? Pan de Sainteville zaczął mówić; nagle zaciął się, spojrzał na siostrzenicę.

— Jednego nie rozumiem — powiedziała Paulina — jak to się stało, że „Hotel Alpejski” przysłał powóz po mamę?

— Bo twoja matka jest perfidna. Wyobraź sobie, że skorzystała z tego, że jeden ze służących szedł do Buloz po ludzi na wyprawę, i napisała parę słów do właściciela hotelu.

— Nic nam nie mówiąc! Tego już za wiele! Powracali wciąż do złośliwości starej damy i sposobu, jaki wybrała, aby ich ukarać. Dobrze, pozwolą jej się uspokoić w hotelu, mają teraz inne kłopoty. Na to wszystko, w nieładzie zaprawdę wzniosłym, ukazała się na ganku Blanka, a za nią Iwona. Nie zważając na obecność obcej damy, zawołała:

— Nie ma żadnych wiadomości? Co z moim dzieckiem?

— Niech się pani uspokoi! Znajdą ją...

Hrabia podszedł do niej, ale znikła równie nagle, jak się ukazała, więc został głupio na ganku wpół drogi, wraz z Iwoną, która wyciągnęła ręce ku niebu.

— Dom wariatów, moja kochana — rzekła Deniza. — Wyjaśnij mi coś trochę, bo się w tym gubię... Jak ci się podoba mój kapelusz? Zachwycający, prawda? Pierwszy różowy kapelusz po tych wszystkich czarno-białych? Pomyśl tylko!

Poszły na górę do pokoju Pauliny, gdzie Deniza przede wszystkim poprawiła fryzurę. Miała tak piękne czarne włosy... Ile w nich życia... Paulina zawsze je podziwiała, bo sama wolałaby być zdecydowaną blondynką albo brunetką, a jest szatynką, to znaczy ni pies, ni wydra!

Pani de Lassus z wielkim roztargnieniem słuchała wyjaśnień Pauliny. Nie знаła tych ludzi. A co do tej małej.. no cóż, znajdą ją! Podniecenie tą całą sprawą, jakie przejawiała jej przyjaciółka z czasów klasztornych, wydawało jej się zabawne.

Prawda, że pani Mercadier traciła już głowę; była w najwyższym stopniu podniecona, pochłonięta zdarzeniami, jakie zaszły w zamku, wyprowadzona z równowagi przez matkę, zdenerwowana niejasną myślą, że odgrywa jakąś rolę w sprawie Zuzanny, i walką, jaką stoczyła z panią Pailleron, i skandalem... Strasznie pragnęła jakiegoś urozmaicenia, które

odwróciłoby jej myśl od tych przykrych rzeczy... Deniza zjawiała się jak z nieba.

W Champdargent wylądowała zaledwie wczoraj; od czasów klasztoru, gdzie wszystkie trzy: Deniza, Ludwika de Champdargent i Paulina, były pensjonarkami, istniało coś w rodzaju romansu między Norbertem a Denizą. Norbert był młodszym bratem Ludwiki; zbyt młody na męża, ale doskonały jako rozrywka dla wdowy, która musi dbać o swoją reputację, lecz nie ma zamiaru wyrzekać się męskich względów i komplementów.

— Ja, moja droga, muszę mieć ludzi dokoła... Inaczej marnieję w oczach... Rozumiesz, Norbert to sprawa bez przyszłości, piękny chłopak, trochę przyciężki, to ta ich żydowska krew... Oczywiście przez myśl nikomu nie przejdzie, abym była tak szalona, aby zostać jego kochanką... nawet mnie samej. Czy widziałaś, jaką zrobił minę, gdy powiedziałam, że chcę zostać z tobą? Nie jesteś dobrą obserwatorką... No, a teraz opowiedz mi coś o tej dziewczynce, o tej pani... Platrier...

— Pailleron.

— Pailleron... Co to za ludzie? Ze świata artystycznego? Pailleron! Poczekaj no... Pailleron... To mi coś przypomina... Ktoś z Komedii Francuskiej...

— Nie, mylisz się...

— Ależ tak, tak, na pewno... *Świat, który się nudzi*... Oni nie są krewni? Szkoda, bo pan de Lassy znał niegdyś tę rodzinę... Opowiadał mi... Ach, to mi znów coś przypomniało! Rozmawiałam z panem de Lassy!

— Co takiego? Co ty mówisz? Z baronem?

— Tak, z Edwardem. Moim wdowcem. Chciałam powiedzieć: z moim nieboszczykiem. To dziwne, prawda? Ja zawsze myślę się w pokrewieństwach. Raz powiedziałam do mojej siostrzeniczki: „Moja ciociu”... do córki Pawła... uroczej, kochanej! A propos, wyobraź sobie! Przejechało go!

— Kogo? Pawła?

— Ależ nie, Chou, mego buldoga! Tak! Och, ile się napłakałam! Samochód. Paryż robi się niemożliwy. Stało się to przy bramie Maillot. Nie poznałabyś bramy Maillot: bicykle, cykliści, auta... A wszystko to pędzi jak szalone... Biedny Chou!

— Słuchaj, Denizo, w głowie mi się kręci od tego wszystkiego... Jak to, rozmawiałas z twoim mężem... Co znaczy ten ponury żart?

— To nie żart... nie ma w tym nic ponurego... To dla mnie przyjemność. Trudno, mimo wszystko był moim mężem! I teraz, gdy umarł, kocham go bardzo. W gruncie rzeczy nie zależało mi wcale na panu de Montbard... człowiek dystyngowany, miły, owszem... ale mówiąc między nami, jako kochanek! Szkoda mówić! Wyobraź sobie, że poznałam pana Zolę... Tak, Emila! To cała historia...

— Denizo, błagam cię! Skończ chociaż jedno... Na przykład to o baronie...

— O baronie? A co mówiłyśmy o baronie? Ach tak, że z nim rozmawiałam... Nie wierzysz w spirytyzm? Ja wierzę, zwłaszcza odkąd

rozmawiałam z Edwardem... Bo rozumiesz, Juliusz Cezar, Napoleon czy pani Dubarry, całe towarzystwo, które najczęściej zjawia się na seansach, to nic ciekawego... Ale Edward... rozumiesz, spotkać się twarzą w twarz z człowiekiem, który był twoim mężem... Są przecież sposoby, aby przekonać się, że to nie jest żadna blaga... rzeczy, które można sobie powiedzieć w pół słowa... o których nikt nie wie...

— Mów jaśniej... twarzą w twarz?

— No, tak się to mówi... bo zmarli nie mają twarzy... a stolik także!

— Stolik?

— Nigdy nie puszczaliście w ruch stolików? Ależ, Paulino, stałaś się prowincjuszka! Teraz w Paryżu jest to szal, namiętność, najświeższa moda! Nie ma przyjęcia bez wirujących stolików... Oczywiście trafiają się oszuści, franty... Niektórzy doprowadzają rzecz do absurdu, robią z tego grę towarzyską. Ale gdy się jest w poważnym domu, gdzie nikt żartów nie stroi, i wszyscy wierzą...

— Ale któż wierzy w podobne historie?

— Wszyscy, powiadam ci... a w każdym razie ludzie poważni: wysocy urzędnicy, dyplomaci, wojskowi. Słuchaj, w dniu, kiedy spotkałam Edwarda, był tam ktoś po prostu opętany na punkcie stolików wirujących i spirytyzmu... a mianowicie pan de Passy de Clain... Znasz go przecież. To on był świadkiem pojedynku i przyszedł do mnie z fatalną nowiną... Porucznik... Tak, więc rozmawiałam z Edwardem... Kazał mi zdjąć żałobę... Nie ma do mnie ani cienia żalu z powodu pojedynku... Zawsze był człowiekiem znakomicie wychowanym... Admirał także szaleje na punkcie wirujących stolików... Tak, mój stryj! Teraz pojmujesz... Edwarda spotkałam u przyjaciół, których nie znasz... U Lambertów... Nie u Lambertów de Boussac... u innych Lambertów... on jest w Radzie Państwa... Pani Lambert jest trochę za tęga, ale ma przyjemny uśmiech, i u nich jest taki gerydonik... Powiem ci tylko tyle: uroczy gerydonik, wrażliwy, natychmiast się rozgrzewa, ledwie położysz na nim ręce, a już skacze, cudo! Co do mnie, oczywiście szaleję za tym stolikiem.. A czy nie macie tutaj jakiego gerydonu?

XLI

Gdy pan de Sainteville opuścił panią Pailleron, której dotrzymywał towarzystwa przez blisko dwie godziny, był jednocześnie wzburzony i zachwycony. Cóż za wspaniała kobieta! I przede wszystkim matka! Serce wyjątkowe, pełne najsubtelniejszych uczuć. Z gniewem i oburzeniem myślał o pani d'Amberieux. On, który przez całe życie pewien był, że kocha siostrę. Ale nigdy jeszcze nie ukazała mu się w takim świetle. Jak to smutno, gdy w tak późnym wieku długoletnie uczucie nagle zniknie. Ale trzeba być uczciwym wobec siebie samego, nie okłamywać się. Cierpiał nad tym, że tak myśli o Marii... ale co począć? „Dlaczego nie umarłem wcześniej — pomyślał. — Zachowałbym do końca to złudzenie całego życia”...

Wszystko to było gorzkie. W dodatku ci z wyprawy nie wracali. Gdzie



może być ta dziewczynka? Co działo się z Zuzanną przez całą noc i przez cały dzień?

Odrętwienie, jakie ogarnęło pozostałe dzieci, udzieliło się i hrabiemu. Ale dla niego ta smutna sprawa łączyła się jeszcze z inną. Kochał siostrę. Swoją starszą siostrę. Bolesna rana, jaką zadała mu swoim wyjazdem — więc jestem już sam na świecie? — czyniła ten dzień naprawdę tragicznym. Ostatecznie dziewczynka się odnajdzie, ale czy on odzyska kiedykolwiek tę starą przyjaźń z dzieciństwa, to bezinteresowne przywiązanie? A przy tym w zniknięciu Zuzanny przerażał go nie sam fakt, ale myśl o okrutnych słowach, jakich zapewne dziewczynka wysłuchiwała. Ach, Mario, Mario! Chętnie zażyłby coś, aby zasnąć na długo. Gdyby mógł się modlić!

Co myślała mała Iwona, która przycupnęła na poduszkach koło pani Pailleron? Widział jej bezkrwiste i drżące usta. Nie miała nadziei, że uda się odszukać jej przyjaciółkę. Twierdziła, że wszystko zaczęło się od kłótni między Zuzanną a Paskalem. Ale sama wcale w to nie wierzyła.

Między stodołą a zamkiem, w budynku gospodarczym, w małej parterowej izdebce z kamienną posadzką, gdzie trzymano sprzęt do gier, do krokieta i gdzie urządzono czytelnię, pan de Sainteville ujrzał swoją siostrzenicę z Denizą. Ale co robiły te damy? Siedziały przy małym stoliku, z rękami zaciśniętymi na nim; nagle z jednej strony ramiona ich jakby się załamały i stółki niemal się przewróciły. Mówiły coś bardzo głośno, ale hrabia nie rozumiał ich. Mocno zaintrygowany, podszedł bliżej. Zawołały na niego: — Cicho, cicho! — i dalej odprawiały swój dziwny ceremoniał, w którym nie wiadomo dlaczego następowały przerwy, co obie panie znosiły z niezwykłą u nich cierpliwością. Oczy im błyszczały, głos drżał — był to seans spirytystyczny! Hrabia wzruszył ramionami. Głupstwa. Obruszyły się.

— Proszę usiąść, wujaszku, i popatrzeć!

Zjawił się właśnie duch, któremu na imię było Józef. Nie chciał dodać nic więcej, po prostu Józef. Deniza przypomniała sobie później, że był to stary sługa jej rodziców, który huśtał ją na kolanach, gdy była mała. Śmieszne to z tymi duchami, że trzeba im wciąż powtarzać reguły gry. Duchu, odpowiedz! Jedno uderzenie na „tak”, dwa uderzenia na „nie”, jedno stuknięcie oznacza A, dwa B. Gdy trzeba wystukać Z, sprawa jest ogromnie nużąca. A przy tym z duchami nigdy nic nie wiadomo; jedne uważają, że w alfabecie jest dwadzieścia sześć liter, inne — że dwadzieścia pięć, zależnie od tego, czy uznają W, czy nie. Najgorzej trafić na ducha analfabeta.

— I to się zdarza — oświadczyła Deniza. Pan de Sainteville poddał się czarowi. Zrazu śmiał się, co rozgniewało Józefa, który zaczął się dąsać. Po nim zjawiła się kobieta, która umarła w czasach rewolucji, w więzieniu! Mówiła o Marii Antoninie. Nagle stółki zupełnie oszalały, chciał coś powiedzieć, ale nie zadawano mu pytań, jakich sobie życzył; było to oczywiste, sylabizował bez ustanku jakieś wyrazy, przechylał się, uderzał o

ziemię, kołysał... Tragiczne słowa: rozpacz, głód, samotności... Cały dramat więzienia... Było to tak dalekie od tych dwóch młodych kobiet, zalotnych i lekkomyślnych, które siedziały przy gerydonie... tak dziwne, że zniknęła wszelka myśl o oszustwie, gdy więc stolik trzykrotnie z bólem powtórzył: „Moje dziecko”, hrabia przestał szydzić i czuł, że serce mu się ściska, bo w uszach brzmiały mu jeszcze te słowa, powtarzane przez Blanę.

Tak więc około godziny szóstej, gdy powóz z Champdargent wrócił po Denizę, Norbert i jego przyjaciele zastali pochłoniętych, zmordowanych i zapamiętałych — przy gerydonie, który podskakiwał jak szalony — nie tylko Paulinę i panią de Lassy, ale również pana de Sainteville; gubił on co chwila binokle, a jego stare ręce, które trzymał rozstawione i które dużymi palcami stykały się z małymi palcami jego sąsiadek, zupełnie mu zdrętwiały.

— Kochany mój Norbercie — powiedziała Deniza — ogromnie mi przykro, ale nie mogę jechać i zostawić przyjaciół w takim strapieniu!

Nie przerywała swoich czynności i półgłosem liczyła stuknięcia gerydonu: jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście... Czternaście oznacza literę N!

— Jak to, Denizo, przecież czekają na ciebie w Champdargent...

— Norbercie, nie skłoniśz mnie, abym uchybiła swojej powinności... Już ci to powiedziałam! Zostaję na noc w Sainteville. Odwieź gości i przywieź mi moją małą walizkę. Powiedz pokojówce, aby włożyła mi tam nocną koszulę i aby nie zapomniała o solach. Zwłaszcza niech nie zapomni o solach!

Pozostawało tylko usłuchać i dwa razy odbyć tę samą drogę. Tak też uczynił, choć z ciężkim sercem, młody pan de Champdargent.

Okolo godziny siódmej wrócili pierwsi uczestnicy wyprawy. Dzierżawca Loeuf, dwaj chłopcy z Buloz. Nic. Nikogo. Potem Piotr. Potem jeden służący z Paskalem. Nic. Nic. Przetrasnęli góry we wszystkich kierunkach. Nawoływali, krzyczeli. Odpowiadało im tylko echo. A potem cisza. O ósmej godzinie trzeba było pójść coś zjeść. Ale nasi zapaleńcy nie odstępowali stolika. Piotr był zupełnie wytracony z równowagi, Paskal dość przejęty...

Wrócił pan Pailleron. Surdut niósł na ręku. Upadał ze zmęczenia. Przeszukał zarośla, przewędrował moczary. Było rzeczą jasną, że jest tysiąc takich miejsc, gdzie dziewczynka mogła zginąć. A co można widzieć po nocy na stromym szczycie!... Jutro trzeba przeszukać drugi stok góry.

Opętańcy nie porzucili swego stolika. Zawładnął nim nowy duch. Nie chciał wyjawić swego imienia. Błagano go o to gorąco. Był pełen niedomówień, nawet nie zawsze chciał odpowiedzieć „tak” i „nie”. Oznajmił, że pragnie mówić. Wysylabizował wówczas wyraz: „M a m a”. Co — mama? Jaka mama? Jest tyle mam. Czy powiesz nam wreszcie, duchu, jak ci na imię? Jedno uderzenie. Tak!

No, wreszcie! Wszyscy zebrali się już przy spirytystach. Nie zważają na

nich mimo częstych, zirytowanych: „Cicho!” Służba, dzierżawca, panowie mówiący o wyprawie, a także pani Pailleron, przerażona, oburącz trzyma się za gardło i po raz setny powtarza to samo pytanie.

Stolik kołysze się, stuka o ziemię, sylabizuje... 15, 16, 17, 18, 19... 26: Z... 1, 2, 3, 4, 5... 18, 19, 20, 21: U... 21, 22, 23, 24, 25, 26: Z... ZUZ... Ach, Boże! Paulina krzyknęła... Wszyscy się obejrzeli. Matka wpatruje się w stolik szaleństwa z obłąkaniem w oczach... następna litera — jedno stuknięcie... ZUZA... Duchu, odpowiedz: „tak” lub „nie”. Jedno uderzenie oznacza „tak”, dwa „nie”... Czy jesteś małą Zuzanną?...

Piotr protestuje, to potworne! Pani Pailleron podchodzi bliżej... stolik podnosi się i ciężko opada, nieruchomieje... Jedno jedyne uderzenie! Tak. To Zuzanna.

Blanka wybucha płaczem. Wszyscy ją otaczają. Pan de Sainteville, przerażony, wstaje. Patrzy na stolik, na matkę...

— Dość tego! — krzyczy Piotr. — Chodźmy na obiad!

Paskal zbladł jak ściana. Mówi do Iwony, która stoi przy nim:

— To znaczy, że ona umarła?

Pan Pailleron, śmiertelnie znudzony, nic z tego wszystkiego nie rozumie. Otoczył ramieniem szyję Blanki i powtarza głosem zdrowego rozsądku słowa Piotra:

— Chodźmy na obiad...

## XLII

Bonifacy jest to młody olbrzym, łagodny i nieszczęśliwy. Od dzieciństwa wszyscy w Buloz nim pomiatali, nie ma ojca, a matka jego źle się prowadziła. Pewnego dnia porzuciła go i powędrowała w świat; miał wtedy lat sześć. Co prawda, wyglądał na dziesięć. Prześladowało go inne jeszcze nieszczęście... Miał płaski nos. Gdyby nie to, byłby ładnym chłopcem, nawet mimo piegów i sztywnych jak patyki, brudnoblond włosów, które opadały mu na oczy. Od kiedy nauczył się chodzić, pracuje u ludzi, a jest tak silny i niezmordowany, że wyobraża sobie, iż powinien za to harować w dwójnasób. Wieczorem, gdy odwali tę swoją ogromną robotę, pyta trwożliwie tych, których błogosławi, bo zapewniają mu kawałek chleba: „Czy dziś nie zanadto próżnowałem?” Największy chuchrak w Buloz może go nazwać bękartem, a ten kolos pokornie tylko zgina grzbiet. Wynajmuje się to tu, to tam. Bierze w miasteczku wszystkie prace, których nikt nie chce się podjąć. Ileż to śmietników oczyścił, odkąd żyje na świecie! Można by z nich usypać wysoką górę. Ma teraz osiemnaście lat i pracuje za psi pieniądz u doktora Moreau, przy budowie.

Gdy się dowiedział, że mała panienka znikła, postanowił, że pójdzie jej szukać w górach. Ale trudno, musiał skończyć swoją dniówkę. Toteż zagłębiając w grunt łopatę i odrzucając ziemię — bach! — prosił jednocześnie Pana Jezusa, niech sprawi, aby panienki z pałacu nie znaleźli przed wieczorem. Wbił sobie w głowę, że to on ją ocali, byle mu pozwolili

spróbować szczęścia, i gorączka go chwytala na samą myśl! Bonifacy był bowiem prostaczkiem, któremu wciąż roiły się dobre i piękne uczynki, prace, którymi zachwyciłby się cały świat, pokonane niebezpieczeństwa, usługi oddawane ludzkości; trzeba mu było tyle, tyle ludzkiej wyrozumiałości; musiał odkupić tyle, tyle swoich win, nie mówiąc już o tym, że należy sobie zasłużyć na raj, gdzie zresztą — jako dziecię grzechu — nie mógł się spodziewać zbyt dobrego przyjęcia.

Wracając z budowy spotkał ludzi, którzy schodzili z góry jak z na próżno przetrząśniętej kopicy siana. Doświadczył wtedy wielkiej radości; nie odpocząwszy, zostawił narzędzia jednemu z tych, co wracali do Buloz, i, cały jeszcze w pocie długiego dnia pracy, pomknął w górę, aż pękała na nim bluza, choć przywykła do jego mięśni.

Nikt tak jak on nie znał tych gór i ich tajemnic. Dopóki było choć odrobinę jasno, a w górach pod koniec sierpnia widać jeszcze o wpół do dziewiątej, pognął jak szalony aż na grzbiet, a potem biegł grzbietem. Dopiero gdy mrok zwałił się na niego, przyszło mu do głowy, że zapomniał zabrać łuczywo. Bo i cóż działa w tym lesie, ślepy i zagubiony? Wśród nocy gotów przejść tuż obok przerażonego dziecka, które mogłoby pomyśleć, że to jakieś dzikie zwierzę. Zszedł w ciemności lasu, jakby zanurzał się w głęboką wodę. Dziwiły go własne kroki. Słyszał, jak ze zbocza spadają kamienie, które mogłyby ranić dziewczynkę. Ze zdziwieniem dotykał liści, pni, ziemi. Miał ochotę płakać nad własną głupotą. Księżyc nie świecił i między drzewami błyskały tylko złote punkty na ogromnej, czarnej płachcie.

Miał jednak nadzieję, że jeżeli okaże wytrwałość, wyczuje w ciemnościach drobny, zimny policzek dziewczynki albo natknie się na uśpione dziecinne ciało. Toteż przy całym pośpiechu delikatnie stawiał swoje duże stopy.

Dwunastoletnia dziewczynka, mała panienka... Zauważył ją, a właściwie widział je obie niedawno, z paniczem Paskalem, na drodze. Która to z nich? Mniejsza o to! Bonifacy miał bardzo wysokie wyobrażenie o tych panienkach... Wierzył we wszystko, co dobre i co piękne na tym świecie. A przede wszystkim w młodość, niewinność, cnotę. Myśl, że życie mogłoby zgasnąć w tej młodej istocie, oburzała go. Nie była to z jego strony czułość, lecz zdrowie i siła. Widział już wielu zmarłych. Na przykład ten młody chłopiec, syn kotlarza; gdy przechodził drogą, przywalał go wóz z kostkami brukowymi. Chłopiec leżał zmiażdżony, głowę miał strzaskaną. Bonifacy pomagał go wydobyć. Była to rzecz straszna. Najgorzej nogi... przynajmniej tak się Bonifacemu wydawało. Bo tym nogom nic się nie stało. Były to dobre, mocne nogi żywego człowieka. Gdy Bonifacy próbował to wyrazić, nikt go nie rozumiał.

Przeciskał się wśród gęstwiny; ponieważ widział tylko zwartą masę drzewostanu, która w nocy wydawała się fantastycznie wysoka, orientował się macając mchy i korę drzew. A także najmniejsze skrawki gruntu, pęknięty kamień, suche albo gnijące szyszki, rozkładające się już liście, ziemię-objawicielkę pobliskich istnień roślinnych. Mówił sobie: „Jestem

blisko tego strumyka... O, to dziwne, że nie trafiłem jeszcze na modrzewiową polanę... Aha, zbliżam się do rozpadliny dzików..." Bo góry miały dla niego tysiąc imion, były jak suknia ukochanej kobiety, pokryta wspomnieniami niewidocznymi dla innych oczu niż twoje, dla innych rąk niż twoje.

Doszedł do skraju moczarów, gdy zobaczył w dali przesuujące się niepewnie pochodnie szukających. Głosy nawoływały, gruntowały ciemną noc. Ukląkł i pomodlił się. O Panie! uczyń, uczyń tak, abym ją znalazł ja, a nie kto inny, ja, nikt inny!

Jeżeli tutaj zesłała na bagna, jest zgubiona. Stąd nikt nie wyjdzie. Tutaj nikt nie zna ścieżek, o ile one w ogóle istnieją. Poszedł skrajem bagniska ku południowi. Parę razy usiłował zejść na niepewny grunt i czuł, jak się pod nim ugina z tą miękkością błota zmieszanego z mchami; buty mu przemokły... Cofnął się.

Tam pod lasem tańczyły jeszcze migające płomienie. Potem obszedł łuk, jaki tworzyły tu lasy, a gdy je minął, nie widział już dalekich błysków. Tu milkło nawet echo nawoływań.

Zagłębiwszy się w noc, Bonifacy doznał uczucia, jakby nagle znalazł się w bliskości kobiety. Między naturą i nim istniała wspólnota, z której niejasno zdawał sobie sprawę. Ona nie odmówiłaby mu niczego, wobec niej nie czuł żadnego skrępowania.

Na chwilę położył się na ziemi, żeby zebrać myśli. Ziemia tu była sypka, zmieszana z jakimś kamienistym piaskiem, co rzadko spotyka się w sąsiedztwie bagien. Zanurzył w niej palce. Obrócił się na brzuch i oparł policzek na napotkanym wilgotnym mchu. Pachniało to różnymi cennymi rzeczami: grzybami o barwie koralu, dawnym przejściem tędy stada kóz, świeżo rozkopanym grobem, i górami, dzikimi poziomkami. Chłopiec poruszał płaskim nosem w ziemi i trochę jej dostało mu się do ust. Zacisnął wargi nad tym pocałunkiem ziemi i tępo pomyślał o zmarłych, którzy łykają ziemię ustami, uszami i oczyma,

W ten sposób odzyskał siły, niewiarygodne siły, gdyż nogi jego, trudzące się od pracowitego świtu, przemierzając grunt ciężkim krokiem znalazły tam pewność, że dziewczynka żyje jeszcze, a własne pulsowanie jego serca przy ziemi wydało mu się jej oddechem przekazywanym mu przez piasek i mchy. Wstał z głową pełną historij o świętych wędrowcach, których jaskrawe wizerunki widywał w kościele. Święty Roch, ranny w udo, ze swoim psem i laską, brodaty święty Krzysztof, który, po kolana zanurzony w wodzie, zmierza ku brzegowi z Boskim Dzieciątkiem na ramieniu...

Teraz zaczynały się moczary najstraszniejsze ze wszystkich. Tu właśnie, jak się ludzie domyślali, utonął brat Michała. Bonifacy był wśród tych, którzy go szukali. Najodważniejsi nie ośmielili się wejść na te torfowiska, gdzie może jeszcze między zielskiem prześwituje głowa chłopaka, tak że można by wyciągnąć go za włosy. Instynktownie przesunął się bliżej lasu. A więc jest tchórzem?

Długą chwilę, a musiało to być już około północy, o tej godzinie, gdy, jak

powiadają ludzie, spod paproci wychodzą mali ludkowie i gromadzą się wokół miejsc, gdzie ziemia pożarła lekkomyślnych śmiazków, Bonifacy wahał się długą chwilę — bagnisko ciągnęło go, strach powstrzymywał. Bo i cóż zyska zapuszczając się na ten obszar śmierci? Jeżeli dziewczynka tę obrała drogę, niech Bóg zlituje się nad jej duszą! Ale Bonifacy wierzył też w odwagę, zwłaszcza gdy się bał. Rzekł sobie po cichu: „Tchórze! Tchórze!” — i twardą pięścią palnął się po bokach. Uczuł, że posuwa się ku bagnisku i rozsądek nic na to nie może poradzić. Przewrotny grunt już na odległość go wciągał.

I tak zaczął iść po obszarze śmierci. Popychało go jakieś dzikie zdecydowanie. Tym razem miał odkupić za jednym zamachem wszystkie tajemnicze winy, jakie w sobie nosił. Przeżegnał się. Trawa była gęsta. Czuł pod stopami jej kępki. Grunt uginał się. Jego siła i ciężar zdradzały go, obróciły się przeciw niemu. Czuł, jak uciekają mu spod stop przestraszone żaby. Wilgoć przenikała mu grzęznące w błocie nogi. Lepka ziemia chwytala go za kostki u nóg. Szedł naprzód. Dałby Bóg wie co za to, aby krajobraz rozpaczy, którego nie widział, rozświetlił się. Wtem lewa jego noga zapadła się aż po łydkę. Nagle i nie wiadomo czemu przyszedł mu znowu na myśl święty Krzysztof; wydobył nogę z błota, posuwał się z coraz większym trudem; wysokie, gęste trawy sięgały mu do pasa. Otaczały go ciasno. Nagle wydały mu się groźniejsze niż wilgotna ziemia. Coraz mocniej biła od nich woń mchu i zbutwiałych roślin. Woń śmierci. Bonifacy mógł jeszcze wrócić na stały grunt. Poszedł naprzód. Czuł ból w biodrach za każdym krokiem, gdy musiał wyciągać z błota stopy, gdy nieustannie wydzierał się spod przemocy ziemi. Opanowywało go ciężkie znużenie. Przez cały dzień pracował jak koń. Zaprzagnął już się nie przedzierać, poddać się mrokom, wilgoci, ziemi, sennieści. Gdy zrozumiał, że jest śpiący, przeraził się. Bo znał siebie: gdy przychodził sen, otwierała się przed nim niezgłębiona przepaść. Spać... Wydawało mu się, że bagna drgają. Radują się na dobrą ucztę, jaka je oczekuje. Spory kawał mięsa... Wytrzeszczył oczy, zeszywniał cały, napiął ramiona...

Za każdym krokiem nurzał się niemal do kolan... Głucha walka z każdą chwilą stawała się bardziej zacięta, a przeciwnik rósł w siły z każdym krokiem Bonifacego. Wciągał ku głębi łapy olbrzyma, który wpadł w sidła. Niepodobna się zatrzymać — sam ciężar człowieka pograża go coraz głębiej. Chłód grobu ogarnia go od dołu, ale gwałtowny wysiłek, który wyzwala go tylko po to, aby zwrócić go ziemi, sprawia, że spływa po nim gorący i lepki pot, a odzież przylega do skóry. Chwyta się rękami traw. Niekiedy są one ostre, więc, nic o tym nie wiedząc, rani sobie palce. Wyssał skaleczone miejsca i dziwny mu się wydał mdły smak własnej krwi zmieszanej z ziemią. O, na chwilę grunt staje się mniej grząski. Ale nie trzeba za wcześnie triumfować! Trawa rośnie tutaj tak gęsto, że wyjął z kieszeni nóż i otworzył go. I tak uzbrojony brnął dalej w krainę niebezpieczeństw.

Blisko godzinę walczył na oślep. Wyczerpanie rosło. Strach. Zerwał się

wiatr, który napełniał góry świstem i krzykami, trawy szumiały, jakby dmuchali w nie szatani. Najgorszy był ten mrok, ta dławiąca ciemność. Czasami nogi zanurzały się tylko do kostek, a potem znów trzeba było maszerować po głębokim błocku i Bonifacy zaczynał pojmować, co to jest piekło. Och, jakżeby pragnął, aby to była walka z człowiekiem, do zupełnego wyczerpania, na twardym gruncie. A tutaj niemym wrogiem, przeciw któremu miał tylko swoje ogromne stopy, było niezmierne cielsko mroku i zdrady; był to wróg, który sam jeden znał rozmiary swojej chytrłości, który folgował, aby lepiej pochwycić, w większej pograżyc rozpaczy.

Nagle powietrze ochłodziło. Do twarzy Bonifacego sięgnęła niszczycielska woń, którą dobrze znał, więc zadrzał. Deszcz. Na pewno zbliżał się deszcz. Deszcz na moczarach równa się śmierci. Bonifacy z rozpaczą pomyślał o stałej ziemi, o zaginionej dziewczynce, o jasnym dniu, o dobrym słońcu, o Buloz... Deszcz spadł na niego gwałtownie. Deszcz drobny i gęsty, nieubłagany, podstępny, deszcz na całą noc, bez przerwy, bez pardonu. Jak oszalałe zwierzę zacisnął mocne zęby, chwycił się ziemi i raz jeszcze spróbował wydostać się z bagien.

Za każdym krokiem wydawało mu się, że pęka mu klatka piersiowa. Czuł się jak człowiek, który biegnie; tracił oddech... A posuwał się nie szybciej niż małe dziecko, zaledwie zdolne utrzymać się na nogach. Ulewny deszcz rzucił się na bagna, opadał ciężarem na drzewa, chłostał noc. Bonifacy, bliski ostatecznego przerażenia, zawył ogromnym głosem, ale tak się sam przestraszył, że znowu ścisnął szcękające zęby.

Deszcz. Deszcz. Deszcz.

Bonifacy zginie. Ucieka z przerażającą powolnością, gdyż u każdej nogi ma ciężar całej ziemi. Upadł parę razy. Nóż mu się wysunął.. Stracony! Trawy go pochłonęły. On, Bonifacy, istny szaleniec, chciał ocalić nieznaną dziewczynkę. Boże wszechmogący, Jezusie, Synu Marii! Bojaźń boża, gniew, przerażenie, chęć życia, wszystko to miesza się ze zmęczeniem, z pragnieniem snu. Gdyby nie to, że pada, oczy by mu się same zamknęły. Czuje się zmordowany. Ale trudno, musi iść naprzód.

Ulewa bębni po liściach. Ulewa spływa mu po zlodowaciałych plecach. Ulewa przenika torfowisko. Ulewa wyśpiewuje w górach; Bonifacy zginie. Ile czasu tak upłynęło? Długie życie, krótkie życie, życie... Jakaś myśl przeszywa ziemnego topielca: „Nazywali mnie: «Ten bez ojca», a teraz będą mówić: «Ten bez grobu!»"

Ulewa pędzi tysiącem szybkich, drobnych stóp, czyni grunt mocniejszym, a człowieka słabszym; nagle podwaja swoje razy, jakby chciała dowieść, że jest nieubłagana, że jest królową nocy.

Ulewa. Ulewa. Ulewa.

Pusta głowa, głowa szalona, opętane ciało, bezrozumna siła. Tak czasem we śnie czuje się swoje szczęki. Podobne to do gorączki i bezsenności. Pada. Podnosi się. Wydziera się. Wydziera.

Ulewa. Ulewa. Ulewa.

Nagle trawy rozstępują się, odsuwają, noga natrafia na coś twardego, kolano się ugina... W rozpędzie Bonifacy raz jeszcze upada. Grunt. Twardy grunt! Jak to, wilgotny piasek... O Boże! To brzeg. Wyszedł z moczarów. Prostuje się. Uderza nogą w tę ziemię, która się nie ugina, widzi przed sobą czarną masę drzew, biegnie, pada... Deszcz jest łagodny i zimny, i dobry. Bonifacy wlecze się, chce dotknąć drzew...

U stóp drzewa ręka jego, oblepiona ziemią, dotyka jakiejś dziwnej rzeczy, skrawka materiału, rzeczy żywej, jakiejś istoty, która nagle budzi się i krzyczy.

Obie jego ręce opuszczają się i chwytają. On, Bonifacy, trzyma ją, trzyma przy sobie to stworzenie boskie, trzyma przy swoim wycieńczonym ciele zagubioną panienkę, która drży z zimna, nadziei i trwogi...

### XLIII

Pan Pailleron wyjechał do Lyonu rannym pociągiem, mniej więcej uspokojony. W nocy nie spał ani chwili, tak jak Blanka, która nieustannie chodziła po pokoju. Powtarzała mu: „Połóż się i śpij... to nic nie pomoże...” Ale wiecie, jak to bywa — człowiek pada z senności, a potem mu to przechodzi i nie ma rady. Mimo zmęczenia po całym dniu upędzania się po górach...

Dopiero o świcie przyszedł ten dzielny chłopak niosąc na rękach Zuzannę. Po nocy nie ośmielili się wracać. Byliby znowu zabłądzili na bagnach. A przy tym Zuzanna miała zwichniętą nogę. Kroku nie mogła zrobić. Przez całą noc mokli na deszczu. Dzień rozdarł chmury. Zimny wiatr osuszył szczyty.

Jak żałośnie wyglądali oboje! Obłoceni, brudni, zmordowani. Bonifacy spał jednak. Nie wypuszczając dłoni panienki, w strachu, że mu ucieknie mimo wykręconej nogi. Gdy się obudził, niósł ją, to na rękach, to na plecach. Obrął drogę najdłuższą, ale za to najwygodniejszą, skrajem bagnisk, koło kaplicy. Bluzą otulił plecy dziewczynki. Zasnęła mu wreszcie na rękach. Zaniósł ją do zamku, potem przeprosił, ale musi pójść do pracy. Odszedł, zanim się spostrzegli.

Zuzanna miała gorączkę. Jeden policzek był bardzo czerwony, drugi bardzo blady. Wstrząsały ją dreszcze i nie mogła ustać. To oczywiście z powodu tej nogi. Blanka z Iwoną położyły ją do łóżka i dobrze okryły. Grzałka z gorącą wodą. Grog z koniakiem. Musi wypocząć.

Pan Pailleron uścisnął córkę, wszedł do powozu i pojechał na dworzec.

Około ósmej Blanekę przeraził wygląd Zuzanny. Dziewczynka oddychała z trudem i jęczała. Pan de Sainteville miał termometr. Czterdzieści stopni. Wysłano chłopaka z folwarku de Buloz po doktora Moreau.

Mercadierowie, którzy właśnie się obudzili, jednocześnie dowiedzieli się o powrocie Zuzanny, odjeździe pana Pailleron i o tej ogromnej gorączce... Paulina pobiegła do Denizy, która wylegiwała się w łóżku. Mój Boże, jak uroczo wyglądała Deniza w łóżku!



Wysłuchiwała opowiadania Pauliny i spytała:

— Ale co z tym młodym wieśniakiem? To bohater! Daliście mu coś w nagrodę?

Co prawda, to nie! Odszedł tak szybko! Trzeba to naprawić. Ale jeżeli ta mała teraz umrze? O, zaraz miałyby umierać?

Iwona wyszła do Paskala pod cedry. Usiedli na niskiej gałęzi, która ugięła się pod nimi, i kołysali się. Pogoda wróciła z całym upałem lata.

— Czy myślisz, że to coś niebezpiecznego? — spytał Paskal. — Myślisz, że to przeze mnie?

— Po co udajesz głupiego? Dobrze wiesz, o co poszło... Zamilkli przygnębieni swoją tajemnicą. Tą rzeczą, o której nie mogli mówić. Namysłali się chwilę. Potem Paskal rzekł bardzo cicho:

— Słuchaj, Iwono... Lepiej mówić, że to przeze mnie... Trudno! To kłamstwo, ale tak będzie lepiej... Jak ci się zdaje, co jej jest? Silne przeziębienie? Tam musiało być bardzo zimno... A potem ten deszcz...

— Cicho bądź, ja bym od tego już za dnia umarła...

— Szkoda, że to nie ja znalazłem Zuzannę... Ja... wszystko by zostało w tajemnicy...

— Nie uniósłbyś jej, na to trzeba było dorosłego mężczyzny.

— Jestem silniejszy, niż ci się wydaje!

Był zły. Z nienawiścią pomyślał o Bonifacym, którego we wsi nazywano „Ten bez ojca”. O jego płaskim nosie. Jak tam w Buloz ludzie muszą plotkować!

Piotr Mercadier po śniadaniu i rozmowie, jaką zawsze prowadził z Denizą, rozmowie coraz to przerywanej i pełnej nieporozumień, poszedł dowiedzieć się o dziewczynkę do pokojów pani Pailleron.

Przyjęła go z dziwnym brakiem kokieterii, co zupełnie ją odmieniło, a jego zmieszało. Wziął w ramiona tę Blankę nie uszminkowaną, ze łzami na policzkach, z niedbale upiętymi włosami. Uwolniła się. Nie! Blanko! Nie!

Piotr zapomniał o Zuzannie i o całym świecie. Było już w nim tylko mocne pożądanie. Cała gwałtowność poranku.

Ale pani Pailleron odsunęła się od niego i wskazała otwarte drzwi do pokoju, gdzie nieprzytomna Zuzanna majaczyła po cichu.

— Mój drogi — rzekła — to niemożliwe tutaj... teraz...

Ale on znalazł w sobie całą brutalną, męską niesprawiedliwość.

— Aha — rzekł szyderczo — zapomniałem, że przed chwilą zaledwie opuścił panią małżonek...

Nie zauważyła tego grubiaństwa; poszła zobaczyć, co z córką, i wróciła. Piotr opanował się.

— Przepraszam... Blanko...

— Nie przepraszaj! Ale musi upłynąć trochę czasu, zanim ci powiem, o czym myślałam przez te dwa dni.

Zadrzał. Bał się rozumieć.

— Co masz na myśli? Może omyliłem się, źle cię zrozumiałem, Blanko...

Potrząsnęła głową i podeszła do okna. Właśnie zajeżdżało auto doktora,

sapiące i zwycięskie. Wsiadł z niego doktor w szarym prochowcu i okularach.

Zbadał dziewczynkę i kazał sobie wszystko opowiedzieć. Diagnoza nie nastęczała żadnych trudności. Nigdy jeszcze nie widział czegoś równie typowego. Zapalenie płuc. To zrozumiałe. Nie ma powodu, aby tracić głowę. Niebezpieczeństwo istnieje przez sześć dni. A potem... Gdzie można umyć ręce?

— Wybacz mi pani, że dałem na siebie czekać dziesięć godzin, ale miałem nagły wypadek... chorą... właśnie... czy pozwoli mi pani zamienić parę słów z panem Mercadier? To gorsza, niestety, sprawa niż z córeczką szanownej pani...

Piotr, który pozostał w salonie, zdenerwowany i przybity, cały pełen jeszcze trosk miłosnych, zerwał się jednym skokiem, gdy doktor wrócił sam.

— Nic groźnego, doktorze?

— Nie, nie... Zapalenie płuc... Z tego umiera się albo wychodzi... Ale chcę panu coś innego zakomunikować...

— Niech pan mówi, doktorze... więc jednak ta mała...

— Ach, nie o nią chodzi. Mam panu oznajmić przykrą wiadomość. Pańska teściowa zmarła dziś rano w „Hotelu Alpejskim”. Embolia. Wezwano mnie za późno...

#### XLIV

Gdy śmierć, niczym przerażająca maska karnawałowa, wejdzie w świat, który nie ma w sobie żadnej wielkości, nagły dysonans między codziennymi gestami a przerażeniem, między marnymi drobiazgami życia a tajemnicą grobu uderza tych, co otaczają świeżego trupa, każdemu słowu, każdemu tchnieniu nadaje coś z bluźnierstwa i drwiny, a na najbliższych epizodach długich i absurdalnych dni, w których czyjeś istnienie znajduje kontynuację w marazmie tych, co pozostali przy życiu, kładzie jakieś fałszywe piętno wielkich uroczystości, którym dorównują tylko najbardziej zagmatwane opery w swych najgłupszych i najbardziej afektowanych partiach.

Nie wiadomo dlaczego, ale lato pogłębia jeszcze ten fałsz, to okrutne zakłamanie śmierci. Może sprawia to kontrast pięknej, upalnej pogody z żałobą albo gorzej: trudności, na jakie natrafiają obojętni, aby utrzymać swój zatroskany wygląd; choć gnębi ich pot, brzęczące muchy, okropna woń, która unosi się z łóżka i napęlnia pokój, gdzie nie można otworzyć okien słońcu-profanowi.

Zaczęło się od krzyków Pauliny. Krzyków żalonych i śmiesznych. Biednych, przerażonych krzyków. Dochodziły one z góry, z wieży, gdzie mieściła się łazienka. Miejsce, gdzie oznajmia się córce, że tegoż ranka umarła jej matka, jest zawsze źle wybrane. Paulina myła właśnie zęby, postawiła przed sobą okrągły słoiczek „Victoria Tooth Paste”, w rękę trzymała szczoteczkę. Z przejścia rozsypała puder. Gwałtownie schyliła

się, by podnieść puszek. Już na kolanach, uświadomiła sobie, że nie powinna nic podnosić, bo jej matka umarła, i zaczęła głośno płakać. Płakać tak, że się serce krajało.

Piotr, w fatalnym nastroju, patrzył na to i na obnażone ramiona Pauliny. Poczynił refleksje zupełnie nie na miejscu, zawstydził się i o mało nie rozpłakał. Niedorzeczność, absurd.

— Moje biedne maleństwo — mruknął i głos jego zabrzmiał mu jak liczman, kłamliwie, aż się sam zaczerwienił. Paulina powiedziała:

— Mama...

Nie oznaczało to nic. Żadnego ludzkiego istnienia. Nie było nawet cieniem cienia. Słowo krążyło w powietrzu i chciało okryć jakieś wspomnienie, jakąś nieobecność. „Mama...” Cała słodycz dzieciństwa i całe kłamstwo życia. A także przeszywający egoizm, ukazana droga — nie ma już między nami a grobem kandydata wskazanego przez naturę, tej zasłony, tej matki, która powinna umrzeć pierwsza. Umarła. Stało się. Nasza kolej...

Piotr mówił. Formułował zdania nieużyteczne, ale wzniosłe. Ach, jeśli już o to chodzi, były wzniosłe. Gdy ktoś umiera, czujemy się w obowiązku przestać na chwilę być psem czy świnią, jak to jest na co dzień. Piotr mówił. Słyszał siebie, jak mówi, kłamie, kłamie. Myślą jest gdzie indziej. Paulina płakała teraz z twarzą w poduszkach. Mówiła:

— Jakiś ty dobry... — bo wprawdzie nie myślała tak, ale w podobnej chwili trzeba było, koniecznie, aby Piotr był dobry. Piotr mówił. Mówił o pani d'Amberieux w czasie przeszłym trybu oznajmającego.

Płacz Pauliny usłyszały dzieci w pawilonie ciotki Eudoksji. Iwona z Paskalem siedzieli tam poważni, rozmawiali o zapaleniu płuc, a myśl ich aż po brzegi pełna była tej *rzeczy*, o której musieli milczeć. Paskal wypowiedział o babce kilka stanowczych zdań. Nader surowo osądzał rolę, jaką stara dama odegrała w całej tej historii.

— To bardzo proste — zawyrokował — jest moją babką, ale to stara krowa. Iwona zaśmiała się głupio.

— Słyszysz, ktoś krzyczy?! — zapytała. — Co się dzieje?

Pobiegli do zamku, nikt nie mógł ich zatrzymać. Gdy go wyprowadzano za drzwi mówiąc szeptem:

— Moje dziecko, nie zobaczysz już twojej babci... — przede wszystkim przypomniał sobie, co właśnie o niej mówił, i ogarnął go straszny wstyd. Drugim odruchem było wyzwanie: „I co z tego?!” Nie będzie płakał. Spróbował powiedzieć:

— Więc ona umarła? — raczej dlatego, że pierwszy raz wymawiał to zdanie w odniesieniu do kogoś ze swoich bliskich i chciał się przekonać, jakie to wywrze na nim wrażenie, ale słowa zabrzmiały jak wszystkie inne... Nie wiedział natomiast, co się teraz będzie działo...

Wrócił do Iwony i oznajmił jej tonem najswobodniejszym w świecie, ale jednak z poczuciem własnej ważności:

— Wiesz co? Moja babcia umarła... — i dopiero wtedy uczuł się skrepowany wobec Iwony, wobec tego, czego Iwona oczekiwała od

chłopca, który właśnie stracił babkę.

Bo od razu wszystko nabrało takiego właśnie charakteru. Paskal stracił babkę. Stracił? To dziwne, jak się to mówi. Jakby chodziło o piłkę lub portmonetkę. Stracił...

Z kolei musiano zawiadomić pana de Sainteville. Ale dla niego wypadek ten był miażdżącą katastrofą, która nie pozwoliła mu przybrać odpowiedniego wyrazu twarzy, zatarła wszelką mimikę, zabiła wszelki zmysł krytyczny. Gdy Piotr oznajmił mu, co zaszło, pan de Sainteville opadł na krzesło. Drżącym ruchem ręki oddalił siostrzeńca. Spadły mu binokle zawieszane na łańcuszku. Pogrzebał palcami w brodzie. Nie powiedział ani słowa. Powtórzył tylko pożegnalny gest. Piotr wyszedł.

Stary pan pozostał sam w jadalni, gdzie rzecz ta została mu powiedziana. Oglupiały. Niezdolny osiągnąć tej czy innej myśli. Pełen jakby muzyki niejasnych wspomnień z młodości, z dzieciństwa, z przeszłych wakacyj i tego lata. Powiedział: „Mario”... ale imię to wpadło do studni milczenia i zamętu. Nic w nim nie ożyło, nie zjawił się żaden obraz. Odnalazł tylko rysy swojej matki zmarłej przed dwudziestu pięciu laty, do której pani d'Amberieux wcale nie była podobna. Powiedział sobie: „Maria umarła, nie zobaczę jej nigdy żywej; złożą ją do grobu, ją także, i tak zakończy się ta cała historia jej życia, historia smutna i długa, niezajmująca dla innych; ja tylko jeden mogę jeszcze coś z niej zrozumieć, ja tylko jeden ją pamiętam, historia bez początku i końca; wszystko minęło. Maria umarła, tam w Buloz, samotna w hotelu; pogniewaliśmy się, nigdy już nie będziemy mogli się pogodzić; za późno, Mario, o Boże! Mario, Mario...”

Duże łyż, gorące i okrągłe, ciężkie, powolne, długie łyż spłynęły po twarzy hrabiego, potoczyły się po zaroście na policzkach, pękły koło ust. Nigdy ten biedny człowiek nie odczuł tak wyraźnie, jak stara, zużyta była jego twarz. Nigdy tak wyraźnie nie wiedział, że wiek osłabił mu ramiona, usztywnił nogi, spustoszył całe ciało, tak że skóra wisiała na bokach pozbawionych mięśni, a brzuch wydał się i opadł. Astma w jego piersi mieszała się z bólem. Z bólem przeszywającym, naprzód umiarkowanym, ale wciąż wzrastającym, który szerzył się od serca ku ramionom, rękom, wnętrznościom — niby światło.

Najgorsze było, że rozstali się w gniewie. Paskal de Sainteville powracał do tego nieustannie. W gniewie. Głupio. Czy ja sam wiem, jak się to stało? Może ja powiedziałem słowo za wiele. Słowo, którego nie będzie już można nigdy cofnąć. Embolia. A może rozdrażnienie... Nie czuła się dobrze wtedy wieczorem. Embolia... Nie miała czasu wypowiedać się. Tak jest także dobrze, ale gdyby wiedziała, że tak się stanie, dręczyłaby się tym, bo była wierząca. Ale ja nie mogę sobie nawet wyobrazić, że ona gdzieś jest. W czyścicu... W czyścicu lub w niebie. Wolałby piekło niż tę nicość.

— Dziadziu — rzekł Paskal niepewnym głosem — powóz na nas czeka...

Upał powrócił i przytłaczał miasteczko Buloz.

Domy o za wysokich dachach, wszystkie trochę krzywe, białe w słońcu, wspierały się o siebie, jakby chciały przekazać sobie wzajemnie swój chłód.

Jest to miasteczko liczące czterystu mieszkańców, zbudowane jak wszystkie w tej okolicy; domy mają zewnętrzne schody prowadzące pod dach, pochyłe, aby śnieg się na nim nie gromadził. A pod dachem, u szczytu schodów, jest rodzaj terasy, gdzie wieszka się bieliznę do suszenia, grzyby nawleczone na sznurek, gdzie przesiaduje się w lecie. Balkony czasem stanowią przedłużenie terasy ku frontowi domu. Na dole, tuż przed drzwiami, piętrzy się kupa nawozu.

„Hotel Alpejski” niewiele różnił się od innych domów miasteczka. Stał na głównej ulicy, niedaleko kościoła. Od podwórza miał przybudówkę, gdzie trzymano brek i wiktoryę. Dach opadał na okna jak nasunięty kapelusz na oczy, a oszklony ganek zawieszony był białymi, zakurzonymi firankami. Przyjmowano tam chorych, którzy przyjeżdżali, aby zasięgnąć porady doktora Moreau. Toteż w ciemnych, starannie wywoskowanych pokojach ustawione były mosiężne spluwaczki i wisiały napisy: „Nie pluć na podłogę.”

Właścicielka, pani. Ruffin, wahała się między dwoma uczuciami: wściekłością na panią d'Amberieux, która przyjechała do niej, aby umrzeć — co za kłopot dla hotelu! — a radością z honorów świadczonych jej przy tej okazji przez państwo z zamku. Była to osoba o gładko zaczesanych włosach, pulchna, ubrana w ciemnobrązową spódnicę i luźny kaftanik; osobiście wskazywała drogę do pokoju żałoby, tak go właśnie określając: „Proszę tędy do pokoju żałoby”, tak jak kiedy indziej prowadziła do pokoju błękitnego lub pokoju o trzech łózkach.

Małym korytarzykiem szło się do pokoju, gdzie spoczywała babka. Paskal nigdy jeszcze nie widział nieboszczyka. Przy zamkniętych żaluzjach, w mroku, gdzie płonęły tylko dwie świece, czuwała u wezgłowia służąca proboszcza, pani Vialatte, i klęcząc, monotonnie mruzczała różaniec. Na łóżku, starannie okryta, spoczywała zmarła; na piersiach jej leżał wielki krucyfik, którego szczyt dotykał jej podbródka.

Wyglądała, jakby spała, ale wydawała się nieprawdopodobnie wychudzona. Powiedziałyby kto, że wraz z życiem odeszło to wszystko, na czym trzymały się policzki, nos, szyja. Skóra biała, woskowa dotykała bezpośrednio kości, tak ostrych, jakby miały ją przebić. Na policzkach została siateczka poczerńiałego trądziku. Ust nie udało się całkiem domknąć.

Paskala uderzył przede wszystkim wyraz naiwnego zdziwienia na tej twarzy o przymkniętych oczach. Jak gdyby pani d'Amberieux nie spodziewała się śmierci i jak gdyby dano jej tylko tyle czasu, aby się tym zdziwiła. Największe wrażenie uczyniła na nim ciężka i przykra woń unosząca się w pokoju, a także płacz matki; uczył łzy w oczach. Dziadek drżał i powtarzał cicho:

— Mario, Mario...

Instynktownie Paskal wziął ojca za rękę, ale ten, ponieważ Joanna zaczęła płakać i krzyczeć, powiedział mu:

— Zabierz siostrę, dość już widzieliście — i wypchnął ich z pokoju.

Dzieci zeszły do hotelowej jadalni. Nie wiedziały, co z sobą zrobić ani jak się zachować. Nie śmiały rozmawiać — może byłoby to niestosowne. Właścicielka poczęstowała ich wodą z kwiatem pomarańczowym. Paskal nie cierpiał tego. Ale musiał wypić. A co mogą robić ci wszyscy tam na *górze!* Czas mijał, a oni nie schodzili na dół. Chyba już się napatrzyli zmarłej... Aha, pewnie teraz się modlą. Ale papa nie modli się... Dorośli robią różne niezwykle rzeczy uważając, że to ich obowiązek. Zdaje się, że dla nich wszystko jest sprawą czasu. Siedzą jakiś czas razem, nic do siebie nie mówiąc. Przy stole, nawet kiedy się już zjadło, trzeba jeszcze siedzieć, aż upłynie oznaczony czas. Ze zmarłymi ta sama sprawa.

Joanna wierciła się na swoim miejscu. Nie płakała już. Szczypała Paskala, aby skłonić go do mówienia.

— Daj spokój... tego się nie robi.

Wreszcie dała się zabrać pani Ruffin do kuchni.

— Kochany aniołeczek, którego babcia wyjechała daleko, daleko... .

Paskal zaśmiał się urągliwie. Pomyślał nagle z przerażeniem, że nie zdążono babce wyjąć sztucznych zębów i dlatego usta nie chciały się zamknąć nad obluzowaną szczęką. Mdlilo go, więc zaczął przypatrywać się muchom, które chwytają się na długie paski papieru zawieszane w oknach. Piotr Mercadier i pan de Sainteville ukazali się na schodach. Zostawili tam mamę samą. Ustalono kolejkę czuwających. Dziadek wyglądał fatalnie; nie wiedział, co się z nim dzieje. Obaj panowie wybierali się na pocztę. Wzięli z sobą Paskala, który usłyszał słowa ojca:

— Jeżeli nie jest zadowolona, to trudno...

Został z dziadkiem przed małym budynkiem, gdzie mieścił się urząd pocztowy. Przez okno widzieli Piotra Mercadier w biurze telegraficznym. Stary pan pogłodził Paskala po głowie i rzekł:

— Bądź teraz bardzo dobry dla mamy, Paskalu. Ona ma wielkie zmartwienie...

Paskal spojrział na wespółprzytomnego, postarzałego, wymizerowanego dziadka. I nagle powiedział:

— Nie, dziadziu, to ty masz wielkie zmartwienie!

I mocno go uściśnął. Pomyślał przy tym, że dobrze się stało, że umarła babka, a nie dziadek. Kochał dziadka. A przy tym dziadek był młodszy. A więc to sprawiedliwie...

Powóz z Champdargent zatrzymał się przy nich. Norbert przyjechał po Denizę, ale dowiedział się o śmierci pani d'Amberieux i musiał odwiedzić zmarłą. Przywiózł z sobą Denizę. Wysiadała teraz lekka, urocza, ale zakłopotana swoją jasną suknią i różowym kapeluszem, tak w tej chwili niestosownym. Norbert pojedzie do Champdargent po suknie, aby mogła się przebrać; ma żałobne rzeczy — prawda? Nie, nie, ani jej w głowie

opuszczać teraz Paulinę. Zostaje w Sainteville... Norbert bez trudu przybrał zmartwioną minę.

Wczesnym popołudniem zasiedli wszyscy do obiadu, z wyjątkiem Norberta, który wrócił do Champdargent. W hotelu, gdzie pensjonariusze schodzili się w jadalni — tuzin szanownych osób kaszlących i zażywających lekarstwa z małych buteleczek, które stały obok ich nakryć — pani Ruffin okazała się na tyle subtelna, że zaprowadziła panów i panie z zamku do bocznego pokoiku, gdzie akurat stał stół i dwie ławeczki, i tam odbył się obiad. Deniza czuwała nad rozmową.

— Biedna, kochana pani d'Amberieux! Wczoraj wieczór widziałam ją tylko przelotnie... Wyglądała na osobę tak pełną życia... Może tylko twarz trochę zaczerwieniona... Ale któż by powiedział? Zjedz coś, Paulino, nie można tak się osłabiać...

Widoczne było, że wuj i Piotr chcą coś powiedzieć, ale krępują się. Wreszcie popatrzyli na siebie i wuj zebrał się na odwagę:

— Zadepeszowałem — rzekł — do jego ekscelencji i do Błażeja... z prośbą, aby przyjechali.

W mgnieniu oka atmosfera zmieniła się. Paulina zachnęła się, jakby ją przeleciał prąd elektryczny, upuściła widelec, nóż i kawałek duszonej wołowiny, który właśnie miała podnieść do ust.

— Do Błażeja! — krzyknęła. — Czyś oszalał, wuju? Do Błażeja!... Nigdy na to nie pozwolę...

— Poczekaj, moje dziecko, pomyśl chwilę... To rzecz całkiem naturalna. Jego ekscelencja odprawi mszę, a Błażej...

— Jego ekscelencja... nie mam nic przeciwko jego ekscelencji. Ale Błażej! Jak to, Piotrze, wiedziałeś o tym? Uważasz to za słuszne? Nie sprzeciwiłeś się? Wiedząc, co ja o tym myślę? Co pomyślałaby moja biedna mama?

Tu wybuchnęła płaczem. Deniza ocierała jej oczy.

Usłyszano głos Joanny:

— Ja chcę sosu... nie dostałam sosu... Paulina zaczęła krzyczeć na całe gardło:

— Wolę zginąć, rzucić się przez okno, połączyć się z mamą niż narazić się na coś podobnego!

— Posłuchaj, Paulino!

— Ach, ty milcz! Ranisz mnie do głębi. Człowiek niegodny, który nas porzucił dla jakiejś łajdaczki! Czy zatroszczył się kiedy, co się z nami dzieje? Teraz, kiedy mama nie żyje, chciałby się tu zjawić i pysznić się...

— Ależ on o nic się nie upominał, Paulino, to ja...

— Wuju, i tyś mi to zrobił? Kiedy mama jest jeszcze tu na górze, na tym łóżku — załkała krótko i mówiła dalej: — Nie, ja nigdy, nigdy w to nie uwierzę... to niegodne...

— Ale ostatecznie, moje dziecko, Błażej jest jej synem, tak czy nie? Jest jej synem. Jeżeli ktoś uważa, że ma prawo zabronić synowi, aby szedł za trumną matki... Ja tego nie zrobię!

— W takiej chwili! W takiej chwili!

— Zwracam ci uwagę — rzekł spokojnie Piotr, a lekkie rozdrażnienie czało mu się w kąciku ust — że podobne sprawy wyłaniają się właśnie w takiej chwili...

— A tak, teraz czepiaj się moich słów...

— Czy ja się czepiam?...

— Jakby nie dość było tego strasznego nieszczęścia! Oto jak odnoszą się do mnie moi najbliżsi...

Piotr wzruszył ramionami, a pan de Sainteville dodał:

— Zresztą, niezależnie od tego wszystkiego istnieją jeszcze sprawy spadkowe.

— Spadkowe? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że ten nicpoń zjawi się tutaj, aby nam wydrzeć pamiątki po mamie?

— Ostatecznie, zdaje mi się, że ma on takie same prawa jak ty.

Paulina nic nie odrzekła, lecz wstała i skierowała się do drzwi. Deniza pobiegła za nią.

— Gdzie idziesz, kochanie?

— Nie mogę przecież zostawić mamy tak długo samej z obcymi...

Obie przeszły przez ogólną salę jadalną, przy czym Paulinie, która trzymała przy nosie chusteczkę niby tampon, towarzyszyło powszechne współczucie suchotniczych pensjonariuszy.

## XLVI

Przewieziono zwłoki do zamku. Pani Pailleron uprzejmie odstąpiła wielki salon na dole, który przemieniono na żałobną kaplicę. Pani d'Amberieux, ułożona w trumnie, spoczywa wśród kwiatów, obstawiona paprociami.

Tymczasem na pierwszym piętrze Blanka prawie nie odstępuje od wezgłowia córki. Choroba ma przebieg normalny, ale jest to dopiero trzeci dzień.

Ekscelencja i Błażej d'Amberieux przyjechali w dwugodzinnym odstępie czasu, pierwszy z Włoch, drugi z Paryża. Dano im pokoje naprzeciw siebie, na drugim piętrze.

Odbywa się nieustająca defilada ludzi, którzy przychodzą pożegnać nieboszczkę. Całe sąsiedztwo. Biedni, bogaci. Bądź co bądź, pani d'Amberieux była córką starego pana de Sainteville, ojca obecnego hrabiego, i żyją jeszcze tacy, co o tym pamiętają.

A potem pojazdy zwożą mnóstwo krewnych i kuzynów. Wszystkie okoliczne zamki: rodziny Champdargent, Saint-Fiacre, Mazieres. Wszyscy ci, co w nazwisku noszą nazwę wioski, zamku lub doliny. Wysiadają z pompatycznych ekwipaży lub wiejskich zaprzęgów, w ciemnej odzieży, trochę niemodnej, która służyła już jako żałoba przy innych okazjach. Są to damy w czarnych jedwabiach, ściśnięci w pasie panowie, wysuszone panny i kawalerowie w kraciastych spodniach. Kościste ręce, brody przystrzyżone po wojskowemu, chude grzbiety, to znów nagle potężne bary i szkarłatne karki. To rodzina. Zjeżdża się przez tradycję i ciekawość. Wymierza czas



poświęcony zmarłej i chętnie myszkuje po zamku, bo niektóre osoby, mieszkające w odległości dwudziestu kilometrów, nie widziały go od zgonu pani de Sainteville-matki.

Na terasie stangreci gawędzą ze służbą folwarczną. Piotr Mercadier przyszedł dowiedzieć się o zdrowie Zuzanny. Iwona wymyka się. Kochankowie zostają sami. Kochankowie? Dziwnie to brzmi, tak wielka dzieli ich odległość, chociaż nic między nimi nie zaszło. Ale czy nic nie zaszło?

— Blanko, Blanko, jakież te dni są powolne i straszne... Jesteś mi tak potrzebna, czekam cię tu z próżnymi rękoma, z goryczą w sercu... Blanko...

— Nie mów nic. Życie potoczyło się inaczej. To okropne. Ale nic nie poradzimy.

— Co masz na myśli? Nie wierzę ci. Nic się nie zmieniło. Popatrz na mnie... odwracasz oczy... Ale dlaczego? Co sobie wmówiłaś? Szalona, szalona, ach, jak możesz...

— Piotrze, po co się dręczysz? Czy ty nie czujesz, że otarliśmy się o zbrodnię?

— O zbrodnię? Nasza miłość! Ależ twoje szaleństwa, twoje marzenia! Nie pozwolę ci tego zrobić! Przed nami życie, pocałunki, wspólne dni... Blanko, o czym ty myślisz?

— Ja myślę... myślę... Po co ci znać moje myśli? Czy tak bardzo pragniesz cierpienia? Piotrze, więc nie rozumiesz? Ona wiedziała, Piotrze, wiedziała, usłyszałam to z jej ust pośród gorączkowych majaczeń. Wiedziała!

Rozmowa ciągnie się dalej jak zabawa w chowanego, w tym buduarze a la Ludwik Filip, gdzie niegdyś pani de Sainteville wraz z ciotką Eudoksją płakała nad romansami, których dziś nikt już nie pamięta. Rozmowa jest tak cicha, że odzyskuje niemal głębokie akcenty miłości.

— A gdyby to i była zbrodnia, czyż nie jesteśmy związani tym, czegośmy wzajemnie zaznali w swoich ramionach? Blanko, tym, cośmy przeżyli wtedy, gdy już żadne z nas nie miało nadziei, by możliwe było teraz odrodzenie młodości, namiętności, szaleństwa... Wysłuchaj mnie... Musisz wiedzieć... Ja dłużej nie wytrwam... Pozwól mi mówić, nie, nie kładź mi na ustach twojej małej rączki... kochanej małej ręki... słuchaj... słuchaj...

Co on chce powiedzieć? Blanka boi się jego uporu niby czegoś nieuniknionego, czuje, że wszystko to stanie się zbyt poważne, i czy ona potrafi się oprzeć? Zmusza się do uśmiechu, patrzy mu w oczy, potem ogarnia ją jakieś skrepowanie... Co on powie? Już mówi... Odpędza jego pierwsze słowa, jak osy, przeczy głową, broni się.

— Spotkaliśmy się ot tak, przez przypadek. Było piękne lato, i nic więcej. Każde z nas miało życie poza sobą. Spotkaliśmy się... O czym mówiliśmy? O niczym? Było tylko twoje ciało i moja siła. Nie, nie odchodź, posłuchaj jeszcze... Było nasze szaleństwo i cały świat przeciwko nam. O czym mieliśmy rozmawiać? Nie mieliśmy jeszcze czasu. Piękne lato. Oto wszystko. Niebo i nasze ciała. Nie wiemy jeszcze o sobie tego, co mówią sobie w pierwszych dniach młodzi kochankowie... To ze strachu przed tym,

co było wcześniej, przed życiem, któreśmy porzucili... tak, któreśmy porzucili... Zrozum to, Blanco, na to nie ma rady... żadnej rady, porzuciliśmy... nie ma powrotu... i gdybyśmy się rozstali, zostałyby tylko pustka... nie możesz już wrócić do niego, nie możesz, tak jak ja nie mogę wrócić do niej... To się skończyło!

— Milcz! — powiedziała. — Nie mam serca czynić ci tyle złego.

Mówili szeptem, było gorąco i duszno, gałęzie drzew stały nieruchomo przed oknem.

Ciemne mahonie dokoła nich pełne były tajemnic.

— Zbrodnia?... — mówił dalej. — A jeżeli nawet otarliśmy się o zbrodnię, czy chcesz mi wmówić, że to powstrzymałoby taką kobietę jak ty?...

— Nie — odrzekła. — To prawda. Zdolna byłam wszystko porzucić, wszystko zburzyć. Opuścić... a nawet... Och, zdolna byłam pozwolić zginąć całemu światu! Ale...

— Ale?... Jakiego to kłamstwa szukasz, tak się wahając, jakiego kłamstwa? Podeszła, ujęła go za rękę. Patrzyła na niego z gorączką szaleństwa. Oczy jej zwilgotniały. Z głębi pokoju dobiegł słaby głosik:

— Mamo!

Opanowała się.

— Słyszysz? Idę, moje dziecko! Ona mnie woła...

— Nie wierzę... kłamiesz... Co chciałaś powiedzieć?

— Czy naprawdę trzeba wypowiedzieć te słowa, mój biedny Piotrze? Domagasz się tego? A więc dobrze...

Nagle przywarła ustami do ust mężczyzny z niesłychaną gwałtownością, jakby prosząc o wybaczenie, i gdy wyciągnął do niej ramiona, odsunęła się i powiedziała:

— Ale... ja ciebie nie kocham.

Dziewczynka drżała mimo gorączki, szalów, podróżnego pledu na kołdrze. Blanco podała jej syrop wykrztuśny. O Boże, jakaż ona stała się znowu dziecinna i wzruszająca! Jak i sama Blanco, która na próżno szukała swego serca...

— Widzisz, wuju — zwierzyła się pani Mercadier panu de Sainteville — nigdy nie przypuszczałam, że Piotr w gruncie rzeczy tak kochał moją biedną mamę. Zauważ, jaki jest smutny... I wierz mi albo nie wierz, ale jestem pewna, że dziś rano płakał!

W związku z pogrzebem trzeba pamiętać o tylu rzeczach. I pomyśleć, że wedle prowincjonalnego obyczaju musi się urządzić obiad. „Hotel Alpejski” pełen jest krewnych przybyłych do Buloz na pogrzeb. I właściwie tam by należało zostawić pana Błażeja...

— Paulino, nie wracajmy do tego tematu, przecież porozumieliśmy się już. I chyba nie wyobrażasz sobie, że mógłbym wyprawić mego własnego siostrzeńca do hotelu, gdy mam tutaj tyle miejsca? A czyż twój brat nie zachowuje się z wielką rezerwą? Nie możesz powiedzieć, że ci się narzuca. Ach, oto jego ekscelencja. Czy kazałaś mu zanieść ręczniki? Nie? To bardzo źle! Jak my przyjmujemy gości?

## XLVII

Zbliżyło ich wspólne zamiłowanie do malarstwa. Błażej był znacznie wyższy od szwagra, nosił tylko wąsy, długie i obwisłe, zakrywające mu górną wargę; był blondynem, z tych zmęczonych blondynów, którzy źle się opierają czterdziestce, i włosy jego, choć nie tak gęste jak niegdyś, tworzyły sporą czuprynę. Miał krótki nos swego ojca prefekta. Raczej kościsty, cera czerwona. Brak wszelkiego podobieństwa z Pauliną.

Jego miejskie ubranie pod parkowymi drzewami wyglądało dość niestosownie. Artystę poznawało się po krawacie, a także po pewnym zaniedbaniu. Palił fajkę, która wydawała się głównym przedmiotem jego starań. Piotr zdziwił się, że Błażej ma prawie taki sam głos jak wuj Sainteville. Tylko niższy. Ogólnie biorąc, coś pośredniego między chłopem i arystokratą. Ramiona trochę podniesione, a ręce chude.

A więc to był ten egoista, anarchista, którego samo imię doprowadzało Paulinę do pasji. Człowiek spokojny, raczej poważny, skłonny do ironii. Podczas gdy tłumy pielgrzymowały do zamku, Piotr, bezczynny i spragniony towarzystwa, aby nie cierpieć zbyt mocno, przechadzał się z Błażem; rozmawiali naprzód o malarstwie.

— Do licha, szwagrze, nigdy nie przypuszczałem, że spotkam tu kogoś, dla kogo nazwisko Moneta oznacza coś innego niż dobry temat do marnych konceptów. Nasza rodzina nie przepada za sztuką... Dziwnie mi znaleźć się znowu tutaj — drzewa podrosły... i mówię sobie, że od dwudziestu paru lat żadne oczy nie patrzyły na poszycie leśne jako na poszycie leśne... Moja zacna rodzicielka, nie chcę o niej źle mówić, uważała, że to po prostu krzaki — wskazywał całą dłonią pełne światła zarośla. Szli jakiś czas w milczeniu.

— Pan mi wybaczy — ale tamten przerwał. „Pan” brzmi zabawnie...

— A zatem... Błażeju... faktem jest, że nie wiem właściwie, czym się zajmujesz... Widziałem kiedyś mały obrazek rodzajowy... Zdaje mi się, że jesteś bardzo daleki od impresjonistów...

Błażej wzruszył ramionami.

— Nie lubię epigonów... Dlatego że w danej epoce jakiś typ wynalazł malowanie małymi barwnymi plamami, zaraz wszyscy w *te* pędy mają robić to samo... Przymrużam oko, migam ci światłami i oto masz, do usług, pejzaż. Jest to dziwne i zdobywa ci sukcesy. Poczekaj trochę, a zobaczysz, jak wezmą się do tego różni maruderzy tej szkoły. Co do mnie, idę swoją skromną drogą... — Po krótkim milczeniu ciągnął: — To dziwne... Zadajemy sobie tyle trudu w epoce, kiedy technika, maszyny uchodzą za rzecz najważniejszą. Jesteśmy ludźmi, którzy znienawidzili Ingres'a. Co prawda, wstrętny facet. Trzeba z nim skończyć, jak z całym Ludwikiem Filipem. Co nie przeszkadza, że jeśli nie strugał wariata, bazgrząc na przykład Jupitera pieszczonego przez dziwki na oczach całej rozjuszonyj menażerii, Homera triumfującego i tym podobne rupiecie, umiał malować ludzkie twarze. Dam głowę, że nie czytałeś Lacordaire'a. Och, rozumiesz, mnie wychowali wielebni ojcowie! Pewnego dnia otworzyłem niewielki

tomik tegoż Lacordaire'a i przeczytałem jedno tylko zdanie, ale nie zapomniałem go nigdy... Zdanie niezbyt katolickie. „Nawet gdyby nie było na świecie ani Chrystusa, ani Kościoła, ani życia nadzmysłowego, serce ludzkie stanowiłoby jedyne miejsce, od którego można by było oczekiwać siewu i uprawy przyszłości...” Nieźle jak na takiego brata ignorantyna! Trudno, ja uważam, że już za dużo tej natury... Brudna ścierka i promień słońca... albo kwiaty... nie mówiąc już o jabłkach. Tak jest, człowieka już mdli od tego... To piękne... Ludzie zacierzewiają się... Ja życzylibym sobie...

Piotr zapragnął bronić Sisleya, Renoira...

— Ach, więc ty myślisz, że ja ich atakuję, tych wielkich facetów? To są encyklopedyści malarstwa. Pewnego dnia stanie się to jasne... I jak oni żyją... Ale to nie jest powód, aby nie tworzyć sobie własnej prawdy. „Serce ludzkie” — rozumiesz, Lacordaire także ma słuszność. Bo człowiek pomału zanika w malarstwie... Ach, wiem, Renoir robi te swoje damy w kąpielu, ale co z tego? Nasi wielcy malarze — i w tym leży ich wielkość — malują wszystko jednakowo. Ciało jest tylko odmianą jabłka czy kamienia. Albo raczej, widzisz, malują ciało, odzież, a nie ludzi. Ja chciałem malować ludzi. Nie palisz?

Zapalił fajkę.

— Z wolna malarze zaniedbują całą jedną dziedzinę swojej przeklętej roboty. Nie zdają sobie z tego sprawy, powoli brną w materii. Oczywiście, stają się artystami na swój sposób; lubią już tylko refleksy jedwabiu — ogromnie cennego, to prawda, ale tylko jedwabiu... Ponieważ mistrzowie malują wkroczenie Galów do Rzymu, a Chocarne-Moreau małych chłopców z cukierni i ministrantów, nie masz już prawa do sceny na obrazie... Bo zaraz nazwą cię partaczem! A zatem nikt nie utrwali, co dziwnego odbywa się między dwiema istotami, które mijają się w drzwiach? Dla mnie jest w tym coś groźnego... Wiesz, ludzie dobrze wychowani — pan będzie łaskaw, drogi panie. Nic na to nie poradzę, ale mam fizyczną wprost ochotę, aby tamtemu przydepnąć palce u nóg... Może to nie ma nic wspólnego z malarstwem!

Piotra interesowała twarz jego szwagra. To załamanie nosa u samej góry, które zaczynało go tak, jakby miał być długi, a tymczasem kończył się jako nos krótki. Wynikało z tego coś jakby zwierzęcego i młodzieńczego w twarzy. Szczeka była mocna i przeczyła pozorom słabości, jakie występowały około oczu, może z powodu tych długich, kobiecych rzęs.

— Żyjemy w dziwnych czasach — mówił dalej Błażej — koniec stulecia, trzeba chyba wierzyć, że to ma jakieś znaczenie. Nie wynika z tego, abym żałował ładnego świata przedwczorajszego, kiedy to ów jegomość malował swoje *Dzień dobry, panie Courbet*. Zresztą, to piękny obraz. Nie, ale jeżeli wygaduję na malarstwo, to dlatego, że w gruncie rzeczy... Malarstwo to jednak refleks życia... Otóż czy uważasz, Piotrze, że można być zadowolonym z życia w obecnych czasach? Czy jesteś zadowolony ze swego? Dobrze. Więc jakże zadowolić się malarstwem?

Szeroko rozgadali się o szczęściu. Dla Piotra było to jakby grzebanie w popiołach. Rad był, że słowa jego są gorzkie. Błażej patrzył na niego i marszczył jedno nozdrze. Były między nimi punkty styczne. Poza malarstwem, gdyż nie cierpieli tej samej rzeczy.

— Tak, wiem — rzekł jeszcze Błażej — co mi zarzuca rodzina; porzuciłem ich. No i co z tego? Czy to ja zrobiłem ich tak głupimi, tak: przywiązany do wszystkiego, co nieludzkie, do martwych tradycji, do ponurej farsy społecznej? Nie czułem się związany z nimi, bo dobrze wiem, że cieszyliby się, gdybym gdzieś zdechł, byle to jakoś ładnie wyglądało... w koloniach albo jako lekarz — ofiara obowiązku... bo takie rzeczy pozwalają wysoko nosić głowę, a matka może czerpać z nich jednocześnie dumę i pociechę! Podczas gdy żyjąc gdzieś tam, bez renty, zasmarowując płótno i sypiając z kobietą, która nie wyszła ani z Oiseaux, ani nawet z Saint-Denis, córką urzędnika... Tak, jeżeli uważają mnie za Cygana, jestem nim... Niczego od nikogo nie żądam... Nie żyję z krwawicy mego dziadka. Jednakże w takich warunkach to życie pochłania mnie całego. Nie ma miejsca na pielęgnowanie życia rodzinnego, co tak lubiła poprzednia generacja. To nieszczęście, ale co zrobić? Człowiek odrywa się od tego świata stadnego, od stada zorganizowanego. Żyje z dnia na dzień. Poranne wypicie kawy staje się czymś doniosłym. Człowiek funduje sobie niedzielę w Meudon. I to już dużo! A gdy patrzy na innych, nie żałuje niczego. Są brzydki, śmierdzący i nudni. Obiema stopami grzęzną w małych świństwach, których amalgamat tworzy wielkie świństwo, przyprawiające nas o mdłości. Dziękuję. Nie chcę brać za to odpowiedzialności. Niech ten idiotyczny świat toczy się beze mnie! Umywam ręce...

Błażej patrzył na Mercadiera badawczo. Mówił sobie: „A ty, chłopie, do jakiej kawiarni chadzasz na tej twojej prowincji”? Do tej, gdzie zbierają się wojskowi, czy też tam, gdzie masoni?” Słońce — w złym, japońskim smaku — schodziło na drzewa. Zawrócili do zamku.

— Czy nigdy nie żałujesz — spytał Piotr — tego zerwania z rodziną, tej przepaści między tobą a życiem, jakie miało być twoim udziałem?

Ironiczny gwizd Błażeja przekonał go, że nie został odgadnięty. Dodał jednak:

— Nie wydajesz się szczęśliwy...

— Ech, nie trzeba być zanadto wymagającym. Jem, śpię, mam kobietę, smaruję obrazy, które ludzie czasem godzą się powiesić na ścianie... czego więc żądać jeszcze? A poza tym funduję sobie splin... splin, luksus artystów... Nie należy się skarżyć na to, że człowiek nie ma koni i dojeżdźaczy, że nie poluje na jelenia we własnych dobrach... Ostatecznie, przez całe wieki to właśnie moja rodzina uważała za szczęście. Kto miał słuszość? Oni, przodkowie? Daruj, ale mam inne zmartwienia.

Czupryna zatrzęsała się, ale nie było pod nią ani śladu uśmiechu. Sklepiony łuk ramion opadł nieco.

— My jesteśmy tymi — mówił Błażej — którzy nie prowadzili wojny. To prawda. Mieliśmy tę szansę i tę niższość. Co innego ci spod Reichshoffen

lub z armii Loary, od Chanzy'ego lub Bazaine'a, bo nic nie może stać się na świecie, żeby oni nie mieli przy tym czegoś do powiedzenia. Przynajmniej oni tak myślą! Wleźli państwu na hipotekę — mają młodzież, kobiety, pieniądze, które wyrzuca się na Muzeum Luksemburskie, mają awantury afrykańskie, debaty cara z mikadem, krótko mówiąc: nic się im nie wymknie. Biedni ludziska! My możemy ulotnić się po angielsku. Jesteśmy nieszkodliwi. Nie mamy głosu. Jesteśmy facetami, którzy nie dali swych kości; można ich sobie złożyć, zwinąć i wetknąć gdziekolwiek... Wszystko to jest bardzo ładne. Sytuacja uprzywilejowana. Zyskujemy to, że o nas zapominają. Sza! Ale przypuśćmy, że jutro wybuchnie wojna. Francuzi są absolutnie zdecydowani rozsiekać Anglików na drobne kawałki za ich faworyty, ubrania w kratkę i ogromne złote zęby. Wtedy koniec z nami. Obaj jesteśmy jeszcze w wieku poborowym. Raz — dwa, raz — dwa. I jeżeli mimo postępu technicznego artylerii od roku 1871 i zastosowania roweru w armii uda się nam wyjść cało, my z kolei będziemy weteranami i uwierzmy w nasze prawa, powinności, w to, co się dzieje... Ty sam, Mercadier, jesteś swoim wrogiem. Rodzina, oczywiście, rodzina, czasem udaje się nam jej pozbyć. Ale najgorszy jest twój własny cień, który wszędzie wlecze się za tobą, to jakieś sumienie społeczne, które gryzie cię w serce, gdy mordują Ormian, gdy wojsko strzela do górników albo gdy w małym prowincjonalnym miasteczku tłuką Żydów, nie bardzo wiedząc dlaczego...

— O, jeżeli o mnie chodzi — rzekł Piotr — gnębi mnie co innego!

Trysnęło to prosto z serca i Błażej przystanął. Na pewno w tym szwagrze Mercadier nie siedzi nic nadzwyczajnego! Co prawda, znosi tę głupią gęś Paulinę już chyba z piętnaście lat!

## XLVIII

Tego samego wieczoru, gdy odnaleziono w górach Zuzannę, pani Pailleron zaszła do kuchni po ziółka dla chorej i ujrzała tam niezgrabnego, wysokiego dryblasa z czupryną na oczach, mnącego w rękę czapkę. Był to Bonifacy, po wiadomości. Blanka pewna była, że zgłasza się po nagrodę, wydał jej się sympatyczny i kazała dać mu pięćdziesiąt franków.

— Czy był zadowolony? — zapytała Rozyny. Dziewczyna odpowiedziała, że nie bardzo wie, bo chłopak miał minę zmieszana i dziesięć razy dziękował.

— Pięćdziesiąt franków! — zawołała Paulina dowiedziawszy się o tym od Marty. — Ależ to majątek dla tego chłopca!

Ze swej strony uważała, że taka hojność demoralizuje służbę. Wuj sądził, że wystarczyłyby dwa ludwiki.

Iwona zapytała Paskala:

— A ty myślisz, że to dużo te pięćdziesiąt franków?

Paskal zastanowił się. Ile Bonifacy zarabia dziennie? Może z pięć franków. Może mniej. No, ostatecznie stanowi to dziesięć dniówek.

— Więc — ciągnęła Iwona — życie Zuzanny warte jest dziesięć dniówek robotnika... Myślałam, że więcej.

— Głupia jesteś — odpowiedział Paskal. — Życie nie ma ceny. Ale przecież trzeba mu było coś dać... sto franków... tysiąc franków... Gdyby tak liczyć jak ty, zawsze wyglądałoby to śmiesznie...

— Tak, ale pięćdziesiąt... Co można kupić za pięćdziesiąt franków?

— Ubranie. Czy ja wiem... mnóstwo rzeczy... Oczywiście, że nie taki gramofon, jak ma pan Pailleron... za sto czterdzieści siedem franków! Ale Bonifacemu nie trzeba gramofonu.

— A gdyby zachciało mu się gramofonu?

— Et, daj mi spokój, tylko byś się sprzeczała! Gdyby chłopom zachciało się gramofonu! A zresztą, gramofon kosztuje trzy razy tyle!

— Więc aby kupić sobie gramofon, Bonifacy musiałby jeszcze uratować co najmniej nas oboje... Ale za ciebie, wstrętny smarkaczu, matka nie dałaby pięćdziesięciu franków!

Pobili się i wytargali za włosy, aż wreszcie Iwona zaczęła go całować, całować jak szalona...

— Puść mnie, Iwono, puść mnie, Rozyna idzie!

A tymczasem Bonifacy, chociaż nie spodziewał się nagrody, każdego wieczora przychodził do zamku po wiadomości. I siedział godzinę, dwie, dopóki go nie wyprawiono. Nie mówił ani słowa, ale patrzył w stronę, gdzie powinna się była znajdować mała panienka. Przynosił dla niej kwiaty, i to niebyłe jakie; kwiaty, które rosną tylko wysoko w górach; dzikie goździki, których nikt prócz niego nie lubił; chodził po nie o świcie, przed pracą, bo o wpół do siódmej musiał już być na budowie.

Wzruszało to Blankę, więc schodziła do kuchni, aby mu podziękować. Robiło to na nim ogromne wrażenie. Matka panienki. Pani. Prawdziwa pani.

Gorączka Zuzanny nie opadała. Czwarty dzień, piąty...

W ten dzień wypadł też pogrzeb pani d'Amberieux. Dom pełen był ludzi, roili się ci wszyscy, którzy przyjechali, aby pożegnać zmarłą, i wielu innych, wieś i okolica, przybysze z różnych miast, z Paryża, Nicei, Lyonu, Buloz... Czasem panie zapominały nagle, że nie należy się śmiać... Cała ta niby milcząca krzątanka sprawiała piekielny zgiefk.

W kaplicy żałobnej, urządzonej w salonie, śpiewało to i mamrotało modlitwy. Ministranci, księża. Palono kadzidło; intonowano psalmy.

Najmłodszy Champdargent, pyzaty chłopak z potężnymi łydkami, robił migawkowe zdjęcia po całym parku i na terasie i mordował wszystkich, aby mu się ustawiali w marzących pozach na pierwszym planie. Norbert, jako że Deniza przesiadywała u Pauliny, grał za domem w kręgle z Paskalem. Uwaga, gdy robię trochę hałasu, to zaraz skandal! Pac! Jeżeli pada za daleko, ja nic nie mówię!

W porannej poczcie Piotr znalazł list od pana Castro. Agent giełdowy odsyłał mu rachunek z końca miesiąca. Jak uprzedzał pana Mercadier, jego operacja giełdowa skończyła się katastrofą. Castro dobrze radził klientowi,

aby zgodził się trochę stracić i sprzedać po kursie bieżącego miesiąca. Ale pan Mercadier nie chciał ani słyszeć o tym, podtrzymywał swoje dyspozycje i klęska była zawrotna... Znowu dwadzieścia tysięcy franków straty...

Cóż to znaczyło dla Piotra w takim dniu? Nie dlatego, że odbywał się pogrzeb teściowej. Z tego Piotr kpił sobie po cichu. Ale był pogrążony w jakiejś mrocznej rozpacz, Jakby dokoła niego zamknięto okiennice przed słońcem. Po prostu nie wyobrażał sobie przyszłości, żadnej przyszłości. Jego własne życie ukazało mu się w ostatnich tygodniach takie, jakim było: absurdalne, potworne. W chwili gdy wyobrażał sobie, że mu się wymknął, gdy wreszcie pomyślał o świecie, gdy mógł znaleźć jakiś sens ucieczki, stało się to...

Dwadzieścia tysięcy franków straty lub zysku. Ale może im więcej pieniędzy, tym bliżej wolności? Cóż poza tym pewne jest *na* świecie? Czyż ten refren pieniędzy nie skandował lat? Czyż nie były one jedyną rzeczą, która nie przynosiła rozczarowania? Pieniądzy trzeba było, aby przetworzyć życie, pozbyć się tego wszystkiego, co je obciąża, aby być panem siebie, skończyć, uciec, ach, gdzieś daleko!

Ale potem ogarnęła go, niczym mury więzienia, myśl, że gdzieś daleko będzie to samo, co tutaj, że życie jest zawsze jednakowe, że nie ma kim zaludnić tego świata, gdyż Blanka go nie kocha. A jeżeli skłamała? Nie, nie skłamała.

Dwadzieścia tysięcy franków to znów nie taki majątek. Można je odzyskać. Grać... W Sainteville zapomniał o grze... Trzeba znów zabrać się do niej. Trzeba odzyskać cierpliwość i nadzieję. Podtrzymywała go chęć oszukiwania, okłamywania Pauliny... Jakaż ona była w ostatnich dniach wstrętą z tym swoim bólem!

Czuła się w obowiązku mówić różne rzeczy, opowiadać historyjki, rozczulać się do łez nad przeszłością. Wyraz „mama” w jej ustach irytował go jak fałszywa nuta. Piotr miał ochotę ją bić. Ale jednocześnie przyjmował udział w komedii, udawał bardziej zmartwionego, niż był naprawdę, bardziej ponurego, godnego, zamyślonego, odwracał głowę, jakby chcąc ukryć swą słabość. Był ideałem zięcia w żałobie. Wszystko to było absolutnie bezużyteczne, ale gorzko wykombinowane. Chciał z obłudy zrobić system, aby lepiej ukryć swoje tajemne myśli, złość, nienawiść, niesmak. Przeprowadzał w myśli kombinacje giełdowe, a jego usta wymawiały zdania pełne obrzydliwej obojętności. Im więcej kłamał, tym chętniej przyjmowała to Paulina. Podczas pogrzebu nabrało to niemal cech wielkości.

Na ogół Piotr starał się oszczędzać sobie cierpienia. A cała ta komedia zacierała obraz Blanki. To straszne nieszczęście, że nie był już kochany. Tak głupio uwierzył po czterdziestym roku życia w ten romantyczny poryw, w to szaleństwo miłości. Nie mógł sobie tego darować. Ani tych śmiesznych i głupich myśli, przed którymi nie mógł się obronić. Wszystko naraz. Jak pływak, któremu śni się, że traci grunt pod nogami. Wszystko,



co wiedział o życiu, całe cenne doświadczenie lat, całą okrutną wiedzę o sprawach codzienności — wszystko to nagle zapomniał, więcej, niż zapomniał, więcej, niż zatracił, bo stał się ignorantem większym, niż był kiedykolwiek. Pomijając ważne dane istnienia, jak opadłe łańcuchy, wymyślił sobie dziecinną przygodę, fantastyczny świat, gdzie Blanka i on łączyli się niczym w miłosnej piosence. Tak jakby ludzie nie byli głupi, brzydki, kłamliwi, jakby miłość nie była świństwem, społeczeństwo pułapką, olbrzymią pułapką, z której nikt *nie* może się wydobyć. Bo przecież mordercze słówka Blanki: „Bo ja cię nie kocham”, nie wyjaśniały nic, nic... Wyrażały one tylko, obnażały powszechną ohydę. Na pewno nie kochała go, nie mogła go kochać, bo czy właściwie ktoś kogo kocha w życiu, w takim życiu? I pomyśleć, że zdarzają się dumie, co się dla tego zabijają!...

Powrócił myślą do dawno rozpoczętej i wciąż porzucanej pracy nad życiorysem Szkota Johna Law. O jego życiu uczuciowym nic nie było wiadome. A jednak... Należałoby jeszcze poszukać dramatów osobistych w życiu człowieka, który był twórcą nowoczesnego pieniądza i umożliwił skomplikowaną grę wielkiej współczesnej maszyny, w której trybach nie ma już miejsca na miłość.

Nie ma już miejsca? A czy kiedykolwiek było? Złudzenie! Kiedy narodziło się to złudzenie, które wypełniało książki i kłamliwymi uniesieniami poilo młode serca? Narkotyki są przynajmniej uczciwsze...

Piotr, wciągnięty w obowiązkowe gesty pogrzebowej uroczystości, czuł się podobny do statystów w operze, którzy w dziwacznych kostiumach chóru, z nogami gołymi w grudniu, kroczą wśród kartonowej średniowiecznej dekoracji, z gestami narodowej rozpaczki lub religijnej trwogi, podczas gdy ich nędzne ciała pożera świerzb, a głowy zaprzęta myśl o liczniku gazowym, o głodnych bachorach i tajemnych występkach. Życie było bezsensowne jak błazeńska orkiestra. A od hipokryzji skrzypiec zbierało się na wymioty.

— Szczerze współczuję pańskiemu bólowi... Doktor Moreau skłonił się z miną opanowaną i wzburzoną jednocześnie. Byli na cmentarzu, przy otwartym grobie, gdzie już spały: ciotka Eudoksja, Cecylia de Sainteville, matka Paskala i Marii, prefekt d'Amberieux... Ziemia była rozkopana, sznury opasywały trumnę; kwiaty złożono przy sąsiednich grobach; dwaj karawaniarze i grabarz, którym pomagał Bonifacy, bez surduta i z zakasanyimi rękawami, tłum, rodzina, drżąca, mokra od potu i łez Paulina w ogromnym krepowym woalu, dzieci kręcące się pod nogami, wysoka, pochylona sylwetka Błazeja... Straszliwy upał, muchy, słońce... Piotr uczył się nagle wyzwolony od czaru w tej cmentarnej rzeczywistości, wśród grobów, na których wyryte były kłamstwa i zapomniane na zawsze imiona. Spojrzał na doktora Moreau i powiedział tonem pełnym rutyny:

— Dziękuję, że zechciał pan przybyć...

W zamku odbyła się stypa na czterdzieści sześć osób — rodzina. Nie uchylamy się od tradycyjnych zwyczajów, nawet gdy są okropne. A czy

przyjemnie zakopać matkę w ziemi? Otóż to właśnie: zasiąść do obiadu w tych warunkach to także rzecz przykra. Ale co trzeba, to trzeba.

## XLIX

— Książd Petiot przyniesie mi je... nie trudź się, moje dziecko...

Nawet podczas stypy należy zażyć lekarstwo, a butelka z kroplami została w pokoju. Sekretarz eksceleńcji wstał. Był to wysoki młodzieniec, który w sutannie wydawał się jeszcze chudszy, twarz miał jakby bez podbródka, nosił okulary, stale się garbił i zacierał ręce.

Czterdzieści sześć nakryć pod drzewami na terasie, długi stół na kozłach i piekielna harówka w kuchni. Oczywiście, że sprowadzono do pomocy personel „Hotelu Alpejskiego”. Inaczej nigdy nie dano by sobie rady.

Eksceleńcja siedział naprzeciw Piotra Mercadier. Po prawej ręce miał pannę Agnieszkę de Champdargent, liczącą sobie lat czterdzieści osiem, ciotkę Norberta, a na lewo — starszą nieco kuzynkę rodziny d'Amberieux. Damy, poprzez osobę prałata, rozmawiały bez przerwy o zmarłej. Jakże rada byłaby nieboszczka, gdyby wiedziała, że eksceleńcja odprawił na jej intencję mszę za zmarłych. Zresztą ona już o tym wie...

— Och — rzekł eksceleńcja — nie sprawiłoby to jej takiej znów radości. Grzebałem jej męża, chrzcilem dzieci, chowałem matkę, dawałem ślub Paulinie... W końcu nie będę stanowił dla rodziny żadnej atrakcji...

Był to człowiek otyły, dość wysoki; twarz miał bezbarwną, szeroką, nos prawie taki sam jak u Błażeja. Mimo paru zmarszczek była to, w górnej części, jeszcze dość przystojna twarz, choć z łysiejącym czołem. Ale u dołu wszystko było ruiną: obwisłe policzki, zatarte kontury. Pulchne ręce zdawały się radować, że uwolniono je od biskupiego ametystu. Splatał je klasycznym księżym ruchem, raczej skromnym niż modlitewnym. Podczas śniadania, które natychmiast stało się bardzo gwarne, zwracał się prawie ciągle do swego vis-a-vis, i Piotr, zawsze nieco zażenowany w obecności duchownych, bo nie chciał afiszować się swoim niedowiarstwem, a na ich widok uświadamiał je sobie nagle bardzo żywo, czuł się skrępowany, zwłaszcza że absolutnie nie mógł zapomnieć o absurdalnym związku między tą uczną a nieboszczką.

Wszystko to odbywało się w gwarze, który wzmagał się pod wpływem wina. Upał również działał pobudzająco. Jakież głupstwa mówili zapewne ci ludzie! Nie mieli odwagi śmiać się przed pieczystym, ale od przystawek przymus, jaki sobie narzucali, zdradzał się w nagle podniesionych głosach, w ożywionym tonie rozmów. Paulina nie przyszła na stypę, co chętnie jej wybaczone, ale pan de Sainteville tkwił w końcu stołu, dość nieprzytomny, ale godny. Opanowała go śmieszna myśl, której wstydził się, ale której opędzić się nie mógł. Miał ochotę poprosić, aby zaśpiewano. Nieodpartą ochotę! Oczywiście, nic o tym nie powiedział. To byłby dopiero skandal! A przecież tylko on jeden odczuwał smutek!

Eksceleńcja przy deserze zażył inne krople. Kawy? Nie. Było w jego

twarży coś bardzo dobrego i jakby trochę spłoszonego. Potem napotykało się jego oczy. Wielkie, wypukłe rybie oczy. Wtedy patrzącego ogarniało zdziwienie, że ten lękliwy człowiek ma takie wejrzenie. Obserwował Piotra i Piotr to czuł. Co myślał sobie ten biskup? Zapewne, jak wszyscy, wzruszony był smutkiem Piotra, który, jak ogólnie sądzono, wywołany był śmiercią pani d'Amberieux. Piotr również nie pił ani kawy, ani likierów.

— Chodź ze mną, drogi Piotrze — rzekł eksceleńcja. — Mała przechadzka pozwoli nam rozprostować nogi. Wszystko to jest dość posępne.

— Tak jego eksceleńcja sądzi? Ta stypa, przeciwnie...

— To właśnie określam jako posępne! Czy nie masz ochoty?

— Bardzo chętnie...

Przeszli terasą, okrążyli pawilon ciotki Eudoksy, minęli cedry i usiedli koło starej spróchniałej balustrady, na końcu ogrodu, skąd w dole widać było dolinę ciągnącą się aż za Buloz. Było około trzeciej i w górach zebrało się trochę chmur.

— Co za ludzie! — rzekł prałat. — Wylażą ze swoich dziur, gdy jeden z nich umrze... Tak gremialnie wystąpią dopiero na następnym pogrzebie... Rodzina to rzecz osobliwa... przynajmniej taka, jak my ją rozumiemy... Muszę ci powiedzieć, Piotrze, że twój smutek sprawia bolesne wrażenie...

— Mój smutek? Ja nie chciałbym wprowadzać w błąd... jego eksceleńcji...

— Nie wprowadzasz mnie w błąd, kuzynie, doprawdy. I życzę ci, abyś lepiej umiał wprowadzać w błąd innych...

Do czego on dążył? Odczuł zapewne, że Mercadier buntuje się. Uciekł się do wybiegu. Było to jego zwyczajem.

Zawsze najpierw niby to gwałtownie atakował, potem związał szeregi, robił dywersję, co pozwalało jego przeciwnikowi, to znaczy rozmówcy, oswoić się z rzuconą myślą, dzięki czemu można było potem spokojnie do niej wrócić.

Eksceleńcja lubił psychologię.

Mówił o pani d'Amberieux z wielkim sentymentem i z tą odrobiną przygany, która zawsze zjednuje zięcia. Nawet w obliczu świeżo zamkniętego grobu. Eksceleńcja był człowiekiem ogromnie gadatliwym. Mówiąc przechylał głowę, aby lepiej siebie słyszeć. Jego rozwlekłość odpowiadała ponuremu usposobieniu Piotra. Mówił o Włoszech, skąd właśnie przybył. Ach, Sorrento! Jego Świątobliwość był tak łaskaw, że udzielił mu dosyć długiej audiencji. Wybitny człowiek. Francuzi nie mają pojęcia, co tracą w dniu, gdy Leon XIII zejdzie z tego świata.

Eksceleńcja nagle zaczął opowiadać różne historie o kardynałach, o papieskim otoczeniu. Ale wiedział, że Piotr jest niewierzący. Nie chciał, aby to była woda na jego młyn. Krążył wokół czegoś. Jego Świątobliwość niepokoi się wielce losem Francji. Tym, co myślą Francuzi; panującą wśród nich niezgodą.

— No — rzekł Piotr, byle coś powiedzieć — we Francji nie ma niezgody! W każdym razie nie więcej jak zawsze...

— Mówisz to poważnie, mój synu? Kraj jest przecież spustoszony, i to

gruntownie...

Piotr wzruszył ramionami. Spustoszony? A to dlaczego? Dyskusje polityczne... I co jeszcze? Mieliśmy boulanżyzm, Panamę. Czy to nam coś zaszkodziło?

— Jest jeszcze Sprawa — rzekł ekscelencja.

Sprawa? No tak, ale już przebrzmiała. Czyż my, we Francji, zdolni jesteśmy długo się zajmować podobną historią?

— Oczywiście, ja, jak wszyscy, wyrobiłem sobie własną skromną opinię... Ale gubię się w szczegółach, wszystko to jest zawikłane... Widzi jego ekscelencja, ja wolę historię, gdy jest już zakończona, gdy może być przedmiotem studiów naukowych...

I opowiedział o swojej pracy nad biografią Lawa. Ekscelencja powrócił niepostrzeżenie do swego...

— Bo ja chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej sprawie, która tak wzburzyła opinię publiczną. Dręczy mnie ten wypadek oficera-Żyda skazanego za szpiegostwo i zdradę... Oczywiście, że skoro sprawa została osądzona, nie moją rzeczą jest śledzić drogi skandalu. Ale spotkałem szlachetne osoby, pewną damę, której wzniosłość ducha i miłosierdzie chrześcijańskie nie mogą budzić najmniejszych wątpliwości i one mówiły mi o swojej rozterce... Ogarnęła mnie ciekawość. To grzech powszedni. Wyznaję, że i ja z kolei mocno się zaniepokoiłem. Fakty są osobliwe, procedura pełna nieformalności, osoby zamieszane w to wszystko solidarnie odmawiają wszelkich wyjaśnień.

— Ba — odrzekł Piotr — ja, prawdę powiedziawszy, przekonany jestem o jego niewinności i nieraz dyskutowałem na ten temat z moją teściową... Ale w gruncie rzeczy... Nie jestem Żydem, wszystko to mnie nie dotyczy. Mimo że wśród rodziny budzi się we mnie duch przekory, nie chciałbym zostać męczennikiem. A ponieważ armia, rząd, bezpieczeństwo Francji wymagają, aby ów pan Dreyfus zniknął z widowni, nie jestem tak zuchwały, aby przeciwstawiać im moją marną opinię i moje informacje z którejs tam ręki...

— Oczywiście, oczywiście, masz słuszość, mój synu. Mówię to samo. Ale to jest dziwne i spać mi nie daje... Muszę ci powiedzieć, że nic mnie nie łączy z tymi, którzy skazali kapitana. Może ta wrogość w stosunku do Żydów, która zrodziła tę sprawę i wciąż ją rozjatrza, niepokoi mnie sama w sobie?... Przyznaję, że to uczucie nienawiści do ludu, który, co prawda, wydał na śmierć Syna Bożego, ale stało się to już bardzo dawno, to uczucie zadziwia mnie u tych, którzy je przejawiają. I to w świecie cywilizowanym. I na próżno tłumaczyłem im, że przecież Maria i Józef, i Jezus byli dziećmi Izraela... Nie słuchają, śmieją mi się w nos... A jednak nie jest rzeczą możliwą, aby sprawa oficera-zdrajcy była jedynym źródłem aż takiej namiętności... Zauważyłeś to może i w swoim otoczeniu? Gnębi mnie to...

Nie, Piotr Mercadier nie zauważył jakiejś nowej fali antysemityzmu... Oczywiście, ludzie niezbyt Żydów lubią, ale od tego do...

— Ja sam przyjaźnię się z pewnym Żydem, człowiekiem wybitnie muzycznym. Paulina czyni mi z tego powodu wyrzuty. Ale gdyby nie to, robiłaby mi wyrzuty z jakiejś innej przyczyny. A mimo to, prawdę powiedziawszy, nie życzyłbym sobie, aby moja córka wyszła za Żyda... Poza tym...

— To rzecz naturalna — odrzekł ekscelecja. — Małżeństwo... Ale przecież, mówiąc między nami, Żydówki bywają ładne... Czy istotnie czujesz wstręt na myśl, że mógłbyś mieć kochankę Żydówkę? Wybacz mi to pytanie. Nie opowiadam się tu za cudzołóstwem, które jest rzeczą straszną, ani za grzechem cielesnym poza sakramentem, który jest wstrętny. Nie. Ale wiem, że na nieszczęście ogół mężczyzn, a niewątpliwie i ty sam, mój synu, przyzwyczailiście się traktować te sprawy bez wielkiej odrazy... A zatem moje drobne pytanie, które jest ściśle abstrakcyjne, wynika z tego, co myślę: jeżeli grzech wszeteczeństwa jest taki sam, niezależnie od jedności rasy i wyznania grzeszników, dlaczego miałbyś być bardziej surowy niż Bóg w swej sprawiedliwości i wzbraniać córce małżeństwa z Żydem, który mógłby się wychrzcić.

— Ależ chrzest, ekscelecjo, nic tu nie zmienia!

— Nie bluźnij, synu! Chrzest zmienia wszystko do gruntu. Jest to prawo Kościoła, a poza prawem Kościoła, jakie wy, niewierzący, tworzycie sobie pojęcie o grzechu? Poza religią ja nie widzę jakiejś istotnej różnicy między Izraelitą a tobą. A gdy pozostaniemy na gruncie religii, dla Boga nie ma tu żadnej różnicy...

Mercadier nie chciał mu zaprzeczać. Było rzeczą jasną, że ekscelecja krąży około czegoś i nie wie, jak zacząć.

Żydzi to nie był temat do rozmowy. A przy tym — co im się wszystkim stało? Błazej wczoraj. A ten dzisiaj. Obaj chcieli zmusić Piotra, aby zajął jakieś stanowisko, wypowiedział się, a Piotr myślał: „Niech mi dadzą spokój! Jestem jednostką. To wszystko nie dotyczy mnie. Moje «ja» na pierwszym miejscu. Niech sobie każdy radzi, jak może!”

Paulina i Ludwika de Champdargent odszukały ich. — Ach, ekscelecjo — zawołała Paulina — czy mój mąż się spowiadał? Szkoda! Bardzo by mu się to przydało!

## L

W niedzielę 12 września 1897 roku Błazej wyjechał z Sainteville. Przyjaciółka oczekiwała go gdzieś w okolicach Paryża. Po pogrzebie pani d'Amberieux nie miał powodu zwlekać z wyjazdem. Pan Pailleron przyjechał tam był poprzedniego wieczora, jak zwykle. Wylądował pośród resztek żałobnego obrzędu; terasa wyglądała jak po nieudanej uroczystości i wszędzie snuli się ludzie w czerni, czerwoni z powodu przejedzenia. Wszystko to przybyszowi z miasta wydawało się żenujące i nieprzyzwoite.

Ale przemysłowiec miał inne zmartwienie. Mała Zuzanna wciąż gorączkowała. Chciał doglądać jej przez całą noc, aby Blanka mogła wypocząć. Blanka schudła, była już tylko cieniem siebie samej. Nie dała wyprawić się do łóżka. Spędzili więc noc razem, przy chorej, w sąsiednim pokoju. Zuzanna wołała mniej więcej co pół godziny, a przy tym trzeba było robić różne zabiegi.

Była to dla nich dziwna noc. Odnajdywali się w niepokoju. Patrzyli na siebie znowu tak jak niegdyś. Oceniali, jak bardzo życie przez ten czas uczyniło ich obcymi sobie. Byli wzruszeni. Rozmówili się. Była to noc pełna słodyczy. Każde z małżonków Pailleron czuło w sercu jakąś winę w stosunku do drugiego. Pragnęli, aby to drugie nigdy się o tym nie dowiedziało. Przekonali się, że można załatać życie zrezygnowanym kłamstwem. Dzień zastał ich na cichej rozmowie... Blanka zgodziła się położyć około piątej rano. Ernest poszedł orzeźwić się pod studnią. Wypił kieliszek koniaku i znowu usiadł przy córce.

Była widocznie nieprzytomna; wyglądała jak martwa.

Gorączka przywraca dzieciom urok osaczonych zwierząt. Ojciec siedział przy Zuzannie, gładził wąsy i przez głowę przemykały mu myśli jak nigdy dotąd.

Okolo dziewiątej zaczęły się dreszcze. Istna burza. Blanka, która już wstała, przeraziła się. Okryto dziewczynkę, czym się dało. Wszystkim, co było pod ręką, zwłaszcza że na dworze zrobiło się chmurno i chłodno. Następnie przyszły poty. Zuzanna kręciła się na łóżku i jęczała. Chciała odrzucić koce. Rodzice stojąc koło niej przytrzymywali je.

Nagle Blanka pojęła, co się dzieje. Dziecko oddawało mocz, ile mogło. To oznaczało pomyślny zwrot w chorobie. Prędko, temperatura! Dziś szósty dzień. Okolo trzydzieści siedem i pięć! O Boże, uratowana!...

Był to istotnie zbawczy kryzys. W całym domu zakotłowało się. Iwona pobiegła oznajmić to w kuchni, Paskalowi. A Paskal z błyszczącymi oczyma powtórzył nowinę matce dodając szczegółową informację: „A teraz siusia, ile tylko może”, za co dostał po twarzy. Mama nic się nie zna na medycynie.

Piotr Mercadier zszedł do Pailleronów. Skoro dziecko jest ocalone, ma chyba prawo pomówić z Blanką. Przyjął go jej mąż. Ona przeprosiła go: nie może zostawić córki samej. Odprawionemu kochankowi wydało się, że ta ich trzyminutowa rozmowa trwa całe godziny. Ernest był mu nienawistny. Nigdy nie raziła go tak jego wulgarność. Nigdy Piotr nie odczuł z taką siłą, że należy do świata, z którym jego rozmówca nie ma nic wspólnego. Dzielili ich wszystko: dźwięk głosu, sposób wymawiania słów, ich dobór, maniery, ruchy. W tej chwili Piotr doskonale rozumiał, jak i dlaczego nienawidzi się ludu.

Lud, to znaczy ten fabrykant zmęczony bezsenną nocą, przyjął pana Mercadier jedynie przez uprzejmość. Chętnie by się położył. Piotr zrozumiał to i wyszedł. Właśnie upłynęło trzy tygodnie, jak wieczorem rozmawiał z tym człowiekiem na tarasie, gdy tymczasem pani d'Amberieux

awanturowała się w zamku. Rozmawiali o kobietach; nic ich wtedy nie krępowało; nie było powodu.

Ernest Pailleron opowiadał pieprzne dowcipy, które profesorowi wydawały się obrzydliwe.

Dziś dopiero 12 września, a tamto działo się 15 sierpnia. Wszystko odbyło się na przestrzeni między tymi dwiema datami. Trudno w to uwierzyć. Mercadier raz jeszcze przebiegł myślą okres zerwania stosunków — spotkanie z Blanką w parku i początek romansu... łóżko z baldachimem, góry, kapliczka w lesie, ten zaledwie rozkwitły sen, szybko porwany burzą... dziwna w tej całej historii rola zmarłej...

Rozważania te przerwał mu ksiądz Petiot. Ten wysoki ksiądz patrzył na pana Mercadier trochę jak na dziką bestię na wolności. Ale z dzikimi zwierzętami nikt nie wdaje się w rozmowę. Chyba że ma w sobie pewną dozę naiwności. Ksiądz Petiot niejasno wyczuwał w kuzynie ekscelencji te przekłete idee, o których myślał z przerażeniem, ale które jednocześnie go pociągały. Gdyby Piotr był równie wysoki jak on, nie ośmieliłby się do niego przemówić. Ale różnica wzrostu dodawała mu pewności siebie. Błażość rozmowy źle maskowała niepokoje księdza. Z niezwykłym wycuciem rzeczy odkrywał w Piotrze Mercadier ośrodek, ognisko grzechu w tym zamku, adwokata diabelskiego. Chętnie by go poddał egzorcyzmowi. Z przykrością zostawił go w rękach biskupa Trebizondy, który pieszo powracał z Buloz, gdzie odprawił wczesną mszę i gdzie potem dość długo zabawił na plebanii, bowiem proboszcz z Buloz zaprzagnął skorzystać z jego dostojnej obecności, aby otworzyć przed nim serce i przedstawić wątpliwości, jakie budził w nim dogmat Niepokalanego Poczęcia, czym ogromnie był udęczony. Ekscelencja zdołał przywrócić spokój tej zacnej duszy. Był dość rad z siebie, tylko bardzo głodny.

— Już za późno, aby coś przegryźć przed śniadaniem... Straciłbym apetyt... a przy tym wyglądałoby to na łakomstwo...

— Niechże ekscelencja porzuci te skrupuły — rzekł Piotr — każę podać czekoladę i chleb z masłem.

Gdy ekscelencja zabrał się do śniadania, Piotr chciał odejść. Ale ekscelencja zatrzymał go:

— Kuzynie, chciałbym z tobą pomówić...

Dobrze; Piotr już od dwudziestu czterech godzin przeczuwał tę rozmowę. Zresztą, na nic nie zda się uciekać przed nią...

— Kuzynie — rzekł biskup Trebizondy maczając chleb z masłem w czekoladzie — nie cierpię mieszać się do nie swoich spraw. Wy wszyscy urządzacie sobie życie, jak uważacie za stosowne. Ale myśmy się tu spotkali w dniach zamętu... Nie przerywaj mi... Nie jestem ani taki ślepy, ani taki głupi, abym nie rozumiał pewnych spraw... Nie mam na myśli śmierci mojej kuzynki Marii. Niech Bóg ma w opiece jej duszę! Ona nie żyje, a myśli, jakie się w związku z nią nasuwają, wcale nie są zdolne przywrócić pokoju sercom, które tutaj zaznały tak głębokich wstrząsów... Proszę cię, nie przerywaj... Dlaczego chcesz przede mną kłamać? Wiem z

grubsza, co się tutaj działo od miesiąca... Powiedziała mi to Paulinka... Ach, więc tak się rzeczy miały? Tym tłumaczyła się ta przemowa. Paulina odbyła spowiedź przed eksceleńcją, który występował w roli mediatora. O, co to, to nie...

— Jest mi ogromnie przykro, eksceleńcjo, że na tym zmuszony jestem uciąć tę sprawę, chociaż nie wątpię w najlepsze jego intencje, ale byłoby to tylko stratą czasu...

— Nie cenię tak bardzo mojego czasu, byle się na coś przydał. Mylisz się zresztą...

— Nie myślę się. Ale między mną a Paulina zbyteczne *jest* wszelkie pośrednictwo, ujmując zaś rzecz ogólniej — proszę mi nie mieć za złe, że to powiem — jego eksceleńcja wie, że jestem niewierzący, wobec czego nie uznaję księżej ingerencji w sprawy małżeńskie...

— Och, och, kuzynie, nie unoś się! Mylisz się, gdyż Paulina wcale mnie nie prosiła, abym z tobą rozmawiał. Kochane dziecko! Pozostaje ona w błędzie, z którego nie usiłowałem jej wyprowadzić. Bo prawda... Nie, sądzę, że lepiej nie otwierać jej oczu, zwłaszcza teraz, gdy zgnębiona ciosem, jakim jest dla niej strata matki, gotowa jest wszystkiemu przypisywać nadmierne znaczenie...

— Do czego zmierza jego eksceleńcja?

— Do tego, mój synu, że właśnie nie chcąc wyprowadzać Pauliny z błędu, a nie będąc ślepym, mam wobec Boga, a jeżeli wolisz, wobec samego siebie, obowiązek pomówienia z tobą o tobie...

— Proszę bardzo. Ale nie rozumiem jego eksceleńcji.

— Ostatecznie nie trzeba być wielkim mędrcom, aby ze zdarzeń, które tu zaszły i które w przeciwnym razie byłyby niezrozumiałe, wywnioskować, że święte więzy, które łączą cię z twoją małżonką, nie są dziś tym, czym były niedawno jeszcze... Nie obruszaj się, proszę cię. Wszystkie wróble o tym ćwierkają. Daruj mi moją szczerłość. Oszczędzi nam to zbytecznych słów. Na Boga, zastaję cię, mój synu, pośród zamętu, który mnie wcale nie dotyczy, i przez myśl by mi nawet nie przeszło, aby ci o tym wspominać, gdybym z przykrością nie widział, że cierpisz, że cierpisz nad tym. Nie zaprzeczaj! Wyraz twarzy, zachowanie, głos... Zdaje ci się, moje dziecko, że umiesz kłamać, i może to prawda, jeśli chodzi o twoje zwykłe otoczenie: ale dla kogoś przybywającego z zewnątrz! Bo przecież nie w mówisz mi, że jak to wyobraża sobie Paulina, oplakujesz tę biedną panią d'Amberieux! Przecież to bije w oczy, że jesteś zakochany do szaleństwa, i to nieszczęśliwie. Cicho, cicho... Po co zaprzeczać? Oczywiście, jako człowiek rycerski, chcesz dochować tajemnicy... Ale źle ukrywasz tę swoją tajemnicę! I ona również. Nie żądam wcale, abyś mi przyznał słuszność, i to, co mówię, przeznaczone jest tylko dla nas obu... Czytam w twoim sercu... Jakież spustoszenie w ciągu paru dni! Żyłeś dość spokojnie... Nie trzeba się łudzić, że w małżeństwie na stałe utrzyma się ów płomień pierwszych lat... Wszystko, co ludzkie, przemija... Ale miałeś pewną równowagę... Potem przyjechałeś tutaj... Ujrzałeś ją... Bez trudu



wyobrażam sobie ten poryw, sprzyjające okoliczności, wykrety. Synu, nie będę ci mówił o grzechu! Paulina też nie jest bez winy... A przy tym sprawy te nie są mi na tyle obce, abym w tej szalonej nadziei, jaką człowiek pewnego pięknego dnia kładzie w boskim stworzeniu, nie umiał dopatrzeć się nienasyconego pragnienia, jakie nosimy w sobie, a które jest jedną z postaci wiary chrześcijańskiej...

— Ekscelencjo, przepraszam... Nie rozumiem, co to...

— Nie kłam, kuzynie. Po co? Przecież ja wiem... Powtarzam ci, że jest to jak tajemnica wyznana podczas spowiedzi — nie musisz mnie nawet o to prosić... A wreszcie, to, co jest grzechem w oczach świata, to w oczach starego człowieka, który z tego wszystkiego uczynił ofiarę Bogu, nabiera sensu nie znanego tobie... Ja nie sądzę ani nie potępiam... Ludzie za każdym razem na nowo chcą uwierzyć w szczęście i w ten sposób czynią się strasznie nieszczęśliwymi. Taka jest ich natura i ty jej podlegasz. Zastaję cię w chwili przesilenia. Mógłbym milczeć. Mogę to jeszcze uczynić. Tylko że wydaje mi się czymś nieludzkim...

— Ekscelencjo, nie należy budzić somnambulików.

— Ależ ty jesteś już strasznie obudzony, mój synu... Nie obawiaj się, że będę ci prawił morały. Lekarz badający ranę nie wymyśla temu, który ją sobie zadał, stara się ją jak najlepiej opatrzyć. Śniłeś sen nedorzeczny. Powiadam ci, że rozumiem, ile w takim śnie jest pięknych, uczuć, szlachetności... podczas gdy to, co pospolicie nazywamy obowiązkiem... Potrafię to zrozumieć... Wszystko zacząć na nowo... Ileż w tym odwagi! Ale czy zdołasz spokojnie patrzeć na ruiny? Na wszystkie te ruiny?

— Paulina...

— Przecież nie chodzi o Paulinę! Ty wciąż uważasz mnie za adwokata twojej żony, a to jest niemądre, a nawet bolesne!

Ekscelencja uniósł się trochę przy ostatnich słowach. Zapanowała chwila milczenia. Piotr się zamyślił. Podjął jakby machinalnie:

— Na wszystkie ruiny... tak... Zdaje mi się, że nie powstrzymałaby mnie żadna katastrofa.

— Nawet rozbite ognisko rodzinne... Opuszczona kobieta... dzieci... nic? Nie wiem właściwie, czy powinienem to uważać za straszliwe czy za cudowne. Dziwne słowa w ustach kapłana... Ale trudno, tak myślę... I byłbyś oderwał ją od męża, od jej świata, od jej córki? Oczywiście, ale co by się z nią stało? Wyobrażasz ją sobie żyjącą z tobą w twoim małym miasteczku prowincjonalnym, z tobą, nauczycielem?

— Porzuciłbym szkołę...

— I gdzie byś poszedł? Na czym trawiłbyś dni? Jesteś tak pewny, że wypełniłbyś jej życie? A ona tobie? Liczyłeś na jej słabość. A przywiązanie matki...

— Ona to ekscelencji powiedziała?

— Tak. Rozmawialiśmy. Widzisz, jak można się omylić... Pomyślałeś, że Paulina mnie przysyła... A tymczasem to pani Pailleron. Zadziwiające, prawda? Czy dlatego że ona nie bywa na mszy? Czy to o czymś świadczy?

Przychodzi chwila, że kobieta pragnie się zwierzyć... a my nosimy suknię duchowną, wywieramy jeszcze pewien urok na niedowiarków...

Biskup d'Amberieux westchnął i przymknął powieki... Przepadał za psychologią. Uwielbiał być łącznikiem między istotami ludzkimi. Patrząc, jak reagują. Urastało to w nim do rozmiarów grzechu. Ten duch eksperymentowania mógł narobić wiele złego, wiedział o tym. Z trudem się hamował.

— Trzeba umieć się wyrzec, Piotrze, trzeba to umieć. Nie powiedziałbym, że w tym mieści się tajemnica szczęścia, lecz tajemnica spokoju. Co byś uczynił? Jakie straszliwe życie gotowałeś sobie? Ta kobieta wiecznie wyrzucałaby ci ofiarę, którą na niej wymusiłeś i o której sądziłaby, że ty ją przyjąłeś... Piekielne życie... Romeo i Julia... Nie zapominaj, że oni zaraz pomarli... Patrz, patrz, jak pierwsza przeszkoda rozdzieliła ją z tobą. Nie myśl już o tym. O, wiem, to łatwo powiedzieć! Byłeś serio zadurzony, co? Biedne dziecko!

Piotr obrywał drobne gałązki. Słuchał, poddawał się temu nieoczekiwanemu echu swoich cierpień. Teraz już nawet uważał za naturalne to wtargnięcie biskupa w jego myśli. Już się nie dziwił...

Ale oto ksiądz Petiot pragnął coś zakomunikować ekscelencji...

„Wszystkie te ruiny...” — myślał Mercadier. Cóż jest dla niego ruiną, jeśli nie przedłużanie tego życia, jakie dotąd prowadził? Gdy człowiek obejrzy się za siebie, widzi ruiny. *Zawsze*, cokolwiek by czynił. Klęska tkwi w istocie wszelkich rzeczy, w tym, czego nie miało się odwagi zburzyć; ruiny kryją w sobie tekturowe dekoracje, poza którymi nic się nie kryje, nic. I pod które należałoby podłożyć ogień. Ach, niech spłoną!

Nagle zobaczył samego siebie w przyszłości prowadzącego życie przeciętne, życie warte śmiechu. Ale byłby samotny. Tak wspaniale samotny. Pomyślał też, że biskup na próżno trudził się dla niego, nie żeby nie umiał dobrać odpowiednich słów albo zbyt często wplatał myśli religijne do rozmowy. Nie. Biskup d'Amberieux unikał tego wspaniale jak na osobę duchowną. Ale mimo woli miał Boga na podorędziu, nawet w swych najbardziej śmiałych powiedzeniach... Trudno... Księża zapewne nie mogą się od tego powstrzymać, mają, jak my wszyscy, swoje manie i idee prześladowcze. A jakie są idee prześladowcze jego, Piotra? To one doprowadziły do katastrofy z Blanką. Gdybyśmy znali nasze idee prześladowcze, umielibyśmy wyrzec się ich i nasza władza nad kobietami... Mercadier rozplakał się jak dziecko.

— Co mi jest? — szepnął. — Co mi jest?

LI

— Zabierzesz mnie z sobą, tatusiu, zabierzesz?

— Ależ mówię ci, że nie!

— Och, tatusiu, zabierz mnie!

— Będziesz mi przeszkadzał. Wolę polować sam. Płoszysz mi zwierzynę...

Paskal jest zmartwiony. Czy nie przygotował własnoręcznie naboju dla ojca? Prawdę powiedziawszy, przygotowanie naboju jest raczej rozrywką niż ofiarą. Robi się to na maszynie przyśrubowanej do brzegu stołu, potem sypie się proch, pierwszy kłak, śrut, znowu kłak, krążek kartonu, aby zamknąć, potem obraca się rączkę maszyny, która obrębia brzeg naboju. A wtedy wypisuje się numer śrutu...

— Nie będę płoszył zwierzyny. Razem z Iwoną będziemy nieść torbę myśliwską...

— Z Iwoną w dodatku? Zostań i baw się z nią tutaj... a zresztą ona nie może tak opuszczać przyjaciółki. Czy Zuzanna dobrze się czuje?

— Lepiej! Ale nie chce mnie widzieć, bo nie mam płaskiego nosa...

— Płaskiego nosa?

— Takiego, jak ma Bonifacy. Ona uważa, że taki nos jest bardzo ładny.

Piotr miał ochotę roześmiać się, bo Paskal był bardzo oburzony tą nielojalną konkurencją. Wyciągnął pręt z lufy i przymknął oko, aby spojrzeć poprzez nią. Broń była czysta jak złoto. Mercadier gwizdnął na Ferragusa i wyszedł zostawiając zawiedzionego chłopca.

To dziwne, jak szybko nadchodzi jesień; na ziemi stoją kałuże nocnych deszczy i niepewny szelest liści zapowiada już ich złote umieranie. Wzdłuż głęboko drażącej się drogi krzewy jeżyn obsypane były czarnymi i czerwonymi jagodami i stroszyły się żdźbłami słomy, wydartymi przejeżdżającym wozom. Słodkie jeżyny rozplwają się w ustach, aż nagle zaskakuje w nich jakaś gorycz. Ferragus biegał dokoła, nagle rzucił się: sroki! Spokój, piesku, spokój; nie wypada strzelać do srok, rozumiesz? Chyba po długim dniu, gdy się nic nie ustrzeżono i człowiek wraca wściekły i zniechęcony.

Biskup Trebizondy wyjechał. Z księdzem Petiot drepczącym mu po piętach. Pan Pailleron jest w Lyonie. Życie w zamku wróciło do zwykłego trybu. Zwykłego? A zgon pani d'Amberieux i ta druga śmierć, niepojęta i prawdziwa, śmierć ich miłości... Jak trudno pogodzić się z myślą, że Blanka jest tam, przy córce, że wychodzą teraz na krótko w południe, na słońce, o ile jest słońce... Ale najgorsze, że jest i Paulina. Do licha! Z tą swoją żalobą. Okropna! Poczyna się do jakiejś wdzięczności wobec mnie, daję słowo. Albo ja nic nie rozumiem. Trzeba przed nią uciekać, uciekać przed wszystkimi... Do tego gwar bawiących się dzieci, wuj, stale przesiadujący u Blanki, i dzierżawcy, którzy pętają się wszędzie w tej swojej niezrozumiałej pracy na marginesie życia.

Ferragus skoczył przez szparę w żywopłocie. Trzeba iść za nim. Piotr winduje się i przecina rozległe, szarobrazowe pole, źle zaorane, bo tu i ówdzie zostały kamienie i chwasty. Aha, koło tego orzecha widziałem któregoś dnia króliki. Stopy grzęzną w syplącej ziemi, człowiek czuje się panem świata. Jak niewiele mu trzeba! Łatwo wbijam się w pychę. Ten łagodny wietrzyk nie sprzyja polowaniu.

Tam nie będzie pewnie zwierzyny; coś drobnego przebiegło: mysz polna! Ale gdy już tu jestem ze strzelbą na ramieniu, trzeba iść dalej, przejść pole.

To jest tak jak w życiu. Trzeba iść, nawet jeżeli ta ziemia, która lepi się do butów i ciągnie się jeszcze ze dwieście metrów, jest bardzo niezajmująca i zamsz ją na pamięć. Ferragus nie nudził się. Uganiał.

Nagle zatrzymuje się. Tylne łapy ugięte, nos zadarty do góry. Co to? Drapieżny ptak unosi się w powietrzu. Zapewne myszołów. Niezbyt wysoko; zatacza kręgi. Nie jest to zwierzyna, ale można go wypchać. Piotr celuje. Strzelił dwukrotnie; ptak daje nurka. Trafiony; Ferragus już biegnie. Potem skacze i szczeka, jakby się wściekł. Ptak poleciał dalej gubiąc trochę piór. Jak to? Ach, ja, dureń, zapomniałem zmienić naboju! Za drobny śrut.

Wszystko nabiera symbolicznego znaczenia dla tego, kto nosi w sobie myśl jątrzącą, źle stłumioną. Wszystko wiedzie go do tego obrazu klęski, który ma postać kobiecą, postać kobiety. Ażeby zatrzeć ją w pamięci, Piotr wyobraża sobie życie bez niej, monotony krajobraz, w którym jej już nie będzie, i nieskończony szereg przeciwności tego życia, między ludami a nim tę powłokę z więzów, tę pajęczynę... Potworna przyszłość na obraz i podobieństwo przeszłości. Na stoku, w stronę Champdargent, ciągną się winnice.

Słońce oświeca białą winorośl.

Piotr zabił drozda... Zabijanie uspokaja. Biedny ptaszek! Ale myśliwy nie wróci z pustą torbą. Zabrał strzelbę raczej jako pretekst do samotnej włóczędzy po polu niż z chęci polowania. Trudno, ale przynajmniej uniknie drażniących uwag, gdy wróci do domu.

Nagle to, co snuło mu się po głowie od trzech dni, przybrało kształt, stało się jasne. To rzecz oczywista; całe życie stawało się zrozumiałe. Jesteśmy złączeni z sobą przez uczucia i lęki. Przynajmniej tak się nam wydaje. Człowiek nie zrywa ze swoim życiem ze względu na innych ludzi, ze względu na stosunki, jakie od dawna wytworzyły się między nami, między nimi. Jest to skomplikowana tkanina stosunków, będąca splotem nici bardzo cienkich i bardzo subtelnych, w różnych odcieniach; tkanina lekka, ale mocna... A potem już chwyta się tylko odcienie. Subtelności zakrywają istotną naturę, wspólną naturę tych więzów, tych kajdan.

Pieniądz.

Nie ma uczuć, jest tylko pieniądz. Tym, co łączy Piotra z Pauliną, jest pieniądz. Nie może jej opuścić, bo pociąga to za sobą skomplikowane trudności, ale nie w dziedzinie uczuć. A co jest niezbędne jego dzieciom, jeżeli nie to, co między nimi stworzył pieniądz? Ubiera się to w przeróżne wzniosłe pozory obowiązków, odpowiedzialności, przywiązania, więzów krwi, miłości... Znamy to, znamy... Ale czymś realnym jest tylko pieniądz, który ojciec czy mąż łoży na utrzymanie swoich bliskich... Blankę z jej Ernestem także łączy tylko pieniądz, nic innego. Nic innego.

Nagle ogarnęła go zimna wściekłość na to kłamstwo, które dostrzegł we wszystkim, co stanowi istotę ludzkiego życia. Oto co trzeba było okrywać maską moralności, oto źródło moralności! Uczucia są to banknoty w stosunkach między ludźmi. Wypuszcza się je, dopóki maszyna ta działa. W końcu reprezentują one już tylko fikcyjny metal. I człowiek żyje dalej za te

asygnaty. Ach, do kroćset! Gdy pomyślę o Paulinie! Trzyma ich przy sobie tylko pamięć dawno popełnionego błędu. Zdawało się, że to miłość. Jemu się zdawało. Jej — nie. Ale nauczyła się udawać przy pomocy różnych komedii. Jest w korzystnej sytuacji. Przedstawia swoje weksle. Za uczucia, które nigdy nie istniały. Za opuszczenie, którego nigdy nie zaznała. Szantaż opiera się na istnieniu dzieci. Dałeś życie, jesteś więźniem tych, których spłodziłeś, to znaczy więźniem ich matki. Tak zbudowane jest społeczeństwo. Sądzi ciebie. Skazuje. Dożywotnio. Jesteś, mój stary, jesteś jak w gęstym lesie.

Śmiać mu się chciało na myśl o wzniosłych uczuciach Pauliny-córki, oburzonej istnieniem Błażeja, Pauliny, która nie chciała, aby jej brat przyjechał na pogrzeb ich matki — nie chciała się z nim dzielić spadkiem po pani d'Amberieux. Spadkiem? O tym właśnie przede wszystkim myślała przy świeżym trupie, wśród płaczu i rozpacz. A właściwie, o co chodziło? Wiadomo było, że nieboszczka posiadała niewielką sumkę, i to umieszczoną na dożywociu. Ale były te chińskie graty, filiżanki i pięknie politurowany fortepian. I nad tym ta kochająca córka szczyrzyła zęby jak suka nad kością. A znowuż ten Błażej-Cygan, lecz i wielki pan, co to napomknął, że zależy mu na tych rzeczach jako na pamiątkach dzieciństwa! I to właśnie na tych, które przedstawiały największą wartość! Artysta, prawda? Znał się na tym, to było silniejsze od niego.

Zaklął. Królik skoczył mu spod nóg. Patrzcie, gdzie się podział ten kundel? Ach, tam, spotkał innego psa, młodego. Ocierają się, kręcą się w kółko. Ferragus! Za psem stoi jakiś człowiek. Człowiek unosi czapki, potrząsa strzelbą. Ach, tak, to kuzyn Kajetan, najstarszy z Champdargentów.

O, ten wcale nie zadaje kłamu myślom, jakie snuł właśnie Piotr. Syn panny Mannheimer z Kolonii, ożenił się z Amerykanką... no, przez uprzejmość mówi się: Amerykanka. To przynajmniej miało tę dobrą stronę, że było szczere. Właściwie był taki sam jak ci inni faceci. Trochę mniej udawał. Zapewne to już teren tego ananasa. Champdargent leży chyba tam, za tą bladą zielenią liści. Ale nie, dalej... Naprzód jest to *wzgórze*, potem łagodne zejście, wreszcie pola kolzy. Jeszcze jej nie zbierano. To byłby od biedy temat do rozmowy. Nadzwyczajne, jak ludzie lubią rozmawiać! Człowiek, z którym nie zobaczymy się nigdy więcej, spotkany przypadkiem; zdawałoby się, że nie mamy mu nic do powiedzenia. Idź sobie swoją drogą...

— Kuzynie, hej, hej, kuzynie!

Jakież to głupi i pretensjonalny sposób nawoływania. Ale niepodobna się wymknąć. Co najmniej bitych dziesięć minut pogawędki. Gdyby jeszcze można się tu gdzieś napić wody!

Kajetan zbliżał się, poprzedzany przez psa.

— Dzień dobry, kuzynie! Czy dobrze ci się polowało? Drozd... W braku czegoś lepszego... Ha! ha! Czy w Sainteville wszystko w porządku? Tak... no, oczywiście, prócz waszej żaloby... Paulina wraca do siebie? Wraca, to doskonale... To znaczy... Ciotka była niezwykłą kobietą... Trochę

staroświecka... Co zrobicie z jej paryskim mieszkaniem? Jeszczeście o tym nie myśleli? Zdaje mi się, że Norbertowi przydałoby się takie pied-a-terre... Nie jest to właściwie mieszkanie kawalerskie, ale przecież... Nasze panie wolą to... Zuch z tego Norberta! Zdaje się, że tym razem dobrze trafił!... Kto? Nie pytaj mnie, kuzynie! Zresztą powinieneś się domyślać... ja nic nie powiedziałem, nic! A poza tym on mi się nie zwierza!

Kajetan był wyższy i tęższy od Norberta, brunet jak *on*. W ich rodzinie tylko Ludwika, przyjaciółka Pauliny z pensji, była ruda... Tęgi, pochyły w ramionach, miał dość mięsistą twarz, nos jak kruczy dziób i bardzo długie rzęsy. Nosił fryzowane wąsy, raczej długie i podkrecone do góry. Oczy miał niesymetryczne i ciemne. W ubraniu w brązową kratę, w białym myśliwskim krawacie i krótkich bufiastych spodniach miał minę władcy; było w nim zarazem coś ze starej arystokracji tych okolic i coś z azjatyckiego kupca. Nawet na głuchej wsi był do przesady elegancki. Pilnował się. Wiedział, że jako brunet nie może sobie pozwalać na żadne zaniedbanie. Zaczął rozmowę na temat dzieci. W tym roku Joanna nie była jeszcze w Champdargent. Może Mercadierowie przywieźliby ją teraz, aby zaoszczędzić małej tej atmosfery smutku?...

— Guy ma się dobrze? — spytał Piotr, byle coś powiedzieć. Guy to był syn Kajetana, trochę młodszy od Paskala. Aj, zdaje się, że strzelił głupstwo!

— Guy? Owszem, owszem... właśnie o nim chciałem z tobą pomówić...

Naprawdę? O nim? A czemu nie o papieżu? Wcale mnie ten jego Guy nie obchodzi... Do licha z tą rodziną!

— Zwracam się do ciebie jako pedagoga, kuzynie. Oto moja sprawa. Wiesz, że Guy był w kolegium Św. Stanisława... Zastanawiam się, czy nie zrobiło mu się krzywdy... Jakie są te licea państwowe? Ty wiesz coś o nich... Ale przecież Paskal nie chodzi do liceum, więc jak to jest właściwie?

Piotr wyjaśnia, że taka była wola Pauliny. W liceum jest równie dobrze jak gdzie indziej. Zresztą teraz, kiedy Paskal przejdzie do piątej, po wakacjach... jest rzeczą postanowioną, że oddadzą go do liceum.

— Rozumiesz, nie jest to już malec w sukience, którego oddaje się pod opiekę tym... Stawało się to już dla mnie coraz bardziej kłopotliwe... Dyrektor zwracał mi nawet uwagę... Paulina trochę krzyczała, ale raczej dla zasady... W gruncie rzeczy nie obchodzi jej to. Jak i mnie zresztą. Ja bym go nawet zostawił u księży. Czy to ma jakieś znaczenie? Ale z chwilą gdy mi się naprzykrzają...

— Rozumiem cię. Dziwne, że ludzie muszą się zawsze wtrącać do cudzych spraw. Właśnie o to chodzi... Oczywiście, że jeżeli oddam chłopca do liceum, moje otoczenie zacznie wydziwiać...

— Więc go nie dawaj!

— Tak myślisz? Ale nie powiedziałem ci jeszcze... Może tam u was jest inaczej. W Paryżu... Nie zauważyłeś... Oczywiście, jeżeli chodzi o Paskala, nie ma tego zagadnienia... ale ostatecznie jego koledzy, on sam...

— O co ci chodzi?

— Uważam, że to straszne, aby dzieci cierpiały za innych. Ty nie uważasz?

— Oczywiście, ale...

— Ach tak, prawda. Nie rozumiesz mnie? Paskal w kolegium... to jego nie dotyczy... ale ty czyś w swoim liceum nie zauważył... kwestii żydowskiej? Czy mówi się o tym? To straszne, prawda, wśród dzieci? Ale cóż robić? A przy tym, trzeba to powiedzieć, bywają Żydzi tak antypatyczni!

Westchnął głęboko.

— Wyobraź sobie, że Guy... no, koledzy nazywają go Żydziakiem. Jego, który nazywa się Champdargent! Nazwisko nic dla nich nie znaczy! Nigdy bym nie uwierzył... Czy w twoim liceum byłoby to możliwe? Mówiono mi, że nie.

— Nie sędzę, nic podobnego nie słyszałem...

— Ach, zdejmujesz mi ciężar z serca! Pomyśl tylko, dziecko! Jest ochrzczony, nic nie wie... Czy my możemy za to odpowiadać? Mówiąc między nami, sprawa Dreyfusa jest ogromnie przykra.

I ten także! Znów zaczęły się jeremiady. Kajetan de Champdargent gotów był na wszystko, byle nie słyszeć już rozmów o Żydach, byle nie myśleć o tej krwi w swoich żyłach, która ściągała na niego przykrości w Jockey Clubie i z powodu której teraz syn jego zaczynał cierpieć. Nie czuł z tymi ludźmi absolutnie żadnej solidarności! W tym punkcie Piotr go rozumiał. Był może trochę zgorszony słysząc, że kuzyn Champdargent tak źle mówi o swoich współbraciach ze strony matki. To rzecz taktu! Ale ostatecznie — spokój przede wszystkim. Człowiek ma prawo do spokoju. I doskonale rozumie, że Kajetan miał urazę do tych wszystkich, co szeptali na jego widok w salonach „Pomme de Terre”, a za synem jego wołali „Obrzezany”, co wcale nie było prawdą.

Niewątpliwie, sprawa żydowska była na porządku dziennym; Piotr nie mógł się od niej opędzić. No, ale przecież jego to nie dotyczy. Kajetan mógł doskonale umieścić syna w liceum. Świat nie obraca się wyłącznie dokoła takich spraw.

— Zapewniam cię — rzekł Kajetan — i nie są to czcze słowa, ale w gruncie rzeczy ja rozumiem antysemityzm... Żydzi są okropni. Przy tym arogancy! Opanowali banki, uniwersytety. Spotyka się ich na każdym kroku. Żadnego poczucia delikatności. Zdaje się, że chcą, aby wszędzie zatriumfował Talmud. Najbardziej nienawidzę Żydów jako intelektualistów. Ci prorocy! Sprawa Dreyfusa wywabiła ich ze wszystkich kątów! Udzielają lekcji całemu światu... Zapomnieli o wiekach niewoli, to są dorobkiewiczze wolności... Moralizują, a nie pamiętają, że są tu obcy... Gdy się jest u ludzi z wizytą, nie mówi się im, że ich matka ma krostę na nosie... Żadnego taktu... Zamiast przyjąć rzeczy takimi, jakie są, uznać tradycję... przeszłość... Nie, chcą wszystkim rządzić, wszystko reformować. Źle się biorą do rzeczy!

W tej chwili Ferragus puścił się naprzód.

— Przepraszam cię!

Piotr zmierzył się. Padł strzał. W polu królik machnął kozła. Zobaczyli

jego żaloszny biały brzuszek.

## LII

Blanka, Paulina i wuj siedzieli przy wirującym stoliku, w pokoju, gdzie trzymano przybory do gier. Piotr wpadł w zły humor. Był głodny, zmęczony i nikt nie zapytał, czy coś upolował. Oznajmił więc tylko mimochodem:

— Dwa króliki, trzy drozdy i parę skowronków...

Ta mania wirujących stolików... Idiotyczny wynalazek. I w dodatku Blanka, która z nim słowa nie chciała zamienić, wysiaduje tutaj z Pauliną! I z tym niemądrym wujem Paskalem!

Paulina spodziewała się prawdziwej sceny. Nie mogła wyjść z podziwu. Co mu jest? Jakiś odmieniony ten jej profesor...

— Widzisz — powiedziała — w ten sposób czas szybciej mija, a nikomu to nie szkodzi!

— Ach tak! Chciałbym wiedzieć, co myśli o tym twój spowiednik...

— Jesteś niemądry! Po pierwsze, nie mam spowiednika... spowiadam się u pierwszego napotkanego księdza...

— Przecież to ordynarny zabobon! Nie chcesz mi chyba wmawiać, że w to wierzysz?

— Oczywiście, że nie. Nie wierzę w duchy ani w to, że jedno stuknięcie oznacza to, a dwa co innego... Ale stolik wiruje, zapewniam cię...

— Właśnie, właśnie...

— Ależ tak... jest to zjawisko fizyczne... Ten fluid... Jak elektryczność, zanim ją zbadano, a najlepszy dowód, że stolik musi być złym przewodnikiem...

— Daj spokój, przecież tego słuchać nie można! Teraz znowu wyjaśnienia naukowe. A pani Pailleron wierzy w to?

W gruncie rzeczy zażyłość dwóch kobiet bardziej go drażniła niż harce stolika. Był to dla niego jakby policzek. Jak wszystko, co go od nich spotykało. Ich rozmowy. Ich milczenia. A wuj? Ładną rolę odgrywa w tym wszystkim!

Ponury obiad. Przed deserem nie mógł się już opanować. Wstał. Po twarzy Pauliny przebiegł lekki skurcz.

— Opuszczasz nas? Jest jeszcze deser...

— Krem czekoladowy — z namaszczeniem powiedział Paskal.

— Chcę być trochę sam...

— No, trudno — westchnęła Paulina — jeżeli za mało ci całego dnia spędzonego na polowaniu!...

Wzruszył ramionami i idąc ku drzwiom zauważył, że wuj odwrócił się, aby spojrzeć na niego! I ten jeszcze! W rodzinie rzeczą najważniejszą jest zachować cierpliwość przy stole. Można się nienawidzić, wymyślać sobie, ale nie należy wstawać przed deserem. Dziwne... W czterdziestym pierwszym roku życia Piotr odnajdował irytacje lat młodzieńczych.



Takie same pokusy ucieczki miewał w stosunku do swojej matki, gdy odkrywał kobiety i filozofię. Ale teraz nie uciekał już z jakiegoś powodu. Dość mu było wyzwolić się od czyjejs obecności i znaleźć się znowu w ciemnościach, w parku.

Była piękna pogoda. Księżyc nie świecił. Intymność drzew, które dopiero w nocy oddychają swobodnie, miała w sobie coś puszystego jak futro. Słysząc było drżący krzyk puszczyka. Wcale niestraszny. Niemal czuły. Jak przejrzyste łkanie. Droga krążyła po parku i nagle zabłysł w powietrzu czerwony punkt, papieros. Natychmiast odgadł, że to ona. Przystanął z bijącym sercem, z zaciśniętymi pięściami.

— To pan, Piotrze — odezwał się głos. — Nie boi się pan... Dziwna jest ta noc, prawda? Nie wychodziłam za dnia...

Szepnął:

— Blanko...

Stali nieruchomo o trzy kroki od siebie; chciał wyciągnąć rękę, ale sama się zatrzymała. Przepłynęło między nimi trochę czasu.

— To dziwne — powiedziała — nie widzę pana, ale czuję pana obecność. Za dnia, gdy się mijamy, nie muszę rozumować, by przed panem uciekać. Nie boję się pana. Jestem pewna mojej obojętności. Jestem silna... Nie, proszę się nie zbliżać. Jeżeli mnie pan dotknie, czar prysnie... Wiem, Piotrze, że pana skrzywdziłam... Proszę nic nie mówić. Skrzywdziłam pana... ale proszę posłuchać... O tym, co było między nami, zachowam wspomnienie, o którym mi trudno mówić... Dwoje ludzi może w parę dni dać sobie więcej niż inni przez całe życie... a potem znowu stają się sobie obcy...

— Kłamiesz!

— Proszę nic nie mówić! Nie niszczy tego, co w nas najlepsze. Po co się dręczyć? Po co...

— Nie bój się, Blanko, to rzecz skończona... Celnie zabiłaś moje serce... Zobaczyłem cię teraz jak inną istotę... Nie wierzę już w ten niedorzeczny sen... Ale nie dlatego, że prysnął... Zawsze niedorzecznością było w to wierzyć...

— Piotrze, skąd tyle goryczy? Chciałabym, abyśmy zachowali te dni jak piękną tajemnicę, znaną tylko nam dwojgu...

— Tak, zwłaszcza jako tajemnicę! Możesz się niczego nie obawiać. Nie jestem z tych, co mówią. Śpij spokojnie!

— Co to znaczy?

— Jak to? Ja miałbym teraz poddać się tej ckliwej legendzie, którą ty chciałabyś zbudować... sfabrykować sobie pamiątkowy grzech, jak istnieją pamiątkowe obsadki z muszelkami...

Odczuł nagle ruch cienia. Uciekała? Złoty punkt papierosa zakreślił S w powietrzu. Nie. Była tuż naprzeciw niego. Wzięła go za rękę.

— Po co się dręczyć? — mówił jej głos wysoki i melodyjny- — Czy nie można zachować nie tkniętej pamięci o tych trzech tygodniach...

— O trzech tygodniach! Liczysz bardzo skrupulatnie.

— Weź mnie pod rękę — powiedziała. Piotr dopiero po chwili spostrzegł, że mówiła mu ty...

Szli w mroku, zrazu w milczeniu. Jak dwoje starych małżonków, między którymi nie ma już nic cielesnego. A jednak... Blanka zaczęła znów tę rozmowę w ciemności słowami prostymi, choć pełnymi zakłopotania. Mówiła o swoim smutku. A także nieśmiało o Zuzannie.

— Już nic jej nie grozi?

To zdanie Piotra tchnęło obrzydliwą oziębłością. Wprowadzał pomiędzy nich uprzejmość. Uprzejmość uwłaczającą jej. Może przeczuwał powtórny upadek i bał się go? Postanowił już więcej nie cierpieć. Był na tyle głupi, aby myśleć, że jakaś inna kobieta wybawi go od Pauliny. Teraz, gdy zakosztował wolności, teraz, gdy kłamstwa życia były mu znane, nie trzeba mu już Blanki... Nie chciał już wymieniać jednych łańcuchów na drugie, stwarzać nowych kłamstw... Wolność!

— Słuchaj, Piotrze, przyznaję, że wszystko to moja wina... Nie powinnam była... U was, mężczyzn, to rzecz naturalna... Ale ja... Od pierwszej chwili trzeba było wszystko stłumić... Nie wiedziałam... Bardzo się nudziłam... Gdybyś znał pustkę życia kobiety! Nagle czuje się potrzebę romantyczności... czegoś w sobie, co śpiewa, czegoś, aby nie myśleć... czegoś, aby o tym myśleć...

Słuchał jej z nienawiścią. Więc był dla niej taką rozrywką!

Długo tak do niego mówiła. Dziwnym jakimś sposobem, nic nie zmieniając w swoich doznaniach, czuł się jednak ogarnięty jej głosem, porwany przez nią, ukojony... Doszli aż do terasy i za milczącą obopólną zgodą skierowali się ku ławce ponad doliną, gdzie Piotr niedawno siedział z biskupem. Usiedli i Piotr odezwał się:

— Doprawdy, patrząc na nas, pomyślałby kto, że to kochankowie... Ale ja nie mam ci już nic do powiedzenia... Nie pojmuję nawet, o czym może z tobą mówić wuj, który wysiaduje u ciebie przez całe popołudnia...

— Pan de Sainteville jest dla mnie bardzo dobry. Zapewniam cię, że rozmowa z nim jest dla mnie wytchnieniem.

— Dziękuję. Daruj sobie to wytchnienie. O czym tak gadacie<sup>7</sup>

— O wszystkim. O życiu. Ten człowiek wie o nim znacznie więcej, niżby się wydawało...

— O czym? Jeśli wolno spytać!

— Jesteś niesprawiedliwy. O życiu...

— Och, śmieszysz mnie! O życiu!

— O kobietach, jeśli wolisz... Jesteś niesprawiedliwy wobec swego wuja. Nie tylko pod tym względem zresztą...

— Co to ma znaczyć?

— Właściwie nic...

— Ale jednak?

— Będziesz się gniewał. Nie? No, więc rozmawialiśmy z nim dużo. O, nie o nas...

— Myślałem sobie...

— Jesteś niemądry! Nie, o nim. O jego życiu. O tym wszystkim. Zamek. Zima. Starość. O jego osamotnieniu... Czy pozwolisz, że coś ci powiem?

— Proszę bardzo.

— A więc... Przede wszystkim nie wyobrażaj sobie, że obarczył mnie jakimś poleceniem. Zapewniam cię, że gdyby wiedział... Mówię ci o tym z własnej inicjatywy... Wiesz, że twój wuj ma kłopoty pieniężne. A przecież ten zamek... to właściwie całe jego życie... Co będzie, jeżeli ludzie, którzy mają tu hipotekę, zażądają wystawienia zamku na sprzedaż? Co się z nim stanie? Z każdym rokiem bardziej się zadłuża. Doktor Moreau tylko czyha na to. Już on go nie wypuści. Czeką na dzień, gdy będzie mógł w zamku zainstalować swoich gruzlików... To będzie koniec Sainteville... i gdzie ten biedny stary człowiek się podzieje?

— Tak, no i co dalej?

— Piotrze, porzuć ten surowy ton! Jesteś bogaty, masz pieniądze... mógłbyś odkupić hipotekę...

Usłyszała w ciemności odgłos, jakby kropla wody spadała z kranu... Był to hamowany śmiech Piotra. Oto co obmyślał wuj i dlaczego zalecał się do Blanki! Zbyt śmieszne, doprawdy, zbyt śmieszne! A ona zgodziła się pośredniczyć! I pomyśleć, że on zastanawiał się, dla jakiej tajemnej przyczyny, dla jakiej powrotnej fali zgodziła się tego wieczora zostać z nim w ciemności, łagodnie z nim rozmawiać tym wysokim, czułym głosem... I pomyśleć, że o mało nie dał się nabrać jak sztubak! Chodziło o hipotekę! O hipotekę!

Odpowiedział z największą powagą:

— Wuj przesadnie maluje sytuację. Jeszcze nie jest tak źle. Doktor Moreau nie jest potworem. A zresztą pomagamy wujowi... Nie mówił pani? Przez dyskrecję, droga pani, wyłącznie przez delikatność... Co do hipoteki, ogromnie żałuję; mam wrodzony wstręt do hipotek. Nie wiem dlaczego. To może nawet trochę chorobliwe. Dostaję gęsiej skórki na dźwięk tego słowa. Mówmy o czym innym...

— Piotrze — szepnęła — nie poznaję pana...

— O, to dlatego, że jest ciemno! Nie zmieniłem się ani trochę. Ale wie pani, mogą sobie sprzedawać czy nawet spalić Sainteville! Ani mnie to ziębi, ani grzeje... Jak zresztą także mój drogi, zacny wujaszek... O, nie jest to sprawa pieniędzy! Ale nie dałbym ani grosza za ten folwarczek!

LIII

Dzień posepny i rozpaczliwy. Pogoda znowu się popsuła. Deszcz pada, spokojnie, uparcie, bez przerwy. W zamku wszystkim zrobiło się ciasno. Groziło to atakiem nerwowym. Moralnie również wszyscy deptali sobie po piętach.

Joanna uczepliła się małego Gustawa, o którym nie pomyślała przez całe lato i którego uwielbienie nagle stało się jej nieodzowne. Siedzieli pod stołem bawiąc się kolejką. Paulina kładła pasjansa: „Ten pasjans lubiła bardzo moja biedna mama...” Paskal czytał. Przeszukał całą bibliotekę,

odkrył tam Dumasa ojca i pożerał *Józefa Balsamo*. Wuj wałęsał się. Sprowadził Blanę, proponował wista, na próżno...

Czy to bezczynność pchnęła Piotra z powrotem do pracy historycznej, którą niedawno porzucił? W każdym razie poszedł szukać swoich zeszytów w walizce, z której ich jeszcze tego lata w Sainteville nie wydobył. Ale na próżno; temat Lawa, mimo że wprowadzał go w świat daleki od teraźniejszości, wiódł go nieustannie, chociaż krętymi drogami, do jego własnej sprawy. Rzecz dziwna, że wszystko, co przychodziło mu do głowy, kręciło się wokół niego samego... Oczywiście, było to bardzo dobrze i niewątpliwie z przyjemnością myślał, że między jego bohaterem a nim istnieją jakieś tajemne powiązania. Ale to nie powinno się było przejawiać w samym już pisaniu. A był taki ustęp, gdzie zbyt wyraźnie odnajdował siebie, gdzie się zdradzał.

Rozważył wiele kwestii, a potem wziął się do pisania tak, jakby nie istniała ani Paulina, ani Blanka, ani cały ten bałagan dokoła. Gnębiło go tylko, że nie umie przedstawić swego bohatera, finansisty Lawa, jako osobowości niecodziennej. Ilekroć zabierał się do dzieła, aby zgłębić tę fascynującą postać, zawsze musiał zaczynać od ogólników. W ten sposób umykał mu właściwy jego cel, mianowicie portret tego człowieka, jego życie wewnętrzne, osobiste życie jednostki genialnej, do czego tak zupełnie brakowało mu materiału historycznego, że właściwie miał chyba prawo stworzyć swego bohatera na nowo, i to stworzyć na własne podobieństwo.

Na razie Mercadier oglądał spustoszenia, które niedawno poczynił w swoim rękopisie, przekreślając całą taką właśnie stronicę, niczym wysoki mur zasłaniającą mu perspektywę. I wziął się do pisania jej na nowo, w tym bezosobowym i ogólnikowym tonie, do którego zamierzał się ograniczyć. Ostatecznie przecież tutaj chodziło właśnie o sprawy ogólne. Pisać często znaczy formułować myśli ogólne, ale to może nas doprowadzić znowu do najniebezpieczniejszych marzeń. Piotr bał się, że wśród zupełnie obojętnych wyrazów odnajdzie potwora, który go pożerał. Pisał dalej:

„Przez długie wieki ludzie obywali się bez pieniądza. Wymiana dóbr odbywała się bezpośrednio. Stopniowo rosnąca złożoność wymiany, wypływająca z samego faktu nowych wymagań człowieka, z konieczności nabywania produktów z dalszych okolic, ujawniła użyteczność pieniądza, który stał się oznaką zamożności i wkrótce zajął miejsce samej zamożności. Państwa i władcy ubezpieczali swoją władzę nazywając swoją pieczęcią ów miernik władzy ludzkiej — pieniądz. Moneta przesłania wkrótce to, co było jej istotnym źródłem: więzy konsumpcji; siła ludzkiego ramienia lub mózgu przestała być prawdziwym bogactwem. Skarbem odtąd staje się pieniądz sam w sobie, zasada: »Posiadanie starczy za prawo«, staje się możliwa i posiadanie pieniądza staje się ważniejsze niż środki nabywania go. Stąd zrodził się handel starożytny, który w monecie znalazł prawomocność, jakiej odmawiała *mu* moralność.

Całe dzieje świata są dziejami pieniądza. Wystąpili do walki ci, którzy

przeciwstawiali pieniądzu ziemię, i doszło do wojny kupców z magnatami. Władcy, widząc w swoich wasalach, posiadaczach ziemi, potencjalnych rywali, wzbraniali im bicia monety i przeciw panom szukali oparcia w kupcach. Jedność państw ugruntowała się na jedności pieniądza w ich granicach. Tak stopniowo świat kształtował się na pieniądzu i dlatego teraz, w czasach nowożytnych, jesteśmy oto łupem tej walki, w której stają naprzeciw siebie narody i ludzie.

Geniusz Lawa polegał na tym, że rozpoczął on na nowo zasadniczą operację finansową, która położyła kres czasom pasterskim. Jak wtedy wynaleziono monetę łatwą do przenoszenia, dzięki której nie trzeba już było wysyłać stada wołów jako zapłatę za sukno z dalekiego kraju, tak Law wymyślił sposób, aby stanowiące gwarancję bogactw złoto i srebro mogły spokojnie drzemać w banku i aby zastąpić je podpisem królów lub republik na małym skrawku papieru, którego jedyną wartością jest ów podpis.

W świecie, który był całkiem ujarzmiony lub wkrótce miał zostać ujarzmiony, stanowiło to niezaprzeczalny postęp w zakresie sztuki handlowania, nie mówiąc o tym, że wzmacniało stanowisko władców, utożsamionych obecnie ze swoimi bankami, bo mogli teraz łatwiej popępiać nadużycia i wypuszczać coraz to nowe bilety bankowe. Żyjemy od półtora wieku czy więcej w tym systemie, którego zarówno dobrodziejstwa, jak nieoczekiwane konsekwencje już się ujawniają.

Od czasu Lawa rzecz skomplikowała się jeszcze o tyle, że ilość pieniędzy papierowych podwoiła się o pieniądz, który wypuszczają już nie państwa, ale przedsiębiorstwa prywatne. Akcje, które opanowały nasz wiek, przeciwstawiają się biletom bankowym, gdyż zatraciły charakter własności narodowej, a że jednocześnie umacnia się jedność wielkich państw, własność przedsiębiorstw i dóbr staje się tam niepostrzeżenie międzynarodowa dzięki papierom wartościowym, które uświęcają triumf kupców nad królami, Giełdy nad Państwem.

Ku jakim przemianom świata prowadzi nas z etapu na etap ta ewolucja miernika bogactw? Trudno to przewidzieć, ale któż by nie dostrzegł, że podstępny Szkot Law ponosi wielką odpowiedzialność za ten ferment wprowadzony do dziejów w zaraniu wieku XVIII, ferment, który w półtora wieku zdołał głębiej zamącić historię i wstrząsnąć ludźmi, niż to uczyniły powolne wieki złota, srebra i brązu.

Ludzie, sami przerażeni tym, co się dzieje, wahają się, czy uznać w Johnie Law dobroczyńcę, czy też zbrodniarza. Dlatego nie wznosi się mu pomnika i podczas gdy byle żołnierz, który celnie wymierzył z armaty, ma już swoją ulicę, swoją legendę i wdzięczność dzieci, Szkot zaledwie figuruje w którymś z rozdziałów podręcznika historii, i to raczej dzięki swojemu bankructwu niż wynalazkom.

Jednakże..."

Mercadier przerwał. Szkot absorbował jego umysł tylko jako czczy pozór. Za nim obłudnie trzepotała się w tej chwili myśl, która ukazywała się, ilekroć Piotr przed nią umykał. Bał się jej następstw, jej śliskich skutków

prowadzących do nieokreślonych myśli, jakie Piotr dostrzegał poza nimi, a które obawiał się zarówno zbyt szybko pojąć, jak utracić... Trzeba było zrobić notatki. Mercadier nie mógł się na to zdobyć.

Była to myśl, która głęboko wiązała się zarazem z tym finansowym patriotyzmem, do którego schronił się dość niefortunnie w swoich spekulacjach giełdowych i który dotyczył również ogólnie przyjętych poglądów ma rodzinę i ojcostwo. Trzeba z niej było wyciągnąć konsekwencje. Ale w takim razie niepodobieństwem byłoby pisać dalej o Johnie Law i papierowym pieniądzu. Choć nie były one temu obce...

Gmatwanina pragnień, rozmyślań i wściekłości. Mogło to zrodzić jeszcze parę zapisanych stron lub scenę małżeńską. Była to jakaś pasja, która, doszedłszy do kresu drobiazgowości i myśli, szukała sobie ujścia.

Wieczorem nastąpiło wyładowanie elektryczności pomiędzy Mercadierami. Piotr opowiedział o spotkaniu z kuzynem Kajetanem.

— On wyobraża sobie, że mnie choć trochę obchodzi, czy odda syna do liceum, czy nie? Wydawało mu się, że pochlebi we mnie nauczycielowi państwowemu. Ludzie są głupi. Nigdy nie widzą w tobie człowieka, po prostu człowieka. Nie. Jesteś profesorem, Francuzem, tym i owym, nosisz na sobie jakby parę surdutów jeden na drugim.

— Parę surdutów? A to dlaczego? — spytała Paulina. — Jeżeli jest ci obojętne, czy Kajetan odda syna do liceum, czy gdzie indziej, powinno też ci być obojętne, gdzie pójdzie twój syn...

— Ach, nie zaczynaj tej całej historii od początku! Jużemy dość się nasprzecjali...

— Ale ja uważam, że to nielogiczne. Jeżeli jest ci obojętne w odniesieniu do małego Champdargent...

— Jużes to mówiła... Powinno mi to być obojętne w stosunku do mego syna. Do diabła z moim synem! Oczywiście, że jest mi to obojętne, jeżeli chodzi o niego. Niech sobie idzie do księży czy gdzie indziej. Ale to ściaga na mnie przykrości, a ja nie chcę żadnych przykrości. To nie jest mi obojętne, gdy chodzi o mnie.

— A więc ty upierasz się...

— Znowu to samo! Przecież rozmawialiśmy już o tym, co mówię, rozmawialiśmy, krzyczeliśmy od Paryża do Tenay! To dość. Zużyłem tyle śliny, że mogę żądać, aby Paskal poszedł do liceum, a ty nie masz prawa się wycofywać...

— Mój kochany, jesteś tak ordynarny...

Wzruszył ramionami. Gdy przechodziła na ten oficjalny ton, aby zaznaczyć odcienie uczuciowe, działała mu strasznie na nerwy!

Z pasją raz jeszcze powtórzył, że Paskal pójdzie do liceum, i szkoda gadać, że on babskich krzyków nie będzie dłużej znosił, że w równym stopniu nie obchodzi go polityka jego żony, jak polityka rządu i deputowanych, aż wreszcie Paulina przestraszyła się. Takim jeszcze go nigdy nie widziała. Niejasno czuła, że grozi jej niebezpieczeństwo. Obawa natchnęła ją mądrością. Zamilkła. Ale rosnący niepokój uczynił ją znowu głupią i wtedy

wydała się sobie przebiegła: wymyśliła podstęp bardzo stary i zużyty. A może nawet nie był to podstęp, lecz po wszystkich ostatnio przeżytych wzruszeniach i przykrościach tego dnia naprawdę zapragnęła rozrywki fizycznej. Nikt się tego nigdy nie dowie. Są rzeczy, które zdarzają się nie w porę, wtedy gdy się już ich nie oczekuje, i dlatego wywołują skutek wręcz przeciwny temu, jakiego można się było spodziewać.

Piotr z początku nie zwrócił uwagi na łagodność żony. Na tę potulność, której największym walorem było dla niego milczenie. Naprzód wszystkie te drobne względy, muśnięcia, uśmiechy jeszcze bardziej go rozdrażniły. Gdy wreszcie znalazła się obok niego we wspólnym łóżku, gdzie tak przyzwyczajali się być sobie obcy, zauważył tylko, że zachowuje się inaczej niż zwykle, Paulinie błyszczały oczy, przysuwała się do niego, objęła jego nogi swoimi... Jeszcze chwila, a dałby się oszukać jak niegdyś. Potem uczył coś w rodzaju wściekłości, która zresztą nie wykluczała pożądania.

Ale było to pożądanie opanowane. Pożądanie przygodnego gościa. Po raz pierwszy w życiu patrzył na Paulinę ze złośliwością tym okrutniejszą, im żona bardziej mu się ofiarowywała. Patrzył na nią jak na dziewczkę. Bo i czym różniła się od dziewczki? Niczym. Te same gierki. Ta sama technika. Trochę mniej zręczności, oto wszystko. Pozwolił jej się podniecać, odmówić całą niemą litanię kobiety, która nie może wyrzec pewnych słów, pozwolił jej rozchyłać nocną koszulę, aby zobaczył jej spragnione miłości łono. Zresztą, w gruncie *rzeczy* ona na pewno miała na to ochotę.

— Och — rzekła — czy nie widzisz?

Nigdy tak jej nie potraktował, nigdy, na wzór tylu innych mężczyzn, nie domieszał do miłości tyle pogardy. Mścił się. Paulina była przedmiotem, który miał przy sobie, nie żywą istotę. Rozkosz nie przywróciła mu szacunku dla niej. W jej rozkoszy odkrywał jakąś służalczość, uległość. W mętym uśmiechu zmęczonej kobiety dojrzał oczekiwanie na zapłatę, którą zostawia się na kominku. Czuł pewną radość, że niskimi i wulgarnymi myślami niszczy wszystkie więzy, jakie ich niegdyś łączyły. Był z niej teraz do cna uleczony, bo mógł to robić nie tracąc głowy. Niedawno jeszcze, mimo że uważał ją za głupią, i że wzdrygał się na jej śmiech, wystarczyło, by opłotła go ramionami, a dziwna fizyczna władza Pauliny brała go w posiadanie. Teraz...

Zasnął przy niej mocno, z nosem w poduszce, spychając ją na bok, z ostatnią myślą zagubioną w mgielce kształtów i świateł: „Jeżeli zrobiłem jej dzieciaka, tym gorzej dla niej.”

Nazajutrz obudził się pierwszy i patrzył na nią, śpiącą. Stwierdził, nie bez dumy, że zdołał przetrwać noc ze swoją nienawiścią i że świt wcale jej nie osłabił. Zrobił spostrzeżenie, że przez te czternaście lat małżeństwa rysy Pauliny zgrubiały. Nie w tym stopniu, aby to było widoczne, gdy nie spała, gdy twarz jej pełna była ożywienia... ale teraz, w tym zaniedbaniu... Jej jak zwykle lekko otwarte usta już nie wydały mu się wzruszające. Nawet bogactwo jej ramion, ich wdzięk straciły moc nad nim. Prawie nic się w niej nie zmieniło. Może tylko kąciki ust głębiej się zaznaczyły. I jeszcze

coś. Jakaś ociążała moc wyrażała się w jej całej osobie. W tej chwili wydało się Piotrowi, nie wiadomo dlaczego, że szuka jakiejś utraconej tajemnicy.

Powróciła do niego uparta myśl o zapłacie, którą pozostawia się na kominku. Skąd mu się wziął ten śmieszny pomysł? Paulina musiała niejasno zdawać sobie sprawę, co się z nim działo. Nie dał się oszukać. Ani na chwilę; było za późno, nie udało się jej wmówić mu, jeżeli to nawet była prawda, że pragnęła jego, czy nawet w ogóle mężczyzny! Nie! Był to obrzydliwy strach, że go straci, przerażenie kobiety porzucanej. I słusznie się bała. Ale ten paniczny lęk, ten zwierzęcy strach nagle ją zdegradował, poniżył, upodlił. Zabiła ostatnią rzecz, która więziła przy niej męża — czystość wspomnienia. Zobaczył ją wreszcie w jej rzemiośle małżonki, przy zajęciu legalnej metresy, zobaczył jej strach, że sakrament i wzniosłe słowa pana mera okażą się niewystarczające, aby zapewnić jej dach nad głową, wikt, suknie i ludzkie poważanie. On jej nigdy nie zapomni tej ohydy. Tego szyderstwa z miłości. Tego, że zbrukała całą przeszłość.

Wstał zdecydowany, wolny.

Tegoż ranka oznajmił jej, że pakuje się, jedzie do Paryża w interesach i że zobaczy się z nią i z dziećmi dopiero w domu, w przeddzień rozpoczęcia nauki w szkole.

Przerażona i zaskoczona Paulina nie śmiała protestować i ze strachu, że straci go całkiem, bez dyskusji pozwoliła mu jechać.

— W dziesięć dni po śmierci mamy!

Ale nie wróciła już do tego tematu. Piotr nie pożegnał nawet pani Pailleron. Trzeba by jej tłumaczyć...

## LIV

Prawdę powiedziawszy, nic nie wzywało Piotra Mercadier do stolicy. Zamieszkał w starym, drugorzędnym hoteliku w okolicy Opery. Tam dosłownie stracił całe długie dwa dni na niczym, upajając się tylko swoją wolnością. Czas płynął mu jak w okresie dzieciństwa. Włączył się po ulicach, przerzucał kartki starych druków w księgarniach, wstępował do kawiarni, znów wychodził na ulicę. Wrzesień był łagodny i połyskliwy. W Paryżu nie było absolutnie nikogo, z kim Mercadier chciałby się zobaczyć, a kiedy nawet parę razy wydało mu się na bulwarze, że poznaje sylwetki znajomych, otrząsał się i czuł instynktowną chęć ukrycia się, ale niepotrzebnie, bo były to tylko złudzenia.

Zawędrował do Luwru, do Muzeum Luksemburskiego. Jeden wieczór spędził w *cafe-concert*, dość podłym, ale gdzie się doskonale wypoczywał. Nazajutrz nie pomyślał nawet, by szukać rozrywek. Tak dużo chodził przez cały dzień, że wieczorem widok bulwarów aż nadto mu wystarczał.

Piotr powtarzał sobie z pewnym uporem, że dla niego wolność nie jest, nie może być tym, czym jest dla innych. Ludzie żonaci wytworzyli sobie o niej na ogół pojęcie bardzo wulgarne i nie uważają się za wolnych, jeżeli nie



mają jakiejś przygody miłosnej. Tak jakby o to chodziło! Ale na trzeci dzień, sam dobrze nie wiedząc jak, Piotr wdał się w rozmowę z osobą o chińskich oczach i kołyszącą się w biodrach na sposób czysto zawodowy. Już miał się wycofać, gdy powstrzymała go myśl, że ulega przesądom. Młoda dama kosztowała go sto franków i opuściła go w południe dnia następnego. „W moim wieku” — pomyślał i miał do siebie trochę pretensji. Zwłaszcza o te sto franków.

Na co zda się grać komedię? Co właściwie ma zrobić mężczyzna zostawiony samemu sobie? Oczywiście, może pójść posłuchać muzyki, ale to nie wypełni mu czasu. Dni są długie i podobne do siebie. Jeżeli chodzi o to, aby zaprzątnąć czymś głowę, nie ma jak kobiety. Wiadomo, że kiedy człowiekowi stuknie czterdziątka, nie zależy mu już tak bardzo na spaniu z kobietą. Nie, pociąga go raczej odmienność kobiet, ich podstępny, jakaś dwuznaczna gra spotkań, szczególnie żonglerka gorzko banalnych słów, rozmowa, odkrywanie żywej istoty. Potem... Doprawdy, sypia się z nimi przede wszystkim dlatego, że nie zawsze znajduje się inne wyjście. Ale nawet i wtedy jest jeszcze odrębność ich ciała, jego uległość, nagle podobieństwo z innymi kobietami, zadziwienie nad podpatrzonym czyimś życiem, bielizna, perfumy, sposób bycia... po prostu tysiąc szczegółów, których niepodobna wymienić, a które cenniejsze są w tych przelotnych stosunkach niż zaznana w nich rozkosz.

W tym nowym życiu upajała Piotra przede wszystkim gwałtowność, z jaką się w nie rzucił. Tak jakby nie podlegało to dyskusji. A także absolutne odrywanie się od towarzyszek jednego wieczoru. Pewność, że nigdy już ich nie zobaczy. One snuły czasem plany, a wtedy myślał:

„Gadaj zdrowo!” Lubił płacić, chociaż czasem nie było to konieczne. Zwalniało go to od wszelkiej delikatności, pozwalało mu postępować po chamsku, co jest najmocniejszym przeżyciem, jakiego może zaznać mężczyzna, jeśli nie brać pod uwagę zgnicenia palców w drzwiach.

Wracały mu na pamięć słowa jednego z towarzyszy młodości, w Dzielnicy Łacińskiej; ten straszliwy cynik szczycił się, że płaci kobietom — nawet, a raczej przede wszystkim, gdy chodzi o te, które odwiedza w burdelach — tylko wtedy, gdy nie doznają z nim przyjemności; jeżeli zaś jest inaczej, nie daje im ani grosza, bo, jak mówił, jest to oszukaństwo z ich strony. Wtedy słowa te wydawały się Mercadierowi niktzemne. Teraz przypominał je sobie ze znacznie mniejszą zgrozą, po prostu uważał, że zagadnienie zostało niewłaściwie postawione. Bo pieniądź nie ma nic wspólnego z przyjemnością, uwalnia tylko w zakresie tych stosunków od delikatności i uczuć, jakimi raczą się wzajemnie ludzie z tego samego środowiska. Płacić, ale płacić gotówką, znaczy to po prostu zapobiegać powstaniu jednego z tych kłamstw, które stopniowo wiążą nas z kobietą. Piotr coraz wyraźniej uświadamiał sobie tę opiekuńczą rolę pieniądza. Obrona wolnego indywiduum. Szaniec samotności. Uśmiechał się na myśl, że należałoby, w przeciwieństwie do kolegi z dawnych czasów, płacić podwójnie, potrójnie kobiecie, która zaznała z wami przyjemności, aby

zbrukać, zatrzeć tę groźną przyjemność, dzięki której kobieta mogłaby sobie wyobrazić, że nabyła praw do mężczyzny.

Tak właśnie myślą często dwudziestolenni chłopcy; jest to może wstrętne, ale zrozumiałe przy ich niedoświadczeniu, i nie ostoi się wobec jednego spotkania, wobec pierwszego uczucia. Ale u człowieka czterdziestoletniego ten sposób myślenia ma w sobie coś odpychającego i coś poważniejszego. Piotr czuł to zresztą niejasno. Ale nie miało to na niego żadnego wpływu.

Biorąc ogólnie, mścił się na kobietach za swe nieporozumienia ze światem. Przynajmniej tak opowiadał sobie własną historię. Co mu zawinił świat? A jeżeli chodzi o kobiety, cóż miało z nimi wspólnego to jakieś nagłe szaleństwo starzejącego się studenta? Myślałby kto, że opowiadam tu całe życie, a chodzi tylko o dwa tygodnie. Ale dwa tygodnie rozpusty jak w życiu smarkacza, który odkrył sprawy łóżka.

Pewnego wieczoru zabrał fiakrem do Lasku starzejącą się kobietę, która mówiła o śmierci; zabrał ją dla samej przyjemności uderzenia jej w pośladek w najbardziej drażliwym momencie jej zwierzeń. Przez dziesięć minut marzyło mu się, że jest zakochany w pewnej śpiewaczce, a także wzbudził zazdrość w protektorze pewnej spotkanej w kawiarni damy z Montmartre. Pan ów groził mu policją, do której niewątpliwie należał. Trwało to wszystkiego dziesięć dni, licząc w to już wycieczki do Saint-Cloud z hotelową pokojówką, po czym musiał zmienić lokal i przeniósł się na lewy brzeg.

Ach, czuł się panem swojej woli! Ani razu nie pomyślał o kimkolwiek prócz siebie. Naprzód ja. I potem ja. Ładował w pokojach, dziennych i nocnych, z osobami, które trzeba było dobywać z różnych osłon, aby znaleźć istotę nagą, często zażenowaną, kobietę gotową do upokorzeń i zawsze bardziej myślącą się co do niego, niż on mylił się co do niej, bo nie było kłamstwa, przed którym by się cofnął, zwłaszcza wobec kobiet z ulicy, przyrzekając im życie, o jakim wszystkie marzyły, szczęście nagłe jak wielka wygrana na loterii... Kłamał tak beztrąsko, że gdy wyjmował z kieszeni grzebyk, aby się przeczesać, i gdy czynił klasyczne gesty rozstania, jego najbardziej nawet doświadczone partnerki głupiały na chwilę. Rzadko mu wymyślały. Ale zawsze miały na to ochotę.

Bardzo dobrym sposobem jest rozłączyć kobietę z mężczyzną, który jej towarzyszy. W kawiarniach jest to stała gierka. Piotr uspokajał się w ten sposób co do siebie samego. Mógł się jeszcze podobać, a więc to jeszcze nie koniec. Nie przejmował się, że to złudzenie trwało tylko przez czas, gdy siedzieli na pluszowych kanapkach, przy popękany marmurze stolików, i że, ostatecznie, kobieta wracała do swego mężczyzny; ważna była tylko ta chwila, gdy oczy wyrażały zgodę, ta zdrada w lustrze, podstęp na odległość...

Należy podkreślić, że wszystko to zajęło niewiele czasu. Bardzo szybko nadszedł koniec września. Mercadier czuł się dość zmęczony, bo ostatecznie nie miał już dwudziestu lat. Wraz ze zmęczeniem powróciły marzenia. Właściwie nie opuściły go nigdy; były dyskretniejsze — oto

wszystko. Ale chyba w każdym dniu zajmowały mu większość czasu. Gra, którą niegdyś wynalazł przeciw Paulinie i która zdawała się swój największy urok czerpać w tym, że stanowiła oszustwo w stosunku do żony, zrzuciła tutaj maskę, ponieważ operacje giełdowe teraz, kiedy był sam, nie wymagały żadnego ukrywania, a jego zemsta nad Pauliną dokonywała się w inny sposób. A jednak Piotr prowadził swoją grę dalej, z nową zaciętością.

Dzienniki stały mu się bardziej obmierzłe niż kiedykolwiek, bo tak się rozpisywały o tej głupiej Sprawie! Mercadier ograniczał się ściśle do lektury stron poświęconych finansom. Ale narzucił sobie nową zasadę. Zasadę dość fascynującą, gdyż stanowiła zaprzeczenie innej zasady, której trzymał się poprzednio. Zrozumieją go wszyscy ci, co pasjonują się grą: nie ma nic bardziej upajającego jak nagła zmiana reguły. Wyobraźcie sobie, że nagle ktoś wynajduje w szachach nowe ruchy dla lauffra... albo w wiście „kołek” zaczyna odgrywać nową rolę... albo przy ruletce wymyśla się nową metodę obstawiania... To właśnie zdarzyło się Piotrowi; zmienił podstawową regułę swojej gry. Dotąd uważał za rzecz niewątpliwą, że nie wolno mu wyodrębnić własnych interesów od interesów kraju. I nagle — zapewne dlatego że zaczął przecinać wokół siebie więzy łączące go z rodziną — wydało mu się to nonsensem, przesądem z innej epoki, najoczywściej zresztą szkodliwym dla jego spekulacji; już dość na tym ucierpiał; doszedł do wniosku, że sama istota gry wymaga odrzucenia tej reguły, przestarzałej już i zdyskredytowanej przez historię; krótko mówiąc, zaczął grać przeciw Francji.

Bo ona też jest kimś w rodzaju Pauliny... O Blance nie myślał. Wcale nie myślał o Blance. Czy powinien był się na niej zemścić? I tylko pomyśleć: wydawało mu się, że ją kocha! Śmieszne! Złudzenie godne sztubaka! Cała rzecz w tym, że zakosztował, co to jest niespodzianka fizyczna, urozmaicenie. Wiedział teraz, że może tego zaznać z byle jaką kobietą. A co do reszty... Tristan i Izolda! Trzeba być idiotą! Ale było to na wsi...samotność.

Ale pomyśleć, że ona mogła pójść na to, zgodzić się na wspólne życie i że wtedy on zmieniłby tylko stare więzy na nowe! Brrr! Dreszcz go przenikał. Na dnie tej historii niewątpliwie pozostał żal, raczej gorycz, ale nie ta, której należałoby oczekiwać. Gorycz pozostawiona przez odmowę; bo Piotr nie żałował, że Blanka z nim nie uciekła, ale nie mógł jej darować, że nie opuściła swego wulgarnego męża... A gdyby go porzuciła? Wtedy Piotr ujrzałby w tym dowód swej władzy, którego pragnie każdy mężczyzna... Reszta nie ma wielkiego znaczenia, gdy gest został wykonany, a dowód złożony, udzielony. Powiedział sobie nawet z cynizmem, który był u niego nowym nabytkiem: „A potem? Byłbym ją puścił kantem, i koniec!...” Ale ona nie porzuciła Ernesta Pailleron. Czy Piotr kiedy wierzył w tę namiętność? Uczciwie mówiąc, nie był już tego pewny. Zacierało się to za nim, jak w bajce cień zabrany przez diabła. Z życia pozostawał tylko ciężar, zawsze Paulina. Z bachorami. I cały mechanizm bytowania,

nie lubiany zawód, obrany nie wiadomo dlaczego, stałe godziny lekcji w liceum, prowincjonalne miasto, kawiarnia, koledzy grający w szachy, a na okrasę nieśmiały nauczyciel matematyki przy fortepianie.

LV

— Witaj, Piotrze!

Piotr obejrzał się, jakby przychwycony na gorącym uczynku. Ale nie robił nic złego, po prostu przechadzał się po bulwarze des Italiens; zaskoczył go jednak wygląd Błażeja; wydawał się jeszcze wyższy w beżowym płaszczu z pelerynką, w dużym filcowym kapeluszu, miał niedbale zawiązany krawat *lavalliere*, długie blond wąsy i czerwoną cerę. Blok rysunkowy pod pachą: trudno bardziej wyglądać na artystę. I na ramieniu żałobna opaska.

Wychodził z „Gil Blas” przy ulicy Glucka. Pracował dla nich. W naszych czasach ilustracja idzie, zwłaszcza w tygodnikach. Przyjmują moje rysunki, dość zresztą nieregularnie, i nieźle płacą... Steinlen robi wszystkie okładki.

— Napijemy się piwa, Piotrze?

Napili się piwa.

Wcielenie dyskrecji ten Błażej! Nie zapytał nawet, jak się miewa jego siostra. Co prawda, niezbyt się nią interesował. Mówili o Steinlenie. Mercadier, przyznając temu artyście pewną znajomość rzemiosła, śmiałość ołówka, nie był w nim jednak zaślepiony. Błażej bronił go z wielkim zapalem. To ładnie z jego strony — przecież konkurencja.

— Powiedz mi, mój kochany... Chciałbym cię o coś zapytać... — Piotr zamilkł, aby otrzeć z wąsów pianę: — Może to niedyskretne pytanie...

— Proszę bardzo, Piotrze, pytaj...

— Wyda ci się to może dziwne, ale dla mnie stałeś się jakby trochę symbolem... tak, tak, na pewno bardziej wskutek tego, co opowiadała o tobie rodzina, niż tego, jaki jesteś naprawdę... przynajmniej tak mi się zdaje. Ale symbolem. Ostatecznie twoje odejście, ucieczka od swego świata, zerwanie...

— To przypadek banalny i częsty...

— Tak sądzisz? Dla mnie ty zawsze tworzyłeś część jednej z tych legend, które urabiamy sobie i lubimy opowiadać... Oczywiście, że jeżeli się tego ktoś nie zna, jest to bardzo wygodne, nic nas nie krępuje, zmyślamy, komponujemy do woli. Po prostu przypisywałem ci niektóre własne myśli, wcielałem koncepcje raczej moje niż swoje...

— Potem poznałem mnie i wszystko wzięło w łeb!

— Tak i nie, tak i nie... Staraj się mnie dobrze zrozumieć: ważne w tobie, w twojej osobowości, było to dawne postanowienie zerwania... Ze skutkami, jakie, sądzę, pociągnęła za sobą... wolność... szaleńczy indywidualizm, który we mnie, muszę wyznać, budzi tajemne uznanie... A potem zobaczyłem, że jesteś... trochę inny, znacznie mniej swobodny, mniej wolny. Zastanawiałem się, nie przerywaj, zastanawiałem się, czy to może wpływ wieku, sprawa ewolucji, powrotu... czy też może pomyliłem

się co do samej natury tego zerwania...

— Nie bardzo cię rozumiem...

— To moja wina... Wszystko to tak jest wymieszane z myślami, które tyle razy wałkowałem w głowie... Ot co: zastanawiam się, czy w istocie zerwanie między tobą a twoją rodziną me jest wynikiem zwykłego złudzenia... nie przerywaj mi! Chcę powiedzieć, że jeżeli zerwałeś z ludźmi, to znaczy z... trudno to wyrazić... nie robiąc ci przykrości...

— Ależ śmiało wał, powiadam ci!

— Krótko mówiąc: czy istnieje wielka różnica między życiem, jakie odtrąciłeś, a tym, jakie teraz prowadzisz? Między domem, któryś sobie urządził ze swoich obrazów, rysunków, a tym, który byś zbudował na rodzinnych tradycjach. Nie chciałbym ci zrobić przykrości, ale...

— Nie sprawiasz mi przykrości. Sądzę tylko, że istotnie wymyśliłeś sobie różne rzeczy na moje konto. Porzuciłem moich bliskich, bo są to głupcy, którzy chcieli mnie wciągnąć w swoją głupotę, i oto właściwie wszystko. Życie moje jest takie, jakie jest. Kręcę się jak cały świat, utrzymuję kobietę, nudzę się, gdy pada deszcz. Co ci się w tym nie podoba?

— Nic... Nie porozumiemy się. Myślałem, że jesteś inny. Myślałem, że oszedłeś z powodu... z innego powodu... nie aby odtworzyć te same więzy gdzieś na uboczu... tę samą zależność... no, po prostu, żeby odejść...

— Mówisz jak z Baudelaire'a: „Lecz prawdziwi wędrowcy to ci, co odchodzą...” Ja nie jestem podróżnikiem, jestem facet, który nie chce udawać, że myśli biało, kiedy w głowie ma czarno... oto wszystko. Mówiąc między nami, odejść, aby odejść — to tyle co gadać, żeby nic nie powiedzieć... Jest jeszcze inny poeta, który powiedział: „Uciec! Daleko uciec! Czuć do syta, jak pijane są ptaki wśród nieba i wody!”<sup>1\*</sup>/ Fragment wiersza Stefana Mallarme pt. Wiatr morski (*Brise marin*) w przekładzie Ryszarda Matuszewskiego.

Tylko że ten jest nauczycielem angielskiego i dalej spokojnie uczy w szkole... Czy w ogóle ktoś odchodzi? Zmienia się miejsce, i nic więcej. Słuchaj, mam przyjaciela... raczej znajomego... malarz... Malował pejzaże bretońskie, a potem przyszły rozczarowania... Materialnie szło mu nieszczególnie... Wyjechał na Tahiti. Z dala od cywilizacji, od naszej epoki i jej brzydoty! Dobrze. Pisał do mnie. Píše tylko o jakimś żandarmie. Zamiast obrazów z Bretanii maluje obrazy z Tahiti... To tak jak z gabinetami rządowymi: wywraca się je, a potem bierze się tych samych ludzi, i wszystko zaczyna się od nowa...

— A zatem i ty także w nic nie wierzysz?

— To „i ty także” wiele mówi, mój drogi! Błażej zaśmiał się szyderczo.

— Jeszcze jedno piwo? Nie? Mam wielkie pragnienie. Kelner, jedno piwo!

— Dwa!

— Ach, tak, poddajesz się... dwa piwa. O czym to mówiłem? Ależ nie, wierzę w całą masę rzeczy, w masę drobnych rzeczy; nie jestem bohaterem, robię, co mogę... Drażni cię to... Trudno! Widzisz, ja wierzę w sztukę, choćby to brzmiało jak najbardziej głupio, w piękno, we wszystkie

rodzaje fantazji... i za to wszystko byłbym zdolny nadstawiać karku jak inni za Alzację i Lotaryngię... Wierzę, że ludzie kiedyś będą lepsi... Ja tego nie zobaczę... Pracuję na swój sposób... uczciwie, w swoim zawodzie... usiłując rysować prawdziwie, nie kłaść byle jakiego koloru na płótnie, aby zatkać ką, gdzie nie mam nic do powiedzenia; staram się jak najlepiej odwalać robotę, bez blagi, abym mógł spojrzeć na nią i powiedzieć sobie: „Może nie jest to genialne, ale porządnie zrobione, i nie ma obawy, że byle żółtodziób zrobi to samo”... O, nie! To ja cię zaprosiłem... Co najmniej jedną kolejkę, koniecznie.

Rozstali się.

Bóstwa padają w proch.

## LVI

— Nie zastanawiałaś się nawet, co mogła pomyśleć pani Pailleron o twoim nagłym wyjeździe, bez pożegnania? I jak ja wyglądam w tym wszystkim! Porzucona, z dziećmi... Ty nic sobie z tego nie robisz? Oczywiście, że nie sobie z tego nie robisz! Powinnam się była tego domyślić! Ale to przekracza moje siły! Po czternastu. latach małżeństwa nie mogę się z tym oswoić, wciąż mnie to dziwi... Co mówisz? Ale oczywiście, że byłeś taki od pierwszego dnia... Z początku nie widziałam... Twego egoizmu, potwornego egoizmu! Ach, ileż łez wylałam w ukryciu!...

Wszystko to w jadalni, przy sprawdzaniu, czy dobrze nakryto do stołu. Na śniadaniu miał być dyrektor z dyrektorową. I podprefekt, ale po kawalersku: żona bawiła u matki w Bretanii. Paulina, w niebieskim negliżu, odgarnęła spadający jej na oczy kosmyk włosów i przypięła go szpilką.

Nie, Piotr nie zastanawiał się, co mogła sądzić o tym wszystkim pani Pailleron, bo ani razu nie pomyślał o niej! A zresztą mogła sobie sądzić, co się jej podobało. Życie znowu płynęło, jakby nigdy nie istniała Blanka Pailleron, wielkie łóżce z kolumnami, szopa obok kaplicy w górach, marzenia, westchnienia, pocałunki. Życie podzielone na jednakowe dni, pokrajane na odcinki: dzwiczący budzik, tusz, włosiana rękawica, poranna gimnastyka, śniadanie, rzut oka przez okno, czy nie pada deszcz, ulica, liceum, koledzy, podwórze szkolne, klasa, chłopcy, obrzydliwi smarkacze... „Panowie, pragnę zwrócić szczególnie waszą uwagę na to, co stało się w historyczną noc, którą nazywamy nocą 4 sierpnia... W całej historii świata nie znajdziecie zdarzenia podobnej miary... Przez jakież to zaślepienie, przez jakież to brak zrozumienia własnych interesów księcia i szlachta zrzekli się owej nocy swoich przywilejów? Tego historia długo jeszcze nie zdoła wyjaśnić. Ta niepojęta...”

Paskal chodził teraz do liceum. Miał już dwanaście lat. Po jego ubraniach widziało się, że gwałtownie wyrósł, i matka jego często o tym mówiła. Jego życie nagle się zmieniło. Liceum oznaczało jakby koniec jednej zabawy i początek innej, bardzo skomplikowanej, poważnej, której

przebiegu jeszcze się dobrze nie zna. Czuł się potracany, wciągnięty, prześcignięty, a jednocześnie bał się, że nie stanie na wysokości zadania, że wygląda głupio w oczach nowych kolegów. Tłum... Było ich dwudziestu trzech w klasie, a na przerwy wybiegali wszyscy uczniowie... Wir twarzy, osób, wśród których słabo się orientował; niektórzy już niemal mężczyźni, w długich spodniach. Niesłuchanie ordynarni. Ich język w pierwszych dniach budził w nim wstręt, ale potem, zaczął ich gorączkowo naśladować, z palącym uczuciem, że to grzech.

Był w jego klasie Tourmeche, syn podprefekta, i syn właściciela wielkiej fabryki andrutów, ludzi bardzo zamożnych, a także biedacy, którzy wyrównywali to siłą pięści, jak Roedelsperger, którego rodzice mieli sklepik żelazny i któremu już puszczał się rudy zarost; dwaj bracia Terrasse, z których starszy powtarzał klasę z powodu choroby i miał już czternaście lat. Kozłem ofiarnym był syn bogatego rzeźnika z ulicy Nowej. Brzydki chłopak, z polipami, z otwartą gębą, okrągłymi oczyma, czarnymi włosami, które wyrastały niemal nad nosem, kołyszący się z głupią miną; miał co się nazywa pecha; był jedynym Żydem w mieście i nazywał się Dreyfus! Dawali mu się we znaki. Oczywiście, nazywano go „Charlot”, bo aż się o to prosiło. Wstydził się swego nazwiska. Rodzice jego byli zresztą antydreyfusistami. Ale na profesorów nie było rady: Dreyfusem był, Dreyfusem został. Uczeń Dreyfus, proszę wstać! Paskal nie cierpiał go. Ten Charlot miał wstrętny głos. Robił różne głupie kawały, byle być dobrze widzianym. Podczas zabaw wszyscy oczywiście sprzymierzali się przeciw niemu, i to było w porządku.

Język liceum wcale nie był łatwy do przyswojenia. Jednocześnie bezczelny i sprośny. Jak rysunki krążące pod pulpitemi, których precyzja jest jeszcze bardziej żenująca przy ich nieudolności. Paskal ze wstydem myślał o swych rozmowach z Levet-Dugueselinem. Nie widywał się z nim. Jego najlepszy przyjaciel. Ale został w tamtej szkole, i doprawdy... Teraz wszystko ich dzieliło... Paskal czuł pierwsze oznaki zbliżającego się wieku pokwitania. Dręczyły go przeróżne rzeczy i miał ochotę zerwać ze wszystkim, co dotąd uznawał. Uświadamiał sobie swoją niedawną nieświadomość. Wracał myślą do stodoły w Sainteville, do Zuzanny, Iwony, do naiwności tego wszystkiego, co wtedy wydawało mu się tak grzeszne. Koniec z tymi dzieciństwami! Ale nie miał jeszcze o niczym wyobrażenia, swoje wzburzenie i ignorancję pokrywał grubiaństwem i swobodą. Był wciąż tylko dwunastoletnim dzieckiem. Nagle stał się nieśmiały wobec dorosłych. Nie rozmawiałby już teraz z paniami tak, jak parę tygodni wcześniej odzywał się do Blanki. Rzuczał się ku towarzyskom z klasy z jakąś pełną przerażenia brutalnością. Zaczynał lubić bójki. Chciał być najsilniejszy.

A także brać udział w uczcie na szkolnym święcie Saint-Charlemagne. Obsesja, gdyż wielki Poterat, zawsze pierwszy w matematyce, powiedział mu, że nigdy jeszcze nie udało się tam wejść nowemu uczniowi; aby zostać zaproszonym, trzeba być prymusem w jakimś przedmiocie, a przecież

chyba Mercadier nie wyobraża sobie, że od dziś do stycznia zostanie pierwszym w jakimś przedmiocie<sup>7</sup>

Pogarda innych, pogarda zasadnicza, a *priori*—to było, obok sprośności rozmów, drugie odkrycie Paskala w liceum. Trudno mu się było z tym oswoić. Dręczyło go to po nocach. Czuł, że jest niczym. Chciał zostać kimś. Ambicja, która wydaje mężów stanu i łotrów, w nim przejawiała się namiętnym pragnieniem, aby otrzymać pierwsze miejsce w wypracowaniu francuskim.

Czasem na szkolnym dziedzińcu spotykał ojca. Obaj czuli się skrepowani. Przyzwyczajali się podawać sobie rękę. Jak znajomi. Właściwie unikali się, chociaż nigdy z sobą o tym nie rozmawiali. Piotr po raz pierwszy, i to w sposób nieprzyjemny, dostrzegwał istnienie tego smarkacza, który nagle stał się uczniem, jednym z uczniów, z wszystkimi irytującymi konsekwencjami tego faktu. Co do Paskala, wydawało mu się, że depcze wciąż ojcu po piętach na terenie życia, który dotąd był jego wyłączną własnością i na który ani dzieci, ani ich matka nie miały wstępu. Czuł się straszliwie niedyskretny przez sam takt, że się tam znalazł. Milcząco zgodzili się traktować nawzajem z pewną uprzejmością. Ale przepaść między nimi pogłębiała się stale.

Czy Piotr zresztą miał czas myśleć o synu! Jarzmo cięższe było do podjęcia na nowo, niż się spodziewał. Dom nienawistny, praca nauczycielska nie do zniesienia. Od powrotu zabrał się do czytania notatek, do swego dzieła o Johnie Law. Tyle razy zaczynał je i tyle razy porzucał! Ciekawe, że jeżeli chodziło o tę książkę, nie mógł się na nic zdecydować. Zresztą nie była to książka, lecz stos kartek. Niektóre partie opracowane na początku solidnie, potem ulotne rozważania, nie mające nic wspólnego z dziełem historycznym, a wszystko pomieszane z jego własnym życiem, z refleksjami dotyczącymi jego własnych problemów, a nie problemów Regencji czy Banku Indyjskiego. Piotr trzeźwo oceniał to dzieło, zupełnie chaotyczne, które należało zacząć od początku, przepracować; jedno skrócić, drugie rozwinąć. Nigdy nie zdoła zrobić z tego dzieła naprawdę naukowego, a jak na szkic literacki partie historyczne były za suche, za surowe. W dodatku było ogromne, niby opuszczone miasto, jakieś Pompei, gdzie znajdują się nieznane narzędzia, *graffitti* i domy, które wyglądają już tylko jak plany architektów. Należałoby rzucić to wszystko w ogień i myśleć o czym innym. Od czasu do czasu, gdy szło ciężko, Piotr dodawał jakąś stronicę, wpisywał na marginesie cytate z Saint-Simona, która naświetlała jakiś zasadniczy punkt ówczesnego życia, albo byle jak zanotowane rozważania, stylem telegraficznym, jak na przykład: „Zbadać, czy Law myślał wiele o kobietach i wierzył w sprzedajność miłości... Zasadnicze zmiany w prostytucji od chwili narodzin biletów bankowych, które były mniej obelżywe, bardziej kobiece niż ludwiki...” Oczywiście, że tego rodzaju rozważania nie powinny się były znaleźć w dziele pana Mercadier, nauczyciela historii, w dziele, z którego wyjątki przed paru laty zamieściły poważne czasopisma, choć nie było ono doprowadzone do



końca.

Należało porzucić ten twór niejednorodny, mieszany, ale był on jakby obrazem życia autora, który gubił się w nim.

Jego życie... Jeszcze bardziej wymagało gruntownej przeróbki niż ta poroniona książka. W chwili gdy jego syn zaczynał źle sypiać z powodu tej wiosny, którą miał w żyłach, Piotr Mercadier po raz pierwszy uczuł, że młodość wymyka mu się, a ciało jego, już naznaczone mnóstwem nowych a drobnych sygnałów, uprzedza go, Że wkrótce będzie za późno. Za późno na co? Chwytał go nagły gniew. Zgrzytał zębami i ludzie to widzieli. Spozstrzegał zdziwione spojrzenia uczniów.

— A zatem, panie Quicherat, to już wszystko, co pan wie o nocy czwartego sierpnia? Zamiast przyglądać mi się z tą inteligentną miną należałoby raczej wyjaśnić mi tę nagłą wspaniałomyślność kleru i szlachty, której doniosłości dziejowej zdaje się pan zupełnie nie doceniać, panie Quicherat...

## LVII

Dołączyła się do tego bezsenność. Jak zawsze, zdawało się, że poprzedza ona to, co było prawdziwym jej źródłem, że to źródło tryska z niej, w tej okrutnej pustce duchowej, w ciemnościach, gdzie powoli obsesja się zaostrza,

Piotr zasypiał całkiem zwyczajnie, jak człowiek nie mający zmartwień ani idei prześladowczych.

Potem, około trzeciej nad ranem, musiał przyznać, że nie była to tylko jakaś niejasna przerwa w śnie, trochę się przedłużająca. Bronił się jednak przeciw pewności, że już nie uśnie. Przeciw wiedzy o tej obecności odepchniętej, ale nieubłaganej, przeciw lękowi rodzącemu się w ciemnościach. Nie, nie będę myślał o pieniądzach. Nie, nie będę myślał o pieniądzach. A potem to umacniało się w nim z władczą pogardą wobec ofiary, jaką odznaczają się sny na jawie. Czuł suchość w gardle, ból w brzuchu. Chciał się zatracić w wywoływanych obrazach, w gorączkowym przypominaniu sobie swoich zmartwień. Cóż za czarna seria na giełdzie; trzeba koniecznie myśleć o czymś innym! Nocna diorama małego miasteczka, liceum, marionetek prowincjonalnego życia wносиła wątle tematy i blade sylwetki w trwogę, w którą się ostatecznie pogrążał. Nie myśleć o pieniądzach!

Przede wszystkim — co właściwie miała na myśli Paulina mówiąc znów o tej Pailleron? Wynikało z tego, że wyjeżdżając z Sainteville Blanka zabrała z sobą do Lyonu wybawcę swej córki, tego ogromnego, gamoniowatego kmiotka ze złamanym nosem. Może zresztą, gdy się wreszcie domyje, okazać się dobrym służącym. Słowo „domyje” doprowadziło go do myśli o liceum, ponieważ wicedyrektor nosił fatalne i komiczne nazwisko: Decrassement. \* (\*/ *Derasser* — oczyścić z błota.)

Był to osobnik chudy i wysoki, w cylindrze i długim palcie, w którym

wydawał się jeszcze chudszy. Jego trupia cera żółkła coraz bardziej, zwiastując pożerającego go raka. Było mu stale zimno, więc kulił się, wsuwał ręce w kieszenie palta i owijał żalostną szyję kraciastym szalikiem. Był to już nieboszczyk i jego obecność wśród młodzieży rojącej się na dziedzińcach liceum w październikowej mgle miała w sobie coś z absurdalności starożytnej tragedii. Ostatnie kursy akcji tureckich były zupełnie katastrofalne. Bóg wie, co się tam dzieje... Ja wolę nie wiedzieć.

Człowiek, gdy mu się nie wie, staje się ogromnie wrażliwy nawet na rzeczy, których zazwyczaj nie dostrzega. Na przykład na ulicy, dziwaczna różnorodność typów ludzkich... Jest to powód do śmiechu, ale i do cierpienia. Chciałoby się stłumić malowniczość, trudną do zniesienia malowniczość życia. Koledzy. Jako przeciwieństwo pana Decrasement — dyrektor, pękaty, z tym swoim twardo wymawianym „r”, z małym rozfryzowanym i pożółkłym wąsem, tłustymi rękoma, pełen laickiego namaszczenia... Joffret, nauczyciel greki, drut żelazny przybrany w sakpalto, pozbawiony brwi, cierpiący na stałą wysypkę, ze skrzeczącym głosem... Albo ten od nauk przyrodniczych, uczący w najwyższej klasie, Robinel, jeden z tych ludzi, o których myślimy, że główny dramat ich życia rozgrywa się między brudnym plastronem, który ucieka na boki, a opornym kołnierzykiem, od którego odpada guzik i który odstaje od koszuli mimo czarnego postronka zwanego przezeń krawatem... Ma on krótkie nogi, mocny jest jak koń, czerwony na twarzy i skory do gniewu... I Bazens, i Regnault, i Mathieu... Wysocy, niscy, grubi, chudzi, z fantazyjnymi, nieporządnie zawiązanymi krawatami, z gotowymi motylkami, w znoszonych surdutach, poplamionych spodniach, z tradycyjnym przedziałkiem, nędzna i obłędna garderoba na bezpłciowych wieszakach... Dziwne, jak ten przyrodziewek ludzi, między którymi się żyje, może działać na nerwy... Nie mówiąc już o tym biednym Meyerze. Hałasują mu teraz na lekcjach. Nie wie, o co im chodzi. On, skulony, przerażony, przemyka się pod ścianą. Twierdzi, że na ulicy ktoś rzucił w niego dziurawym butem.

Na próżno myśli o Meyerze, stara się przypomnieć sobie jego przestraszoną minę, trochę śmieszna, albo jak zasiada przy fortepianie, odsuwa taboret, nim zacznie grać, porusza palcami... mimo to rzecz odpychana wciąż wraca. Nie można przez całe życie czerpać z kapitału. Prawda, że z początku dzięki temu straty na giełdzie nie odbijały się na poziomie ich życia, bo ubytek w dochodach pokrywało się z kapitału... Ale z każdym rokiem, z każdym miesiącem położenie staje się gorsze... Im głębsze tworzą się wyrwy, tym więcej trzeba czerpać... On sam je pogłębia właśnie chcąc je wyrównać... Brzmi to dziwacznie, gdy się to mówi... Trzeba by raz grubo wygrać, w przeciwnym razie... Ach, myśleć o czymś innym! Już mam: o tym, co miała na myśli Paulina wspominając o Blance... Właściwie miało to znaczyć, że Blanka na pewno sypia z tym młodym służącym... Czy to prawda? A czemużby nie? Nie może przypomnieć sobie, jak on wyglądał, ten... Bonawentura... nie, nie tak...

Bonifacy. A więc dlaczego Blanka nie miałaby z nim sypiać, jeśli miała ochotę? A cóż to mnie obchodzi?... Ile straciłem w tym miesiącu? Zaraz, dziesięć tysięcy... a potem ta afera belgijska...

Przewracając się w łóżku z boku na bok, doznaje się wrażeń niewspółmiernych z własnym ciałem. Jakby się było zrobionym ze źle spojonych, nie przystających, nieodpowiednich części. Nagle uwaga koncentruje się na zębach. Nabierają ogromnego znaczenia, niemal boją, a najosobliwsze jest to właśnie, że stają się obce jak drewniana szczeka, cała z jednego kawałka, język zaś porusza się za nimi niespokojnie.

Ta afera belgijska... Nie powinienem był w żaden sposób — trzeba przyznać, że miała w sobie coś kuszącego... Po pierwsze, nie zniosę, aby Paulina miała mi dyktować, z kim się mam widywać, a z kim nie; Meyer gra dla mnie i to sprawia mi przyjemność. Przecież widzę jego śmieszności. A na przykład rodzice, którzy przychodzą po swoje pociechy pod bramę liceum... matka małego Berlin. Trudno o silniejszą blednicę niż u tej blondynki, która stara się, jak może; biedna wymizerowana istota; ze skóry wyłazi dla tego tępawego, przeciętnego chłopca, z którego nigdy nie będzie nawet naczelnik biura, ale któremu kiedyś raz zdarzyło się zająć drugie miejsce w wypracowaniu łacińskim, więc... Albo tych dwoje emerytów, którzy stale czatują na chwilę, gdy chłopcy wychodzą ze szkoły, w obawie, że ich mała pchełka pójdzie z innymi palić papierosy... Albo służący fabrykanta andrutów, który przychodzi po panicza i umizga się do żony tercjana... Jakież to męczące, ten mały cukierkowy światek, i nudne jak lukrecja! Idzie się tam z pakietem zeszytów pod pachą, a wróciwszy do domu trzeba się mordować nad poprawianiem idiotyzmów wyprodukowanych przez szanowne dziatki różnych ciemnych typów... Uczniowie... Nuda poprawiania zadań. Pasja bierze na wciąż te same błędy. Jak mogłem wybrać podobny zawód?

Jeżeli ludzie opowiadają jakieś bzdury, to nie moja rzecz. I Paulina nie powinna ich słuchać. Albo właśnie niech słucha! Jej stosunki towarzyskie śmiertelnie mnie nudzą. Będę widywał się z Meyerem, choćby ludzie gadali.

Zwłaszcza że Meyer... Na pewno będę miał przykrości z powodu Meyera. On dobrze gra Brahmsa. Która może być godzina? Przeróżający spokój nocny na prowincji! W Paryżu słyszałem na ulicy szczęk wozów z kapustą i marchwią, które w drodze do hal przejeżdżały pod moim oknem... Tam można sobie było zdać sprawę z mijającego czasu. Wtedy dobrze sypiałem. Co prawda, były wtedy te rozmowy z kolegami i kobiety... Nie wiedziałem, co to kłopoty pieniężne, byłem młody. Jak mogłem wybrać podobny zawód? Mama. Biedna mama. No, ale teraz już nie zasługuje na współczucie. To ja zasługuję na współczucie. Ona przecież kładła mi w głowę, że trzeba myśleć o przyszłości. I oto jest ta przyszłość. Ładna — ani słowa!

Jednakże Blanka nie miała prawa iść do łóżka z tym Bonifacym. Teraz przypominam sobie. Spłaszczony nos. Wszystko zbrukała, wszystko

zburzyła. A powinna była po prostu zniknąć; mogła wyrabiać, co chciała, ale tak, aby nikt o tym nie wiedział. Sprawy, o których się tylko od kogoś słyszy, zawsze wyglądają gorzej. Posłużywszy się kobietą, powinno się ją zabijać. Bo cóż się potem z nimi dzieje... Kpię sobie z tego, ale... Okropne jest w kobietach to, że porównują, nieustannie porównują...

Czy uda mi się jeszcze zasnąć? Przez chwilę zdawało mi się, że tak, ale nic z tego. Wszystko to kotłuje się w głowie; człowiekowi wydaje się, że łóżko się zapada, a razem z nim świat, niezdobyte mury, obłoki... Nie myśleć o pieniądzach — to wybija ze snu... Obłoki, chmury pieniędzy... Naruszony kapitał... renty, które się ulotniły... Castro, będę musiał pojechać do Paryża, zobaczyć się z nim, zasięgnąć jego rady... W ostatnich czasach chciałem wszystko robić po swojemu... Jak to mama, biedna mama, mówiła: „Wszystko chcesz robić po swojemu"... Do licha z mamą! Oczywiście, że wedle swego rozumu!... A jednak posłuchałem jej i dziś jestem nauczycielem. Nauczycielem historii i geografii. Kanały przecinające ziemię francuską... — A gdybym powiedział im coś niecoś o Kanale Panamskim? Właściwie wszystko to jest wina mamy. Ona tego chciała. Profesor! Czy ja musiałem zostać profesorem? Byliśmy zamożni, ale obrzydliwie skąpi. Zapewnić sobie emeryturę, bezpieczeństwo. Szacunek bliźnich. Nie można żyć z samej renty. Profesor. Jeżeli straciłbyś majątek, dobrze będzie mieć zapewniony ten kawałek chleba, wierz mi, Piotrze... Jakbym ją słyszał! Biedna głupia kobiecina! Profesor. Liceum. Koledzy. Uczniowie. Zadania. I oto teraz bliski jestem liczenia już tylko na ten kawałek chleba. A wtedy...

Jakaś nowa myśl wyłania się, rośnie, ucieka, zaciera... Ocknięty ze snu, ogarnia ją ze wszystkimi jej rozgałęzieniami, wypuszcza z rąk, obją się o nią, znów chwyta. Widzi otwierającą się jasność przepaści. Odwraca się w inną stronę ciemności i jasność zamiera.

Czy w czasie kiedy ulica Quincampoix pełna była krzyków i paniki, Johnowi Law nie zaświtała myśl, aby wszystko porzucić, uciec z kieszeniami wypchanymi tą nieważką, przez siebie wynalezioną monetą?

Myśl o opuszczeniu skomplikowanych przedsięwzięć, w których zaplątał swój los... uciec... na innym końcu świata szukać szczęśliwego zwierzęcego bytowania... Piotr Mercadier nie może długo po ciemku brnąć w tym kierunku, bo wraz ze wspomnieniem o poronionej książce odnajduje inną klęskę, inne rozczarowanie. Nie lubi cierpieć. Kładzie odwrócone dłonie na oczach, aby wywołać w nich światła i tęcze. Patrzy w mroczne obłoki i zmieniające się barwy wspomnienia, których czerń topnieje już od jasności dnia.

Przechodząc wczoraj przez salę rekreacyjną Piotr widział szepczących uczniów. Zebrali się przed drzwiami klasy, gdzie był Meyer, i tupali, gwizdali, wrzeszczeli:

„Szwab, Żyd! Śmierć Żydom!" Wśród nich był Paskal i robił to z wielką przyjemnością. Dziwne. Ale przecież nie należy mieszać zawodu nauczycielskiego i ojcostwa. Czy Castro jest Żydem? Nie sędzę. Może to

Argentyńczyk. Pojadę się z nim zobaczyć. Nie wiem nawet, ile mi zostało. Mina Pauliny, kiedy się dowie.

Pierwsza bladeść dnia powali nasilała się za oknami.

Co za noc, Boże! Jest jej jeszcze na całą godzinę. A gdybym wstał? Nie. Po co? Mógłbym zaciąć ołówki. Czy mnie naprawdę potrzebne są zacięte ołówki? To się zawsze może przydać. Co zrobiłem z atramentowym ołówkiem? *Znowu* go pewnie zostawiłem w liceum... Do poprawiania zadań nie ma jak atramentowy ołówek.

Teraz bardzo dobrze przypominam sobie tego Bonifacego. Złamany nos, piegi. Coś jakby młody olbrzym. Nie powinna się z nim nudzić. Choć te gbury nic nie potrafią! Ach, co za świństwo! I pomyśleć, że ja tak zabrnąłem! No, może nie tak bardzo! Człowiek zmyśla sobie różne rzeczy, chce się zakochać i jest zakochany. Co za błazeństwo!

Decrassement wyglądał wczoraj jak nieboszczyk. Coś okropnego, już widzę, jak żre go robactwo! Nie będą z nim miały wielkiego używania. W gruncie rzeczy zmarli nie zasługują na współczucie. Gdy pomyślę, ile razy widziałem mamę płaczącą... Życie przeciętne, ciche... ze swoją porcją goryczy... troskami pieniężnymi... a może Robinel z tego właśnie powodu ma zawsze plastron na bakier i oberwany guzik od kołnierzyka? Nic nie wiadomo. Muszę pojechać do pana Castro. Nic mnie nie obchodzi, że Paskal razem z innymi wykrzykuje przeciw Meyerowi. *Znowu* byłaby przeprawa z Pauliną. Nie, niech oni wszyscy sami sobie radzą. Teraz to już długo nie potrwa. Jak ta noc się wlecze! Nie jest to jeszcze naprawdę dzień! Nie mogę już naprawdę zasnąć. Rodzice, ach, jacyż ci rodzice są żałośni! Żałośni i straszni. Co też roi się mamie Berlin na temat przyszłości tego jej cherlaka? Mówiła mi... Coś bardzo zabawnego... zapomniałem... żeby został oficerem spahisów czy coś w tym rodzaju... takie chuchro, taki gamoń! Jej się zdaje, że jest najpiękniejszy ze wszystkich, najpilniejszy... Nie wolno się roztkliwiać! Przypuśćmy, że ja zaczynam roić o przyszłości Joanny i Paskala... Różne rzeczy mogłyby mnie uspić, ale nie myśl o pieniądzach. Pieniądze nie dają szczęścia. Uczeń Berlin przepisze mi to pięćdziesiąt razy... Szczęście... To dziwne, widzę w polu szare, bezlistne drzewa, ołówki... ciemnoróżowej, drżącej barwy... wielkie srebrne ołówki...

LVIII

Mercadier miał rano lekcję, więc wyjechał dopiero pociągiem popołudniowym i już wśród świateł wysiadł na Gare de l'Est. Było mu teraz w Paryżu na inny sposób dobrze i ten koniec października stanowił przedłużenie letnich dni. Na dachu omnibusu jechał wśród tysiącznych trzepotań bulwaru Sztrasburskiego. Dziwna rzecz, przybyszowi z prowincji wszystko w tym miejscu wydaje się odświeżające, nawet najobszerniejsze sklepiki fryzjerskie lub apteki. W tupotaniu koni, wraz ze zgrzytaniem kół na kamieniach, panorama domów tatuowanych handlem rozwijała się przed oczyma Piotra jak na kiermaszu. Oświetlone kawiarnie wypluwały już ludzi. Z imperiałki wszystko wyglądało jak zawikłany wzór, wszystko

tworzyło impresjonistyczną dekorację, było istnym Monetem. Na placu Giełdy podróżny uczuł chęć, aby się trochę powłóczyć, nie iść prosto, jak to właśnie czynił, do swego agenta giełdowego. Po chwili jednak coś w rodzaju poczucia obowiązku kazało mu mechanicznie iść dalej tą drogą, aż znalazł się na schodach domu pana Castro, gdzie gaz podrygiwał wraz z niszami zdobnymi w figury z ciemnego brązu. Był to jeden z tych domów w stylu Dyrektoriatu, gdzie schody biegną kręto. Na trzecim piętrze wszedł do biura, ale urzędnik w granatowym ubraniu nie poznał go widocznie. Jakiś nowy. W złym nastroju czekał, gdy drzwi biura giełdjarza otworzyły się i ukazał się Castro, w kapeluszu na głowie, z teczką pod pachą. Pan de Castro był wzrostu Piotra Mercadier. Ubrany nienagannie, jakby jego ubranie świeżo wyszło z pralni chemicznej, w zbyt połyskującym obuwiu o niepokojącym fasonie. Nosił wąsy i był jednym z tych ciemnych brunetów, jakich widuje się tylko w operetkach.

— Drogi panie — zawołał na widok Piotra — jest mi niezmiernie przykro!... właśnie wychodzę... Jest bardzo późno, a mam już doprawdy po uszy tego wszystkiego... tych cyfr... — Gest jego obejmował lokal, zielone tecki, czarne rejestry. — A pan właśnie przyjechał do Paryża?

Specjalnie, aby się ze mną zobaczyć? Nie mogę pana tak zostawić. Niech mi drogi pan powie to, co chce mi pan powiedzieć... A właściwie... dlaczego by nie miał mi pan powiedzieć tego w kawiarni? Napije się pan czegoś... Tak, tak, zrobi mi pan przyjemność... Pragnę tylko wydostać się z tej budy, a znamy się już dość długo, aby pójść razem do kawiarni... nie jesteśmy ludźmi konwenansu.

Śmiał się najbielszymi brazylijskimi zębami, jakie można sobie wyobrazić. Mercadier zgodził się. Zeszli na dół. Gdzie pójść? Od razu wykluczyli kawiarnie przy giełdzie — na samą myśl o nich boli głowa. Na bulwary nie jest tak daleko. Przez tłum ulicy Vivienne, tak dziwny o tej niewyraźnej godzinie, poszli na terasę u Pousseta i tam usiedli. Jakiż tam był ruch, ile gapiów, ile ludzi biegnących w pośpiechu! Siedząc przed mętnymi aperitifami, pozwolili przez chwilę płynąć rzece i prawie nic nie mówili. Byli obaj zdezorientowani co do swoich wzajemnych stosunków, przez sam fakt, że mieli przed sobą na marmurowym stoliku kieliszki. Obwoływano wieczorne dzienniki. Kobiety czekały, aby ktoś na nie skinął. Miały na sobie krótkie płaszczyki ze stojącymi kołnierzami i spódnice, których szeleszczący brzeg zamiatał chodniki. Przy sąsiednich stolikach siedzieli jacyś bladzi mężczyźni i roześmiane dziewczyny. Coś przytłaczało ten obraz niewytłumaczonym ciężarem. Biało-czarni kelnerzy, bez twarzy, zdawali się tu utrzymywać wszystko w karchach. Było niemal gorąco.

— Ach, panie Mercadier — westchnął Castro — niekiedy czuję w głowie taki zamęt, że gotów jestem wszystko rzucić i robić cokolwiek zamiast trzymać się swego zawodu. Powiadam sobie: „Jutro koniec, ale naprawdę koniec!” Ale potem „noc przynosi radę”. Nazajutrz punktualnie o dziewiątej znowu jestem w biurze... Odruchowo sprawdzam, czy dobrze

posprzątane... W końcu znów haruję cały dzień. Co za fach!

— Wszystkie zawody są takie — rzekł Piotr — inaczej nie byłyby zawodami... Chciałbym pana widzieć w klasie, z dwudziestoma smarkaczami, hałaśliwymi, głupimi, bąkającymi te swoje lekcje... Co by pan wtedy powiedział...

— Ale ma pan chociaż trochę swobody... Ja jestem tutaj więźniem nieubłaganej maszyny, kursów, ostatnich kursów... które, niestety, nigdy nie są ostatnimi.

Piotr miał dziwne uczucie, że robi coś zakazanego siedząc tak z panem Castro... Od dzieciństwa miał to upodobanie w przekraczaniu zakazów. Ale nie po to przyjechał do Paryża, lecz w sprawie, która wiązała się z zawodem tego czarnowłosego, wymuskanego człowieka. Zaczął więc mówić o interesach.

— Tak — rzekł Castro — znowu pan stracił. Nie słucha pan moich rad. Co pana skłoniło, aby grać na zniżkę papierów francuskich? Proszę mi wierzyć, nie prawię panu morałów, ale w tym właśnie rzecz...

— Dość przecież straciłem na nich grając na zwyżkę!

— To prawda, to prawda... czy chce pan usłyszeć moje zdanie, panie Mercadier?

— Proszę pana!

— Niech pan posłucha, nie powinienem tego mówić, to wbrew moim interesom... Trzeba dać spokój grze na giełdzie. Szczerze mówię, niech pan nie gra na giełdzie. Straci pan wszystko. W moich oczach naruszył pan swój majątek, podważył bezpieczeństwo. Uczciwie mówię, jest pan na fatalnej drodze... Pozostało panu jeszcze tyle, że przy pańskich zarobkach może pan cieszyć się pewnym dobrobytem. Ma pan żonę, dzieci... Niech pan przestanie grać na giełdzie!

Mercadier roześmiał się przeciągłym, sztucznym, dźwięcznym śmiechem. Odpowiedział z gorzką swobodą:

— Drogi panie Castro, niech pan sobie nie żałuje moralizowania... Francja, moja żona, moje dzieci, moje dochody... Wszystko to jest bardzo słuszne i zapewniam pana, że doceniam, jak doskonałe rady nieraz mi pan dawał... Tak, tak, bo ja czasem też wygrywam na giełdzie... Ale nie mógł się pan odwołać do pakietu akcji moralnych bardziej zdewaluowanych w moich oczach niż te właśnie... Zawód, jaki wykonuję, istotnie obrałem kiedyś jako ostoję mego majątku... Sądzi pan, że tolerowałbym go, gdyby to był dla mnie jedyny sposób zarobienia na życie? A co do rodziny: czy mężczyzna dwudziestopięcio- lub trzydziestoletni, który szczerze pragnie założyć dom, może odpowiadać za człowieka, jakim będzie za lat piętnaście, gdy już oceni bzdurne zasady moralne, jakimi karmiono go w dzieciństwie? To nie dość mieć zasady; trzeba jeszcze ponosić ich skutki... Gdy pan powołuje się na Francję, widzę, jak bardzo zaraźliwe są te wszystkie komunały. Nie, mój drogi, nie jestem już dzieckiem.

— A dlaczego nie miałbym powoływać się na Francję?

— Bo jest pan Amerykaninem, Brazylijczykiem, czy ja wiem kim. A więc,

niech pan pozwoli, że to powiem; w tym, że pan broni Francji przed Francuzami, jest coś zabawnego. Mam nadzieję, że nie uraziłem pana?

— Ani trochę. Wydaje mi się to równie dziwne jak panu. Ale nie moja wina, że tacy są Francuzi, gdyż, na nieszczęście, nie jest to tylko pańska osobista cecha. Zawsze oczerniają swój kraj, wątpią w niego, często działają wbrew jego interesom. Nas, cudzoziemców, dziwi to, a nawet, proszę mi wierzyć, martwi...

— Doprawdy? A cóż to może pana obchodzić?

— Och, nic, prawda?! Tak pan myśli... To nas nie dotyczy, nie godzi w nas; tak przynajmniej myślą Francuzi, dla których Francja niewiele znaczy. Ale dla nas... dla nas, którzy w naszym dalekim kraju marzymy czasem o Francji, może, aby ją sobie sfabrykować na swój sposób, z pewnością bardzo niewiernie, dla nas Francja coś znaczy... coś bardzo wzniosłego, czystego... jak piękny zapach...

Castro podniósł do nosa rękę ze ściśniętymi palcami jakby wąchał kwiat. Mówił dalej:

— Dziwi to pana? Na całym świecie są ludzie tacy jak ja. Marzenia ich młodości zwracają się ku waszemu krajowi, panie Mercadier... to, co w nich szlachetne... może niejasne, ale szlachetne... Wolność, sprawiedliwość to słowa wytarte, ale często najczcigodniejsze sztandary wyglądają jak łąchmany, prawda? Niech pan sobie zapamięta: to zdarza się, wedle waszego zabawnego przysłowia, jak włos w zupie... Ach, mówię to tylko, aby przekonać pana, że cudzoziemcy mają takie samo dobre prawo używać słowa Francja, jak i niektórzy Francuzi...

— A, jeżeli o to chodzi, proszę bardzo — odparł Piotr. — Przez czterdzieści lat zbyt często widywałem, jak nadużywano tego słowa, abym nie miał specjalnej ochoty zrobić z niego monopolu. Naprzód było to Cesarstwo i biliśmy się w Meksyku i we Włoszech, bo tego wymagało szczęście Francuzów. Pytam pana, co z tego wynikło prócz klęski 1870 roku? Potem trzeba było wszystko odsunąć na bok, byle zachować nam Alzację i Lotaryngię. Ostatecznie utraciliśmy je i czy stało się takie wielkie nieszczęście? Pan sądzi, że Francuzowi lżej by się oddychało, gdyby różowy kolor na mapie rozciągał się na tereny anektowane? Wie pan, boli mnie, gdy słyszę, jak ludzie pyszną się naszymi zdobycznymi koloniami. Zabici, zmarli na malarię — oto ich kolonie. Nie mogę przecież dla Francji przewrócić sobie wszystkiego w głowie na opak... To mój kraj, ale na tym koniec. Nie wybierałem go sobie, tak samo jak koloru oczu. Czy można tworzyć religię z oczu czarnych lub niebieskich?

— I to mogłoby się zdarzyć. Ale czy pan nie czuje, że Francja to nie taka ojczyzna jak inne? Dziwne, że ja to wyczuwam, a pan nie...

— Istotnie jest to dziwne. Widocznie jest pan bardziej uczuciowy.

— Nie sądzę. I niech mi pan wierzy, że wściekam się, gdy widzę, że Francuzi robią coś, co szkodzi Francji w oczach świata! Na przykład Sprawa...

Zdanie to tłumaczyło się wrzaskami kolporterów, którzy wykrzykiwali na



bulwarze: „Prawda o Sprawie! Dowód zdrady!” Mercadier wzruszył ramionami.

— Nie ma się czym przejmować! Zawsze zdarzają się „sprawy”. Co to szkodzi Francji?

— Co? Ależ te niejasności... ta ospałość wobec bezprawia... rząd godzący się na to... Izby, które wcale nie zabierają głosu... sztab generalny jako współnik... Jest w tym coś ubliżającego, hańbiącego... Pan tego nie odczuwa? Świat straci zaufanie do ojczyzny Woltera, do ojczyzny... Pan tego nie czuje? Trzeba, aby ludzie wiedzieli, aby rozproszyły się ciemności...

— Co za romantyzm! Ale co oni wykrzykują? Dowód zdrady?... Oto ma pan swoją Sprawę! Jedna z tych gazet rozjaśni te pańskie ciemności... Hej, chłopcze!

Pełen ironii zawołał dyszącego ze zmęczenia krzykacza, który stanął, przeniknął pomiędzy stolikami i ponad zmętniałymi kieliszkami podał mu antydreyfusistowski dziennik. Dziennik zawierał podobiznę zdrajcy, artykuły opatrzone ogromnymi tytułami i, na samym środku, facsimile. Był to słynny „wykaz”, czarne, grubo nakładane farbą pismo, którego reprodukcję Mercadier widział już przed rokiem w „Le Matin”. Parę słów o załączonych dokumentach, notatki o hamulcu hydraulicznym, o Madagaskarze, o podręczniku dla myśliwych itd... Pismo to Bertillon zidentyfikował w roku 1894 jako pochodzące od Dreyfusa i na tej podstawie zesłano go na Wyspę Diabelską. A więc nic nowego. Niektórzy ludzie twierdzili, że Dreyfus tego nie pisał. I bądź tu mądry! Piotr podał gazetę panu Castro.

— Oto, drogi panie, to, czego panu trzeba... Kosztowało mnie to dwa su i nie wiem, kogo wzbogaciłem, kto każe gnać temu drapichrustowi, aby zabierał naiwnym ich miedziaki... Nie pasjonuję się tą aferą, mimo że z tego właśnie powodu wczoraj wybito szyby memu koledze Meyerowi, który doskonale gra na fortepianie...

Castro nie zdawał się być tego samego zdania. Dopiero teraz rzucił okiem na dziennik i nagle począł mu się przypatrywać z jakąś dziwną łapczywością. Mruczał coś po portugalsku i przygryzał wąsa. Cofnął się z krzesłem, aby lepiej zwrócić gazetę do światła, odsunął ją, znów przybliżył, klasnął językiem.

— O, nie wiedziałem — rzekł Mercadier — że pan aż tak się tym interesuje!

Castro podniósł głowę i spojrzał na swego rozmówcę. Był bardzo wzburzony, usta miał otwarte, wyglądał, jakby go obudzono.

— To niezwykle — mruczał raczej do siebie. Przypomniawszy sobie nagle, że nie jest sam, i wyjaśnił: — Zdarzyło mi się coś niezwyklego... .

— Ale co takiego? — spytał Mercadier.

— To pismo... Widzi pan? Panu nie mówi ono nic, pan go nie zna... tego pisma... Mój drogi panie Mercadier, jest to pismo tak dobrze mi znane, że nie mogę, nie, nie mogę się mylić... Znam je od dawna. Zmam tego

człowieka... Czy to możliwe? Więc to byłby on... To znaczy... To... oczywiście znaczy, że tamten...

— Jeżeli nie jest to tajemnica, niech mi pan wyjaśni, o co chodzi.

— Muszę jeszcze porównać. Nic łatwiejszego, mam pięćdziesiąt, sto listów od niego... Niech pan wybaczy, muszę się panu wydawać szalony, ale niech pan postawi się w mojej sytuacji. Podaje mi pan gazetę z reprodukcją wykazu pisanego przez zdrajcę Dreyfusa. I ja nagle poznaję to pismo. Poznaję to pismo! To ręka jednego z moich klientów, z którym od lat prowadzę interesy... jest mi winien... To rzecz niepojęta. Ale im dłużej patrzę, tym większą mam pewność. Niech drogi pan zrozumie, że znam to pismo tak dobrze, że gdy rankiem otrzymałem obfitą pocztę, zanim się do niej zabrałem, odkładałem na bok listy pisane tym pismem, bo wiedziałem, że to listy od majora...

— Od majora? Jakiego majora?

— Majora Walsin-Esterhazy.

— I co z tego?

— Jak to?! Przecież to znaczy, że Dreyfus jest niewinny! Nie rozumie pan? To Esterhazy uknuł to wszystko... trzeba uprzedzić sąd... Esterhazy!

Piotr ze zdziwieniem spojrział na agenta giełdowego. Cóż za nagłe ożywienie... nigdy by go o to nie posądzał. Ludzie są całkiem inni, niż sobie wyobrażamy. Co go to mogło obchodzić, czy winowajca nazywał się Dreyfus czy Esterhazy? Nazwisko majora jednak coś Piotrowi przypominało. Ale z całkiem innej dziedziny.

— Ależ to rzecz wielkiej wagi! — wołał Castro.—Trzeba rozciąć wrzód! Uratować kraj...

— Ach, wciąż ta Francja! Zdumiewa mnie, drogi przyjacielu, zdumiewa mnie pański patriotyzm. Ale muszę panu wyznać, że na pańskim miejscu siedziałbym cicho. Wobec tego szalu, jaki rozpętał się wokół Sprawy, ściągnie pan na siebie kłopoty wdając się w ten bigos z racji jakiejś tam pisaniny. Eksperci wydali orzeczenie. Nie odwołają swoich zeznań. A przy tym sam pan mówi, że jest w to wmieszany sztab generalny, rząd...

— Ale to niesłychane! Pokażę listy! Niech porównają!

— Tak. I albo się pan myli, a wtedy lepiej siedzieć cicho, albo ma pan rację, a wtedy sprawa staje się niejasna i kłopoty nie każą na siebie czekać... Nie ważyłbym się na pańskim miejscu. W dodatku w tym zamieszaniu nie mówiliśmy wcale o moich interesach...

— Proszę mi wybaczyć — rzekł Castro rzucając pieniądze na stół z miną klienta, który szuka kelnera, aby zapłacić — proszę mi wybaczyć, ale tak jestem wstrząśnięty, że spieszno mi porównać... Czy zechce pan zajść jutro do mego biura?

Uścisnął Mercadierowi rękę i wyszedł w meloniku od czoła, z gazetą w ręce, wpatrzony w pismo. Piotr zawołał za nim, bo zostawił teczkę. Dziwny facet!

Bulwarem przechodziły ładne dziewczęta. Piotr śmiał się szyderczo. Dziwaczny ten świat! Czuł się wyższy ponad to, kpił sobie potężnie ze

sprawiedliwości, wykazów i Wyspy Diabelskiej. I pomyśleć, że z takiego powodu wybijają Meyerowi szyby! A ten Castro prawiący mi morały! Gdyby tak słuchać ludzkich rad!

Bardzo pikantna brunetka usiadła przy sąsiednim stole; zamówiła piwo w sposób wielce zachęcający dla Mercadiera...

## LIX

Paulina była niepokieszona, że nie ma już swego alensońskiego pokoju. Przewiozła oczywiście tutaj meble, ale czar prysnął: zapewne kształt pokoju, tapety, bo nie udało się znaleźć takich samych, a zwłaszcza brak alkowy na łóżko sprawił, że zatracił się charakter buduaru... Trzeba było wszystko poświęcić, wszystko przerobić, aby zatrzeć wszelkie wspomnienie o Alencon, aby pokój nie budził w sercu pani Mercadier nieuchronnego wrażenia rzeczy opustoszonej. Ale wymagało to pieniędzy, pomysłowości, energii. Wyobraźni. Paulina nigdy nią nie grzeszyła: jej alensoński pokój był jedynie kopią paryskiego pokoju Denizy. Jeżeli chodzi o pieniądze, Piotr stawał się zupełnie niemożliwy. Po raz pierwszy rozkrzyczał się na temat sukien, które dała sobie uszyć w Paryżu, między dwoma pociągami, wracając z Sainteville. A co do energii...

Jakaś ospałość zawładnęła Pauliną. Jak opadły żagiel. Nie miała żadnych szczególnych pragnień ani trosk. Ale brakło jej wszelkiej ochoty. Wiązała to ze śmiercią matki, ze swoją żalobą. Temu również przypisywała niejasny lek kołyszący się na dnie tej omdłości, lęk przed nieznanym, śmiercią, kresem wszystkich rzeczy, zwierzęcy strach, który budził ją w nocy i nieraz kazał żałować, że urządziła sobie osobną sypialnię. Nie kochała Piotra, ale ostatecznie był to jej mąż, ojciec jej dzieci. Uspokajałby ją swoją obecnością, gdyby nie był tak straszliwym egoistą. W gruncie rzeczy nic właściwie nie *szło* źle, nic nie usprawiedliwiała tego poczucia katastrofy, jakie w sobie nosiła. Sprawy między nią a Piotrem nigdy przecież nie układały się inaczej. Ciągnęło się tak od piętnastu lat. Nie było tu co kończyć, a Paulina nie należała do kobiet, które czują potrzebę romansowych zawikłań. Chciała tylko, aby nic się nie zmieniło. Aby jej dom nie stał się tematem ludzkich plotek... Aby nie zaczęto mówić o ich położeniu materialnym, o ich pozyciu. Było jej obojętne, co mógł zrobić Mercadier, byle ludzie nic o tym nie wiedzieli. Nie schodzić niżej swego poziomu — od czasów pensjonarskich była to jej myśl przewodnia. Wyszła za mąż, aby nie zejść niżej swego poziomu, bo gorzej jest zostać starą panną niż nosić nawet nieszczególne nazwisko. Nie zejść niżej swego poziomu. Toalety są środkiem przekonania świata, że nie schodzimy niżej swego poziomu. Dotąd to życie bez wzlotów było, ogólnie biorąc, bardzo znośne, bo nie schodziło się niżej swego poziomu...

Jednakże ze śmiercią pani d'Amberieux coś się zmieniło, doszło do jakiegoś zerwania. Uroczą chluba podprefektury po raz pierwszy uświadomiła sobie, że pewien okres życia minął bezpowrotnie. Paulina

rodziła się dla niepokoju. Czy to sprawa wieku? Długo przyglądała się sobie w lustrze. Nie. Każdy dostrzeżony siwy włos rozpętywał atak płaczu. O Boże, zaszkodzi jej to na oczy! Kładła na nie okłady ze specjalnych płynów sprowadzonych z angielskiej apteki. Piotr bardziej się postarzał niż ona. Ta myśl była jej nadzwyczaj miła.

Piotr bowiem stanowił punkt centralny nowego niepokoju. Bez jakiegoś ważnego powodu, bez wyraźnej przyczyny. Prawda, śmierć pani d'Amberieux uczyniła jej córkę bezbronną, zostawiła ją na łasce tego człowieka. Wszystko zależało teraz od niego. On stanowił jednocześnie pewność i zagrożenie. On był społeczną pozycją Pauliny. Jej ochroną. Jej słabym punktem. Nieraz śniło się jej, że Piotr pozwolił sobie na ulicy na jakiś niemoralny wybryk, wyszedł z domu bez spodni czy coś jeszcze gorszego. Wybuchał wówczas straszliwy skandal i ją, Paulinę, pociągano do odpowiedzialności. Na próżno powtarzała, że nie ma z tym nic wspólnego, że nie zna tego człowieka; śmiano się jej w nos; stara, wielce czcigodna dama machała czarną parasolką i krzyczała: „Widziałam ich oboje w ogrodzie!” Budziła się obłana potem.

Dziwny człowiek z tego Piotra. Pisał od lat tę swoją książkę, nie kończył jej, nie wydawał. Zamykał się, alby nad nią pracować. Albo drzemać. Kto tam wie? Czy to normalne, aby mąż nie mówił nigdy z żoną o swym dziele? Nic jej na tym nie zależy, ale w każdym razie! Nie kocha dzieci. Gdyby je kochał, zajmowałby się nimi w ten lub inny sposób. Zwłaszcza że jest profesorem. Człowiek, który, zdaniem wszystkich, interesuje się wychowaniem obcych dzieci. Tak, ale nie swoich. O czym on myśli całymi dniami?

To było już inne zmartwienie. Przedtem Paulina nie zastanawiała się nigdy, co się dzieje w głowie Piotra. Kpiła sobie z tego. Ale teraz, gdy umarła jej matka... Zresztą mówiła sobie, że gdyby postawiono jej to samo pytanie w odniesieniu do jej własnej osoby, sama nie wiedziałaby, co odpowiedzieć. Tak, istotnie, o czym ona myśli całymi dniami? Ta okoliczność pocieszała ją trochę. Właściwie Piotr nie był tajemniczy. Był jak wszyscy. Nie myślał o niczym. Życie jego było jak życie innych ludzi. Pustynią, która zaludnia się dzięki przypadkowi, pustynią pełną zobowiązań, które się sobie stworzyło. Był profesorem, chodził do kawiarni, miał świeca na punkcie muzyki i tego Żyda... Tak jak ona miała przyjęcia, swój stały dzień przyjęć, dom, dzieci, służbę, troskę, aby bielizna była w porządku, co będzie dziś na kolację... Wszystko tak zawsze było i tak pozostanie. I tak pozostanie.

O czym ona myśli przez cały dzień? Czy jest czas myśleć, gdy ma się cały dom na głowie? Właściwie nigdy nie jest sama, a nie myśli się przy ludziach. Służba, dostawcy, dzieci, goście. Mylnie sądzi się, że mąż zajmuje wiele miejsca w życiu kobiety... Jest przy posiłkach, to prawda. Czyta gazetę. Dochodzi się do tego, że ludzie się wcale nie krępują. Inna sprawa ze służbą. W gruncie rzeczy małżeństwo to przede wszystkim służba... Z kim naprawdę Paulina rozmawia? Z kucharką, która między ceny mięsa wplata nowinki z sąsiedztwa; z pokojówką pełną wspominków

o wsi, z której pochodzi; a nawet z ogrodnikiem, który spełnia cięższe prace domowe i myje schody. Dwa razy w tygodniu przychodzi bieliźniarka, która umie też trochę szyć, zjawia się rano i zostaje do godziny piątej. Spełnia te same funkcje w kilku domach, pomiędzy którymi stwarza więź plotek, intryg, a także solidarności. Bieliźniarka stanowi jeden z ważnych węzłów społecznych w tym małym mieście, gdzie co najmniej przez sześć miesięcy w roku pada deszcz. Dzięki bieliźniarce można wywnioskować, co ludzie myślą o Piotrze. W tym krzywym zwierciadle otrzymuje się własne odbicie, coś w rodzaju obiektywnej kontroli swego życia. Paulina zawsze z mieszaniną lęku i namiętności oczekuje dnia bieliźniarki.

Bo co też ludzie myślą o Piotrze? Czy sądzą go tak, jak na to zasługuje? Czy zdają sobie sprawę, że chciał pisać, ale nie może? Bo w gruncie *rzeczy* tak właśnie jest z Piotrem. To człowiek wykolejony. Nie widzi się tego, bo ma pieniądze. Przed paru laty, gdy miał jakieś sukcesy naukowe, nabił sobie do głowy różne myśli. Nie mówił o tym. Ale było to widoczne. Następnie zabrał się do tej grubej księgi. Z początku nie było to takie ważne. Potem dzieło zaczęło pomału rosnać, wymagało studiów naukowych. Wreszcie stało się oczywiste, że Mercadier boi się porażki, boi się okazać gorszy od swojej opinii. I on nie chciał spaść niżej swego poziomu. Zapewne musiał dojść do wniosku, że to, co dotąd zrobił, nie miało żadnej wartości, i zabrał się do czegoś innego. Ale nie chciał się do tego przyznać i, przeciągając pracę, odsuwał chwilę, kiedy będą go sędzić wedle tego, co zrobił, i to źle zrobił, a co było wszystkim, na co go stać. Paulina mówiła sobie to wszystko z pewną okrutną a spokojną satysfakcją. Nienawistna była jej myśl, że Piotr mógłby być człowiekiem wybitnym. Mimo że jej osobiście stworzyłoby to mocniejszą pozycję w świecie. Ale nie był człowiekiem wybitnym. Więc lepiej było cieszyć się z tego. Pani Mercadier w głębi duszy podzielała uczucia, jakie jej matka, osoba rozsądna, żywiła do zięcia; i jej własny ideał mężczyzny nie uformował się jeszcze mimo trzech połogów i piętnastu lat małżeństwa, ale na przykład jej ojciec, prefekt, był, biorąc rzecz od strony społecznej, kimś zupełnie innym niż Piotr Mercadier. Czytając powieści Paulina nadawała bohaterom rysy kochanków Denizy, a nie rysy swego męża. Nie dlatego, że pragnęła odmiany. Takie jest życie. Jeżeli chciała marzyć, istniał przecież świat Denizy, w którym zanurzała się od czasu do czasu w Paryżu, i to jej wystarczało. Świat walców, przyjęć, wyścigów, polowań, oficerów, dyplomatów... Wystarczało jej, że nie była stamtąd wygnana. Wiedzano, że jest zamożna, trochę prowincjuszka: nie było to źle widziane. Ale był jeszcze Piotr...

Nabierał on jakiejś absurdalnej ważności. Czasem zdawała sobie z tego sprawę, a potem nie wracała do tej myśli. To było coś zupełnie nowego. Dawniej myśli jej nie krążyły tak wokół niego. Czy aby nie zakocha się w nim teraz? Co to, to nie, była spokojna. Ale czuła niebezpieczeństwo od jego strony. Niejasne zagrożenie. Rodzaj zbierającej się burzy. Co to? —

trudno powiedzieć. I to właśnie ją dręczyło.

W Sainteville zaszły te historie z panią Pailleron. Czy i Paulina czuła się zazdrosna? Nie. Zresztą tym razem nie było o co. Prawda, pani d'Amberieux, już poważnie chora, sama nie wiedząc, co jej dolega, wymyśliła cały romans, jakby w gorączce. A przecież wszystko było zupełnie jasne. Jednakże śmierć nadaje z czasem słowom tych, którzy od nas odchodzą, jakąś proroczą siłę, groźną prawdę i Paulina nieraz zastanawiała się, czy istotnie matka mogła się tak bardzo omylić. Gdy zachodzi wątpliwość, trzeba być ostrożnym. Trapiąca sprzecznymi uczuciami, znajdując różne uzasadnienia dla tych samych faktów, prześladowana wspomnieniem pokoju, gdzie leżała zmarła, mieszając w jedno żalobę, strach przed śmiercią, kłopoty małżeńskie, obawę przed tym, co powiedzą ludzie, pani Mercadier miała czasem pokusę, aby wypytać męża. Ale okazywał zupełną obojętność wobec wszystkiego, co odnosiło się do Sainteville, do tamtej kobiety...

Ledwie jej słuchał, gdy opowiadała, co zaszło po jego wyjeździe. W kobiecym natchnieniu słabości dawała do zrozumienia, nie wprost, ale tak, aby mógł się tego domyślić, że Blanka żyła z młodym wieśniakiem, który ocalił Zuzannę... Przyszło jej to samo z siebie, bez namysłu, a gdy teraz wracało jej na pamięć, miała wrażenie, że nie skłamała. Było to nawet uderzające, widocznie wiedziała o tym, nie zdając sobie jasno sprawy... Zresztą Piotr nie podjął tematu, wrócił do swojej książki i zdawało się, że w tej chwili nic więcej go nie obchodzi.

A ten Meyer... jego wizyty w ich domu dają temat do plotek. Co wieczór ten fortepian... Gdyby chociaż zagrał co ładnego, co można by zanucić. Ale takie rzępolenie...

## LX

— Nie, proszę pana, nie rozumiem, czego pan chce.

Piotr Mercadier podniósł na swoich rozmówców uprzejmy i pusty wzrok. Był tam Robinel, podobny do obitego owocu, bardziej apoplektyczny niż zwykle, na krótkich nogach, z przekrzywionym krawatem, źle pasującym kołnierzykiem, potężnymi barami, i drugi nauczyciel z liceum, Joffret, w obszernym płaszczu, z bezzęsymi oczyma, z ciałem długim i chudym. Za nim Meyer, nieśmiały, zmieszany, że jest tematem dyskusji.

Rozmawiali już pół godziny. Na stole stała duża lampa naftowa, która kopciła od czasu do czasu, a wtedy Mercadier przykręcał knot. Salon kąpał się dokoła w mroku, z bezzwinnym fortepianem, na który Meyer rzucał ukradkowe spojrzenia. Cienie rozmawiających wspinały się aż na sufit.

— No, Mercadier — rzekł Robinel, a zdawało się, że jego plastron lada chwila pęknie — kiedy mówi się panu, że, do licha, my czterej już jesteśmy doszli do porozumienia...

— To bardzo ładnie, że jest was czterech, obejdziecie się beze mnie!

Pan Joffret postąpił o krok w kręgu światła i w zamyśleniu podniósł do

góry wskazujący palec.

— Niech pan pozwoli, mój drogi Robinel, że ja powiem; pan jest zawsze w gorącej wodzie kąpany... Grunt to przekonać, ale trzeba umieć przekonywać! Mercadier, drogi przyjacielu, nie mogę uwierzyć, aby pan był antysemitą...

— Ja? A to dobre!... Meyer, niechże się pan odezwie... oni twierdzą, że ja jestem antysemitą... Niech im pan odpowie... wyjaśni... Z kim się pan przyjaźni w tym mieście? U kogo pan bywa? Czy u któregoś z tych panów? Nie, ale za to tutaj, u mnie, w tym domu, codziennie...

A zatem? Czy ja kłamię? Widzicie panowie, Meyer to potwierdza. Możecie uznać mnie za antysemitę, jeżeli wykażecie mi, co wy robicie dla Izraelitów w życiu codziennym... ale nie wcześniej. Ja — antysemita! To szczyt wszystkiego!

— Panie Joffret, pańska dyplomacja nie dała zbyt świetnych wyników, więc ja — rzekł Robinel — to wyjaśnię...

— Nie kłóćcie się!... Ja was chyba i tak przejrzałem... — Mercadier krótko się zaśmiał. — Streszczę wasze słowa: w okresie tygodnia trzy razy wybito Meyerowi szyby. Obrażono go na ulicy, w liceum, grożono śmiercią i... Gdzie, kto — nie wiadomo, ale tak było. A na to wszystko, aby zakończyć te awantury, wy, wy czterej, nie biorąc pod uwagę Meyera, w dobroci serca, postanowiliście zrobić z tego sprawę urzędową, podpisać deklarację, przedłożyć ją dyrektorowi, posłać do ministerstwa, opublikować w prasie... Czy tak?

— Tak, ale...

— Nie bardzo rozumiem, co umieścicie w tej deklaracji, ale nie o to mi chodzi... Lecz o samą zasadę... O zasadę! Jeżeli zaczniemy pisać takie deklaracje, staną się one niebezpiecznym precedensem... trzeba by je wypisywać na każdym kroku... Obecnie mocno nadużywa się u nas podpisów, prestiżu osobistego... Mimo wszystko zdałoby się trochę skromności... Jakąż wagę mają nasze nazwiska? Nie mają żadnej! Każdy z osobna może jeszcze, dzięki swoim skąpom walorom, stanowić pewien autorytet dla... nie wiem, doprawdy, może dla komisarza policji w swojej dzielnicy. Ale cóż to jest ten kartel, ten syndykat, który chcecie założyć? Widzę poważne niebezpieczeństwo w tych związkach, które nie w wartości jednostek, lecz jedynie w ich ilości czerpać będą swój wątpliwy autorytet... My jesteśmy urzędnikami.

W tym miejscu Robinel wybuchnął:

— A więc tak się rzeczy mają! Urzędnicy! Oto pański najważniejszy argument, panie Mercadier. Boi się pan! O posadę! O karierę!

Było to naprawdę niesprawiedliwe. Piotr podniósł oczy do sufitu, a potem skierował je na rozjuszonego kolegę, z tym wyrazem czystego sumienia, które miał z natury.

— Gdybym chciał, Robinel, mógłbym pana straszliwie zawstydzić za to, coś pan powiedział... Właśnie w tej chwili, dzisiaj... Ale pogardzam takimi argumentami, zbyt są łatwe... Czy nie wstydzisz się pan imputować mi tak

niskich uczuć...

Tu wmieszał się Meyer, bardzo wzruszony:

— Nie, nie, Mercadier, nikt tak nie myśli, a zwłaszcza ja, który znam pana do gruntu! Robinela, jak zawsze, ponosi jego dobre serce... słowa wyprzedziły myśl...

Robinel burknął coś, a Joffret poruszył nieobecnyimi brwiami. Mercadier ruchem ręki zaznaczył, że jest wyższy ponad to, i mówił dalej:

— Mój kochany Meyer... panowie... czy nie rozumiecie, że wasze wystąpienie może zmienić odosobniony wypadek... oczywiście, godny najwyższego ubolewania... w sprawę państwową... w przykład... w machinę wojenną przeciw antysemityzmowi... i że to postępek nadzwyczaj niezręczny, a może nawet i niebezpieczny?... w każdym razie dla Meyera... W ogóle antysemityzm stwarza się atakując go, uznając jego istnienie... Lepiej go nie dostrzegać, nie podsycać... Moi drodzy, uważam, że jesteście bardzo nieostrożni!

Meyer z niepokojem spojrział kolejno na Mercadiera i dwu pozostałych kolegów. Joffret, zachwiany w swej pewności, kiwał głową. Robinel mruzczał coś niewyraźnie. Meyer podniósł rękę do serca, które mocno mu biło. Mądrość mówiła przez usta Mercadiera — jakież błęd byliby popełnili! Piotr rozwijał swoją myśl:

— Przyznaję, że ten sposób rzucania się w politykę, w jej namiętności jest kuszący dla ludzi takich jak my, których funkcje są ograniczone, specjalne... że pchają nas do tego pobudki uczuciowe, humanitarne... Ale to jest droga najmniejszego oporu: sam już nasz zawód wymaga od nas opanowania, krytycznej rezerwy... Świat polityki jest niesłychanie skomplikowany... nie tam nasze miejsce... I pozwólcie, że przemówię do was jako historyk, jako historyk, panowie. A czyż studiowanie historii nie przekonuje nas, że reakcje współczesne łatwo schodzą na błędne drogi? Czy nie uczy nas rozwagi? Jako historyk czuję się skrepowany w moich postępkach rygorami naukowymi, którymi wiele rzeczy, jak moja osobista sympatia dla Meyera, na przykład, chciałoby zachwiać... Nie, doprawdy nie! Mamy hierarchię zawodową, której słusznie należy się poddać... minister... rząd... Ostatecznie mamy jakiś rząd, tak czy nie? Jasne jest, że dziś chcą was skłonić, abyście wywarli nacisk na ten rząd odnośnie tego, co tak głupio nazywa się Sprawą, abyśmy my tu, a inni gdzie indziej wywoływali incydenty niepożądane, ale lokalne, lokalne... bez związku z sobą... To znaczy, że zaciemnia się wszystko zamiast upraszczać, jakby należało... że przypadek kapitana Dreyfusa stawia się niesłusznie w jednym rzędzie z przypadkami osób, których nikomu nie śniłoby się posądzać o szpiegostwo lub zdradę... jak naszego zacnego przyjaciela Meyera... Przedstawia się, jako powiązane z sobą, fakty zupełnie odrębne, zasadniczo odrębne, bierze się udział w tym zbiorowym szaleństwie, nad którym nikt nie ubolewa bardziej niż ja, niż my, panowie... Ależ nie, po stokroć nie!

— To prawda... — zaczął Joffret.

— Widzicie — rzekł triumfalnie Piotr — Joffret podziela moje zdanie! Z



dala od polityki! Z dala od polityki! Byłem niedawno w Paryżu; widziałem się z ludźmi, których znam od lat, a którym to szaleństwo do cna odebrało rozum... Czytają dzienniki... To słuszne, o ile nie szuka się niewinności skazanego w fusach od kawy! Zapewne, oplakane demonstracje, jak te, które rozegrały się w naszym mieście, cofają nas w samo średniowiecze, ale, na Boga! koledzy, my się nie podpisujemy. Nie wracajmy do praktyk niegodnych nowoczesnych umysłów, karmionych wyższym sceptycyzmem wiedzy... obwarowanych zmysłem krytycznym, tak, zmysłem krytycznym... Meyer wie, że w razie czego ma tutaj, w tym domu, schronienie. Nie będę go pozbawiał tego azylu rzucając moje nazwisko w ten bałagan... Aby tłum przyszedł aż tutaj prześladować biednego Meyera, nie, za nic w świecie!

Argumenty Robinela zostały mocno osłabione zbyt gwałtownym tonem profesora przyrody. Rozmowa zaczęła się gmatwać, plątać i rozeszli się nie postanowiwszy niczego. Gdy drzwi się zamknęły i Piotr Mercadier został sam, odetchnął z ulgą. Odczuwał jakieś upojenie wyższością na myśl o tajemnicy, którą nosił przez cały czas tego spotkania, niczym jej nie zdradzając, a która czyniła to wszystko małym i godnym pogardy. Podszedł do biurka, przeczytał list do pana Castro, złożył go, wsunął do koperty. Klej miał smak gorzki, smak przeznaczenia.

## LXI

List ów doszedł do rąk pana Castro w chwili, gdy wychodził od niego Mateusz Dreyfus. Brat skazanego kapitana dowiedział się przez wspólnych znajomych, że agent giełdowy ma w ręku listy zdolne wyjaśnić tę zawikłaną sprawę. Sam przyszedł porównać charakter pisma. Castro chciał mu powierzyć listy majora Esterhazego, ale Mateusz Dreyfus nie przyjął ich i poradził, aby doręczyć je panu Scheurer-Kestnerowi, ponieważ wśród osobistości politycznych jest on człowiekiem najbardziej godnym zaufania i na pewno poda nową okoliczność do wiadomości rządu.

Piotr Mercadier w liście polecał swemu agentowi, aby niezwłocznie zrealizował wszystkie jego papiery wartościowe, wszystkie akcje. „Dobra! — pomyślał Castro. — To wydaje mi się rozsądne. Tak usilnie namawiałem go, aby dał spokój grze na giełdzie, że teraz będzie chyba ciułał do pończochy! A ja w tym wszystkim wyglądam dość głupio!...” Wzruszył ramionami i zaczął myśleć o czymś innym.

Raz jeszcze przyjrzał się pismu na wykazie i w listach Esterhazego. To uderzające! Po co zwlekać? Napisał więc do pana Scheurer-Kestnera.

Nigdy jeszcze Piotr Mercadier nie doświadczał poczucia takiej mocy i pełni jak obecnie. Wszelkie drobne zdarzenia życia nabierały znaczenia i wzmagaly upojenie profesora historii. Przyszło mu nawet na myśl, aby tak właśnie określać siebie: „profesor historii”, i to napełniło go niezwykłym zadowoleniem i wesołością. Tak zatem wszystko dobiegało końca, wszystko uwalniało się z więzów, świat miał popłynąć jak dryfujący okręt.

Na dworze padał śnieg i Piotr przez okno patrzył na wirujące płatki, które miały w sobie coś zbytkownego, odświętnego. Weszła Paulina i zaczęła mu opowiadać o jakiejś drobnej sprawie domowej, którą zrazu wcale się nie interesował. Powtórzyła swoje, a wtedy słuchał jej słów z ironiczną i drobiazgową grzecznością, która była jak mocny alkohol.

Ulica, mijani ludzie, liceum. Znowu liceum... Jakież to dziwne uczucie znaleźć się znowu wśród znajomych cieni, groteskowych cieni profesorów i uczniów... Tocząca się dalej lekcja... Skacząca jasność gazu...

Pan Decrassement zbliżył się do Piotra przy wyjściu. Niepodobna rozstrzygnąć, co dominowało w jego twarzy nieboszczyka, żółtość czy zieleń, rak czy zimno. Policzki miał zapadłe, oczy obrzmiałe.

— Jak się pan miewa, panie Decrassement? Nieszczególnie pan wygląda...

Pan Decrassement zaniepokoił się. Wiedział, że nosi w sobie śmierć, jednak czasami zapominał o niej. Ale gdy mówiono mu o tym tak otwarcie...

— Uważa pan? — spytał. — To ten śnieg, piekielne zimno... Ale nie czuję się gorzej niż zwykle...

— Nie gorzej niż zwykle? Ach, a ja myślałem...

Co się stało Piotrowi, że był taki okrutny? Poczucie młodości i wyższości! A tymczasem Decrassement przyszedł do niego z konkretną myślą.

— Chciałem panu powiedzieć, panie Mercadier — rozejrzał się dokoła, zadrżał od zimna i skulił ramiona — chciałem panu coś powiedzieć... Brawo, odmówił pan...

Piotr nie zrozumiał go. Odmówił? Czego?

— Odmówił pan podpisu w sprawie Meyera... brawo! Tak, Joffret mi powiedział... Tego samego domagali się ode mnie. Ode mnie! — zaśmiał się szyderczo.—A niech zdechną wszyscy ci Żydzi, niech zdechną! — Rozejrzał się dokoła z przerażoną miną. — To tylko między nami. Ściśle między nami... Dyrektor jest masonem... gdyby wiedział...

Jego koścista ręka zmiażdżyła dłoń Mercadiera z całym żarem uścisku i z zimnym grobu. Piotr patrzył, jak pod padającym śniegiem unosił swego raka. Dziwne!

\*\*\*

Tej nocy Piotrowi Mercadier śniła się Afryka. Ziemia tak gorąca i tak naga, że obuwie pęka w zetknięciu z nią. Piotr, ubrany na biało, szedł po mauretańskich ulicach, gdzie przeszkody wszelkiego rodzaju utrudniały mu drogę, zwłaszcza handlarze owoców, z krwawiącymi kawonami, osły takie, jakie widział niegdyś z Pauliną na wystawie w roku 89. Zresztą Paulina w ślubnym stroju biegła za Piotrem, a wokoło śmiały się zawołowane odaliski. Trudności rosły z każdym krokiem. Las stawał się nie do

przebycia, drwale nie przychodzili już wyrąbywać egzotycznych drzew, węzlistych lian. Piotr wyciągnął rękę i napotkał pod liśćmi twarz kobiety, którą palce jego poznały. Nie była to Paulina. Była to... O Boże, zapomniał imienia tej kobiety! Zapomniał, zapomniał! Znał ją, poznawał! Uśmiechnęła się swymi lśniącoymi zębami, powiedziała: „Nie kocham cię!”, i te słowa przywiodły mu na pamięć imię Blanki; chciał ją błagać, ale gdy zbliżył się do niej, zobaczył młodego wiejskiego chłopca ze spłaszczonym nosem, który odepchnął go gwałtownie, i Piotr spada, spada...

Obudziwszy się wśród nocy doznał głębokiego upokorzenia. Ta dziewczka istniała jeszcze w jego marzeniach. A ten chłop... Nie, nie, nie! Nie myślał już o tym — to igraszka snu. A jednak nawiedzała jego noc. Odwodziła go od jego własnych myśli. Piotr usiłował skupić je na planie przyszłości, który budował jak wspaniały dom. Ach, te drżące statki w niebieskich portach, gotowe do drogi... Głowę ma pełną słońca. Widzi białe pałace i wolne obszary. Dziś tutaj, jutro tam...

Blanka... Co Blanka powiedziała w nocy? Dźwięk własnego głosu przestraszył go. A więc to on powiedział nagle: „Blanka”, na głos, nie zdając sobie z tego sprawy? Nie sądził, że jest tak słaby. Spać, spać... nie myśleć już... jakie są te słowa, które tańczą mu w głowie? „Non veder, non sentir m'e gran ventura. Pero non mi destar; deh, parla basso.\* / (\* / Nie widzieć, nie słyszeć to dla mnie wielka rzecz! Dlatego nie budź mnie — och, mów cicho!)

To wiersze Michała Anioła, czytał je przed dwudziestu laty: „Nie widzieć, nie słyszeć to dla mnie wielka rzecz”... Skąd wyłaniają się znów te włoskie słowa? Miraż Włoch uprowadza go w noc.

\*\*\*

Rano przeczytał w dzienniku, że pan Mateusz Dreyfus wniósł skargę przeciwko majorowi Esterhazemu, oskarżając go o fałszerstwo i o zrobienie z fałszerstwa użytku. To przypomniało Piotrowi pana Castro. Pieniądze. Musi to trochę potrwać. Pieniądze. Wolność.

— Nie pożegnasz się z Joasią? Idzie do szkoły. Paulina popychała dziewczynkę ku ojcu. Ubrana w szkocki kostiumik, fałdowaną spódniczkę, czarny żakiecik i beret z piórkiem, z teczką pod pachą, wyglądała jak wytresowana małpka. Był to jej pierwszy rok w szkole. Piotr pomyślał, że trzeba coś powiedzieć:

— Bądź bardzo grzeczna, Joasiu... Mała hipokrytka dygnęła.

— Tak, tatusiu...

Tatuś śmiał się długo, bez końca.

— Co ci jest? Nie zachowujesz się dziś normalnie rzekła Paulina. Trudno było lepiej to określić!

\*\*\*

Skandal był ogromny. Wybuchło to nagle, właśnie w chwili gdy panowie

nauczyciele zasiedli na katedrach; na minutę przed wejściem uczniów do klas. Korytarz pełen był krzyku. Tłum manifestantów stanął pod drzwiami klas Meyera i czterech profesorów, których nazwiska ukazały się w miejscowym dzienniku lewicy, pod protestem, nie podpisanym przez Piotra Mercadier. Nazwiska tych profesorów skandowali chłopcy przy akompaniamencie pohukiwania i przeraźliwych okrzyków oburzenia. Wychowawcy, zastępca dyrektora i główny wychowawca rzucili się ku manifestującym. Znikli wśród tańczących szeregów i nagle z pierwszego piętra zaczęły lecieć słowniki.

Myśl szatańska — w tajemnicy zgromadzono słowniki greckie, angielskie, niemieckie i łacińskie na okrężnym ganku i grupa, która wyszła z klas wyższych, zaczęła je ciskać w dół. Na uformowany w ten sposób niekształtny stos chłopcy z dołu rzucali swoje książki. Buchnęły krzyki. I nagle diabelstwo ułożonego planu stało się jasne: ogień. Chłopcy podpalili słowniki, podniósł się dym, trzasnęły iskry. Zjawił się dyrektor. Przyjęto go krzykiem:

— Precz, precz z masonami! Precz z masonami!

Wszelkiego rodzaju pociski padały do klasy Meyera.

— Za drzwi, Żydzio! Precz z Meyerem, precz!

Piotr ze swej klasy patrzył przez oszklone drzwi na zorganizowaną awanturę. „A mówiłem im — pomyślał — że ich manifest skrupi się na Meyerze.” Nagle ktoś zapukał do drzwi, za którymi biegano, potracając o nie czasem. Mercadier stanął na palcach i zobaczył jakiegoś ucznia opartego o drzwi. Czy otworzyć? Otworzył.

Chłopiec lat dwunastu, w poszarpanym ubraniu, z zakrwawioną twarzą. Był to mały Dreyfus. Zbili go. Płakał, ocierał łzy, zatykał nos brudną chustką. Wymknął się jednej z grup, zbyt zajętej czymś innym, aby go ścigać.

Rzucił się na jedną z ławek i z głową na drzewie zaczął szlochać.

— Co ci jest, mały? — zapytał Piotr. — Zrobili ci coś złego? Bydłęta!

Burza rozpaczy nie pozwalała chłopcu odpowiedzieć.

— No, no, teraz jesteś już bezpieczny...

Ponura i niemądra twarz podniosła się ku profesorowi, z oczyma przerażonymi, głupimi. Dławił się, nie mógł znaleźć słów. Wreszcie krzyknął:

— Czy to moja wina?! Czy to moja wina?!

Było to straszne. Piotr dałby wiele, aby tego nie słyszeć. Dziecko. A wszystko z powodu tych durniów i ich manifestu. Na zewnątrz burza trwała dalej, tańczono wokół stosu, wychowawcy walczyli z uczniami. Czy lekcje się odbędą? Rozległ się dzwonek. Daremny trud!

Piotr spojrział na malca. Jakiż on brzydki i żaloszny. Mdlilo go to wszystko. Pomyślał, że jego syn należał zapewne do tych, którzy bili Charlota. To się udało, jak na ostatni dzień! Na korytarzu walczone na pięści. Dyrektor daremnie przemawiał wśród krzyków, bieżaniny, tańców. Mercadier otworzył drzwi. Za jego plecami mały Żyd wrzasnął:

— Och, nie, panie profesorze, nie!

Bał się, że go znajda. Piotr zamknął drzwi za sobą.

Wśród zamieszania i walki udało mu się dobrnąć do bramy liceum. Poza wszystkim innym ta bójka zdecydowała o jego ostatniej lekcji w szkole. Trudno, nie ma się czym przejmować. Opuszczał ten bałagan na zawsze. Krzyki: „Śmierć Żydom! Śmierć Żydom!”, ścigały go. Wzruszył ramionami.

A wszystko to dlatego, że jakiś tam Castro ubrdał sobie, iż rozpoznał pewne pismo; rodzina skazanego zaskarżyła Esterhazego przed sądem... więc w kraju wrze... Castro... Piotr otrzymał list: „...mamy zaszczyt zawiadomić, że kapitał jest do pańskiej dyspozycji...”

Gdy przechodził obok łoży odźwiernego, usłyszał, że ktoś go woła. Ktoś do pana, panie Mercadier. Jakaś pani... Współprzymna żona odźwiernego wskazała mu jakąś osobę, której nie poznał w półmroku.

— Pan pozwoli? Pójdę zobaczyć, czy ta banda nie zrobiła czegoś złego memu mężowi!

I zostawiła ich samych.

Kobieta podeszła bliżej i Piotr poznał Blankę. Uczuł w sobie zimno. Blanka, bardzo podobna do siebie ze snu, w czarnej sukni z astrakanową pelerynką i w kapeluszu z niebieskiej wstążki.

— Piotrze — przemówiła — Piotrze... — wyciągnęła do niego drobną zamszową dłoń; uśmiechała się smutno.

Powiedział:

— To pani!

Uścisnęła jego rękę.

— Wiem, wiem... proszę nie mówić... to ja muszę panu powiedzieć.

Cofnął rękę.

— Ściga mnie pani aż w liceum...

— Piotrze, niech pan milczy, nie traćmy tej chwili... Proszę posłuchać... Nie mogę dłużej, trzeba było... Nie mogłam pójść do domu... pańska żona... proszę wybaczyć, jeżeli odwiedziny kobiety tutaj mogą pana kompromitować.

Zaśmiał się tym pełnym wyższości śmiechem, którym odpowiedział kolegom, gdy podejrzewali, że boi się o swoją przyszłość, karierę...

— Przychodzi pani trochę za późno, Blanko, trochę za późno...

Krzyki w głębi budynku stanowiły dziwną ilustrację muzyczną tej dziwnej sceny.

— Co się dzieje? — zapytała cicho pani Pailleron i, nie czekając odpowiedzi, mówiła dalej: — Walczyłam, nie chciałam uwierzyć w te obsesje... Nie chciałam być szczęśliwa... Żądałam tylko zapomnienia... I to było jeszcze za dużo... Piotrze!

Co ona mówi? Rozumiał dobrze. Ale nie. Słyszał ją jeszcze mówiącą: „Nie kocham pana”, słowa nie do darowania.

Za późno. Rozporządził swoim przegranym życiem. Był wolny, wolny. Nie po to, aby pozbywszy się jednej kobiety wpaść w ręce drugiej. Spojrzał na

nią złośliwie. Odczuł w tej chwili, że i od tej także się uwolnił. Mimo swoich snów. Wolny, naprawdę.

— A ten pani młody chłopiec, ten... Bonifacy, jaką rolę gra w tym wszystkim?

— Co pan mówi? — zawołała.

— Mówią przecież, że pani żyje z nim... Drgnęła i ze zgrozą spojrzała na człowieka, z którym przyszła się połączyć. Zrozumiała nagle swoje szaleństwo.

— Cham! — powiedziała.

Skłonił się lekko. Był szczęśliwy, że rozdarł to, od czego cierpiał, a jednocześnie czuł się trochę zmieszany. Spojrzała na niego.

— To twoja żona — syknęła — to twoja żona powiedziała ci, prawda? Tak. Czytam to w twoich oczach. To ona. A tyś jej uwierzył. Piękna z was para! Nie ma podłości, przed którą byście się cofnęli!

— Podłości? Może pani sypiać, z kim się pani podoba...

Krzyknęła:

— Co za ohyda!

Opuściła woalkę i wybiegła pod padający śnieg. Przez chwilę miał ochotę pobiec za nią... Potem mruknął: „Et!”, przez zaciśnięte zęby i patrzył, jak oddalała się po białej, grudniowej ziemi; podniósł kołnierz palta, wsunął ręce do kieszeni, powtórzył raz jeszcze: „Za późno!”, i wolnym krokiem ruszył na dworzec.

Przeszło godzinę czekał na pociąg do Paryża. Spędził ten czas w kawiarni naprzeciw dworca, powoli pijąc amerykański grog. Nie myślał już o Blance. Był wolny.

\*\*\*

Zniknięcie profesora Mercadier dopiero po pewnym czasie stało się niezaprzeczoną faktą, ponieważ Paulina, w swych krepach żałobnych po matce, piętrzyła istne góry drobnych kłamstw i zaprzeczeń, gdy ją wypytywano; wobec czego dyrektor miał nadzieję, że chodzi tutaj tylko o małą eskapadę, oczywiście nieusprawiedliwioną, ale krótkotrwałą; miał przecież i tak dosyć skandalów w liceum...

Opuszczona małżonka przez tydzień walczyła wśród obłudnych gości, sprzecznych relacji, litościwych min, podstępnych rad, wśród służby i żon mężowskich kolegów. Nie wiedziała, co myśleć. Paskal twierdził, że widział panią Pailleron w mieście. Tak... ale nie w tym rzecz... Po co ta Pailleron miałaby tu przyjeżdżać? Paskalowi coś się przyśniło. Rzeczą straszną było to upokorzenie. Nie przyjmowała nikogo. Brała środki nasenne. Dlaczego wyjechał bez słowa? Przeraził ją pewien szczegół: nie zostawił jej pieniędzy na zapłacenie miesięcznej pensji kucharce... A może go kto zamordował? Nie zabrał z sobą nic, nawet rękopisu. Przyjęła wizytę

dyrektora. Wciąż żadnego znaku życia? Trzeba by zawiadomić policję. Och, nie, byle nie to, byle nie to!

Nie zostawił żadnego listu, nic... nie do wiary! Gubiła się w przypuszczeniach. Gdyby nawet wyjechał, po co mu jej męka, ta bezużyteczna niewiedza? W końcu napisała do Błażeja.

Musiała już dojść do szczytu paniki, jeżeli się na to zdobyła! Do Błażeja! Ale był przecież jej bratem. Jedyne człowiek, do którego może się zwrócić. Wuj Sainteville jest za daleko, i taki już stary. A więc do Błażeja.

Błażej przyjechał na drugi dzień. W Paryżu przeprowadził małe śledztwo wedle wskazówek, jakie przesłała mu Paulina... Zaszedł do pana Castro. Tam, po pewnych oporach, dowiedział się w końcu, że jego szwagier zjawił się był po pieniądze, po wszystko, co mu pozostało — pieniądze ze sprzedaży papierów wartościowych i akcji, które miał u pana Castro. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy franków. Castro nie wiedział, co się z nim stało. Ale sprawa była jasna. Uciekł. Z flotą. Łotr. Było to wszystko, co pozostało z ich majątku. Z trudem wygrzebali około dziesięciu tysięcy franków. Były z tym wielkie tarapaty. Trzeba było oddać sprawę do sądu. Skandal dostał się na łamy dzienników.

Piotr Mercadier przeczytał je w Wenecji; właśnie przed chwilą raczył się szczegółami uniewinnienia majora Esterhazego. Z wyraźnym zadowoleniem dowiedział się, że wdał się w to wszystko jego szwagier. Serdecznie uśmieł się na myśl, że Błażej d'Amberieux, anarchista, który około roku 1875 puścił kantem rodzinę, a w tej liczbie i siostrzyczkę, u schyłku roku 1898 został moralizatorem, przedstawicielem tradycji i opiekunem Joanny i Paskala. Ironię tę przypisywał wyrafinowaniu losu i z całą masą komicznych szczegółów komponował sobie rozmowy brata z siostrą. Pieniądz na pewno odgrywał tam odpowiednią rolę, rolę władczą, cudowną...

Nie zostawił im ani grosza. Paulina będzie musiała wszystko sprzedać. W tym również pamiątki po matce, chińszczyznę, okazy sztuki hinduskiej i politurowany fortepian. Pan Błażej, artysta, ma teraz dwoje dzieci na karku. Chyba że je wyśle do Sainteville... Odbędzie się rada familijna, weźmie w niej udział ekscelencja... Stanowić to będzie jednocześnie społeczny pogrzeb uciekiniera...

Mimo deszczu Wenecja była dla niego tak strasznie nowa i obecna, że Piotr nie mógł się zdecydować na wyjazd. Gubił się w jej podobnych do siebie, pozbawionych perspektywy uliczkach, których ciasny i pełen niespodzianek labirynt wiodł go do coraz to nowych odkryć. Upijał się poezją wspomnień historycznych, łatwą jak oszołomienie aperitifem. Zaczynał nowe życie w ruchomej trumnie tyłu zmarłych znakomitości, że nie uświadamiał sobie jeszcze tej rzeczy, tej prawdziwej zbrodni, którą popełnił wbrew wszelkiej przyjętej moralności, a która nagle pewnego ranka objawiła mu się na placu Św. Marka, wśród gołębi, pod rozpozgodzonym niebem. Zbrodnia.

On naprawdę zamordował swoje dawne życie. Popelnił zbrodnię. Był

człowiekiem. Przeszedł do Mercadierów poprzedniej generacji, do awanturniczych kuzynów, tych z marynarki i tych z galer. Zabił profesora Mercadier.





## CZEŚĆ DRUGA

### I

Gdy w Wenecji zaczną się deszcze, podróżnemu grozi tak silna nostalgia, że albo musi w ciągu dwudziestu czterech godzin opuścić miasto, albo zostaje jak zwierzę schwywane w sidła, w odrętwieniu, które trudno by uważać za oczarowanie tym miejscem. Woda z niebios zlewa się z wodą kanałów, świat staje się kamienną gąbką, której ciasne i ociekające wilgocią komórki zaledwie można nazwać ulicami, zwłaszcza gdy wda się w to wiatr. Ale właśnie wtedy znika cała sztuczność Wenecji, wszystko, co ma ona w sobie z kolorowej pocztówki, jej poezja na użytek cudzoziemców. Zostaje miasto wydane na łup żywiołom i jego lud nie znający języka angielskiego, stwór średniowieczny, który powrócił do swoich koszmarów i tylko na wpół żyje; pełne koralu i szklanych pereł kramy w „La Merceria” i w La calle dei Fabbri świecą pustką; nikt nie przymierza naszyjników i szali, nie otwiera szkatulek z lapis-lazuli i agatu — muszą one poczekać na słońce turystów, a tymczasem przy ladach nudzą się śmiertelnie smagli sprzedawcy, marzący o szumiących halkami klientkach, które rozpierzchły się po świecie.

W pustym hotelu, gdzie zajmował ogromny, niski pokój, Piotr Mercadier, pośród szepczącej służby, zażywa czegoś dziwnego i mocnego jak wenecka zima — miodowego miesiąca z samotnością. W hallu snują się jeszcze, co prawda, dwie stare Amerykanki, jakiś zbyt mocno upudrowany Anglik i coś w rodzaju niemieckiego dyplomaty, ale najczęściej tkwi tam tylko uniżona służba i jest alkohol, nieodzowny przy takim wietrze. Do hotelu przytyka coś na kształt małej przystani dla gondoli, o parę zaś uderzeń wiosła zaczyna się Canal Grande, a z drugiej strony małe moło hotelowe przechodzi w ulicę z zamkniętymi w tej porze roku gelateriami, koło kościoła będącego dziełem któregoś z Longhich. Naprzeciw domy w stylu mauretańskiego gotyku, ciasne jak zazdrość Otella, padają prosto w kanał. Trzeba pójść aż za Rialto, ku Pescheria, albo minąć godne i tajemnicze siedziby wielkich rodów i dzielnicę hoteli, w stronę dworca i San Simeone

Grande, aby spotkać biegający od kramu do kramu, od handlarza owoców do trattorii ponury lud i obdarte dzieci; one nie opuszczają tej tratwy lagun, gdy nadejdzie okres burz.

Próba samotności.

Piotr przez całe życie uważał, że jest sam, i rzeczywiście był sam. Sam jak nikt na świecie. Bez przyjaciół, bez celu. Jak podróżnik wśród dzikusów, których język jest mu nie znany. Nigdy nie należał do plemienia, chociaż wiernie naśladował obowiązujące tam rytuały. Sam; a dokoła miał niezrozumiałe podniecenie społeczeństwa, tłum w liceum, profesorów, rodzinę. Tę zupełną beczynność jego umysłu i jego czasu zagarnęła sobie pozorna aktywność studiów, obowiązków, znajomości towarzyskich, rodzinnej komedii. Z tym właśnie niedawno zerwał, z tym całym fałszem nawyków. Zdobył się nawet na zerwanie całkowite, zostawił rękopis Johna Law, chociaż przez chwilę zastanawiał się, czy go nie zabrać. Ale byłby to węzeł z przeszłością, element ciągłości...

Teraz, nie zmuszony zarabiać na życie, nie mając do kogo ust otworzyć, chyba że liczyć służącego, na którego się dzwoni, i kasjerkę, której trzeba się uklonić, miał wrażenie, że wszystkie te porzucone przezeń dekoracje były kiedyś rzeczywistością — teraz dopiero zdobywał samotność prawdziwą. Co prawda przybył do Wenecji nie w poszukiwaniu samotności. Wybrał to miasto na wiarę romantycznej legendy, a także nie licząc się z niespodziankami, jakie kryła w sobie ta pora roku. Po dniu rozczarowań do pozostania skłoniło go chwilowe wypogodzenie, ulewa zaś zaskoczyła go na Ponte Ferroviario i odrzuciła ku Accademia, gdzie wpadł w sidła ogromnych malowideł Tycjana, Veronesa i Tintoretta, w sidła zbijającego z tropu mistrzostwa dwornych malarzy tego miasta... odkrył obrazy Vivariniego, dotąd mu nie znane, a gdy znów znalazł się na wolnym powietrzu, odczuł nagle coś jakby upojenie jedną z deszczowych nawałnic, tymi strugami wody, które wielkie porywy wiatru podnoszą na Canal Grande, gdzie gondolierzy uciekają w ulewie jak szaleni, z pasażerami przycupniętymi w la felza\*<sup>1</sup>. \*(Rodzaj kabiny umieszczonej na środku gondoli.)

W miejskiej dali zatopiona w wodzie dekoracja klasztorów tworzących wysepki, gdzie widać złocone kościoły i mury bez okien, smutek lagun, na drugim planie spalony gorączką krajobraz za Fusine, zjeżony trzcinami, gdzie ziemia z trudem godzi się na współistnienie... ta dekoracja, tak daleka od obrazów, jakie wyśnił sobie Piotr, w cudowny sposób dostrojona była do okresu mutacji, jaki przechodził, do terminowania, jakie miał odbyć w służbie prawdziwej samotności.

Język włoski i błahość, jakiej nabierają dzienniki dla oczu nie przyzwyczajonego do nich cudzoziemca — wszystko to wzmagало wrażenie pustyni, jakim napawał się Piotr. Nie miał teraz potrzeby wstawiać rano, a właściwie może w ogóle nigdy jej nie miał. Nie było też czym zaprzętać myśli, chyba tą przeszłością, której nie można przecież wałkować

bez końca. Był jak człowiek, który codziennie chodził do kawiarni, aż zaczął wreszcie swego triktraka uważać za czynność bardzo poważną, i gdy pewnego pięknego dnia zabierają mu pudełko z grą, nasz człowiek nie ma nic do roboty i dostrzega nagle absolutną pustkę życia.

Piotr nie miał już o czym myśleć i Wenecja, to miasto niezrównane, zaludniało jego serce, oczy i sny przelewając w nie swoje kamienie, pałace, uliczki, mosty, swoje powściągane szaleństwa i tajemnice. Żył jak ludzie w epoce klęsk, kiedy po wszystkim, co się przeszło, człowiek wzrusza się słysząc jeszcze w sobie pulsowanie krwi i wystarcza mu to na wypełnienie sobie życia aż do następnego najazdu barbarzyństwa lub spodziewanego wybuchu lawy wulkanicznej. Niekiedy, patrząc na zegarek lub słysząc bicie dzwonów, mówił sobie: „O tej porze byłbym tutaj albo tam... miałbym przed sobą oblicze pana Decrasement lub Meyera... Paulina kładłaby mi w uszy, że dzieci są głodne lub że kucharka ma wieczorem wychodne... Bałbym się ujrzanego wśród poczty listu od Castra i poszedłbym go przeczytać w swoim pokoju...” Dyluwialny szmer deszczu na szybach, siarczana barwa w powietrzu, zdumiewająca pustka ulic...

Trwa to lata czy tylko tygodnie? Do tego, właśnie do tego prowadziły go współprzytomne marzenia senne jednej z ostatnich nocy jego dawnej egzystencji... Tak, teraz rozumiał, dlaczego na Gare de Lyon kupił bilet do Włoch... Ten wiersz Michała Anioła:

*Non veder, non sentir m'e grañ ventura...*

I Wenecja była mu wielką przygodą negatywną, jak niewidzenie i niesłyszenie...

## II

Wiatr nagle ucichł; deszcz przestał padać. Piotr wychodzi spod arkad Palazzo Ducale, idzie na Molo aż do parapetu. Widok stąd mocno kontrastuje z całą resztą miasta; jest to ogromny krajobraz: wspiera się o dziwną architekturę otaczającą plac i ciągnie się przez wybrzeże degli Schiavoni aż do parków miejskich, na prawo zaś biegnie w ujście Canal Grande i zagarnia wielki obszar ołowianej wody. Wszystko zresztą jest ołowiane w tym nagle uspokojonym świecie: niebo, kamień i to morze, fałszywe, jak fałszywa jest miłość w gondolach. Naprzeciw, w dali, wyspa San Giorgio Maggiore, gdzie biały kościół z kolumnami rozmawia ze złotymi kopułami Santa Maria della Salute, w najdalszym krańcu Canal Grande. Malarze tego miasta rozbójników tysiąc razy odtwarzali to upajające miejsce, to okno wychodzące na niebo niby niewypowiedziany sen o wielkości, śniony przez ludzi grzęznących wśród lagun i pałaców. W tym właśnie miejscu nie do zniesienia Piotr doznał dziwnego lęku przed zbyt wielkim Obnażeniem, nagłej tęsknoty za uliczkami ciasnymi, na miarę ciosu sztyletem lub barczystego mężczyzny. Okrąża Palazzo, idzie wzdłuż straszliwego więzienia, skąd nie dolatują już łkania, przechodzi przez

pierwszy lepszy most o wygiętym grzbiecie, zmienia kierunek, idzie dalej, błądzi.

Nigdzie człowiek nie zabłądzi tak łatwo jak w Wenecji; co dziesięć kroków zdaje mu się, że już to się odnalazł, to znowu zgubił. Popołudnie było wyniosłe i mury dla przechodnia nieczulsze i surowsze niż kiedykolwiek, niczym końskie okulary. Nagle ulica wybiega na kanał, nad którym nie ma chodnika; trzeba było zawrócić, znowu zmienić kierunek. Wszystko w tym mieście jest na tyle do siebie podobne, że zwodzi oszukańczym przypomnieniem. Wszystko ma charakter rzeczy widzianych już we śnie, wszystko zbija z tropu i sprawia, że upieramy się przy raz obranej drodze w jakimś problematycznym kierunku. Potem wszystko dzieje się tak, jakbyśmy się obudzili w pokoju, do którego nie przywykliśmy, gdzie łóżko stoi w zaskakujący nas sposób, a ściana wznosi się nie tam, gdzieśmy je oczekiwali... Rozpogodzenie się odemknęło domy; przechodnie mijali cudzoziemca patrząc nań podejrzliwie: ociężałe kobiety w czarnych chustkach, zręczni mężczyźni, nieśmiałe dziewczęta. Wszyscy spieszyli się, jakby chcieli zdążyć przed deszczem. W wodnej ulicy rozlegały się okrzyki gondolierów, którzy pędzili wymyślając sobie. Nagle Piotr znalazł się na jakimś placu; gdzież to zawędrował? Szpital. Doszedł do starego szpitala miejskiego, do Scuola di San Marco, chociaż sądził, że ma go za sobą, a przed nim, w ten zimowy dzień, kondotier na marmurowym cokole, na koniu, jedynym koniu w Wenecji, patrzył, jak zbliża się ku niemu zabłąkany Francuz spadły nagle w epokę Renesansu z ostatnich dni jego potęgi, zakłopotany spotkaniem z tym olbrzymem, bo wyglądało to na szyderstwo z tej odrobiny ludzkiej władzy, jaka mu jeszcze pozostała.

Ten zawsze pusty plac pomiędzy San Zanipolo, klasztorem la Scuola i, w głębi, Rio dei Mendicanti, z małym mostem podobnym do splecionych rąk, robi wrażenie dekoracji teatralnych, wśród których odegrano właśnie jakąś sztukę. Kto wie, czy nie leży tu gdzieś jeszcze beret ciśnięty w kąt przez tenora, gdy sięgał paroksyzmu melodii; może poniewiera się jeszcze w kącie strzep płaszcza primadonny. Coleoni był właśnie towarzyszem, jakiego trzeba było Mercadierowi. Piotr długo patrzył na niego, przypisując mu wszystkie swoje myśli — jak ten facet musiał gardzić ludźmi, jak był nieczuły, jak nic nie dostrzegał! Piotr czuł się zrobiony z tego samego brązu: eks-nauczyciel historii w jednym z francuskich liceów czuł pomiędzy sobą a tymi najeźdnikami, co stratowali północną Italię, dziwaczne powinowactwo, wyrosłe z krwawych opowieści, dzięki którym te czasy mozaiki i zbrodni dotrwały żywe aż do naszych czasów. Mercadier aprobował w tej chwili wszystkie okrucieństwa przeszłości, gotów przedłużyć jej grozę; nawiedziła go chęć panowania.

Nie zauważył, że jego obecność na placu przywabiła z uliczek zawszawioną, wielkooką dzieciarnię, która zaszła go od tyłu, krokiem spiskowców, strojąc miny nakazujące milczenie. Coś bardzo małego, liczącego zapewne cztery lata, ośmieliło się podsunąć mu aż pod rękę, tak czarne jedwabiste kędziory musnęły palce podróżnika, który przerwał swój

dialog z Coleonim i spojrział w dół; ufny czar dzieci sprawił, że okrutny zdobywca, już cwałujący po miastach wśród krwi i zniszczenia, roześmiał się. Bezwstydna żebranina malca wzruszyła człowieka, który tak lekko porzucił własne dzieci. Bo w dziecku wzruszało go jeszcze młode zwierzę, coś całkowicie fizycznego. Nie zdążył jeszcze wsunąć ręki do kieszeni, a już obskakuje go wyjąca banda, rozpycha się, otacza coraz ciasniej, naciska, tłoczy się, wczepia pazurami. Jest ich ze dwudziestu, a najstarszy nie ma jeszcze dziesięciu lat. Piotr rzuca groszaki, cyklon wiruje, chłopcy rzucają się na siebie, biją się, tarzają po ziemi, ale powracają ze łzami, z krzykiem i szelmowskimi uśmiechami; i znowu wznosi się czterdzieści dziecięcych rąk... Piotr rozdaje pieniądze jak szalony, choć mówiono mu, aby tego nie robił; dzieci są nienasycone — dwie, trzy garście pieniędzy, więcej nie ma, a tym jeszcze mało! Ależ to staje się nieznośne, te krzyki, ten tłum więzących go smarkaczy ciągnie za nim, płacze się pod nogami. Mali durnie! Grozi im ręką. Najbliźsi osłaniają twarze ramieniem i skomlą jeszcze głośniej. Dość tego, dość!

W tej właśnie chwili rozlega się jakiś młody i niski głos o szczególnym brzmieniu i ktoś obrzuca napastników niewiarygodną ilością słów podobnych do tłuczonego szkła, całą masą weneckich przekleństw, które spadają na małe głowy skuteczniej niż towarzyszące im razy. Z tą niespodzianą odsieczą nadchodzi młoda dziewczyna, która sama jest właściwie jeszcze dzieckiem, ale już kształty ma okrągłe, dziwnie pulchne; ubrana jest na czarno jak wszystkie kobiety z ludu, w za długą sukienkę. Chusteczka zsunęła się z głowy na ramiona, widać czarne kędzierzawe włosy, bardzo gęste, zbite i zebrane nad karkiem. Jest to dziewczyna biedna, lat około szesnastu. Na serio walczy z malcami, aż poczerwieniała; Piotr widzi, że cera jej jest czysta i świeża, wzruszająca jak u małych dzieci... Oboje bez słów dochodzą do wniosku, że muszą połączyć swoje wysiłki, jeśli mają przegnać dzieciarnię; nagle ona pochyla się i zdejmuje trzewik z nogi. Mali żebracy zaczynają krzyczeć i uciekają przed ciosami obcasa. I oto Piotr i nieznajoma zostają sami; stoją tuż przy sobie. Patrzą na siebie i wybuchają śmiechem. Ona przypomina sobie o opadłej chusteczce i poprawia ją z szybkością, z której można wnioskować, że nieprzystojną rzeczą jest pokazywać się z gołą głową nieznanemu panu, a ponieważ utyka na bosą nogę, najnaturalniej w świecie opiera się o ramię obcego szepcząc: „*Per favor*”(przepraszam)... i chwiejąc się wkłada trzewik. Piotr przytrzymuje ją, ma ją tuż, właściwie trudno uważać ją za kobietę, nie ma ani krzty wyrobienia, ale jakież ogromne oczy! I te drobne rysy, uparty podbródek, trochę nadaśane usta... Podnosi na niego spojrzenie piękne jak lato i prędko, bardzo prędko tłumaczy się, przeprasza, mówi o chłopcach, którzy uciekli, i gestem pełnym nagany potrząsa lokami, wykonuje lekki ukłon. Byłaby zapewne odeszła, ale Piotr odpowiadając jej popełnia tak grubo błąd językowy, że dziewczyna wybucha śmiechem, bystro mu się przygląda, potem pochyla głowę, wreszcie uśmiecha się i pyta:

— *Francese?*

Ponieważ jest Francuzem, więc ona nie odchodzi; lekko sepleniącą wymową weneccjan odzywa się:

— Musi nam pan to wybaczyć, ci chłopcy są bardzo źle wychowami, ale to nędza... cudzoziemcy nie mają wyobrażenia, z jakim trudem staramy się oduczyć ich żebraniny...

Skąd ona umie po francusku? I ta staranna, poprawna wymowa! Przyjrzał się jej uważniej; szczerze jest uszczęśliwiona z efektu. Brwi jej tworzą idealnie prostą linię, wznosząc się nagle ku skroniom. Tłumaczy się. Jesteśmy Francuzi... mój pradziadek był cesarskim żołnierzem... Nazywał się Blanc... Z tego zrobiło się Bianchi...

Po takim wyznaniu trudno się zaraz rozstać, ale jak właściwie traktować tę dziewczynkę? Sam diabeł wymyślił tę tak prostą pokusę dla cudzoziemca zagubionego od tygodnia w skąpanej w deszczu Wenecji — dźwięk jego rodzinnej mowy z poezji obcego akcentu. Piotr, który trochę wstydził się swojej lichej włoszczyzny, czuje się wyzwolony i chętny do rozmowy. Dziękuje jej za obronę przed bandą chłopaków w żartobliwym zdaniu na temat skwapliwości, z jaką poświęciła swe obuwie... Gdy wkładała trzewik, dostrzegł białą halkę i skrawek bardzo zgrabnego uda... Czy coś z tych wrażeń odbiło się w jego oczach? Dziewczyna lekko się cofnęła i w milczeniu ukłoniła się, zamierzając odejść... Trudno.

Ale oto dziewczyna wraca, chłopcy znaleźli posiłki. Jest to już istna mała armia, rozwrzeszczana; dopominają się o pieniądze, a jednocześnie grożą, wyciągają ręce, a jeden z chłopców pokazuje otarte kolano. Jest ich teraz przeszło czterdziestu. Piotr chwytą dziewczynę za ramię i ucieka z nią, zanim dopada ich zgraja. Malcy otaczają parę, ze wszystkich stron odcinają jej odwrót. Przypierają Piotra i jego towarzyszkę do parapetu nad kanałem. A Piotr nie ma już ani grosza, aby się ich pozbyć.

Ale w tej chwili zza parapetu podnosi się postać iście komediowa. Postać wspaniała, granatowa, w krótkiej bluzie, wełnianym trykocie, postać olśniewająca, olbrzymia, herkulesowa, z całą masą pięknych zębów, z roześmianymi a łagodnymi oczyma, i kłania się. Jest to gondolier, który stoi w swojej luksusowej gondoli, strojnej w miedź, purpurowy aksamit, gondolier na uroczyste okazje. Mówi z zapraszającym gestem:

— *Signor, signor...* — wiedząc, że obcy nic więcej nie zrozumie, ale z wszelkimi obietnicami ziemi w tym jednym słowie.

Nie ma wyboru: jest to jedyna ucieczka przed malcami, którym gondolier wygraża wiosłom. Piotr podaje rękę dziewczynie. Ona waha się, oblewa się mocnym rumieńcem — gondola jest taka piękna! Szepcze coś, potem przyjmuje ramię obcego pana i skacze do gondoli, a tymczasem chłopcy wykrzykują pod ich adresem różne okropności i rady, w których przewrotność i nieporównana sprośność idą z sobą w zawody.

Wszystko to odbyło się w takim tempie, że oboje nie bardzo wiedzieli, co robią, i oto już cudzoziemiec siedzi w *felza* osłoniętej draperiami, tuż przy młodej weneccjance, i czuje bicie jej serca. Siłacz, który natychmiast odbił od brzegu, pochyla się, aby zapytać *signoriny*, gdzie ma ich zawieźć. Ona

patrzy na towarzysza, a ten mówi:

— Dokąd pani sobie *życzy*. Dziewczyna jest ogromnie wzruszona. Taka piękna gondola! Chciałaby nią płynąć długo, długo...

— Jak pani sobie *życzy* — powiedział i ujął ją za rękę, którą cofnęła z lękiem. Gondolier uśmiecha się, nie rozumie po francusku... Dziewczyna wdaje się z nim w ożywioną rozmowę w dialekcie weneckim, z której Piotr nic nie rozumie, a ona gniewa się, karci go, trochę krzyczy, potem uspokaja się... Tamten wyprostował się i teraz wiosłuje; nie widzą go, czują zamaszystość jego wysiłku, pewność jego biegu, są sami. Piotr wie tylko, że zmierzają do centrum miasta...

### III

Z tej niewinnej przejażdżki, zakończonej w punkcie, z którego wyjechali, to znaczy na Campo Zanipolo, Piotr Mercadier powrócił pełen sprzecznych uczuć. Francesca Bianchi uciekła w kierunku Fundamente Nuove, gdzie mieszkała jej rodzina, bez wielkich sprzeciwów umówiwszy się z towarzyszem na dzień następny w tym samym miejscu. Piotr wcześniej już zapłacił gondoliera pod chmurną kontrolą dziewczyny i zamierzał pieszo wrócić do hotelu. Spojrzał na Coleoniego w zmierzchającym a świetle dnia i wezwał go na świadka. Co to wszystko ma znaczyć? Czy wrócę do twoich stóp, Condottiere, aby znów spotkać się z tą dziewczyną. I po co? Czy jest sens przeciągać tę historię? Nie będę grał roli gorszyciela maluczkich. To jeszcze dziecko... Minęły dla mnie te czasy.

Coleoni wciąż trutował biedaka oraz sierotę całym brązem swego konia i swej przewrotności. Piotr porzucił go i z głową pełną nęcących myśli, nie dokończonych zdań i marzeń doszedł do Santa Maria Formosa. Nie, nie, nie pójdzie na to spotkanie, o które poprosił tak bezmyślnie. Zaplątywać się w przygodę... Żadnych komplikacji... Spać z tą smarkatą... Bo jeżeli nie w tym celu... Thuc się gondolą z dłonią w dłoni... Dziewczyna jest urocza... Te trochę zbyt wydatne usta... Ale rodzina, mnóstwo kłopotów... Więc co, nawiązać stosunek miłosny? Czy też natychmiast puścić ją kantem? W tym kraju obowiązują jakieś prawa, o których mam słabe pojęcie... Może się to i przeciągnąć, jeżeli będą go szantażować... Zawierzyć wolność przypadkowi... Nie, nie.

Mercadier z niejaką przyjemnością pomyślał o Paulinie, dzięki której nie mogło mu już grozić małżeństwo. Ale nie po to ją opuścił, aby znowu ugrząść w jakimś związku. I pomyśleć, że oto już roztrząsa podobny temat dlatego tylko, że jakaś tam dziewczyna z ludu pokazała mu łydkę... Staneła mu znów przed oczyma jej halka, ruch, jakim włożyła trzewik. Z pewnym niepokojem uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu okazuje się wrażliwy w stosunku do tak bardzo młodej kobiety. Kobiety... o ile w ogóle można ją tak określić.

Zmyliwszy nieco drogę, znalazł się w „La Merceria”. Przychwycił się na tym, że ogląda naszyjniki. Czyżby był chory? Ten ładnie by wyglądał na szczupłej szyi Franceski. Dobrze, dobrze! Ulewa szybko pognała go do



hotelu.

W pokoju znów opadły go chaotyczne myśli. Wyobrażał sobie dzień następny i to, co nastąpi później, w sposób cyniczny. Bo właściwie po co te wszystkie skrupuły? Francesca lubi pływać gondolą, jest dojrzała do miłości, może zgodzić się albo nie. On nie będzie nic przyrzekał. Oczywiście, że jeżeli się z nią spotka, zrobi to w ściśle określonym celu. A zatem? Potrwa to zależnie od tego, ile będzie miał z tego przyjemności... Jeżeli chodzi o jego niezależność... tylko idiota mógłby tu narazić swoją niezależność...

A potem nagle wyobraził sobie tę małą we łzach, opuszczoną przez niego, kto wie, może w ciąży... Roztkliwił się jak midinetka. Cóż za łotr ze mnie! Dlaczego nie miałbym wynająć w Wenecji jakiegoś mieszkania? Jakiejś części pałacu? W okolicy Santa Margherita na przykład, gdzie trafiają się tak urocze zakątki... Ona przychodziłaby do mnie... Mógłbym wynająć gondolę na miesiąc... Stary bałwan! Cofnęła się, gdy chciałeś ją pocałować... Ale była to pierwsza próba... Kto wie? Czy umiałbym jeszcze kochać?

Nie o to chodzi... Kochać — już nie czas na miłość, nie ma co obawiać się jakiegoś zawrotu głowy... Rzecz w tym, czy ja mogę jeszcze być kochany. Zapalił świecznik i przyjrzał się sobie w lustrzanej szafie. Trudno coś rzec. Świece rzucają fantastyczne cienie, zdradzają zmarszczki, a przecież ukrywają to, co najważniejsze... Przypatrywał się sobie z rozpaczą, z pragnieniem, aby się zobaczyć innym... Za późno, za późno. Ach, czemuż nie uciekł o dziesięć lat wcześniej? Ale, gdy wpatrywał się uważniej, poczuł w sobie głęboką wolę, aby się okłamać, aby myśleć, że może się jeszcze podobać; zbliżył się do lustra i jego wyraźne odbicie zmaćło się, odmłodziło...

Zjadł obiad w pobliżu Campo San Angelo, w restauracji wskazanej w przewodniku. Zjadł te obrzydłe stworzenia z bagien, które tylko w Wenecji uchodzą za pożywienie ludzkie i których woń jest talk wstrętne jak to, czym się te stwory żywią. W tej chwili smak ten pozostawał w harmonii z myślami Piotra, z gruntownym obrzydzeniem, w którym znajdował upodobanie i wobec którego białe wino soave wydało mu się cudem, mimo że wcale nie cenił włoskich win... Ale na próżno usiłował odwrócić myśli od Franceski Bianchi. Zawładnęła całą jego mocą aż do najgłębszego dna jego snów; raz była wcieleniem niewinności, to znów ladacnicą; raz widział ją przy sobie nagą, z bezwstydnym bogactwem szczegółów, to znów zacierały się nawet rysy jej twarzy, nie wiedział nawet, jak wygląda. Jej trochę wilgotne oczy, drobne, źle utrzymane ręce. Mogła dać mu coś nieocenionego, dowód, do którego każdy mężczyzna przywiązuje wielką wagę, nie mającą nic wspólnego z rozkoszą, ten dar z siebie, który... Tak, gdyby to zrobiła, znaczyłoby to, że on może się jeszcze podobać, że życie jego jeszcze się nie skończyło. W pustyniach naszej egzystencji, od obłoku do obłoku, szukamy coraz to nowego niebiańskiego znaku tejże egzystencji, szukamy w drugim człowieku potwierdzenia naszej siły, bo

wtedy przestajemy być strzępem unoszonym przez huragan, stajemy się ośrodkiem tego świata, który zniknie, gdy nas zabraknie... ja, ja, nic, tylko ja... Nie umiem wyobrazić sobie, że wszystko to mnie przeżyje; może zostanie po mnie, jak w pradawnych czasach, jakiś opustoszony step, chaos, bezładna dziedzina skłócanych żywiołów... Widzę dni, co przyjdą po mnie, jako okres barbarzyństwa; nie mogę ścierpieć myśli, że te domy będą stać dalej, że wśród nich krążyć będą młodzi ludzie, biegać dzieci... Przeciw śmierci Piotr wzywał ducha Franceski... Czy pokocha ją? Któż to wiedzieć może? W końcu ciemności nad wszystkim wezmą górę.

Nazajutrz dał bardzo zimny wiatr, gdy około godziny drugiej, u stóp Coleoniego, zobaczył nadchodzącą Franceskę. Nie był całkiem pewny, czy to ona — niższa i mniej wiotka... Niewątpliwie wystroiła się, na co wskazywała kolorowa chustka na szyi i wielka schludność ubogich łąszków. Była trochę zadyszana. Biegła...

— Pozwoliłam panu czekać... ojciec nie chciał mnie wypuścić... przez tych malców... jeden jest chory... Wymknęłam się przez sąsiedni dom... Bo wie pan, my nie mieszkamy tak zwyczajnie, zresztą zobaczy pan! — Zaśmiała się. Dotknęła jego brody i powiedziała: — Myślałam, że taka broda musi być bardzo szorstka...

Wziął ją pod ramię.

Poszli ulicami na chybił trafił. Wyciągnął ją na rozmowę, opowiadała mu o swoim życiu codziennym: nawleka szklane perły na naszyjniki do „Mercerii”. („A ja chciałem jej kupić tam jeden z tych naszyjników” — pomyślał Piotr.) Ojciec pracował jako koszykarz, ona musi myć i pielęgnować malców. Matka znowu spodziewa się dziecka...

— I tak — mówiła Francesca — zaledwie jedno się urodzi, już drugie jest w drodze!...

Z obawą patrzyła na przechodniów: zobaczy ją z cudzoziemcem jakiś znajomy jej rodziców. Gdy nadchodził ktoś z weneccjan, nasuwała chusteczkę na twarz.

— Jak chciałaby pani spędzić ten czas? — zapytał. Co prawda, miał swój plan. Zawahała się trochę, odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i powiedziała głosem płynącym z najgłębszego dna pragnień:

— Chciałabym pojechać gondolą...

Znowu? Potrząsnęła lokami, westchnęła. Tak, o tym właśnie marzyła, za tym przepadała. Więc dobrze. Doszli prawie do San Marco nie widząc dość pięknej gondoli, bo ona chciała pięknej. Ale wreszcie zobaczyli wczorajszego gondoliera, który poznał ich i uklonił się. Francesca spojrzała błagalnie, wsiedli więc znowu do swojej gondoli. Francesca miała ochotę jechać na Murano. Prosiła o to z wielkim zażenowaniem. Ze względu na długość kursu dobrano jeszcze jednego wiosłarza, co znowu dało sposobność do targu z gondolierem w weneckim narzeczu; dziewczyna, jak poprzednim razem, rozgniewała się i wyciągnęła zaciśniętą drobną pięść; odniosła zwycięstwo i z dumą popatrzyła na nowego przyjaciela.

Przejażdżka po lagunie w zimie jest niezbyt zabawna i łódź mocno się

kołysze, Murano zaś jest miejscem ponurym. Ta wyspa szklarzy, skąd wychodzą przedmioty wydmuchiwane i złożone, te szaleńcze perły, obłądne kwiaty, świeczniki i zwierciadła, lichtarze z kandyzowanego cukru i karmelki z sennych marzeń, ta wyspa jest po prostu miastem wokół fabryk, chociaż w kościele San Pietro Martire przechowuje się od końca XVI wieku Madonnę Belliniego, która jest chrześcijańską Wenus wyłonioną z tej szklanej piany. Trudno o coś bardziej zrujnowanego, uboższego i bardziej zżartego trędem niż Murano. Do nędzy murów przyłącza się nędza ludzka, upodlenie pracy, powszechna gruźlica, cherlawość dzieci, bezkrwistość rasy osłabionej wydmuchiwaniami szkła. Francesca zdawała się tego nie dostrzegać. Nie smuciło jej to. Myślała tylko o tym, co się tu robiło, o pracy. Nawet uciążliwość tej pracy nie dziwiła jej. Widocznie była przyzwyczajona do takich lub zbliżonych do tego warunków. Cóż za pomysł, aby przechadzać się po tej kaźni przemysłu! Bywają w życiu rzeczy, które omija się; wie się, że muszą istnieć, ale unika się ich widoku. I tak we Francji Piotr nigdy nie zapuszczał się w smutne miasta, do których nic go nie ciągnęło; w Paryżu, jako amator zabytków sztuki, ograniczał się do dzielnic, gdzie umysł znajduje zadowolenie, zaś sercu nic nie dolega. Tutaj trzeba było zwiedzić muzeum miejskie i obejrzeć wyroby ze szkła; Francesca klaskała w ręce, promieniała, była w siódmym niebie. Piotr zaczynał naprawdę pokpiwać z samego siebie.

W drodze powrotnej, siedząc w *felza*, ogarnięty niecierpliwością, gdy ona tuliła się do niego z tą półnieświadomością, która tak na niego działała, odchylił jej głowę i chciwie pocałował w usta. Zamknęła oczy, jakby ochłodziła; nie odpowiadała, zrobiła się tak mała, że mu się wymknęła... Nie odezwała się ani słowem, nie rozgniewała się, siedziała tylko długo w milczeniu, potem przesunęła palcami po ustach i rzekła:

— Jutro nie będę mogła przyjść...

Przestraszył się: czyżby ją obraził? Zachowywał się naprawdę jak sztubak. Ale nie, nazajutrz po prostu miało być w domu pranie. Na trzeci dzień znowu wsiedli do gondoli i pojechali do San Giorgio Maggiore, potem na wyspę Giudecca. Uparła się, aby zajść do kościoła de Redentore, gdzie wprowadził ich zakonnik-franciszkanin. Tam objawiła mu się pobożność jego towarzyski. Klęcząc na marmurze, modliła się z niezwykłą żarliwością, padała krzyżem. Piotr, dość zakłopotany, czekał, kiedy się to skończy; teatralne sanktuaria, jakimi są kościoły Palladia, z kopułą, kolumnadami i masą światła, wydawały mu się słabo sprzyjać uniesieniom religijnym. Co prawda, w sprawach dewocji nie był zanadto biegły.

Gdy wyszli, Francesca od razu się zmieniła, ogarnął ją jakiś pośpiech. Wdała się w dyskusję z gondolierem, kazała mu wrócić do miasta, wjechać w Rio di San Trovaso, potem w Canal Grande, aż za Rialto. I zwracała się do Piotra, ścisła jego ręce, wydawało się, że nie śmie spojrzeć mu w oczy. Wołała do wiosłarza:

— Santi Apostoli! Santi Apostoli!

Skierował się w prawo, w kanał tej nazwy. Prawdę powiedziawszy, Piotra

znudziły już te wszystkie dzieciństwa, ta naiwność i to podniecenie. Dokąd zaprowadzi go ta przygoda? Czy po prostu nie powinien wyjechać z Wenecji? Był tylko rozczarowany rozwojem zdarzeń. W wąskim *rio*, przed nie znanym mu kościołem Francesca zatrzymała gondolę. Nalegała, by Piotr odprawił ją.

— Gdzie idziemy, dokąd mnie prowadzisz? — zapytał, bo przeszedł już na „ty”. Ścisnęła go za rękę jakby ukradkiem. Serce biło mu w zmierzchającym dniu.

Nic z tego nie rozumiał; trzeba czekać, co będzie. Po paru krokach znaleźli się na bulwarze naprzeciw laguny i Piotr rozpoznał Fundamente Nuove. Tu mieszkała rodzina Bianchi. A może ona chce go zaprowadzić do swego papy? Zaśmiał się szyderczo i powtórzył:

— Dokąd idziemy?

#### IV

Wejrzenie jej było pełne blasku. Niebo ciemniało, wiatr stawał się prawie nie do zniesienia, na lagunie było pusto i Fundamente wydawały się zupełnie wyludnione.

— Zostaliśmy pobłogosławieni — powiedziała dziewczyna, ujęła rękę Piotra i przycisnęła ją do serca.

— Co ty mówisz?

Nie odpowiedziała i pociągnęła go ku jednemu z wielkich domów okalających bulwar. Były to budynki niewysokie i czcigodne, pałace, gdzie tu i ówdzie zwisała z okien nędzna bielizna, susząca się odzież, ale górne piętra ziały otworami na przestrzał, dachy były dziurawe, a na dolnych piętrach trafiały się znaczne przestrzenie nie zamieszkane. Majestatyczna brama, ku której Francesca prowadziła Piotra Mercadier, nie otwierała się od dawna i, zabita deskami, miała tylko niewielką furtkę, która ustąpiła pod ręką dziewczyny.

Znaleźli się pod sklepieniem, gdzie w półmroku, u stóp schodów o poręczy kutej w żelazie, nagromadzono materiały pochodzące z rozbiórki. Piotr uczył przede wszystkim kurz pokrywający tutaj wszystko. Drewniane schody były wyszczerbione. Weszli na górę.

— Co mówiłaś?

Odwróciła się:

— Cicho, cicho... Mówię, że zostaliśmy pobłogosławieni... niedawno... w kościele Redembore...

Stała o dwa stopnie wyżej. Nachyliła się i ze wzburzonym i ukradkowym pośpiechem przytknęła współprzymknięte usta do ust Piotra. Usta trwożne i miękkie. Nierealne, dziecinne usta. Chciał ją chwycić w ramiona. Wymknęła się. Tak wciągnęła go aż na trzecie piętro. Z własnej woli tłumił odgłos kroków, nie wiedząc, dlaczego to robi. Francesca otworzyła jakieś drzwi i znaleźli się w opuszczonym mieszkaniu o ścianach niegdyś malowanych, o białych sufitach, gdzie przez wyrwane okna hulał wiatr; podłoga jednego z pierwszych pokoi zapadała się i ziała ku niższemu

piętru. Musieli przejść tuż pod ścianą, bo wzdłuż otworu biegła tylko chwiejąca się deska.

Miejsce to wyglądało dziwnie i uroczyście, miało bowiem jednocześnie charakter minionego zbytku, martwej wielkości; wysokie kominki wyglądały po wielkopańsku, a tymczasem na wszystkim leżała gruba warstwa białego pyłu. Wrażenie to wzmagało zachowanie się obojga, bo niczym zbrodniarze starali się stapać jak najciszej. Gips opadający z sufitów, strzępy tkanin, płótna obciążające jeszcze połamane deski, wszystko miało w sobie spokój starej ruiny.

— Słuchaj! — odezwała się Francesca.

Poprzez ściany dobiegły tony gitary i śpiewka z neapolitańskiego przedmieścia, opadające w zrujnowanym domu jak krople roztopionego ołowiu. Wiatr dął ze zdwojoną siłą. Chmury na niebie nagle poczerniały. Było jednocześnie zimno i duszno.

— Czy powiesz mi wreszcie...

— Słuchaj! — powtórzyła. Słuchała gitary w głębokim, wzruszeniu. Zbliżyła się do Piotra, tak że go dotykała. — Słuchaj — mówiła. — Ta muzyka... Czy podoba ci się ta piosenka? Kiedy wieczorami bywało mi smutno, słuchałam jej poprzez ścianę... w sąsiednim domu... Moja rodzina mieszka tu obok, o piętro niżej... Nie w górze; teraz, kiedy wybito ściany, domy łączą się z sobą... Dlatego właśnie wtedy mogłam przyjść na spotkanie z tobą, choć *padre* mi nie pozwolił...

Mówiła półgłosem, choć na pewno nie usłyszano by ich w sąsiednim domu, ale oboje lękali się bliskości rodziny Blanchi, co łączyło ich w tej bezsensownej obawie, powstałej zapewne ze wszystkich innych ich myśli. Zawiał potężny wicher, brutalny hałas deszczu policzkującego ziemię. Pochwycili się wówczas w objęcia. Uczuł jej wezbraną pierś, ręce pobiegły po jej ciele, bał się jeszcze, że mu się wymknie, że się zbuntuje, i to czyniło go niezręcznym. Ale ona wśród narastającego w dole śpiewu gitary, któremu wtórowała ulewa, mówiła:

— Zostaliśmy pobłogosławieni... pobłogosławieni... Błagałam o to Madonnę... ona zgodziła się... pada deszcz...

Drobne ciało drżało, oddawało się, bluzka otwarła się i ręka mężczyzny pochwyliła jeden z młodych owoców, jego broda musnęła obnażoną pierś. Francesca gładziła go po twarzy i lekko położyła mu palce na oczach. Poddawała się jego woli, a on czuł kolorowe płomienie pod powiekami. Nagle Francesca wpiła się w jego usta, a wtedy doznał jednocześnie wielkiej rozkoszy i wielkiego rozczarowania. Jakże, to była ta mała niewinna dziewczynka? Odepchnął ją i rzekł ochryple:

— Często bywałaś tutaj? Z innymi?

Nie zaprzeczyła, szepnęła cicho:

— Czy to ważne? — Ale on oburzył się. On sobie Bóg wie co wyobrażał! Szepnęła ze spieszonym uporem: — Czy to ma jakieś znaczenie? Widzisz, że czekam...

Drżała w rękach mężczyzny. Nigdy jeszcze nie miał w ramionach istoty tak

zwierzęcej, tak niewiarygodnie podobnej do małego zwierzęcia.

— Często? Powiedz? Z wieloma? Z kim?

Skinęła głową, smutna i omdlewająca. Gitara umilkła, ale ulewa trwała. Była już prawie noc.

— Czy to ma jakieś znaczenie? Nie znasz ich... Oni się nie liczą... To byli smarkacze... koledzy Angola... Niedorośli mężczyźni... Nie wiedziałam, że ty się zjawisz... Zapomniałam o nich... Słuchaj... Jesteśmy pobłogosławieni... Całuj, całuj mnie...

Nie wiedziała, co się z nią dzieje, myślała, że to te łyzy...

Jak się tu ruszyć w tych ruinach? To wszystko jest szaleństwem. Jaką ona ma delikatną i świeżą skórę i jak drży!

— Chodźmy gdzie indziej — powiedział... Ale objęła go z wielką siłą. Nie, nie... Może nawet wolał ją taką zbrukaną przez młodych robotników, z sąsiedztwa, już uświadomioną, już zepsuta. Mówiła:

— Wszystko, wszystko, co zechcesz...

Powtórzył:

— Chodźmy gdzie indziej... — Spadły na nich bryzgi deszczu. Ukąsiła go lekko w palec:

— Chodź... chcę ci pokazać...

Szli dalej poprzez zrujnowane pokoje. W zapadłej tymczasem nocy wyglądały jak fantastyczne dekoracje. Na zewnątrz widać było światła na lagunie, dalej cmentarz na wyspie.

Kazała mu przekroczyć zburzoną ścianę, weszli do niżej położonego pokoju. Sufit nie był tutaj wybity, ale w mroku, przez szpary w popękanej podłodze, błyskało światło. Chciał coś powiedzieć na ten temat, gdy ona uklękła i w milczeniu pociągnęła go za nogę, ażeby poszedł za jej przykładem. Czego chciała? Położyła mu palec na ustach i szepnęła:

— Popatrz...

Przyłożyła oko do podłogi, on zrobił to samo... Z początku niewiele widział, potem wzrok się oswoił. Pokój na dole oświetlony był nędzną świeczką. Był to duży pokój, z głębokimi zatokami cienia. Przy świeczce siedzieli kobieta i mężczyzna. Mężczyzna miał zakasane rękawy i nagimi rękoma o zwiotczałych mięśniach wyplatał coś z wiklinowych prętów. Był łyсы, ubrany w marynarski pasiasty trykot.

— *Padre* — szepnęła Francesca. Kobieta, matka, ociekła, opuchła, rozczochrana, robiła coś, zdaje się, szyła. W pokoju pełno było nędznej, kolorowej bielizny, rozwieszanej na sznurach, które zasłaniały widok oczom Piotra. Mimo to dostrzegł żelazne łóżko, samotne w swoim kącie, a na ziemi sienniki, na siennikach zaś klójące się, półnagie, brudne dzieci. Matka coś do nich zawołała. Dzieci ucichły i poszturchiwały się w milczeniu. Było tam jeszcze coś w rodzaju skrzyni, do której kobieta chodziła co jakiś czas zajrzeć. Dochodzący stamtąd płacz zdradził, że leży tam niemowlę.

Skrajne ubóstwo i smutek tego wszystkiego wzruszyły Piotra Mercadier. Więc Francesca tu żyła, tu wyrosła, tu wracała co wieczór! Cierpki zapach

zmieszany ze stęchłą wonią nędznej stawy i moczu. Ma ją tutaj zostawić? Opuści ją w tej okrutnej nędzy? Czuł ją przy sobie, pieścił. Potem pomyślał o wolności, o sobie. Bez głupstw. Była przyzwyczajona, nie widziała tego, jak nie widziała ruiny miejsca, gdzie prowadziła swych przyjaciół, aby się z nimi całować, jak nie dostrzegła przerażającego smutku Murano...

Ale widok był nie do zniesienia; po cóż dłużej się nim dręczyć? Odciągnął Francescę. W ciemności blask od podłogi oświetlił jej twarz, zobaczył mięsiste usta, krągły podbródek... Przyłgął do niej, ale szepnęła:

— Nie tutaj, nie tutaj!

Przeszli po omacku do sąsiedniego domu, gdzie wiatr wciskał się ze świstem i szarpał strzępem tapety, która szeleściła jak las na szczycie zrujnowanego pałacu. Piotr przygarnął znów dziewczynę do siebie, ale była nieobecna, zmieniona... może dlatego, że zobaczyła ojca... W cieniu uczuł na jej twarzy coś wilgotnego; płakała.

— Co ci jest, Francesco?

Milczenie. Ręka opiera się na sercu Piotra. Milczenie.

— Co ci jest? Płaczesz? Chcesz, abym cię zabrał? Daleko? Na zawsze?

Przygryza usta. Przysięgł sobie, że nie będzie nic przyrzekał. To zresztą było tylko pytanie... Uspokaja się. Ona zwleka z odpowiedzią, której on się boi. Odzywa się pierwszy:

— Nie, nie chciałbym cię rozłączać z rodziną, Francesco...

Mówił nie przyciszając głosu. A z ciemności odpowiada mu jakiś głos. Głos męski, młody i silny:

— Bardzo mi przyjemnie, proszę pana, ale co pan tu robi?

## V

Po dość skomplikowanej scenie, jaka teraz nastąpiła, zostało Piotrowi Mercadier uczucie wstydu i złości na Francescę. Gdy minęło zaskoczenie (przyznajmy, że było ono naturalne w tym zrujnowanym domu, wśród gruzów, w ciemnościach, w których Piotr, nie wiedząc, gdzie się właściwie znajduje, dręczony był zarówno obawą, że skądś wyłonią się ludzie i wybuchnie skandal, jak strachem, że w razie czego nikt nie przyjdzie mu z pomocą), gdy więc minęło zaskoczenie, Piotr zrozumiał nagle po okrzyku Franceski: „Angelo!”, że przyłapał ich brat dziewczyny.

Fakt, że nie widzieli się wyraźnie, miał swoje dobre strony, pozwolił usunąć pewien nieład, ale wzmagał jeszcze zamęt. Nie było mowy o ucieczce. Franceska szlochała. Co za szczęście, że w tej rodzinie wszyscy mówili po francusku! Ale pospieszny dialog w weneckim narzeczu pomiędzy rodzeństwem dał nagle Piotrowi do myślenia: a jeżeli byli w znowie? Oczywiście. To pułapka. Teraz nastąpi szantaż, a co do dziewczyny, jej szczerłość tyle była warta, co jej niewinność! Dziewka! Ogarnęła go hamowana pasja, ironiczna, zwrócona przeciw sobie samemu, przeciw własnej głupocie, pasja dość silna, aby czyniąc ruchy konieczne do zejścia z trzeciego piętra i wyjścia na ulewę, słuchał tylko jej głosu.

— Nie mam zapalek — powiedział w ciemnościach, tonem lodowatej uprzejmości, ów Angelo.

Czego oni właściwie chcą? Piotr nie wdawał się w dyskusję: niech libretto rozwija się tak, jak przewidzieli główni śpiewacy. Ale Fundamente Nuove, omiatane wichrem i nawałnicami deszczu, było miejscem nie do zniesienia, Piotrowi zaś wydało się niejasno, że dwoje współników nie ustaliło dokładnie, gdzie ma się rozegrać następna scena, zapewne scena targów. Albo może nie przewidzieli ulewy. W każdym razie miał wrażenie, iż nie zamierzają chyba mieszać do sprawy pozostałych członków rodziny Bianchi, o ile zresztą osoby ukazane mu przez szparę w podłodze pozostawały w jakimś związku z Angelem i Franceską. Nie był nawet pewien, czy ci oboje byli rodzeństwem. Wenecja jest miastem hultajów.

Prawdę rzekłszy, Angelo nie przedstawiał się zbyt groźnie. Wyższy od Mercadiera, który niewyraźnie widział go w ciemnościach, był szczupły, miał pewnie z osiemnaście lat. Przeszli parę uliczek w milczeniu przerywanym popłakiwaniem Franceski i odbywszy drogę, która Piotrowi wydawała się bez końca, znaleźli się przed niewielką *trattorią*, na małym, mrocznym *campo*, gdzie rysował się masyw barokowego kościoła. W świetle padającym od drzwi zarysowała się postać Angela, wskazująca drogę. Piotr zobaczył wówczas, że jest to chłopiec szczupły, młody i dość przystojny, podobny do Franceski, o takich samych ustach, ale o szaroblond włosach — dziedzictwo po dziadku Blanc czy też cecha wenecka? Ubrany był biednie, ale przyzwoicie, jak skromny rzemieślnik, w czarnym filcowym kapeluszu i szerokim, czerwonym krawacie; kamizelkę miał bardzo wyciętą, letnie spodnie zmoczone na deszczu, marynarkę z podniesionym kołnierzem. Zgrzytał ze złości zębami, a gdy Mercadier wszedł, gwałtownie wziął go pod ramię i zatrzymał, mówiąc wciąż z pełną wściekłości grzecznością:

— Naprzód dama... — bo Mercadier, zacierzwiony w pogardzie dla Franceski, miał wejść pierwszy.

Niska, prawie pusta sala, gdzie siedzieli dwaj klienci, zapewne robotnicy, i kelnerka; pod sufitem lampa, która gdy drzwi się otwały, zakołysała się, wprawiając w ruch cienie; Angelo przeszedł z władcą miną, wołając coś do kelnerki, i otworzył drzwiczki w głębi. Był to ciemny pokój.

Kelnerka przybiegła, zapaliła lampę i postawiła ją na stole, z którego wśród przeprosin spiesznie zabrała łuskany groch i poniewierającą się robotę na drutach.

Wciąż ze swą władcą miną, młodzieniec zamówił butelkę wina i pozostali sami we troje, przy stole pomalowanym na kolor cegły, z obrazem Madonny na ścianie i z przyglądającym im się czarnym kotem w kącie. Francesca, wsparłszy policzek na stole, płakała jak bóbr. Dobra z niej komedianka...

Mercadier zakaszłał.

— Doskonale, młody człowieku (trzeba wyciągnąć korzyść ze swego starszeństwa), ale co masz robić, rób szybko i mów, czego chcesz. Nie



sprzeciwiałem się, przyszedłem tu z panem i... z panią (lekki ukłon w stronę brunatnych włosów przysłaniających łzy)... proszę mi więc oszczędzić zbytecznych słów...

Angelo zaklął tak soczyście, że drobna ręka Franceski zadrżała od łkań. Młodzieniec wstał, przebiegł po pokoju, usiadł znowu.

— Byłem dosyć głupi — rzekł Mercadier — aby się nabrać na wasze sprytne machinacje... tym gorzej dla mnie... Tamten uderzył pięścią w stół.

— Machinacje? Co to ma znaczyć, proszę pana?

— Mój Boże — zadrwił Piotr — subtelności języka francuskiego są panu lepiej znane niż mnie odcienie języka weneccjan...

W tej chwili przyniesione wino rozładowało nieco sytuację, a gdy kelnerka wyszła, Piotr podjął znowu:

— Pańska siostra, o ile jest pańską siostrą, ma więcej talentu aktorskiego niż pan... Francesca się zerwała.

— Wierzysz w to? Ty w to wierzysz?

Rzecz rozwijała się wedle reguł klasycznych. Piotr przybrał znudzony wyraz twarzy, zgodny z rolą, jaka mu przypadła. Młodzieniec, z mieszaniną brutalności i czułości, zmusił dziewczynę, aby znów usiadła. Zwrócił się ku Francuzowi i rzekł z kipiącą powolnością:

— Jest pan podlejszy, niż myślałem... większy nędznik... Ach, tak, jest pan dość silny, aby krzywdzić małą dziewczynkę... ale gdy potem znajdzie się pan w obecności mężczyzny...

— Mężczyzny! — rzekł drwiąco Piotr. — Nie przesadzajmy.

Błyskawicznym ruchem Angelo wydobył i otworzył nóż sporych rozmiarów. Doprawdy, cóż za sytuacja! Ale widocznie zadowolił go ten dowód męskości, bo położył nóż przy sobie, na stole. Mercadier odetchnął. Francesca, z ręką na ustach, kręcąc przecząco głową, wyciągała drugą rękę i szeptała jakieś pieszczotliwe i przerażone włoskie słowa; im bardziej ona miała minę przerażoną, tym bardziej Piotr się uspokajał. Przestrach był częścią składową tej farsy... Wzruszył ramionami. Angelo wybuchnął:

— Słyszysz pan, co ona mówi? Mówi, że pana kocha! *La mia sorelita*(moja siostrzyczka). A pan... co za podłość! Do jakiego stopnia pan ją...

— O, nie, mój chłopcze, wypytasz ją później... gdy już podzielicie się pieniędzmi!

Oboje krzyknęli równocześnie. Nareszcie dramat rozwijał się w pełni! Francesca wstała, popatrzyła na Piotra oczyma pełnymi zgrozy, zakryła twarz rękami i rzuciła się ku bratu. Mówił do niej coś cicho po włosku; Piotr postanowił zostawić inicjatywę ostatnich posunięć przeciwnikowi. Zresztą nie miał przy sobie dużo pieniędzy... może pięćset franków... co prawda, to też spora suma. Zaofiaruje dwieście.

Czy ten półgłosem prowadzony dialog, przerywany łzami dziewczyny, będzie trwał wiecznie? Angelo namawiał ją, aby wyszła... aby zostawiła ich samych. Widocznie bojąc się, że brat ją oszuka, udawała lęk, rzucała spojrzenia na nóż. Piotr nie spuszczał oczu z broni. Ale nie chciał, by sądzono, że się boi. Napełnił sobie kieliszek i zaczął pić małymi łykami.

Nagle Francesca wybiegła, drzwi za nią trzasnęły, patrzyli, jak znikwała w dużej sali...

Potem milczenie. Dwaj mężczyźni zostali sami. Piotr podniósł głowę i rzekł z należytą ekspresją:

— A zatem... Ile?

Tamten usiadł, położył płasko rękę na trzonku noża i powiedział:

— Ile masz uszu?

Przesadą byłoby twierdzić, że Piotr Mercadier zachował doskonały spokój, ale przeświadczenie, że wszystko to była sprawa ustalenia sumy, czyniło go dość butnym, zwłaszcza że nie był słabszy od tego bladego żółtodzioba, któremu wargi drżały i który bez wątpienia bardziej lękał się własnego noża niż jego rozmówca. Mówił dalej nie czekając na odpowiedź:

— Lepszy z pana gość... Nic... nic nie przychodzi panu na myśl poza pytaniem: ile... Na pewno śmiałyby się pan, gdyby ktoś panu powiedział, że istnieją rzeczy, których się nie sprzedaje... na przykład honor... Honor to dobre dla waszych kobiet, ale nie dla naszych sióstr... Lepszy z pana gość... Drżał naprawdę. Nalał sobie jeden po drugim dwa kieliszki wina, które wypił duszkiem, otarł usta, zamknął dłoń na rękojeści noża, jakby dopiero teraz go zobaczył, i przysunął go sobie, aby mu się przyjrzeć.

— Co z panem teraz zrobię? Zabić pana? A Francesca? Mnie jest wszystko jedno... ale Francesca! O, pan czuje się silniejszy! Gdyby ojciec się dowiedział, nie dałbym grosza za pańską skórę! Ja... ale czy mam panu pozwolić odejść cało?

Nagle zaczął płakać jak mały chłopiec. Potem wypił kieliszek wina. Czy długo potrwa ta śmieszna scena? Brat wciąż mówił:

— Turysta! Przybywa ze swego kraju... trafia na prostych ludzi... w styczniu... w Wenecji nie ma pięknych dam, nudzi się... a wtedy, wtedy kto? Mała dziewczynka... która bawi się jeszcze lalkami z rodzeństwem... mała dziewczynka... Francesca! Kto jej doglądał, gdy o mało nie umarła... gdy miała gorączkę? Francesca mia... I dlaczego, dla kogo? Dla tego oto pana! Dla jego brody, zmarszczek, dla jego pięćdziesięciu lat!

Młodość jest bezlitosna. Piotr zamrugał oczyma wobec takiej przesady.

— Mogłaby być pańską córką... a pan, ze swoją starą twarzą, ze swoim zepsuciem... i teraz stać pana tylko na pytanie: ile? Ach, ile za uśmiech mojej siostry, gdy wracam wieczorem i gdy mam ochotę rzucić się w lagunę? Ile za życie? Ile za zbrukane wspomnienia? Ile?

Zaśmiał się dziwacznie i Piotr uczył, że coś dotyka jego nóg. Spojrzał w dół: to czarny kot mrużąc ocierał się o niego.

Gdy podniósł oczy, zobaczył, że Angelo znowu wychylił kieliszek. Ręka młodzieńca wciąż machinalnie przesuwiała nóż po stole. Mówił teraz nieobecny tonem, kiwając głową, z błędnym wejrzeniem, zdania mniej składne:

— Turysta! Co ja wiem o panu? Co ona wiedziała o panu? Co pana obchodzi, co pan szanuje właściwie?... Pan nie wie, po co człowiek żyje... noce, które będą jeszcze tak łagodne... śpiew w gondolach... dzieci

biegające po ulicach... nasi, którzy tak długo walczyli...

W tej chwili rzucił na cudzoziemca spojrzenie człowieka, który powiedział za wiele, i zmienił ton:

— Nie ma już nic do picia... Margherita! Margherita! Ecco *fiasco!*..(*butelka!*) Pan wypije ze mną, należy pan trochę do rodziny... Jak dotąd płynęło pańskie życie? W każdym razie nie w Fundamente Nuove, w tej dziurawej ruderze, między smarkaczami, którzy beczą i sikają wszędzie! Jak na tratwie, gdy okręt się rozbije... I fabryka... Złoto, obrabiać zawsze złoto, gdy jest się takim nędzarzem... Ta pokusa, proszę pana, pokusa i szyderstwo... Pan nigdy nie widział, jak my pracujemy... Z daszkami na oczach... i małymi narzędziami, tak cienkimi, cieniutkimi... Czasem powierzają nam diamenty... Czy lubi pan diamenty?... Pańskie zdrowie!

Przyniesiono wino. Trącili się.

— Ja nie... nienawidzę diamentów... to cudzoziemcy, zimni i występni... turyści... oni zawracają głowy naszym siostronom... a potem... Co ja (mówiłem? Pan nie pije! Trzeba pić! Muszę mieć odwagę, aby pana zabić... Może nie jest pan gorszy od innych. Niech pan posłucha...

Przerwał z palcem w powietrzu. Piotr nadstawił ucha, ale nic nie usłyszał. Tamten śmiał się:

— Przyłapałem pana z moją siostrą, a teraz upijam się z panem... Żle znoszę wino... Schleję się obrzydliwie... Już teraz trudno mi znaleźć te wasze diabelskie słowa francuskie...

Nie wyglądał już, jakby grał komedię. Był naprawdę pijany. Czy mówił szczerze? Piotr wciąż zerkał na nóż. Angelo pochwycił nagle jego spojrzenie i mocno ścisnął rękojeść.

— Zabić pana... A może ma pan gdzieś w świecie matkę, która nawleka perły i rodzi co rok dzieci w domu zagubionym nad brzegiem laguny... Zabić pana... a jeżeli ma pan siostrę, która bawi się lalką?

Po krótkim wahaniu wypił jeszcze łyk. A potem powiedział:

— Daję panu szansę. Szansę ze względu na pańską siostrę...

Szukał czegoś po kieszeniach.

— Gdzie je włożyłem?... Aha, są... są tutaj wszystkie: jedna, dwie, trzy... — Liczył na brzegu stołu talię brudnych kart. Przerwał, aby pogłodzić swój nóż, potem mówił dalej: — Piętnaście, nie, to już było... szesnaście, siedemnaście... — Naliczył pięćdziesiąt dwie karty wraz z tymi, które znalazł w innej kieszeni.

Piotr udał, że chce wstać.

— Nie ruszaj się albo krwi ci upuszczę, turysto... Daję ci szansę... Siadaj tu... naprzeciw... no, patrz, jak się w to gra... Zaraz ci wyjaśnię...

— Lepiej poszedłby pan do domu i położył się...

— Myślisz, że uda ci się tak wykręcić? Daję ci szansę... Gra to wspaniała rzecz! Gra! Cóż innego ma człowiek w życiu? Gra! Wszystko może się zmienić dzięki jednej karcie: niebo, serce, miłość, pieniądze... Pracować, wciąż pracować... Ale gra... Karty... Słuchaj, stawiam twoją skórę... Należy ona do mnie... Jeżeli przegrasz, zabiję cię... Jeżeli wygrasz... No, jeżeli

wygrasz, zagramy o coś innego... Wypij!

I tak zaczęła się dziwna partia, a tymczasem kot wygiął grzbiet i krążył między nogami graczy jak narciarz na trasie slalomu.

## VI

Gry tej łatwo było się nauczyć! Należała do tych, które nie odwołują się do inteligencji graczy. Im bliżej zwykłego hazardu, tym bardziej gra staje się podobna do alkoholu. Kot, Madonna, fantastyczne cienie, odsunięty na bok groch, kieliszki, wino, mała salka, a na dworze odgłosy ulewy... Dekoracje harmonizowały z tą partią. Nieskomplikowane jak nuda. Oczywiście, że partner nie był zbyt groźny, ale jeżeli na kartę postawiono twoje życie, choćby nawet napastnikiem był tylko pijany smarkacz, karta mimo wszystko nabiera dla ciebie ważności — serce ci bije. Rozgrywało się to w trzech manszach. Angelo wygrał pierwszą, przegrał drugą... Mówił o sobie, o mnóstwie różnych rzeczy i ludzi, istny kalejdoskop złożony z nieznanych elementów, a jednocześnie oglądał karty, przekładał, tasował, rozdawał.

Piotr patrzył na nóż. Dziwna rzecz, jak niebezpieczeństwo zmieniło teraz charakter, stało się jednocześnie groźniejsze i bardziej kuszące, niczym płomień, od chwili gdy związało się z karcianym ryzykiem. Mercadier uświadamiał sobie absurdalność całej tej sprawy, a także fakt, że pozostał tutaj, mimo że mógł po prostu wstać i wyjść. Przyjmował warunki tej przygody. Bez dyskusji. Ile ma w sobie przewrotności!... Zamordowany w Wenecji... Dreszcz za tanie pieniądze. Ale nade wszystko hipnoza kart. Prawda, że są stare, wybrudzone, podarte na rogach. Co tu nagle znaczy ten przebity. król... Jakie myśli nachodziły Piotra w podwójnej ulewie, tej na dworze i w deszczu niewyraźnych słów brata Franceski? Widział się w domu, rankiem przy śniadaniu; Paulina mówi coś, czego on nie słucha, dzieci zaraz wyjdą do szkoły, a on jeszcze w pantoflach, jak maniak, z łyżką do butów w rękę, patrzy w gazetę leżącą na stole... Angelo wziął lewą... W gazecie są cyfry... całe kolumny cyfr... które też są jakby kartami w grze najeżonej innymi trudnościami... Przez całe życie grał... Uwaga, te dwie karty, jedna leży przed nim, druga przed Angelem, zadecydują o partii... Angelo kładzie damę trefl, podobną do Blanki... Ręka Piotra powoli sięga po śmiertelną kartę. Odgina jeden jej rożek — czy to Blanka zadecyduje o mojej śmierci? Patrzy od dołu, podgląda — o Boże, ależ ta karta jest biała! To nie figura! Odwraca ją jednym ruchem... as kierowy... Ręka Angela odpycha nóż:

— A więc nie umrzesz — powiada.

Jakież diabeł opętał Mercadiera? No, wstań, idź stąd, głupcze... skoro cię nie zatrzymują. A właśnie, że nie. Stoi koło stołu, wziął karty, tasuje długo i głosem ironicznym, ale dygocącym, mówi do siedzącego naprzeciw:

— Teraz gram o twój nóż i stawiam dwadzieścia franków...

Jest to szaleństwo z każdego punktu widzenia. Dwudziestofrankowa moneta spada na stół, a błysk złota jakby ożywił Angela.

— Ukradłeś mi siostrę... wygrałeś swoje życie... teraz chcesz mnie skusić

złotem...

Mercadier już rozdaje karty. Jest to pora obiadu, ale on czuje się jak człowiek, który włóczy się po mieście, aby nie wracać do domu. Piotr mówi sobie, że na całym świecie nie istnieje dla niego rzecz bardziej upragniona od tego noża, który miał zagłębić się w jego serce. Naturalnie, że z chwilą gdy padł na stół as kierowy, gra zmieniła charakter, pomieszała się z tą chęcią panowania, którą często odczuwa w sobie Mercadier, jako obce dziedzictwo. Myśli, jakie któregoś dnia snuł przed Coleonim, powracają, nie wiadomo czemu. Patrzy na żalosego partnera, na to słabe, pijane dziecko, pełne pragnień zemsty, które wirują w jego samotności. A poza tym Piotr ma swoją samotność. Trzeba ją odnaleźć jak najmiłą z kochanek. Gra, właśnie... gra unicestwienia świadomość, bezczynność, życie... wszelkie sfalszowane pojęcia... wypaczone proporcje... jest teatrem samotnego człowieka. Bo gracz jest zawsze sam; ci, z którymi się mierzy, są jak morze dla pływaka, jak obdarzone ludzką twarzą równanie matematyczne, które trzeba rozwiązać, a nie jak człowiek-bliźni; a jednak dzięki nim oszukuje się samotność, t.jak oszukuje się głód lub strach.

Ktoś, kto zobaczyłby eks-nauczyciela historii w tym weneckim szynku, zacierzewanego w grze o nóż biednego, na wpół przytomnego smarkacza, kto zobaczyłby wyraz dzikiej radości na jego twarzy, pomyślałby, że ma do czynienia z szaleńcem, a przynajmniej z człowiekiem niespełna rozumu. Bo też nikt nie zdołałby pojąć, że ta minuta jego życia jest szczytem wszystkich pozostałych chwil, nie rozumiałby znaczenia, słabo jeszcze uświadomianego, jakiego ta chwila nabiera dla Piotra, znaczenia wybiegającego daleko poza dekorację i stawkę, poza to, co się odbywa, poza gesty i słowa.

Gra wtargnęła w jego życie ze swym zamętem i upojeniem, przy okazji epizodu komicznego i bez znaczenia, ale równocześnie z całym logicznym autorytetem moralności, uzasadnienia. Nóż został wygrany, teraz grają o zarobek Angela. Czterdzieści lirów — tydzień w fabryce — ulatniają się powoli... Wygrać, odebrać młodemu szaleńcowi jego chleb. Tak, bez wątplenia, jest w tym gracz okrucieństwo pomieszane ze wstydem... ale nie to, nie to jest najważniejsze... Dla niego te parę lirów nie znaczy więcej niż groch odsunięty na drugi koniec stołu; mógłby równie dobrze grać o ten groch! Najważniejsze jest to, że zrozumiał, jaka możliwość ucieczki od samego siebie i od drugich mieści się w grze... w grze... Słowo to wiruje i migoce... Słowo to prześladowuje go i porywa... Nie upoiła go ta śmieszna partia, ale wszystkie inne partie, cała gra w przeszłości...

W tej chwili Angelo przesuwając ręką po stole, odwróconą dłonią zmiata karty.

— Wydaje się panu, że mi pan wszystko odebrał? Siostrę, zarobek? — Służąca zjawiała się w progu. Angelo jedną ręką wskazuje butelkę, drugą zbiera karty. — Myli się pan... mogę jeszcze grać z panem... Wszystko odegrać... siostrę, zarobek, nóż... pańskie życie... Popatrz pan!

Przeszukał kieszenie. Rzucił ma stół metal, okruchy złota, i dwa drobne

diamenty.

— To — szepcze — rozumiesz, ukradłem... ukradłem... Nie tylko ty kradniesz... kradniesz ludziom siostry... Czy myślisz, że można żyć w nędzy i codziennie obrabiać złoto, złoto, złoto? Ukradłem... To jest tyle co nic... ale ukradnę więcej... jak sroka... zbieram skarb... tam, w tych pustych pokojach... dlatego was przyłapałem... — Rozpląkał się, pociągnął nosem, zmieszał karty. — Patrz, stawiam diament za sto lirów! Jeżeli wygrasz, będziesz lichwiarzem... Sto lirów.

Posunął przed siebie mały, nieoprawny brylant. Mercadier zawahał się, potem wyjął z portfelu banknot stulirowy. Oczy Angela zabłyśły. Partia znowu się zaczęła. Angelo mówił dalej:

— Nie radziłbym ci donieść o mnie policji... Powiedziałbym, że to ty namówiłeś mnie do kradzieży... że przyszedłem tu, aby ci przynieść wedle umowy złoto i diament... Jakbyś się wytłumaczył z naszej znajomości? Cudzoziemiec-turysta z drobnym rzemieślnikiem, o tej godzinie, w Wenecji... To podejrzane... mówiąc delikatnie... uwierzono by mnie...

Te słowa godne były akurat gadania Pauliny na temat stygnącej kawy, ale kradzież, mimo że tak mizerna, nadawała grze tę perspektywę wykolejenia moralnego, którego Piotr pożądał tak, jak inni pragną czystego powietrza. A czyż on także nie okradł... Pauliny i dzieci? Wszystkie jego pieniądze pochodziły z grabieży. Zresztą pieniędzy zawsze pochodzi z grabieży. Tutaj wreszcie kłamstwa znikają dzięki prawu gry, które przetwarza wszystko, jak oczyszczający ogień... Na przykład ten ukradzony diament Piotr nabędzie na mocy pewnego prawa, umowy respektowanej przez wszystkich ludzi: długi karciane są długami honorowymi, nieprawdaż? Karty padają, kości się toczą, posiadanie się kończy, przekleństwo pracy przestaje obowiązywać, pieniądze rodzi się z hazardu albo w nim ginie — nic nie jest już stałe, świat wymyka się... Ach, ta igra zwycięża wszelkie moralności! Wszystkie one zresztą zawsze umiały ją tylko potępiać mimo tej siły, która sięga aż do ludzkich trzewi.

Dobrze, dobrze, wysilacie się na próżno, grać się będzie zawsze.

Sto lirów przeszło do drżących rąk Angela. Ale nie chodziło tu już ani o Angela, ani o pieniądze, ani o nóż na stole, ani o Franceskę, której imię parokrotnie wracało w braterskim lamencie. Piotrowi Mercadier chodziło już tylko o wielkie usprawiedliwienie samego siebie... O to, aby się przekonać, że pieniądze, który panował nad jego życiem, miał mniej siły niż on sam, że on może sztydzić z pieniądza, sztydzić ze wszystkiego na świecie, rzucić na stół swoje życie, jak czynili niegdyś ludzie w bitwach, postawić na kartę równocześnie katastrofę i swoje odkupienie, dowód swojej wolności... Drzeć o pieniądze i drwić z niego, czuć się jednocześnie wyższym nad niebezpieczeństwo zraty i gotowym do pogrążenia się w nim.

Odczuwał upojenie, które nie było wytworem wina. Nagle zauważył, że jego partner śpi głęboko, z nosem na kartach. Roześmiał się. Położył cicho na stole diament, skradzione złoto, do przegranego banknotu dodał drugi

banknot stulirowy, potem wstał, poszedł do wielkiej sali i wyrównał rachunek. Znalazłszy się na ulicy, gdzie ustała ulewa, ale nie wiatr, myślał już tylko o upodleniu tego brata, gdy obudzi się wytrzeźwiony i znajdzie na stole pieniądze i owoc swojej nie zmytej kradzieży, i pomyśli o siostrze... Dwieście lirów, tyle właśnie, ile przewidywałem...

Doskonale. Ten idiotyczny wieczór wzbudził w nim apetyt na mięso; w Wenecji przyrządzają je podle, ale trudno. Z trudem odnalazł plac Świętego Marka, poszedł do „La Citta di Firenze” w la calle Ridotto. W kieszeni wyczuwał ręką zamknięty nóż; było to wszystko, co pozostało mu z przygody.

Nazajutrz Mercadier opuścił Wenecję nie zobaczywszy się z Franceską.

## VII

Im dłużej Piotr się zastanawiał, tym mocniej był przekonany, że rodzeństwo było w zмовie. Oczywiście stanowili dość partacką parę szantażystów i żalosemu Angelowi brakło tego krzepkiego zuchwalstwa, które tworzy bandytów godnych szacunku. Może zaniedbali czegoś w inscenizacji albo może po prostu Francesca nie chciała dać się tego właśnie wieczoru przychwycić na gorącym uczynku w miejscu używanym w innych wypadkach do tych właśnie celów. Ostatecznie, odpowiedzialność była osłabiona, ale pozostawała odpowiedzialnością.

Wystarczyło ujrzeć niezmiernie oburzenie Angela i donzelli na wzmiankę o pieniądzach; a po tym wszystkim brat proponuje partyjkę... wyciąga karty z własnej kieszeni, znaczone... i gdyby się tak nie upił...

W Padwie pogoda nie okazała się łaskawsza niż w Wenecji, więc Piotr zabawił tam tylko przejazdem. We francuskim dzienniku przeczytał, że rząd francuski pociągnął do odpowiedzialności Emila Zolę za list do prezydenta Republiki... A więc wciąż jeszcze próbowano odgrzewać sprawę Dreyfusa. Jakie to żalose! Natomiast Vicenza zatrzymała go na dziesięć dni i tam zastał go początek lutego, coś jakby przedwczesna wiosna; ogrody na wzgórzach, wille Monte Berico i Rotonda, które pogodziły go z Palladiem, tworzyły tutaj lepsze tło dla marzeń niż w Wenecji, gdzie ów architekt wypisał swoją wielkość tylko na marginesie wielkości dożów. Piotr wciąż marzył i nie interesował się bieżącymi wiadomościami, na przykład z Algieru, gdzie w końcu stycznia wybuchły zamieszki, znowu na skutek niezręczności stronników Dreyfusa, i gdzie splądrowano żydowskie sklepy. Raz tylko zatęsknił do Paryża, gdy przeczytał o wielkim sukcesie, jaki odniosła nowa sztuka Rostanda *Cyrano de Bergerac*, podobno Coquelin był niezrównany...

Vicenza jest miastem Palladia. Króluje tu wszędzie, a nawet pozwolił sobie na luksus zbudowania teatru. Nie ma tu prawie ulicy, gdzie nie odnalazłoby się snów o potędze, jakimi usiał północne Włochy. Palladio złączył ze swoim imieniem, stworzonym dla pałaców, sugestywne imiona wielkich rodów tego miasta: Chiericati, Thiene, Valmerana, Giulio Porto, Porto

Barbaran, które wówczas protegowały go, a dziś są już tylko satelitami jego chwały. I jak w Wenecji Coleoni był dla Piotra Mercadier obrazem ludzkiego losu, w Vicenzy, przytłoczony czarem Palladia, zastanawiał się, czy istotnym celem człowieka nie jest właśnie tworzyć w kamieniu wspaniałe grobowce wytyczające jego drogę.

Ale cóż go obchodzili wielcy ludzie przeszłości? On, Piotr Mercadier, powinien zajmować się tylko uzasadnieniem samego siebie, nikogo innego; nie jest i nie będzie ani zdobywcą, który burzy, ani budowniczym, który stawia rusztowania. On jako jednostka. Siła jego leży cała w jego proteście przeciw temu, co nie jest nim samym; wędruje po świecie nie biorąc udziału w jego sprawach. Ani Palladio, ani Coleoni nie zmniejszą siły egoizmu, egoizmu doskonałego, tej prawdziwej cnoty, jedynepełnego zrozumienia świata, jakie jest nam dane. Z jakim gorzkim humorem przygląda się Mercadier z kawiarni na Corso złotym młodzieńcom miasta, krążącym pod arkadami i zdolnym godzinami wystawać przed terasą któregoś z tych lokali, w niejasnej i daremnej nadziei, że jakiś zamożny przyjaciel zaprosi ich do stolika i postawi kieliszek. Ta gromada w wieku szaleństw, ci nerwowi potomkowie artystów i żołnierzy Renesansu nie kryją wśród siebie ani Palladia, ani Coleoniego, ani Mercadiera... Oczy ich płoną śmiertelną nudą, która tak ich trawi, że aż dostają reumatyzmu... Gotowi uwierzyć w każdą ułudę, byle jakoś spędzić jedno popołudnie.

Widok młodzieży jest zemstą człowieka dojrzałego. Piotr ciekawie obserwował ten ogród zoologiczny, te uliczne małpy i pomykające wśród nich dziwaczne sylwetki zakonników, których grube szaty przywodziły mu na pamięć pewien gatunek wigoniów z Azji Środkowej... Tak spędził dziesięć dni, nie otworzywszy ust do nikogo. Potem uczył taki wstręt do Vicenzy, że dosłownie uciekł do Werony, tylko ze względu na Romea i Julię, jakby ta para odgrywała w jego osobistej mitologii jakąś bardzo ważną rolę.

Zresztą prawie trzy godziny spędzone w osobowym pociągu łatwo mu to wybiły z głowy.

Werona okazuje z początku wrogość cudzoziemcom, bo jest to długie miasto, gdzie łuk błotnistej a rwącej Adygi wydaje się bezkresny temu, kto podąża jej bulwarami. Piotr zatrzymał się w hotelu na placu dell'Arena. Cały ten korowód miast, mimo że były tak piękne, zaczynał mu się wydawać bezsensowny. Na próżno wbijał sobie w głowę kolejne dekoracje i upiory przeszłości, krwawe historie o wielkości Włoch lub o awanturnikach, którzy je ujarzmiali; na próżno upajał się malarstwem w muzeach i kościołach i zachwycał się wysokimi, wspaniałymi murami i uszkodzonymi freskami; na próżno dopatrywał się w tym dziwnym, zbyt mrocznym świecie umarłego piękna ogrodu własnej wrażliwości, bo zaczynał odczuwać swą samotność jak zbyt mocny alkohol, bardzo podobny do tej brutalnej, robionej na koniaku *grappa*, którą pije się we Włoszech, a która dla Francuza zbyt jest prostacka. Jednakże w Weronie grał jeszcze przed sobą komedię, gdy odkrył Castel Vecchio, fortecę



Scaligerów, arcydzieło architektury wojskowej, ze ścieżkami dla warty, czerwonymi murami i blankami nad Adygą, na samym krańcu miasta. Zdawało mu się, że te zabytki sztuki fortyfikacyjnej związane są z odległymi wspomnieniami jego dzieciństwa. Jego ojczym miał album z widokami Rosji i zamek w Weronie obudził w nim obraz murów Kremla, który zresztą budowali architekci przybyli z Italii. Czy w tym tkwiła tajemnica uroku, jaki miał dla Piotra Castel Vecchio? Bardzo szybko przekonał się, że wcale tak nie jest...

Jakże szczególną rzeczą w tym człowieku było pragnienie potęgi, siły, a nawet żołnierskiej przemocy, o ile ginęła w przeszłości, gdzie nie była już narzędziem społeczeństwa, w którym on się przemykał, zazdrosny o swoją niezależność, lecz tylko odzieżą porzuconą przez wielkich pomarłych wodzów, która jemu wydawała się skrojona na miarę jego, na miarę jego marzeń! Bo wówczas zbrojny gwałt był wyrazem indywidualności — myślał — której wola tworzyła i wiodła armie, czyniąc sobie podściółkę z owczej myśli ludzkiej, z życiowej rutyny. Wówczas Piotr byłby jednym z nich, bohaterem, o którym mówi historia i któremu stawia się pomniki. Ale w naszych czasach! W dekoracjach Castel Vecchio dostrzegał tylko coś, co pozwala mu dokładnie zmierzyć własną pogardę dla współczesnych bitew. Nie znajdzie dla siebie godnego zadania ani w obronie Dreyfusa, ani opowiadając się po stronie sztabu generalnego! Po dawnych czasach, po tężyźnie przodków zostały tylko wspaniałe szczątki, niby dźwięk trąb w oddali. Człowiek nowoczesny, myśli Mercadier, może wybierać tylko między niewolą a pogardą.

Toteż on nie zadowolił się życiem, jakie zostało mu ofiarowane. Ale nie może być w tym zdegenerowanym świecie zdobywcą, na jakiego czuje w sobie materiał. Wziął dymisję od głupich prac, które mu przypadły w udziale. Jest już za późno dla tego stulecia i dla niego, alby odbudować świat, gdzie możliwy byłby entuzjazm. Nie będzie ani żołnierzem, ani podróżnikiem, ani artystą. Nie zmierzy się ze skomplikowaną maszyną, do której człowiek został przykuty w naszych czasach. Rozumie, że zarówno w samotności, jak w życiu rodzinnym jedno tylko lekarstwo jest mu jeszcze dostępne — oszukiwać... Tak jak oszukiwał na swoich myślach jako profesor, wychowawca młodzieży, tak jak oszukiwał na wspólnym mieniu swoich bliskich, jako głowa rodziny. Oszukiwać — oto prawdziwa moralność jednostki.

Wsparty łokciami na blankach werońskich murów, myśli, że o ile prawdziwym bohaterem epoki starej wolności był kondotier, bohaterem dzisiejszym, w świecie przemysłu, kredytu i papierowego pieniądza, jest przede wszystkim — człowiek o płynnej identyczności, który prześlizguje się przez sieć prawa, nie troszczy się o żadne głupstwa konwenansu, nie ma nigdzie swojego stałego miejsca, jest władcą swego losu, nie uznaje granic zakreślonych danej egzystencji, a historia jego składa się ze stu romansów, ze stu klęsk... Och, miałyby o czym pisać jakiś Plutarch nowożytnych czasów!

Jakaż drogę przebył od dni Panamy, gdy dawał się skubać prawdziwym graczom! Dzienniki właśnie przyniosły mu echo procesu siedmiu parlamentarzystów, oskarżonych przez Artona, że przyjęli od niego pieniądze. Piotr zaledwie zwrócił uwagę na tę notatkę, a także na wiadomość o ich uwolnieniu, które ostatecznie tuszowało skandal. Nie zainteresował go również wyrok na Emila Zolę.

Mercadier z pewnym politowaniem myślał o niemądrym rozczuleniu, jakie ujawnił przed Pauliną po krachu panamskim. Wtedy oczywiście należał do tępego stada, dla którego z dnia na dzień nazwisko Lessepsa z pięknego mirażu stało się kozłem ofiarnym własnej głupoty, Dzisiaj, dostrzegając spoza Lessepsów tajemniczą postać takiego Corneliusa Hertza na przykład, gotów był wziąć stronę awanturnika przeciw jego ofiarom. Cornelius Hertz w sprzyjających okolicznościach byłby nowym wcieleniem Johna Law i długie rozważania profesora Mercadier doprowadzały go do paradoksalnego ideału — oszusta.

Oszust doskonały, bez skazy. Taki, który nie daje się nigdy złapać, nie wykoleja się w pewnej chwili, to znaczy nie da się moralności zorganizowanego społeczeństwa schwytać na lep którejś ze swoich słabostek. Taki, który nie pójdzie do więzienia i któremu nie wzniosą pomników...

Człowiek przychodzi na świat skrzepowany trudnościami materialnymi i fałszywymi koncepcjami. Rośnie jako nędzny wytwór swego środowiska. Trzeba niezwyklego zbiegu warunków, aby zerwać wokół siebie tę sieć kłamstw moralnych i społecznych. Jest rzeczą pewną, że Blanka Pailleron odegrała w życiu Mercadiera rolę decydującą i że jej „nie kocham pana” wywarło na nauczyciela historii większy wpływ niż studiowanie życiorysu Lawa. Dzieło Blanki udoskonaliła Francesca. W stosunku do niej wewnątrz utrzymał się na gruncie cynizmu, jednakże na chwilę stracił rozum do tego stopnia, że ofiarowywał się zabrać ją od rodziny, umożliwić jej inne życie. To resztki zacnych uczuć splątały mu owego figla, Trudno w to uwierzyć, ale nieobliczalne odruchy najbardziej trzeźwego człowieka mogą doprowadzić go do zabawy w świętego Wincentego a Paulo!

W tym punkcie swoich rozważań Piotr Mercadier ze zdziwieniem patrzy na czerwone mury Werony i zastanawia się, dlaczego te myśli właśnie z nich się narodziły... Nie umie tego pojąć. Ale pojmuje, z czego brał się urok, jaki miał dla niego widok młodego i niezręcznego Angela, który był poronionym okazem oszusta. Widzi znów scenę gry w karty i odczuwa niepokój moralny leżący u jej podstawy. Rozumie, że w tym momencie życia wyzbył się wielu przesądów płynących z rutyny, może na rzecz niebezpieczeństwa. Człowiek zyskuje świadomość spraw zasadniczych dzięki przypadkowym okolicznościom. Jak prawa mechaniki rządzące światem poznaje dzięki jabłku, tak przejrzeć może prawa moralne dzięki pijanemu wyrostkowi w weneckiej trattorii.

Ale w Weronie, nad Adygą, Mercadier pojął nagle, że moralnym prawem świata jest gra. Toteż wsiadł do pociągu odchodzącego do Mediolanu, gdzie

przez miesiąc upajał się muzyką, po czym powziął decyzję i na krótko przed Wielkanocą, z grypą, wylądował w Monte Carlo, poszedł się zapisać do kasyna, a następnie położył się w hotelu, z którego nie wychodził przez trzy dni.

## VIII

Dokoła stolików podniósł się gwar. Już jedenasta. Z czego pan to wnioskuje? Właśnie weszła stara dama. Ta, którą tak określano, wlokła się z wielkim trudem. Podtrzymywana przez dwóch uniżonych sekretarzy, którzy na krok jej nie odstępowali, zbliżała się do stołu, gdzie grano nisko i gdzie natychmiast ktoś wstał odstupując jej miejsce. Była to tęga kobieta o twarzy całej w tak drobnych zmarszczkach, że w pierwszej chwili nie widziało się ich pod farbowanymi na czarno i wysoko upiętymi włosami. Ubrana była na czarno, miała koronkowy szal i chwilami otulała się nim przed niewyczuwalnymi przeciągami, od których koronki by jej nie obroniły. Twarz miała pociągłą, nos spiczasty, ciemne oczy. Była Irlandką; zniekształciły ją choroby.

Punkt jedenasta. Stara dama wchodziła z regularnością pociągu. Zdaje się, że budzono ją około wpół do jedenastej, aby mogła pójść do kasyna. Do tej godziny stale sypiała. Wystarczyło jej przejść z hotelu do sali gry. Była właścicielką największych hut stali w Sheffield. Robiła majątek w całym świecie na nożyczkach do paznokci, drutach do trykotaży, nożach stołowych i karabinach maszynowych. Była to jedna z najpotężniejszych fortun na ziemi. Rodzina pełna tragicznych zdarzeń, jakiejś rywalizacji. Córki zginęły w straszliwych wypadkach. Syn utopił się w Tamizie. Ale maszyna do robienia pieniędzy działała, olbrzymia, jakby wyzwolona od ludzkiej władzy. Bogactwa rosły unosząc tragiczną arkę Noego, której władcy ginęli na wzgórzach Araratu samotności. Podczas gdy wszystko wokół niej ulegało zagładzie, stara kobieta, której za każdym nieszczęściem przybywało zmarszczek, dochodziła do kresu swoich dni dzierżąc w rękach wszechmoc rodziny, potworne bogactwo, z którym nie wiedziała, co robić, skoro otoczyła się już niesłychanym komfortem, niezbędnym jej do życia, skoro zapewniła sobie drogo opłacane starania, co, jako że nie miała rodziny, zmuszało ją do utrzymywania przy sobie roju lekarzy, pielęgniarek, masażystów, specjalistów, których nienawidziła, jak osaczone dziecko nienawidzi małych, dokuczliwych duchów, które ciągną je za włosy, szczypią w *nogi*, przesuwają po twarzy dziwaczne iskry z magicznych rurek. Co wieczór, punktualnie o jedenastej, podtrzymywana przez dwóch sekretarzy we frakach, którzy zdawali się za każdym jej krokiem wyczekiwać swojej części spadku, ukazywała się w Monte Carlo, w Biarritz lub w Dieppe, zależnie od pory roku, wśród suchego szelestu jedwabnych sukien, wśród panów, którzy się usuwali; jakby na całej sali ktoś zaszeleścił przy uszach wszystkich tych ludzi niewidzialnymi banknotami.

Stara dama usiadła jak co wieczór przy małym banku. Ręką dała znak krupierowi, żeby podwoił stawkę, powiększając bank, aż pękał. Drobni przeciwnicy usiłowali przemycić poza nią zwykłą jałmużnę, gorączkowo wyzebranych pięć franków. Bankier zastanawiał się, czy ma odstąpić bank, czy utrzymać jeszcze jedną turę. *Banco*. Przegrana! Karty przechodzą w ręce starej damy, która rzuca na stół paczkę banknotów związanych czarnym sznurkiem. Agent! Przybiega agent! Padają sztony, pieniądze znikają. Z innych stolików ściągają nowi gracze. Partia zaraz się zacznie.

Czy stara dama o czarnych włosach jest jeszcze wrażliwa na dekoracje wielkich sal Monte Carlo? Czy dochodzi jeszcze do niej płynąca od okna ciepła woń morza, palm i drzew pomarańczowych? Czy myśli o pokusie śmierci, jaka co wieczór nawiedza na zewnętrznych terasach ludzi, którzy gorączkowo cisnęli przed nią na stos takie same sztony jak ona, ale dla niej nie oznaczają one nic, nawet kompletu sztuców lub armat, więc ciska je, jakby chciała się ich pozbyć. Czy służalczość wokół niej i zawistne oczy podejrzanych istot nie budzą w niej czasem ochoty, aby porzucić partię bakarata, przy którym całymi nocami siedzi jak automat? Stara dama poprawia na ramionach szal z białej koronki.

Mąż jej przed dwudziestu laty wypadł z pociągu. W tunelu. Źle przeczytał cedulę giełdową. Myślał, że jest zrujnowany, gdy właśnie majątek jego podwoił się. Od tego czasu rozdęte reumatyzmem palce wdowy, która nie płakała, co wieczór wykonują te same ruchy kartami, obracając je w najbardziej drażniący sposób i tak samo manewrując sztonami, które budzą pożądanie otoczenia. Stara dama to przegrywa, to wygrywa. Ale ponieważ gdy przegra, podwaja stawkę, ponieważ jej stawki nie są ograniczone, ponieważ ma więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny i mogłaby kupić całe kasyno, w rezultacie, nad ranem zawsze jest wygrana. A jeśli przegra, i tak nie ma to znaczenia. Sheffield musi zapłacić, Sheffield płaci. Gdy wygrywa, śmieje się śmiechem mrozącym krew w żyłach. Gdy przegrywa, dyskontuje następną stawkę. Nie spieszy się — ma przed sobą noc i swój majątek.

Wszystkie jej zmysły są tak przytępione, że zdaje się, iż prócz cyfr, dotyczących gry, które powtarza jej do ucha sekretarz w pewien rodzaj aparatu zaopatrzonego w czarną trąbkę i węża ginącego w pudełku na jej kolanach, nic nie dociera do niej ze świata zewnętrznego. Ledwie dostrzega ludzi, jakby to były blade, niepewne cienie. Nie wolno jej niczego dotykać, nosi więc niciane mitenki. Przez całą noc nie mówi nic poza żądaniem, aby przyniesiono mrożone napoje, które popija małymi łykami, jakby chciała odegnąć jakiś lęk, który od czasu do czasu podnosi jej ogromną pierś. Gdy pije, białka jej oczu trochę się odwracają; wygląda to strasznie, gdy pomyśleć, że syn jej utonął w dwudziestym drugim roku życia. Ona to wspominać zdaje się przy każdym łyku. Ale jedynym uczuciem, jakie w niej pozostało po wszystkim, co przeszła, jest gra, tylko gra, stałe, ugruntowane upojenie grą, karty wykładanej z tą do rozpaczki doprowadzającą powolnością, na której kołysze się całym swoim ciężarem

jej wielotysięczna stawka i bezwartościowy ładunek jej rozpaczy — raz na stronę obojętności, to znów na stronę bladego partnera, rozważającego rozdierające następstwa straty pod tym półślepym wejrzeniem, którego nic nie rozjaśni przed świtem, kiedy to stara dama zdrzemnie się przy ostatnich rozgrywkach...

Mercadier, od kiedy usłyszał jej dzieje, nie może się już *oderwać od* starej damy i każdej nocy od stołu do stołu dąży za nią, czepia się otyłego, bladego cienia. Myśl, że ta starucha, tak już wymęczona, nie opuści gry aż do chwili, gdy rozsuna się firanki w oknach, że nie przemówi do nikogo, chyba aby wyrzec: „*Banco*”, głosem słabym i bezbarwnym; że nie będzie miała ani chwili wytchnienia, ani uśmiechu dla ludzkiej istoty, że niczym nie urozmaici niewzruszonego mechanizmu rozdawania i przebijania kart — ta myśl hipnotyzuje Piotra i otwiera istne przepaści przed jego myślą. To monstrum pociąga Piotra. Widzi w niej niezwykle wypełnienie ludzkiego losu, ostateczny obraz tego, co pieniądz czyni z istoty z krwi i ciała. Dosięgła owego przerażającego szczytu samotności, o którym on myśli z drżeniem, sam stojąc na szlaku, jaki tam prowadzi. Studiuje ją z goryczą i uniesieniem. Prowadzi z nią niemą rozmowę, gdzie dochodzą do głosu wszystkie jego urazy, rozczarowania, stracone złudzenia. Czy ona istotnie lubi grę, ona, która zasiada co wieczór do stolika jak do pracy, ona, z tym chorym sercem, zamglonymi oczyma, ze zgarbionym grzbietem? Lubi ją i nie lubi; nie ma dla niej wyboru — grać albo nie grać; nie może robić nic innego. Fizycznie, a zapewne i moralnie. To tylko jeszcze wypełnia jej czas. To tylko go zaludnia i unicestwia.

Za pośrednictwem jej, jej zimnej i bladej twarzy, jej pustych oczu, zwiotczałych rąk, przykrótkiego oddechu Piotr Mercadier po raz pierwszy przenika główne tajemnice wszechświata. Dzięki niej pojmuje, co łączy tych dziwacznych mężczyzn i kobiety dokoła, tłoczących się przy stołach. Odnajduje w niej to, co w pomniejszeniu wspólne jest im wszystkim. Patrząc na nią przestaje dostrzegać ich różnorodność. Widzi to, co sprawia, że stanowią oni osobną ludzkość, niezależnie od rasy, wieku, a chyba nawet i majątku. Czuje, że on sam należy do tej ludzkości, że właśnie wszedł do niej, jak do zaczarowanego bractwa. Wie, jakie więzy łączą tych ludzi bez więzów, tych ludzi, co nie odzywają się do siebie, niemal się nie widzą, a których jedna godzina co wieczora wprawia w tę samą gorączkę, przyprawia o tę samą gorycz, o to samo roznamiętnienie. Wie, że tym czymś jest samotność. Nareszcie wie, że przeniknął do dziwnego świata prawdziwej samotności i że już z niego nie wyjdzie.

*Banco*. Karta. Otwiera wolno damę trefl. Dziękuję. Siódemka... figura.

Piotrowi szła karta tego wieczora... Wygrał mając jedno oczko. W banku było pięć tysięcy franków,

rozmowę z Piotrem. Jemu zresztą także. Wymieniali ukłony z daleka, bardzo dyskretnie, z uśmiechem współwinowajców. Znajomości zawarte przy grze obowiązywały tylko przy stołach, byłoby czymś niestosownym przyznawać się do nich poza kasynem.

Ułatwiało to nawiązywanie rozmowy z sąsiadami w te długie noce; wszyscy wiedzieli, że nie pociąga to żadnych następstw, i w ten sposób instynktownie tworzył się pewien świat na marginesie bakarata, świat lękający się jasnego dnia, który posługiwał się słowami zaczerpniętymi z gry i w ten sposób zapewniał prawdziwemu życiu prowizję milczenia. Tajnym kluczem do tego świata był pewien ton szczególnego humoru albo czasem fetysz położony na stole, zdradzenie się z przesądem. Pewnego razu z pasją opowiadano o durniu, który ciągnął do pięciu. Opowiadano sobie — to wszystko. Nawet sympatia, powab wyglądu zewnętrznego nie liczyły się. Ludzie patrzyli tu na siebie z pewną krytyczną wyrozumiałością, i nie bez przyczyny. Każdy zdawał się obnosić swoją ranę i to może zbliżało. Znajomości z kasyna gry przypominają znajomości z sanatorium. Czy tik w twarzy pułkownika był oznaką zaszczytną czy haniebną? W oczach innych był on przede wszystkim jego paszportem.

Trzeba powiedzieć, że codzienne wyczekiwanie godziny, gdy można było zasiać do gry, bardzo szybko stało się dla Piotra Mercadier rodzajem cierpienia. Co prawda, wszelkie przyzwyczajenia nabierały u niego tego charakteru i nieraz zdarzało mu się oczekiwać listonosza z niecierpliwością prawie nie do zniesienia — na wsi, na przykład w Sainteville, chociaż wiedział, że nie będzie dla niego listu... dlatego tylko, że zjawisko listonosza powtarzało się codziennie. Obawa przed wzrokiem krupierów, odgadujących ten pośpiech graczy, sprawiała, że nie biegł do kasyna w chwili, gdy je otwierano. A zresztą czekanie, aż utworzą się partie, jest jeszcze przykrzejsze w salach, niż gdy pozwoli się przepłynąć ponad tym wszystkim odpowiedniej ilości czasu... Gracze popołudniowi rekrutują się z zupełnie innych warstw niż wieczorni. Są to często skromni ludzie, którzy przychodzą, aby przegrać swoje pięć franków i potem gryźć palce z żalu. Stwarza to wśród prawdziwych graczy — tych, co wystrojeni schodzą się wieczorem przy stołach, gdzie idzie gruba gra — milczącą solidarność, gdy tak oto spotykają się za dnia, mówią o zabawnych drobiazgach lub stawiają na ruletę. Jak tenisiści, którzy przychwyciliby się wzajemnie na partii ping-ponga.

Takie właśnie uczucia wyrażały oczy dwóch mężczyzn, gdy Mercadier, obejmując bank, usłyszał tuż przy sobie głos jednego z nich, głos sztuczny, mówiący zbyt poprawną francuszczyzną, aby nie był głosem Anglika:

— Do połowy ze mną, zgadza się pan?

Był to człowiek wyglądający bardzo młodo, choć zbyt otyły na ten swój młody wygląd, ogolony, blady, może od pudru, o rysach dość miękkich, o białych rzęsach, raczej wysoki, o przesadnie długich włosach, nastroszonych po bokach, z małym rozdziałkiem. W ubraniu koloru musztardy, świeżym jak prosto z igły. Bez wątpienia był to gracz

wieczorowy; Piotrowi wydało się nagle, że już go gdzieś widział, że już go raz jego widok zaskoczył.

Razem więc spróbowali szczęścia. Bank wygrał pięciokrotnie. Trzydzieści dwa ludwiki. Piotr poradził się wzrokiem partnera.

— Jak pan sobie życzy — odrzekł Anglik. Mercadier rozdał karty. *En cartes sur les deux tableaux...* Przestrzegał niezłomnie zasady, że w wypadku *en cartes* należy zdjąć bank. Zrobił to więc. Wokół stołu powstał szmer niezadowolenia. Gdy się podzielili, Anglik zauważył:

— Na pańskim miejscu byłbym raz jeszcze pociągnął... — W tej samej chwili partnerzy zrzucili ósemkę i dziewiątkę. Młody człowiek skłonił się:

— Miał pan słuszność...

Nazajutrz, w denerwującej porze, która poprzedza otwarcie sal, Piotr spotkał się z nim przed bramą „Hotelu Paryskiego”. Złożył mu zwyczajny, lekki ukłon, gdy Anglik nagle odezwał się:

— Proszę mi wybaczyć... nie chciałbym być niedyskretny, ale czy w styczniu nie przebywał pan w Wenecji?

Mercadier odpowiedział twierdząco.

— Zapamiętałem pana... w Wenecji w styczniu jest tak mało ludzi... przy takiej pogodzie... trzeba na to takich dziwaków jak pan i ja...

Musiał mieć jednak ze trzydzieści lat... ten podwójny podbródek... Na lewej ręce dziwny pierścień, opale poprawne w złoto...

— Napije się pan czegoś? Tak... Ta chwila jest nieznośna, prawda? Gra pan po południu... Ja również, codziennie. — Zaśmiał się nieco głuchym śmiechem. Weszli do hallu hotelowego. — Proszę mi wybaczyć, że tak pana zagadnąłem... ale irytuje człowieka, gdy spotyka pewne osoby w Wenecji, w Monte Carlo... a nie może związać ich z jakimś nazwiskiem...

— Mercadier... Piotr Mercadier...

— Traveled... Hugh Walter Traveled... Napije się pan szampana? Oczywiście, rozumiem, o tej porze nie ma to sensu... uwielbiam rzeczy bezsensowne... i szampan o trzeciej po południu... Kelner, butelkę Mummer! Żeby był zimny... Proszę nie robić ceremonii. Nie sądzę, abym spotkał pana w Wenecji u Franchettich... A może był pan na przyjęciu u Robilanów...

— Nie znam nikogo w Wenecji.

— Naprawdę? To bardzo miło. A więc pan siedział na tej deszczowej pustyni jak pustelnik? Prawdę rzekłszy, ludzie psują Wenecję, więc zazdroszczę panu... To się nazywa oryginał...

Szampan nie był należycie zimny. Trzeba było poczekać.

— Zdaje mi się, że zna pan również panią de Pointarlier? Widziałem, że pan z nią rozmawiał.

— Niewiele — odparł Piotr. — Spotkaliśmy się przy stołach.

— Jest pan tajemniczy. To również mi się podoba. Jak szampan o trzeciej godzinie. Genowefa... pani de Pontarlier jest moją wielką przyjaciółką...

W tym miejscu Hugh Walter Traveled oblał się ceglastym rumieńcem i poprawił się:

— Och, nie chcę przez to powiedzieć... Wy, Francuzi, zawsze myślicie...

Znamy się od... od... pani de Pontarlier nie byłaby rada, gdybym powiedział, od kiedy... i cenię ją wysoko...

Piotr ani na chwilę nie podejrzewał, że jakieś stosunki łączą tę panią i jego rozmówcę. Pani de Pontarlier trzymała się doskonale, ale była już raczej dojrzała. Traveled mrucał coś, odsuwając pucharki.

— Wolałbym kieliszki — rzekł do kelnera trzymającego butelkę w serwecie, po czym mówił dalej: — Nie znoszę, kiedy podają mi szampana jak coś nadzwyczajnego, lubię go w czarkach... Ostatecznie mogą być te kieliszki. Wygląda to bardzo wulgarnie, ale wypijmy, dobrze? Jak dla furmanów!

Piotr uśmiechnął się. Wypili. Istotnie szampan miał smak niecierpliwości...

— Panie Mercadier... czy tak?... bardzo często zastanawiam się nad graczami w kasynie, jak ten pan czy owa pani do tego doszli?... Zacni mieszczenie francuscy, którzy na pewno mają rodzinę, piękną lampę wiszącą, kredens w stylu Henryka II... panowie oczywiście z wąsami... z tą zabawną fiołkową wstążeczką orderową... i króciutko obciętymi paznokciami... Łatwiej mi zrozumieć kobiety... Są bardzo nerwowe, poza tym mają te różne rzeczy w swoim wnętrzu... przepraszam, jeżeli to pana razi... Czy pana to nigdy nie zastanawia?

— Owszem. Nawet nieźle się tym bawiłem. Wyobrażam sobie ich życie, ich otoczenie... Są między nimi tacy, co wymknęli się na pięć minut, a potem wrócą do swej jadalni, do zielonej lampy na biurku... inni znowu są bez reszty niewolnikami kart, ci, którzy huścili się na przeciwległym zboczu świata...

— Ach, wiedziałem, wiedziałem, że pan to pojmuje. Czy nie jest pan trochę literatem? Powieściopisarzem?

Mercadier miał już żywo zaprzeczyć, ale przypomniał sobie Lawa i znów się uśmiechnął. Powieściopisarz... no, właściwie nie, niezupełnie.

— Pisałem trochę, owszem, jak pan to określa...

Anglik zdawał się uważać, że to zmienia zupełnie postać rzeczy. W tych warunkach czuł się jak ryba w wodzie.

— Bo, rozumie pan, w grze jest gra i są pieniądze... Są ci, którzy grają dla pieniędzy. Pieniądz psuje wszystko, absolutnie wszystko... Pieniądz jest czymś bestialskim. Mam prawo to powiedzieć ja... dla którego ta sprawa nie istnieje... Nie mam powodu się chwalić, wiadomo, że Traveledowie... bo jestem z tych Traveledów... jednym z Traveledów... prawdziwym Traveledem, tak, proszę pana... więc wszyscy wiedzą, że jestem strasznie bogaty, absurdalnie bogaty... a zatem ja... a zatem ludzie rozumieją, dlaczego gram, albo co najmniej tak im się wydaje.

Piotr Mercadier nie miał pojęcia, kim są Traveledowie. Ale nie zdradził się z tym. Musieli to być ludzie bardzo bogaci.

— Nawet gdy nie gra się dla pieniędzy, gra się z powodu pieniędzy. Jest to rzecz niepojęta, przerażająca, potężna, nieprawdaż? Zawsze wyobrażałem sobie, że urodziłem się w tygryziej klatce i że dla ludzi, którzy nie mają pieniędzy, moja niepojęta poufalskość w stosunku do tygrysów jest czymś



nienawistnym i zupełnie niemożliwym do zniesienia... Nie wiem, czy pan... Oczywiście, jest pan pisarzem!

— Zapewniam pana...

— Don't be *silly!*( *niech pan nie będzie niemądry!*) Nie powiem tego nikomu. A jednak my wszyscy gracze mamy coś wspólnego. Nie wiem dlaczego, ale gracze Francuzi intrygują mnie bardziej... Anglików znam lepiej... Może to dlatego, że wśród was jest więcej ludzi z middle class, których ten giez ukąsił... To ładne wyrażenie...

Francuszczyzna jego miała w sobie coś lekko przerażającego. Była to francuszczyzna blada, jeżeli można tak powiedzieć, której brakło koniecznych akcentów. Mercadiera wzięła ochota, by dać wyraz pewnej bezczelnej pokorze.

— Ja — uciął krótko — znacznie lepiej wyobrażam sobie, jak to przeżywają skromni ludzie... klasa zupełnie średnia... natomiast niewiele wiem o graczach z wyższych sfer...

— Och, doprawdy?... Ale ja gadam, gadam, a tymczasem gra już z pewnością się zaczęła... Spieszany się, bo będzie za późno, panie Mercadier!

Gdy tam dochodzili, ujrzeni zatrzymujący się przed kasynem, zaprzężony w białe muły powóz Vidal Beya, który właśnie wysiadał.

— Wie pan, mówią — szepnął Anglik — że kazał zamurować żonę w swojej willi w Mentonie i że podają jej żywność przez taki mały otwór...

Wnosząc z jego gestu, otvorek istotnie był niewielki.

x

— Czy pan nie rozumie, że jesteśmy zaledwie o krok od wojny? Pułkownik, bardzo wzburzony, chodził wzdłuż i wszerz po pokoju. Ze swą sylwetką urodzonego jeźdźca, źle wyglądał w niechętnie włożonym fraku, a podkrecone do góry siwe wąsy ostro się odcinały na cerze pociemniałej od uderzeń krwi do głowy, na które cierpiał zawsze po obiedzie. Gdy po twarzy przebiegał mu ów dziwny tik, jego dolna warga rysowała się jeszcze szpetniej. Ten pan Mercadier przerażał go; można, jeśli taka wola, nie czytać prasy, ale wszystko w miarę! Nie mieć pojęcia, co to Faszoda podczas gdy stoją tam przeciw sobie Kitchener i Marchand i gdy wszyscy chcą wreszcie wiedzieć, czy rząd wytrzyma ten cios, czy nie, czy jutro człowiek będzie mógł spojrzeć w lustro bez chęci dania sobie po gębie własnym krawatem... Ufa pan temu Delcasse? To człowiek zaprzędany Anglikom, wiadoma rzecz... Ach, do stu piorunów!

Istotnie Piotr nie miał o tym wszystkim pojęcia. Wojna... Wszędzie rozlegało się tylko to słowo. A także: Faszoda, Marchand... Sądząc z namiętności, jaką wkładała w te słowa pani de Pontarlier, musiał przyznać, że ludzie naprawdę byli przejęci. Piotrowi Mercadier nic to nie mówiło. Anglicy... to znaczy kto? Ten poczciwy dureń Traveyan... albo stara dama. W rodzinie był zadawniony snobizm angielski: towar jest tam w dobrym gatunku, a poza tym łazienki, *tub*, konie... słabość starego wuja de

Sainteville do wszystkiego, co pochodziło z drugiej strony kanału La Manche. A także Keats i Shelley... Wojna... Mnie to nie dotyczy. Jeżeli są na tyle szaleni, aby prowadzić wojnę...

Pomysł Hugh'a Traveleyana, aby urządzać wieczorne przyjęcie w restauracji, był poroniony. Zaprosił mnóstwo osób, pani de Pontarlier miała na sobie czerwoną, dekolowaną suknię przybraną suto marszczonym czarnym tiulem u ramion; Vidal Bey pozostał w fezie na głowie, co przy fraku wyglądało bardzo osobliwie; był pewien grand hiszpański, który popijał wodę Vittel i gładził po karku drobną blondynkę w niebieskiej sukni, żonę dyrektora kasyna, oraz jacyś bardzo dziwni młodzieńcy, jeden pisarz z Paryża, w chwili obecnej zamieszkały w Marsylii, niejaki Jan Lorrain, człowiek bardzo wulgarny; wszyscy przerażeni byli myślą o wojnie, nawet i ta aktorka, która nie dając się długo prosić wyrecytowała przy deserze jeden z wierszy Baudelaire'a (*J'ai longtemps habite sous de vastes portiques\* - \*długo mieszkałem pod rozległymi portykami*), przy otwartym oknie i słońcu zachodzącym w mimozach na morzu. Była to otyła i bardzo pospolita osoba, z ciężkimi czarnymi włosami, ubrana w coś jakby peplum a la Sara Bernhardt, ramiona miała tęgie i obfite. Aleksandryny unosiły jej biust podobny do morskich stworzeń. We włosach miała szare irysy.

Ale ludzie patrzyli na siebie z tej nagle powstałej między nimi perspektywy wojny. Jutro ten, ów i tamten staną się wrogami... Mówiono już o flocie angielskiej koło Cherbourga czy też Calais... Na szczęście, Rosja jest po naszej stronie! Zacząć się to może lada chwila...

— I pan wierzy, wierzy pan w tę ich wojnę? — spytał Piotr gospodarza. Traveleyan zbyt pilnie słuchał Jana Lorrain, który opowiadał historyjki z Montmartre, o ciemnych typach wspaniale tańczących *chahut*(*ekscentryczny taniec*)... Panią de Pontarlier powstrzymywała jedynie przyjaźń dla Hugh'a, inaczej byłaby się rzuciła z pazurami na Anglika. Zaczęła wprawdzie karierę w *café concert*, ale nie darmo była wdową po generale de Pontarlier, który dowodził w Tunisie i mawiał, że hańbą Republiki było zostawić Egipt na pastwę Anglikom, i to jeszcze przed końcem epoki napoleońskiej! Piotra dziwiło to odradzanie się mitów... Egipt, Napoleon, Trafalgar... Słuchając pomyślałby kto, że wszyscy ci ludzie żyją pod nieustanną presją wiecznie płonącej nienawiści do Wielkiej Brytanii...

Noc nadchodziła cicho, przy opróżnionych kieliszkach i cygańskiej orkiestrze, przy której zaczęto tańczyć. Mercadier, który tańczył dość nieszczególnie walca, poprosił osobę w niebieskiej sukni. Inne pary też się kręciły. Jego dama spytała go z omdlewającą miną, tuląc się do niego bez większego przekonania:

— Wydam się panu może głupia...

— Ależ niech pani mówi!

— Gdzie jest ta Faszoda?

Musiał przyznać się, że także nie wie. W Sudanie... Teraz trzeba by stale się uczyć geografii, w miarę rozwoju zdarzeń. Dopiero skończyliśmy wojnę w

Chinach, tyle tam było tych dziwacznych nazw... teraz musimy wbijać sobie w pamięć wyrazy afrykańskie...

— Zdawało mi się — powiedziała osoba w niebieskiej sukni — że ludzie nie wiedzą, skąd wypływa ten Nil.

— Właśnie — odrzekł Mercadier i zaprowadził ją do bufetu, aby się czegoś napiła.

Podszedł do nich pułkownik. Jego zdaniem, wszystkiemu winien był Marchand.

— Ale przecież nie będziemy się bić o Sudan, panie pułkowniku — rzekł Piotr. — Francuzi, którzy pamiętają jeszcze, co to wojna, jaki to straszliwy dramat, nigdy...

— Nie, panie Mercadier, nie, Francuzi nie będą bić się za Sudan, ale może za swój sztandar... aby jak tchórze nie usuwać sztandaru z miejsca, gdzie powiewał, o hańbo, wobec Anglików... Czy to nie przyszło panu na myśl? Nie?

— Sztandar może się zniszczyć na pustyni.

Tik pułkownika przybrał katastrofalne rozmiary. Z kolei on porwał kobietę w niebieskiej sukni.

Wojna... To mnie wcale nie dotyczy. Nigdy nie służyłem w wojsku. Jestem wolny. Mam pieniądze. Mógłbym wyjechać gdziekolwiek... do Grecji... do Hiszpanii... ach, zresztą i tak zostawią Anglikom tę trochę piasku. Na przyjęciu była także pewna osoba, którą widział już raz czy dwa przy bakaracie. Twarz ogromnie pociągająca, bardzo regularne rysy, wspaniałe plecy, niewysoka, ale doskonale się ruszająca, włosy szaroblond, szesane całkiem gładko, opuszczone wielkim puklem na czoło i zebrane w kok niewielki, ale upięty tak wysoko, że z przodu spadało to jej aż na szare oczy. Ubrana była na czarno i zakładała nogę na nogę ruchem dość śmiałym, unoszącym zieloną halkę nad cieniutkimi pończochami. Była bardzo milcząca, mimo że asystował jej z zapalem młody człowiek z Nicei, nie wiadomo jak przemycony w to międzynarodowe towarzystwo. Piotr nie mógł od niej oczu oderwać.

Travelyan poprosił ją do tańca. Potem wrócił do Jana Lorrain.

Co było między nimi? Piotr zobaczył, że przed chwilą patrzyli na niego i ona się uśmiechnęła. Ech, co tam! Jaki dziwny jest człowiek, wystarczy mu zobaczyć obcą kobietę i już myśli sobie Bóg wie co. Na dworze panowała noc. Piotr wyszedł na taras, powietrze było ciepłe, za ciepłe. Chyba zbiera się na burzę. Światła Nicei lśniły w dali, jakby mimozy dziergały noc na wybrzeżu; milcząca głębia morza zaledwie oddychała w głębi ciemnego krajobrazu.

Jakie absurdalne pojęcie miał Piotr o tych ludziach!

Co skłoniło go, aby przez parę dni dopatrywał się między nimi a sobą jakiegoś głębokiego współbrzmienia, jak między kryształami nastrojonymi na ten sam ton, ton w muzyce życia.

Wydawało mu się naprawdę, że istnieje rodzaj tajemnej, milczącej konfraterni, gdzie i on miał swoje miejsce, jakiejś ludzkiej rodziny, w której

on nie był obcym. Czy to spóźniony żal za tym, co stracił, obudził w nim takie złudzenia? Tchórzostwo? W każdym razie temu, co wydawało się jeszcze możliwe w światłach gry, w kasynowych dekoracjach, kategorycznie przeczyli teraz ci ludzie wyjęci ze swoich ram i razem rzucając w banalność towarzyskiego wieczoru. Krańcowa towarzyska wulgarność tych skażonych osób, ich procedury udawania ludzi, jakimi nie byli, ich nie wyznane a przejawiające się w ten sposób pragnienie, aby w niczym nie różnić się od swoich odpowiedników w społeczeństwie, w tym społeczeństwie, które przebiera i odrzuca zdezelowanych mężczyzn i wątpliwe kobiety...

Mercadier kpił z samego siebie. Wystarczyli Cyganie i jeden obiad, aby wszystko wróciło na właściwe miejsce. Samotności, tej prawdziwej, jego samotności, nie mogły zakłócić takie marionetki. Przypomniał mu się ostatni bal w podprefekturze i jego żona Paulina w sukni kupionej u Wortha za bajeczną sumę... Paulina naśladowała Denizę de Lassy, jak ci tutaj ludzie naśladowują jakieś nieznane mu osoby. Przypomniało mu się jedno z pierwszych *zdań* Traveleyana: „Nie sądzę, abym spotkał pana w Wenecji u Franchettich”, itd. Nie wiadomo, czy ten zniewieściały snob istotnie tam bywał mimo swego majątku i swojej kamaraderii...

— Panie Mercadier...

Głos był głęboki i przejmujący; głos ten obudził w nim mężczyznę! Odwrócił się z drzeniem. Nieznajoma w czarnej sukni stała przy nim na tarasie... Odezwała się:

— Czy pozwoli pan, że przerwę jego samotność? Nie znamy się... ale gardzimy tą samą rzeczą — tym!

Zamkniętym wachlarzem pokazywała oświetloną salę, gdzie śmiesznie wyglądający mężczyźni z wronimi ogonami, zmiętymi plastronami koszul, różnobarwnymi wąsami, brodami i czuprynami oraz kobiety paplali, bo orkiestra w tej chwili milczała. Nieznajoma ciągnęła:

— Czy pozwoli mi pan być z sobą w tę noc, zanim zaczną padać deszcz? Nie, nie żądam, żeby się pan do mnie zalecał... Oboje jesteśmy poza tym, prawda? Oboje zasłużyliśmy już sobie, aby dać spokój tej komedii. Dzisiejszy wieczór jest taki dziwny, tak już ciepły i tak ciemny... Nie wiem, czy będzie wojna, jak oni mówią... nie będziemy się o to sprzeczać... Czy istnieje coś poza tą nocą? A gdybyśmy rozmawiali jak starzy znajomi, bez skrupowania, bo czasem czuje się potrzebę powiedzenia głośno komuś milczącemu rzeczy głęboko ukrytych, zagubionych a gorzkich do chowania w sobie... Czy pan się zgadza?

Mruknął coś. Ona mówiła dalej:

— Zechce mi pan podać ramię? Może przeszlubyśmy się trochę... tak, zostawimy tu nasze rzeczy. Droga do skał nadbrzeżnych jest o tej porze cudowna. Bez trudu znajdziemy powóz za restauracją... O ile ma pan ochotę...

Zaskoczył go ten fantastyczny pomysł. Ale naciskające nań ramię nieznajomej i olśniewający dekolt tuż przy nim czyniły to wszystko

rodzajem cudu nie podlegającego dyskusji. Ton nieznajomej wykluczał wszelką pustą gadaninę. Może istotnie chodziło tylko o przejażdżkę. Ale jakiej doniosłości mogła nabrać nagle podobna przejażdżka dla człowieka tak doskonale samotnego, tak całkowicie wydanego na łup swoich myśli! Zaledwie sam słyszał chropawe i niejasne zdania, od których zaczęła się ich rozmowa; padały z jego ust niczym jakiś szybko recytowany rytuał. Zastanowił się w tej chwili: „Czy naprawdę będzie wojna?” — i to wydawało się uspokajać podniecenie i zamęt, w jaki wtrącała go ta kobieta. Żałował już, że zapadła między nimi ta umowa, a jednocześnie bał się, by najmniejszym wzbronionym gestem nie rozwiązać uroku, nie zniszczyć skupionego upojenia, nie zamącić przedziwnego wieczoru.

Otwarty powóz zdawał się ich oczekiwać. Potoczył się wraz ze swoimi białymi pomponami, a woźnica pogwizdywał ze znudzoną miną: znowu zakochani, mój ty Boże! Długo jechali w milczeniu. Księżyc nie świecił. Ciemność nabrała tej pięknej jędrności, którą chciałoby się krajać nożem. Podrzućni na nierównościach drogi, z jakimś wewnętrznym uśmiechem słuchali nawzajem bicia swoich serc.

— Pan jest, zdaje się, powieściopisarzem? — rzekła nagle.

O, więc o to chodziło!

— Proszę mi wybaczyć... powiedziałałam głupstwo... niech pan nie zaprzecza, ja zawsze czuję takie rzeczy... Nie, to nie dlatego, ale ta głupia insynuacja Hugh'a na pański temat była tylko pretekstem... Powieściopisarz czy nie... Mógłby pan przystać na to, zrobić to ustępstwo na rzecz głupiej wstydlivosti... Prawda jest taka, że długo obserwowałam, jak pan gra w kasynie... że jest pan... jeżeli chodzi o rzeczy drobne, jakiś inny niż wszyscy... Proszę nie brać tego za pochlebstwo czy zwłaszcza za chęć niepokożenia pana... Ja właśnie przede wszystkim boję się niepokoju... Wisi on w powietrzu; człowiek nie chce go, ale on miesza się do rozmów, do spojrzeń... Trzeba niezmiernie uważać, gdyż byle drobiazg o nim przypomina... Chciałabym wreszcie żyć bez niepokoju... Czy nigdy nie czuje pan ochoty, ale to straszliwej ochoty, aby mówić komukolwiek... ach nie, nie o miłości!... nie mieszać do tego miłości... mówić o sobie samym, o tym, co było dawniej, o ludziach, których już nie ma, z których pozostało tylko ich wieczyste oblicze; mówić komuś, kto pana nie zna, kto ich nie znał... komuś, dla kogo wszystko to jest nowe... absolutnie nowe... i w kim nie ma tego straszego żużłu rzeczywistości... komuś, kto wie o panu tylko to, co mu pan sam powiedział... kto wierzy w ten oczyszczony obraz, ten prawdziwy obraz, jaki pan mu ukazuje... Mówić, mówić bez końca... Aż noc zblednie... Mówić dużo... do kogoś, komu ufa pan bezsensownie, zadziwiająco, absurdalnie, nie wiadomo dlaczego, dlatego tylko, że ręce jego ujmując karty wykonały inny gest niż ręce innych ludzi... Co to są ręce? Co w nich jest szczególnego? Nic... coś nieokreślonego... powierzyć się tak, jak rzuca się pan na łóżko u kresu straszliwego zmęczenia... zawierzyć się tak, jak dajemy się unosić snom, z lękiem, że się obudzimy...

— Proszę mówić dalej — rzekł Piotr.

— Dlatego trzeba mi było tego pretekstu, że jest pan pisarzem... proszę się nie gniewać... ale można się zawierzyć pisarzowi... kobieta... to całkiem zrozumiałe... Więc proszę mi nie mówić, że nie jest pan pisarzem... Patrząc na pana pomyślałam sobie, że jest pan prawdziwym samotnikiem... może się omyliłam... Gdy się jest bardzo samotnym, zna się stan, o którym mówię, to upojenie, to szaleństwo... rozumie się je... przebacza... Czy się omyliłam? Nie jest pan samotnikiem?

— Owszem — powiedział i zdziwił się swoim głosem, niskim i pełnym. — Jestem człowiekiem samotnym...

— Ludzie nie znają samotności... zapełniają swoje życie... O to dbają przede wszystkim... zakłócają milczenie... wymyślają sobie obowiązki, rozrywki, powody, aby przebywać w tłumie... rozmawiać... śmiać się... A przy tym inni ludzie... Bo jest na świecie trochę ludzi, którzy... ludzi prawdziwych... to ci, co wchodzi do byle jakiego pokoju i zamykają drzwi od świata... ci, którzy co wieczór albo nad ranem stają się tak doskonale samotni, że mogliby już nigdy nie wyjść ze swoich czterech ścian... nigdy już ust nie otworzyć... nie uśmiechnąć się... nie udawać... umrzeć... Proszę nic nie mówić... niech mi pan pozwoli wierzyć, że pan jest jednym z nich... z moich... z tych, którzy są jak odgłos końskich kopyt na bruku... wie pan... oddalający się stuk... jaka szkoda, że nie umiem tego wyrazić... Ci, co są jak ze smutnej piosenki... jak z pożegnalnych słów kobiety, którą ktoś porzucił... pewnego dnia wspomnisz mnie... pewnego dnia pożałujesz... i dom będzie pusty... sąsiedzi zapomną... nikt... Ci, którzy są jak kapelusze porzucone na plaży... rękawiczka, od której zgubiono parę... Długa czarna rękawiczka w pełnym dniu na chodniku ludnego miasta... Ci, którzy zatracili sekret romancy i noszą w sobie pieśń bez słów... Moi... moi bliscy... moja rodzina...

Minął ich powóz, szybko jadący ku Monte Carlo. Dwa konie, które przy latarniach wydawały się szare, i trochę nikłego światła ożywiło na mgnienie oka popioły jej włosów. Potem wróciła noc głęboko czarna i cisza jeszcze doskonalsza przy turkocie pojazdu. Wtedy Piotr, pełen jakiegoś zakłopotania, uczuł, że nie może dłużej milczeć, i rzekł, czując lęk przed fałszywym tonem, przed graniem komedii:

— Zdaje mi się, że należę do tej rasy...

Dziwił się swemu lękowi. Naprawdę chciał, aby nieznajoma tak myślała. Powiedział jednak te słowa tylko przez jakąś prymitywną chytryść, aby wejść w jej grę, aby mieć to za sobą, osiągnąć rzeczy, które miały nastąpić, a przede wszystkim dlatego, że się jej to należało, bo uczyniła pierwszy krok i zbudziła w nim nagle jakąś głuchą, bezprzedmiotową radość... A potem nagle... Mówiła już od dobrej chwili, słuchał melodii jej głosu, nie rozumiejąc słów. Chciał uspokoić się co do samego siebie, zrobić sobie po cichu parę bardzo cynicznych, prostackich uwag mężczyzny, z którym się takich kawałów nie robi, który wierzy tylko w sprawy konkretne, i oto nie mógł się na to zdobyć — miałby uczucie świętokradztwa, może nie aż świętokradztwa, ale czegoś w tym rodzaju, i

bał się słuchać dalej, co mówiła ta kobieta tutaj, przy nim w kołyszącej się wiktorii, która brnęła w czarność. Nagle słowa dotarły do niego:

— Moja matka była tak piękna, że dziś jeszcze ludzie mówią o tym z pasją... W Metropolitan, w Covent Garden, w Operze Paryskiej tłoczono się, aby usłyszeć ten niewiarygodny głos, który śpiewa poprzez całe moje dzieciństwo...

Piotr słuchał. Dzieje nieznajomej wypełniały noc. Świat umarły, świat podobny do strojenia skrzypiec przed uwerturą... Ale Piotr drżał nie od słów, lecz od tej obecności w mroku.

Woznica zawołał z kozła, że robi się późno i że szkapa już ledwo trzyma się na nogach. Kazali mu zawrócić. Natychmiast koń zaczął iść lekkim truchtem. Oni zaś odwrócili karty książki, czytali teraz na chybił trafił, na stronicy, która otwarła się w życiu nieznajomej. Na opowieści jej dzieciństwa. Piotr zapamiętał, że nazywa się Regina. Zastanawiał się, czy ona również jest śpiewaczką.

## XI

Piotr spędził bezsennie noc. Co za dziwaczna historia! Gdy się rozstali, próbował odtworzyć sobie szczegółowo twarz, ruchy Reginy. Na próżno. Wymykała mu się. Tak jak wymknęła się z przyjęcia, gdzie odprowadził ją, bo musiała zabrać swój płaszcz... A przecież mógł się nie zgodzić, aby wracała do szatni... Powinien był nalegać... A co potem? Głupia męska zarozumiałość: jeżeli kobieta, która nagle zaczyna z tobą rozmawiać, która jedzie z tobą na spacer, tegoż wieczora nie pójdzie z tobą do łóżka, jesteś wściekły. A jednak dzieje się tak właśnie. Nie ma mężczyzny, który byłby inny i który by sobie nie wyrzucał, że zachował się jak dureń, bo nie traktował kobiety jak dziewczki. A przecież niczego nie przyrzekała, nie złamała żadnej obietnicy. Ale, ostatecznie, co jej zdaniem miał myśleć? Czego kobieta oczekuje od mężczyzny? Co może zająć między mężczyzną a kobietą poza tym właśnie? Nic. Nic. Nic.

Myślał o niej bez śladu rozrzewnienia, z samczym antagonizmem wobec łupu, co kryje się, igra. Miał też do niej urazę o niewyraźny obraz, jaki mu po sobie zostawiła. Jeszcze jeden podstęp...

Po kiego diabła opowiadała mu te wszystkie historie? Co obchodziła go jej matka i cała reszta... Przyłapał się na próbach powiązania jej chaotycznych zwierzeń, jak składa się kawałki podartego listu... Był jeszcze w jej życiu ten jakiś mężczyzna i ta podróż, i ten jakiś mąż... Ponieważ nie kierowała się konsekwencją ani czasu, ani miejsca, ponieważ opowiadała o jakiejś chwili swego życia tak, jakby Piotr znał całą jego resztę, a nie znane mu osoby, nagle wywlekane na światło, były podobne do siebie i trudno je było odróżnić, Mercadier brnął w mnóstwie niejasności, które trzymały w napięciu jego ciekawość.

A zresztą po cóż mu wiedzieć? Czyż najważniejsze w kobiecie nie są jej oczy, ciało, włosy, ruchy, dźwięk głosu? Skąd przybywa, z czyich objęć — to zupełnie obojętne. W Reginie było coś drażniącego i pociągającego,

może gadatliwość, która wciąż zdawała się otwierać drzwi upojeniu, zdradzać wreszcie tajemnicę tej kobiety, tajemnicę, z którą ściśle wiązały się jej uniesienia, pieszczoty, łzy, pragnienia. I nic więcej.

Ciekawe jednak, że Piotr mimo to wszystko nie odczuwał istotnego rozczarowania. Gdyby został kochankiem Reginy, natychmiast straciłaby dla niego ten urok, który prześladował go pod jej nieobecność. Czy do rozkoszy niezbędna mu była ona, czy też w istocie brakowało mu raczej jakiegoś węzła pomiędzy dniami, tego interesowania się kimś, które nadaje sens życiu, a którym ona obdarzyła go w chwili, gdy go już nawet nie szukał? Zaczął marzyć o jakiejś niespokojnej przyjaźni... Zdał sobie sprawę, że wyraz „niespokojnej” wciąż nasuwał mu się w związku z Reginą, mimo że ona zdawała się lękać budzenia wokół siebie niepokoju. Nigdy w życiu nie pomyślał, że mężczyzna może być w przyjaźni z kobietą. Czyżby się starzał? Odsunął tę myśl. Nie, dziedzina dotąd mu wzbroniona leżała przed nim. Powiedział sobie, że Regina jest inteligentna. Gdyby był poznał wcześniej kobietę inteligentną, gdyby się był nie związał z idiotką...

Nagle poczuł ukłucie w sercu. Przeniknęło go wspomnienie Blanki. Na krótko.

Potem wrócił jasną, brutalną myślą do tej nieznannej Reginy. Gorsety są tak kłamliwe; może piersi jej nie są już jędrne?... Zadzzwonił, aby mu przyniesiono śniadanie. Jak on wygląda? Po czterdziestce należy unikać bezsennych nocy. „Proszę mi przygotować kąpiel...” Pogoda była wspaniała.

Tego popołudnia wszedł do kasyna późno, około szóstej. Usnął bowiem w ubraniu, na łóżku, zmożony ciężkim trawieniem. Ten rodzaj snu jest obrzydliwy. Człowiek budzi się z ciężką głową, zatacza się. Czuje się niepewny. Zmarnował cały ten piękny dzień.

Gdy bez większego przekonania grał w ruletkę, jakiś głos poza nim powiedział: „Na czarne i passe”, i trzy ludwiki spadły tuż koło grabek krupiera. Nie drgnął. „Proszę stawiać! Gra się zaczęła... Więcej stawiać nie wolno...” Kulka zakręciła się, ukryła się jak schwytana mysz. „Siedem.” Czerwone, nieparzyste i *manque*. Piotr rzekł: „Przegrana”, i odwrócił się. Miała na sobie czarno-żółtą suknię bez dekoltu, z długimi rękawami i masą drobnych guziczków; na głowie dziwaczny słomkowy kapelusz, nie większy od talerza. Ucałował jej rękę.

— Dobrze pan spał? — zapytała.

— Wcale, a pani?

— Ja świetnie!

Twarz jej była tak czysta, tak doskonała, że trudno było nie wierzyć. Była wypoczęta jak małe dziecko. Nie odnalazł w niej nic ze swego niepokoju. Jakże mógł nie pamiętać tej twarzy tak wyrazistej i jasnej? Podobała mu się; to było oczywiste. Zasiedli do bakarata i grali do spółki. Kolejno trzymali karty. Wygrali, co było niepomyślną wróżbą. Postanowili razem zjeść obiad; miała jakieś spotkanie, które odwołała listem przez posłańca.



Za obiad zapłacą również po połowie, z wygranej.

Poszedł po nią do hotelu. Na wieczór włożyła tę samą suknię co wczoraj. Zaprowadził ją do „Beausoleil”, małej, cichej restauracji, gdzie nie groziło im spotkanie z Traveledanem i jego bandą. Chciał jej pokazać, że zna się na jedzeniu i winach. Oboje się tym zabawili. A także sposobem, w jaki odnosił się do nich kelner, który zaproponował osobny stolik w ogrodzie... Ujął rękę Reginy; nie cofnęła jej. Ale powiedziała:

— To dziwne; zdaje mi się, że znam pana od zawsze — i to bez przesady, z prostotą, która wykluczała wszelkie dwuznaczności. Ustalili, że będą się czuli jak bardzo dawni przyjaciele, którzy kiedyś byli może trochę kochankami, dawno, bardzo dawno, a potem stracili się z oczu.

Byli sami. Piotr pochylił się ku Reginie.

— Dlaczego nie mielibyśmy być z sobą jak dawniej? Ręce jego od stołu szły po jej ramieniu... Cofnęła się lekko.

— Niech pan będzie rozsądny — rzekła — zniszczymy piękne wspomnienia...

Pod pozorem, że chce wiedzieć, co działo się od czasu ich rozstania, skłoniła go, by mówił o sobie, on zaś z pewnym zdumieniem uświadomił sobie, że poddaje się tej zabawie, że z kolei on czuje pokusę, aby, jak ona, komuś się zwierzyć. Zanim się spostrzegł, już zaczął opowiadać swe życie. Regina słuchając go paliła cieniutkie papierosy ze złotego etui. Przerwał:

— Czy pani wie, że nigdy jeszcze, nigdy nie robiłem tego, co robię w tej chwili?

— To znaczy czego?

— Nie opowiadałem o sobie... nie opowiadałem nikomu o swoim życiu. Nigdy. Jeszcze wczoraj, gdyby mi to kto powiedział... Żywię pewną pogardę dla takiego bezwstydu... ze strony mężczyzny. Czy istotnie nigdy nie miałem tej słabości? Zaraz... może jeden raz... poczyniłem zwierzenia... ale chyba byłem pijany...

— Czy była to ładna kobieta?

— Kto? Ach, nie... to był Meyer...

— Co za Meyer?

Ujrzał znowu Meyera w kawiarni, absynt w kieliszkach... nie były to właściwie zwierzenia... Nie, nigdy nikomu nie mówił o swoim życiu. Dlaczego spośród wszystkich ludzi na świecie właśnie ta kobieta...

— Jeżeli dobrze zrozumiałam — rzekła — czyni mi pan wielki zaszczyt... A zatem zdradzał pan żonę z cedulą giełdową...

Nie był na to przygotowany; zraniła go ironia czy też to, co wziął za ironię. Nie miał jeszcze czasu przyzwyczaić się do przyjaźni, zwłaszcza z kobietami. Z trudem go uspokoiła i skłoniła, by mówił dalej.

— To dziwne — dodała — ale trudno mi wyobrazić sobie pana odbywającego lekcję z chłopcami... przez tyle lat, tyle cierpliwości. Proszę mówić o tym Johnie Law, to mnie interesuje...

Opowiedział więc o tym Johnie Law, z którego ani linijki nie pokazał

nikomu, poza przedmową, którą czytał był Meyerowi, właśnie Meyerowi. Wkładał w to zapał, o który się już nie posądzał; wedle niego w tym Lawie tkwiła cała seria łączących się z sobą tematów o życiu ludzkim, próba wyjaśnienia zawiłych zagadnień woli i przeznaczenia, przeciwstawienia geniuszu, jednostki — społeczeństwu. Ale nie wprost, bezpośrednio, lecz na tym bardzo szczególnym, mało znanym losie finansisty, w którym każdy człowiek czytając książkę rozpoznalby przetworzony wizerunek siebie samego. Na wieku XVIII można by wyjaśnić sprawę panamską, ostatnie dni naszego wieku, jego kłamstwa...

— I porzucił pan swój rękopis?

— Tak.

— Cóż za szkoda!

Zdawało się, że mówi to bardzo szczerze.

— Widzi pan — dodała — Hugh miał słuszość... jest pan pisarzem i przeczytałby mi pan swój rękopis, gdyby go pan miał tutaj...

— Na pewno daję pani o nim fałszywe pojęcie; to jest tylko szkic historyczny, gdzie pozwoliłem sobie na pewną swobodę...

— Nie, nie, to właśnie nazywa się powieścią. Oczywiście nie w stylu Bourgeta. Ale prawda, że z początku pisał ją pan w celu naukowym, w zgodzie z tym, czym pan wówczas był... czym się panu zdawało, że pan był?... A potem z wolna, prawda? książka zmieniała się równolegle do życia pana, oddalała się od linii początkowej, pańskie życie przenikało ją, stawała się jakby pańskim spowiednikiem, środkiem lepszego zrozumienia samego siebie. To już zagadnienie psychologiczne... Gdyby ją pan był zabrał z sobą, ona oddziaływałaby na nowe życie pana i zyskała od niego różnorodne błyski... Stałaby się wtedy prawdziwą powieścią... Law na Riwierze... Co sądziłby Law o ruletce? Czy w jego czasach istniała ruleta? I może lądując w Monte Carlo, John Law byłby się zaplątał w miłosną historię z pewną młodą kobietą, która ani słyszeć o tym nie chce.

— Regino!

— Pozwól mi tak bając, Piotrze... Byłbyś mi to czytał rozdział za rozdziałem i stopniowo pozwolilibyśmy Szkotowi na to wszystko, czego sobie wzbraniamy... Aby się przypodobać, opisywałby pan to, co pan sobie tylko wyobraża... Ale ponieważ pan książkę porzucił, proszę mi coś jeszcze opowiedzieć o tej Blance... Za mało mi pan o niej mówił...

Z początku czuł się skrepowany, potem zaczął mówić, obszernie mówić o Blance.

## XII

Piotr przestał grywać po południu. Widywał się codziennie z Reginą, przechadzali się razem, chodzili po sklepach, do Monaco; albo brali powóz i wspinali się na przybrzeżne skały w pięknym, wiosennym słońcu. W Mentonie oglądali corso kwiatowe. Spędzali całe dni w Nicei; poszli tam nawet do kasyna. Albo po prostu Mercadier przychodził do hotelu Reginy,

do jej pokoju, i rozmawiali godzinami.

Wieczór zastawał ich przy bakaracie, najczęściej rozdzielonych, ale w charakterze współników. Stała między nimi umowa, że nie będą afiszować się w salach gry. Jakby mieli coś do ukrywania. Zresztą mieli coś do ukrywania, coś bardziej kruchego, znacznie mniej nadającego się dla ludzkich spojrzeń jak stosunek miłosny — swoją przyjaźń. To była ich tajemnica.

Regina знаła sporo ludzi na wybrzeżu i w Monte Carlo. Nie zawsze była wolna, dalej widywała się ze znajomymi. Piotr zrzędził czasem; mówiła wtedy: „Tylko bez tyranii!” A zresztą czy miał jakieś powody? To przecież ludzie z kasyna; rozmawiała z nimi, towarzyszyli jej przy stołach, grała z nimi do spółki. Patrzył na to z daleka i był trochę zazdrosny. Czasem otrzymywał w przejściu jałmużnę jakiegoś słowa. W niektóre wieczory przesadzała, pławała się w rozmowie z pociesznymi kreaturami, z którymi, jak wydawało się Piotrowi, niepodobna było zamienić choćby zdania.

Gdy jej to mówił, śmiała się. Czynił to rzadko.

— Nie jest mi przykra — mówiła — ta pańska zazdrość... byle nie stawała się agresywna. Ci, którzy nie czują zazdrości, nie czują nic. I nawet między nami jest to pewien pieprzyk i pochlebia mi... Ale nie bądź niemądry, Johnny!

Wymyśliła sobie, aby nazwać go Johnny lub John, z uwagi na Johna Law.

— A zresztą nie chcę nazywać cię imieniem, któreś wyświechtał z tymi wszystkimi twoimi kobietami... Przyjaźń wymaga innego imienia!...

Właściwie on sam dosyć lubił tę zazdrość, która nadawała nieco ciągłości jego myślom, sensu jego wieczorom, złożoności elementom gry; lubił to uczucie, które weszło do repertuaru jego przesądów gracza i wpływało na zasady reguły, jakie sobie stworzył, na jego stawki, przechodzenie od stołu do stołu, przerzucanie się na ruletę. A jednak te drobne ukłucia w sercu, które czuł widząc koło Reginy mężczyznę jeszcze mu nie znanego i nie całkiem zgrzybiałego, nie całkiem szkaradnego, niepokoiły go; czyżby się zakochał? Wiedział, że już sam fakt zadawania sobie takich pytań świadczy o niebezpieczeństwie. Jest się zakochanym od chwili, gdy ulegniemy swoim myślom, gdy godzimy się przyznać, że, owszem, jesteśmy zakochani. Gdyby zgodził się na to, musiałby zmienić linię postępowania z Reginą. A wtedy wszystko mogłoby runąć. On zaś w pewnej mierze czuł się na razie szczęśliwy. Szczęściem uspionym, ale rzeczywistym. Potrzebna mu była obecność kobiety, nie ze względu na to, do czego mogło dojść między nimi, albo jako środek uspokajający. Równowaga między jej obecnością a nieobecnością nie zawsze była właściwie dozowana. Ale gdy niepokój wywołany nieobecnością nie rósł aż do rozmiarów cierpienia, był jeszcze radością. Mercadier dzielił się między Reginę i samotność. Może nie lepiej znosiłby Reginę zagarniającą całe jego życie, jak zupełne skazanie się na samotność. Może... Czasem zdawało mu się, że byłoby inaczej.

Najlepsze były te chwile, które spędzał w jej pokoju. Z biciem serca pytał

portiera: „Czy pani Brecy jest u siebie?” Wiedział, że jest, ale nie grało to żadnej roli. Miała duży pokój o dwóch oknach, z rozległym widokiem na drzewa. Ponieważ hotel stał na wzgórzu opadającym ku kasynu, widać było pod liśćmi skrawek ciemnolazurowego morza i ani trochę nieba. Liście były jeszcze wątle, ale duże jak pieszczotliwe dłonie, dłonie równika, pełne troski o tych, co boją się słońca.

W oknach były długie białe story, pożółkłe i stare, które musiały być zapuszczone aż do godziny trzeciej. Upał nadchodził niepostrzeżenie. Gnieździł się na długie, dalekie jeszcze lato. Pokój był zwyczajnym hotelowym pokojem: meble świeżo wylakierowane na biało, chiński parawan ukrywał umywalnię, na zbytecznym kominku zniszczona żółta pluszowa kapa, kilka krzeseł i wszędzie sporo pomponów.

Ale obecność Reginy zmieniała wszystko. W sposób tajemniczy, bo właściwie prawie nic jej nie akcentowało. Ustawiła inaczej łóżko, stół i krzesła zgrupowała w jednym kącie, co dało sporą wolną przestrzeń. W pokoju unosił się zapach perfum, który Piotr uczył po raz pierwszy, nie wiedząc, od kogo płynie, gdy stanęła za nim na terasie restauracji, gdzie Hugh Travelyan urządzał swoje *party*. Zapach, który czuło się silniej po pewnym czasie, jak umacniające się zwątpienie.

Wystarczała ta woń i to, co Regina rozrzucała po krzesłach, aby pokój zyskał własną duszę. Pasek, kołnierzyk, na łóżku suknia nie schowana do szafy, na stole rękawiczki rzucone z programem i bukiet kwiatów odpiętych od stanika. W szafie spirytusowa lampka, której woń walczyła czasem z perfumami. Tutaj bliskość Reginy oszołamiała lekko jej gościa.

— Zachowuję się, jakby pana tu nie było — i prała chusteczki w umywalni, szcztokowała suknie, wywabiała z nich plamy. Dzwoniła na pokojówkę, gniewała się, że koszule są źle wyprasowane, rozkazywała zreperować u dołu halkę, którą niedawno miała na sobie... — Nigdy nie ma temu końca... Ile czasu wymaga utrzymanie rzeczy w porządku! Zastanawiam się, jak radzą sobie kobiety mające rodzinę, męża albo te, które pracują...

— Mają służbę albo zaniedbują się.

Urok Reginy płynął z jej usposobienia, które było zarazem strasznie niedostępne i bezpośrednie. W każdym razie dla Piotra, który wyczekiwał i bał się jednocześnie każdego słowa i każdego ruchu, co mógłby zniszczyć czar i do przyjaźni domieszać gorączkę fizyczną. Hańbą było, że dotąd nawet jej nie pocałował. Na próżno mówiła, że nie chce niepokoju... — ona go pielęgnowała! Toteż rozmowy ich miały coś z teatralnego dialogu, maskującego istotne stosunki aktorów. Wszystko dokoła stanowiło ich ciąg dalszy, a to, czego nie mówiono, zabarwiało najniewinniejsze słowa i od czasu do czasu zadawało cios pozornej swobodzie. Prawie za każdym razem wydawało się Piotrowi, że grozi katastrofa... Ale Regina miała zadziwiający spryt i niezwykle wycucie krytycznych momentów. Zbyt mocno zadziergnięta rozmowa chroniła się nagle w niewinne alejki, łagodziła wzrastające pożądanie. Prawie niemożliwością było uchybić w czymś tej kobiecie.

Poza tym zachowywała się tak swobodnie, jakby był albo kochankiem, albo kimś, kto się nie liczy; szminkowała się przy nim lub nawet przez dwie godziny krążyła po pokoju z grubą warstwą kremu na twarzy. Była w tym obrona bez wyrachowania, naiwnie naturalna, ale czasem gniewało to Piotra.

Pewnego razu oznajmiono Traveleyana.

— Chyba nie każe pani wprowadzić tego błazna?

— Ależ owszem. Dlaczego by nie?

— Bo przy nim nie można rozmawiać...

— Jest pan niesprawiedliwy dla Hugh'a. A poza tym cóż ja na to poradzę? Jeżeli każę powiedzieć, że nie ma mnie w domu, co pomyśli portier wiedząc, że jestem?

— Niech myśli, co chce, i wielkie nieszczęście, gdyby miał słuszość...

— Cicho, cicho! Wykracza pan przeciw regułom gry. Wcale mi nie zależy na tym, aby portier myślał, że sypiamy z sobą... Jestem wprawdzie rozwiedziona, ale noszę nazwisko mego męża!

— Dobry z pani numer!

— Dobry czy zły, ale Hugh'a muszę przyjąć. A zresztą jemu zawdzięczamy naszą znajomość!

— Nie rozumiem, jaką przyjemność znajduje pani widując się z tym... tym... Równie dobrze mogłaby pani rozmawiać ze sztucznymi kwiatami!

— Nie takie to znów przykre, Johnny, jest pan niemożliwy: czy istnieje mężczyzna, który nie wzbudzałby w panu zazdrości?

— Nigdy nie zrozumieć, dlaczego kobiety lubią takie typy...

— Może jest to coś w rodzaju wycieczki... Faktem jest, że są oni ogromnie mili dla kobiet, zapewne dlatego, że nie mogą dla nich zrobić nic innego... — Zadzwoiła i powiedziała do pokojówki: — Proszę wprowadzić pana, który czeka na dole... Mój drogi, niech pan teraz opanuje się, aby nie wyglądać na kochanka, któremu przeszkadzają...

### XIII

Cóż za tłok! Ciekawe doprawdy, skąd bierze się tyle ludzi. Ruch był ciągły, w różne strony. Wielkie napisy na kawałach płótna kołysały się w powietrzu nad ulicami i jezdnią. Ludzie wypytywali się o coś wzajemnie. Chłopcy grali na trąbkach. Bezczynni mężczyźni krążyli wokół dziewcząt, których śmiech miał świeżość deszczu. Na krawężnikach pojawiły się krzesła. Przez puste jezdnie przebiegał czasem młody człowiek z niebieską opaską, w postawie na baczność. Złośliwi żartownisie coraz to wołali: „Są już, są!” I wszyscy tłoczyli się z oczyma zwróconymi w stronę Nicei. Ale byłoby to za wcześnie. Wykluczone. Cykliści mogli nadjechać dopiero za dwadzieścia minut, pół godziny.

— Wracajmy — powiedziała Regina.

W swoim pokoju rzuciła kapelusz, rękawiczki, torebkę, płaszcz, z miną dziewczynki, która zaraz się rozplacze, i nie krępując się obecnością Piotra nagłym ruchem rozpuściła włosy. Śliczna była z tym płynnym gąszczem, który teraz wydawał się jaśniejszy niż we fryzurze. Ta struga jasnego

popiołu na ramionach jeszcze lepiej uwydatniała wspaniałą cerę, tak niepokalaną, że przy kunsztownie upiętych włosach wydawała się sztuczna.

— Nienawidzę tłumu — rzekła. — A pan?

Zadzwoniła. Piotr nie lubił pytań, na które istniała tylko jedna odpowiedź. Wyobraźcie sobie jegomościa, który oświadczyłby, że po prostu uwielbia tłum... Wszyscy nienawidzą tłumu.

— Wszyscy nienawidzą tłumu — odparł, a na to Regina:

— Wszyscy nienawidzą tłumu?... Niech pan w to nie wierzy! Są ludzie, którzy tylko w tłumie czują się swobodnie; to rzecz wiadoma. Gdyby nie to, nie byłoby tłumów, nie byłoby ich nigdy nigdzie. Proszę posłuchać!

Przez okno wciskał się gwar. Pokojówka zapukała do drzwi.

— Proszę mi przynieść gorącej wody — rozkazała Regina.

— Ja też nie lubię tłumu — mruknął Piotr. — Nieraz się zastanawiałem, jakim sposobem... biorąc rzecz teoretycznie... co trzeba by zrobić, aby zatrzymać ludzi na ich miejscach...

— Oni mogliby to samo powiedzieć o nas.

— Nie, to co innego. My nie doznajemy przyjemności w ten sam sposób co oni. My nie musimy znaleźć się wśród stu tysięcy, aby się czuć dobrze. I to, co nam sprawia przyjemność, nie przemawia do tych prymitywnych namiętności, które można wzbudzić w stu tysiącach ludzi zebranych na jednym miejscu, lecz do tego, co umysł ludzki ma w sobie najlepszego... Sztuka, gra... miłość...

— Dziękuję za tę ostatnią. Przecież oni także ją uprawiają.

— To jedno tylko może ją zepsuć w moich oczach; i ma pani słuszość: oni ją uprawiają, nic więcej... Nie róbmy porównań. Chcę tylko powiedzieć, że wszystko, co wiąże się z najdoskonalszymi uczuciami człowieka, z góry zakłada, że odsuwa się on od tłumu... że odeń ucieka... Czyż istnieje coś bardziej zwróconego do wnętrza, coś mniej zrozumiałego dla tłumu jak radość z oglądania dzieła sztuki?... Lubię bardzo malarstwo... A muszę powiedzieć, że muzea obrzydzą mi je. Obraz jest po to, aby posiadał go amator, u siebie w domu, w ukryciu, w tajemnicy przed wszystkimi, i czasem tylko pokazywał go subtelny znawcom jako przedmiot swojej dumy... Z muzeami jednak godzi mnie częściowo fakt, że stoją przeważnie pustką; można tam zabłądzić. Więc razi mnie tam inny tłum, tłum obrazów, i proszę przyznać, że to nagromadzenie przynosi im szkodę... Nie, niech pani nie upina włosów, z taką przyjemnością patrzę na nie teraz... sam... Wie pani, włosy stanowią tajemnicę kobiet, patrzy się na nie i nie widzi się ich, bo są ułożone w fryzurę, i nagle przeistaczają one kobietę dla tego czy dla tych, którzy ją kochają... dla mnie jest to coś najbardziej oszołamiającego w świecie... zdaje mi się, że kobieta, która by знаła tę moją słabość, przykułaby mnie do siebie, posługując się tym symbolem, przykułaby mnie silniej niż czymkolwiek innym.

Pokojówka wróciła z niklowym dzbankiem. W milczeniu postawiła go za parawanem i wyszła.

Regina, która stojąc przy lustrze przyjrzała się sobie, rozburzyła włosy i

zagłębiła w nich palce, teraz zwróciła się do Piotra.

— Jeżeli sprawy tak się mają — rzekła — zaraz je splotę...

Udała, że się czesze, ale przeszła za parawan.

— A jednak — mówiła dalej — są piękne widowiska wymagające tłumu... opera, koncerty... wyścigi w Longchamps... olbrzymie budowle przeznaczone dla tysięcy ludzi i przez tysiące podziwiane...

— Nie żyjemy w Wieku Piramid czy też Katedr, gdy wzniosłe marzenia przytłaczały niewolników... Dzisiaj usiłuje się im schlebiać, uprzedza się trywialność ich gustów, odgaduje się je... Ja na przykład w życiu nie widziałem czegoś tak szkaradnego jak Wystawa w roku 89...

— Niech pan nie traci nadziei, Johnny, zobaczy pan jeszcze wystawę w 1900... Wiadomo przecież, że cały Paryż pokrył się rusztowaniami...

— To wielce obiecujące, ale chyba jednak nic nie prześcignie w ohydzie wieży Eiffla. Oto do czego dochodzi się goniąc za uznaniem tłumów! Do gigantycznej narośli na słoniowych nogach, z główką jak od szpilki, do żelaznej żyrafy, o której z całkowitą pewnością można powiedzieć, że nigdy, nigdy, nawet za sto lat, nikt nie uzna jej za piękną!

— Co do tego, przyznaję słuszność.

— Dziękuję. Jeżeli pani chce wiedzieć, Regino, nienawidzę tłumu, który pełza po świecie jak ślimak, pozostawiając ślinę na szczątkach wszystkiego, co wielkie; swoje pudełka od sardynek w krajobrazie, tłuste papiery na wszelkiej poezji, i który najgłębszym krzykiem natury ludzkiej odpowiada zajakliwym echem uczniaków, z trudem dukających alfabet...

— To mistral czyni pana tak napastliwym, mój drogi. Całe nieszczęście w tym, że ani pan, ani ja nie jesteśmy stworzeni do życia na pustyni i że ten tłum niezbędny jest dla naszej wygody. A poza tym ani pan, ani ja nie zdołamy go powstrzymać, jeśli zechce wtargnąć na zakazane tereny...

— Na to są inni ludzie, ci, dla których jest to namiętnością, upojeniem i fachem. Dźwigają brzemień świata i za tę cenę utrzymują władzę w swoich rękach. Grają partię, w której nie król, nie królowa, ale tłum przesądza o zwycięstwie. Nazywa się ich ludźmi polityki w odróżnieniu od nas, którzy jesteśmy po prostu — ludźmi. Ja chętnie wyciągam do nich rękę...

Głos Reginy odezwał się zza parawanu:

— Ludzie polityki! Czy zna ich pan z bliska? Strach pomyśleć, że my powierzamy im nasze losy! Wie pan, Brecy, mój mąż... był deputowanym małego górskiego miasteczka... gdzie kupienie sobie większości nie kosztowało zbyt drogo. Ja nieźle znam świat polityki... W całej Izbie nie ma ani dziesięciu ludzi, z którymi można utrzymywać stosunki... a i tych dziewięciu to skończone lotry...

— Uczciwość ludzi nie jest jedynym motywem, dla którego warto z nimi utrzymywać stosunki...

Zza parawanu dochodził plusk wody. Regina zawołała:

— Johnny, niech pan przyjdzie polać mi głowę wodą z dzbanka. Jestem cała w mydle, a to bardzo trudno spłukać te wstrętne włosiska!

Nie dał się prosić. Urocza była w białej pianie jak w peruce, na tle mnóstwa

ręczników, i te jej miny, które niby to miały uchronić oczy od mydła. Pomoc przy myciu głowy oznaczała dalszy krok naprzód w ich przyjaźni. Piotr zapomniał, co chciał powiedzieć o robotnikach, o wzrastającym niebezpieczeństwie zagrażającym prawdziwej wolności, o ich syndykatach, strajkach, coraz nowych żądaniach. Regina śmiała się:

— Ręcznik, prędko ręcznik! Mam w oczach masę mydła!

xiv

— Johnny — powiedziała — jutro...

Wyszedszy z kasyna, jakby ukradkiem wzięli powóz i jechali wolno, rozmawiając bez końca. Nie pytał jej o nic nadzwyczajnego, po prostu chciał wiedzieć, o której godzinie zobaczą się dnia następnego.

— Jutro...

Zmieszła się. Umilkła. Co to miało znaczyć? Głos jej był zmieniony:

— Johnny, ani jutro, ani pojutrze...

— Ale dlaczego, Regino? Dlaczego?

— Znajomi... Lepiej, abyśmy się nie widzieli przez czas, gdy oni tu będą...

— Cóż za szalony pomysł? Jeżeli masz przyjaciół, przyjdzie taka chwila...

— Nie, nie! Przyjadą tylko na dwa, trzy dni...

— Już teraz na trzy? A co ja mam robić przez ten czas? Co mnie obchodzą pani przyjaciele?

— Cicho, cicho! To są bardzo, bardzo bliscy przyjaciele... i przyjeżdżają z daleka... specjalnie po to, aby się ze mną zobaczyć... Ja nie mogę...

— To są brednie, Regino! Cóż to za gatunek przyjaciół...

— Przyjaciele...

— To nic nie znaczy! Przyjaciele? Przyjaciel, to przyjaciel, prawda?... Ach, rozumiem.

— A gdyby nawet? — rzekła. — Jakie są pańskie prawa, aby robić mi scenę?

— Nie robię pani sceny, ale dlaczego pani skłamała?

— Bałam się po prostu urazić pana; postąpiłam głupio.

— Bała się pani? Wobec tego, Regino, czemu chce pani nie widzieć się ze mną przez trzy dni? To niemożliwe! Do licha z tym przyjacielem! Co panią z nim łączy? On jest niczym dla pani. Prawda, niczym? Tak? Ach!...

Umilkł gorzko w głębi nocy i powozu.

— Widzi pan, Johnny — szepnęła — wiedziałam, że to panu sprawi przykrość, mimo że nie ma to żadnego sensu, bo nie ma powodu; nic się nie zmieniło, nasza przyjaźń...

— Nie chodzi o naszą przyjaźń. Pani ukrywała przede mną istnienie tego człowieka...

— Niczego nie ukrywałam, mój drogi. Po prostu tylko nie mówiłam o nim.

— Kto to jest? Ależ to można zwariować! Nie chcę nic wiedzieć. Ale ty, Regino, ty...

Nagle porwał ją w objęcia, szukając jej ust.



— Johnny — broniła się i odpychała go. To utworzyło między nimi szczelinę w ciemności. Mówił coś niewyraźnie, ścisnął jej rękę, chcąc bez słów wyrazić tysiąc rzeczy.

— Wszyscy tacy sami — powiedziała jakby do siebie — wystarczy wam dowiedzieć się, że kobieta ma kochankę, a wydaje się wam już, że wszystko wam wolno... Ach, proszę się nie tłumaczyć... to jeszcze gorzej!... I oto można tygodniami żyć u boku człowieka... staje się twoim przyjacielem... rozbierasz się przy nim i nie prowadzi to do niczego... stosunki wasze są ściśle określone... rozumiecie się niemal bez słów... a potem niech tylko dowie się, że jest ktoś inny... i żegnaj, szacunku, przyjaźni... Potraktuje cię jak pierwszą lepszą...

— Regino, przebac, ja także jestem mężczyzną...

— Czy musiał pan przypomnieć sobie o tym tak nie w porę, właśnie gdy panu powiedziałam o tamtym? To przykre, bo takie pospolite, prawie niezawodne... Odruch... Zazdrość czyni mężczyzn tak do siebie podobnymi, że to wprost przerażające...

— Przebac mi, Regino. Ale czy naprawdę w twoim życiu jest jakiś mężczyzna? Kochanek?

— Cóż w tym strasznego? Jestem młoda, jak mam żyć?

— A mówiłaś, że nie chcesz niepokoju?...

— A któż tu mówi o niepokoju? Między nim a mną sprawy układają się inaczej.

— Więc go nie kochasz?

— Jak pan to rozumie? Owszem, kocham go. Inaczej, niż pan sobie wyobraża. Ale kocham go. Oczywiście, że kocham. Jest dla mnie bardzo dobry, bardzo... Okazuje mi względy jak nikt dotąd... Ale przecież nie będzie się pan tym smucił, Johnny? Nie zrobiłam nic niezgodnego z naszą umową, nic niezgodnego z tym, co rozumiało się samo przez się, bez słów... Wpada pan w moje życie bez ostrzeżenia... Ponieważ widzi mnie pan samą, zaczyna pan sobie wyobrażać... I proszę przyznać, że dopiero gdy powiedziałam, że przyjeżdża mój przyjaciel, stał się pan nagle taki... Czy to pańska metoda, aby tak napadać na kobiety, gdy panu mówią, że należą do innego?

— Kocham cię, Regino!

— Cicho bądź, Johnny! Proszę tego nie mówić... To mogłoby przyjść potem i sprawić panu cierpienie... a tego nie chcę.

— Kocham cię, Regino!

— To głupie, nieprawdziwe... Po co? Jesteśmy tak dobrymi przyjaciółmi! Czego właściwie chce pan ode mnie?

— Kocham cię...

— Nie wierzę. Proszę starać się myśleć o czymś innym. Tak jakbym nic nie powiedziała... Proszę mi dać spokój, puścić mnie... Posłuchaj, Johnny, wierz mi, lubię cię, ale... Co zrobić, aby się pan zachowywał spokojnie? Przecież nie będzie pan płakał, w tym wieku? Nie, nie chcę! To nie są łyzy. Pozwól mi, niech je sama wytę, Johnny! Czego chcesz ode mnie... Proszę

się uspokoić...

Nagle usta jej dotknęły ust Piotra. Obcość nieznanych ust, oszołomienie... Odsunęła się szybko i znów zaczęła mówić:

— Tego chciałeś, Johnny, więc ci to dałam... Widzisz, jestem prawdziwą przyjaciółką... Teraz proszę być rozsądnym... Nie, nie zostanę pana kochanką... Lubię pana bardzo, ale nie będę pana kochanką!

— Z powodu tego człowieka?

— Z powodu tego człowieka. Tak. On mnie kocha, Johnny, kocha naprawdę.

— Skądże wiesz o tym?

— Wiem. To mi wystarcza.

— Ale ty go nie kochasz!

— Powiedziałam już, że kocham... A poza tym...

— Nie kochasz go.

— Może nie tak, jak pan to rozumie... Nie kocham go tak, jak... jak kochałam raz i już nigdy potem... Nie, Johnny, nie ma w tym niepokoju, a jednak jest to miłość...

— Kim on jest?

— Po co panu wiedzieć? Spędzi tutaj trzy dni... Postarasz się trzymać z dala... będziesz grał... a potem on wyjedzie... Zostaniemy sami. Im mniej będziesz o nim wiedział, tym lepiej...

— Kto to jest?

— Tak bardzo chcesz wiedzieć? Człowiek dobrze wychowany. Dyplomata. Bardzo zamożny...

— Ach, rozumiem!

— Johnny, zazdrość łatwo czyni pana grubiańskim. A czy pan się nigdy nie zastanawiał, z czego, jak ja żyję? O Boże, jak to łatwo tak spadać z księżycy! I cóż w tym złego, pytam? On mnie kocha, a ja nie chcę się gnieździć w małych hotelikach, nosić źle uszyte suknie, mieć długi i kłopoty. Tak, on mnie utrzymuje. A pan sądził, że to Brecy łoży na moje potrzeby?

— Wolałbym to...

— Dziwna moralność! Opuszczam człowieka, jestem już dla niego niczym, ale ponieważ kiedyś pobraliśmy się, mogę brać od niego pieniądze... natomiast gdy przyjmę coś od innego mężczyzny, mego kochanka, jestem lafiryndą? Tak? Niech pan przyzna, że tak pan myślał!

— Nie myślę nic, Regino, nienawidzę tego człowieka, wszystkiego, co was łączy, jego pieniędzy...

— Nienawidzi go pan za to, że mnie kocha i że jest dla mnie dobry... Jakie ma pan prawo do tego?

— Co to za człowiek?

— Mówię panu: dyplomata, niemiecki dyplomata. Chce pan wiedzieć, jak się nazywa? Nie jest to żadna tajemnica: baron von Goetz... Zna go pan może? Nie. Dowiedział się pan jego nazwiska, może pan spokojnie pójść spać. Zobaczymy się, gdy on wyjedzie.

— Jeżeli cię kocha, dlaczego się z tobą nie żeni?

— Po pierwsze, mnie na tym nie zależy, a po drugie, między nami panują inne stosunki. A wreszcie, jeżeli chce pan wiedzieć, nie należę już do kobiet, z którymi mężczyźni się żenią...

— Regino!

— Co? Uraziło to pana? Bardzo mi przykro! Ale tak jest. Wydawało mi się, że cały świat słyszał o tym skandalu... Pan nie? Dzienniki rozpisywały się... *Gdy* sprawa stała się wiadoma i gdy porzuciłam Brecy'ego! Nie? Widzi pan, jak powstają złudzenia!... To stara historia, ale narobiła piekielnego hałasu... W końcu, szczęściem dla Brecy'ego i dla jego kariery, opinia publiczna zważyła wszystko na mnie... Gdy później poznałam Heinricha, wszystko to było jak stara zablizniona rana, która już nie boli, ale którą jeszcze obnosi się na twarzy... Był bardzo dobry, ale dlaczego miałabym mu burzyć całe życie? Przede wszystkim jestem Francuzką, a to w jego zawodzie byłoby w Niemczech bardzo źle widziane... Poza tym ja lubię żyć po swojemu, trochę poza nawiasem, swobodnie... On prowadzi swoje życie, a od czasu do czasu wymyka się. Telegram... Potem trzy, cztery dni... tydzień... po czym wchłaniają go znów jego sprawy, obowiązki. Tak to trwa między nami, coś jakby romans... nie przeradza się w przyzwyczajenie... A teraz niech pan śpi dobrze, Johnny, umieram ze zmęczenia... Zobaczymy się w czwartek... Zjemy razem śniadanie, dobrze?

— Ależ, Regino!

— W czwartek... Johnny... Proszę być rozsądnym... W czwartek...

Wyskoczyła z powozu i zadzwoniła. W hotelu zaszurały kroki nocnego portiera. Piotr dotknął swoich warg, jakby go zabolęły. Myślał o pieniądzach, które ten człowiek daje Reginie. A zatem ona nie kocha barona? Nazywa się Heinrich.

## XV

Mercadier obudził się w przeświadczeniu, że stało się coś, o czym zapomniał. Czuł się nieswój, nękały go jakieś niejasne wyrzuty. A jednak na dworze było ładnie, nie pił za dużo. Nagle wszystko wróciło mu na pamięć: powiedział Reginie, że ją kocha. Czy oszalał? Nie kochał jej. Był to pomysł tego jakiegoś człowieka, który go skłonił do powiedzenia tego. Ale nie kochał jej. Nie upłynęło jeszcze pół roku od czasu, kiedy zdawało mu się, że kocha Blanę. To dobre dla sztubaków...

Piotr cierpiał jednak na myśl, że ona należy do innego, a nie do niego. Czy to znaczy kochać? Takie samo ukłucie czuł w sercu na myśl, że Francesca wraz z bratem nabrała go. Kobiety były już dla niego tylko kamieniem probierczym zbiegłej młodości.

Ale powiedział Reginie, że ją kocha. Trzeba będzie teraz postępować tak, jakby nie skłamał. Głupia historia. Zapłacze się w jakąś awanturę. Czego oczekiwał po tym kłamstwie? Przypuśćmy, że ona uwierzyłaby i poświęciłaby mu swego barona; jak ułożyłoby się ich życie? Ostatecznie przecież nie będą żyli razem... A gdyby nawet? Czy mógłby jej ofiarować to, co dawał jej tamten? Oczywiście, że nie. Skromne życie, życie we dwoje. Ależ to niemożliwe!

Ten Niemiec utrzymywał Reginę. Przyjeżdżał tu rzadko. Na trzy dni, na tydzień. Zresztą czy warto robić tyle zamieszania? Czy ona pytała go, skąd on ma pieniądze? Czy to było bardziej zaszczytne? Lepiej nie wiedzieć! Jedyne, co się zmieniło, i to zmieniło zasadniczo wobec przyjazdu barona *von Goetza*, było to, że obecnie nie można już było upierać się przy tej fałszywej przyjaźni. Sytuacja nie do zniesienia. Trzeba dowieść sobie, że się jest wyżej stawianym niż tamten człowiek. Cień jego nie byłby żenujący, gdyby stał się cieniem oszukiwanego kochanka. W przeciwnym razie — stale czuć w kulisach tę postać z krwi i kości, ten podział, prawo tego nieznanego człowieka, który mógł spać z nienacka i powiedzieć ci, abyś mu ustąpił miejsca, jego miejsca. Nie.

Ale może jednak ją kocham? Czyż w tej dziedzinie w ogóle zdobywa się doświadczenie? Czy uczymy się odróżniać prawdziwą miłość od fałszywej? Skąd wiadomo, że miłość to nie jest ten niepokój, to jasne i pełne wściekłości spojrzenie na kobietę, ta złość na nią, która dominowała w Piotrze tego dnia? Kochać... Nie widzieć jej trzy dni...

Zobaczył ją jeszcze tego samego wieczora. Weszła około dziesiątej do sal kasynowych, a z nią mężczyzna lat około czterdziestu pięciu, bardzo wysoki, dość kościsty, o krótko przystrzyżonych włosach, wygolony, z monoklem; to zapewne ten baron. Towarzyszył im młody człowiek, podobny do tamtego, wyglądający na lat poniżej dwudziestu. Syn albo brat. Bardzo jasny blondyn, o wyglądzie już bardzo wojskowym, ze szczególnym wyrazem zdziwienia na twarzy, której życie skupiało się na policzkach. Piotr widział ich obu jakby przez mgłę; trzymali się trochę za Reginę; szła płynnym ruchem, jaki nadawały jej długie suknie, których falowanie zdawało się zaczynać od jej stromych piersi. Miała na sobie

suknię, której nie znał. Suknię en *fleur de velour*, jak mówiono w tym sezonie, w kolorze jasnomorelowym: z szerokiej i długiej spódnicy wyłaniała się talia niewiarygodnie cienka, w dekolowanym staniku o ramionach z kremowego szyfonu, co tworzyło jakby dwie nasady skrzydeł. Na staniku było przybranie bardzo w stylu Ludwika XV, które dwiema długimi liniami powtarzało się na spódnicy: muszelki i haftowane kwiaty z amarantowego aksamitu i stalowych paciorków. Nigdy jeszcze cera Reginy nie wydawała się bielsza, a włosy odsłaniając kark tworzyły mnóstwo loków upiętych na szczycie głowy.

— Nie ma żadnych klejnotów — rzekła jakaś kobieta obok Piotra, a jej sąsiad, grubas w okularach, odpowiedział:

— Wcale ich nie potrzebuje.

Należało stosować się do rozkazu. W razie spotkania usunąć się, udawać, że jej nie zna. Mercadier wędrował więc od stołu do stołu, ścigany przez zjawisko w aksamicie. Jakie ona ma ramiona, a haftowany stanik wspaniale podkreślał jej biust ponad tą niewiarygodną talią. Niepodobna nie myśleć o tej kobiecie, nie zostać tu, nie patrzeć na nią. Gra straciła wszelkie znaczenie. Piotr przegrywał, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. Wszystko, co sobie przemyślał, wydawało się nie istnieć! Jak to? W jakim stopniu zmienia sytuację fakt, że za Reginą idzie ten kościsty Niemiec o za małym nosie i potężnych ramionach? Gdy się kocha, można przyjąć wszelkie warunki. Podział... To dziecinne bajki. Oto pan, który płaci... No dobrze, to płaci. Dobrze sobie! Nie różni się to niczym od zdrady małżeńskiej. Któż kiedy w sprawach miłosnych myślał o tym, co stanowi podłoże wiarołomstwa, o ułatwiającym wpływie pieniądza? Pieniądze, zawsze pieniądze... Czyż Mercadier da się zatrzymać tej moralnej barierze? W jakim kierunku potoczy się życie? Zobaczymy.

O zwykłej godzinie stara dama w czerni weszła do sali wraz z dwoma sekretarzami, powitana ukłonem krupiera. Pułkownik, który obejmował bank przy stole, gdzie gra szła leniwo, zawołał do siedzącego naprzeciw Mercadiera:

— Gramy do połowy?

Piotr zgodził się. Pochłonęło go widowisko, jakie wśród ogólnego zainteresowania dawała wraz ze swoją świtą stara dama, ku której podbiegł baron. Przedstawił Reginę i młodzieńca. Wszyscy usadowili się wokół starej damy, która rozdawała karty. Gracze ściągali do tego stołu, który jak każdego wieczoru stał się centralnym punktem gry.

Bank został rozbity. Pułkownik, który był niewysoki, uniósł się z miejsca, co wyglądało, jakby zsiadał z konia.

— Brak nam szczęścia, mój partnerze! — zwrócił się do Piotra. — Nie pociągnęliśmy długo!

Mercadier wcale się tym nie przejął; patrzył na Reginę w tej nie znanej mu sukni. Był przy niej Traveyan; z nim się nie kryła, Anglik rozmawiał z młodzieńcem. Traveyan, co prawda, znał starą damę, mówił nawet Piotrowi, że to zacna kobieta, nie pozbawiona pewnego poczucia humoru i

dość zabawna, gdy nie śpi. Pułkownik, który poszedł za wzrokiem Mercadiera, zaczął mówić o starej damie. Mercadier z początku nie słuchał, ale potem usłyszał, że pułkownik przeszedł na temat pani Brecy... Nastawił uszu. Pułkownik był zapewne w złym humorze, bo przegrał. Chrapliwie szeptał:

— Byłbym się założył! Całe to godne towarzystwo musiało się spotkać... No, nie, niech pan popatrzy, niech pan tylko popatrzy...

Mercadier, trochę podrażniony, odpowiedział:

— No i co takiego, pułkowniku, co pan widzi ciekawego w tym, że pani Brecy...? Tamten wzruszył ramionami.

— A więc pan nie wie? To przecież było z góry ułożone. Baron von Goetz i ta Brecy musieli się ucześcić tej starej Hutchinson... Uraziłem pana? Niech pan nie marszczy brwi, drogi panie Mercadier; pan nie zna tych ludzi — to jasne... Wie pan, kim jest lady Hutchinson? Cały świat o tym wie: jest matką karabinów maszynowych... Ślicznych maszynek, hutchinsonów. Wygodne, solidne, celne. To interesujące dla niemieckiej armii, rozumie pan...

— Pułkowniku, daruję panu karabiny maszynowe, niemieckiego barona i starą damę... Ale dlaczego miesza pan w to panią Brecy?

— Jakież pan naiwny, panie Mercadier! Regina Brecy żyje z baronem von Goetz, to powszechnie wiadomo, zaś von Goetz jest jednym z szefów wywiadu Kajzera, o tym wie mniej osób, ale to rzecz pewna.

— Co pan powiada? I o takich rzeczach wie się?

— Nie zawsze. Ale w tym wypadku... Oczywiście, że jest pod nadzorem. Takim ludziom trudno czegoś dowieść. Nigdy niczego nie robią sami. A zresztą tutaj, w Monte Carlo...

— Ale rola pani Brecy w tym wszystkim... Ona zapewne o niczym nie wie.

— Więc i tego pan nie wie? Ach, zapomniałem, nie czytuje pan gazet... umknęło to panu... Nie przypomina pan *sobie* skandalu Brecy'ego?

— Nie... Słyszałem, że o tym mówiono... Kto to taki ten Brecy? Jakiś deputowany?

— Zadziwiające, doprawdy zadziwiające! Słowo daję, że zazdroszczę panu tego życia na księżycu! Brecy był członkiem Komisji Wojskowej. Pewne wiadomości, do których był dopuszczony, zostały zdradzone Niemcom... Znalaziono list... List bardzo niejasny, ale była tam mowa o jakimś deputowanym... Była to afera, która usunęła w cień sprawę Dreyfusa... Zrobił się wielki huk! Ale Brecy miał przyjaciół... i wiadomo było, że wszystko powtarzał żonie...

— No i co z tego?... Nie widzę w tym logicznego związku...

— Pan jej broni? To dobry numer! Ale już krążył w cieniu von Goetz...

— Mówiła mi, że poznała go później.

— Ach, tak? Zabezpieczała się. Mój drogi, tego rodzaju typy umieją wmówić porządnemu człowiekowi, co chcą! Zdradzała Brecy'ego z von Goetzem... a jeżeli nie zdradzała, tym gorzej... w każdym razie widywali się często... Oczywiście nie dowiedziono niczego... Ale przyjaciele

doradzili Brecy'emu, aby rozszedł się z żoną. Ona oczywiście doskonale rozumiała, co się święci... Milcząco wzięła wszystko na siebie, wyjechała. Brecy był w rozpacz. Ale nie było rady... Po jej wyjeździe sprawę zatuszowano... Brecy jest trochę skompromitowany, ale wie pan, jak to jest w świecie polityki! Trudno powiedzieć, co tu robi Regina Brecy, ale proszę spojrzeć, jak doskonale zabrała się razem z Traveyanem, też osobliwym typem, do starej Hutchinsonowej. Niech pan popatrzy, jak ją wszyscy otoczyli! Znam kogoś, kto chętnie posłuchałby tej rozmowy... Ten tam jegomość... Pewien kapitan chcący zrobić karierę... Śledzi von Goetza, założę się! Znam go od dawna... Napije się pan?

Coś w rodzaju lodowatego tuszu spadło na ramiona Piotrowi. Ile prawdy było w tej gadaninie? Chętnie by spoliczkował pułkownika. A potem... Jednakże mógł mieć słuszość! Nie chodziło o to, że Regina ukazywała się nagle Mercadierowi w przerażającym świetle moralnym... Kpił sobie z moralności... Ale Regina była więzieniem przeszłości i groźnej przyszłości. Grzęzła w skomplikowanym życiu, gdzie nie było miejsca dla Piotra, gdzie nie było miejsca na miłość! Pomyślał najpierw o sobie: ależ byłby się wpakował!

Opuścił pułkownika pod pozorem, że idzie grać. Był bardzo wzburzony. Karty padały na stół, grabki krupiera Zgarniały stawki, bank przechodził z rąk do rąk... Mercadier zapomniał postawić. Zewsząd naciskali na niego chciwi gracze; stare, chude kobiety rozpychały się, by dosięgnąć sukna przed nim... Nagle zrobiło mu się duszno. Wyjść... Wydawało mu się, że spacer po terasach ukoji jego rozterkę. Może tam uspokoją się jego myśli.

Powietrze było łagodne, prawie chłodne. Zaledwie dochodził szmer morza. Terasy Monte Carlo mają niewytłumaczony urok — upojenie złożone z całej nagromadzonej tutaj rozpacz. Piotr zeszedł do ogrodów. Jakiś człowiek przemknął obok jak widmo. Odsunęli się od siebie, jak gdyby obaj bali się krótkiego spięcia. Tańczyły tutaj światła kasyna. Piotr przebył schody, pograżył się w ciemnościach, oparł się o mur i zaczął dumać.

Raz jeszcze trzeba zaznaczyć, że okrutne dla niego było nie to słowo, które jawiło mu się w głowie jak romantyczna chimera: „kobieta-szpieg”... Okrutne było, że stworzył sobie Reginę tak różną, kobietę tak odmienną, a teraz widział ją rozwiewającą się jak dym... Jakby ów dozwolony pocałunek przyspieszył to magiczne ulatnianie się... Wszystko było w tej kobiecie kłamliwe, udane, nawet w chwilach największej szczerości... Grała rolę w sztuce, gdzie Piotr był oczywiście postacią drugoplanową, niezbędną do wytworzenia pewnych pozorów... Kłamstwo, kłamstwo...

Jakiś szept ponad nim, koło parapetu terasy, wprowadził go w drżenie. Poznał Reginę. Głos męski był bardzo młodzieńczy, z mocnym akcentem... to zapewne ten jasnowłosy chłopak... Rozległy się słowa, które Piotr dosłyszał.

— Błagam cię o to, Regino — mówił młodzieniec. — Błagam...

Nastąpiło straszne milczenie... Piotrowi biło serce, zatrzymywało się i znowu biło w popłochu. Głosy znów się rozległy, zrazu bardzo ciche,

.potem usłyszał Reginę:

— A gdybym została twoją kochanką, jak potoczyłoby się życie? Cóż możesz mi ofiarować? Co będziesz robił? A co z twoim ojcem? Wiesz przecież, że go kocham... Ależ tak, kocham, ach, Karl, daj spokój, przestań, mój mały, przestań!... Nic nie słyszałeś?

— Nie...

— Zdawało mi się, że tam w dole ktoś chodzi... Jakiś człowiek pobiegł w stronę morza. Człowiek, który nic już nie myślał, tak chciało mu się krzyczeć. Człowiek ogarnięty cierpieniem, w którym zbiegła się tragedia starzenia się i straconych złudzeń. Człowiek będący łupem bezsilnej wściekłości mężczyzny, który przez dwa z górą miesiące wierzył w nietykalność kobiety, aby ją nagle zobaczyć w ramionach pierwszego lepszego młokosa. Człowiek, któremu całe życie podeszło do gardła i którego lakierki były trochę za ciasne, aby zbyt długo mógł tak wędrować po ciemku. Człowiek zgrzytający zębami, ponury, pełen uraz i gorzkiej drwiny, mówiący zdania, które padały, aby nie trafić nigdzie, myślący strzępami myśli, które rozdzierały się jeszcze na wspomnieniach, czujący łkanie w głowie, a wściekłość w pięściach, człowiek żałosny jak burza...

Ale noc była doprawdy niezwykle łagodna. I tak oto w chwili gdy Regina Brecy w swoim hotelowym pokoju oczekiwała Piotra Mercadier, on dojeżdżał do Brindisi, skąd parowiec „Savoia” wyruszyć miał do Egiptu.

### CZEŚĆ TRZECIA

#### I

Jutrzenka XX wieku weszła nad marzeniami Jerzego Meyera. Odkąd zaczęto liczyć lata na stulecia, ludzie zawsze wiązali pewien szczególny przesąd z tym punktem, w którym zmienia się cyfra oznaczająca setki. Zdawałoby się, że wszystko zaczyna się na nowo, a nawet w latach poprzedzających ten przewrót w kalendarzu naprawdę wydaje się, że świat jest stary i chory; podeszłemu jego wiekowi przypisuje się różne wybryki, namiętności i zbrodnie i nie ma się już ochoty cokolwiek przedsiębrać, z obawy, że wszystko zostanie w jakiś niewytłumaczony sposób skażone, i dlatego wyczekuje się powrotu sił i zdrowia...

Ten dziwny przesąd opanował ludzi pod koniec stulecia niedowiarków, jakim był wiek XIX. Wszystko, co ich zadziwiało lub przerastało, ludzie ochrzcili mianem *fin de siecle'u* — w ten sposób ignoranci dodawali sobie otuchy. A przy tym w owym dowcipnym powiedzeniu mieściła się ukryta nadzieja, że wkrótce, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, wszystko się zmieni, każdy ujrzy kres swoich utrapień, zacznie się nowe, cudowne życie pod wezwaniem upragnionego roku 1900, który w przeciwieństwie do roku tysięcznego będzie oznaczał początek świata.

Francja budziła się z długiego kosmaru. Ludzie urodzeni podczas wojny



dobiegali trzydziestki. Stopniowo zapominano o najeździe. Wspomnienie walk wewnętrznych było trwalsze, gdyż po okresie Komuny nastąpiły wygnania, ostracyzmy, gdyż z Komuny narodził się wielki lęk, który nie wygasł w sercu tych, którzy Komunę zabili. Zresztą w przeddzień roku 1900 trudno było o coś osobliwszego — z tego punktu widzenia — jak owo ministerstwo, które połączyło socjalistę Aleksandra Millerand i kata federalistów, generała de Galliffet. W ostatnich trzydziestu latach krew niejedną raz pociekła od górniczych osiedli Nordu do arsenałów śródziemnomorskich. Nieraz ocierano się o bunt i rozruchy i Republice poważnie zagrażały ciemne sprzysiężenia pod dziwnymi sztandarami, źle kryjącymi prywatne interesy. Wszystko to odnalazło się na dnie Sprawy, gdzie marionetka żydowskiego kapitana była tylko pretekstem dla uraz i rozczarowań. Wydawało się, że wszystko to trzymało się w całości tylko dlatego, że taka była moda, a moda mogła się zmienić. Przy tym wojna, która stale tliła się gdzieś w świecie, wydawała się bliska i groźna... Doświadczenie z Faszodą przyprawiło Francję o dreszcz niepokoju. Anglia ukazywała się znowu, jak za Ludwika XV lub Napoleona, wrogiem narodu, o którego potykał się francuski przemysł w Afryce i na całym świecie. Część Francuzów widziała w tych niebezpieczeństwach jedynie sposobność okazania innym słabości obronnej Republiki. Literatura gwałtu, która połączyła ludzi nie bardzo mogących się zrozumieć, znalazła jeszcze bodziec w wojnie w Transwalu, gdzie nasi sąsiedzi nie odegrali zbyt pięknej roli. Słynni augurowie głosili, że nowe stulecie będzie stuleciem wojny francusko-angielskiej. Mamy za sobą Rosję, ale co robi Wilhelm II?

Jednakże kraj, od czasu gdy Prusacy obozowali na Polach Elizejskich, rozwinał swe siły, jak młody pies, który nie wie, że umie gryźć, i źle oblicza swoje skoki. Pożądliwość jego panów otworzyła temu zuchwałemu ludowi cesarskie pola, niewspółmierne z liczbą jego dzieci. Terytoria zamorskie wzrastały z zadziwiającą szybkością. Francuz był w niewdzięcznym wieku. Produkty jego nowych posiadłości przynosiły metropolii złudy i ułatwienia. Był to moment sprzyjający, wobec rozwoju przemysłu narodowego, aby w głowach zrodziły się nowe mity, potężne zjawy, które pozwoliłyby eksploatatorom szyldu Francji zmusić cały naród do pracy na ich rzecz. Wymagało to legendy o pojednaniu narodowym, którego epinalskim obrazkiem był gabinet Waldeck-Rousseau, ukazujący — kata Komuny za pan brat z socjalistą z krwi i kości. Likwidowano stary wiek i jego przestarzałe walki; otwierano nowe stulecie wśród wielkiej reklamarskiej parady Wystawy Powszechnej, która miała budzić zaufanie. Republikę zaś razem z przyległościami odrzucono do lamusa jako afere, w której zabójca i ofiara przebaczyli sobie wzajemnie w idylli nowych czasów, gdzie liczy się tylko zysk, wielkie prawo historii. Przez krótki czas można się było obawiać, że, mieszając swe głuche gniewy i wymagania, lud przypomni sobie swoją przeszłość z końca poprzedniego stulecia, kiedy bosc obdartusy wygrywali bitwy, a pudrowane głowy toczyły się do kosza

przy wtórze bębnow. Przez chwilę myślano, że straszne skandale ostatnich lat, zamiast służyć celom ludzi tradycji i silnej pięści, zjednoczą ukryte w głębi siły Francji przeciwko tym, którym zdawało się, że zawsze nią będą rządzić. Wielkie sny krążyły nad ulicami tego samego Paryża, gdzie setki tysięcy bezimiennych śpiewały dokoła placu de la Nation. Oczywiście, że było to na rękę frakcji politycznej, której po kompromitacji w krachu panamskim potrzebne było poparcie ludu. Ale nie należało posuwać się za daleko. Republika, dobrze, ale nie socjalistyczna. Bo są rzeczy godzące z sobą tych, których uważa się za skłóconych. Ówczesni radykałowie chcieli dać do zrozumienia właścicielom hut, bankierom i kapitalistom, że między nimi a sobą nie widzą żadnych istotnych różnic. Szukali jakiegoś symbolu i znaleźli Galliffeta. Porozumieli się wpół słowa.

Pozostawała jednak nieprzyjemna sprawa Dreyfusa. Niechże Dreyfus będzie sobie niewinny, ale jakże tu przeczyć samym sobie? Pogłębiłoby to niezgodę wśród Francuzów, wzmocniło solidarność umysłów, szlachetnych, owszem, ale mało zorientowanych politycznie, z masami ludowymi. Ponieważ rządzi się zawsze przeciw komuś, praktycznie biorąc lepiej opłacał się rozłam w szeregach krzykaczy i lekkoduchów, którzy niezręcznie manewrowali zasadami roku 1789 i najrozmaitszymi tezami historycznymi, zasługującymi na szacunek, ale mało przydatnymi, gdy chodziło o wzmocnienie kredytu. Socjaliści byli zresztą niezgodni, w mnóstwie szczegółów dotyczących doktryny nie mogli się porozumieć, byli partią w rozsypce. Udział Milleranda w rządzie pogłębił jeszcze konflikty. Jeżeli chodzi o Sprawę, nie było zgody: ci chcieli widzieć w Dreyfusie jeden z wielu przykładów niesprawiedliwości społecznej i wyzyskać go dla ogólnych celów socjalizmu, inni, idąc za Jauresem, mówili, że na tej drodze nie osiągnie się nic, że trzeba się trzymać samej Sprawy, nielegalnej procedury, samowoli sądów wojskowych, niewinności kapitana. W ten sposób Sprawa jednocześnie szkodziła i służyła rządowi. Co zrobić, aby uspokoić lewicę, nie zrażając sobie prawicy? Wybrnięto z tego, jak można było najlepiej! Po samobójstwie pułkownika Henry, które stanowiło wyznanie kompromitujące sędziów wojskowych, niepodobna było uniknąć rewizji procesu z roku 1893. Chodziło o przewlekanie afery. Cofnięto wyrok na Dreyfusa, potem go ułaskawiono. A wreszcie, jakby się wszyscy zmówili: już ani słowa o tych historiach — doszłoby jeszcze do rodzinnych nieporozumień. Było to dobre w czasach, gdy Francuzi jeszcze się nie kochali... A zresztą czego więcej chcą ci zapóźnieni dreyfusardzi? Mają ministerstwa lewicy, antysemityzm przycichł, a że trzeba czymś zająć umysły, wzięto się do księży. Rząd zawsze musi znaleźć kozła ofiarnego, aby mieć z ludem święty spokój.

Jerzy Meyer przeżył te wszystkie sprawy jak większość Francuzów — nic z nich nie rozumiejąc.

## II

Gdy znajdziecie się na statku i wasze oczy widzą tylko olbrzymią

jednostajność oceanu, nie wiecie nic o huraganie, który tam, o tysiące mil morskich, atakuje niebo i morze; a jednak skutki burzy głębokimi a ukrytymi drogami dosięgają statku, który was niesie, wstrząsają nim, krzesła toczą się po pokładzie i nagle musicie chwycić się parapetu. W społeczeństwie ludzie nie ogarniają wzrokiem tak szerokich horyzontów jak oczy żeglarza. Drobne a dotkliwe troski więżą ich przy codziennym trudzie; ich kłopoty nie dostarczają materiału do uogólnień. Jak zdobyć trochę więcej pieniędzy, aby dobrać do końca miesiąca? Niepewność pracy, skomplikowane stosunki dziesięciu osób w rodzinie, choroby, zmęczenie, narodziny, śmierci... wszystko to przytłacza, zagarnia umysł człowieka; trudno mu śledzić poprzez jedyne, wątpliwe świadectwo pracy to, co dzieje się poza jego orbitą, co zagraża jego statkowi lub zmienia jego kierunek. Nie należy do tych, którzy wyznaczają strony świata, badają chmury; wie tylko, czy świeci słońce, czy też pada deszcz.

Jerzy Meyer nie wyróżniał się niczym spośród innych pasażerów Francji. Odczuł nagle ciśnienie tajemniczej fali antysemityzmu, bo tak się złożyło, że był Żydem. Zaskoczyło go to i przeraziło; było zaprzeczeniem wszystkiego, co uważał za sprawiedliwe i dobre. I tego, co myślał o swoim kraju. Jak się to miało do reszty świata, do niejasnych ruchów, których skutki ukazywały mu się czasami, choć nie umiał ich z sobą powiązać, nad tym się nawet nie zastanawiał. Urodził się w rodzinie drobnych alzackich kupców, którzy, uciekając przed najeźdźcą, wszystko porzucili w czasie wojny, zabierając tylko trzyletniego syna i zegar ścienny ze Schwarzwaldu. Osiedli w Paryżu, niedaleko Bastylli i pan Meyer ojciec przyjął pracę u kuzyna — kuśnierza; prowadził mu sklep. Pani Meyer, która umiała szyć i trochę znała się na kroju, robiła suknie dla dam ze swojej dzielnicy i przyjmowała naprawy. Ludzie ci żyli tylko dla syna, chcieli dać mu wykształcenie, wychować go na pana. Ich własne życie było zmarnowane; wiedzieli o tym i nie buntowali się, byle Jerzy był szczęśliwy i podobny do innych, byle on miał „pozycję”. Mimo że sami biedni i że ich pozostali w Alzacji kuzyni prowadzili wielki sklep, inni zaś, w Paryżu i Lilie, parali się handlem i bankowością, przy czym wszyscy byli doskonale sytuowani i dość z góry traktowali ubogich krewnych, Meyerowie marzyli dla syna o czymś innym, godnym szacunku. Cierpieli z powodu rezerwy, z jaką Francuzi odnosili się do Żydów. Czyż nie przenieśli Francji ponad wszystko? Zazwyczaj Żydom miano za złe ich bogactwo; ale przecież oni byli biedni! Czyż nie pracowali ciężko? Natknęli się na społeczeństwo zamknięte, nie mogli dopuścić, aby to samo spotkało kiedyś Jerzego. *Jerzy*, wychowany w liceum, jak wszyscy mali Francuzi, nie miał tego akcentu, który ich mimo wszystko odgradzał od tej ojczyzny, gdzie się urodzili, ale która wcale nie uznawała ich za swoich, mimo że trudno im było bez łez pomyśleć o pokoju frankfurckim. Jerzy nie będzie usiłował dojść do czegoś *przez* pieniądze. Uniknie wszelkich trudności. Będzie uczonym człowiekiem, wybitnego umysłu, zdobędzie sobie pozycję, ale nie taką jak kuzynowie Levy z ulicy du Sentier albo Kahnowie, którzy handlowali

placami w Monceau; on wybije się dzięki swoim zdolnościom; w jego karierze społecznej nie będzie nic nieczystego. Okupi swoje żydowskie pochodzenie. Ludzie zapomną, że jest Żydem. Jeżeli zdobędzie kiedyś majątek, stanie się to późno, kiedy nie będzie to już przynosiło mu ujmy, gdyż wiedza jest macochą, która mądrzeje dopiero na starość. Zresztą Jerzy to jednostka niezwykła; jego sukcesy w liceum dodawały sił pani Meyer, gdy obrębiała suknie, wszywała rękawy i rozprasowywała szwy. Jego namiętność do matematyki upajała rodziców. Bo trudno o coś bardziej abstrakcyjnego, dalszego od bezpośrednich zysków. A przy tym rodzinne zamiłowanie do muzyki — jeden z wujów pani Meyer śpiewał w operze wiedeńskiej — u Jerzego wyraziło się w namiętności do fortepianu. Lekcje kosztowały dużo, ale jakże odmówić małemu tej cudownej ucieczki od złości tego świata? Meyer ojciec został zresztą w końcu w pewnej części współnikiem swego kuzyna — kuśnierza, gdy ów otworzył sobie drugi sklep na bulwarze Haussmanna.

Na nieszczęście, pan Meyer został potracony *przez* ciężarówkę i umarł na skutek pęknięcia czaszki. Jego udział w futrzarskim interesie powrócił do pozostałego przy życiu współnika. Ten był niezłym człowiekiem i pomógł pani Meyer, choć go wcale nie lubiła, dokończyć edukacji jej syna.

*Jerzy* odziedziczył po rodzicach pragnienie wyniesienia się uczciwymi środkami, spośród których pieniądz był wykluczony. Nosił w sobie przekleństwo Izraela i lęk, aby nań nie zasłużyć. Uczynił zresztą wszystko, co możliwe, aby nie być podobnym do okrutnych karykatur swoich braci, jakie ukazywały się w pismach humorystycznych i książkach. Chciał być przede wszystkim Francuzem. Czuł wdzięczność dla swego kraju, że nie wydał żadnych praw przeciwko Żydom; wzruszała go jego szlachetność, jego wielkość. Francja to kraj prawdziwie oświecony. *Jerzy* pracował nie tyle, aby żyć, ile aby odwdzińczyć się Francji, stając się jej użytecznym. Będzie uczył małych Francuzów rzeczy najpiękniejszej, najczystszej, najwznioślejszej, jaką ludzki umysł wymyślił: matematyki, która jest źródłem wszelkiego postępu. Głęboko kochał wielką epopeję liczb; muzyka, owa matematyka serca, była właściwie tylko jej niebiańskim wyrazem.

Doszedł tak do trzydziestki, ze swym życiem bez przygód, ze wzniosłymi myślami i półnędzą nauczyciela odkładającego co miesiąca część pensji na utrzymanie matki, która nie chciała się wyzbyć swoich dwu pokoików w Paryżu i mimo zmęczonych oczu szyła, wciąż szyła za skromnym wynagrodzeniem stroje dla pięknych pań. Wędrując z jednego prowincjonalnego liceum do drugiego, łagodny i krótkowzroczny, z czarną bródką, pochyłym grzbietem, chudy i wąty, młody nauczyciel matematyki hołdował wielkim Ideałom wiodąc życie mizerne. Nie powstała w nim nigdy myśl niska, nigdy nie zawahał się przed ofiarą dla drugich. Za nic w świecie nie wszedłby pierwszy w drzwi, za nic w świecie nie pozwoliłby komuś zejść z pierwszego piętra po przedmiot zapomniany na parterze, obojętne, czy chodziło o mężczyznę, czy kobietę. Był usłużny aż do

męczeństwa. Nie rzucał się na pożarcie dzikim bestiom dlatego tylko, że na szczęście nikt tego nie wymagał.

Gdy zaczęto go lżyć w jego klasie, był zupełnie zdezorientowany i sporo czasu upłynęło, zanim zrozumiał, o co chodzi. Gdy powtórzyło się to na ulicy, gdy obrzucono go kamieniami, z których jeden trafił go w czoło, aż pociekła krew, przeraził się i pomyślał, że świat oszalał. Jak to było możliwe? Ludzie, dla których on zrobiłby nie wiadomo co... Tacy jak on Francuzi... Wszystkie jego poglądy na życie zachwiały się... Był to wielki dramat, ciężka próba dla jego sumienia.

W rozterce między tymi z kolegów, którzy głosili się zwolennikami postępu i afiszowali się jako obrońcy Dreyfusa, a niejasnym instynktem zachowawczym, który szeptał mu, że lepiej jest się skulić i przeczekać burzę, Jerzy Meyer nerwowo tarł ręce, przecierał okulary i bez końca zastanawiał się, skąd wzięło się to zamieszanie na świecie. Dlaczego nagle... Na próżno powtarzał sobie, że to przecież sprawa Dreyfusa; nie było to wyjaśnienie zadowalające... Och, gdyby chociaż wierzył w Boga! Mógłby wtedy myśleć, że jest to nowa plaga zesłana na wybrany lud. Ale jego religią była matematyka i muzyka. I ani jedna, ani druga nie dawały mu jasnej odpowiedzi na pytanie, skąd wziął się antysemityzm.

Gdy burza minęła, gdy w głośno reklamowanym ogólnym pojednaniu zgodzono się milcząco, że nie będzie się poruszać kwestii żydowskiej, bo została pogrzebana wraz ze Sprawą Meyer uczuł w sobie ten rodzaj szczęścia, jakiego doznają rekonwalescenci. Idylla zaczynała się na nowo. Nic nie mogło już teraz zamącić ducha poświęcenia, który ożywił profesora matematyki. Jego współobywatele pozwolili mu odtąd poświęcać się dla nich, zużywać na to siły, życie, wiedzę. Wszystko to zbiegło się z rozproszeniem się chmur XIX wieku. Jutrzenka XX wieku wschodziła nad marzeniami Jerzego Meyera i oto podczas Wystawy Światowej w Paryżu spotkał Sarę Rosenheim, która stała się jego żoną i radością jego życia.

Sara była córką ciotki Friedy, której pierwszym mężem był brat pani Meyer. To znaczy, że nie łączyło jej żadnej istotnej pokrewieństwo z Jerzym, jakkolwiek nazywał ją kuzynką. Pan Rosenheim, drugi mąż ciotki Friedy, zaczął być skromnie w towarach dzianych, a potem rozszerzył, swoje interesy nabywając bazar. Przy pomocy rodziny Levy z Paryża, tych z ulicy du Sentier, udało mu się założyć spółkę. Jego dom towarowy w Strasburgu miał filię w Miluzie, potem w Thann. Oczywiście Levy, którzy pożyczili mu pieniędzy, zapewnili sobie królewskie udziały, ale Rosenheimowi dobrze się powodziło. Mieli syna, dziedzica, i dwie córki, którym ojciec, człowiek religijny, nadał imiona Rachel i Sara.

Sara była znacznie młodsza od rodzeństwa i nie lubiła brata, który tłukł jej lalki, gdy była małą dziewczynką, i który szczególnie lubił przytapywać ją na kłamstwie. W ogóle wśród przyjaciółek, w szkole, Sara, dość dziecinna, odwykała od swoich bliskich, a małżeństwo Racheli z młodym rabinem, którego czarne oczy o długich rzęsach przerażały dziewczynkę, odsunęło ją jeszcze od rodziny, trzymającej się wiary przodków. Sara kochała poezję i

muzykę. Uczyła się grać na skrzypcach i umiała na pamięć takie mnóstwo niemieckich wierszy mówiących o miłości, że najważniejsze na świecie stało się dla niej oczekiwanie na miłość i wielkiego człowieka; spotka go w jakiś letni dzień w górach; będzie dla niej zrywał kwiaty, które ona zasuszy między kartkami książki, aż do czasu, gdy on przyjedzie po nią do miasta na karym koniu, mówiąc słowa, które będą jak zwierciadła.

Sara była drobną blondynką ze skłonnością do tycia, z marzącymi oczyma, małym noskiem i delikatnymi włosami, które zawsze opadały w kosmykach. Miała posag, niezbyt wielki, ponieważ bratu potrzebny był na rozszerzenie interesów każdy grosz, jakim rozporządzała rodzina, ale wystarczający, aby nie brakło jej konkurentów. Żaden z młodzieńców, którzy bywali w domu jej rodziców w Strasburgu lub których spotykała u swoich przyjaciółek, młodzieńców o roześmianych oczach i kędzierzawych włosach, nie przypominał wspaniałego bohatera z gór. A jeszcze mniej podobny był do niego kuzyn Jerzy, którego zobaczyła po raz pierwszy w Paryżu, *gdy* matka zabrała ją na Wystawę Światową. Ten krótkowzroczny intelektualista, wąty i źle się trzymający, z czarną bródką i zatrwożoną miną zbitego psa, nie miał nic wspólnego z marzeniami Sary. A jednak gdy zagrali razem i porozmawiali, gdy sami wyszli na miasto, na ten Paryż tak szalony, tak piękny, rojący się od ludzi, serce Sary zabiło bardzo mocno, a Jerzy przekonał się, że i on ma serce.

Zacząła teraz nie znosić mężczyzn wysokich i silnych, burzyła swoje bóstwa, zastanawiała się, jaki urok mogą mieć ludzie jeżdżący konno, pojęła wreszcie, że cała jej dusza zwracała się ku Francji, i czytywała Musseta, nie zapominając wszakże wierszy Heinego, Jerzy zaś dał jej poznać muzykę Debussy'ego, dziwną i niezwykłą, ale harmonizującą z marzeniami młodych ludzi. I gdy z drzeniem prosił ją, aby została jego żoną, zrozumiała, że była nią już dawno w swoim sercu, że będzie z nim miała dzieci, że poświęci życie opiece nad tym słabym i wrażliwym, zagubionym w okrutnym świecie mężczyzną, który cudownie grał Mozarta, ale nie umiał dbać o swoje koszule, pieniądze oddawał matce i, rzecz dziwna, był nauczycielem matematyki, i Francuzem. Właśnie przeniesiono go do Paryża.

Pan Rosenheim stawiał ich małżeństwu wszystkie możliwe przeszkody. Wreszcie ojciec zgodził się na ten mezalians i w latach 1902, 1904 i 1906, z zadziwiającą regularnością Sara obdarzyła małżonka dwoma synami i córką. Młoda para wzięła do siebie panią Meyer, która nie szła już sukien dla obcych, lecz ubierała wnuczęta i synową. Rodzina żyła wygodnie i z okien zajmowanego przez nią mieszkania przy ulicy Lhomond — Jerzy uczył bowiem w kolegium Louis-le-Grand — płynął w niebo dwugłós skrzypiec i fortepianu niby hymn dziękczynny do wszechmocnej istoty, abstrakcyjnej i filozoficznej, która nie była Bogiem czczonym w ich rodzinie czy też w innych rodzinach, lecz rozpływała się w harmonii, miłości, pięknie i dobroci, którą stworzyli oni oboje, ażeby wytłumaczyć sobie własne szczęście, aby ograniczyć i przystosować świat do tego

szczęścia pełnego kwilenia dzieci, muzyki i łagodnych smutków.

Starszy ich syn nazywał się Piotr.

W pierwszych latach małżeństwa, w długich rozmowach przeplatanych muzyką, które stanowiły ich życie, poznali wzajemnie zarówno swoje ciała, jak dusze. Ale dusza więcej ma w sobie bezdroży i niespodzianych zakątków. Poetyczny i sentymentalny świat Sary wydawał się Jerzemu zachwycający niby królestwo snów; gdy się w nie zanurzymy, każda rzecz nabiera uroku, który czyni ją jedyną w swoim rodzaju i ulotną, ale który traci swą moc, gdy się ockniemy, lub też pozostaje nam w pamięci jak rytm lub stara piosenka. Jerzy przynosił młodej swej żonie spekulację intelektualną niby dar ze złota. Była ona cała przybrana w dziwaczny strój języka matematycznego i wymagała od Sary terminowania, przepojonego zresztą jej podziwem dla Jerzego. Nie trzeba królestwa pruskiego, aby powstała filozofia idealistyczna — skromne ognisko rodzinne nauczyciela szkoły średniej, w domu położonym koło Panteonu, stało się kolebką mistyki, systemu, w którym współżyły gwiazdy nieba i obłoki serca. W systemie tym, rządzonym przez moralną dobroć, złymi siłami były te, które mogły doprowadzić do zachwiania istniejącej równowagi; system ów pokładał ślepa ufność w nauczaniu, w pokojowym postępie ludzi, w kojaniu ich muzyką. Z głębokości świata dochodziły czasem gniewne pomruki, pogroźki. Aby się uspokoić, wystarczyło wprowadzić wszystko znowu do owego systemu przez wrota rozsądnej dobroci, a dalekie huragany niebieskie rozplływały się i wyzwały w podstawowym akordzie świata, w tej słodyczy, która zwycięża w końcu każdy gwałt, bo nigdy jeszcze nie widziano burzy, która by się nie uciszyła, zimy, która nie ustąpiłaby wreszcie miejsca wiosnie, krzepiącemu spokojowi życia.

Grupy ludzkie, kraje i rodziny, żyją tylko dzięki harmonijnej filozofii. Przynoszą z przeszłości lęki, wspomnienia; i o ile młoda dziewczyna nie żyje wcale przed małżeństwem, inaczej ma się rzecz z mężczyzną. Przeszłość streszcza się w mitologii, której postaci nabierają charakteru konwencjonalnego. Mężczyzna daje swej żonie pewną wersję *ne varietur* tego, czym był i co otaczało jego dzieciństwo, jego młodość, jego nieporządne życie, jego cierpienia. Nie porozumieją się nigdy, jeżeli ona nie uzna tej księgi z obrazkami kolorowanymi wedle gustu mężczyzny. Tak rodzą się legendy, bóstwa, bohaterowie. Sara poznała więc ludzi, którzy byli przyjaciółmi lub wrogami jej męża, w fantastycznych strojach, w jakie przyodział ich Jerzy. Ustawiali się oni dokoła postaci centralnej jej życia. Przybierali rysy, które pozwalały Jerzemu być najpiękniejszym, najlepszym, najszlachetniejszym. Jerzy nie wiedział o tym, bo był skromny. Ale Sara odczuwała to jak błogosławieństwo niebios.

Takim to sposobem zaczęła całą duszą kochać tego Piotra Mercadier, tę postać romantyczną, opiekuńczego człowieka, który był tak dobry dla Jerzego w epoce wielkich prześladowań. Żółty salon, gdzie co wieczora fortepian czekał na Jerzego w domu nauczyciela historii, stał się dla Sary znajomą sceną antycznego dramatu, który snuła sobie wśród wielkich

uniesień serca. I w tym łagodnym cieniu, w sercu wrogiego miasta, gdzie tłum nieświadomy jak morze zagrażał jej ukochanemu, wyobrażała sobie tę istotę wyższą, pana Mercadier, o którym Jerzy tyle opowiadał, całą nostalgię jego życia, jego złą i głupią żonę, jego potężne marzenia, wspaniałą książkę, której nigdy nie ukończył, i wreszcie jego tajemnicę, coś niezgłębionego, niepojętego — nagłe odejście i milczenie, kapelusz pozostawiony na wieszaku w przedpokoju... Och, jakąż tajemnicę, zawsze nam się wymykającą, unoszą ze sobą ci, którzy tak odchodzą? Musiał to być geniusz, bo przede wszystkim był dobry, dobrocią nieskończoną, dla Jerzego, któremu nie pozwolił zaangażować się w niebezpieczne awantury polityczne, dobry i mądry, i on właśnie odszedł...

Na cześć Piotra Mercadier imię jego nosił ich syn pierworodny, najukochańszy. Dziecko tak piękne, że podobnego jeszcze świat nie widział.

### III

Legenda o Piotrze Mercadier przekroczyła granice domu Meyerów. Bywali w świecie uniwersyteckim, który utworzył się powoli w kręgu artystów. Stało się to za sprawą muzyki i muzyków, ponieważ Jerzy i Sara urządzali u siebie co niedziela małe zebrania muzyczne, gdzie nie byli jedynymi wykonawcami. Około dwudziestu osób tłoczyło się, aby słuchać nowoczesnych kompozycji. Następnie krąg Meyerów zdobył środowisko „Revue Blanche”, bo jeden z uczniów Jerzego w liceum, zdumiony, że znalazł zamiłowania literackie u profesora matematyki, zabrał go pewnego dnia do Natansonów, swoich dalekich krewnych. Sara nie czytywała już Musseta, uwielbiała Francisa Jammesa i Claudela, tak trudnego do zrozumienia...

Ona to właśnie zapewniła sławę Piotrowi Mercadier, bo mówić o Piotrze znaczyło pośrednio mówić o Jerzym. Piotr bowiem należał do cyklu mitologicznego, którego ośrodkiem, w jej oczach, był Jerzy. Ona nie знаła tego przedziwnego człowieka, ale Jerzy, on... Więc zwracano się z pytaniami do pana Meyera. Świat ten poszukiwał wielkich, tajemniczych ludzi. Zarówno w tym celu, aby przeciwstawić ich bożyszczom dnia, jak Bourget, Loti, Anatol France, jak i dlatego że takie legendarne osobistości dogadzały tym ludziom, bez wyjątku kandydatom do sławy, ale nie lubiącym patrzeć, jak zjawiała się ona u sąsiadów. Periodycznie więc pojawiały się potwory i bohaterowie, których powodzenie czarowało młodych ludzi szukających wzorów i tematów do zachwyty. Nie wszyscy zadowalali się tymi, którymi darzył ich Maurycy Barres. Religia indywidualizmu wymagała coraz nowych świętych obrazów. Co sezon pożerała swoją wiązkę siana awanturników i geniuszy. Poeci, którzy napisali tylko jeden wiersz, ale za to wiersz-klucz do życia i świata, uczeni, którzy na razie stworzyli tylko hipotezy, filozofowie jednego jedyne go zdania... potem nic, milczenie. Nic nie było tak modne jak milczenie wśród gadułów, ubóstwo wśród bogaczy, tajemniczość wśród handlarzy. Teren został przygotowany przez *Żywoty urojone* Marcela Schwoba, przez takich



ludzi, jak Walter Pater, Jarry, Remy de Gourmont. Oskar Wilde był w więzieniu. Gauguin na Tahiti. Verlaine umarł w szpitalu. Piotr Mercadier zjawiał się w odpowiedniej chwili.

Przede wszystkim znalazł się pretekst literacki: ów *Żywot Johna Law*, którego nikt nie czytał, ale który stanowił wystarczającą pożywkę dla fantazji. W dodatku dzieło nie ukończone. Nikt nie kwestionował talentu Piotra Mercadier. Można nawet było sądzić, że cenne rękopisy zaginionego zostały zniszczone lub ukryte przez głupią, ograniczoną rodzinę. Mieszczuchy — nie trzeba mówić więcej. Echa tego zdarzenia odnaleziono w paru krótkich wzmiankach w prasie z roku 1898. Ludzie odszukali je i upoili się ich pustką, ich lakonicznością. „Wciąż brak wieści o Piotrze Mercadier, nauczycielu historii, o którego dziwnym zniknięciu donosiliśmy...” Dzięki uprzejmości Jerzego Meyera poznano również treść listu, który ów otrzymał z Egiptu w okresie Wystawy. Piotr Mercadier, zapewne w chwili depresji, napisał do człowieka, z którym przyjaźnił się w swym poprzednim życiu. List przedziwnie banalny, krótki, oschły. Żadnej aluzji do wielkich idei, jakie wcielał Mercadier dzisiaj dla wszystkich, którzy znali jego nazwisko. Ani słowa o *Johnie Law*. „Ani cienia literatury” — powiadali z satysfakcją literaci. Wzmianka o temperaturze, aluzja do kairskich domów gry i zdanie, które wkrótce powtarzano z miną wtajemniczonych: „Ludzie, mój drogi Mey, są wszędzie jednacy, co jest wieczystym powodem, aby uciekać...”

Powodzenie tego zdania było tak wielkie, że Jerzy Meyer stał się dla wszystkich „drogim Mey” z tego słynnego listu, i tak go już nazywano, jakby ów powszechnie używany skrót stanowił pomiędzy nim i autorem listu węzeł zażyłości, który każdego podnosił w jego własnych oczach. Meyer, podświadomie, czuł, jak rośnie jego ważność dzięki faktowi, że był jedynym źródłem wiadomości o zaginionym. Mówił o nim dość chętnie i nabrał nawet pewnego przyzwyczajenia: przerywał w połowie zdania, zamyślał się nad wielokropkami, które stawały się w ten sposób istotą rozmowy. *Gdy* w „Closerie des Lilas”, gdzie Meyer zachodził, by zobaczyć Jana Moreas, albo w jednym z salonów, gdzie zbierali się intelektualisci, pojawiał się jakiś młody człowiek obcy temu światu, trwożny i olśniony, radzono mu, żeby pogadał z Meyerem, ciekawym jegomościem, który tak blisko znał Mercadiera, wie pan, Piotra Mercadier!

Meyer wspaniale opowiadał o rozmowie, jaką miał z żoną Piotra. Wśród konwencji głoszonych przez ludzi niekonwencjonalnych najczęściej sprawia satysfakcji, najbardziej uspokaja, najrozkoszniejszą gorycz w sobie zawiera konwencja, wedle której wielcy ludzie zawsze mają żony głupie, wiarołomne, niegodne ich. Żona Sokratesa, żona Verlaine'a... Pod tym względem pani Mercadier była w zgodzie z tradycją. Meyer, otrzymawszy słynny list z Egiptu, mimo wszystko uważał za swój obowiązek nie tyle w stosunku do żony, ile w stosunku do dzieci, podzielić się wiadomościami od Piotra Mercadier z jego rodziną, ku czemu zresztą skłaniała go i pewna ciekawość. „Ma pan na myśli list «Mój drogi Mey».” Tak. Oczywiście.

Przygotowany był na łyzy, na przykrą scenę... A właśnie! Pani Mercadier wzięła list, jednym rzutem oka przebiegła go od początku do końca, a potem rzekła:

— Ani słowa dla nas... Ani mu w głowie przysłać nam jakieś pieniądze! To było wszystko, co zrozumiała z wielkiej przygody swego małżonka! Pieniądze! To jedyne słowo, jakie ci ludzie mają na ustach. Mieszczuchy, powiadam wam! Meyer opisywał w sposób nader pikantny brzydotę mieszkania pani Mercadier, natłok chińszczyzny i obrzydliwe meble w reprezentacyjnym pokoju, źle maskujące łóżko małego Paskala... gdzieś w trzynastym okręgu. Meyer nigdy nie mógł ścierpieć tej okropnej kobiety i opowiadania jego często sięgały okresu sprawy Dreyfusa, kiedy to pani Mercadier usiłowała zmusić Piotra, aby nie przyjmował w ich domu swego przyjaciela, ponieważ przyjaciel ten był Żydem.

Legenda Piotra Mercadier sprawiła również, że Jerzy spotkał się i nawiązał nowe stosunki z młodym pisarzem Andrzejem Bellemine, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Andrzej Levy i który był bliskim kuzynem Jerzego, synem Levych z ulicy du Sentier, tych mianowicie, którzy finansowali bazary Rosenheimów w Alzacji. Bellemine, wyzwolony od więzów rodzinnych i nisko je szacujący, wyzyskał je jednakże, aby w dzień przyjęć u Natansonów podejść do nauczyciela matematyki, który tak blisko znał nowego bohatera sezonu. Wypytał go, osądził, że historia jest interesująca, i nawet napisał na ten temat nowelę, w której Mercadier nazywał się Mirador i która została dość życzliwie przyjęta wśród publiczności. Bellemine poczuł przyjaźń dla Jerzego i stał się bywalcem muzycznych niedziel Sary. W ten sposób rodzina Levy nawiązała kontakt z naszą parą, która z uwagi na trójkę dzieci zyskała uznanie starego Levy, tak że nawet wielokrotnie proponował pożyczkę, gdyby chcieli kiedyś wziąć się do interesów.

— Moim zdaniem, mój drogi Mey, powinien pan przyjąć propozycję — mawiał Andrzej Bellemine. — Papa ofiaruje to panu z dobrego serca, bo ogromnie lubi lokować kapitały we własnej rodzinie...

Bellemine był w dobrym nastroju, bo napisał dalszy ciąg swego Miradora i miano mu to razem wydać u Flasquelle'a jako książkę. Córeczka Meyerów liczyła sobie już rok i krzyk jej słychać było na całej ulicy Lhomond. Nie chcąc czerpać z posagu Sary, a pragnąc zapewnić przyszłość malcom, Jerzy szukał uczniów poza liceum i zabijał się lekcjami prywatnymi. Trzeba myśleć o przyszłości. Oczywiście, to bardzo ładnie mieć emeryturę. Ale skoro ma się dzieci... A przy tym stało się jasne, że mimo iż starsza pani Meyer zajmuje się dziećmi, trzeba jednak mieć kucharkę i pokojówkę, mieszkanie jest już za ciasne i nieźle byłoby mieć telefon.

Zgadnijcie, kogo Meyerowie odnaleźli? Robinela! Właśnie, Robinela, który, przeniesiony do Paryża, uczył przyrody w szkole Janson de Sailly. Zawsze apoplektyczny, zawsze wściekły, z odskakującym kołnierzem, z miną, jakby wybił po twarzy jakiegoś olbrzyma, na krótkich nogach, podobny do byka, z kocimi wąsami. Dla niego sprawa Dreyfusa nigdy się

nie kończyła; proszę mi nie wspominać o Mercadierze, o nie, ten jegomość nie chciał podpisać... Mówmy o czym innym. Pan Mercadier był bardzo dobry dla Jerzego? Szanowna pani tak uważa? A to pod jakim względem, jeśli łaska? Udało się panu trafić do Janson de Sailly... Ma pan na myśli to rojące się gniazdo pluskiew, tych chłopców, te zdemoralizowane dzieci bogaczy; ależ to zakute łby, antysemita, nic obrzydliwszego jak młodzież reakcyjna, bójkę o byle co... I cóż nam z tego, że żyjemy w republice?

Gdy Jerzy wspomniał mu o propozycjach starego Levy, Robinel aż podskoczył z radości. Ależ to głupota przepuścić taką okazję! Robinel pragnął założyć szkołę wolną, ale nie w zwykłym znaczeniu tego słowa, gdyż pospolicie oznaczało to księży zakład, nie — szkołę, coś w rodzaju szkoły przygotowawczej do matury, a więc tylko starsze klasy, przyjmować trudne dzieci (no, nie tylko...!), a kierownictwo powierzyć zespołowi nauczycieli. Dobrych nauczycieli, którzy dość już mają hipokryzji szkół państwowych. Liceum państwowe to katorga. Trzymają nas tą emeryturą, bo inaczej... Proszę zauważyć, że nie trzeba rzucać posady, prosi się tylko o urlop, jest się do dyspozycji władz... w charakterze próby. Jeżeli nie będziemy zadowoleni, zawsze możemy wrócić w jarzmo państwowe. Zespół nauczycielski, z naciskiem na „zespół”.

Jerzy nie był jeszcze całkiem przekonany. Dla niego stanowisko urzędnika oznaczało rodzaj nobilitacji czy rehabilitacji. Projekt Robinela równał się w jego oczach powrotowi do handlu. Rodzice jego tak bardzo chcieli z tym zerwać. Zwrócił się o radę do matki. Biedaczka, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Kuzyn Levy, zapytany o zdanie, okazał po prostu entuzjazm. Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

Mój drogi Jerzy, ten szacunek dla urzędu państwowego jest... no, nie powiem: głupi... ale coś koło tego... Ładnie jest rzucić się ze związanymi rękami i nogami w społeczeństwo... ale to trochę naiwne. Czas nie stoi w miejscu. Trzeba iść z nim. Liczy się tylko inicjatywa prywatna. To samo powiedziałem Andrzejowi, gdy powtarzał mi swoją rozmowę z młodym Blumem; ty go nie znasz, tego Leona? On też jest nadziany literaturą jak Andrzej, ale ciągnie go do socjalizmu... To zresztą inna sprawa... Gdy się jest w życiu samemu, można sobie być urzędnikiem, zgoda! Gdy człowiek ma za duże apetyty, zapewnia sobie spokojną starość... to jeszcze ujdzie. Ale na próżno będziesz pracował i pracował, nie zarobisz nigdy dosyć dla rodziny... takiej rodziny jak twoja... Widzisz, mój chłopcze, moralność urzędników to jest moralność kraju, gdzie małżeństwa nie mają dzieci... A tymczasem żyć to rozmnażać się! Ludności powinno przybywać. A wraz z nią i dobrych interesów. Dlatego trzeba się łączyć, ludzie powinni sobie pomagać, człowiek samotny może zaledwie przetrwać. Aby produkować, potrzebny jest majątek, kapitał. Przy pomocy kapitału człowiek organizuje własną pracę albo daje ją innym, oszczędza, buduje... Praca, która nie łączy innych ludzi z tym, który ją wymyślił, nigdy nie będzie produktywna...

Patrz na Rosenheimów... Podaliśmy im rękę... A ile oni mają teraz urzędników? Całe setki! Jestem za tym waszym zespołem, jak go nazywasz... Oczywiście opartym na zdrowych zasadach... Już ja się tym zajmę... Daję wam pieniądze, więc chyba wolno mi będzie zajrzeć, co wy z nimi robicie...

Myśl nie dojrzała z dnia na dzień. Trzeba było znaleźć kolegów, entuzjazm Robinela nie wystarczał. Zebrało się sześciu profesorów; wszyscy dawali dużo lekcji prywatnych, więc oczywiście teraz klientela ich stała się wspólna. Wyłoniło się wielkie zagadnienie administracji, lokalu. Prócz pieniędzy pana Levy Jerzy wnosił posag Sary. Skutkiem tego naturalnie przy podziale zysków szanse nie mogły być równe, co znów nie wydawało się sprawiedliwe. Nauczyciele pogodzili się z tym. Co do zespołu, to w końcu stworzono szkołę prywatną, która miała być własnością Meyerów, ale nosiła nazwisko Robinela, bo to i lepiej wyglądało, i on był przecież projektodawcą. Szkołę Robinela więc otwarto w jesieni roku 1908 na równinie Monceau, w niewielkim pałacyku, który należał częściowo do rodziny Levy, a częściowo do Kahnów, tych, co to dwa pokolenia temu spekulowali na terenach w tej dzielnicy i dalej prowadzili tam interesy.

Trzeba przyznać, że sprawa zapowiadała się dobrze, bo już w pierwszym roku zgłosiło się sześćdziesięciu uczniów. Meyerowie wyprowadzili się z ulicy Lhomond i zajęli dla siebie jedno piętro w szkole, zaś dwaj wychowawcy zamieszkali na poddaszu. Na razie, ponieważ płacono procenty, zyski były jeszcze niewielkie. Ale z czasem miały przyjść i one.

Szkoła istniała już półtora roku, gdy na wiosnę 1910 Meyer wrócił do domu nadzwyczaj przejęty i powiedział do żony:

— Nigdy byś nie uwierzyła... Spotkałem go!

— Kogo? — zapytała Sara sądząc, że chodzi o pana Fallieres.

— Mercadiera!

Niepodobna! Tak. Jest w Paryżu. W parku Monceau. Siedział na ławce, biedak. Rzucił chleb ptaszkom. Ptaszkom. Mercadier. Piotr Mercadier. Co biedak, to biedak. Zastanawiam się nawet, czy ma tego chleba dosyć dla siebie... A rzucił go ptaszkom. Ptaszkom? No oczywiście, że ptaszkom. Ten chleb to symboliczne. Ptaszki również. Z początku go nie poznałem. Zgolił brodę. On pierwszy przemówił: „Patrzcie, przecież to Meyer!” Wtedy go poznałem. Powiedziałem: „Mercadier? Ależ to niemożliwe!” Roześmiał się. Owszem, możliwe. W jakich to niezwykłych czasach żyjemy! Pomyśl tylko: Mercadier w parku Monceau, w takiej biedzie.

— Zaprosiłeś go na obiad? — spytała Sara. Jerzy uśmiechnął się i klasnął w ręce ugiąwszy palce tym nerwowym, zwyczajnym u niego gestem, ale teraz wyrażał on zadowolenie człowieka, który pewien jest efektu.

— Piotr Mercadier — rzekł — będzie tu mieszkał i uczył w szkole. Wobec tego, co mu jesteśmy winni, jest to całkiem naturalne. Nie dam mu umrzeć iż głodu!

Sara czule ucałowała męża.

— Jesteś najlepszym z ludzi!

#### IV

Był to okres największego nasilenia strajków. Jeszcze jeden się nie skończył, a już wybuchał drugi. Co dzień nowe rozruchy. Nie wiadomo już było, co myśleć. Cóż opętało tych robotników? Przyznano im osiem godzin. Pomyślcie tylko — osiem godzin! A potem na wszystkie strony maszyna zaczęła się psuć. Andrzej Bellemine był ogromnie zatroskany: ojciec jego miał wielkie kłopoty z powodu tych historii, a przecież z literatury nikt nie wyżyje. Ożenił się dobrze, owszem, ale tylko w towarzyskim znaczeniu tego słowa...

I oto ma spotkać Miradora. Swego bohatera. A nawet więcej: Piotra Mercadier, człowieka wybitnego... Gdyby *Życiorys Johna Law*, choćby nie ukończony, miał się ukazać w druku, nieźle byłoby, aby on, Bellemine, napisał do niego przedmowę. To nawet i lepiej, że książka jest nie dokończona: *Fragmety do życiorysu Johna Law* czy też *Szkice do żywota Johna Law*... Napisałby o tym, że książka jest jak starożytny posąg Nike, tym piękniejsza, iż okaleczona...

Sprawa bohatera to zagadnienie wielkiej wagi. Nie należy się oszukiwać. Spójrzcie na takiego Arystydesa Briand... Sądząc z prasy, to socjalista, że trudno o bardziej czerwonego... „Ciemny typ” — jak pisała „Action Francaise”... A ile energii wykazał w tej sprawie kolejarzy! „Jeżeli trzeba się wyrzec legalności — powiedział — wyrzeknę się jej”... czy coś w tym rodzaju... Z jego przeszłością wymagało to niemałej odwagi... Niesłuchanie interesujący przypadek psychologiczny. Wart dociekania. Młody Blum zna go dobrze; muszę go wypytać. Nie zapominając, że może być stronniczy. Chętnie bym zobaczył tamtego, jak zmagają się z zagadnieniami władzy. Krytyka negatywna to nic trudnego, ale gdyby to on miał wprowadzić w życie te osiem godzin...

Jest rzeczą naturalną, że człowiek tak prześladowany kontrastami jak Andrzej Bellemine, sam poeta, a syn kupca, zmagający się z dylematem życia praktycznego i wyobraźni, po napisaniu *Miradora*, będącego potępieniem działania na rzecz marzenia, zaczął z kolei rzeźbić oblicze męża stanu... Oczywiście, lepiej było skopiować je z historii, z pewnego dystansu... Talleyrand, może Disraeli... Disraeli miał pewne podobieństwo z nim samym... Ale na razie nie skończył jeszcze ze swoim Miradorem. Andrzej Bellemine wiele obiecywał sobie po tej konfrontacji rzeczywistego człowieka i postaci fikcyjnej, jaką sobie stworzył. Nie umiałby właściwie powiedzieć, czego oczekuje, ale spodziewał się wiele. Może jakiegoś potwierdzenia siebie samego albo wzbogacenia doświadczeń, a może jeszcze materiału do dzieła *Mirador powrócony* lub *Powrót Miradora*...

Ramy tego rodzaju spotkania nie mogły być obojętne. Pisarz stawiał sobie pytania, gdzie, jak to urządzić... Gdy Jerzy Meyer powiedział mu o powrocie Mercadiera, Bellemine najpierw nie chciał się z nim zobaczyć, bo zbyt ni pośpiech mógł wszystko zepsuć. Wielokroć odrzucał myśl o spotkaniu i wracał do niej. Mogło się ono odbyć w obecności Meyera i innych ludzi, jakby Bellemine wcale się o to nie ubiegał, w czasie

przyjęcia, w którymkolwiek domu, gdzie pisarz mógłby po kryjomu wybadać tego człowieka... Ale pomijając już fakt, że Bellemine wolałby mówić wprost z Mercadierem, i to z Mercadierem, który by znał już Miradora, Mercadier, jeżeli wierzyć Meyerowi, za nic w świecie nie przyszedłby na podobne zebranie. A zatem...

Dobrze rozmawia się tylko przy zastawionym stole. Trudność leżała w wyborze restauracji; nie można było pójść do „Bouillon Duval”, a znów zbyt dobry lokal, jak „Larue”, „Marguery” lub „Cafe Anglais”, mógł sfalszować założenia problemu. Nie wyglądać na skąpca, ale też nie wyjść poza to, czego tamten oczekiwał od twórcy *Miradora*... „Foyot” będzie w sam raz, solidny, trochę ciemnawy, niezbyt tłoczno...

— Co pan woli? Wino białe czy czerwone? Panie Gustawie, macie chyba to wasze Vosne-Romanee... A zatem proszę butelkę na początek...

Bellemine odzyskiwał pewność siebie w roli człowieka, który płaci; cały ten mechanizm słów fundującego, który zawsze proponuje pasztet z gęsiich wątróbek i kawior, a zamawia rzodkiewkę, potrzebny mu był, aby otrząsnąć się po doznanym szoku.

„Zapyta pan o stół pana Bellemine”, powiedział był Meyer Mercadierowi. Kelner zaprowadził więc profesora do jego amfitriona. Prawdę rzekłszy, Bellemine nie tak wyobrażał sobie Miradora. O nie! Przede wszystkim ten jest bardzo niski i tęgi, policzki ma obwisłe, oczy przebiegłe, wąsy siwe z plamami blond, źle przystrzyżone. Poza tym niemodny surdut, dobry na licealnym podwórku, dziwaczny tutaj, zniszczony cylinder... Taki wyszarzały! Ani śladu wdzięku, o którym mówił Meyer. Pomyśleć, że podobał się kobietom... bo, jak mówiono, podobał się kobietom. Wyglądał staro na swój wiek, bo ileż miał właściwie — pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć... Skóra na twarzy pokryta gęstą siatką zmarszczek i drobnymi plamami. Jakież zmęczenie w oczach! To niesłychane, jak lata niszczą człowieka, niczego nie oszczędzają, nie zostawiają ani odrobiny młodości na czole, koło ucha... Uszy tego Mercadiera są takie kosmate!

O *Miradorze* zaczęli rozmawiać dopiero przy poledwicy. Profesor sam zagaił ów temat. Został przecież, do licha, zaproszony przez autora, powinien był zapłacić za śniadanie.

— Czytałem tę pańską rzecz — powiedział. — Interesujące, żywo napisane... Ma pan tyle fantazji, swady...

Bellemine poczuł się fatalnie, ale wszystko mogło jeszcze dobrze się ułożyć. Spytał:

— Nie wydało się to panu zbyt głupie?

— Głupie? Dlaczego głupie? Nie za głupie...

To pytanie było głupie. Ale chciał nim uratować sytuację.

— Chcę przez to powiedzieć... czy pan nie czuje się urażony?

— Urażony? Dlaczego? W niczym mnie to nie uraziło! Cóż za śliski temat!

— Piwniczy! — Gustaw, czerwony w swoim czarnym fartuchu, z zawodowym uśmiechem podał kartę.

— Nie dostrzegłem w tym żadnego podobieństwa z sobą — dodał

Mercadier.

Żadnego? Co chciał przez to powiedzieć? Jakie jest to Corton, Gustawie? Jeżeli pan pozwoli, proponowałbym raczej... Palec na karcie wskazuje dyskretnie cenę. Nie... Albo dobrze... To, raczej to...

— Tak — ciągnął Piotr bawiąc się nożem — widzę, że czerpał pan z pewnych faktów... ale dyskretnie... liczą się zresztą nie fakty, ale stworzona postać... idee... wyobraźnia... pański wkład osobisty... rzecz interesująca, interesująca...

— Ogromnie się bałem, żeby pan tego nie przyjął źle.

— Abym nie przyjął źle?... No, ostatecznie... nie mam powodu... Pisarz ma zupełną swobodę... To jest do mnie tak mało podobne... doprawdy, może pan być zupełnie spokojny.

— Doprawdy? I nie ma pan mi tego za złe?

— Za złe? Ależ, drogi panie!

Trach! Raczej ze względu na siebie niż swego rozmówcę Bellemine spytał jeszcze z pewną goryczą:

— Jednakże... czy mógłby mi pan powiedzieć (rozumie pan, że interesuje mnie to ogromnie), co jest tak niepodobne?

— Tak... to znaczy... od czego tu *zacząć*? Odpowiedź byłaby łatwiejsza, gdyby pan zapytał, co jest podobne...

— Proszę bardzo...

— A więc, szczerze mówiąc, nic. Nic. Może fakty, czterdziestoletni mężczyzna... znika pewnego pięknego dnia... Ale strona psychologiczna! Ta głęboka psychologia... i lekkomyślna zarazem... Setnie się ubawiłem. Pan jest ogromnie subtelny. Tak, tak... Nie afiszując się z tym, przyznaję, ale... subtelny. Prawda, że pański bohater jest pisarzem, a więc...

— Ale pan jest nim również.

— Ja?

— Oczywiście: *John Law*...

— Ach tak? Kto panu powiedział? Meyer? Meyer przesadza. Stare zeszyty, z których nic nie wynikło, nie wiem nawet, co się z nimi stało...

To już brzmiało trochę lepiej. Bellemine, zawsze bardzo szybko przystosowujący się do okoliczności, czuł już, że mógłby wyciągnąć korzyść ze swego rozczarowania, wyjaśnić tego człowieka, wypłatać się z niego... cóż, kiedy ludzie są tacy złośliwi, tak skorzy do wywlekania wszystkiego, co się da, przeciw pisarzowi... ta ludzka nieżyczliwość. Na szczęście, nikt nie będzie szukał Mercadiera: Mirador zostanie Miradorem. Lecz nie darmo jest się pisarzem — jeżeli Mirador nie tłumaczy Mercadiera, jak Mercadier wytłumaczy samego siebie?

— Nie chciałbym być natrętny... ale mimo wszystko w pańskim życiu, w pańskiej przygodzie jest coś dziwnego... ten nagły wyjazd... jakiś problem... Nie chce mi pan chyba wmówić, że poza tym...

— Ma się rozumieć... Ale co pan ma na myśli? Jaki problem?

— Ostatecznie, jeżeli nie istnieje problem Miradora, istnieje jednak problem Mercadiera... Nasuwa to myśl o jakimś przełomie, czy ja wiem...

walka ideologiczna... wahania... jakieś zmaganie się z rzeczywistością i marzenia... Widzi pan, wyobraziłem sobie człowieka, którego życie było zgodne z tym wszystkim, czego społeczeństwo od niego oczekiwało... przez całe lata... Z zewnątrz wyglądało to bardzo solidnie... tworzyło idealnie gładką powierzchnię... bez szczeliny... Ale owoc psuł się od środka... niszczone stopniowo... minuta za minutą... Otóż nagle, około czterdziestki, z powodu jakiegoś faktu bez znaczenia, jakiejś szpary, skorupa pęka, a w środku nic już nie ma... Proszę mi wybaczyć; wiem, że to niedelikatnie tak do pana mówić, ale powinien pan zrozumieć, że pański wypadek wzburzył wielu ludzi, wielu zastanowił... a więc...

— To bardzo ciekawe... Nie miałem do czynienia z pisarzami, drogi panie... więc dla mnie przypadek, problem, jak pan to nazywa... wygląda inaczej... i słucham pana, patrzę na pana... widzę, jak myśli pana łączą się w całość... widzę logikę tego wszystkiego... oto jak się robi powieści... Tak musiała wykluwać się *Pani Bovary*... Zabawne...

— Flaubert... To wielki zaszczyt... Ale nie lubię psychologii Flauberta, brak jej... brak jej, sam nie wiem czego...

— Och, dajmy jej spokój! Mnie interesuje pańska psychologia.

— Naprawdę?

Sytuacja się odwróciła — teraz Mercadier był tym, który pytał, który przesłuchiwał Belleminę, pasjonował się problemem Belleminę, jego psychiką. I Bellemine ze zdziwieniem słuchał własnych słów. Słyszał, że opowiada o swoim życiu, o własnym życiu, które na pierwszy rzut oka nie zawierało w sobie nic zadziwiającego, ale oczywiście, w głębi... Bywają żywoty, gdzie nic się nie dzieje, a jednak nurtują je wszelkie szaleństwa, wszelkie rodzaje wielkości. Wszystko wypisuje się tam w sposób subtelny, delikatny jak siatka zmarszczek na twarzy... nie, właściwie należałoby powiedzieć... Następnie wrócili do Miradora. Ale teraz zagadnieniem było odtworzenie drogi, jaką Bellemine doszedł do napisania Miradora; narodziny Miradora, nie tyle z anegdoty, prawdę rzekłszy, zupełnie banalnej, zaczerpniętej z życia Mercadiera, lecz z całej ogromnie złożonej gry zwierciadeł, pogłosów, myśli, obłoków dymu i marzeń, które nagromadziły się w Belleminie poprzez całe lata, na łonie mieszczańskiej rodziny, w świecie nie znającym katastrof; tu tkwiła istotna tajemnica... Kontrast bowiem pomiędzy życiem Belleminę a życiem Miradora nikogo chyba nie zdziwi; a jednak!

— To znaczy — łagodnie rzekł Mercadier — dziwne jest nie to, że Mirador odszedł... lecz to, że pan pozostał.

Oczywiście! Uderzyło to Belleminę. Że też nie przyszło mu to wcześniej do głowy! Ten Mercadier to jednak nie byle kto! Toteż nie mogłem się tak całkiem pomylić co do niego. Stanowił co najmniej jedną z tych wartości umownych, które wówczas tylko zachowują swoją cenę, gdy pozostają umowne... Na przykład Paul Valery, którego pierwsze utwory bardzo się podobały Belleminę owi — z wyjątkiem wierszy — jak Wieczór z panem Teste, napisany dwanaście lat temu, po czym ten interesujący pisarz nie dał



już znaku życia... Na pewno ów Valery straciłby rozgłos uzyskany dzięki milczeniu, gdyby pewnego dnia zaczął znów eksploatować swego pana Teste... Prawdę powiedziawszy, Mirador zawdzięczał tyleż panu Teste co panu Mercadier.

— Milczenie — rzekł — jest problemem człowieka nowoczesnego, a jednocześnie wielką zagadką wszystkich czasów... Odnajdują się w nim duchy najbardziej od siebie dalekie... Spotykają się mistycy... Eugenia de Guerin... Artur Rimbaud... I religia jest im bliska... Chrystus i Budda... Absolutny idealizm i kontemplacja... Jakub Boehme, Nietzsche i filozofia Indii... Ojciec de Foucauld...

Piotr Mercadier znał Nietzschego, ale co to za Artur, jak pan powiada? Rimbaud! On, co prawda, problem człowieka nowoczesnego chętniej widziałby w gadaniu niż w milczeniu. Ale, ostatecznie, zależy to od punktu widzenia. Jeśli chodzi o religię...

Bellemine czuł, że sprawą religii grzebie się w oczach swojego gościa. Wycofał się: religia, nie chciał właściwie powiedzieć: „religia”, lecz „religie”, ich istota, ten bardzo rozpowszechniony mechanizm, który w braku czego lepszego powołuje je do życia u najrozmaitszych ludów... Podano ze dwanaście gatunków sera do wyboru.

— Właściwie — rzekł Mercadier — dziwni są tylko ludzie... Jak układa się ich życie... Jak powstają różne węzły między nimi... Czy nigdy nie przeciera pan sobie oczu zastanawiając się, jak długo jeszcze potrwa ów sen i ziemia nawet nie drgnie? Co?

Owszem, Bellemine czasem się nad tym zastanawiał. Zresztą wszystko było dość niepewne. Groźba wojny mogła cię na przykład z dnia na dzień zrobić żołnierzem... Widzi się pan na koniu, w jakimś obozie w Chalons, słońce cholerne; wiezie pan meldunek do sztabu generalnego, nieprzyjaciel tymczasem strzela do pana zza drzew jak do królika? Nie mówiąc już o tych głuchych uderzeniach w gmach społeczny... o nowych strajkach...

— Ach tak — rzekł Mercadier. — Nie wiedziałem, że były strajki...

Prawda, on nie czytywał gazet! Meyer to mówił; przeglądał tylko kursy giełdowe. Ten rys wystąpił bardzo wyraźnie w *Miradorze*, a Paweł Souday w „Temps” nazwał ten szczegół nieprawdopodobnym.

— Ale w końcu powrócił pan... Mercadier westchnął:

— Wyjechałem, wróciłem... Wszystko to jest bardzo względne. Chce pan powiedzieć, że jestem we Francji, w Paryżu, a nie na Labradorze... Miałem dziesięć lat życia dla siebie samego. To dużo. Dziesięć lat wolności. To znaczy dziesięć lat z pieniędzmi... trochę mniej... W tym oto mieści się problem. Pieniądz. Bo jeżeli pański człowiek nowoczesny cierpi na ataki neurastenii, tu właśnie jest ich źródło. W portmonetce. Zajrzyjcie do portmonetki człowieka, a znajdziecie tam historię jego migreny. A sprawa strajków... Zło nękające Europę spotykałem po trosze wszędzie w moich podróżach. To dlatego, że robi się z pracy bóstwo. Człowiek zakochany w przekleństwie swego życia! Wszyscy: zarówno ci, co żyją z cudzej pracy i przedstawiają ją jako rzecz świętą i obowiązkową, jak i ci, którzy

zdychając w pracy dla drugich chcą ugruntować swoje prawa na pracy...

— A jednak — rzekł Bellemine — i pan musi pracować...

— Owszem, ale bez szczególnego entuzjazmu. Historia człowieka to historia jego szachrajstw z prawem społecznym, to jego sposoby, aby wykręcić się od pracy. Większość ludzi zadowala się niedzielą. Ja miałem ją przez dziesięć lat, i nie żałuję tego. Potem zdychałem z głodu... miałem się różnych marnych zajęć... krętać!

— Oczywiście, że to niełatwe, gdy nie ma się już dwudziestu lat... Ale w pańskim liście z Egiptu było takie zdanie o domach gry...

— Nie wiem, co ma pan na myśli...

— Pisał pan z Egiptu do Meyera...

— Możliwe. Tak, dosyć lubiłem grę. Dlatego że dyskredytuje pieniądź, to znaczy sposób zdobywania go, pracę. Mówiąc inaczej, lubiłem ją za jej niemoralność.

— I zapewne dlatego znalazł się pan bez grosza...

— Dlatego że grałem? Nie. Straciłem niegdyś na giełdzie. Nie mogę powiedzieć, aby zrujnowała mnie gra. Wydawałem, oto wszystko. Chwyta pan tę różnicę?

Czy Bellemine chwytał! Najchętniej byłby to sobie zapisał w notesie.

— Nie... po prostu pieniądze pomалу się rozeszły... podróże... życie... A zresztą nie było tego tak bardzo wiele... Przeżyłem trudne chwile... Miałem trochę szczęścia... Gdy spotkałem Meyera, byłem goły...

Mieszkanie, wikt i dwieście franków na miesiąc. Niewiele, ale któż inny by mu to dał? Biesiadnicy wymienili parę ciepłych zdań na temat Meyera. Był jeszcze jeden punkt, który korcił Bellemine'a!

— Czy nigdy nie myślał pan, aby zobaczyć znowu pańską... no, pańskie dzieci, chciałem powiedzieć: rodzinę?

Nastąpiło długie milczenie, które można sobie było różnie tłumaczyć.

— Napije się pan kawy?

Nie. Albo owszem. Tak, dlaczego by nie?

— Dwie kawy... I coś do tego?... Polecam marc. Bellemine zły był na siebie, że zaczął z tą rodziną. Należało zostawić ją w spokoju. To brak taktu.

— Nie — rzekł nagle Mercadier. — Nigdy nie miałem ochoty zobaczyć się z nimi. To obcy. Moje dzieci... Co mam wspólnego z tym mężczyzną, moim synem, z tą kobietą, moją córką? Co do Pauliny... mojej żony... piętnaście lat wystarczyło mi! Dziękuję pięknie. Gdyby serce mnie do nich ciągnęło, byłbym u nich w dwadzieścia minut przez plac des Ternes i ulicę des Acacias. Ale właśnie, że nie. Każdy sobie... Zresztą muszą mnie nie cierpieć. Ktoś, kto żywił ich przez długie lata, a potem nagle się to urywa, rozumie pan... Wedle tego, co mówił Meyer, mieszkają w jakimś niemal pałacu... Nie ma powodu, abym się tam pchał... Nie mogę im nic dać... To tak jakby człowiek znowu miał włożyć brudną koszulę... Po tylu latach!

W tym punkcie Bellemine odnajdował Miradora. Ta gwałtowna wstydlivość, ukrywająca uczucia pod cynizmem słów... Do kawy

zachował pewien atut natury psychologicznej. Rzekł jak gdyby nigdy nic:

— Nie widział pan jeszcze swego wnuka? Syna pańskiego syna?

Bardzo liczył na ten chwyt. Czy Mercadier zaczerwieni się? Nie zaczerwienił się; odpowiedział:

— Nie, nie widziałem tego malca. Nie znałem też jego matki. Wszyscy oni doskonale żyją sobie beze mnie. I umierają. I rozmnażają się. Nie mam w sobie danych na dziadka. Nie jestem typem w rodzaju Wiktora Hugo...

Co za oschłość! Belleminie wspomniał, że Mirador nie mógł powstrzymać łez wobec piękna wygwieżdżonej nocy... Może zresztą te rzeczy idą z sobą w parze i trzeba być nieludzkim, aby móc doznawać wielkich uczuć...

## V

Legenda, geniusz, wdzięczność ludzka są to rzeczy piękne i wielkie, ale muszą się one dostosować do miejscowych warunków. Szkoła Robinel, zbudowana na zbyt skąpym terenie pomiędzy dwoma sześciopiętrowymi domami, na ulicy Ampere, ze swoim kawałkiem ogrodu, werandą i ozdobami z kafli holenderskiej, wyglądała jak wbity tam klin. Dom pomieścił Meyerów, dwóch wychowawców i Robinela, który był kawalerem. A poza tym klasy. Mercadier musiał się zadowolić małym służbowym pokojem na poddaszu, który urządzono, jak można było najlepiej, bo Sara włożyła w to całe swoje serce.

Ale ostatecznie trzeba było schodzić dwa piętra do ubikacji, a wodę brać z korytarza. Obaj wychowawcy bardzo szybko poczuli niechęć do nowego współbiedniaka, który był wprawdzie nauczycielem, ale pełnił różne funkcje, udzielał korepetycji i wykładał historię. Od pierwszego dnia tak ułożył sobie godziny zajęć, aby mieć wolne późniejsze godziny popołudniowe, gdy oni marynowali się w klasach, gdzie uczniowie odrabiali lekcje. Zastępował ich jednak w czwartki, kiedy trzeba było kuć z najbardziej tępych uczniów, których rodziny za wszelką cenę chciały przepchnąć przez maturę. W inne dni z uderzeniem godziny czwartej „nowy”, jak go nazywali, ulatniał się i wracał dopiero na obiad.

Uroczyste posiłki rodzinne, w których uczestniczyli wszyscy, Meyerowie z dziećmi, Robinel, obaj wychowawcy i „nowy”, miały jednocześnie patriarchalną i uśmiechniętą solenność, którą lubiła wprowadzać wszędzie Sara, i słodką hipokryzję zrodzoną z wielkich a nie wyrażonych nienawiści. Robinel wciąż jeszcze nienawidził Piotra Mercadiera za sprawę Dreyfusa, a poza tym czuł się oszukany, gdyż imię jego wypisane było na domu, który do niego nie należał. Miał od dawna ciągnący się stosunek miłosny i wiedział, że jest zdradzany. Dzieci Meyerów drażniły go. Dzieci Meyerów, trzeba przyznać, były nieznośne, zwłaszcza najstarszy, Piotr, który miał wówczas z osiem lat i mówił do Mercadiera „wujku”. Ze względu na malców nie można było o niczym mówić przy stole;

Sara czerwieniła się, uśmiechała wskazując palcem na dzieci. Wychowawcy, krostowaty młodzieniec i starszy od niego, limfatyczny grubas, nienawidzili całego świata, a przede wszystkim Mercadiera. Dzieci

nie cierpiały wychowawców i wujka, i pana Robinel, i czubiły się między sobą. Meyer wciąż- się martwił, że utopił posag Sary w przedsięwzięciu deficytowym; snuł się jak żywa maszyna do liczenia, z błędną miną; zaledwie wiedział, co mu podają do jedzenia. Jedyne Sara podtrzymywała atmosferę dobroci, bez której nie mogła żyć. Musiała wierzyć, że wszyscy dokoła są szczęśliwi. Musiała każdym ruchem czynić dobrze. Ale prócz niej istniała jeszcze starsza pani Meyer, która głodowała przez całe życie i ze zgrozą patrzyła na wydatki domowe i na tych, których nazywała pasożytami; poczynając od Robinela, a kończąc na wychowawcach, tak żałowała im każdego kęsa, że aż widać to było na jej twarzy. Rysy jej kurczyły się przy deserze, a gdy raz na tydzień podawano szarlotkę z jabłkami, wszyscy cierpieli wraz z nią.

Gdy się jest młodym, wiele rzeczy znosi się łatwo, ale po pięćdziesiątce i później — ganiaj, człowieku, z góry na dół po dwa piętra z pokoju do ubikacji! Fasola zjawia się częściej, niż wypada jej kolej, a te wszystkie drobne, a tak przykre oszczędności, te wyliczone kawałki cukru, gdy ty lubisz kawę trochę słodsza! Okropne jest to codzienne obcowanie z ludźmi, których się nie wybierało; wszystkie ich dziwactwa i przyzwyczajenia stają się źródłem goryczy dla kogoś, kto do woli korzystał z samotności. Rozmowa z Sarą, nie do wytrzymania dobrą, przejmującą się wszystkim, co wypisywały gazety, których Piotr Mercadier nie czytał. Te jej rozsądne i pełne uczucia słowa, których trzeba było wysłuchać aż do końca, aż do momentu, gdy przewidziany ładunek obudzonych refleksji zostanie gruntownie wyczerpany w ogólnej rozmowie. Być miłym dla dzieci. Wrogość starszej pani Meyer. Wreszcie, na początku roku 1911, przyszła chwila, gdy Mercadier poczuł, że dłużej już tego nie zniesie. Narastało to w nim, narastało jak wściekłość. Gdyby nie wolne godziny przedwieczorne, na pewno wybuchłoby to znacznie wcześniej. Nie wolno mu było zapominać, jakie to szczęście, że znalazł tutaj schronienie i pracę... Ale pewnego wieczoru, gdy wracał do swego pokoju i piął się stromymi schodami, uczuł nagle gorąco i wszystko zawirowało mu przed oczyma. Wychowawcy znaleźli go leżącego na schodach: bełkotał coś i nie mógł się ruszyć. Był to tylko znak ostrzegawczy, ale odtąd czuł jakiś lęk i gdy przechodził obok lustra, przyglądał się sobie uważnie, aby upewnić się, że ten mały atak nie pozostawił żadnych śladów.

Wówczas postanowił zyskać sobie życzliwość starszej pani Meyer i zaczął świadczyć jej różne drobne uprzejmości. Dziwnie było patrzeć, jak ten sam Piotr Mercadier, który bez skrupułów porzucił własną rodzinę, który gardził ludźmi, fanatycznie wierzył w niezależność człowieka, w jego prawo odrzucenia wszelkiej odpowiedzialności, zerwania wszystkich więzów... jak ten Piotr Mercadier skacze na dwóch łapkach przed starą, zrzedną i skąpą kobietą, nieufną i zdziecinniałą, która z początku traktowała go — wraz z jego świeżo zrodzoną galanterią — jak łotra knującego jakieś złe zamiary. Chodził do kuchni po nagrzaną cegłę, na której wspierała stopy, i owijał ją w gazety. Lubiła kasztany, więc je

przynosił. Meyer i jego żona radowali się tymi uprzejmościami, bo odpowiadały ich upodobaniu do wszystkiego, co serdeczne i sentymentalne. Nie widzieli w świadomie zgaszonym wzroku swego stołownika ohydnej mieszaniny obrzydzenia i strachu, która towarzyszyła tym drobnym a wymuszonym świadczeniom. Piotr czuł, że śmierć przeszła obok niego. Człowiek nie jest wybredny, gdy szuka sprzymierzeńców przeciw śmierci. Mimo że atmosfera szkoły wydawała mu się godna wzgardy i obmierzła, zdawał sobie sprawę, że nigdzie nie znajdzie tego, co mu dawano tutaj. Zaczął nawet raz na tydzień wychodzić ze starą kobietą, która lubiła kino. Szli razem na ulicę Demours, gdzie w lecie dawano spektakle pod gołym niebem, co było ostatnią nowością. Mercadier posuwał się tak daleko, że fundował jej kino; kosztowało go to szesnaście franków miesięcznie, po dwa franki miejsce. Ale był to pieniądz dobrze ulokowany, zabezpieczenie na wypadek choroby. W głębi serca on nie lubił i Meyerów. Czy gdy się jest starym i biednym, można lubić ludzi, którzy mają pieniądze i od których jest się zależnym? Ale trzeba udawać, że się ich kocha. Od czasu do czasu cierpiał na żołądek, musiał uważać, co je; stara pani Meyer była na to wyrozumiała: zarówno dlatego, że Mercadier był młodszy od niej, jak i dlatego że był mężczyzną. Prócz tego zapadał na ciężkie grypy i wówczas tkwił na mansardzie i przewracał się na podłym łóżku z pękniętą sprężyną, co nie było takie znów wesołe. Gdyby chociaż te ubikacje...

Przeznaczenie znowu go tutaj dosięgło: lekcje w klasie, poprawianie zadań. Na początku to właśnie było najgorsze. Gdy po raz pierwszy znalazł się wobec sterty zadań, które musiał przeczytać, odwaga go opuściła. Wydawało mu się nawet, że niegdyś uciekł bardziej przed tym niż przed Pauliną. Głupota uczniów... Ale ich inteligencja jest jeszcze groźniejsza. A gdy trzeba dwadzieścia razy przeczytać to samo... Dwadzieścia razy gwałtem skupić uwagę... A przy tym nie cierpiał wyrostków, ich obłudy, lekkomyślności. Nie należał wprawdzie do nauczycieli, którym hałasowano na lekcjach, ale też nie lubiano go. Zresztą to mu bardziej odpowiadało. Nie odznaczał się sumiennością w pracy. Odrobić swoje, jak się da najszybciej, w taki sposób, aby nikt nie miał nic do gadania, i potem być samemu. Nigdy nie zainteresował się którymś z ludzkich problemów związanych z osobą ucznia. Oszukiwał swoją klasę, jak podatnik oszukuje urząd skarbowy. Ważne jest tylko nie dać się złapać.

Piotr, w ogólnych zarysach i na wpół świadomie, odczuwał wielką różnicę w swoim stosunku do ludzi. Dawniej ludzie, chociaż niewiele miał z nimi wspólnego, interesowali go w pewnym stopniu, wyobrażał sobie ich życie, ich reakcje, odczuwał ich wpływ. Teraz otaczały go papierowe figury, manekiny, które szybko i same przez się uciekały z jego pola widzenia, zostawiając tylko pustkę albo miejsce dla innych manekinów. Czy na przykład zastanawiał się kiedy, co się dzieje w głowie takiego pana Souverain, grubego, bladego korepetytora, którego widywał co dzień naprzeciwko przy stole, niby wielką gałą ugniecioną z chleba? Czy to

sprawa wieku? Może. Wszystko to odbyło się tak, jakby ludzie stali się dla niego tym, czym byli w jego dzieciństwie, gdy słabo jeszcze odróżniał dorosłych. Pamiętał to z dziwną wyrazistością. Potem z wolna ludzie się różnicowali: wysocy, niscy, mężczyźni, kobiety... brzydzy — i tych się bał... inni przyjemni dla oka... Różnice się skomplikowały, i to było życie. A teraz to życie powoli od niego odchodziło...

Właściwie nigdy nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na Sarę. Żona Meyera — to mu wystarczało, dostrzegł ją dopiero wtedy, gdy wybitnie się zmieniła i stała się dość odpychająca. Owego roku znowu była w odmiennym stanie i zwierzenia Meyera natychmiast skierowały uwagę Piotra na ten fakt, gdyż Meyer w swoim szczęściu i niepokoju oczywiście zwrócił się do niego.

Stosunki między Meyerem a Piotrem ułożyły się dość krępująco. Żaden z nich właściwie nie spodziewał się, że ich sprawy przybiorą taki właśnie obrót. Mercadier wyobrażał sobie, że jest bardzo swobodny wobec tego człowieka, nieco naiwnego, bardzo nieśmiałego, którego stawiał niżej od siebie. Sprawy materialne zmieniły to wszystko, jednakże Meyer nie odgrywał w tym wielkiej roli. Po prostu nie patrzyli już na siebie w taki sam sposób. Meyer przed powrotem Piotra zrobił sobie z niego bohatera, bohatera, któremu winien był daninę wdzięczności. Dlatego właśnie wziął go do siebie. Ale nie mógł pozwolić sobie na to, aby go wziąć po prostu, nie zobowiązując go do pracy. Wypadło połączyć wdzięczność i względy praktyczne. Stworzyło to fałszywą sytuację. Meyer widział dobrze niedostatki życia w swoim domu, życia, jakie stworzył upadłemu wielkiemu człowiekowi. Przez zrozumiałą reakcję szybko doszedł do wniosku, że niepotrzebnie nabił sobie głowę tym Mercadierem. Co było zgodne z prawdą. Mercadier zmalął w jego oczach, stał się czymś w rodzaju nieustannego rozczarowania. Czy to już wszystko? Nie. Andrzej Bellemine odegrał też swoją rolę w rozproszeniu jego złudzeń: po śniadaniu u „Foyota” pisarz bardzo sarkastycznie potraktował kuzyna, złośliwie mówił o Piotrze, o *Johnie Law*, o ludziach, którzy odchodzą, i takich, co wracają. Życie nie jest tak urządzone, aby ludzie, których widzimy codziennie, mogli się utrzymać na wyżynach heroizmu. Romantyczna postać, jaką stworzył sobie Meyer, źle przystawała do niemłodego człowieka o dość ponurym usposobieniu, który krzywił się na zbyt jednostajny wikt, utyskiwał na położenie ubikacji i mówił o kupieniu nowego bandaża na przepuklinę, gdyż od paru lat cierpiał na przepuklinę w następstwie jakichś ciężkich prac, zdaje się w Egipcie, której to historii Meyer nie wysłuchał zbyt uważnie.

Wreszcie nie do zniesienia stała się myśl, że Mercadier może uważać, iż należy mu się coś od Meyera. Co właściwie? Mercadier był przydatny w szkole, ale pierwszy lepszy młody nauczyciel, któremu nie trzeba by dawać mieszkania... Odwrócenie sytuacji, bo teraz Mercadier był biedakiem, a Meyer uchodził za człowieka bogatego, nadawało całej sprawie niemiły posmak. Bo ostatecznie Mercadier istotnie był biedny, ale Meyer nie był bogaty. Musiał utrzymywać szkołę, płacić procenty wujowi Levy, czynsz

Kahnom i w rezultacie miał mniej pieniędzy niż kiedykolwiek. Życie stało się straszliwie drogie. Musiał myśleć o dzieciach, matce, Sarze, ich przyszłości... Gdy Jerzy uczył w liceum, miał pensję... a poza tym wtedy posag Sary nie był jeszcze zaangażowany. W dodatku rodzina Rosenheim nie okazywała się zbyt hojną, bo większą słabość czuli do najstarszego syna, chcąc, aby utrzymał się w handlu, przy sklepach w Alzacji, powracające zaś napięcie stosunków między Francją a Niemcami wydawało się im dostateczną racją, aby ograniczyć hojność z pierwszego okresu, gdy od czasu do czasu posyłali to tysiąc marek, to znów sto marek, za które można było wyjechać na wakacje i dobrnąć do końca roku. Nie mieli za złe córce, że wyszła za Francuza; lubili tego solidnego zięcia, który spłodził tyle dzieci, ale ostatecznie trzeba ich było zrozumieć, postawić się w ich położeniu: rodzina rodziną, ale własny kraj przede wszystkim, więc jakże tu posyłać pieniądze za granicę, gdy nikt nie wie, co będzie jutro. Sara mówiła, że nic nie będzie, i płakała, bo uważała swoją rodzinę za samolubów, niepokoiła się o dzieci i widziała, że mąż zabija się pracą, .gdy tymczasem tam, w Strasburgu, jej brat żył sobie jak w raju. Jerzy gryzł się bardzo. Położenie stało się jeszcze poważniejsze, gdy Sara po raz czwarty zaszła w ciążę, zwłaszcza że czuł i radość ojcostwa. Natomiast Mercadier uważał to za obrzydliwe: po tylu latach ona jest znowu w odmiennym stanie... Czy ci ludzie nie nauczyli się unikać niedogodności swoich stosunków? To doprawdy nieprzyzwoitość. Ale przy tej okazji Meyer zdecydował się pomówić z Piotrem, mieszając wszystko: zamiary na przyszłość, szczegóły natury intymnej, rachunki domowe, długi, nadzieje. I tak Mercadier odkrył Sarę dopiero jako kobietę ciężarną, po raz pierwszy zobaczył w niej coś zwierzęcego, rudość jej włosów, jej życie fizyczne, piersi poruszane oddechem, cielesne zamięłowanie do bezruchu. Zdawało mu się, że pojął wreszcie tę dobroć, która ściekała z niej jak tłuszcz na wszystko dokoła, ten właściwy jej w zwykłym czasie charakter, słodki jak cukier, ten okrutny lęk, że coś w świecie zamąci jej spokój, lęk, który rzucał ją na pastwę gazet, a także rodził w niej pragnienie, aby wszystko załagodzić w słowach, aby wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że każdy ma jak najszlachetniejsze zamiary.

Mercadier obserwował przy stole kobietę w ciąży. Gdy nachodziły ją mdłości, mówił sobie: „Aha”; gdy się czegoś usilnie domagała, powiadał: „Zachcianki”... Nie cierpiał jej, a jednocześnie interesowało go to fizyczne poddaństwo człowieka. Śledził też jego katastrofalne skutki u starszej pani Meyer. Podczas antraktów w kinie „Demours”, gdy otwierał się nad nimi sufit z hukiem szyn, który zagłuszał na chwilę jego myśli, prowadził ze starą damą rozmowy, a nawet ofiarowywał jej czekoladki. Mówiła wyłącznie o mającym narodzić się wnuku, z goryczą, z lękiem, że tego nie dożyje, co było przykre i dziwaczne. Nigdy jeszcze Piotr nie miał tak mocnego poczucia, że żyje w ogrodzie zoologicznym. Wszystko wydawało mu się jednocześnie obrzydliwe i pociągające. Nie znosił Meyerów, zaczął ich nawet nie znosić jako Żydów. Uczucie dziwaczne, ale mocne.

Wszystko to w połowie lata nabrało burzowych kolorów i zaciążyło nad szkołą Robinel; było bardzo gorąco; wszyscy, jakby już wiedząc, co się święci, czuli jakiś ostrzegawczy przymus. Trzeba zaznaczyć, że gdy nadchodziły wakacje, u Robinela wszyscy mieli wrażenie, że są na galerach, skazani na dożywocie, gdyż zakładu tego, w przeciwieństwie do innych szkół i liceów, nie zamykano na czas ferii letnich. Wyjeżdżała tylko część uczniów, inni zostawali, aby pod okiem nauczycieli podkuć do matury, a dołączali się do nich chłopcy, którzy obcieli się przy egzaminach w lipcu, typy z wielkimi brakami, młodzież z różnych liceów, a przede wszystkim z liceum Camota. Tak więc, gdy inni nauczyciele wyjeżdżali sobie, personel szkoły Robinela harował w dwójnasób. Paryż z całym przygnębieniem lata, lekcje, słońce albo niebo szare od deszczu, który nie może się zdecydować, czy ma padać. Meyer co dzień bardziej nerwowy, stara, która zachowywała się, jakby mościła gniazdo dla synowej, i Sara, ogromna, wzdęta, głupia, z oczyma niby zwróconymi do wnętrza, na dziecko — jednym słowem, rozkoszny był ten sierpień przy ulicy Ampere! Jerzy wciąż powtarzał, że mogliby ich wreszcie odwiedzić ci Rosenheimowie i przywieźć jakieś drobiazgi dla małego. Dzieci krążyły wokół matki, wytrzeszczając oczy, pełne tajemniczego lęku, który podniecał ich mózgi ciekawością brudną i wypaczoną.

Wtedy to właśnie kanonierka „Panther” zarzuciła kotwicę w Agadirze i strach przed wojną chwycił świat za gardło; ogarnięte paniką ministerstwa spłynęły przerażonymi ludźmi, a w tym samym czasie tam, w Niemczech, mężczyźni czyścili broń, krawcy całymi nocami szyli mundury, a nad światem wznosił się jednoreki cień cesarza w obszernym szarym płaszczu, z białym pióropuszem i wypomadowanymi wąsami. Maroko. Nigdy jeszcze nie mówiono tyle o Maroku. Czy przyjdzie nam umierać za Maroko? Sara, nieprzytomna ze strachu, mówiła w nocy przez sen, słyszano, jak płakała. Jej bliscy podzieleni byli między Francję a Niemcy. Czy to możliwe? Było gorąco, a przepelnione pociągi zwoziły do Paryża ludzi interesu i zamożne rodziny. Był to czas trwogi.

## VI

— Nie rozumiem pana — mówił Mercadier. — Myślałby kto, że to pierwszy alarm. Wojny nie będzie. Ułożymy się z Niemcami, jak przedtem z Anglikami. Pamiętacie Faszodę?

— Jak może pan tak mówić! — zaprotestował Meyer. — Tych rzeczy nie można porównywać. Znam Niemców. Podajcie im palec, chwycą całą rękę... A zresztą czy pan nie widzi, że oni szukają zwady? Nikt niczego od nich nie żądał, wszystko szło doskonale i nagle... Z Anglikami sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej, bo to my zagrażaliśmy strefie ich wpływów... doprawdy, tu nie można porównywać...

— Jaka tam strefa wpływów! Jest wojna albo jej nie ma, oto całe zagadnienie.

— Mogliśmy się porozumieć z Anglikami, gdyż w gruncie rzeczy patrzymy na sprawy w ten sam sposób...



— Nie zechce mi pan chyba wmawiać, że Francuz i Anglik mają jednakie ideały, gdy tymczasem ci wstrętni Niemcy... Jedni i drudzy myślą tylko o tym, jak podzielić między siebie świat, wyrzynając czarnych i żółtych, i zawsze słuszność ma ten, kto silniejszy...

— Wiem o tym... ale jednak istnieją reguły gry... istnieją rzeczy godne szacunku... Powtarzam panu, znam Niemców.

— Oczywiście, mój drogi, pańska żona jest Niemką, a pan sam jest także bardziej Niemcem niż Francuzem...

— Panie Mercadier! Zabraniam panu tak mówić!

— Nie chciałem pana urazić, mój drogi; wie pan, że dla mnie Niemiec czy Francuz...

— A dla mnie nie! Ja jestem Francuzem, Sara jest Francuzką, nasze dzieci są Francuzami i jutro historia przeprowadzi podział między nami...

— Chce pan powiedzieć, że będzie się pan bił w szeregach armii francuskiej? Jest pan jeszcze w wieku poborowym? Tak, prawda. Słusznie. Życzę panu, aby wojna jeszcze tym razem nie wybuchła i aby doszło do niej, zanim dorosną pańscy synowie... Mnie ta sprawa nie dotyczy. Przemknąłem się *przez*, świat właśnie między dwiema masakrami. Sługa uniżony. Jestem bardzo szczęśliwy, że nie zostałem w to wmieszany. W obronie rzeczy, w które nie wierzę.

— Ale też co za czasy! Długo będziemy pamiętali ten wrzesień... Mówiąc „wrzesień”, będziemy mieli na myśli rok 1911... Agadir...

— Tak pan sądzi? Większość ludzi kpi sobie z historii, tak jak z pierwszych długich spodni. Gdy tylko strach minie, znowu gra się w manilę, wszystko idzie po dawnemu, rób, co ci każą...

— A jednak gdyby doszło do wojny?

— No to co? Oczywiście, gdyby pan wyjechał, my, to znaczy Robinel, Souverain i inni, poprowadzilibyśmy interes... i rozumiem pański niepokój wobec stanu pani Meyer... Ale jeżeli dojdzie do wojny, to właśnie z winy takich ludzi jak pan...

— A to jakim sposobem?

— A tak! Wciąż powtarzacie, że nie powinniśmy ustępować Niemcom. Ach, gdyby to ode mnie zależało! Kajzer mógłby ode mnie zażądać choćby Paryża! Czy coś by się wtedy naprawdę zmieniło?

— Nie mówi pan poważnie, panie Mercadier...

— Najzupełniej poważnie. Widzi pan, dopóki będzie gdzieś na świecie miejsce dla samotnego człowieka... Przecież Wilhelm nie zabierze mi tego tam poddasza... Nie zauważę nawet różnicy...

— Ostatecznie jest pan Francuzem...

— Podobno. Ale nie to jest najzabawniejsze. Lecz to, że pan mi o tym zawsze przypomina. Właściwie wy, Izraelici, jesteście nuworiszami. Teraz, gdy już macie tę nową, prosto z igły ojczyznę, maszerujecie, maszerujecie jak diabli... Nie ma większych nacjonalistów!

— Racja! Dlaczego miałoby być inaczej? Kocham ten kraj, zawdzięczam mu wszystko: wolność, powietrze, którym oddycham...

— I podatki, które mu pan płaci i na które, jak słyszałem, tyle razy się pan wściekał. Nie, panie Meyer, proszę nie traktować tej sprawy zbyt osobiście, ale jeżeli w końcu dojdzie do wojny, powodem tego będą, zwłaszcza w Niemczech i Francji, Żydzi, którzy zawsze są zaciekłymi patriotami w pańskim rodzaju i którzy za wszelką cenę chcą demonstrować swoją miłość do kraju... Oni jedni mogą zyskać na tej wojnie — da im to rodzaj listu gwarancyjnego na przyszłość: narażałem dla ciebie życie, więc mnie chyba nie przepędzisz... Neofici to ludzie niebezpieczni... Bo my umiemy spożywać chleb upokorzenia. Francja przywykła do tego. A potem wszystko wraca do normy. Zobacz pan. Ustąpimy. To lub tamto...

Może był to skutek jej stanu, ale Sara po raz pierwszy nie zgadzała się z Jerzym. Domagała się, aby za żadną cenę nie dopuszczano do wojny, płakała, nie chciała wcale słuchać. Nie mogła znieść myśli, że jej brat i Jerzy znajdą się w dwu wrogich armiach. Zdenerwowanie tych dni gwałtownie udzieliło się Meyerowi. Mimo czułości dla żony, mimo trosk, mimo bliskiego już położu Sary był coraz mocniej przekonany, że należy stawić opór, coraz bardziej oswajał się z myślą, że pójdzie do wojska, będzie się bił, wyrzeknie się życia, domu, byle nikt nie mówił, że Francja doznała upokorzenia. Gdy napięcie minęło, przez pewien czas czuł się dezorientowany, ogłuszony, miał pustkę w głowie, trudno mu było zająć się codzienną pracą. Czynił sobie wyrzuty: czy istotnie pragnął wojny? Nie, nie... a jednak... Sara wracała do tępoty okresu przedporodowego.

W tym okresie na ulicy Ampere Piotr Mercadier czuł się dobrze tylko przy starszej pani Meyer... Przyzwyczał się do niej, do jej głupich dziwactw, do umysłowej głuchoty będącej wynikiem starości, dzięki czemu nie przejmowała się zbyt wroześniu. Mawiała: „Już czterdzieści lat obiecują nam z wiosną wojnę... a potem nici z tego!” Co prawda tym razem wojna wybuchła, między Turcją a Bułgarią — ale to tak daleko! Wojna pomiędzy tymi ludźmi nie ma wielkiego znaczenia. Wieczory były piękne; można było chodzić do kina — albo przez ulicę Wagram i Demours, albo, krótszą drogą, przez plac Pereire. Paryż na progu swoich drzwi oddychał tak spokojnie; świat był jak gęsta, bezdenna głębia, coś w rodzaju nieprzejrzanego zarośli, gdzie jedyną rzeczywistością była rzeczywistość zwierzęca; ludzie, zmęczeni całodzienną pracą, gadali, dreptali po chodnikach, przez otwarte okna widać było ciemne mieszkania, gdzie oszczędzano elektryczności; dzieci bawiły się; resztki lata snuły się wśród jesieni.

— Jak pan właściwie spędza te swoje wolne godziny? — spytała Piotra pani Meyer. — Mógłby pan towarzyszyć mi do Lasku Bulońskiego, panie Mercadier, przed obiadem... Trzeba korzystać z ostatnich pięknych dni, a ja zawsze się boję, że mnie coś przejedzie... przy bramie Maillot taki ruch... Dawniej starym ludziom było lepiej, nie jeździły te auta... Jednego dnia byłam w Juvisy; nigdy jeszcze nie widziałam tych ich aeroplanów... Niech pan tylko pomyśli! Nie mają spokoju, dopóki nie wymyślą jakiegoś nowego sposobu, aby łamać karki...

Mimo jej niemieckiego akcentu przyjemnie mu było ze starą damą; nie musiał jej odpowiadać, więc nie raziły go jej niedyskretne pytania. Tego wieczora dziwny hałas panował w Ternes. Z daleka posłyszeli krzyki i zobaczyli biegnących ludzi, tłum przechodził aleją, mijał kościół Świętego Ferdynanda. Nie wyglądali na sportowców; czuło się w nich jakiś gniew. Nazajutrz dowiedzieli się, że byli to manifestanci wracający spod ambasady hiszpańskiej, której ściany oblali atramentem. Dziwna historia. Z powodu jakiegoś anarchisty nazwiskiem Ferrer, którego stracono tam, u Alfonsa XIII. Ludzie doprawdy mają pomysły! Co ich to może obchodzić? Robinel zaczepnie oznajmił, że chodzi tu o coś w rodzaju sprawy Dreyfusa! Nikt nie podjął tematu.

— A mówiłem, że ustąpimy, że wszystko się ułoży... — Mercadier nie mógł sobie odmówić tego triumfu, ale gdyby piorun trzasnął w dom, nie wywarłby większego wrażenia niż dziennik, w którym wyczytano wiadomość o kompromisie, na jaki poszedł rząd Caillaux. Sara od razu stanęła po stronie Jerzego, była równie wściekła jak on. Oddawać część Konga Wilhelmowi! Szaleli oboje, a wraz z nimi Robinel i obaj wychowawcy. Mercadier patrzył na nich jak na wariatów. Dlaczego tak im zależało na tym skrawku Konga? Mówili o zdradzie, zapytywali, jak daleko jeszcze pójdziemy drogą ustępstw! W domu pełno było gazet, które, co najdziwniejsze, tym razem w zgodzie z „Action Francaise” i z Clemenceau, występowały przeciw rządowi Caillaux. Jerzy oświadczył, że w najbliższych wyborach będzie głosował za którąkolwiek partią, byle obiecała, że nie dopuści do takiej hańby, do powtórzenia się takiej hańby. On, wierny radykał, nie mógł się z tym pogodzić, że jego partia pozwoliła na coś podobnego... niecała, to prawda... Sara głosiła teraz, że lepsza już byłaby wojna; zmieniła zupełnie poglądy, nienawidziła Wilhelma tak gwałtownie, że nie przejmowała się teraz swoją rodziną, rozdartą pomiędzy dwa obozy; jej serce przestało się wahać, biło tylko dla Francji. Polityka zawładnęła szkołą Robinel. Mercadier wzruszał ramionami. Wszyscy ci zaci ludzie tracili głowę miotając się wśród gazet, poglądów, mężów stanu. Jednak cieszyli się z upadku ministerstwa, ale różnie zapatrywali się na Poincarego. Rok 1912 rodził się w wirze problemów. Podczas posiłków przy ulicy Ampere mówiono wyłącznie o trzyletniej służbie wojskowej i o tragicznych bandytach. Jeżeli ma być wojna, trzeba się przygotować. Tylko socjaliści byli przeciw trzyletniej służbie. Przy ulicy Ampere nie było socjalistów. Jak można być socjalistą, gdy się widzi, dokąd te wszystkie matactwa prowodyrów pchają robotników! Banda Bonnota stała się główną obsesją szkoły. Sprawiała, że zapomniano tam o wojnie. Trudno bać się dwu rzeczy równocześnie.

## VII

Zapewne stan Sary był przyczyną, że wikt się pogorszył, ale to pogorszył, co się zowie. Kawa... istne błoto, mięso... myślałby kto, że to kawior, z takim podawano je nabożeństwem, a jarzyny wciąż te same: fasola,

kartofle, szpinak... Szpinak po prostu nie do jedzenia, bez masła, wodnisty. Wino wymierzane jak lekarstwo, i jakie wino! Jakim cudem po tak chudym obiedzie zostawały jeszcze resztki to rzecz niepojęta. Ale resztki zostawały i z nich gotowano, na odmianę, potrawkę. Piotr Mercadier nie mógł już patrzeć na te potrawki; przypominały mu jego niedawną nędzę, co *nie* było żadną pociechą.

Oczywiście robiono również oszczędności na opale, a w domu wiele *rzeczy* wymagało naprawy. Służąca narzekała na piętra... te moje nogi... zdałby się ktoś do pomocy. Wiadomo, ci ludzie nigdy nie są zadowoleni. Inna sprawa, że na ogrzewanie szemrali wszyscy mieszkańcy domu. Pokój Piotra w ogóle nie miał pieca, więc w zimie Mercadier mógł tam wytrzymać tylko leżąc w łóżku, opatulony, pod paltem narzuconym na koce. Było to uciążliwe, gdyby chciał czytać w łóżku, przy lampce, która wisiała na środku pokoju i miała żarówkę węglową, dającą słabe światło, pani Meyer utrzymywała bowiem, że żarówki metalowe są wynalazkiem spółki, która chciała, aby ludzie wydawali więcej pieniędzy.

Najgorsze jednak było schodzenie o dwa piętra niżej do ubikacji... Nie wiadomo doprawdy, co sobie myślą architekci... Gdy człowiek się starzeje, wnętrzności jego leniwieją i te sprawy dają mu się we znaki. Gdybyż jeszcze pożywienie było odpowiednio dobrane! Należałoby jadać owoce, nie tylko suszone figi... Sprawy szkolne również rozwijały się niezbyt świetnie, Piotr zdawał sobie z tego sprawę; po wakacjach liczba uczniów zmalała o dziesięciu. Robinel twierdził, że te wszystkie sporty wyrządzają szkodę naukom humanistycznym, rodzice nie pchają dzieci ku studiom, wolą mieć synów głupich, ale z mocnymi bicepsami. Czas nauk humanistycznych minął, nadchodzi epoka kierowców samochodowych. Nie mówiąc już o tym, że cały ten krzykliwy patriotyzm manifestowany na ulicach, te capstrzyki wojskowe, parady rozwijają u młodzieży zamiłowanie raczej do gimnastyki niż łaciny. Co do utyskiwania na ciężkie czasy, Mercadier był do tego przyzwyczajony; jak świat światem, ludzie zawsze narzekali na chwilę obecną i wzdychali za przeszłością, choć młodzież nie była chyba głupsza niż dawniej; uczniowie zostali uczniami, tyle że było ich mniej. Czasy nie były gorsze, lecz przyszło to podle lenistwo moich jelit.

Jeżeli chodzi o pożywienie, doprawdy pozwalano sobie za wiele. Wytworzyło to nawet bardziej ludzkie stosunki między korepetytorami a Piotrem. Mieli wreszcie coś wspólnego z sobą, jakiś temat do rozmów. Czy Meyerowie zdawali sobie z tego sprawę? Ostatecznie, oni też jedli te świństwa. Co prawda, dla Sary, pod pretekstem, że jest w ciąży, gotowało się osobno, więcej jaj, więcej masła i mleka...

Zabiła sobie teraz nowego ćwieka w głowę i od czasu do czasu sama rozmawiała na ten temat z Piotrem Mercadier lub skłaniała do tego teściową i męża. Czyż on nie wejrzał w siebie we wrześniu, gdy groziła nam wojna? Czy nie pomyślał o swoich bliskich? Miał syna, który w razie czego poszedłby do wojska i który sam już miał dziecko, chłopczyka

liczącego obecnie cztery lata. Sara otrzymała pośrednio informacje, które rozczuliły ją; dziecko, które w sobie nosiła, kazało jej dręczyć Piotra Mercadier jego opuszczoną rodziną. Wszystko to były dawne sprawy... Czy Mercadier nie ma ochoty zobaczyć małego?

Piotr nienawidził tych rozmów... Ale stawały się one manią tej kobiety, ogromnej teraz — na pewno urodzi bliźnięta. Nikt nie wątpił, że Meyer ma kłopoty; przy stole, gdy się do niego zwracano, robił wrażenie człowieka nieprzytomnego. Żart Piotra na temat bliźniąt wcale nie sprawił mu uciechy. Jasne było, że stawał się skąpy. Unikał rozmów ze swym starym przyjacielem, który stale napomykał o swoich jelitach, o zepsutych piecach.

— Dlaczego, drogi mój Mercadier, nie chce się pan zobaczyć z rodziną? Nie, proszę mi nie przerywać, wszyscy tu pana kochają i oczywiście chcielibyśmy mieć tu pana zawsze... ale lata mijają, brak panu wygod... nie będzie pan mógł wiecznie pracować...

Te małe zdanka budziły w sercu Piotra lęk o przyszłość; za nic w świecie nie chciał ugrzęznąć znowu między swoimi, ale w słowach tych czaiła się pogróżka, głucha, zamaskowana, może podświadoma. Stanowiły one również replikę na to, co chciał powiedzieć na temat odżywiania.

Gdy ciało nie funkcjonuje już zbyt sprawnie, człowiek budzi się z uczuciem, jakby w ogóle nie spał. Dręczą go wczorajsze mdłości, wczorajsza ocieężałość. Wszystko staje się trudne, nawet najlżejszy wysiłek. Bywały dni, kiedy wzniesienie ramion i zdjęcie czegoś z górnych półek szafy wywoływało w nim wielkie zmęczenie. Nogi mu ciężyły, po paru krokach musiał siadać. Osłabiły go środki rozwalniające i wszystkie związane z nimi kłopoty, a w dodatku dobre leki były kosztowne. W ciągu dnia zazwyczaj to złe samopoczucie słabło, tak że przed obiadem miał się najlepiej. Ranki jednak zawsze były okropne.

Pewnego dnia, po dłuższej rozmowie o tych sprawach, a także o tym, jak ich traktują przy stole, przeprowadzonej z panem Souverain, najinteligentniejszym z korepetytorów, Piotr, podrażniony jeszcze przez Sarę, która znów zagadnęła go o wnuka, zdobył się na odwagę, aby wygarnąć Meyerowi, co o tym wszystkim myśli. Trzeba było dopiero zupełnego rozstroju żołądka, aby się na to zdecydować, inaczej bowiem byłby raczej pomyślał, że przecież tylko czekają na jakiś pretekst, aby się go pozbyć i oszczędzić na wydatkach. Chociaż długo musieliby szukać kogoś, kto podjąłby się całej tej harówki, jaką spychano na niego! Ku jego wielkiemu zdziwieniu Meyer przyjął to dosyć łagodnie:

— Mercadier, mój stary, jesteśmy i przyjaciółmi, i współpracownikami... tak, tak, pan dobrze o tym wie... Czy sądzi pan, że zapomniałem, co pan niegdyś dla mnie zrobił? Przede wszystkim jesteśmy przyjaciółmi... Założyliśmy tę szkołę... z Robinelem... bo ostatecznie pomysł był Robinela... z najpiękniejszymi złudzeniami... może ze zbyt pięknymi... ale w pewnym określonym duchu... sam pan wie najlepiej... Dom ten jest wspólnym domem tych, którzy tu pracują... to znaczy profesorów... nikt tu

nie jest szefem... Przypadek tylko sprawił, że ja dałem pieniądze, pieniądze Sary... To samo mógłby równie dobrze zrobić pan albo Robinel, albo Souverain czy ktokolwiek... Pieniądze były potrzebne, więc wzięto je stamtąd, gdzie były... Nie żałuję tego... Jednakże jest to zabezpieczenie moich dzieci, a teraz przybędzie jeszcze jedno... Wiem, że pan zapatruje się na pewne sprawy inaczej jak ja — ojcowskie poczucie odpowiedzialności... ale ostatecznie nie jest się panem swoich uczuć... Wie pan, jak wielkie mamy tutaj trudności... Wie pan... to zmniejszenie się liczby uczniów po wakacjach... koszty utrzymania rosną, i to zawrotnie... Pan nie zdaje sobie z tego sprawy, bo nie załatwia pan zakupów... ale to przerażające... człowiek zastanawia się, dokąd zmierzamy... Rozumiem, że przy wszystkich ofiarach, jakie musimy ponosić na rzecz obrony narodowej... ale w końcu miewam czasem wątpliwości...

— Meyer, przyrządzasz mi pan tę obronę narodową ze szczawiem... a zupa jest zupą...

— Chciałem, aby mnie pan dobrze rozumiał; w tych ciężkich czasach potrzebujemy przyjaciół, wszystkich przyjaciół... Prawdziwym szefem tutaj nie jestem ja; musiałem się zadłużyć u kuzyna, ojca Andrzeja Bellemine... Właściwie dla niego pracuję ja, a także i wy... Położenie jest bardzo drażliwe, bo ostatecznie pieniądze Sary, których użyłem, aby puścić budę w ruch... właściwie zawdzięczamy kuzynowi Levy, prawda? Jak panu wiadomo, dzięki niemu, przy jego pomocy, rodzice mojej żony zrobili majątek... Wytworzyła się taka sytuacja... brat Sary, wie pan, w Niemczech, stoi oczywiście po stronie swojego kraju... przy obecnych tarcjach międzynarodowych, czy ja wiem, musiał sobie wbić do głowy, że złoży dowód patriotyzmu, jeżeli nie będzie płacić tego, co winien jest krewnym, którzy są Francuzami. Toteż mnożą trudności... oczywiście to ich sprawa i ja w tym wszystkim jestem po stronie Levych, oczywiście, po stronie Francuzów... ale kuzyn Levy jest w ciężkim położeniu... a tamten znów jest bratem Sary... a więc od strony moralnej... Gdyśmy w tym roku przejrzeni umowę z nim, kuzyn Levy musiał się okazać wobec nas dość surowy w sprawie spłat... Ten człowiek jest nieufny, to zrozumiałe... W dodatku wzrosły czynsze... Powiedziałem mu to, wie pan... Podnosić mi równocześnie komorne i procent od pieniędzy... zresztą komorne to sprawa nie z nim, lecz z Kahnami... właśnie z Kahnami... Doprawdy, Mercadier, ja już nie sypiam po nocach — jak związać koniec z końcem? Życie tyle kosztuje... A w dodatku czwarte dziecko...

— W tych warunkach, nie mogę pana pojąć; nie jest pan młodzikim, wie pan, co pan robi...

— Może ma pan rację... ale te maleństwa są takie miłe... Czasem zastanawiam się... czy nie sądzi pan, że pewnego dnia zmuszony będę zamknąć szkołę? Co stanie się z nami wszystkimi? I z pieniędzmi moich dzieci, które w to włożyłem?

Córka urodziła się w marcu.

— Czy widok ten nie budzi w panu żadnych uczuć?— rzekła do Piotra

babka pokazując mu ten szkaradny i nieszczęsny tłumoczek, którym entuzjasmowała się cała rodzina.

Trzeba było się zdobyć na uprzejmość.

— Proszę mi wybaczyć — mruknął — czekają tam na mnie. — Gdy wyszedł z pokoju, starsza dama zamyśliła się trochę.

— Zastanawiam się — rzekła do córki — u jakich to ludzi bywa pan Mercadier... Każdego popołudnia ma taką minę, jakby szedł z wizytą... Ale nigdy nie spóźnia się na obiad... Nigdy nie jada obiadów poza domem... Jak myślisz, Saro? Czy on ma kogoś?

Sara nic o tym nie myślała, opętana była dzieckiem, tą dziwną myślą, że raz jeszcze dała życie...

## VIII

Codziennie — z wyjątkiem niedziel i czwartków — gdy drzwi się otwierały i ukazywał się człowiek w surducie, wiedziano, że jest wpół do piątej, punktualnie co do minuty. Trwało to już od lat. Człowiek w surducie wchodził, zdejmował cylinder, zawsze się przez chwilę wahał, gdzie go położyć, po czym niezmiennie umieszczał go na wieszaku po prawej stronie, podnosił czarne poły surduta i lekko sapał. Siadał przy stoliku w kącie, marszczył starą skórę dookoła oczu, przeciągał po żółkłych od tytoniu wąsach stwardniałe opuszki swoich krótkich, opuchniętych palców, po czym cicho zamawiał jedno piwo; kłaniał się ceremonialnie szefowej, która wstawiała od kontuaru, aby z nim chwilę porozmawiać. Byli w jednym wieku, każde z nich długo nosiło liberię swego zawodu; jego surdut, sztywny kołnierzyk, biały krawat i kamaszki z gumą były odpowiednikiem jej przypinanych loczków, szminki, obecnie równomiernie rozłożonej na mocno pomarszczonych policzkach, i czarnych koronek stanika, spod których przebijał kolorowy spód i brzeg białej koszuli.

O wpół do piątej w „Jaskółkach” klientów było niewiele, więc damy ziewały, przeglądały ilustracje lub szyły jakieś drobiazgi. Weszło już tu w zwyczaj, aby nie rzucać się w pośpiechu ku człowiekowi w surducie. Naprzód chce sobie porozmawiać z szefową. Trwało to kilka minut. Potem uśmiechał się do nich, więc podchodziły do niego. Było ich sześć: Zuzanna, Lulu, Mado, Hermina, Andrea i Paula. Wszystkie raczej tęgie, z wyjątkiem tej tyczki Herminy. Nosiły kolorowe koszule i czarne pończochy. Piersi im się chybotwały... oczywiście i tu wyjątkiem była Hermina, nosząca różowy staniczek, byle się wyróżniać. Lokal, cały ze skośnie rżniętych luster, z których jedno, w głębi, było pęknięte — sprawka pijanego klienta — i ozdobione glicyniami maskującymi uszkodzenie, na lewo łączył się z czerwonym salonem; wiodły tam drzwi obite wyblakłym zielonożółtym pluszem. Czerwony salon był miejscem sortowania klientów w drodze do pokojów. Rozlegały się tam czasem śpiewy i śmiechy, ale później, już przy świetle. Latem jak zimą lampy

zapalano około pół do szóstej, szóstej.

W porze gdy wchodził człowiek w surducie, rzadko kiedy pętał się tam jakiś klient, najczęściej gość w kaszkiecie. Dostawca wody mineralnej, posłaniec. „Jaskółki” nie były lokalem droższym od innych, a w każdym razie niewiele. Panował tu jakiś prowincjonalny spokój; o ile pozytywka nie grała *Maleńkiej brunetki o czarnych oczach*, nikt by nie powiedział, że do placu Republiki jest parę kroków zaledwie.

Jednakże człowiek w surducie wysiadał z metra. Ktoś go raz widział. Przeszedł szybko plac, otarł się niemal o autobus i błyskawicznie skręcił w uliczkę równoległą do bulwaru. Na progu odwracał się, jakby w obawie, że go śledzą.

Tak było od lat, a jednak serce zawsze mu biło. A przecież niewiele złego mógł już popełnić! Trzy, cztery razy w roku zachodził na piętro. Nie musiał być zamożny. A przy tym...

Pani Tavernier, właścicielka, ogromnie ceniła tego klienta za rozmowy, jakie z sobą prowadzili. Człowiek dobrze wychowany, wykształcony, chociaż trudno odgadnąć, z jakiej sfery pochodzi i czym się zajmuje. Na człowieka światowego był zbyt uprzejmy; może adwokat, mówi czasem po łacinie. Mieszka chyba gdzieś w okolicy Batignolles; kiedyś się z tym wygadał. Ale przecież nikt z niego nie będzie zwierzeń wydobywać siłą.

Gdy patrzył na kobiety, widziało się, że nie ma tych lat, na jakie wygląda. Dawano mu przeszło sześćdziesiąt. Mówiąc grzecznie, był niewysoki. Obrzękła twarz, obwisłe policzki. Cera niezdrowa. Gęste brwi. Wąsy sterczące jak u kota. Czarny jeszcze kosmyk włosów zaczesywał na zupełnie prawie łysą czaszkę. Nie był właściwie gruby, ale garbił się i czuło się, że ciężko mu poruszać się na krótkich nogach. Ponieważ był jeszcze dość szybki w ruchach, nie widziało się, aby był źle zbudowany. A może zresztą nie był źle zbudowany. Nie to było w nim najważniejsze. Lecz wielki smutek, który nie opuszczał go, nawet gdy się śmiał. Baraszkuje z kelnerkami, robił to zawsze ukradkiem i jakby przeprasząc, choć doprawdy nie było za co. Głos miał dość niski i wibrujący. Mógł pochodzić z Turenii. Z kieszonki w kamizelce zwisał srebrny łańcuszek z grubym jak cebula zegarkiem na końcu; wyjmował go nieodmiennie, gdy zbliżała się godzina szósta. O szóstej piętnaście wstawał od stolika. Punktualnie. Pusty kufel, z odrobiną piany u brzegu, stał jeszcze chwilę na marmurowym blacie. Potem wchodził inny klient, odsuwał kufel, a wraz z nim pamięć o człowieku w surducie. Światła zaczynały grać na ukośnie szlifowanych krawędziach luster. Pozytywka, wyczerpawszy swoje zasoby, szeleściła jak zwijany papier, a potem znów odgrywała romancę.

Mado pierwsza zaczęła go nazywać panem Piotrem, bo tak miał na imię jej wujek, i to już do niego przyłgnęło. Trudno go było pytać, jak się nazywa, mogłoby to wyglądać na niedelikatność, prawda? A więc niech będzie pan Piotr.

Rozmowa z panem Piotrem miała w sobie coś melancholijnego i to właśnie podobało się pani Tavernier. Ona także nie miała w życiu tego, co powinna



była mieć. Choć ostatecznie lepiej skończyć tak niż pod kościołem albo w szpitalu. Opowiadał jej o swojej młodości, ale jak się jej zdawało, nie przeżył nic wielkiego ani w młodych latach, ani później. Ale jeśli chodziło o późniejsze czasy, to znaczy po trzydziestce, stawał się powściągliwy. Tak jak na temat wszystkiego, co działo się poza godziną i trzema kwadransami spędzanymi w „Jaskółkach”.

Natomiast pani Tavernier opowiadała mu o całym swoim życiu. Przynajmniej z grubsza. Oczywiście, trochę zmyślała — trzeba umieć przedstawiać te rzeczy. Zresztą pan Piotr i tak poznał jej dzieje, opowiadała mu je przecież co dzień przez te parę lat. On ograniczał się raczej do ogólników. Ale te ogólniki były dziwaczne, wypowiadał je inaczej niż inni ludzie. Na przykład, gdy ktoś mówi: „Bo ja lubię brunetki”, albo: „Najgorsza sprawa to dzieci, wywracają życie do góry nogami” — to gada, aby gadać, trzepie językiem, niczym jakąś grzecznościową formułę. Dziwne było u człowieka w surducie, że każde słowo jakby przemocą wydzierano się z głębi jego istoty, niby echo ciężkiego doświadczenia albo ściśle określonego faktu. Toteż nie chodziło o to, że nie wypada wypytywać klientów: jego nie można było wypytywać z obawy, aby nie dotknąć czegoś bardzo intymnego i bolesnego. Należało czekać, aż to samo przyjdzie. Nawiązywał do jakiegokolwiek zdania swojej rozmówczyni. Nigdy nie było tego wiele. Potem pani Tavernier odtwarzała sobie jego słowa. Ale w jej pamięci, pozbawione akcentu, z jakim on je wypowiadał, były to *rzeczy* bardzo zwyczajne, jak na przykład sny. A tymczasem pani Tavernier wolałaby dokładniej poznać pana Piotra. Chętnie poczęstowałaby go małym koniakiem. Ale nie śmiała.

„Jaskółki” miały innych jeszcze stałych bywalców. Niektórzy byli również eleganckimi panami. W pewnym wieku. Ale nie było to to samo. Ich słabość miała swoje uzasadnienie. Przychodzili, bo... rozumiecie. W wypadku pana Piotra nie o to chodziło. I poza tym ten jego wytworny smutek. Panią Tavernier długo korciło pewne pytanie. Krążyła wokół niego. Formułowała je sobie codziennie około trzeciej czterdzieści pięć, czwartej. Było to jednak bardzo trudne do wypowiedzenia, nie mogła się na to zdobyć. „Panie Piotrze, a jak się to zaczęło?” Lub: „Czemu zawdzięczamy, że się pan tak do nas przyzwyczaił?” Albo: „Zanim się pan tu zjawił, panie Piotrze... chodził pan chyba do jakiejś innej budy?” Dobrze wiedziała, że nie, powiedział jej to, ale słowa te odkręciły kurek i naprowadziły na to, co żenowało w nim panią Tavernier. Czyż na początku nie myślała, że przychodzi dla niej? Po dwu, trzech latach nie było w tym już ani za grosz prawdopodobieństwa.

Z panem Piotrem tylko cierpliwością można było coś zdziałać. Pewnego dnia sam poruszył tę sprawę. O czym to mówili? Mniejsza o to!

— Wie pani, pani Tavernier — rzekł — sam czasem dziwię się, że tak się przyzwyczaiłem tu przychodzić! Dziwię się, dosłownie. Niech pani nie uważa tego za hipokryzję. To nie ma z hipokryzją nic wspólnego... Ale dziwię się, proszę mi wierzyć, dziwię się, bo ja znałem siebie dawnego.

Niech pani zauważy, że na pozór moja codzienna bytność tutaj nie ma w sobie nic tak znowu dziwnego. A tymczasem właśnie, że tak. Jest w tym coś bardzo dziwnego. Nie dla pani oczywiście, ale dla mnie.

Pani Tavernier miała ochotę zauważyć, że owszem, ona również uważała to za dziwaczne. Ale nie odważyła się i w tym dniu na tym rozmowę zakończyli. Po pewnym czasie on, jak to często czynił, podjął temat w tym samym miejscu, w jakim go przerwał.

— Zastanawiam się, co taki młody człowiek, jakim ja byłem, myślałby o mnie, gdyby mnie tutaj spotkał... Pytanie idiotyczne, droga pani Tavernier, ale nie daje mi spokoju. Tak, młodzi ludzie nie mogą zrozumieć pewnych spraw. Widzi pani, dopóki człowiek nie uczuje, że pęd, który niósł go dotąd, nie poniesie go dalej... choćby się nawet nie miało na myśli nic konkretnego... — Zadumał się, potem podniósł w górę środkowy palec, na którego paznokciu było duże i głębokie wklęsnięcie, i rzekł z pewną emfazą: — *Grande mortalis aevi spatium!* (spora część ludzkiego życia).

Dopiero w kilka miesięcy powiedział na ten temat coś wyraźniejszego.

ix

Juliusz Tavernier przewiesił marynarkę przez małe krzeselko w stylu Ludwika XV i rozpiął kamizelkę. Deszcz mocno trzepał o drewniane okiennice. Gazowy kominek źle działał, krztusił się jak gruźlik.

— To dlatego, że do rur dostała się woda — zauważyła pani Tavernier, która zdjęła spódnicę i brzoskwiniową halkę i siedząc na żółtym pufie, w rozsznurowanym gorsecie, rozpiniała wysokie buciki.

Sypialnia właścicieli zakładu, obita tapetą w różane wianuszki, różniła się od innych pokoi w „Jaskółkach” jedynie tym, że zagracona była bibelotami, a meble dobrane były dość dziwacznie. W głębi stał zdekompletowany złocony garnitur salonowy, pomieszany z kompletem z czarnego drzewa i wyściełanymi krzesłami w kolorze *souoi*, które służyły pani Tavernier już przed dwudziestu pięciu laty, gdy nazywała się Dora d'Annecy; stojący na kominku zegar wieńczyła brązowa figura czytającej kobiety, bardzo skromnie wydekoltowanej i mającej po bokach dwa świeczniki trzymane przez dwóch spiżowych paziów, z których każdy miał na ramieniu sokoła.

Juliusz Tavernier trzema palcami przyglądał swoje czarne wąsy, które kontrastowały z jego siwymi włosami. Był krzepkim jeszcze mężczyzną i nie trzymałby się tej starej rajfurki, gdyby to nie ona była wyłączną właścicielką koncesji. Ona, szelma, dobrze o tym wiedziała i, sznurując wąskie usta, patrzyła na niego jak na swoją własność. Westchnął i zdjął z małżeńskiego łóża pluszową kape.

Dora nie była już ponętna: te piersi doszczętnie wysuszone, ale wciąż jeszcze duże i spłaszczone, dziwaczny brzuch, nie mówiąc już o pośladkach! Stara szkapa, co tu gadać! Ma się rozumieć, że Tavernier nie odmawiał sobie gonienia za spódnicami. Poza budą, oczywiście, trzeba trzymać fason. A przy tym nie wysilał się na uprzejmości wobec szefowej,

bo wtedy... Ale obowiązkiem jego było co noc z uderzeniem drugiej godziny wrócić i cackać się z tym starym babskiem, źle obmytym ze szminki, prawie łysym, obok odłożonych na stoliku fałszywych loków i zębów w szklance o startym, czerwonym brzegu. Trudno, człowiek zarabia na życie, jak może. Nie był już w wieku, kiedy każe się na siebie pracować smarkulom. Ale dość miał jeszcze siły, aby sprawić cięgi awanturującym się klientom.

Dora wydobywała stare, zmęczone nogi z czarnych pończoch. Podniosła głowę oceniając mięśnie swego partnera. Widziała, że Juliusz zeszedł już trochę na psy, ale jej to jeszcze wystarczało; widziała już zbyt wiele takich właścielek zakładów jak ona, które sprzęgały się z młodymi zuchami, a potem wszystko zawsze źle się kończyło, młodzieńcy ulatniali się z pieniędzmi albo robili kawały z pensjonariuszkami.

— Zakręć gaz, Juliuszu — rzekła — denerwuje mnie tym swoim kaszlem. Do dziś jeszcze nie przysłali skrzyń z szampanem, czy mam ci powtarzać, że powinienes reklamować?

— Zareklamuje się, nie jęcz tak ciągle. Lepiej byś miała oko na Herminę. Panienska zawsze oszukuje na rachunku albo ja jestem ślepy!

— Hermina? Możliwe. Ta tyczka kłamie jak najęta, aż dziw bierze... Ale dlaczego to mówisz? Zauważyłeś coś?

— Miała trzech klientów, a ile ci dała?

— W porządku. Policzę jej drożej za ten peniuar, na który ma taką chrapkę, ten liliowy z riuszkami... Zamknij ten gaz, mówię ci, bo to istny koklusz o tej porze...

W powietrzu czuć było trochę stęchlizną, jak zawsze, i Juliusz spojrzał w stronę okna. Ale przy takiej ulewie wilgoć zaszkodziłaby mu tylko na jego dolegliwości. Od czasu do czasu łupało go w nodze. Zamknął gaz. Dwie lampy elektryczne w świeczniku o zielonych orchideach wydały się nagle ciemniejsze i smutniejsze. Trzecia, która się *nie* świeciła, wyglądała, jakby się nad czymś zamyśliła.

— Zastanawiam się — rzekła pani Tavernier — kim właściwie jest ten pan Piotr?

Mówiła do siebie, stawiając buciki przy łóżku. Została tak pochylona i biała koszula, na wpół wydobyta z majtek, opadających do kolan, tworzyła garb, któremu Juliusz bezmyślnie się przyglądał. Powtórzyła: „Zastanawiam się”... a Juliusz zdjął kamizelkę, rozpiął koszulę w białe i niebieskie paski, pod którą miał beżową trykotową koszulkę, i nagle wybuchnął:

— Daj mi spokój z panem Piotrem, mam go już po dziurki w nosie! Co ci się stało, że wciąż mnie nim piłujesz?

Dora, półnaga, niezwykle obrzydliwa, podobna do tych wygodnych walizek, do których wrzuca się, co się chce, i które rozciągają się w miarę, jak się je wypełnia, wstrząsnęła się od zimna i wyciągnęła spod poduszki zmiętą płócienną koszulę.

— Lubię, gdy jesteś zazdrosny — rzekła — do twarzy ci z tym!

Gdy mościła się w łóżku, Juliusz coś mrucał. Zazdrosny. Na pewno nie o tego starego piernika w surducie. To mu nie szkodziło, drażniła go tylko regularność, z jaką szefowa co wieczór, stawiając buciki przy łóżku, rozwodziła się nad tym klientem z szynku, nad jego manierami, jego darem rozmowy. Przede wszystkim nie widział w nim nic nadzwyczajnego. Golec, który chętnie by kazał sobie przysyłać ładne smarkule, ale musi się ograniczać, bo nie ma pieniędzy. Nie dzięki takim typom interes idzie czasem na całego. Na pewno nie. Więc daj mi już spokój z tym...

— Nie nudź mnie już tym swoim starym piernikiem!

Piernik! Dorę aż zatkało. Bo prawdę powiedziawszy tak trochę wyglądał! Piernik! A jednak to bardzo elegancki klient.

— Złóścisz się, bo pan Piotr jest grzeczny wobec mnie... Tysiąc razy wolisz takich jak ten typ, co to niedawno musiałam posyłać po ciebie...

— Dobrze, dobrze — zakończył Juliusz. — Wiesz, gdzie mam twójego wielbiciela...

Aby nie było wątpliwości, wyjaśnił to gestem. Rozpiął szelki i spuścił spodnie. Pani Tavernier moszcząc się wśród poduszek rzekła po namyśle;

— Wiem, wiem, jaki z ciebie świntuch!

Juliusz drzemał już, gdy Dora obróciła się ku niemu pod kołdrą. Na pewno snuła dalej myśli, jak gdyby Juliusz jej odpowiedział.

— A jednak mów sobie, co chcesz — mruknęła — ale on nie jest podobny do innych ludzi... widzę, że nie czuje się szczęśliwy... On zresztą nie zaprzecza... Otóż dziś wieczór powiedziałam mu... Rozmawialiśmy jak zawsze... Powiedziałam mu: „Panie Piotrze...”

— Aha, to jeszcze jeden z tych kombinatorów — chrząknął Juliusz chowając się pod pierzynę. Ale Dora zignorowała go. Ciągnęła dalej:

— Powiedziałam mu tak: „Panie Piotrze... panie Piotrze, czy nigdy nie przychodzi panu na myśl, aby się ożenić? Może czułby się pan szczęśliwszy...” Czego się śmiejesz? To, że człowiek prowadzi budę, nie znaczy, że wyprany jest z ludzkich uczuć, no nie? „Byłby pan może szczęśliwy, mając swoją kobietkę, swój dom...”

— A co on ci na to odpowiedział?

— A widzisz, obchodzi cię to! Ano właśnie... Co do odpowiedzi, ten cały pan Piotr wił się jak piskorz. Jak skończysz się śmiać, to mi powiedz...

— Ja przecież także mam prawo...

— Jesteś idiota! Sam nie wiesz, z czego się śmiejesz. Ale on wie. Śmiał się bez końca. Łzy miał w oczach. Zdołał tylko wykrztusić: „Wspaniała jest ta pani Tavernier, wspaniała!” Mnie się to wydało raczej... A tobie? Człowiek tak opanowany! Czasem, gdy powiem przy nim jakieś śmielsze słówko, zaraz milknie; wstyd mi... A on pękał ze śmiechu, pękał... Juliusz, ty śpisz? Bo jeżeli śpisz, to powiedz... Nie będę się wysilać, aby cię zabawiać...

Na drugi dzień Dora zaproponowała panu Piotrowi aperitif. Odmówił.

— No — powiedziała — dziś moja kolejka.

Popęłniła błąd.

— Trudno, pani Tavernier — westchnął pan Piotr — niektórzy z wiekiem

stają się alkoholikami. Rozumiem ich, ale ja mam chorą wątrobę... człowiek pozwala sobie na to, co mu nie szkodzi, na co pozwala mu jego cielsko. Ono zaś jest jak pałac, który zapada się stopniowo...

— Co proszę?

— Widzi pani, znam na przykład ludzi w moim wieku, którzy jeżdżą na rowerze. W niedzielę. Przez cały tydzień o tym marzą. Ja mógłbym jeździć na rowerze. Ale mam żylaki. Tak, droga pani, przykro mi, że panią rozczarowuję... Ale przecież nie pokazuję pani moich łydek. Żylaki. Może to również sprawa wątroby... A może zawinił tu mój zawód, który wymaga, aby stać całymi godzinami...

Pani Tavernier zadała sobie pytanie, czy to może adwokaci muszą długo stać wykonując swój zawód. Nie wiadomo, co właściwie robi taki adwokat. A w dodatku może pan Piotr wcale nie jest adwokatem. On mówił dalej:

— A przy tym cierpię na przepuklinę. Tak. Na przepuklinę w lewej pachwinie, co zmusza mnie do noszenia bandaża. Nie jest to znowu tak przykre. Można się przyzwycząć. Ale ostatecznie zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że w razie zaniedbania przepuklina uwięźnie. Miałem kolegę, który umarł na to... Nigdy nie zapomnę smrodu w jego pokoju.

W drzwiach w głębi ukazał się Juliusz Tavernier. Był w meloniku, ubrany do wyjścia. Dora, pochylona nad marmurowym stolikiem, z wyciągniętymi rękami i splecionymi dłońmi, odruchowo odsunęła się nieco od pana Piotra.

Juliusz zlekceważył klienta i zbliżył się do szefowej. Miejscowe damy spojrzały w ich stronę ze zdziwieniem; tego jeszcze nie było! Juliusz powiedział z ważną miną:

— Wychodzę. Będę w „Bar-Y-Ton” z panem Morero. Juliusz nie miał zwyczaju opowiadać się, gdzie wychodzi i z kim ma się spotkać. Ale Morero był właścicielem „Glicynii” na ulicy Papillon. Nie byle kto. Dla takiego marnego burdelnika zaszczytna to znajomość.

— Wróc na obiad — powiedziała pani Tavernier. — Zgotuję ci salsefię...

Odpowiedział coś wymijająco. W drugim kącie sali Andrea i Mado, siedząc przy jakimś marynarzu, porównywały swoje biusty i pan Piotr od niechcienia śledził przebieg tej sceny. Po wyjściu Juliusza nastąpiła cisza. Lulu, Hermina i Zuzanna rozmawiały wsparte łokciami o ładę. Inne pracowały. Pani Tavernier mówiła dalej z cicha, jakby nikt im nie był przeszkodził:

— Oczywiście, muszą być w różnej cenie, ale żeby mieć dobry bandaż, co porządnie trzyma, musi się słono zapłacić... Widziałam takie na bulwarze Sebastopolskim... Takie złocone posągi mają to u nich na sobie... Sklep z najrozmaitszymi medalami... To nagrody, jakie dostali na wystawach... W Nowym Jorku, czy ja wiem gdzie... właśnie za przepukliny...

Drażniący śmiech Mado przerwał rozważania pani Tavernier. Pan Piotr uraczył się niewielkim łykiem piwa. Potem wierzchem dłoni otarł pianę z wąsów. Odchylił się trochę w tył i mrugnął parę razy oczyma.

— Chodzi nie tylko o cenę, droga pani — rzekł jeszcze, ale nie rozwijał tej

myśli, bo w słowach Dory zastanowiło go coś, na co w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi. — To bardzo miło z pani strony, że patrzy pani na to pod tym kątem; oceniam to; chce pani, abym czuł się tutaj jak najlepiej. Proszę mnie dobrze zrozumieć; ale dzięki temu właśnie człowiek w moim wieku mimo wszystko czuje się w „Jaskółkach” jak u siebie. Tutaj moje drobne przypadłości traktuje się życzliwie. Nie robi się z nich kwestii. Weźmy taką Mado... gdy poszedłem z nią na górę... Nie spytała mnie: „Co tu masz?” Po pierwsze dlatego, że one wszystkie gwiżdżą na to. Tyle tych rzeczy widziały! I to, nie chwając się, znacznie bardziej odpychających... Mado powiedziała: „Pokaż, jak to skacze, kiedy kaszlesz”... I zaraz potem bardzo taktownie wyjaśniła mi, że miała klienta, był to student medycyny, młodego i ładnego chłopca, któremu przepuklina sięgała aż do moszny... Od razu poczułem się jak odmłodzony, a nawet moja przepuklina stała się czymś w rodzaju zabawy towarzyskiej... Gdzie znalazłbym tyle serca, co u tych dziewcząt, droga pani Tavernier, gdzie?

Dora nic nie odpowiedziała. Po tej jego wypowiedzi żałowała, że nie dodała, iż posagi na bulwarze Sebastopolskim były to wspaniałe typy, atleci. Jednocześnie spoglądała na Mado z dziwnie mieszanymi uczuciami. Minęło już dobre dwa miesiące od chwili, gdy pan Piotr poszedł z nią na górę, a jeszcze dziś to wspomina.

W dni następne pilnie szukała w dziennikach ogłoszeń firm reklamujących bandaż na przepuklinę. Było to jak jakiś kraj, o którym się nigdy nie myślało, kraj daleki, na przykład Honolulu; nagle dowiadujemy się, że siostrzeniec znajomej pani przebywa tam już trzy miesiące, i od razu Honolulu zaczyna nas osobiście interesować; patrzymy na mapę, gdzie to ono leży. Pewnego ranka pani Tavernier zapuściła się aż na bulwar Sebastopolski i przyjrzała się z wielkim zainteresowaniem *Apollinowi Belwederskiemu* i *Dyskobolowi*, ustrojonym w skórzane pasy. Dyskobol przypominał jej kochanka z roku, zdaje się, 1890, którego odwiedziła w Fresnes po jakiejś kłótni. Alfred, Alfred Renard, tak... Tylko że Alfred nie miał przepukliny. Ani żyłaków.

## X

Przechodziło się pod niskim i czarnym sklepieniem, skąd nigdy nie znikają paki na śmieci, w dzień schowane w kącie, a na noc lekko wysunięte, jakby umyślnie, żeby się na nich potknąć. Dość często wyłaziły z nich szczury, biegły na ulicę i znikwały w ściekach. Unosił się tam zapach starych mydlin pomieszany z wyziewami kuchennymi. Niekształtny dziedziniec tworzył dno ciemnej studni o nieregularnych ścianach, gdzie słońce w lecie nie schodziło poniżej trzeciego piętra. Na podwórzu wysunięta była oszklona budka z wzorzystymi firankami, ponad zlewem z zawsze ciekącą wodą, skąd wilgoć wyciekała między źle ułożone tafle kamienne. Była to łoża dozorczyńi spod numeru 9. „Jaskółki”, chociaż miały z numerem 9 wspólne wejście, mieściły się pod numerem 11. Widać było ich kuper sterczący na podwórzu i zwężający się koło łoży. Była to kuchnia, która

miała drzwi z tej strony, kuchnia z czarnymi płytami, stęchlizną tłuszczów i dymem. Między lożą a rotundą dochodziło się na tylne podwórko liczące trzy metry długości na trzy szerokości, gdzie było dwoje drzwi i jedno okno. Jedne drzwi wiodły do klatki schodowej numer 2 (do klatki schodowej numer 1 wchodziło się z sieni), drugie do mieszkania zajmowanego przez rodzinę Mere, której również dostarczało powietrza owo okno. Jeśli można to tak określić. Mieszkanie składało się z pokoju i sionki. Sionka była akurat tak duża, aby jej drzwi zewnętrzne i wewnętrzne zderzały się ze sobą, jeśli otwierano je równocześnie. Toteż drzwi od podwórka trzymano stale otwarte. W pokoju mieszkał Eugeniusz Mere, czeladnik szewski, ciemnowłosy olbrzym na króciutkich nogach, z oczyma jak główki od szpilki, jego żona Emilia, co to kiedyś była taka ładna, i pięcioro dzieci, ostatnie jeszcze przy piersi; istną łamigłówką było zagadnienie, jak pomieścić wszystkie te osoby naraz w pokoju, biorąc pod uwagę fakt, że nikt z mieszkańców nie umiał chodzić po suficie.

Umeblowanie składało się ze sprzętów ściśle niezbędnych: łóżko, gdzie sypiali rodzice z najmłodszym dzieckiem, rodzaj kanapy, niegdyś zielonej, mocno sterczącej do góry, na kształt wygiętego nawiasu kaligraficznego; brakującą nogę zastępował kawałek żelaznej sztaby znalezionej na ulicy, który Mere wcisnął w podłogę, gdzie nie brakło dziur. Spali tam chłopcy „na waleta”, kopiąc się wzajemnie w pośladki. Obie dziewczynki miały legowisko w czymś w rodzaju skrzyni wyłożonej materacem ze starych gazet, który był dziełem rąk Eugeniusza. Skrzynię na dzień odwracano, aby służyła za stół, przy czym siedzieć można było tylko na łóżku, na kapie, wyblakłej na skutek siusiania malców. I tak ledwie się tam można było obrócić. Toteż od samego rana Emilia i młodsze dzieci sadowiły się w sionce, gdzie można się było posłużyć czarnym wyplatany krzesłem, prawie nie uszkodzonym, albo na tylnym podwórku, gdzie robiło się ciasno, gdy tylko ktoś chciał dostać się na schody. Dwoje starszych, chłopiec i dziewczynka, ulatniali się z rana, aby na ulicy trochę się rozruszać. Ojciec wychodził do pracy lub szukać pracy. Sadza opadała z dachów, o ile dym, napędzony wiatrem, nie chwycił was za gardło. Na czarnych, spoconych ścianach dzieci wyryły gwoździem przeróżne tajemnicze rysunki, a także faliste, długie linie.

Z boku, między kuchnią „Jaskółek” a oknem, wznosił się mur wysoki na półtora piętra, a na nim krata jak w więzieniu. Mur oddzielał podwórko numeru 9—11 od podwórka numeru 13. Na tym murze wybryk fantazji: mniej więcej na wysokości człowieka głowa z brązu, faun z wytrzeszczonymi oczyma, z gałązkami winogron we włosach, z zielonawym pierścieniem w zębach. Podobno służyło to kiedyś do uwiązywania koni, ale gdzie, u licha, pakowano uwiązane konie w tej dziurze, zbyt małej, aby można się zabawić choćby w „klasy”.

Emilia już się nad tym nie zastanawiała. Czwooro z pięciorga jej dzieci urodziło się wśród tych ścian. Najstarsza miała osiem lat. Między następnym dzieckiem, Gastonem, który liczył obecnie siedem lat, a resztą

dzieciarni był pewien odstęp czasu, spowodowany służbą wojskową Eugeniusza. Ona to również sprawiła, że wtedy, kiedy było to jeszcze możliwe, nie wynieśli się z tej mysiej nory, gdzie dwoje młodych, niespełna dwudziestoletnich i bardzo zakochanych ludzi osiadło z dzieckiem, nie widząc właściwie nic poza sobą nawzajem i kpiąc sobie z sąsiedztwa burdelu, skąd dochodziły zapachy smażenia, a czasem piosenka.

Wieczorem można było zapalić gazową lampę. Ale tylko w okresach pomyślności stać ich było na palnik gazowy, którego płomień uciekał nagle w różnych kierunkach, dusił w gardle i grzał za mocno w lecie, ale w zimie mało dawał ciepła. Poza tym, ponieważ pracy często brakło, świecili lampę naftową albo, gdy zabrakło nafty, łójówkę, którą krajało się na kawałki, aby nie mieć pokusy spalenia całej. Lampa miała zielony spiralny rezerwuar i knot, z którym wciąż były jakieś kłopoty. Wtedy zdejmowało się szkiełko i szpilką do włosów... Na parapecie okiennym stała nieduża czarna kuchenka. Na niej odbywało się całe gotowanie i ona to zatruwała powietrze. Od wielkiego święta jadało się konserwy, wędliny. Ma się rozumieć — nie co dzień. Taki obiad na zimno był kosztowny. Na trzy łóżka były trzy pierzyny. Nic więcej. Bielizna od dawna służyła różnym innym celom. Rodzice mieli jeszcze różowy bawełniany koc, który od czasu do czasu prało się na podwórku przy wodociągu koło łoży mimo krzyków stróżki. O ile mieli mydło. Przez cały czas trwania tej operacji malcy kręcili się wśród mydlin, które tworzyły niebieskie strumyki, Emilia zaś wymyślała na starą, która w otwartym oknie swej łoży dostawała ataków i siniała z pasji, że reumatyzm nie pozwala jej się ruszać. Przez dziewięć dziesiątych roku miała reumatyzm. Wszędzie indziej zresztą wyrzuciliby na bruk ten stary, bezsilny grat, niechlujny i komediancki. Ale któż by się zgodził na sąsiedztwo „Jaskółek”? Ona tkwiła tu już trzydzieści pięć lat. Gdy się nie kłóciły, Emilia odwaliała za nią całą robotę, wszystkie schody. Nawet gdy była w ciąży. Trzeba sobie pomagać i nie ma o czym mówić.

Stróżka to też był okaz: ani wysoka, ani niska, raczej gruba, ale jakby ją wzdeło. Te zupełnie zniekształcone bólami ręce, ciężkie, obrzmiałe nogi pokryte ranami, co otwierały się i zamykały od samego patrzenia... Opowiadała, że za młodu handlowała na targu. Sprzedawała towary drobne, pod parasolem, a rzeźnicy, handlarze ryb morskich i ślimaków umizgali się do niej. Tam poznała swego nieboszczyka, którego portret wisiał w stróżówce, tak zadymiony, że widać już było tylko wąsy, ale za to jakie wąsy! Opowiadała Emilii różne zdarzenia z tych odległych czasów: „Kiedy handlowałam...” Był to czas wielkiej przygody. Ludzie byli nie tacy jak dziś i gdyby jej ktoś wtedy powiedział, że skończy tak oto w tej norze, z takimi kulasami, w smrodzie, ze szcurami i z tą przeklętą rodziną Mere na karku...

— No, no — mówiła Emilia — nie jest pani znowu tak źle z tymi Mere, żeby już tylko wspomnieć o zamiataniu schodów... no nie, pani Buzelin?



Wówczas pani Buzelin krzyczała spomiędzy szczerbatych zębów, że gdyby istniał na niebie Bóg i Matka Boska, i jakaś sprawiedliwość na dodatek, i gdyby jeszcze nie te nogi, nie musiałyby dzisiaj, ona, co przecież kiedyś była kupcową, słuchać obelg od jakiejś tam pani Mere, dlatego tylko, że ta czasem w jakimś drobiazgu ją wyręczy. A w ogóle, co warta jest młoda kobieta, która znosi takie sąsiedztwo? Przecież to hańba! Tego już było Emilii za dużo; teraz ona zaczynała wrzeszczeć, że pani Buzelin zawsze się jej czepia, a przecież dobrze wie, że gdyby mogli płacić odpowiedni czynsz, od dawna by się stąd wynieśli, a siedzą tylko dlatego, że właściciel jest wyrozumiały, z racji tej budy, i wie, że jeżeli oni się wyprowadzą, trudno mu będzie znaleźć takich naiwnych i bez grosza, co by tu chcieli mieszkać.

Z góry, przez okno, na którym usychała doniczka bez kwiatów, spadł na dwie kobiety jakiś głos:

— Stulcie pyski tam na dole!

To pan Candron albo pan Dumesnil. Pan Candron pracował w metalu; pan Dumesnil wraz z żoną i córką wyrabiał paciorki do wieńców pogrzebowych. Obaj ludzie już nie pierwszej młodości, ze słabymi oczyma, obraźliwego usposobienia, z sercami zranionymi sąsiedztwem „Jaskółek”.

Emilia Mere lubiła w gruncie rzeczy, gdy pani Buzelin opowiadała, jak to było, kiedy handlowała. Miała to w pięcie, ale słuchała. Rogatka, przedmieście, aż do Seine-et-Oise. Dzięki tym opowieściom zapuszczała się dalej niż w swoich co dzień parę razy odbywanych wędrownych — to do sklepiku korzennego, to po mleko albo rankiem do Hal, gdzie wtedy było taniej. A pani Buzelin opowiadała. Jakie były wtedy ceny, zanim wszystko tak podrożało, że można dostać wariacji. Na przykład weźmy sznurowadła do bucików. A jak tanio mogła sobie pani dobrać piękne kolczyki z corozo! To słowo wprawiało Emilię w zadumę. Nigdy nie słyszała go z innych ust. *Corozo*. Wyraz równie niezwykły jak niektóre wiosenne wieczory. Powracało często w opowiadaniach starej.

A poza tym ileż tam było historyjek o pokątnych handlarzach! Bez końca! Cały romans życia starej Buzelin krył się w opowiadaniach o tych handlarzach. Emilia posądzała ją o romans z jednym z tych typków, który uprawiał handel w stronie Gentilly i o którym stara często wspominała. Było to, zanim poznali się z Buzelinem. Buzelin, mimo swoich wąsów, nigdy się o swoim poprzedniku nie dowiedział. Umarł w nieświadomości, a jego połowica jeszcze teraz śmiała się z tego w kułak, aż dopiero chore stawy zmuszały ją do przyobleczenia się na nowo w małżeńską powagę.

W podwórzu, na małym stołku, z nagimi stopami w brudnej wodzie, która butwiała z powodu wadliwego nachylenia terenu, trzyletnia Nenette przyglądała się uparcie czemuś, czego nie widziała ze stróżówki jej matka. Emilia natychmiast domyśliła się, że dzieje się coś niedobrego.

— Przepraszam, pani Buzelin, ale...

Oczywiście, cóż mogłoby być innego! Dwoje malców, Nenette i Riquet, z

otwartymi gębami, śliniąc się patrzyły na damę, która dawała im znaki z balkonu „Jaskółek”. Wściekłość porwała Emilię. Byłaby bluznęła najplugawszymi, najordynarniejszymi wymysłami. Ale przypomniała sobie, że do tego podłego bajzla wzywano czasem Merego, aby pomógł przy cięższych robotach domowych... i choć za każdym razem ona płakała całymi godzinami i biła głową o ściany, trzeba się było z nimi cackać, połykać wstyd i ukrywać przed tymi szmatami, co się o nich myśli. Chociaż Mere upewniał, że prawo zakazuje im się pokazywać. Dlatego nazywa się to „domy zamknięte”. Ale że pokazują się Nenetce, Riquetowi i Emilii Mere, to w takie drobiazgi, powiadasz, prawo się nie miesza!

Jednym skokiem zabrała wrzeszczące dzieci do nędznego czarnego pokoju i siadła na zielonej posiusianej kanapie, ażeby trochę odsapnąć. Nagle wszystko zawirowało jej przed oczyma, zebrało się jej na wymioty.

Jezusie, Maryjo, czy znowu jest w ciąży?

xi

Po drugiej stronie czerwonego salonu mieściło się coś w rodzaju dużego przedpokoju u stóp schodów; było tu drugie wejście do „Jaskółek”, dla klientów, którzy nie życzyli sobie przechodzić przez knajpę. U stóp schodów urządzono małe biuro, a w biurze siedziała panna Maria.

Panna Maria osiągnęła wiek kanoniczny, wymagany dla zastępczyni szefowej. Była to drobna brunetka, trochę wysuszona, sznurująca opuchłe wargi przy końcu każdego zdania, z czarnymi jak węgiel oczyma, lekko podmalowanymi. Ubrana czarno, trochę prowincjonalnie, wysznurowana, że ledwie mogła oddychać, nigdy nie traciła nic ze swej godności, chyba że panowie klienci ociągali się z wręczeniem jej pieniędzy. Nastawiała wtedy twarz, jakby w oczekiwaniu policzka, nerwowo zacierała krótkie i źle umyte ręce i żółte jej oblicze wykręcało się grymasem, w którym była słodkawa grzeczność i coś sprośnego i który obnażał złoty ząb po lewej stronie. W ten sposób sroga duenna czyniła nagle aluzję tak wyrazistą do tego, czego klient właśnie dokonał, że ów natychmiast w pośpiechu szukał po kieszeniach. Wtedy kąciki ust panny Marii opadały, wszystko w jej twarzy wyglądało się, pozostawał tylko wyraz oczekiwania, a oczy ciężko kierowały się na portmonetkę. Włosy panny Marii były staromodnie zaczesane do góry i upięte w kok na czubku głowy. Żadnej grzywki, tylko parę nieposłusznych kosmyków na karku.

Wszyscy nazywali ją panną Marią, z wyjątkiem Juliusza Tavernier, który czasem mówił jej po imieniu. Za każdym razem manifestowała wówczas pewne niezadowolenie i odpowiadała sznurując grube wargi: „Kuzynie”, gdyż Tavernier był jej kuzynem i zaangażował ją, gdy Dora odkupiła zakład za swoje oszczędności, ale pod warunkiem, że Maria będzie stale nazywać Dorę — panią, a Juliusza — panem. To właśnie przypominała mu, gdy on zapominał się i nie tytułował jej panną Marią.

Gdyby nie sina obwódka pod oczyma, można było wziąć pannę Marię za właścicielkę księgarni z placu des Petits-Peres albo za urzędniczkę z

podprefektury, nieco podupadła. Nic nie pozostało jej z miłosnej kariery w licznych garnizonach, co prawda bardzo marnej i nieszczęśliwie zakończonej.

Nie cierpiała pensjonariuszek, tych dziwek, jak mawiała. Odwzajemniały się jej obgadując ją złośliwie. Jedna tylko Andrea wdawała się z nią w rozmowę, bo chciała poznać przygody panny Marii. Słuchała ich z miną serio, ażeby potem wyśmiewać się z nich z koleżankami,

Jeszcze bardziej panna Maria nie cierpiała pani, czyli Dory. Ładna mi pani, ani słowa! Po prostu niektórzy ludzie mają szczęście! A innym go brak. A co do tego szczęścia, to też niejedno można powiedzieć — bywają osoby, które nie cofają się przed niczym... Łopatkowaty palec wskazujący panny Marii wznosił się ku nosowi, który był gruby, a potem głupio się urywał, skutkiem czego w poważnym stopniu ponosił odpowiedzialność za jej niepowodzenia. Palec poruszał się w ten sposób, że każde jego wahnięcie zdawało się odnosić właśnie do jednej z tych rzeczy, przed którymi pani Tavernier oczywiście się nie cofnęła, a rozmówca, biorąc pod uwagę niewielką jej subtelność, zastanawiał się, co też ją, pannę Marię, mogło od tych właśnie rzeczy powstrzymać.

W swojej loży albo, jeżeli wolicie, jeżeli was to nie razi czy też jest wam obojętne, nazwijmy to jej biurem, bo ostatecznie zastępczyni kierowniczką to nie stróżka, należy te rzeczy rozróżniać... a zatem w swoim biurze panna Maria całymi dniami czytywała romanse; kiedy ktoś stawał na progu, podnosiła głowę i pytała:

— Czym mogę służyć? — z akcentem godnym Comedie Francaise.

Czasem klient się wahał, więc wstawiała, aby otworzyć mu drzwi przedsionka, tak miło urządzonego w stylu Ludwika XVI, na niebiesko z żółtym, i niedawno przemeblowanego. Zwłaszcza gdy padał deszcz. Zadziwiającą rzeczą było, jak widok moknących na deszczu panów ranił serce panny Marii. Zarówno młodych, jak i starszych; nie robiła żadnych różnic.

Klaskała wtedy w ręce:

— Moje panie!

I poprzez czerwony salon dobiegały śmiechy, szybka krzątanka. Panie zjawiały się wysuwając głowy do przodu w pełnym rynsztunku, jak ciekawskie ptaki.

— Och, ten jest uroczy — wołała stale Zuzanna, do dnia, kiedy uprzedziła ją ta małpa Hermina. Również panna Maria przychodziła stukać do drzwi, gdy jakiś klient zanadto się guzdrał.

— Mado!

— Słucham panią, panno Mario?

— Ktoś tu na panią czeka.

Bywają ludzie tak ślamazarni! Co oni sobie myślą? W swoim domu — proszę bardzo! Ostatecznie jednak trudno wymagać, aby wszyscy na świecie byli dobrze wychowani i taktowni.

Mimo to panna Maria nie czuła niechęci do klientów. W gruncie rzeczy

panowie ci byli dla niej królami stworzenia. Trafiali się wśród nich nawet hojni. Inni znów niekiedy czuli się nieswojo. Zdarzali się także nicponie. Inaczej świat byłby zbyt piękny. Na ogół byli to ludzie stojący znacznie wyżej od dziewcząt, które odwiedzali! Często nawet się dziwiła, ogromnie się dziwiła... Nie przeszkadzało jej to, gdy klient wychodził, zabułgotać swoim najśłodszym szeptem:

— Czy wszystko odbyło się zgodnie z życzeniem? — zawsze jak w Comedie Francaise. Trudno, interes jest interesem.

W głowie panny Marii klient, który właśnie wszedł, zlewał się z postaciami czytanych przez nią sążnistych romansów. Czasem, gdy był to pan z ważną miną, z teczką, może ktoś z sądownictwa — nigdy nie wiadomo — puszczała wodze marzeniom, odsuwała Bourgeta albo Felicjana Champsaur. Snuła własną małą powieść. Otwierał się przed nią cały świat. Wspaniałe apartamenty. Upajające kobiety. Bankierzy, co jednym gestem mogli rzucić na rynek... czy ja tam wiem, ile! I przyjęcia od piątej do siódmej. Ach, te five o'clocki! Te five o'clocki, rozmowy... dowcipne, głębokie, czasem zmysłowe... nie zanadto... akurat tyle, ile trzeba... wypielegnowane wąsy na giętkiej szyi uroczej gospodyni... „Przyjdzie pani, przyjdzie pani, prawda? — Ach, majorze, majorze, doprowadza mnie pan do szaleństwa, doprawdy!”

Panna Maria wpisywała do agendy to, co nazywała kursami tych pań. Gdy usłyszała, że na górze otwierają się drzwi, dzwoniła na służącą Felicję. Panna Maria miała znakomity słuch. Gdy ona zastępowała szefową w knajpie, jej funkcję w biurze obejmowała Felicja. Działo się to wtedy, gdy na przykład Dora gotowała jakieś przysmaki dla Juliusza lub wychodziła na zakupy. W knajpie nie było mowy o czytaniu, toteż panna Maria nie cierpiała knajpy.

A przy tym drażniły ją te panie. Były wulgarne, oczywiście. Trudno wymagać od nich książęcych manier. Ale ostatecznie! Ach, te ruchy, te rozmowy! To bawi mężczyzn. Może ja dlatego nie zrobiłam kariery, że nigdy tego nie umiałam, nigdy. Ciekawe, że to się właśnie podoba. A czyż mężczyźni w kobiecie nie pociągają właśnie tajemniczość? Ach, spróbuj być taką... spróbuj! Co prawda, te panie nie patrzą w przyszłość. Gdyby Eugenia de Montijo tak postępowała z księciem, na pewno nigdy by nie została cesarową. Ale oczywiście te dziewczęta nie siedziałyby tutaj, gdyby miały jakiś grosz przy duszy lub choćby za grosz ambicji.

Hermina, która była bezczelna, odpowiadała na te słowa, sprowokowana zwykle przez Zuzannę i Andree, minami w najwyższym stopniu ubliżającymi i nieprzyzwoitymi. Hermina była najbardziej wziętą pensjonariuszką zakładu. Mogła sobie na to pozwolić.

Panna Maria patrzyła wtedy na dziewczęta spod oka, wzruszała ramionami i, wstając, wzgardliwie unosiła płaskie pośladki.

— Dziewki z burdelu — mruzczała pod nosem i szła przez czerwony salon ku swej łoży, gdzie czekały na nią dalsze dzieje żony przemysłowca, której groziły straszne rzeczy, gdyby padło na nią najłżejsze choćby podejrzenie,

że w pewien listopadowy wieczór, osłonięta woalką w groszki... i te fiołki parmeńskie, i nieład garsoniery, którą on wypełniał pięknym zapachem tytoniu.

## XII

U „Jaskółek” panowało zamieszanie. Mianowicie stały klient Lulu, Fryderyk, wpadł niespodzianie, a co ona się o nim, o tym swoim Riquet, już naopowiadała! Pół roku jej nie odwiedził! Paula, świeżo przyjęta do zakładu, płonęła z ciekawości. Lulu płakała. Niepoczciwy, pół roku! Odbył długą podróż po prowincji, miał masę spraw na głowie. Potem odsługiwał wojsko. Hermina, jak to ona, wzruszyła ramionami: „Wojskowy! Patrzcie, to tak jakbym ja mówiła, że mam też służbę wojskową...” Ale Zuzanna i Mado twierdziły, że podoba im się ten dorodny brunet, szeroki w ramionach, obyty w świecie, trochę awanturnik, ale za to jakie ma długie nogi; panna Maria ze wstrętem stwierdziła, że mówią o nim jak o koniu. Jej natomiast podobały się — jak oświadczyła — jego oczy. Po prostu aksamitne. Co za szkoda, że dla mody wygolonych pysków poświęcił swoje wąsy. No i te kędzierzawe włosy są w bardzo złym guście. W tym punkcie jednak panowała jednomyślność: wszystkie panie uważały, że to bardzo ładne, ale co do wąsów, to naprawdę dodają szyku.

Andrea milczała. Ta beczka nie ma serca. Mężczyźni jej nie interesują.

Szefowa wzięła ją w obronę. Ona jedna jest osobą poważną. Czemu się tak interesują przyjacielem naszej Lulu?... Gdyby one trochę mniej zajmowały się swoimi sprawami, ich klienci byłiby może bardziej zadowoleni... W „Jaskólkach” wiedzą, jak się zachować, gdy u pensjonariuszek zjawiają się ich przyjaciele. Było się wtedy poprawnym, a nawet hojnym. Turkaweczki miały dla siebie całą noc. A tak! Ale praca nie może na tym ucierpieć. Praca jest pracą. To rzecz święta. Trzeba zarobić na to, co się zjada.

Panna Maria miała na to własny pogląd. Ale nie zdradzała go. Jej zdaniem świat dzielił się na dwa rodzaje istot — jedne są bydłętami roboczymi, jak wszystkie te dziewczki, i muszą pracować, aby zarobić na siano, które żrą tu na ziemi; drugie to istoty wybrane, więc należy się im wszystko, wszystko! A to z racji wzniosłości ich uczuć. Ich wyrafinowania. Ach, oczywiście, nie w rodzaju jaskółek. Panna Maria prychnęła z pogardą i wróciła do książki, dzieła wyjątkowo interesującego, nowości wypożyczonej z czytelnicy, gdzie zastępczyni szefowej niedawno się zapisała.

Pan Fryderyk był bardzo przyzwoitym młodzieńcem.

Proszę, dwadzieścia sześć lat i już taka pozycja! Bano się go, bo, zdaje się, skory był do bitki. W zeszłym roku miał wielki kłopot przez jednego małego idiotę, któremu zachciało się sprzątnąć mu jedną z dziewczynek, taką z Tuluzy. Znano tę historię. Widząc, jak był ubrany, cienkie sukno, trzewiki najdroższe, jakie są, jedwabne koszule, człowiek pojmował, że taki zawsze da sobie radę. A przy tym pan Fryderyk znał się na grzeczności. Zaprosił państwa Tavernier do restauracji. Bez Lulu, oczywiście, to nie uchodzi. Do niewielkiego bistro obok Hal, dość powiedzieć. Jeżeli znał się na kobietach tak jak na hulankach, nic

dziwnego, że tarzał się w złocie. Przywiózł nawet prezent panu Juliuszowi, emaliowaną papierośnicę z głową kobiety wypuszczającej kółka dymu; wszyscy zgodzili się, że papierośnica jest przepiękna. Przywiózł ją z uzdrowiska, z Aix-les-Bains, zdaje się, czy coś w tym rodzaju. Ach, gdyby wszystkie nasze panie miały takich przyjaciół!

To właśnie pani Tavernier tłumaczyła tego wieczoru panu Piotrowi. I wcale niedrobiazgowy przy rachunkach. Płaci co do grosza. Trzeba przyznać, że z tej Lulu doskonała pracownica. Nie rzuca się to w oczy na przykład przy Herminie, która ma większe powodzenie. Lulu ma mniej klientów, ale za to murowanych. Zresztą dochodzi prawie do tej samej cyfry tygodniowo. To dziwne i nie wiadomo, od czego zależy.

— Tego wieczora pan Piotr był dość roztargniony. Słuchał nie słysząc, to było oczywiste. Wydawało się, że interesuje go tylko wielki witraż, któremu „Jaskółki” zawdzięczały nazwę i przez który padało światło od ulicy. Ale po tylu latach znał go już chyba na pamięć. Pomimo to witraż miał dziś dla niego szczególny urok. Zapewne dzięki słońcu, które przeglądało się w nim, od kiedy zburzono dom naprzeciwko.

Wielki barwny witraż. Utrzymany w jasnych tonach. Krajobraz, z boku dwie postaci. Z jakiej legendy, z jakiej historii zaczerpnięto tych dwoje, nad tym można było medytować bez końca. Coś jakby rycerz w dziwacznej zbroi, ale z hełmem w ręce, młodzieńcza głowa o pięknych jasnych włosach, wystawiona na słońce, zwraca się do średniowiecznej pasterki, która spuściwszy oczy stoi zalękniona, z kądzielą w ręce, pośród swoich owieczek. Para ta zajmowała niewiele miejsca w kącie, toteż witraż przedstawiał rozległą równinę, z trzciną na pierwszym planie, w dali uprawne pola, mała wioska i młyn. Widoczny tam strumyczek przepływał zapewne gdzieś na pierwszym planie, wśród trzcin.

Jak dotąd nie było się tu czemu dziwić. Osobliwością na witrażu było stado, a właściwie chmara jaskółek, które mknęły w obłokach, roily się w całym krajobrazie, a także wokół rycerza i pasterki — jaskółki ciemnoniebieskie z białymi gardziółkami, jaskółki wszędzie, zatrzesienie jaskółek. Pasterka miała niebieski gorsecik i różową spódnicę, a niebo, tuż nad horyzontem pomarańczowe, w górze nabierało barwy turkus... Ale najważniejsze były te stada jaskółek...

Dziwny temat. Jeszcze dziwniejszym czyniła go, dumiał pan Piotr, technika witrażowa, te absurdalne ołowiane kontury, wijące się między kawałkami szkła, aby utrzymać je przy sobie. Lohengrin i Joanna d'Arc, dobrze, ale skąd te jaskółki?

Pan Juliusz wszedł do knajpy z dość groźnym drabem w szarym filcowym kapeluszu, zsuniętym na kark. Wstępowali razem na jednego do „Bar-Y-Ton”. Mówili dosyć podniesionym tonem. Młodzieniec miał dziób drapieżnego ptaka i kobiece oczy pełne absurdalnej słodyczy. »Co do Lohengrina — pomyślał pan Piotr — nie chciałbym go spotkać w ciemnym lesie...“

— To właśnie jest pan Fryderyk — szepnęła pani Tavernier.

— Ach tak? — Obaj mężczyźni oparli się łokciami o ladę. Lulu już do nich biegła.

— Niech mi droga pani powie — spytał pan Piotr — czy sądzi pani, że byłoby wielką niedelikatnością z mojej strony... gdybym dziś właśnie prosił Lulu, aby poszła ze mną na górę? Oczywiście nie chciałbym urazić Lohengrina, chciałem powiedzieć — pana Fryderyka.

— Jego?! — wykrzyknęła pani Tavernier. — Czy pan sobie żartuje? Ależ on jest zachwycony, kiedy jego dziewczyna pracuje. Lulu, pan cię prosi...

W sali zapanowało pewne zdziwienie. Ale właściwie nie było powodu i nikt nie przejął się zdarzeniem tak naturalnym. Jednak Lulu wahala się. Była bardzo błada.

— Hej, Lulu, wołają cię! — rzekł pan Fryderyk, który stojąc przy barze obserwował scenę. — Pańskie zdrowie — dodał wznosząc ku starszemu panu w surducie kieliszek, napełniony właśnie przez Herminę. Pan Piotr skłonił się.

Lulu podeszła do niego, odzyskawszy już swój zawodowy uśmiech. Miała włosy granatowoczarne, bardzo białą skórę. I drobne piersi.

— Prawdziwa jaskółka — rzekł szarmancko pan Piotr.

### XIII

Gdy pani Tavernier pod słońcem z prążkowanego szkła wynurzyła się przy majolikowym wejściu metra w Maillot, jej oferowali uliczni sprzedawcy nieaktualne już dzienniki, jej mali handlarze proponowali sznurowadła lub mechaniczne zabawki, do niej naganiacze kierowali swoje „Longchamp, dwadzieścia su”, jej przesycony benzyną kurz przynosił dławiący przedsmak Lasku usianego tłustymi papierami.

W tych wędrowkach Juliusz rzadko jej towarzyszył Trzeba mieć swoje odrębne życie, osobiste.

Życie prywatne Dory zaczynało się wśród tego tłoku samochodów wyjeżdżających z Paryża. Za okrężną koleją żelazną, której mały biały pióropuszczył się ogrodzonym, krętym rowem od dworca do dworca. Za pomnikiem Panhard-Levassora, który dziwnie skojarzył płaskorzeźbę wyobrażającą wyścig automobilowy z portykiem w stylu Ludwika XVI, zdobnym w bluszcze. Za monumentem chroniły się żółte tramwaje, które następnie, pozbywszy się pasażerów, wracały po Dorę, cierpliwą pośród łańcuchów, wśród ludzi udających się do Suresnes albo Saint-Cloud, w pierwszej zadrzewionej alei, od której zaczynał się Lasek Buloński, tak sobie, bez przygotowania, jeszcze nawet przed fortyfikacjami, w samym Paryżu.

Ten żółty tramwaj! Dora myślała o nim cały tydzień; był dla niej symbolem stopniowego wyzwania się, oddalania od życia, od „Jaskółek”, Juliusza, całej rzeczywistości. Marzenie rodziło się z tego żelaznego, byle jak pomalowanego, źle umieszczonego na kołach, chwiejnego pudła, z brutalnego pędu, który unosił ją siedzącą na ławce, jeszcze nie uwolnioną

od trosk, ku temu snowi, który materializował się na drugim brzegu Sekwany, a który ona kołysała w sobie przez całe swoje długie życie prostytutki i rajfurki, niby dziecko cudownym sposobem noszone przez lat trzydzieści.

Pusty lub pełny, zależnie od pory, tramwaj, który wioził Dorę wzdłuż restauracji w ogrodzie wysypanym drobnym żwirem, potem skrajem lasu, wzdłuż ogrodzenia, przez bulwar Maillot, trząśł ją tak mocno, że traciła poczucie łączności z życiem. Zaduch w tramwaju był straszliwy. Na zewnątrz małe dziwaczne drzewa nachylając się ku sobie tworzyły nieszczelny dach ponad trawą przetykaną pokrzywami i pudełkami po konserwach. Od czasu do czasu widać było tor dla cyklistów, gdzie jechały sztywne dziewczęta i pędząca jak zwykle banda chłopaków. Po drugiej stronie, na bulwarze, domy puste i, jak się zdawało, nie zamieszkane, ustawiały się rzędem za małymi ogródkami, jak damy na balu w podprefekturze... Dora nic z tego wszystkiego nie widziała. Nie widziała wulgarnych, kędzierzawych sąsiadów. Nie widziała kontrolera, któremu ze swoich obłoków podawała machinalnie bilet. Widziała tylko swoje myśli. Znowu ją opanowały. Była ich łupem, ich własnością. Jej myśli od zawsze, jej myśli dziecinne. Te, które opuściły ją tylko pozornie. Jej myśli wstrząsane pędem tramwaju, jej nadzieje, smutki. Wstający w niej śpiew, którego nic w świecie nie zmusi do milczenia. Śpiew, który ją zdobywał, romanca nigdy nie zapomniana, refren... Jechała zieloną drogą przez Neuilly szare i białe jak mózg. Za bulwarem Maillot zaczął się bulwar Richard-Wallace. Po lewej stronie małe jezioro. Na prawo zamek Madrid. Pojazdy konne, automobile elektryczne. Potem cień Lasku, który, znów gęstszy, przebierał złotymi strzałami, dziurami błękitnego nieba. Traciło się zaufanie do leśnego ogromu. To tak, jak zbliżać się do morza. Po chwili — pola zdeptanej trawy przecięte linią białych dróg, tam dalej odgadywało się Sekwanę podkreśloną drzewami. Mijały ich bryki o daszkach w białe i czerwone paski, jakaś weselna muzyka. I dymy fabryk na drugim brzegu, gdzie zbiegają niebieskie stoki wzgórz Suresnes.

Dora marzyła...

Wszystko dążyło ku złotemu światłu tam, wśród wzgórz, gdzie była już wreszcie wieś, a nie majestatyczny park, przedłużenie stolicy. Złote mgliste światło, ku któremu zwracała całe swoje nędzne i plugawe życie, młodość zdradzoną i splamioną, okres świetności uzależniony od pożądań płacących jej mężczyźni, zmierzch skapicy-ciułaczki, lata niespokojnego ślęczenia nad książkami rachunkowymi własnego zakładu, zbyt opieszale zapewniającego jej tak już bliską starość. W tym świetle otwierała się kraina bajki. To wszystko, dla czego żyła pani Tavernier, przeżyło się. Szła niby triumfatorką promenadą nad brzegiem wody, przez most w Puteaux do mostu w Suresnes, wśród krzyków bawiących się dzieci i podskakujących w trawie piłek, a w dali uwijały się sylwetki graczy w polo. Przechodziła Sekwanę ponad małymi parowcami, wiozącymi pasażerów, i galarami; szła z uczuciem władczyni, a wreszcie rzucała



pobłażliwe spojrzenie na „Pavillan Bleu”, gdzie przyjeżdżała powozem za czasów Feliksa Faure.

Tutaj, mijając Suresnes i Saint-Cloud, wśród szarego ludu, czuła się dumna ze swojej pozycji i swej wyższości jako posiadaczka domu. Nie było w tym złośliwości, lecz tylko szczęście, które czyniło ją dobrą. Łagodna wyrozumiałość, która wyzwalała w Dorze chęć dawania napiwków. Tramwaj wspinał się na dość strome wzgórze. Po obu stronach wysadzonej wysokimi drzewami drogi mieściły się szynkownie. Znowu była to wieś, wille budowane z kamienia. Na szczycie wzgórza widać ogrodzenie — tor wyścigowy w Saint-Cloud. Dora czuła wtedy, że na usta ciśnie się jej piosenka. Piosenka stara, tak natrętna, że o mało nie zaczęła nucić:

*Et je m'disait, la voyant si gentille...\*/*

*\*/I myślałem sobie widząc ją tak milutką...*

Tory wyścigowe były dla niej sygnałem; zbierała manatki, boa z piór, torebkę, parasolkę. Nie mogła już usiedzieć na miejscu. Wstawała. Podchodziła do drzwi prowadzących na platformę i tu przysiadła na brzeżku ławki. Ale do Porte Jaune było jeszcze dobrych pięć minut jazdy. Tramwaj przejeżdżał ponad parkiem w Saint-Cloud, gęstym i głębokim jak sen, gdzie widać było niebieskie gałęzie, zaniedbane altanki, okrągłe placyki. Domy przy drodze i chaty wśród uprawnych pól zeszpecone afiszami. Potem znowu zaczynały się drobne działki. Mury. Rudery. Bielizna susząca się na wietrze, na sznurku, w alejce wysadzonej krzewami. Małe wille, podejrzane, koślawe. Pola. Mury. Nagle, jak świadectwo przeszłości, ferma jak z Ile-de-France. Afisze. Kurz. Pył. Dora wstawała. Siadała znowu. Tramwaj stopniowo pustoszał. Była teraz prawie sama z konduktorem i swoimi marzeniami. Konduktor przechodził przez wóz, aby zmienić tablicę wskazującą kierunek. Tramwaj ciągnął za sobą przyczepkę podobną do ogona latawca, kołyszącą się to w prawo, to w lewo. Dora drżała z niecierpliwości, upuszczała parasol, boa wlokło się po ziemi, myśli skakały jak przyczepka tramwajowa. Zastanawiała się, czy nie zgubiła kluczy; grzebała w torebce, żeby to sprawdzić. Dojeżdżali do Porte Jaune. Wszyscy wysiadają.

#### XIV

Pod niebem szarym od słońca ulica bez domów biegła w górę wśród parkanów, niskich murków i nie zabudowanych placów. Raptem wyrastała willa podobna do spróchniałego zęba, z nowoczesnym okienkiem w górze, albo rudera ze ścianą szczytową, czerwona na nugatowym tle, smutek szklanych skorup nad nie ukończoną bramą w stylu normandzkim. Nagle kapryfolium, istne szaleństwo. Wśród potłuczonych kamieni ziemia naznaczona była żelazistymi bruzdami. Gdzieś za domami ktoś kuł młotem. Mały peugeot drzemał przodem ku dołowi, zakotwiczony na hamulcach zbyt wątych jak na taką pochyłość.

Pani Tavernier pięła się tą ponurą ołowianą ulicą, w swej brązowej sukni, przybranej czarnym sutaszem, z emaliowaną czterolistną koniczyną na piersi.

Przypominało jej to widziane w osiemnastym roku życia góry koło Grenoble. Strzelec alpejski w kolejce linowej. Jakież to wszystko teraz dalekie, nieważne! A przecież chciała się truc wtedy, gdy miała to poronienie. Jakież człowiek głupi, gdy jest młody... Co zrobiłaby z dzieckiem? Dziś byłby to dojrzały mężczyzna, awanturnik, hulaka, dziwkarz, pijak. Przypomniał się jej jego ojciec. Ojciec! Dziwnie tak myśleć o tym gałganie. Skończył w więzieniu. Kto chce się czegoś solidnego dorobić, nie może przywiązywać się do ludzi. Dora przeszła przez życie z ambicją. Dom na wsi. I oto miała go. Dochodziła do niego. Zielone drzwi w jasnoszarym murze. W narożniku donice z lanego żelaza, gdzie potem wstawi się różowe geranie. Ukryty dzwonek, który odzywa się za pchnięciem bramy. Otwiera się kraina baśni. Ogród.

Ilekcroć Dora zamykała za sobą drzwi, serce jej biło na alarm. Sama w raj. Ile przebytych cierpień symbolizował ten mały park (mówiła „Park w Garches”), to pojąć mogła tylko kobieta. Niektórym ludziom wydaje się, że to pieniądz lekko zarobiony. Ponieważ dom stał jeszcze pustką, ogród był zaniedbany, w alei rosła trawa i leżały opadłe liście. Zdałoby się przyciąć kasztany i krzewy. I wytępić w sercu właścicielki wszystkie chwasty, upodabniające je do tego zarośniętego ogrodu.

Myśl o zmarnowanej pierzchłej młodości brała w niej górę nad wszystkim. Nie zastanawiała się, jak wyzyskałaby ten dom z białą malowanych cegieł, z gankiem, żelaznymi okiennicami zakurzonymi i ślepymi, gdyby miała lat dwadzieścia. Widziała tylko smutek tego, co wydawało się jej rajem i co przyszło tak późno; nie wiadomo, może gdyby była młodsza, pawilon stałby się schronieniem jakiegoś szaleństwa, miłości. Słowo to przyprawiało ją o wielki śmiech i drwiny. Miłość. Dorze tak sceptycznej, której płacono, aby wszystko poznała, tutaj, w tym miejscu, zawsze się zdawało, może na widok szklanego daszka nad wąskim wejściem, że ociera się o jakiś romans, któremu brakowało jedynie tych ram, aby stał się *rzeczywistością*. Bladozielona wiklinowa ławka, jak co tydzień, przyjmowała ją samotną; siadała, aby wytchnąć przed wejściem do domu.

Parasolką skreśliła w kurzu serce, strzałę... i zatrzymała się. Dom miał dwa symetryczne piętra, po dwa okna po obu stronach klatki schodowej. Dora, otwierając drzwi, już czuła panujący tam cień. Była u siebie. To jednak coś znaczy.

Czy Juliusz domyślał się czegoś? W każdym razie rzadko tu przyjeżdżał. Jej pozostawiał ten triumf i gorycz. Napawała się nimi w zupełnym przygnębieniu, które czasem stawało się ponad siły. Właściwie w tym wypadku Juliusz okazał się taktowny. Nie zniosłaby tutaj jego obecności. Dora czuła się wobec swego domu jak przed spowiednikiem. Zdjęła kapelusz ozdobiony bekasami i nastroszyła włosy ufarbowane na kasztanowate.

Miała dom dla samej siebie. Dom, gdzie mogła słuchać tylko własnych kroków, własnych westchnień. Dom uśpiony, ale pełen przeróżnych rzeczy, *rzeczy* bez ceny, które były jak żywcem wydarte kawały serca Dory. Dom, gdzie, jak marzyła, przyjedzie kiedyś przespać noc w samotności. Od lat już miała na to ochotę i nie robiła tego z obawy przed rozczarowaniem. W głowie jej piętrzyła się cała powieść, tragedie mordowanych za rogatekmi rentierek. Ach, słodka byłaby taka śmierć! Choć straciłaby to wszystko... Tak się to mówi. Ale...

Juliusz był tutaj tak cudownie wymazany z życia. Nie było „Jaskółek”. Dora czuła się jednocześnie bardzo stara i bardzo młoda. Tu mogłyby mieszkać wróżki. Każde otwarte drzwi stawały się małym świętokradztwem. Za każdym razem musiała rezygnować ze starcia całego kurzu. Ileż w mroku pokoi było tajemnicy i spokoju! Ile czasu wymagałoby wytarcie kurzu na przeładowanych bibelotami etażerkach! W tej właśnie chwili obsesja przyoblekała się w ciało.

Obsesja dziwna a pełna słodyczy. Dora broniła się przed nią, jak młoda dziewczyna broni się przed pierwszą miłością. Miała sobie za złe to, co działo się tam z nią samo przez się, za każdym razem. Wiedziała, że to przyjdzie, żartowała sobie naprzód, a potem — rób, co chcesz! Niepodobna się opanować. Myśli jej biegły szlakiem z góry przewidzianym, nieodwracalnym. *Przez* parę chwil udawało się jej oszukiwać samą siebie sprawami konkretnymi. Ale tamto było mocniejsze. Poddawała się.

Już brnęła w marzeniach. Zawsze ten sam krajobraz. Jakby już dawno mieszkała w tym domu, całkiem po prostu, zwyczajnie, naturalnie. Tryb życia, nad którym już się nie dyskutuje, z którego cudem jużeśmy się oswoiili. I czyjaś obecność w domu. Obecność nie tajemnicza, zwykła. Na ten temat Dora nie zadawała sobie pytań. Rzecz ustalona. Istota ludzka, niemal już bez znaczenia, bo już się na nią nie czekało. Ale ona właśnie nadawała sens porzucanym na stole przedmiotom, które Dora układałaby w porządku z odrobiną irytacji. Ale to nie Juliusz, ach, ma się rozumieć, że nie on!

Polechtał jej nozdrza zapach tytoniu. Gdzie jest ten nieznośny? Zapewne w ogrodzie coś kopie. Wyobraża sobie, że jego grusze będą kiedyś owocować? Lepiej by hodował kwiaty. Bratki. Bo bratki wyglądają jak z aksamitu. Dora lubiła żółte, z fioletową raną pośrodku. I gdyby je zasiać na czas... Bardzo niejasno Dora czuła, że gra komedię. Ale to ją oszołamiało. A zresztą, było w tym wszystkim, coś realnego. Dom.

Jakie to dziwne, że nigdy nie wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy osiadzie tu na emeryturze, z Juliuszem... Dni będą długie, a ona zapomniała, jak robi się na drutach te pelerynki na rano do łóżka, kiedy się je śniadanie... Nie, nic nie mogło wygnać tego absurdałnego obrazu przyszłości — ona i pan Piotr. Oboje razem, rzecz ustalona, naturalna. Mają już za sobą pierwsze lata, kłopotliwe dla jej wyobraźni. Jakie dziwne to wzburzenie. W tym wieku! Dora nie myślała, że miałyby to być miłość, lecz wybryk fantazji. A przy tym trudność przedstawienia sobie tego, jak

też może pan Piotr naprawdę wyglądać poza knajpą. Na wsi, w negliżu... Co tydzień, w czwartek, w dzień, gdy pan Piotr nie bywał w „Jaskółkach”, Dora przyjeżdżała do Garches, aby o nim myśleć. Aby żyć z nim. Życiem bez blasku, zwyczajnym. Życiem emerytów, którzy siedząc obok siebie czytają gazety. W dniu, kiedy wiedziała, że nazajutrz go nie zobaczy, w środę, patrzyła nań trochę inaczej niż zwykle. Jakby mu wyznaczała potajemne spotkanie na czwartek tutaj, pod drzewami, w nikomu nie znanym domu. Odnalazła przy nim całą czystość swego serca. Dzięki wiekowi obywała się nawet bez myśli, że mógłby ją pocałować, że nosi szelki. Idealizowała go niemal, zabierała go głęboko pod powieki.

Gdy Dora otworzyła okna w pokojach na pierwszym piętrze, zabrzączały tam pierwsze w tym roku muchy. Dla zasady otworzyła ubikację i spuściła wodę. Szum towarzyszył jej przez pokoje. „Czy on ma jeszcze papierosy?” — zastanawiała się, bo chętnie myślała o sobie jako o miłej, zapobiegliwej, „domowej” kobiecie.

Potem ujrzała się w lustrze; cała żółta i pomarszczona, fałszywe loki i obwisłe policzki, podbródek — i rozplakała się.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Mały samochód przejechał ulicą z czkawką żelaziwa. Dora zeszła po schodach, przeciągając ściereczką po poręczu z ciemnoczerwonego drzewa. Powoli zanurzała się w myśl mętłą i bolesną. Stara kobieta. Stara.

I gdy znów brała torebkę z łańcuszkiem i kapelusz z pierzastą dziczyzną, uczuła, że coś wysycha u dołu jej policzka. Pospieszyła się w gasnącym świetle. Tramwaj odchodzi za kwadrans.

A jednak strasznie się bała, że ją tam kiedyś o zmierzchu, samotną, zamordują.

xv

— Nie — odpowiedziała — Juliusz i ja nie jesteśmy małżeństwem. Więc pan nie wie, jakie jest prawo? — Pan Piotr nie wiedział. — Otóż zwyczaj, jeśli już nie prawo, wymaga, aby koncesje wydawać tylko kobietom zamężnym, ale nie ich mężom, bo nie wolno mężczyźnie osobiście prowadzić zakładu. Moralność policyjna. Rezultat: każda dzierżawczyni ma przyjaciela. Tavernier to moje nazwisko. Nazwisko męża, którego miałam, bo tego żąda prawo. Umarł w koloniach. Juliusz nazywa się Morucci... Dla uproszczenia sprawy został panem Tavernier...

— Ach tak — rzekł pan Piotr — a zatem ręka pani jest wolna, a może i serce?

Co chciał przez to powiedzieć? Dora zachowała się zupełnie głupio, odpowiedziała nie wiadomo co. Nawet zarumieniła się. A potem słowa te prześladowały ją. Ręka, a może i serce... Sądził więc, że jest zakochana w Juliuszu? To komiczne. Ale ręka... Była podniecona jak młoda dziewczyna. Zaczęła podśpiewywać starą zapomnianą romancę, której nie nuciła od trzydziestu czy trzydziestu pięciu lat. Czy oszalała? Co ona sobie właściwie wyobraża?

Pan Piotr dziwnie teraz spoglądał na Dorę. Przynajmniej tak się jej wydawało. W istocie, widząc jej wzburzenie, zaczął niejasno odgadywać naturę jej myśli, jeśli nie ich gwałtowność. Powiązał jej nagły rumieniec i chaos nic nie znaczących słów z tym, co pani Tavernier mówiła mu parę dni wcześniej, gdy spytała go, czy nigdy nie myślał o małżeństwie... Do dziś jeszcze śmiał się z tego. Nie, to wspaniałe, ta stara rajfurka miała zamiary wobec niego! Zaczął złośliwą gierkę domyślników, słówek, które można było dwojako rozumieć. Nie mógł sobie tego odmówić. Dodawało to pieprzyku ich codziennym rozmowom. A poza tym życie obeszło się z nim tak podle, że mógł chyba sobie to powetować.

Dora była przekonana, że to od pana Piotra wyszła ta myśl, która teraz ogarnęła ją jak ogień. Z isticie dziewiczą naiwnością nie spostrzegła, że on wyczytał to w niej, zanim zdała sobie z tego sprawę. Dziwna i potężna jest miłość, gdy zjawia się po raz pierwszy w życiu kobiety, która dobiega sześćdziesiątki i której przeszłość była tak gruntownie zohydzona przez mężczyzn. To istne szaleństwo! Dora oczywiście nigdy nie byłaby sobie pozwoliła na zakochanie się w człowieku młodym, na przykład przystojnym sutenerze. Całe jej dotychczasowe życie zabezpieczało ją przed tym, węszyła niebezpieczeństwo. Miała się na baczności. Ale ten stary człowiek, nie odznaczający się niczym, co budziłoby w niej czujność, brzydki, biedny, źle ubrany, z tyłoma chorobami — jego się nie bała. Puściła sobie wodze. Zaufała losowi. Miłość ani przez myśl jej nie przeszła. A oto miłość, ze swymi wymaganiami, szaleństwem, ogarnęła to wyschnięte serce, serce, które zużyło się nie zabiwszy naprawdę ani razu. Miłość tym bardziej zastanawiająca, że przynajmniej na pozór dość czysta. Dość wyzwolona z rzeczy cielesnych. Ale pełna uczuć, od których pensjonarkom mąci się w głowach.

Ach, gdy w zwykłej porze drzwi się otwierały... Siedząca przy kontuarze Dora miała wrażenie, że wszystkie spojrzenia ku niej się zwracają. Krew opornie krążyła w żyłach. Czowała, że ręce ma zimne. Bała się zdradzić. Głos jej się rwał. Na próżno usiłowała około czwartej zająć się na przykład rachunkami: nadzieja, że *zaraz* drzwi się otworzą, sprawiała, że nie była w stanie doprowadzić do końca najprostszego dodawania. Niepewność, czy pan Piotr przyjdzie, rzadko trwała ponad trzy minuty, tyle że czasem nie zdążył do metra. Wystarczało to, aby Dora traciła przytomność, wyobrażała go sobie martwego, zmiażdżonego... a może w ogóle już nie przyjdzie, bo go czymś dotknęła, może przeniknął uczucia właścicielki burdelu i poczuł się obrażony... Wielki Boże, a jednak przyszedł!

Przez długi czas nie dopuszczała nawet myśli, że go kocha. Ale tego dnia, gdy zachciało mu się pójść z Lulu na górę, odczuła niepojęty wstrząs. Nic po sobie nie pokazała. Było to tak zadziwiające, tak naprawdę niepojęte! I przy tym jaki wstyd! Ale musiała przyznać, że ogarnęła ją zazdrość. A skoro była zazdrosna... Przez trzy dni odsuwała od siebie słowo straszliwe i groteskowe, słowo: miłość, tak dziwaczne w światłach „Jaskółek”, przy dźwiękach pozytywki. Cofała się przed nim jak przed smokiem. Powtarzała

sobie: „Doro, moja stara, zaczynasz bzikować!” Widziała się w lustrze, jaką była, i jego również nie idealizowała, myślała o nim nawet z okrucieństwem. Stary piernik. Zaledwie sformułowała to sobie w głowie, wstrząsnął nią odruch buntu i obrzydzenia do samej siebie. Jakże mogła być tak ordynarna, tak podła... Ona, której potrzebny był dźwięk jego głosu... jak muzyka. Wypisywała jego imię na kawałkach papieru, które potem cierpliwie darła, drobno, drobno, jak mysz.

Nie wiedziała już, co robić. Nie łudziła się, że mu się podoba. A jednak chciałaby mu się podobać. Dałaby mu wszystko, gdyby przyszło mu na myśl o coś ją prosić! Mówiła sobie, że chciałaby popełnić dla niego jakąś podłość, zrobić coś bardzo trudnego...

Gdyby ode mnie zażądał... — szeptała i zaczynała rozpatrywać całą gamę prób i niemożliwości.

Kradłaby dla niego, prałaby jego bieliznę, ona by... Tak. Zabiłaby dla niego. Obojętne kogo. Nawet Juliusza.

Nagle zastanowiła się, czego chce, czego się spodziewa. Nie miała ochoty nawet pocałować pana Piotra. Myśl o fizycznych między nimi stosunkach była zbyt przykra, aby się przy niej zatrzymywać. Więc mówiła sobie: „Gdybym go była wcześniej poznała...” — ze straszliwą goryczą.

Ale wtedy żałowała tylko swego zmarnowanego życia, swego zbrukanego życia. Te starcze myśli są jakby odwróconymi marzeniami dziewczęcymi; bezprzedmiotowe westchnienia, ulotne pragnienia, zostawiające po sobie jedynie ślad wiosennego potoku... W tej wykołejonej istocie, na pozór tak wypranej z ludzkich uczuć, której sknerstwo i złośliwość rosły z każdą minutą i każdym dniem, i każdym rokiem ciężkiej i ponurej egzystencji, w tej megierze, której twarz od dawna skamieniała od wszelkich codziennych podłości, której ciało z wolna zdeformowało się przez prostytutkę, wiek i duszną, mroczną atmosferę „Jaskółek”, w tej istocie odrodziły się zapomniane uniesienia, obrazy, które musiały kiełkować w okresie jej mizernego dzieciństwa. Nie, niczego nie chciała, nie spodziewała się niczego, żadnej nagłej odmiany swego losu, żadnego cudu, który skojarzyłby ją z panem Piotrem. Nie chciała niczego. Absolutnie niczego. Czuła tylko w sobie przemożną chęć, aby obdarowywać. Czym? Nie wiedziała. Ale obdarowywać. A ponieważ nie mogła już dać siebie, więc cokolwiek on zechce...

Zaczynała żyć myślą o poświęceniu. Dla niego rzuciłaby się pod pociąg. Ale dlaczego właściwie miała rzucać się pod pociąg? Czy zrobiłoby to na nim jakieś wrażenie?... Oczywiście, ma się rozumieć. I tak dręczyła się bez końca, jak mała dziewczynka, która ma tak naiwne pojęcie o sprawach miłości, że przeraża ją uczucie wiodące ją w ramiona młodego chłopca. Dla Dory te ślepe uczucia zabarwione jeszcze były gwałtownością wyrzutów sumienia. Całe jej życie dziewczynki wracało do niej jak długotrwałe mdłości. Na takim właśnie podłożu dokonują się nawrócenia kurtyzan. Ale nigdy nie jest za późno na namiętność religijną, a błędy przeszłości dodają jej jeszcze blasku i ognia. Dora otrzymywała objawienie miłości ludzkiej, w chwili

gdy miłość była jej już wzbroniona. „Więc to było to?” — myślała przypominając sobie prostytutki, które kiedyś widziała zakochane, ale nie mogła tego pojąć... Przecież to trzeba być wariatką! Więc przyszło i na nią? Zaczynała teraz naprawdę cierpieć! Coś jak ból zęba, z którym się żyje, który nie zawsze doprowadza do szału, ale który obnosi się ostrożnie, z lękiem, aby się nie zaostrzył. Odkąd uczyniła się w niej światłość, Dora znosiła równie źle obecność jak nieobecność pana Piotra. Gdy był w knajpie, tak bała się zdradzić, tak się samej siebie wstydziła, że zaczynała patrzeć na zegarek, pragnąc chwili jego odejścia. Wszystko nabierało podwójnego znaczenia, a on stawał się szydery. Dziewczeta, klienci, panna Maria, ależ to zgroza! Doszło do tego, że wołała ból nieobecności od bólu obecności.

Gdy go nie było, mogła przynajmniej utonąć w marzeniu. Mogła pozwolić sobie na rozmowę z nim. Brało nad nią górę to wszystko, czego mu nie powiedziała, to, czego mu nigdy nie powie. Pewnego dnia po długim wahaniu pozwoliła sobie nawet mówić mu w marzeniu „Piotrze”. Nie doszła jeszcze do tego, aby zwracać się do niego „ty”. Z wolna dawne jej chimery splotły się z nową miłością.

W ten sposób willa w Garches stała się naturalną dekoracją powieści, która rodziła się w nieładzie niczym chwasty w jej zmaconej głowie. W tej bajce też był zamek i królewicz. Ale nad legendą krążyły dziwaczne nietoperze, zaczarowanej królowy nikt nie odmłodził, na wieki zaciążyło nad nią przekleństwo wieku, świata i plugastwa. Bredziła wśród nie mającej kresu nocy i gdy okurzała meble w Garches, bardziej była podobna do upiora niż do zaczarowanej królowy.

xvi

Panna Maria spojrzała na niebo. Widział kto, aby w jesieni padał taki deszcz! Pogoda była fatalna, w czarnej ulicy padało, padało. Nie zmoknie bardzo na tej małej przestrzeni, jaka dzieli ją od bramy nr 9. Bo zdecydowała się na tę kobietę spod dziewiątki. Dano jej jeszcze inny adres, ale musiałyby iść za plac Republiki. Deszcz zadecydował o wszystkim. Panna Maria pójdzie pod dziewiątkę.

Te dziewczyny są okropne. Nic nie robią. Palcem nie tknęłyby swojej bielizny. Co za niechlujstwo! Gdyby im pozwolić, wszystko by tak zostawiły. W tym, co mają na sobie... A to naprawdę nie wymaga zbyt wiele starań. Byle rozdarcie, już zmieniają koszule. Czysty zysk dla właścicieli, którzy odprzedają im to natychmiast... Ci dbają o swoje interesy. Już to hojnością nie grzeszą, co prawda, to prawda.

A jednak leje jak z cebra. Ulewa, jaka w roku zdarza się najwyżej dwa, trzy razy. Nawet do tego numeru 9 było za daleko. Czy zresztą musi się tak spieszyć? Lepiej przeczekać, nie gnać po deszczu, choćby te dziesięć kroków.

A przy tym Dora spakowała swoją bieliznę razem z bielizną dziewcząt. Co

ją napadło? Czy nagle znowu jest w pretensjach? To byłoby zbyt śmieszne. Panna Maria parę razy przyłapała ją przed lustrem. Tak, tak, mówcie sobie, co chcecie. Co za deszcz, chyba nigdy nie przestanie! Panna Maria spojrzała w niebo i westchnęła. Pomyślała o sobie, oceniła całą ironię i smutek swego położenia. Ona. Tam. I niebo bierze ten wyrzut do siebie, deszcz leje ze zdwojoną siłą. Miała chyba prawo marzyć o czymś innym i oto do czego doszła na starość: stoi na progu podłej budy w psią pogodę, z pakietem bielizny do cerowania pod pachą — na polecenie tych dam... „Jakbym była ich służącą, słowo daję!”

To jednak niesłychane. Cerowaczka nie może się pofatygować, o nie... Panna Maria dobrze wie, że to, co myślała przed chwilą, to są bzdury, bo... Ale przyjemnie jej było tak właśnie formułować swoje myśli. Dawnej cerowaczki nigdy już nie zobaczą. Znikła wraz z półtuzinem koszul i koronkowym peniuarem Lulu. Płacz i zgrzytanie zębów. A potem? Cóż zrobić — takie jest życie. Nie ma na to rady. Policja w tych sprawach nie zadaje sobie trudu. A przecież to kradzież. Są więzienia, ale człowiek zastanawia się, dla kogo? Dla psów? Ale ponieważ w „Jaskółkach” uprawia się proceder niemoralny, każdy ma tam prawo kraść, oszukiwać... Wszystko to nie trzyma się kupy. Spróbuj znaleźć jakąś logikę.

A więc oczywiście obarcza się tą sprawą pannę Marię. Ja muszę się wszystkim zająć. Teraz trzeba zanieść ich bieliznę do cerowania. Patrzcie tylko! Żeby jeszcze ktoś okazał wdzięczność! Za wielkie wymagania. Swoją drogą, ta kobieta spod dziewiątego to w sam raz dla nich. Do łatania nie trzeba wielkiej krawcowej. Na pewno chodzi o tę kobietę, co ma kilkoro dzieciaków, gnieźdzą się w takiej norze... No, zresztą trzeba spróbować, a jeżeli spartoli im bieliznę, to się jej nie zapłaci. Jej mąż robił różne naprawy w „Jaskółkach”, dwa czy trzy razy. Ta przynajmniej nie może czmychnąć z łachami... ma się ją tutaj na oku... Deszcz trochę mniej pada.

Z pakietem bielizny pod pachą panna Maria rzuca się naprzód. W trzech susach jest w bramie. Otrząsa się. Nie ma ochoty zniszczyć sukni. Co za ohyda ten numer dziewiąty! Czy dużo jest w Paryżu takich domów? Tak, dużo jest takich domów w Paryżu. Ludzie bywają niechlujni. Gdyby naprawdę chcieli... ale ani woła brud. Gdzie mieszka pani Mere? Słowo daję, tytułuje się je per pani, to chyba gruba przesada. Konsjerżka ze swojej zatłoczonej i śmierdzącej chałupki odpowiada nie odrywając się od swego zajęcia; pichci coś na gazowej kuchence.

— W podwórzu na parterze... Patrzy na zastępczynię szefowej i jej pakiet: czego ona tutaj szuka, ta rajfura? Woła przez okno:

— Pani Mere! Ktoś do pani! Na te słowa pod nogi panny Marii rzuca się dwoje dzieciaków, które właśnie zabierały się do bitki, chłopiec i dziewczynka, całkiem to jeszcze małe... Przypatrują się pani, która przyszła do mamy. Mało się nie wściekli z nudów w tej bramie. Wreszcie jakieś urozmaicenie.

Przejsć podwórze... W taki deszcz, jakby tam z górnych pięter wylewał kto



cały ściek. Obrzydliwy zaduch stróżówki odrzuca pannę Marię. Bierze się w garść.

Żona tego Mere wpuszcza ją. Strach, jakie zaniedbane są te kobiety z ludu! Ta nie ma jeszcze trzydziestki, a jak wygląda? Trochę starań i oczywiście inny strój, a byłaby niebrzydka... Targuje się o cenę, to nie do wiary. Ostatecznie porozumiały się...

Prawdę powiedziawszy, Emilia Mere doznawała uczuć bardzo mieszanych. Naprzód upokorzenie. Pracować dla burdelu! Trudno, trzeba żyć. Tylko boi się, co powie Eugeniusz. Ale jemu teraz tak ciężko. Trzeba żyć. I tak trudno dostać teraz robotę do domu. Czy Eugeniusz da sobie radę? Oczywiście, jeżeli ona będzie coś na boku dorabiać... Ta bielizna budziła w niej zgrozę... No tak, ale przecież palców jej nie poparzy. Gałgan z tej starej! Chciałaby wlepić jej tę robotę za darmo czy jak? No dobrze, dobrze, każda coś ustąpi.

Po odejściu starej wszystko to tłumaczy Emilii raz jeszcze pani Buzelin, stróżka. Pewno, takie domy to hańba. Ale są potrzebne. To fakt, że są potrzebne. Pomyśl pani tylko, ci *wszyscy* mężczyźni, co podróżują. I ci, co żyją samotni. Ile się przez to uniknie uderzeń krwi do głowy? Co takiego? Pani nie wierzy w uderzenia krwi do głowy? Mężczyźni już tacy są. Tak, tak. A ile byłoby zbrodni... Policja wie, co robi, kiedy na to pozwala.

A zresztą czy pani ostatecznie musi wiedzieć, skąd pochodzi ta bielizna, moja pani Mere? Przynoszą, pani przyjmuje. No tak, tu zacerować, tam przyszyć guzik. A potem bądźcie zdrowi! Aha, trzeba ją im odnieść? Ma się rozumieć. Nie umrze pani od tego. Macie tu waszą bieliznę, i do widzenia. Co do tego, rozumie się, nie radzę pani mówić panu Eugeniuszowi. Pani mąż taki sam jak inni mężowie. Mógłby sobie coś pomyśleć...

— Ale, moja pani Buzelin — rzekła Emilia — on tam był, pod tą dziewiątką, w ich domu, coś mu tam dawali do roboty...

To kapitalne, co ona mówi: że to jednak nie jest to samo?... Więc niech mu pani powie, jeżeli ma pani ochotę... ale zobaczy pani: on się o niczym nie dowie. Dostała pani bieliznę do naprawy, i basta. Co prawda, taką bieliznę łatwo poznać... Dobrze, na pani miejscu powiedziałabym, że sami po nią przyjdą...

— Może ma pani słuszość, pani Buzelin, ale nie lubię okłamywać Eugeniusza...

## XVII

Jak się to zgadało o wieku, o jej wieku? Dorę opętała w związku z tym bardzo prosta myśl. Zastanawiała się z trwogą, której nie mogła zwalczyć, co też sądzi o tym ten człowiek, zapewne starszy od niej, ale zadający się jeszcze — co prawda rzadko — z dziewczynami? Najdziwniejsze, że to napępniało ją w stosunku do pana Piotra obawą, jaką odczuwają starzy ludzie wobec dzieci, obawą babek, które boją się, że malcy mogą żywić do nich odrazę.

— To straszne — mówiła — co dzieje się z człowiekiem...

Mimowolnym gestem obmacywała skórę na szyi, a w jej oczach pojawił się jakiś tragiczny błysk. Nastąpiło milczenie, podczas którego po raz pierwszy zapanowała między nimi prawdziwa zgodność myśli. Ten dramat starości nie był dla pana Piotra martwym słowem. Zaczął patrzeć na panią Tavernier jak na ludzką istotę i wszystko, co mogło być w niej śmieszne i odpychające, zyskało dla niego inny sens: zmarszczki, szminka, puder na zwiędłej skórze, loczki, sztuczne zęby. Ogarniała go litość nie tyle nad nią, ile nad sobą, gdyż pomyślał o swoich żylakach. Ale jednocześnie uświadomił sobie, że mógłby z nią rozmawiać tak, jakby była w stanie go rozumieć, i spostrzegł w sobie jakieś nowe, dziwne uczucie dla niej.

— Czy przypomina pani sobie, pani Tavernier, że gdy się jest młodym, człowiekowi zdaje się, że dokona nie wiadomo, czego... Między rzeczami, ludźmi a nami istnieje bezpośredni związek, nad którym nigdy się nie zastanawiamy, którego nie dostrzegamy, bo tak było zawsze, bo zawsze w ten właśnie sposób myśleliśmy o świecie... a potem... Po prostu wszystko odbywa się tak, jakby ten związek nie istniał, bośmy go sobie nie uświadamiali, a potem... Pewnego pięknego ranka uświadamiamy sobie wreszcie, że związek ten istniał, a to dzięki temu, że on już nie istnieje. I to właśnie nazywa się starość. Rozumie pani? Myślę, że takie uczucie miałby człowiek, gdyby się zbudził ślepy. A nawet więcej. Ponieważ wiemy, co to znaczy widzieć, i możemy nie widzieć zamknawszy oczy... Starość...

Oczywiście, że nie nadążała za jego myślą albo może tylko ledwie nadążała. Tonęła w muzyce. Rozumiała tylko słowo „starość” i dość było tego ciężkiego, gorzkiego i straszliwego słowa, aby rozspiewało się serce. Wiedziała tylko jedno, że pan Piotr mówi do niej trochę tak, jakby mówił do siebie, nie miała mu za złe, że plątał się w słowach, z upojeniem myślała, że ma do niej zaufanie, że wolna zbliżała się do szczęścia...

— Być albo nie być, pani Tavernier, oto problem człowieka młodego... Życie podejmuje się rozwiązywać takie problemy z przerażającą szybkością. Bywają dni, kiedy cała egzystencja wydaje mi się jedną chwilą. A przecież jeden tylko Bóg wie, jaka ona może być długa, głupia i fałszywa... Jestem albo byłem... oto jak należałoby to sformułować... „Jestem” to idzie samo z siebie, to znaczy mieć się, to znaczy... Ale „byłem”! Niech mnie pani zrozumie, człowiek łatwo znosi oczywisty dramat starości, na przykład to, że nie może już ślizgać się albo chodzić po górach. Ale ohydne są te niespodzianki, rzeczy, o których się nie myślało, a potem nagle, dokładne, banalne uświadomienie sobie tego, jak było... i jak jest.

Znowu ugodziła ją strzała jednego wyrazu. Słowo „ślizgać się”. To było dość, aby marzyć. Niegdyś Dorę prowadził do Palais de Glace pewien młodzieniec z dobrego domu i nauczyła się jako tako utrzymywać na lodzie. Nigdy nie umiała tańczyć walca i trochę się tym martwiła. Znowu ujrzała wirowanie, ówczesne mody, ślizgawkę w białym pyłe, ślady łyżew na lodzie, podniecenie mężczyzn, ich sposób zagładania jej w oczy,

solidarność ludzkiej gromady gotowej do przygód. Nie dochodziły już do niej słowa pana Piotra, chociaż słuchała go z napięciem. Tak odbywają się najlepsze rozmowy na świecie: każdy z partnerów sobie mówi i myśli, spotykają się tylko przypadkiem na jakimś słowie, obrazie, a pozostaje im podniecające wrażenie, że wymienili myśli. On mówił:

— Przerazająca szybkość. Życie minęło, a myśmy tego nie zauważyli. A jednak trwało to pół wieku, długie półwiecze... I wreszcie nagle czas stanął ci kością w gardle... Nie mija już właściwie, nie mija... Mam pięćdziesiąt osiem lat... i te ostatnie osiem lat były dłuższe, cięższe niż wszystkie poprzednie razem. To dziwne. Za dziesięć lat już nas obojga nie będzie na świecie, prawda? To dziwne. Naprzód życie jest bardzo długie, a wydaje się diablo krótkie, następnie jest bardzo krótkie, a tak się dłuży...

— Ach — szepnęła — pan będzie żył dłużej niż dziesięć lat! Sześćdziesiątka to nie jest wiek, w którym się umiera! Co do mnie, w naszej rodzinie...

Zaśmiał się trochę szyderczo. Lubił takie omdlenia myśli. Oczekiwanie tego małego zdania podnosiło go na duchu, pozwalało odczuwać własną wyższość. Nagle Dora powiedziała coś bardzo nieoczekiwanego, tak że odniósł dziwne wrażenie, iż zrozumiała każde jego słowo. Wyciągnęła zwykłym sobie ruchem ręce na marmurowym kawiarnianym stoliku, zwróciła ku niemu oczy lekko zaczerwienione od emocji, oczy, które niegdyś mogły być ładne.

— Nasza starość, panie Piotrze, to nic nie znaczy. Straszna jest cudza starość...

Dopatrzył się w tym głębokiej filozofii i zdziwił się. Pomyślał, że źle ją osądził. Mówi się w próżnię w obecności jakiejś idiotki i oto pokazuje się, że to kobieta, która myśli, zastanawia się. Pomyłka starego człowieka, gdyż był tak daleki od myśli o miłości, że nie rozpoznał jej w tym krótkim, nie dokończonym zdaniu, pomyłka nie co do inteligencji, jaką przypisywał swej rozmówczyni, lecz co do pożerającej ją namiętności, której sam był przedmiotem. Straszne w tym zdaniu było wzniosłe zapomnienie o sobie, miłosne opętanie. Ona, która z jego powodu dręczyła się swoją starością, teraz uważała ją za łatwą do zniesienia, naturalną, uprawnioną i oddałaby resztę życia, aby pod skórę tego człowieka wróciło trochę blasku młodości, chociaż to by ją jeszcze bardziej od niego oddzieliło...

Wśród dekoracyj „Jaskółek” ta niemal szeptana rozmowa dwojga starych ludzi, którym słabe światło wracało jakąś godność, dzisiaj przeciągała się. Zazwyczaj pan Piotr zagadywał tutejsze damy. Dziś siedział i dalej rozmawiał z szefową. Dziewczyny śmiały się z tego ukradkiem, a ta krowa Hermina uszczypnęła nawet Lulu. Dora zdawała sobie sprawę z niezwykłości tej długiej rozmowy, była nią zaskoczona, bała się, że się to zaraz skończy, i czuła się szczęśliwa.

— Cudza starość — podjął pan Piotr. — Nie, ja inaczej na to patrzę. W gruncie rzeczy kpię sobie z tego. Egoizm? Nie, szczerść. Co do cudzej młodości — owszem, kupuję ją. Dlatego tu przychodzę.

Wiedziała, że on nie zdaje sobie sprawy ze swego okrucieństwa. Starła się nie cierpieć zanadto. Nie chciała cierpieć w tej właśnie chwili. W tej cudownej chwili. Zacisnęła wyschłe wargi. Dzień świąteczny... trzeba się opanować... Czy on zrozumiał, że ją zranił, czy to tylko przypadek, szczęśliwy zwrot w myślach, dość, że mówił dalej:

— Nie, ja nie odczuwam tak żałośnie starości cudzej jak swojej... Nie przez egoizm. Ale ja ją sobie idealizuję. Wstrętne objawy starości uważam za wyłącznie moje... Tak jak człowiek skłonny jest myśleć, że inni nie muszą mlaskać przy jedzeniu... Człowiek dziwi się, że ich czuć... Wiemy o sobie rzeczy, których przed sobą ukryć nie możemy, a z którymi inni nie zdradzają się nigdy... To jest co innego. Ale widzi pani, pewna umiejętność łudzenia się jest wszystkim, co zachowałem z okresu młodości. Jeżeli chcę... Umiem, sobie opowiadać różne historie... Wyobrazić sobie, że to, co czarne, jest białe... W ten sposób bronię się przed cierpieniem. Mogę patrzeć na panią i widzieć panią taką, jaką była pani zapewne przed dwudziestu laty...

I znowu doszło do niej tylko to, co powiedział na końcu, i poczuła, że się czerwieni. Jak on to powiedział? Czy to możliwe? Stare jej serce zabiło tak mocno, że zrobiło się jej słabo. Dlaczego on to powiedział? Ach, chciałaby zobaczyć się jego oczyma. Ależ jest szalona: to tylko taki sposób mówienia, uprzejmość... Oglupiało ją to, powiedziała pretensjonalnie:

— Ale ja się jednak ogromnie zmieniłam... Spojrzał na nią z nagłym wstrętem, który by ją zapewne zabił, gdyby mogła go odgadnąć, gdyby cała ta scena nie wytrąciła jej z równowagi, gdyby się tak strasznie nie bała, że on zaraz zawoła dziewczęta. Pomyślał:

„Po co ja tu sterczę i nudzę się z tą rajfurką? Gadam i gadam. Ostatecznie burdel jest burdelem.”

Potem powiedział sobie, że jest niesprawiedliwy. Pani Tavernier to nie Emanuel Kant. Gra z nią warta jest innej formy rozmowy. Zauważył jej wzruszenie. Ostatecznie jest kimś podobnym do mnie. Stary ośle, czy uważasz się za istotę wyższą? Zobacz się w lustrze, spójrz na tę podłą gębę, jaką ukształtował ci czas. A ty sam... Ciągnął dalej swoją myśl, już na głos, modyfikując ją trochę... dodając właśnie tę trochę komedianctwa w słowach, które wypowiada się tonem najbardziej szczerym, najbardziej przekonującym:

— Zastanawiam się, jak to jest między dwojgiem ludzi, którzy postarzelili się razem... To drugie...

Wszystkie niebieskie kwiaty, jakie przetrwały jeszcze w sercu Dory, zakwitły nagle. Gwałtownie odczuła subtelność myśli pana Piotra. Była pijana od jego słów. Było to objawienie świata, dotąd zamkniętego. Nikt jeszcze tak do niej nie mówił. A nawet więcej: nikt nigdy przy niej tak nie mówił. Wiedziała, że on nie mówi do niej, lecz do siebie, ale i to nawet ją podniecało, przejmowało wdzięcznością.

— Oczywiście, pani Tavernier, dwoje ludzi, którzy się razem zestarzelili... Przywykli do siebie... To nie stało się nagle... Naprzód są to drobne, ledwie

dostrzegalne oznaki... zmarszczka, którą się wzruszają... twarz, ciało zmieniają się powoli... Patrzą na to nie widząc... Jakoś to sobie tłumaczą... I nawet bardziej się kochają... Ależ tak, tak... Potęgą iluzji zdwojona potęgą przyzwyczajenia... Któż wypowie piękność brzydoty, do której przywykliśmy? Oczywiście, oczywiście... Gdybyśmy się postarzeliby razem, pani Tavernier, pani i ja, niech pani pomyśli... gdybyśmy się znali od dawna...

Ach! Dora zamknęła oczy. Reszta się nie liczyła. Czy mógł dodać teraz coś jeszcze, co warte by było słuchania? Niech sobie woła, jeżeli ma ochotę, Lulu, Mado i inne! Zgadzała się! Śmiała się w duchu. Miała osiemnaście lat, a nawet mniej. Była zadowolona, szczęśliwa, szczęśliwa. Wszystko inne nie liczyło się. Nie słyszała już słów pana Piotra. Od czasu do czasu coś jeszcze mówiła, ale sama nie wiedziała co...

Do knajpy weszło trzech żołnierzy, zapalono lampy, pozytywka zaczęła grać *Marzenie o walcu*, ostatnio zakupiony kawałek.

## XVIII

Troski nie opuszczały Meyera. Złe wyniki przy maturze w październiku, żalony ubytek uczniów po wakacjach; w dodatku najmłodsze maleństwo źle znosiło pierwszą w życiu zimę. Sara musiała przestać je karmić; przy trojgu starszych dzieciach nie było takich kłopotów, wykarmiła je bez żadnych komplikacji dla nich i dla siebie. Teraz wydawało się, że pokarm matki nie służy małej Klaudynce, a przy tym pojawiły się jakieś owrzodzenia... Karmili ją ze smoczka, lekarz z domu nie wychodził, co kosztowało masę pieniędzy, ale życie dziecka jest bezcenne; co gorsza, Klaudynka miewała od czasu do czasu biegunkę, szkaradną biegunkę... Trudno było nie mówić o tym podczas posiłków przy ulicy Ampere, wśród nowin z dziedziny polityki, które zasiały niezgodę pomiędzy Robinelem i Meyerem. Robinel był zdecydowanym przeciwnikiem kandydatury Poincarego na prezydenta, Meyer opowiadał się za kandydatem.

Piotr Mercadier wolał już słuchać rozmowy na temat zielonej biegunki niż wyborów prezydenckich. Wcale nie psuło mu to apetytu, a zresztą jakie tam to jedzenie! Gdy wreszcie Poincare, a wraz z nim Meyer odniósł triumf, po kilku dniach hałaśliwej dyskusji Robinel uspokoił się, a Meyer stał się znośny. Z małą nie było lepiej. Słowo daję, że trzeba by ją odżywiać jak osobę dorosłą.

— Gdybym ja zaczął opowiadać o barwie moich stolców... — odezwał się Mercadier z pasją zmiatając fasolkę smutną jak sama zima.

— Drogi panie Mercadier — powiedziała po obiedzie Sara — panu wydaje się, że my nie troszczymy się o pana... Pan sobie nawet nie wyobraża, jak tutaj wszyscy, a tak, wszyscy są do pana przywiązani...

Piotr zdobył się na uprzejmy sarkazm.

— Niech mi pan wierzy — mówiła dalej Sara — niech mi pan wierzy... Właśnie niedawno wiele o panu myślałam. Z racji Klaudynki. To może się panu wydawać dziwne. Ale gdy się całymi godzinami siedzi przy małym

dziecku... które płacze, trzeba je kołysać, przewijać... wtedy przychodzą do głowy różne myśli... Dużo o panu myślałam... Czy pozwoli mi pan o tym mówić? Zdaje mi się, że pan nie ma tego, na co zasługuje... Człowiek z pańską inteligencją... Pan zrujnował sobie życie... O, ja wiem, wiem!... Przede wszystkim wymagało to wielkiej odwagi, a poza tym jest pan jedynym sędzią... Jednakże czasami przeraża mnie pustka pańskiej egzystencji... My robimy, co się da, ale...

Piotr nie cierpi troskliwości, a takiej troskliwości przede wszystkim. Poza tym nie lubi Sary. Jest obrzękła. Piotr wykręca się od dalszej rozmowy. Pani Meyer wycofuje się, zażenowana. Z tego wszystkiego pozostaje tylko przykre i gorzkie skrępowanie. To, czego nie powiedziała Piotrowi Mercadier, Sara widocznie powiedziała Meyerowi, bo na drugi dzień Jerzy podjął rozmowę w tym właśnie miejscu, gdzie przerwała ją jego żona. Co im się stało? Dokoła czego krążą? Wobec Meyera Piotr czuł się swobodniejszy, a poza tym gdy Jerzy jest w gadatliwym nastroju, może go zaprosić do kawiarni na placu Pereire. Wtedy jest trochę tak jak za dawnych czasów, gdy obaj uczyli w liceum. Tyle że Piotr nie zamawia już abstyntu, lecz likier porzeczkowy.

— Mercadier, gdy opuszczał pan swoich bliskich, sprawa przedstawiała się inaczej; był pan młodszy... Pewne uczucia nie są niezbędne mężczyźnie w sile wieku... Ale później... Czym można zapełnić życie? Nie mówię o pańskiej żonie... Widziałem się z nią raz wtedy, gdy pan przebywał w Egipcie... Uważałem za ludzką powinność udzielić jej wiadomości o panu... Rozumiem pana...

Kawiarnia jest na wpół pełna albo raczej na wpół pusta; zaludniają ją bezbarwne postaci. Prawie wszystko ludzie niemłodzi; tylko na boku jakaś para ściska się za ręce. Niektórzy grają w manilę. Są tacy, co załatwiają korespondencję. Wszystko to zapewne ludzie, którzy, jak to się mówi, mają ognisko rodzinne. Mercadier wzruszył ramionami.

— Nie mówię o ognisku rodzinnym, Mercadier... ale dzieci... małe dzieci... Czy myśli pan kiedy o swoim wnuku? Ma już piąty rok...

Ach, on do tego zmierza! To doprawdy śmieszne — ten Meyer musi mu co roku powiedzieć, że malec ma trzy, cztery, pięć lat... W przyszłym roku będzie miał sześć... o ile nie dostanie szkarlatyny. Meyer nie rozumie, że można mieć wnuka i nie kochać go. Wnuka, którego się w życiu nie widziało. Właśnie w tym rzecz! A gdyby go pan zobaczył? Jeden jedyny raz...

Doprawdy, pokusy starości nie są niebezpieczne. A więc tym chcieli go znowu uraczyć! Starsza pani Meyer powróciła do tego tematu, gdy poszli do kina. Ale Piotr był pewny, że mógłby bez najmniejszego wrażenia patrzeć na krew krwi swojej krwi, na syna swego syna. To chłopiec, prawda? Ma to w pięcie. Czy to jest zupełnie anormalne? Nie wiem. Pasja do dzieci jest jak każda inna pasja. Ma się ją albo się jej nie ma. Pewien jest, że człowiek nabiera nałogu tylko wtedy, gdy go spróbuje, gdy mu się podda. Istnieją uczucia, na które Piotr nigdy sobie nie pozwolił. A jednak

pamięta jako coś niezwykłego śmierć najstarszej córki — to dawne dzieje... w Dax. Obrazy z tego okresu zatarły się i zwały, nie pozostało już nic z tego zrozpaczonego człowieka na cmentarzu, sprzed lat niemal dwudziestu czterech... Nic, nawet wspomnienie.

Skąd ci Meyerowie mają prawo mówić o jego życiu? Co o nim wiedzą? Im się wydaje, że jego życie to szkoła i oni, i zielone biegunki ich bachorów, i kinematograf przy ulicy Demours z babcią... Piotr myśli o wszystkich tajemnicach, jakie nosi w sobie: o tych z nikim nie dzielonych, zbiegłych latach, o krajobrazach, o twarzach, które dla niego tylko miały sens. Jego życie! Myśli o „Jaskółkach”, o Lulu, o tej starej szkapie Dorze... Śmieje się szyderczo. Meyerowie pojęcia nie mają o „Jaskółkach”. Nagle zimny dreszcz przebiega mu po grzbiecie. Przyszło mu do głowy, że mimo wszystko „Jaskółki”, Dora... tak, właśnie, to jest jego życie. Widocznie likier nie służy mu. Staje się sentymentalny. Wszystko przecież jedno, czy nasze życie jest takie albo inne? Jeżeli chodzi codziennie do „Jaskółek”, widocznie to mu dogadza, nie? A więc?...

— Widzi pan, Meyer, ja byłem zawsze poza tym, obok tego, co inni nazywają życiem... Brzmi to jak absurd, ale usiłuję sięgać do słownika innych ludzi, aby zostać zrozumianym... Ludzie kierują światła na jakiś pewien rodzaj życia i mówią, że to, właśnie to jest życie... Reszta... Reszta się dla pana nie liczy, Meyer... nigdy się nie liczyła... A jeżeli przestawi pan trochę te światła, co zostanie z pańskiego własnego życia? Niech pan pójdzie w niedzielę dokądkolwiek, gdzie ludzie prowadzący normalny tryb życia idą desperacko spędzić tych swoich parę wolnych godzin, nie wiedząc, co z nimi począć... Znajdzie pan tam tysiąc karykatur samego siebie i swoich bliskich, wyraz tej samej troski, klęski, na stu, na tysiącu twarzy... O, nie chciałbym pana gorszyć, ale...

Na próżno tak mówił, myśl o dziecku nurtowała go. Powrócił do niej w nocy. To na pewno przez tę przepuklinę. A jednak przypuśćmy, że widok tego smarkacza wywarłby na nim jakieś wrażenie! Idiotyzm!

Zaczął o tym rozmowę z Dorą. Co ona powie?

— Pani Tavernier, co pani myśli o dzieciach? Pytanie zaskoczyło ją, uczuła, że pod szminką oblewa się ciemnym rumieńcem. Dlaczego pytał ją o to? Właśnie o to?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zaskoczył mnie pan. Dzieci. Mogłam mieć dzieci. Nie chciałam. Dlaczego nie chciałam? Dlaczego? Tak, mówiłam już, w moim zawodzie... Dzieci... To trudno powiedzieć... dzieci... ale dziecko w każdym razie... gdy kochało się ojca... naprawdę kochało... wtedy kochałabym... jak jeszcze nikogo... dziecko... o tak, panie Piotrze! Chciałam mieć dziecko. Bardzo. Ale właściwie nie... Nie wiedziałam. Nie kochałam wtedy nikogo. Nikogo. Nie chciałam dziecka z człowiekiem, którego nie kochałam... dziecko... A dziś już za późno... Wszystko w życiu przychodzi za późno...

Zobaczył, że ona płacze. Też pomysł! Niech go licho porwie, jeżeli przypuszczał, że doprowadzi ją do płaczu.

W miarę jak się nad tym zastanawiał, jego własny wypadek zaczynał go interesować. Gdy człowiek uważa, że różni się od innych, bywa wtedy raczej z tego zadowolony. Ale ostatecznie machina ludzka zawsze zrobiona jest wedle tego samego schematu — co gnębi jednego, gnębi i drugiego. A ta sprawa dzieci... Mówiąc szczerze, czasem, kiedy patrzył na szczenięta zarówno ludzkie, jak psie lub kocie, odczuwał jakiś przedsmak rozrzewnienia, które musiało przypominać tę ludzką pasję do dzieci. Dziwna to rzecz widzieć, że wszystkie istoty ludzkie rozumieją się na punkcie tego uczucia, i samemu go nie doznawać.

Któryż to mechanizm we mnie nie działa? Ludzie młodszy mają inne racje istnienia i gdy sam byłem młodszy, sądziłem, że najmocniejsze namiętności są najlepsze... Ale teraz, w tym wieku... często ludzie, którzy nie mieli pociągu do dzieci, zaczynają go odczuwać, gdy przyjdzie starość. Jest to pewna postać egoizmu. Mercadier wiedział, że jest egoistą. Będąc nim, nie sądził jednak, że jest potworem. Inni ukrywają egoizm pod maską uczuciowości, a nawet poświęcenia. Strach przed samotnością... Starcy nie mają już siły udawać i ludzie przebaczą im ten pociąg do najmłodszych, bo każdy wie, że kiedyś sam go odczuje.

„A jeżeli jestem potworem?” — zastanawiał się Mercadier.

xix

— Jasiu!

Maria woła malca. Poszedł jeszcze raz po wodę do fontanny, aby wlać ją do piasku, bo mu się ciasto nie chce trzymać. Prawda, że do piasku z Avenue du Bois trzeba dodawać wody, jeżeli chce się mieć babki, które nie rozpadają się z jednej strony, ale Jaś sam się oblewa i brudzi tą wodą. Maria czuje się skrepowana, jakby jej czarny słomkowy kapelusz tańczył jej po głowie, co chwila obciąga żakiet. Ale cała na czarno ubrana Maria nie zwraca niczyjej uwagi. Nie robi nic w tym celu i któż by zresztą zainteresował się tym krótkim nosem, wpólotwartymi ustami i okrągłymi oczyma? Jest służącą, widać to na pierwszy rzut oka.

Maria mogłaby przysiąc, że ten stary pan szedł za nimi od samego domu. A jeżeli nie od samego domu, to prawie od domu. Skręcił za nimi w ulicę de Tilsitt, którą zwykle chodzą do Avenue du Bois. Czekał obok nich na skraju Avenue de la Grande-Armee i teraz krąży wokoło. Maria dotyka swego srebrnego krzyżyka. Jednocześnie patrzy ukradkiem na starego pana w surducie, w cylindrze; prezentuje się nieszczególnie; On również patrzy na nią i na małego. W tym wieku, proszę ja kogo! We Włoszech nigdy się coś podobnego nie zdarza. Chyba że chodzi o małżeństwo. Maria przypomina sobie swego wujka, który był kupcem i ożenił się po raz drugi w sześćdziesiątym piątym roku życia; ale musiał się ktoś zająć sklepem. Siedząc na skraju ławki, obok bardzo poważnych ludzi, obok angielskiej *nurse*, Maria sprawdza, czy jej spódnice są w porządku, i zachowuje się tak, jakby nie rozumiała manewrów starego jegomościa.



Jaś jest bardzo zajęty. Ulepił trzy babki i wysypuje żwirem trzy łączące je ścieżynki; układa rzędem małe kamyczki po obu stronach, aby zaznaczyć krańce drogi. W żaden sposób nie można przejść od pierwszej babki do trzeciej nie przechodząc obok drugiej. Pierwsza to jest dom; druga to cukiernia, a trzecia, trochę nie udana — klasztor. A więc gdy ktoś udaje się do klasztoru, zatrzymuje się w cukierni, gdzie zajada się najrozmaitsze cukierki, to znaczy kamyki wszelkich kształtów.

Jaś wie, że przechodzące dzieci patrzą na jego zabawę i że mógłby je do niej zaprosić. Maria nie gniewałaby się. Ale dzisiaj Jaś chce być sam. Bo spodziewa się, że przyjdzie tu Krystiana. Krystiana to mała dziewczynka, która w zeszłym roku mieszkała w pensjonacie. Rodzice jej są Grekami. Trudno w to uwierzyć, ale są Grekami. I raz już od czasu, gdy się wyprowadzili z pensjonatu i wynajęli mieszkanie przy Avenue Victor Hugo, Jaś spotkał Krystianę w Avenue du Bois. Bawili się razem. Nigdy się to nie powtórzyło, ale Jaś stale ma nadzieję, że Krystiana przyjdzie. Ona nie umie robić babek. Ma tak jak on pięć lat. Ale jest ładna, ma kręcone ciemne włosy i nosi białe sukienki. Jest oczywiście ładniejsza od Zofii, a przy tym Zofia jest nieznośna, bo ma siedem lat i burzy mu jego babki.

Patrzcie, co to ma znaczyć? Maria rozmawia z jakimś starym panem. Śmieszny ten stary pan, jak on jest ubrany, ten kapelusz podobny do komina. Nie może to być kominiarczyk, bo kominiarczyki to są małe dzieci i mają czarne twarze. Jaś nie zna tego pana. Może Maria go *zna*, a jeżeli go nie znała, zna go już teraz, bo on coś do niej mówi. Posuwa się na ławce, aby zrobić mu miejsce. Inni także kolejno się zsuwają. Jakie to śmieszne, kiedy ludzie tak się popychają, lekko się podnoszą i przesiadają się trochę dalej. Jaś śmieje się po cichu.

Od kiedy to Maria, moja niańka, zna ludzi, których ja nie znam? To pewno Włoch. A może to jej tatuś? Gdyby to był jej tatuś, to by się pocałowali. A więc to jest jej narzeczony. Gdy wydalono poprzednią służącą, tak właśnie to się odbyło. Narzeczony tamtej służącej przysiadł się do niej w Avenue du Bois, gdy poszła z Jasiem na spacer. Dowiedzieli się. Warto było zobaczyć minę babci. I cioci Joanny. Co za skandal z tą dziewczyną i nie wiadomo, czy nie złapała jakiej choroby. Całuje Jasia, pomyślcie tylko! Wreszcie odprawili ją.

Jaś nie ma nic przeciwko temu, aby wypędzili Marię. Ale będzie musiał zawrzeć znajomość z jeszcze jedną służącą. Wobec tego postanawia, że nic nie powie o tym narzeczonym Marii. Oboje siedzą na ławce i rozmawiają; narzeczony patrzy na Jasia.

— Jasiu!

Patrzcie, ona go woła! Jaś przychodzi z wiaderkiem, łopatką, minę ma nieufną.

— Jasiu, przywitaj się z panem, ten pan znał twoją rodzinę... kiedy ciebie jeszcze na świecie nie było... Jaś mówi:

— Dzień dobry panu — i myśli: „A to kłamczucha!”

Potem zwraca się do pana: — Jeżeli znasz moją rodzinę, to czemu nigdy do

nas nie przychodzisz?

Nie słucha, co pan odpowiada, bo to i tak wszystko będą kłamstwa. Pan bierze go za rękę i przypatruje mu się. Zbudowany jest tak jak kiedyś Paskal, tylko węższy i oczy ma inne. Te oczy ma pewno po matce... Zdaje się, że ona umarła. Po raz pierwszy myśli o tej kobiecie, która była życiem jego syna, a potem odeszła, tak młodo... Jaka subtelność! Kobieta, po której został ten mały, w którym on, Piotr, odnajduje teraz coś z siebie...

— No, co mi powiesz? Umiesz się bawić w jakąś nową grę?

To powiedział ten mały. Jaś. Nazywają go Jaś. Piotr nigdy nie lubił zdrobnień. Przypomniawszy sobie tę kobietę z Monte Carlo, która nazywała go Johnny... Jaś to zdrobienie od Jan.

— Powiedz mi, Janie, czy nie miałbyś ochoty usiąść mi na kolanach?

Jaś chce. Ten narzeczony Marii nie jest ładny, ale starzy ludzie nigdy nie są ładni.

— Ty musisz być bardzo stary!...

— Bardzo stary... w każdym razie nie jestem młody, ale skąd ci to przyszło do głowy?

Ta mała istota, która przysiadła konno na jego kolanie, jest tak lekka, po prostu nie waży nic. Cudowna u dzieci jest doskonałość ich cery, tak czystej...

— Jesteś brzydki, więc musisz być bardzo, bardzo stary...

Dziwne, jak ciężko tego słuchać. Mercadier łyka tę przykrość. Jak długo jeszcze to dziecko będzie mówiło prawdę? Malec ciągnie dalej:

— Gdy się jest bardzo starym, umiera się... naprawdę... A kiedy ty umrzesz? Maria gniewa się. Jasiu, tak się nie mówi.

— Ach, więc ty tak go lubisz — mówi Jaś — tego narzeczonego?

Spojrzeni na siebie. Maria zmieszała się. Mercadier zaśmiał się serdecznie. Opłaciło mu się pięć franków, które dał tej dziewczynie.

— A ty kogo lubisz, mój mały Janie?

Jan spoważniał. Nad tym pytaniem warto się zastanowić. Jest kłopotliwe. Jaś mocno przyciska delikatny podbródek do szyi i kiwa głową. Nie od razu daje odpowiedź. Myśli o Krystianie. Ale ten pan nie o to go pyta. Należałoby powiedzieć: „Marię”, ale to byłoby kłamstwem. Trzeba kłamać, aby się trochę pośmiać. Ale nie. Jaś odpowiada:

— Kocham tatusia... tak... a. potem Dorotę.

— Kto to jest Dorota?

— Dorota? To jedna z pań Manescu...

— Ale powiedziałeś, że kochasz tatusia... A za co?

— Bo jest bardzo ładny...

Mercadier przygląda się ludzkiej drobinie. Kocha ojca, bo jest bardzo ładny. Piotrowi na myśl nigdy nie przyszło, że Paskal mógł stać się bardzo ładny.

— A babcię kochasz? — spytał.

— Babcię?

Chłopczyk nie odpowiada. Waha się. Wdaje się w rzecz Maria:

— No, Jasiu, przecież kochasz babcię!

— Lubię ją całować — mówi Jaś.

— To inna sprawa...

Mercadier zadrżał do głębi. Chłopiec powiedział rzecz straszną. Czyż me była to tajemnica pożycia jego z Pauliną? Usiłuje zobaczyć teraz w oczach dziecka cały ten świat, z którego się wygnał, i Paulinę, i Joannę.

— A ciocię Joannę lubisz całować?

— Nie, nie jest gładka. Babcia jest gładka, miękka... A także pudruje się i ładnie perfumuje... Cioci Joanny... nie lubię cioci Joanny...

— A nazywacie się tak samo!

— Pan jest niemądry. To moja chrzestna mama!

— A masz chrzestnego ojca?

— Nie. To znaczy miałem, ale teraz nie pokazuje się...

— Nie pokazuje?

— To był przyjaciel tatusia. Miał się ożenić z ciocią Joanną. Potem były jakieś awantury. Nie chciał się żenić...

— A czy pamiętasz mamę?

Jaś waha się. Milknie. Nie lubi tego tematu. Prawdę powiedziawszy, nie pamięta wcale zmarłej i to go upokarza, sądzi bowiem, że to głupio nie wiedzieć, jak wyglądała jego własna mama. Co prawda, tatuś ma fotografię... Ale co tam fotografie... wedle nich trudno sobie wyobrazić, jak ludzie wyglądają... Na przykład Deniza, przyjaciółka babci... przecież na fotografii ma o sto lat mniej niż w rzeczywistości. Czasem opowiada innym dzieciom, że jego mama była bardzo piękna i zawsze miała w rękach pełno kwiatów. Jaś lubi tak sobie mówić, ale dziś nie chce kłamać, chyba żeby wymyślił jakieś bardzo ładne kłamstwo... takie, jak on lubi... po którym ogarnia go marzenie... w które sam wierzy...

— Wiesz, w domu — mówi bardzo szybko — mam koniki, które biegają w ścianach, pod tapetami, małe, różnokolorowe koniki, z dżokejami, z jedwabiu i ze szpicrutami podobnymi do tego, czym się gra na skrzypcach...

Piotr Mercadier myśli o pensjonacie, który utrzymuje jego syn Paskal. Widział front tego domu i napis: „Etoile-Famille"... Jak się to wszystko odbyło? Jakiż dziwaczny łańcuch faktów uczynił z tego chłopca, który bawił się w Sainteville, paryskiego hotelarza, uprzejmego dla cudzoziemców zwiedzających stolicę, mającego na karku matkę, Joannę i tego dzieciaka... A czy Jasiowi wspominało kiedyś o dziadku? Wyobrażam sobie Paulinę, jej pychę, i, na pewno, jej nienawiść. Musiała z tego ukuć ładną historyjkę na użytek bliźnich.

— A czy ty masz dziadka, Jasiu?

— Mój dziadek — odpowiedział Jaś — jest w Ameryce. Och tak! To wszystko! To tylko przeniknęło z dawnych czasów, z tego życia, z zapomnianego świata do tej małej, kędzierzawej głowy. Błady jest ten Jaś. Dziecko miasta. Nagle zaczął bawić się naprawdę.

— Jedzie, jedzie koń! Proszę pana, niech mnie pan kołysz do tyłu!

I Piotr kołysze go do tyłu.

— Pan wybaczy — powiada Maria — ale w niedzielę chodzimy na krótkie spacerki, bo pani ma przyjaciółki na podwieczorku i chce, aby Jaś był w domu...

Stawia chłopca na ziemi. Jaś będzie grzeczny, prawda, nie powie, że rozmawiał ze starym panem, aby nie gniewano się na służącą? Przyrzeka? Przyrzeka. A co byś chciał dostać?

— Tort sabaudzki!

Jaś nie namyślał się ani chwili. Tu zaraz jest handlarka z koszem stojącym na ziemi, a w nim na białej płóciennych płachcie leżą andruty, brioszki, tort sabaudzki i lukrecja... on woli tort sabaudzki, bo andruty się kruszą.

Gdy handlarka kraje tort sabaudzki, z wierzchu pięknie przyrumieniony, Jaś czuje jego pulchność, miękkość, delikatność, jakby całował babcię. Jaś trzyma pana za rękę.

— Co się teraz mówi? — pyta Maria. Jaś wie, że mówi się „dziękuję”. Ale to tak zwyczajnie powiedzieć „dziękuję”. Zwłaszcza gdy Maria już spytała, co się mówi. Na Jasia spływa natchnienie:

— Wie pan, że ty nie jesteś taki znów stary...

Piotr Mercadier nachyla się i całuje malca.

Ta rzecz drobna, słaba, a silna... Młodość, życie... Jaś coś mu szepcze do ucha:

— Co mówisz, mój mały?

Wtedy Jaś ciągnie Marię za spódnicę i mówi głośno:

— No, Mario, pocałuj swego narzeczonego!

Mercadier patrzy, jak odchodzą. Dziwne dziecko, podobne do Paskala, podobne do niego samego... Odchodzi w dużym kapeluszu na pogryzionej gumce, z długimi dziewczęcymi lokami, w marynarskim ubranku, z gołymi łydkami. Jaś odchodzi trzymając za rękę śmieszna, grubą służącą, ubraną na czarno, w kapeluszu sterczącym na wysokim koku. Jakiemu impulsowi uległ przychodząc tu po kryjomu, aby zobaczyć syna swego syna, dziwną kontynuację własnych dziejów na tym świecie? Nie wie. W ostatnich czasach nie czuł się dobrze. Może to strach przed śmiercią... może nuda...

Nagle widzi, że chłopczyk puszcza rękę służącej, która odwraca się, i biegnie ku niemu. Co się stało? Zdyszany malec coś mówi, a Maria z daleka potrząsa łopatką i wiaderkiem:

— Proszę pana... proszę pana... Pan mi pozwala, prawda? proszę powiedzieć, że pan pozwala...

— Ale o co chodzi, Jasiu?

— Że jej powiem, to znaczy Dorocie, powiem, że cię tu widziałem.

— Nie, mój drogi, nawet Dorocie nie mów... Ale kto to jest Dorota?

— Dorota Manescu... Lubię ją bardzo, wiesz, bo jest ładna... daje mi cukierki... Nawet Dorocie nie mówić? Ona nikomu nie powie.

— Nie, nawet jej nie, bo inaczej nie będę już nigdy mógł przyjść i zobaczyć się z tobą...

— A jeżeli jej nie powiem, przyjdiesz?

— Tak, może... tak, z pewnością, w niedzielę...

— No, to nic nie powiem Dorocie... Muszę iść, bo Maria...

Wzięła go za rękę i pociągnęła. A wtedy szybko, zanim rozstał się ze starym panem, Jaś odwraca się i oznajmia mu wielką tajemnicę:

— Wiesz? Jest ich cztery! Cztery panie Manescu.

xx

Były cztery panie Manescu. Był pan Wenner. Były panny Moore. Była Leontyna i była Elodia. Była panna Petersen, pani Seltsam i jej córka Zofia; była pani z Węgier, owocarka, pan Tournemain, była praczka i Nenette, pani Vierge, pani Durand, pani Saint-Laurent i kto tam jeszcze.

Była ogromna pusta aleja, gdzie rano i wieczór słońce kładło się na każdym krańcu, aleja, gdzie szerokie, asfaltowe chodniki, opadające od Etoile ku Ternes, więziły w ogrodzeniach czarne drzewa o dużych liściach, wzięte z japońskich obrazów.

W górze alei panowała legenda i Łuk Triumfalny, a w dole — dostawcy różnych rzeczy, dzielnica biednych ludzi, pachnących żywnością, drobnych kupców i dozorców.

Ale życie trzeba brać takim, jakie jest, i jeżeli nie wymieniłem jeszcze innych osób, tym gorzej dla mnie. Były więc cztery panie Manescu.

Elwira, Elżbieta, Dorota i pani Manescu matka, której imienia historia nie przekazała, chociaż liczyła sobie lat co najwyżej pięćdziesiąt, ale była matką, nie będąc już żoną, mimo istnienia jakiegoś tam pana Manescu w Rumunii; produkował on zboże tak łatwo, jak kto inny oddycha; zboże, które ładowano na statki na Morzu Czarnym i które na tych statkach wędrowało nie wiadomo dokąd.

Pani Manescu była szpakowatą brunetką, nosiła czarne suknie z białymi wypustkami, włosy splecione w warkocze tworzyły kok w cieniutkiej czarnej siatce, wysoki kołnierzyk sięgał aż pod brodę... długie rękawy, spódnica krótka, ale bez przesady, tyle że ukazywała sam nosek wykwintnego trzewika. Rysy miała regularne, skórę lekko żółtawą, oczy czarne jak węgiel. Dawniej była zapewne dość tęga, obecnie chudła i dzięki starannie obmyślanym sukniom wyglądała jak te dziecinne rysunki, gdzie naiwność nie rozróżnia jeszcze kolan od ramion.

Jednym słowem, trudno było o coś równie czcigodnego jak pani Manescu.

Możliwe, że jest rzeczą sprzeczną z regułami powieści i nielojalną wobec czytelnika podawać tutaj o tej dostojnej osobie pewien szczegół antycypowany o parę lat, ale trudno. Gdyż bez tego rodzaju perspektywy patrzano by na ową damę z mniejszym zainteresowaniem. Nie od rzeczy więc będzie dowiedzieć się, że gdy panie Manescu opuściły Paryż, przez parę lat nie miano o nich wiadomości, a to z powodu zdarzeń międzynarodowych. Potem z kartki pocztowej z Rumunii, opatrzonej ładnym znaczkiem z fioletową obwódką, dowiedziano się, że podczas rewolucji chłopci pani Manescu obcięli jej obie ręce właśnie w miejscu,

gdzie zaczynają się rękawy. Rzuca to pewne światło na tę rodzinę i dodaje romantyczności opisywanej postaci. Zastanawiające tutaj są nie tyle te dwa kikuty, które jedna z panien Manescu owinęła rąbkiem oddartym w pośpiechu od halki, lecz fakt, że pani Manescu miała chłopów. Własnych chłopów. Którzy się zbuntowali. W Rumunii. Gdzie rośnie zboże. Którzy zbuntowali się, bo byli głodni. Od czasu do czasu bywa tam głód. Chłopi jakby oszaleli. I obwiniali o to tę kobietę w czerni z białymi wypustkami. Obie ręce. Trach, trach! Ale dość tych antycypacji.

Panie Manescu mieszkały na czwartym, piątym. Elżbieta, druga z rzędu, zbierała widokówki; trzecia, Dorota, hodowała groszek pachnący na balkonie, z czego wynikały ciągle zatargi z przechodniami, którym woda kapła na głowy; najstarsza, pani Elwira, jedyna wśród nich blondynka, dość tęga na swoje dwadzieścia pięć lat, nie miała żadnych zamiłowań. Była rozwódką i godzinami dumiała trzymając palec w książce, której nie czytała. Dumiała rano i wieczór, i przez cały dzień między rankiem a wieczorem, odpędzając, jak muchy, obie młodsze siostry, gdy gadały i śmiały się, znosząc co najwyżej w tym samym pokoju milczący cień matki, która miała jeszcze obie ręce. Niewysoka, szybko tyjąca, ponieważ była łakoma i nie odmawiała sobie niczego, nosiła (kolorowe jedwabne bluzki, najchętniej w paski, i ciemne spódnice angielskiego kroju. Piękne, krótkowzroczne oczy i zadarty nos.

Wynajęto fortepian dla Elżbiety, ale pani Elwira śpiewała. Najchętniej po niemiecku — *Ich grolle nicht i Im wunderschönen Monat Mai*. Wtedy pani Manescu haftowała swoimi doświadczoneymi dłońmi ciemnopopielatym jedwabiem na czarnym materiale, Dorota zaś, siedząc na pufie niemal na ziemi, obciągała spódnice; miała szesnaście lat i wyobrażała sobie swoje przygody z jakimś Cyganem w restauracji w Lasku Bulońskim. Nie była ładna, ale miała szesnaście lat, ciało już pełne życia i drobne, krągłe biodra. Pięknością była pianistka, Elżbieta, którą nazywano Betsy, na sposób amerykański. Nieduża, z wydłużoną talią, lat dziewiętnaście, biust ściśnięty gorsetem. Na szczycie tej długiej, giętkiej łodygi miała malutką głowę o delikatnych rysach, taki sam zadarty nos jak Elwira, ale nie wiadomo dlaczego prześliczny, oczy, których nie mogła zupełnie zamknąć, tak były ogromne i podniesione ku skroniom, i kasztanowate włosy, które zaczesywała do góry, tworząc z nich czub nad wypukłym czołem, ale kasztanowate nie barwą kasztanów, i lekkie, leciutkie jak piórko unoszone przez morskie fale. Po bokach te włosy, w dyskretnym, pięknym odcieniu, były mocno zebrane, aby mogły się wszystkie utrzymać na małej główce, i odkrywały cudowne uszy podobne do przezroczystych muszli.

Tak jak Dorota, nosiła płócienne bluzki i czarne spódnice. Jak Dorota, miała bardzo maleńkie ręce, które z trudem brały arpedzia na wynajętym fortepianie, bez końca wygrywając Liszta i Clementiego. Były to małe, arystokratyczne ręce, które obie panny odziedziczyły po mamie.

\*\*\*

Mijając bramę domu, widziało się pod dzwonkiem napis „*Furnished rooms*”<sup>\*</sup>/<sup>\*</sup>/*umeblowane pokoje*) i naprzód trzeba było otworzyć małe kwadratowe drzwi pomalowane na szary kolor, ze sztukateriami w złote żyłki. Potem otwierało się czarne lakierowane drzwi, które miały matowe szyby, wielkie prostokąty o zaokrąglonych narożnikach i biegnący dokoła meander podkreślony perlami.

Na wycieracze przy wejściu, niegdyś płowej, obramowanej czerwonym pasem, powtórzony był czerwonymi literami złoty napis głoszący na balkonie czwartego piętra nazwę pensjonatu: „Etoile-Famille”, co Elwirze Manescu zawsze przywodziło na myśl sztyld towarzystwa ubezpieczeń.

Za szklanymi drzwiami Elwira, u stóp schodów, z których trzy pierwsze były z kamienia, mijala dwa salony po lewej stronie, po prawej jadalnię i poprzedzający ją mały pokoik, a w głębi za schodami drzwi prowadzące do kuchni i niskie drzwiczki do piwnicy. Elwira mimo otyłości szybko biegła po schodach na swoich małych, lekko wygiętych nóżkach, ponieważ bała się, że służący, wysoki brunet bez wąsów, w kamizelce w żółto-czarne paski i w białym fartuchu, wyjdzie, aby z nią porozmawiać; bo chociaż Elwira wcale nie lękała się mężczyzn, ale wobec niego czuła się skrepowana, gdyż nie był to ani pan z towarzystwa, ani służący rumuński. Przyglądał się jej i uśmiechał się mocnymi, białymi, nierównymi zębami.

Elwira niosła zwykle w ręku parasolkę, brązową, z małą złotą rączką, torebkę ze stalowej siatki, boa z czarnych piór, które zdejmowała, gdy było jej za ciepło, i książkę lub żurnal, zdaje się, „Femina”. Czasami, gdy dochodziła do schodów, drzwi salonu otwierały się i wtedy żałowała trochę swego pośpiechu, bo ukazywał się w nich nie służący, ale na przykład pan Werner.

Pan Werner był wysoki, silny, dość szeroki w biodrach — rzecz zrozumiała u czterdziestoletniego mężczyzny, mocno wysnurowany. Wyglądał na oficera kawalerii w cywilu, a jego surduty zawsze miały w sobie coś z munduru. Na krwistej szyi, bardzo wysoki, twardy kołnierzyk z odgiętymi rogami, między którymi sterczało jabłko Adama; gustowny szary motylek w szary deseń; często kwiat w butonierce. Pan Werner był Niemcem, co ułatwiało sytuację i tłumaczyło wypomadowane wąsy pod długim, obwisłym nosem, wąsy lekko zadarte do góry, nie całkiem na wzór Kajzera, ale w tym stylu.

Mąż Elwiry był Niemcem i chociaż opuścił ją po pięciu latach dość burzliwego pożycia małżeńskiego, najstarsza z panien Manescu zachowała niewygasłą tęsknotę za językiem niemieckim. Nie cierpiała Rumunii i nigdy już nawet nie myślała po rumuńsku. Dumiała sobie po niemiecku, płakała po niemiecku, bała się po niemiecku, zemdlałaby po niemiecku, gdyby ośmieliła się jeszcze zawierzyć mężczyźnie albo przynajmniej zwalczyć swoją nonszalancję na tym punkcie.

Pan Werner był pełen kurtuazji i szacunku. Siwiejące włosy strzygł tuż przy głowie. Oczy miał niebieskie, wyblakłe, trochę złośliwe i bardzo małe. Palił wyłącznie cygara. Nie mieszkał w „Etoile-Famille”, zajmował bowiem w pobliżu, na ulicy Anatole-de-la-Forge, parterowe mieszkanie, ale przychodził na posiłki. Dom mimo tabliczki „Furnished rooms” był pensjonatem i obiady jadało się przy wspólnym stole. Dzięki temu wszyscy tu się znali.

Elwira wiedziała o panu Wernerze, że jest przedstawicielem jakiejś wielkiej firmy z Lipska. Podróżował po większych miastach Francji, a nawet Belgii. W przerwach wracał do portu macierzystego przy ulicy Anatole-de-la-Forge i stołował się w „Etoile-Famille”. Dorodny ten mężczyzna dobrze wypełniał swoje ubrania. Przy złotym łańcuszku na kamizelce nosił jako brelok tygrysi pazur.

Elwira zdziwiłaby się, gdyby jej ktoś powiedział, że żywi tajoną sympatię do pana Wenera. Mężczyźni z jej marzeń byli bardziej romantyczni, raczej szczupli, z krętymi włosami. Ale najczęściej wyglądali po prostu tak jak Karl. Mieli jego pociągłą, jasną twarz. Przyznałaby się jednak dziesięć razy chętniej do skłonności dla pana Wenera niż do tego, że w obawie, jaką napępiał ją służący, był jakiś niejasny pociąg. Z żalem jednak muszę wyznać, że sprawy właśnie tak wyglądały. Ale pan Werner mówił po niemiecku, co przypominało Elwirze zbiegłego małżonka i dodawało dniom gorzkiej słodyczy, którą wlokła po schodach wraz ze swoim boa, torebką, parasolką i zurnalem.

Duży kapelusz z fantazyjną ozdobą ze strusich piór płynął w półmroku pierwszego piętra nad postacią młodej pulchnej Rumunki, którą pan Werner ścigał oczyma jeszcze bardziej zmniejszonymi po wymianie paru komunałów na temat pogody i temperatury.

Na pierwszym piętrze mieszkała pani Seltsam, której nazwisko brzmiało dziwnie, jak pomyłka w paszporcie, i nierzadko Elwira Manescu, już zadyszana po dwudziestu jeden stopniach, z sercem trochę bijącym po spotkaniu na parterze, chcąc trochę wytchnąć pukała do drzwi numer pięć na pierwszym podejściu schodów.

\*\*\*

W pokoju pani Seltsam mieszkała się woń perfum i lekarstw. Przez źle zaciągnięte firanki i starannie zasunięte zasłonki niewiele światła docierało do dużego pokoju w nieładzie, gdzie stół zastawiony był butelkami, a odzież rozrzucona po wszystkich sprzętach. Na ziemi, u stóp białego lakierowanego łóżeczka, które przystawiono do wielkiego sosnowego łóża stojącego pośrodku, kotłowały się dzieci w jakiejś bardzo skomplikowanej zabawie, przy czym siedmioletnia Zofia Seltsam stale odnosiła zwycięstwo nad synkiem gospodarzy, Jasiem, o dwa lata młodszym, o długich aż do ramion lokach, z niebieską wstążką z lewej strony, bladym i nerwowym, ale dumnym, że zrzucił sukienkę i przywdział krótkie, trochę przyciasne spodnie, o które bał się, że na nim trzasną, chociaż był tak chudy. Zofia w fartuszkach w czerwono-czarną szachownicę, marszczonym pod



pachami, w skarpetkach, władcza, wruszała dostojnie ramionami, aby wyrazić, ile kłopotu mają dorośli z dziećmi, co nieomylnie było przygrywką do ciągów, którymi częstowała Jasia, a na które chłopczyk daremnie by się skarżył, gdyż należały do zabawy. Była to brunetka o wargach zaciśniętych, o długich rzęsach najczęściej opuszczonych na czarne oczy, z drobną twarzą, jakby miażdżoną przez nieposkromione, kędzierzawe, gęste, niesłuchanie gęste i kręte włosy, z którymi nie można było dać sobie rady, chyba że się je udało zebrać do tyłu splatając w rodzaj mysiego ogona, tak krótkiego, że nie sięgał fartuszka.

Pani Seltsam z trudem wstawała z fotela, gdzie siadywała przy oknie, od światła. Już od drzwi słyszało się jej świszczący, astmatyczny oddech. Była gruba, czarna, dość brzydka, miała ostre rysy i podwójny podbródek. Gdy odwracała głowę, kędzierzawą jak głowa córki, widziało się w świetle jej nienormalnie owłosioną górną wargę. Przyjechała z Odessy z tym spóźnionym dzieckiem, istną kłeską, która o mały włos nie zabiła czterdziestopięcioletniej matki. „Ach, to pani, droga Elwiro?” Opadała na fotel, z ciemnym pledem na kolanach, chociaż w pokoju był upał. Hałas astmy nabierał siły jakiegoś świszczącego zegara. Chwilami zdawało się, że najrozmaitsze zwierzątka, uwięzione w jej piersiach, wydostają się jak z pokrytego liśćmi bagna. Spoza rosyjskiej wody kolońskiej i ambry przebijał eter, w którym tonęło wszystko, co otaczało panią Seltsam.

Jaś chciał powiedzieć dzień dobry pani Elwirze, ale Zofia mu nie pozwoliła; całą cierpliwie wypracowaną grę trzeba by zaczynać od nowa. Co do Zofii, mówiła dzień dobry z lekkim dygiem, ująwszy końce fartuszka, tak jak ją nauczono. Pani Seltsam i Elwira mówiły z sobą po francusku.

Odessa nie leży tak daleko od Rumunii, aby pani Seltsam nie paplała trochę językiem pań Manescu, przychodziło jej to jednak z trudem. Niemiecki lepiej by odpowiadał Elwirze, ale wyrzekła się go, ponieważ niemczyzna pani Seltsam była nieczysta, skalana językiem jidisz. Obie mówiły po francusku w sposób zbliżony, jak nauczyły się od guwernantek, stylem wzbogaconym tymi samymi lekturami, od Andrzeja Theuriet po Eugeniusza Fromentin.

Pod wpływem głosu Elwiry pani Seltsam zdawała się wyzwalać spod długotrwałego uroku. Otyła, stale drzemiąca kobieta, w czarnej koronkowej sukni, która tworzyła na niej jakby wzorzysty ornat, przyzwyczała się tak pochylać głowę, że miażdżyła sobie podwójny podbródek i opierała nos niemal na ogromnym biuście, zaludnionym przez leśne szmery. Nosila naszyjnik z dżetów, który w dziesięciu rzędach rozkładał się niczym serweta na tym wagnerowskim łonie.

— Jak pani spędziła dzień? — spytała.

Ale wpiery trzeba było wypędzić zbyt hałaśliwe dzieci, bo nie słychać, co się mówi. Jaś popłakiwał. Cierpki głos Zofii udawał głos nauczycielki. Zejdźcie pobawić się w pokoiku na dole i starajcie się być grzeczni! W pokoju nastawała wreszcie cisza mająca za tło rechotania żab i trzask

suchych gałęzi, które składały się na zwykłe milczenie pani Seltsam. Wtedy Elwira opowiadała, jak spędziła dzień. Była na wolnym powietrzu, w świetle wolnym od buteleczek i przefiltrowanego światła. Na ulicy tworzyły się zatory, automobile pędziły jak szalone, na drzewach były liście, magnolia na Polach Elizejskich obsypała się kwiatami. Usiadła na żelaznym krzeselku w alei Lasku Bulońskiego i wstała z niego na czas, właśnie gdy ukazała się kobieta pilnująca tych krzeseł, ze skórzaną torbą i kwitariuszem w ręce. Śmiały się z tego obie — Elwira i wzdychający Czarny Las, jak z dobrego figla, wyplatanego natrętnemu światu, który stale domaga się pieniędzy od kobiet, dość już oburzonych, że muszą płacić modniarce i krawcowej. Ileż tam ludzi w tej Avenue du Bois de Boulogne! Elwira z zapałem opisywała toalety, a także paru oryginalnych mężczyzn i wygląd pewnego bardzo eleganckiego pana, który uśmiechnął się do niej i przez chwilę szedł za nią, ach, tylko parę kroków. Na szczęście spotkała Jasia ze służącą, może pani sobie wyobrazić tę scenę!

A potem sklepy, nowe materiały, okazje. Nie zgadnie pani, gdzie piłam herbatę... Tam, założyłabym się! Ale co pani widzi szczególnego w tym lokalu? Ludzie, oczywiście... Cały Paryż huczał w pokoju, a pani Seltsam gniotła haftowaną chusteczkę w nabrzmiałej dłoni. Moje dziecko, pani daje mi złudzenie, że jeszcze żyję. Gdyby nie astma, poszłabym zobaczyć to pani tango. Elwira wstała, kładła swoje drobiazgi na łóżku i pokazywała kroki: corte, nożyce, la *media luna*...

Pani Seltsam śmiała się. Czasem pytała wysokim głosem:

— No dobrze, a co tymczasem robi partner? Ja chciałabym zobaczyć partnera!

\*\*\*

Codziennie po śniadaniu Jaś szedł na górę do pań Manescu. Jeżeli spóźniał się, Dorota schodziła po niego. Pani Manescu gładziła go po głowie i dawała mu czekoladowego cukierka w srebrnym papierku, czerwonym z drugiej strony. Potem Elżbieta i Dorota prowadziły go do sąsiedniego pokoju lub na balkon, gdzie zaczynało się szaleństwo. Cukierki, cukierki wszystkich rodzajów. Rozpuszczające się. Miękkie karmelki. Landrynki. Małe czarne z lukrecją.. Ziarnka kawy. Błyszczące o smaku owocowym. Twarde, które długo topiły się w ustach. To znów twarde, które miękły, gdy się je ugryzło. Chrupiące. Pralinki. Nadziewane. Z likierem. Po prostu cukierki, cukierki, bez końca!

Te małe Manescu przepadały za cukierkami. Dla nich zapominały o fortepianie, pocztówkach, pachnącym groszku. Kazały Jasiowi mówić z pełnymi ustami, śmiały się, bawiły się z nim w lalkę. Duża, żywa lalka, która rusza się, zanim zdoła się to przewidzieć, mówi, mimo że się jej nie przyciska brzuszka, a jak przyjemnie ją pieścić! W dodatku to chłopiec. Tajemnica.

— Doroto, daj mi jeszcze tych w papierku, z białym cukrem po wierzchu!

Ze swojej sofy, którą wyłożyła wiedeńskimi liliowymi poduszkami, Elwira patrzyła na chłopca w rękach dziewcząt. Nożem do papieru w kształcie

chińskiego jataganu powoli rozcina kartki książki, której nie czyta. Której wcale nie czyta. Jak nie czytała naprawdę i innych, wszystkich innych tak przecinanych nagłymi ruchami, które brzydtko przedzierały papier; jak nigdy nie czytała nic.

Bo gdy jej oczy odcyfrowały zdanie, którekolwiek zdanie, na początku, na końcu, w środku książki, na ślepo, tak skomplikowane jak zawile arabeski, dziwnie płaskie lub poetyczne, zawsze tam dla zagubionej głowy Elwiry była okazja, aby zagubić się jeszcze bardziej i marzyć. Nie kończyła nigdy zaczętego zdania. Słowa wydłużały się, porywały ją, unosiły się jak korki na falach jej myśli. Nie mogła już czytać. Mogła już tylko marzyć.

Śmieszek Jasia, okrzyki Elżbiety i Doroty zwracały chwilami oczy Elwiry na grupę otoczoną talerzykami i pudełkami pełnymi cukierków, ciastek, słodyczy i Elwira też wyciągała rękę ku stojącemu przy niej pudełku, z którego brała rachatlukum o smaku róży lub ananasu. Jednocześnie głowa jej znów żeglowała po mieszaninie wspomnień i żalów, niepokoju szalonych i zrezygnowanych, po czymś jak smutek błogi niczym szczęście. Patrzyła zwłaszcza na swoją siostrę Betsy. Z podziwem zmaconym zazdrością. Z uczuciem bliskim nienawiści. Jaka ta Betsy piękna i drobna, smukła! Ta wysoka pierś na giętkim ciele, które można by ująć w duże rozpostarte dłonie. Ta głowa przedziwnie młoda i świeża. Jak źródło! Piękna jest Betsy.

Piękność tę Elwira dobrze знаła, znała ją w głębi swego tłustego ciała, bo była to jej piękność, jej dawna, wczorajsza piękność, utracona i odnaleziona. Elwira była taka, miała tę niewiarygodną talię, gdy on brał ją w przepaść swych ramion...

Pięć lat, trwało to pięć lat — całe jej życie, a zarazem zaledwie tyle, by zaczerpnąć oddechu; pięć lat, wiek i błyskawica. Nie wyobrażała sobie, aby się to mogło skończyć, a jednak skończyło się; była to śmierć. Patrząc na Elżbietę i machinalnie sięgając po rachatlukum, jak mocno czuła teraz okrutny i nieczuły mechanizm tej śmierci. Kochał ją jak dziewczynkę, z tym szaleństwem i siłą, jakie wkładał we wszystko. Po prostu — kochał ją. A później skończyło się to tak naturalnie jak wypełniające się lato. Nic o tym nie wiedząc przechodzi się od kwiatu do owocu, miąższ przejrzewa, jest jesień.

Ale z jaką szybkością nadszedł październik! Dwadzieścia pięć lat i już... Dwa lata temu odszedł, zawsze tak samo silny, zły, straszny. Dwa lata. Książka zsuwa się na kolana. Elwira doskonale zdaje sobie sprawę, jak się to stało. Tak doskonale. Tak przerażająco doskonale. Czuła, że on męczy się nią. Tyła. Z początku nieznacznie. Śmiał się z tego wesoło. Miło. Złośliwie. Ona przybierała na wadze. Nie mogła nic na to poradzić. Była zbyt niedbała. Na próżno czuła w sobie własną zgubę, upadek, nie mogła się opanować. Chrupała coś nieustannie, lubiła słodycze.

Elwira patrzyła na Betsy, która rzucała w górę cukierek i chwytowała go w locie drobnymi zębami. Jaś śmiał się. Dla Elwiry śmiech ten zlewał się z innym śmiechem.

Nie śledziła już dalej sceny rozgrywającej się przed nią, jak nie czytała książki, która wraz z chińskim jataganem spadła na ziemię. Głos - nierzeczywisty i gorący szeptał w jej włosach: „Liebchen, *Liebchen*”...

Betsy szczupła i zwinna, Betsy o drobnych aroganckich piersiach. Ze zgrozą i perwersją, z jakąś smutną przyjemnością Elwira jasno widziała los tego uroczego młodego ciała, które jeszcze nie zaznało życia. Ta sama niedbałość, ta sama niezdolność do stawiania oporu przyjemności, życiu, łakomstwu. Ona, Betsy, także utyje, ktoś oduczy się ją kochać; ona nie znajdzie siły, aby walczyć z sobą samą, pójdzie drogą Elwiry. Nie będzie kochana, nie będzie już kochana.

Dobre łzy, jak letni deszcz, ciepły i słodki, spłynęły po twarzy Elwiry. Nagle zatrzymała je przejmująca myśl — nie widziała go nigdy płaczącego. O Boże, on może gdzieś płakał, a jej tam nie było! Znów sięgnęła po mdłe, obsypane mialkim cukrem rachatlukum.

O czym myśleć? Do czego się uśmiechnąć? Życie było tak zdumiewająco krótkie i niedbała Elwira ani przez chwilę nie pomyślała, że mogłaby je podjąć na nowo, inaczej. Była z góry pokonana. W dwudziestym piątym roku życia minął dla niej wiek, kiedy mogła być kochana. Ale nie wiek kochania, którego zamęt z lękiem w sobie zachowała. Przerazała ją własna młodość, ale z przyczyny tej długiej, ciągnącej się bez końca drogi przed nią, poprzez życie, z samymi wspomnieniami, z popiołami, które powoli, straszliwie zastygały na jej sercu.

Tak samo będzie z Elżbietą.

Oto dwa krańce życia; mogła ich dotknąć, zobaczyć, porównać. Tu Elżbieta, a tam pani Seltsam. Między nią a siostrą było zaledwie siedem lat różnicy, prawie dwadzieścia zaś między nią a panią Seltsam. Nic nie przeszkodziłoby jej przemknąć ku temu cieniowi przyszłości.

Nic. Elżbiecie zresztą także. Elżbieta zanadto lubi cukierki.

Pamiętam. Gdy miałam tak drobne piersi, on lubił usiąść za mną i brać je w ręce. Był silny. Miażdżył je trochę. Sprawiało to ból. Kto miażdżyłby teraz moje piersi? Pani Seltsam czeka śmierci. I ja także. I Elżbieta.

Życie kobiet przemyka między palcami. Mężczyzna, mężczyźni. Ale jesteśmy pewne przegranej. My zawsze w końcu zostajemy z pustymi rękoma. Niektórym dane jest to szczęście, że mają dziecko. Kto miał dziecko z tą Seltsam? I to tak późno? Siedem czy osiem lat temu. Mniej więcej wtedy, gdy poznałam Karla. Nie była chyba taka znowu inna niż teraz. A jednak mężczyzna począł z nią dziecko. To dziwne. Trochę obrzydliwe... To było wtedy, gdy poznałam Karla... Karl... Karl.

Nad tym słowem Elwira mogła dumać bez końca, głębiej niż o czymkolwiek innym na świecie, z rachatlukum w swej niedbałej ręce...

Jaś bardzo głośno śmiał się z Dorotą. Wykradł jej pralinę z ust.

## XXI

Podesty na pierwszym i drugim piętrze były podobne; usunięto tam drzwi

do mieszkań, tak że korytarz wychodził wprost na schody ze swymi pięcioma pokojami od ulicy i jednym od podwórza. Na podeście z lewej strony były drzwi od małego pokoiku nie należącego do żadnego z mieszkań.

Od trzeciego do piątego piętra mieszkanie odzyskiwało charakter mieszkania. Na trzecim piętrze — dla właścicieli, na czwartym dla pań Manescu, najważniejszych lokatorek pensjonatu (panie te wydawały na życie ponad dziewięćset franków miesięcznie). Piąte piętro było wynajęte, jak zwykle w domu czynszowym, ludziom z prowincji, którzy bawili tam rzadko, ale osobny pokój nie należał do nich.

Na schodach leżał pstrokaty beżowy dywan, który po bokach miał czerwone pasy i czarny obrąbek. Były też miedziane pręty. Tapety imitowały skórę, były brązowe, wytłaczane w kwiaty lilii, z których złoto już się złuszczyło. Na piętrach drzwi czarne z mosiężnymi klamkami i dzwonki — nie ze sznurkami, lecz guzikami, które wystają ze ściany pośród kielicha złożonego z koncentrycznych kół. Wszystkie wydawały prawie jednakowy, daleki dźwięk jakiegoś cennego przedmiotu, który dyskretnie pęka.

Dzwonki w pokojach inaczej dawały znać o sobie. Dźwięczały na dole przy schodach i na tablicy oprawnej w politurowane dębowe ramki można było odczytać wybity numer lokatora, który wzywał kogoś ze służby. Za grubą szybą w czterech rzędach widniały numery innych pięter. Na czarnym tle, pełnym tajemniczości. Można było długo stać przed tablicą i zastanawiać się, jaki numer ukaże się na czarnym tle; Zofia nie lubiła tej zabawy; taka nieruchawa! Ale Jaś lubił wszystko, co dawało mu sposobność do marzeń. A także zakładał się. Dziesiątka, teraz będzie dziesiątka! Za nic w świecie nie można go było odciągnąć, zanim ktoś nie zadzwonił. Ukazała się trójka — przegrał.

Jaś wyjaśnił kiedyś tę grę ciotce Joannie i ciotka Joanna powiedziała, że Jaś gra w koniki. Dlaczego w koniki? To pogłębiało jeszcze tajemniczość i Jaś stojąc przed czarną tablicą wyobrażał sobie, że poprzez ściany zbiegają małe koniki niosąc w zębach numery. Lokator naciskał guzik w swoim pokoju i konik zbiegał aż na dół z czarnym numerem wypisanym na celuloidowej karteczce.

Gdy dwa koniki zostały wydzwonione równocześnie, musiały się odbywać wyścigi. Który prędzej zbiegnie na dół, za wytłaczaną skórą i kwiatami lilii? Jaś wyobrażał sobie, że są to różne koniki: na pierwszym piętrze całkiem białe, na drugim brązowe, na trzecim, to znaczy u niego, Jasia, czerwone, a na czwartym, u pań Manescu, czarne. Jaś chętnie dosiadłby jak dżokej jednego z koni, na przykład czerwonego. Ale tego się nie robi. Trzeba więc było poprzestać na wyobrażeniu sobie ich galopady z pięter na parter, w ścianach. Nie było tam nic widać, a jeżeli który zmylił drogę! Na myśl o tym Jaś wybuchał śmiechem, śmiał się z całego serca. Ale koniki były bardzo sprytnie i doskonale wytresowane. Nie myliły się nigdy, nie mieszały się im numery, niosły je, gdzie należało, niezawodnie.

Czasami, gdy nikt nie dzwonił, słyhać było ich galop w ścianach. Ależ gnały! Widocznie bawiły się między sobą, zakładały się, płątały sobie figle. Leontyna przypuszczała, że to myszy. Ale Leontyna sama nie wie, co mówi, a poza tym nie wierzy w koniki. Więc jej się wydaje, że wie lepiej niż jej pani! Jaś nie będzie dyskutował z Leontyną.

Ani ze służącym, człowiekiem, który kłął na czym świat stoi, gdy na tablicy ukazywał się numer. O, ten by wysmagał biczem te biedne małe koniki!

Służba to odrębne istoty... Tak mówił tatuś, a ciotka Joanna i babcia zupełnie się z nim na tym punkcie zgadzały. Wszyscy mówili i powtarzali Jasiowi, że służba to nie tacy ludzie jak my. Jaś zresztą sam to zauważył: bo czy my nosimy fartuchy? Albo czepki, jak Leontyna?

Myśl o babce w czepku wydawała się Jasiowi niesłychanie komiczna. A ponieważ bardzo lubił się śmiać, wyobrażał sobie babcię w fartuchu i czepku, stojącą na stołku i myjącą okna.

— Dlaczego to dziecko śmieje się samo do siebie? — pytała ciotka Joanna.

— Wciąż myśli o tych swoich głupstwach.

Jaś pragnie wytłumaczyć:

— Myślałem o babci, jak w czepku i fartuchu stoi na stołku i myje okna...

Doprawdy, to dziecko jest niezwykle głupie.

— I z tego się śmiejesz? Ach, gdy wyrośniesz, to dopiero będzie ładna historia!

Jaś nie lubił ciotki Joanny. Jest brunetką; on woli blondynki. A przy tym stale się sprzeczają. Ona uważa sobie za ujmę rozmawiać z dzieckiem. Daje mu klapsy, gdy on chrupie biszkopty, i mówi, że on mlaska. Opowiada, że Jaś, gdy pije, wsadza nos do szklanki. Nie lubi ciotki Joanny, a zresztą nie zaprzęta sobie nią głowy, nawet gdy sobie o niej przypomni; on myśli o służących i dalej będzie o nich myślał.

Oni nie są tacy jak my. Są brzydko ubrani, to znaczy w liche, grube, pospolite materie. Na przykład Leontyna nosi czarną, marszczoną spódnicę, bezkształtną, nie jak ciotka Joanna i panna Petersen. Materiał szorstki, zakurzony. A na to rodzaj szarego kaftanika zapiętego pod szyję, w którym wygląda tak żałośnie. Gdy ma podawać do stołu, wkłada piękny biały fartuszek z szelkami. Całe szczęście! To my daliśmy jej ten fartuszek. Jej owalny tiulowy czepek, obsyty dokoła dużą falbaną, można uważać równie dobrze za ładny, jak za brzydki. Jest to czepek z okolic Angers czy jak tam. Ciekawe, jak daleko jest do Angers? Czy to jest kraj służących? W każdym razie czepki z Angers jest ładniejszy od tego, który nosi Elodia, kucharka, kupionego w „Bon Marche” — takie coś okrągłe, ściągnięte gumą, z białego perkalu. No, dla kucharki do garnków wystarczy. Elodia brudzi wszystko; strach, jak ona wszystko brudzi!

Służący mają twarze wytłuszczone. Co do Elodii, przy jej garnkach jest to zrozumiałe. Ale ta Leontyna? Leontyna nie ma rumieńców, wargi jej są blade, skóra zawsze trochę wilgotna. Jej włosy, które wsuwa pod czepki, gdy się spod niego wymkną, są to grube jasnobrązowe włosy w kosmykach

i wydają się brudne. Twarz Leontyny jest nabrzmiała we wszystkich kierunkach; wypukłe czoło, długie policzki, wyleniało rzęsy, brwi prawie nie widać. Głowę odchyła w tył pod ciężarem czepka, co sprawia, że szyja robi się gruba jak u gołębia. Sprząta pokoje z Piotrem, służącym, i podaje do stołu. Wstaje wczesnym rankiem. W zimie obrządza piecyki. Wymawia gardłowo „r” i przeciąga wyrazy.

Elodia ma twarz całą w zmarszczkach, usta zawsze trochę otwarte i oczy lekko zezowate. Nawet Jaś zdaje sobie sprawę, że jest bardzo niska. Stawia przy kuchni małą ławeczkę, aby mogła zaglądać do mosiężnych garnków. Kuchnia jest ciemna i zadymiona. Oszczędza się elektryczności. A zresztą Elodia ma dobre oczy. Gdy czasem zaświeci się za wcześnie, tatuś robi wielką awanturę. Widać, że nie ty płacisz, moja droga, gdzie jesteś, jak ci się zdaje? W operze?

Elodia jest mężatką. Nie nocuje w pensjonacie. Wraca co wieczór do Courbevoie. Tramwajem z Saint-Germain, do którego wsiada na placu Etoile, bo nie zatrzymuje się on na Avenue-de-la-Grande-Armee. Jak to musi być dziwnie ożenić się ze służącą... Jaś nie lubi, gdy służące go całują. Chociaż w głębi duszy, nie wiadomo dlaczego, coś mu mówi, że trzeba cierpieć w milczeniu i nie zdradzać, co się myśli. Nie mógłby być narzeczonym Leontyny, to pewne. Jak to dziwnie pomyśleć. Leontyna i narzeczony? Roześmiał się.

— Co cię znowu rozśmieszyło? — zapytała ciotka Joanna. Jaś tłumaczy:

— Wyobrażam sobie Leontynę i jej narzeczonego i nie masz pojęcia, jakie to śmieszne! Ciotka Joanna wzrusza ramionami.

— Ten chłopiec ma naprawdę źle w głowie! Jaś dalej snuje marzenia. Widział raz męża Elodii, który przyszedł po nią, gdy zachorowała. To nie służący, lecz robotnik. Z jednej strony jest to gorzej, ale z drugiej — znacznie lepiej. Robotnicy są to służący w ubraniach z niebieskiego płótna, z różnokolorowymi łatami na spodniach, bardzo pomiętych, często uwalanych wapnem, w czapkach na głowie. Niektórzy mają w kieszeni składany metr. Pracują na powietrzu, włączają na rusztowania, rozbierają bruk na środku ulicy. Są tacy, co noszą wysokie buty, nazywają się kanalarze, schodzą do środka ziemi podnosząc ciężkie, okrągłe płyty na chodniku. Są również dekarze, ci biegają po dachach i tych Jaś w skrytości podziwiał. Inna sprawa z mężem Elodii. Pracuje w fabryce.

Już Elodia mówiła dziwacznie; używała słów, których Jasiowi nie wolno było powtarzać. Ale jej mąż, ten dopiero miał akcent! Brało się to jakoś z jego obwisłych wąsów. Przydałoby mu się zgrzebło. Ciotka Joanna próbowała go naśladować mówiąc byle co, kołysząc się na obie strony i dodając jakieś „psze psza” pomiędzy wyrazami. Wcale jej to nie wychodziło i ciotka Joanna głupio wyglądała robiąc z siebie błazna. Jaś zaśmiał się na cały głos.

— A teraz co sobie wyobrażasz? — zapytała ciotka Joanna.

— Nie wyobrażam sobie — odrzekł Jaś — tylko przypominam. Jak chciałaś naśladować męża Elodii: „psze psza”. I wyglądałaś wtedy całkiem

jak indor...

Paf! Dostał po twarzy. Jaś nie rozpląkał się. Zbladł, zacisnął zęby. Lekko pociera policzek. Ale i tak nie przestanie myśleć o służących, bo właśnie ma na to ochotę.

Myśli o rękach służby. O nie, to nie są ludzie tacy jak my. Mają inne ręce. I Jaś przygląda się swoim łapkom, na których są jeszcze dołeczki. Te ręce służby nigdy nie uderzyłyby Jasia po twarzy, i całe szczęście. Bo one są inne od naszych, mocne, grube i twarde. Na przykład ręce służącego. Ogromne ręce, niemal płaskie od spodu; myślałby kto, że zrobione z drzewa, ale nie, wcale nie z drzewa. Z całą masą drobnych linii, bruzd, zmarszczek. I zawsze pełno na nich zadrapań, blizn. Wierzch dłoni kosmaty, czerwony, jakby wysuszony. Paznokcie... Właśnie te paznokcie nie przypominają ani trochę długich, ślicznych paznokci tatusia, zawsze ładnie, na okrągło obciętych, białych, czasem lekko pożółkłych. Nie, paznokcie służącego były brzydko obcięte, bardzo szerokie, z czarną obwódka. Zanim zdołał je obciąć, łamały się. U lewej ręki miał jeden paznokieć zupełnie czarny, aż przykro było patrzeć. Kiedyś zmiażdżył sobie palec.

Mimo wszystko Jaś też chciałby mieć jeden paznokieć czarny. Dla odmiany. Dlaczego wszystkie paznokcie mają być jednakowe? Ale stąd bardzo daleko było do włożenia palca między drzwi, aby upodobnić się do służącego, co na chwilę przyszło mu do głowy. Jaś nie lubi sobie sprawiać bólu. To dziwne, jak on nie lubi sprawiać sobie bólu!

Zaśmiał się, bo zapomniał już o policzku. Ciotka Joanna ze zgorzszą miną patrzy na chłopca.

— A teraz wyobrażasz sobie coś czy przypominasz?

— Ani jedno, ani drugie. Coś sobie mówię.

— Co sobie mówisz?

— Mówię sobie, że jakie to dziwne, że ja nie lubię sprawiać sobie bólu.

Ciotka Joanna wzrusza ramionami.

— Żebyś wiedział, jakiś ty niegrzeczny! I w dodatku kłamca... Udało się to dziecko! Winszuję!

Jaś nie rozumie. Ale gdyby chciał wszystko rozumieć! Zwłaszcza że to, co mówi ciotka Joanna, jest czasami tak głupie!

## XXII

Leontyna jest służącą całego domu. Ale Maria jest moją służącą. Jaś wkłada w ten zaimek dzierzawczy taką samą dumę jak babcia mówiąc o admirale Courtot de la Pause, o swoim wykształceniu i nie wiadomo o czym jeszcze, gdy zwraca się pośrednio do nieznanym ludzi, którzy otaczają ją na platformie tramwaju.

Leontyna nie jest ładna. Ale ma rozgarniętą minę, podczas gdy po Marii od razu widać, że to głuptas. Ona też nie jest ładna. Jest niska, nawet Jaś to widzi, i gruba jak baryłka. Ma okrągłe oczy i grube wargi. Jej czarne włosy wyrastają ze środka czoła. Nie nosi czepka, jak Leontyna lub Elodia. Gdy



wychodzi z Jasiem, wkłada nawet kapelusz. Czarny słomkowy kapelusz. Mieszka w pokoju wychodzącym na podwórze, należącym do mieszkania. Gdyby Jaś zbudził się w nocy, mógłby ją zawołać, bo drzwi od korytarza zostawia się otwarte. Raz to już zrobił, gdy był chory... Maria spała jak suseł. Musiał ją wołać trzy razy. Tego jej nigdy nie zapomni. Powiedział to babci i ciotce Joannie. Trzy razy. Pokiwały głową. Ta dziewczyna ma mocny sen!

Jeżeli chodzi o Marię, ważny jest nie jej czarny kapelusz, nie ciężki sen ani nawet tumanowata mina, ani jej kaftanik z ciemnej, szkockiej wełnki, z płaskimi fałdkami wychodzącymi spod wsadzki. Ani nawet jej imię, które jest imieniem Matki Boskiej. A także jej prawdziwym imieniem, bo często zdarza się, że służącej nie nazywa się jej imieniem. Na przykład Leontyna nazywa się Joanna. Ale gdy ją godzono na służbę, postawiono warunek: nie będziesz się już nazywała Joanna. Z powodu ciotki Joanny. Myłono by się, ile razy ktoś wołałby: „Joanno!” A zresztą, nazywać się jak służąca! Ciotka Joanna dopiero by się złościła.

Maria stale ma usta otwarte. Dlatego że ma taki mały nos. A przy tym polipy w nosie. Gdy śpi, wyrabia wielkie hałasy. Mówiła to Paulina. Jaś zastanawia się, czy on chrapie we śnie. Jak się o tym przekonać? Rzecz niemożliwa. Ale nawet nie to jest w Marii ważne.

Ważne jest to, że Maria jest Włoszką, a Jaś nie cierpi Włochów. Dlaczego nie cierpi Włochów, nikt nie wie. Nie zna nikogo z nich poza Marią. Ale tak zdecydował w ów wieczór, gdy ciotka Joanna oznajmiła mu, że jego nowa niańka jest Włoszką. Był wściekły, że wydalono jej poprzedniczkę, prawdziwą niańkę. Potem o niej zapomniał. Nawet wcale nie pamięta, jak wyglądała. Ale ta była Włoszką. Więc Jaś nie pomijał żadnej okazji, by jej oświadczyć, że on nie znosi koloru zielonego. Obrzydliwy kolor — co zielone, to wstrętne. Maria doskonale wiedziała, że to aluzja do jej sztandaru narodowego. I twierdziła, że zielony to piękny kolor. Jaś wzruszał ramionami. Maria upierała się: piękny kolor, na pewno. Wtedy Jaś mówił:

— Dzisiaj źle wymietli spod łóżka. Widzę tam coś zielonego... — I ta idiotka Maria zaczyna płakać.

— Nie gniewaj się, Maria, ja tylko tak dla śmiechu... — No, co to za idiotka!

Maria sprzątała pokój Jasia i swój. Zajmowała się Jasiem, ubierała go, myła. Naprawiała jego ubranka. To znaczy — szyła. Cały dzień. Przede wszystkim dla Jasia. Ale także dla babci Pauliny, dla ciotki Joanny. Raz na tydzień prała Jasiową bieliznę i chusteczki do nosa, drobiazgi, których nie oddaje się do praczki, bo nie warto. Jej koszyk na robotę był z błyszczącej słomy i w środku na dnie leżały tam resztki materiałów, które mogły przydać się do naprawek: trochę flaneli, aksamitu, skrawki jedwabiu, kawałki białego płótna na łaty. Maria miała nożyce wielkie i małe, o zaokrąglonych końcach, a także całkiem małe, cienkie, w formie bociana. Dzieciom nie wolno ruszać nożyczek.

Szyjąc Maria śpiewała. Piosenki ze swoich stron. Nic się z tego nie rozumiało, jak podczas mszy. Jaś przysiągł sobie, że nigdy nie będzie się uczył włoskiego. Więc szkoda nawet próbować! To źle — powiedziała ciotka Joanna. Maria powinna rozmawiać z dzieckiem w swoim języku. Nie kosztowałyby to drożej. A zawsze dobrze jest znać jakiś język. Nawet włoski, chociaż włoski...

Ważne w Marii jest to, że jest Włoszką, bardzo bladą Włoszką, i że nie wyszłaby nigdy z domu bez parasola, bo nie ma zaufania do paryskiej pogody, że nosi fartuszek z drobnym haftem, aby nie robić wstydu Jasiowi, że gdy zacznie się modlić, modli się godzinami, że ma różaniec z czerwonych ziarenek z medalikiem, na którym jest Matka Boska z Dzieciątkiem, i że różaniec ten został poświęcony przez samego papieża. Tak, właśnie. Przez samego papieża. Babcia, która jest tak dumna ze znajomości z admirałem Courtot de la Pause, była bardzo zirytowana, gdy to usłyszała. Powiedziała nawet, że papież błogosławi takie różańce całymi stertami. Masowo. Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Poświęcił różaniec Marii.

Zdaje się, że papież jest także Włochem. Ale nie jest to rzecz pewna. Może admirał również jest Włochem. W takim razie współczuję okrętom. Maria, która robiła pończochy dla siebie — nie powinna tego robić, ona kradnie nam ten czas, poczekaj, już ja znajdę ci robotę — Maria obraziła się za te okręty. Twierdziła, że Włosi znajdują się na okrętach. Okrętach z żaglami, tak. Ale kto tu mówi o okrętach żaglowych? Jedno, co jest dobre we Włoszech, to Wezuwiusz. Widziałem go na wielkim obrazie.

— Maria!

— Co, Jasiu?

— Maria, wyjmij moje obrazki. Chcę zobaczyć Wezuwiusz.

— Daj spokój, przez ciebie pomyłę się w oczkach.

— Chcę zobaczyć Wezuwiusz...

Jest to wielki obraz z Napoleonem, morzem, małymi stateczkami o czerwonych żaglach; na pierwszym planie rybacy neapolitańscy z rybami i krzewami koralowymi. W głębi Wezuwiusz. Dymi. Jaś patrzy nań z szacunkiem. Obrazki leżą w drewnianym kufierku. A kuferek stoi w korytarzu. Nudno i trudno jest iść ich tam szukać. Zawsze jakieś pudła stoją na tym drewnianym kufierku. Nie można ich samemu zdjąć. Zwłaszcza że te pudła to nie są po prostu puste i pełne pudła. Są jeszcze różne rzeczy do zwrotu. Wiele miejsca w życiu zajmują te rzeczy do zwrotu. To znaczy rzeczy, które babcia każe przysyłać z wielkich magazynów, ale nie kupuje. Bo gdy już przyślą, jedno się jej nie podoba, tanto znowu jest za drogie albo już niepotrzebne; boa zaś miała wprawdzie raz na sobie, ale było jej w nim nie do twarzy, więc skoro nie zdjęła etykietki...

Gdy pada deszcz, ogląda się obrazki. Albumy angielskie z historiami o Chinach albo ten, gdzie mince-pies i pudding są osobami z nosem i ustami, Goliwogg, i książkę Beniamina Rabier, albumy kart pocztowych, brązowy

i niebieski, reprodukcje obrazów, elementarz...

— Maria, opowiedz mi bajkę!

Aha, właśnie. To za trudne dla Marii, ona nie umie opowiadać bajek. A gdy nawet zacznie, nie potrafi dokończyć. Nigdy się jej to nie udaje.

— Był sobie stary pan, który zbierał zegarki i mieszkał we Florencji...

Zaraz, a gdzie ona podziła naporstek? Brzydki srebrny naporstek z czarnymi punkcikami. Nie taki, jak ma Paulina, złoty we wzorki. O, jest, schował się wśród wełny.

— No, więc mów, co robił ten stary pan ze swoimi zegarkami?

— No przecież mówiłam ci, zbierał je.

To nie jest żadna bajka. Ten stary pan musiał się z nimi nudzić. Musiał mieć zegarki duże i małe. Dziwny pomysł. Bo przecież wystarczy mieć jeden zegarek. Jak babcia, która przypina go broszką do bluzki. Albo jak tatuś, w kieszonce od kamizelki, na łańcuszku. Bo wszystkie zegary mówią to samo. Która jest godzina. Albo są zepsute. A wtedy to już zupełnie wystarczy mieć jeden. Ten, który chodzi.

— No tak, ale ten stary pan zbierał zegary.

Ależ głupia ta Maria! Przede wszystkim powiedziała to już na początku. A zresztą zbieranie... Ja zbieram obrazki, które znajduje się w czekoladach Potina. To zrozumiałe. Jedna fotografia przedstawia panią Bartet, druga — prezydenta Mac Kinleya, trzecia — Mounet-Sully'ego albo królową Pomare; można je oglądać, układać, rozrzucać, bawić się nimi! Ale zegary!

— Ty znałaś tego starego pana?

— Ja go nie znałam, ale mówiono mi...

Ach, tak! Gdyby wierzyć wszystkiemu, co ludzie mówią. We Florencji...

— Powiedz mi...

— Co?

— Florencja... Czy to także we Włoszech?

Nagle robota wypada z rąk Marii; mówi:

— Firenze — i zdaje się jej, że powiedziała wszystko. Widocznie dla niej to coś znaczy. Myśli o Florencji; nie słyszy, co woła do niej Jaś; myśli o Florencji, nie czuje już ani gorąca, ani zimna; myśli o Florencji, zapomniała, gdzie jest, że trzeba dziś skończyć tę robotę; myśli o Florencji. Gdyby jeszcze umiała coś o niej powiedzieć! Ale nie! To, co Maria myśli, nie wychodzi z jej głupiej głowy, wiruje tylko przed nią, jak te kolorowe punkty, gdy się uderzymy w oko. Florencja. Nie ma o niej nic do powiedzenia. Florencja...

— No przecież ty mówiłaś, że stary pan mieszka we Florencji ze swymi zegarkami...

Co za stary pan? Ach tak! Uśmiecha się. Zapomniała.

Co za idiotka! Jasiowi zdaje się, że on umiałby lepiej opowiadać bajki. Ale w nich cały świat byłby do góry nogami.

A co do starego pana...

— Powiedz mi, Maria...

— Co, Jasiu?

— Ten twój narzeczony porzucił cię?

Nie od razu zrozumiała.

— Powiedział, że przyjdzie znowu w niedzielę... a potem nic z tego... Jak Krystiana...

— Powiedział, że przyjdzie znowu? Komu powiedział?

— Mnie. A czemu ty masz takiego starego narzeczonego? On jest taki stary, że nie powinien dawać ci czekać.

— Mówi pan głupstwa, panie Jasiu. Lepiej by się pan uczył czytać.

\*\*\*

Jaś leży jak długi na dywanie przed fajansowym piecem i czyta z elementarza. Prawdę powiedziawszy, piec nie jest piecem, dywan nie jest dywanem i Jaś nie czyta. Wierzcie mi! Przede wszystkim co do dywanu, było to lisie futro sprzed łóżka, zszyte z dwóch długich lisów z rozstawionymi łapami, rudych lisów, które z dwu stron obszyto pasami szarego sukna. Jeżeli chodzi o piec, był to zwyczajny kominek z białego fajansu, cały rowkowany, z mosiężnymi ozdobami tu i ówdzie, z kratą u dołu, a na wysokości dorosłego człowieka były podwójne mosiężne drzwiczki od piecyka, gdzie wygrzewało się półmiski. Bo i pokój nie był zwykłym pokojem, lecz dawną jadalnią, i ogień palono w pokoju sąsiednim, który zajmowała babcia. Tak więc nic nie było takie, jak się wydawało; nawet elementarz, bo wszyscy myślą, że z elementarza uczymy się czytać, a Jaś wcale się nie uczył; oduczał się. Gruntownie.

Jaś w swoim czarnym fartuszk podrygiwał na brzuchu. Ile razy zabierał się do elementarza, domagał się, aby Maria włożyła mu czarny fartuszek, bo chciał wyglądać jak uczeń. Nogi jego w czarnych pantofelkach z czerwonymi pomponami fikały w powietrzu i zderzały się rytmicznie. Maria łatała coś przy oknie, a na stole stygły Jasiowe ziółka.

— Co słyszę? Nie pijesz swoich ziółek?

To wszedł tatuś. Jaś kocha tatusia, który wydaje mu się wysoki, elegancki, silny i dobry. Całkiem młody, z czarnymi włosami, jasnym wąsem i zadumanymi oczyma. Jaś wykręcił się jeszcze mocniej i powiedział:

— Przecież widzisz, że ja czytam, tatusiu... Nie trzeba mi przeszkadzać.

Tatuś chwycił go za grzbiet jak kociaka i zagroził, że utopi go w filiżance z ziółkami.

— Niedobry chłopcze, wypijesz to wreszcie? Jaś usłuchał. Krzywi się.

— Rumianek!

A myślał, że to kwiat lipowy.

— Więc czytasz, Jasiu, jak dorosły mężczyzna? Pokaż no mi to.

Jasiowy nos wychyla się z filiżanki, chłopiec potrząsa w milczeniu głową.

— A dlaczego, mój panie? Przecież tyle razy tłumaczyło ci się...

Tatuś usiadł na zielonym krześle. Na mahoniowym krześle, które obite było zielonym, wytłaczanym pluszem. Wziął elementarz i oglądał obrazki. Jaś oparł się o jego kolano:

— No, czytaj: A, B, C... Jaś potrząsa głową.

— On nie chce się uczyć — odezwała się Maria. Jaś zacisnął wargi i

pogroził jej pięścią.

— Wstrętna bestia...

— Słuchaj no ty, żebyś mi się przyzwoicie odzywał do Marii! I czytaj ze mną... A... B... C...

Jaś powtarza bez entuzjazmu.

— Mój mały, przecież to takie łatwe: widzisz tutaj ten obrazek? Co to jest?

— Aligator — odpowiedział Jaś przeciągając samogłoski.

— A widzisz, aligator. A więc ta mała litera obok to jest... to jest... no... to jest A!

Jaś wzruszył ramionami ze znużoną miną. On przecież wiedział, że to jest A. Tyle razy już mu to mówili. Ale nie chciał powtórzyć. Nudziło go to. Poza tym uważał za idiotyzm, aby rysować aligatora obok litery A. Jeżeli aligator miał oznaczać, że trzeba tu czytać A, należało to powiedzieć, a nie wpisywać obok tego wielkie A, które wygląda tak głupio. Aligator jest ładniejszy. Zresztą jeżeli na widok aligatora pisze się A, trzeba by je czytać: aligator, a więc jest to litera aligator i sprawa skończona.

Wobec tego czyta:

— Aligator, bułka, cebula...

— Nie — woła ojciec — A... B... C... — Wszystko na nic.

— Zaraz — powiada Jaś — patrz, tatusiu!

Lewą ręką o czterech palcach złączonych i piątym, zgiętym, naśladuje ruch szczęki.

— Co to ma znaczyć, panie Janie, dlaczego tak panu oczy błyszczą?

— Ależ, tatusiu — mówi Jaś, bardzo dumny — przypatrz się dobrze: to jest litera aligator...

Paskal Mercadier z uśmiechem przygląda się Janowi Mercadier, swemu synowi. Jak dziwny jest rezultat zmieszania dwóch istot ludzkich! Z tego, co jest jakby łagodną burzą, w której splatają się gwałt i przyzwolenie, westchnienia i pocałunki, z tego splątania mężczyzny i kobiecych włosów w nieładzie, jak może wyniknąć właśnie to? Chłopiec jest przedziwnie podobny do matki; jednocześnie Paskal wie, że to na pewno jego syn, świadczą o tym niezbitnie słowa, jakie wypowiadał czasem ten malec; bo gdzie bezwiednie zaczerpnął te niezwykle myśli, tę logikę absurdu, jeśli nie w krwi, jaką wziął z niego, Paskala? Rozpoznawał siebie w dziecku Iwony, w dziecku, do którego miał taką urazę za to, że podobne jest do Iwony, że przechowuje dla niego rysy Iwony jak ból. I z zazdrości o Iwonę również. A także z przyczyny wyrzutów sumienia, jakie odczuwa odnajdując rysy Iwony w malcu bawiącym się klockami, gdy on wieczorem wraca do domu po długim dniu, w którym nie myślał o niej, zdradzał ją zapominając. Ostatnio trochę się to uspokoiło. Po pierwsze dlatego zapewne, że już trzy lata minęły od jej śmierci a następnie dlatego, że Jaś rośnie, staje się człowiekiem i mówi. Otóż gdy mówi, twarz jego się zmienia. Staje się podobny do ojca. Ma jego oczy. Iwona miała oczy niebieskie, bezdennie niebieskie. Paskal przychwytuje się na tym, że uważa syna za swoje echo chłopięce i dalekie. Spostrzega, że kocha syna, a nawet odczuwa niby

gorzką radość na to wspomnienie Iwony, które kazało mu niegdyś wołać: „Zabierzcie to dziecko! Nie mogę na nie patrzeć!”

Paskal nie jest całkiem taki, jakim rysuje się w złotawych oczach Jasia. Nie jest bardzo wysoki, nie jest bardzo silny, elegancja jego może budzić zastrzeżenia, a łagodności nie trzeba zanadto ufać.

Dochodzi trzydziestki. Jest w nim jakiś wdzięk, mimo że rysom jego brak subtelności; dolną wargę ma bardzo mięsistą pod jasnym wąsem, który świadczy, że w czternastym roku życia Paskal przebył tyfus. Pociągła twarz. Brązowe oczy. Ale to nic nie mówi, nie ma żadnego znaczenia.

Uderza w nim to, że się źle trzyma, że plecy są lekko zaokrąglone, mimo że ramiona są bardzo szerokie, że jest bardzo wąski w biodrach, a jego gładkie włosy, z rozdziałem po lewej stronie, często opadają na czoło długim, żółbkowanym kosmykiem, który odrzuca zwykłym sobie, mimowolnym ruchem prawej ręki.

Uderza w Paskalu jego uśmiech na nierównych zębach, uśmiech, który nasuwa myśl, że nie słucha, co się do niego mówi.

A także sposób ubierania się. Te dwurzędowe, bardzo luźne marynarki, wyszukane kamizelki w dyskretne paski, jedwabne, ekstrawaganckie krawaty z czarną perłą, przesadne kołnierze podkreślające jeszcze szerokość ramion; niezwyklego kroju spodnie.

Paskal niezupełnie jest taki, jakim widzą go złotawe oczy Jasia.

## XXIII

Nic już nie przypomina w tym wyszukanie ubranym, młodym i bladym mężczyźnie owego chłopca, który biegał w góry, aby zobaczyć „drugą stronę rzeczy” — chyba płomień w ciemnych oczach, coś namiętnego w głosie, kiedy mówi o drobiazgach bez znaczenia. Jak odszukać drogę od jednego do drugiego? Życie jest wędrowcem, który wlecze za sobą płaszcz po ziemi, aby zatrzeć swoje ślady. Ani kropla krwi, ani jedna komórka ciała małego Paskala nie pozostała w dzisiejszym Paskalu, który na wskazującym palcu lewej ręki ma bladożółtą plamę od tytoniu.

W dwudziestym ósmym czy dziewiątym roku ma się już życie za sobą, chociażby to się wydawało niewiarogodne i chociaż człowiekowi zdaje się, że stawia pierwsze kroki o własnych siłach i wykonuje nie obowiązujące jeszcze gesty. Paskal był bardzo bliski chwili, kiedy człowiek opanowuje swoje życie i decyduje o nim raz na zawsze. Nie był jeszcze wolny od tych długotrwałych zwątpień, dzięki którym wiek młodzieńczy utrzymuje się w wieku męskim jak noc, która nie opuszcza śpiącego, chociaż się obudził.

A przecież w dniu, kiedy rozdarła się nagle zasłona dzieciństwa, to fałszywe poczucie bezpieczeństwa rodziny, w jakim wzrastają dzieci ludzkie w świecie zamożnej burżuazji, w dniu, gdy dwunastoletni Paskal niejasno zrozumiał — ponieważ ojciec jego odjechał bez słowa, zostawiając na wieszaku w przedpokoju swoje rzeczy, których przez dwa tygodnie nie śmiano usunąć — zrozumiał niejasno, że nic nie jest pewne, że cyklon może zmieść wszystko i że na świecie liczyć można tylko na

własne siły, własną chytryść, własny upór — w tym dniu młody Mercadier zetknął się z rzeczywistością, niczym syn szanownej rodziny, którego nagle oddano do internatu.

Tego dnia pojął, że prowadzono go właściwie po krawędzi pozorów, i z goryczą zaczął się uczyć drugiej strony rzeczy, drugiej strony, gdzie nie ma zbrojnych kawalkad, chełpliwych olbrzymów, zaczarowanych lasów. Świat żelaza i upokorzeń, gdzie można tylko zaciskać zęby i cierpieć. Ironią losu nominacja Piotra Mercadier do Paryża nadeszła dokładnie nazajutrz po jego ucieczce i Paulina bez końca płakała, żaliła się i powtarzała, że to trzeba mieć pecha, bo gdyby on o tym wiedział, nie opuściłby ich; ale zresztą dobrze zrobił, że sobie pojechał, to po prostu szczęście, a ona mówi tak nie ze względu na siebie, lecz na dzieci — wyrodny ojciec, i te pieniądze! Zwyczajny oszust, złodziej, skąd weźmiemy na chleb? Pozostaje opuścić ręce i czekać śmierci. Tymczasem sprzedawała koronki, aby sprawić sobie skromne suknie, lepiej dostosowane do nowej sytuacji.

Trzeba było opuścić zbyt drogie liceum, co zresztą dogadzało Paskalowi; źle znosił wstyd wobec bezlitosnych kolegów, tę jakby wiecznie obecną pamięć o postępkach jego ojca w ich wzroku i to, co sobie zapewne w ich domach o nim opowiadano. Gdyby miał więcej szacunku dla matki i gdyby uchodziła w jego oczach za męczennicę, łatwiej byłoby mu ścierpieć tę niesprawiedliwość. Ale uważał matkę za głupią, i taką była, i jej lekkomyślność, niezrozumienie nowych warunków sprawiły, że Paskal czasami rozumiał ojca i usprawiedliwiał go. Jediną osobą w rodzinie, do której miał zaufanie, był wuj Błażej, który pojawił się znowu w ciężkich chwilach, ale jego kłótnie z siostrą bardzo szybko odsunęły go od rodziny, z którą zerwał był w młodości, by teraz odnaleźć ją w trudnej sytuacji. Joanna płakała nieustannie, że nie chodzi już na kursy, nie dlatego, aby pragnęła wiedzy, ale dlatego, że nabrała już zamiłowania do życia towarzyskiego i stosunków z ludźmi. Sprawa ciągnęła się, były korowody z adwokatami, notariuszami, sprzedaż mebli po babce, żebranina u kuzynów Champdargent, aż wreszcie biskup d'Amberieux umieścił Paskala w katolickim kolegium, gdzie trzymano go bezpłatnie; pani de Lassy wzięła na siebie edukację Joanny i oddała ją pod opiekę nauczycielki, która uczyła małą jej siostrzeniczkę; a wściekła, rozgadana, niekonsekwentna i jęcząca Paulina spadła na kark wujowi de Sainteville, między trudnościami z zamkiem, hipoteki, nagłe pożyczki i wizyty właściciela, które składał już doktor Moreau w swoim przysłym sanatorium.

Ubóstwo objawiło się więc Paskalowi prawie natychmiast jako przymusowe kłamstwo. Nie wierząc bowiem w Boga, Paskal wiedział, i nikt nie musiał mu tego tłumaczyć, że elementarna przyzwoitość wymaga, aby udawał, że wierzy, aby chociaż w ten sposób płacił za chleb powszedni ojcom, których nie cierpiał wraz z ich słodyczą, wraz ze względami, jakie uważali za swoją powinność okazywać temu ubogiemu uczniowi, młodzieńcowi dotkniętemu nieszczęściem rodzinnym. Z goryczą uczył się, w okresie mutacji głosu, że tylko ten ma prawo mówić, co myśli, kto ma po

temu odpowiednie środki. Nauczył się milczeć i nienawidzić w milczeniu. Nauczył się rumienić za swoich. Nauczył się nie wierzyć ani w dobro, ani w zło, o którym mówiono mu, i nie pokazywać tego po sobie. Nauczył się nosić za krótkie rękawy, z których głupio wylażą napiętki, nauczył się wyżej cenić w niedzielę internatową sypialnię od wizyt u Denizy de Lassy, ta bowiem co dwa tygodnie zabierała go do siebie wraz z Joanną i małą siostrzenicą, która podobna była do młodej małpki przystrojonej we wstążki, palce miała lepkie od cukierków i naśmiewała się z krótkich spodni i uczniowskiej czapki Paskala. Gdy pani Mercadier przyjeżdżała do Paryża, było jeszcze gorzej. Niedziele z głupią matką, kiedy nie miał ani grosza, aby pójść do teatru i uniknąć w ten sposób rozmowy, były koszmarem całego roku. W sypialni można było przynajmniej czytać. Przewinał się tamtędy cały Erckmann-Chatrion, niektóre książki Alfonsa Daudet, okrojony Szekspir, kapitan Danrid, tomiki Wiktora Hugo czytane po kryjomu... wreszcie Flaubert, Flaubert, pożyczony od pewnego eksterna, który był odwetem, błogosławionym trunkiem w tym świecie opanowanym przez krucyfiks, gdzie chłopcy po kątach robili świństwa i oczyszczali się z nich na spowiedzi.

Echo tego wszystkiego, co działo się na zewnątrz, jak Wystawa Powszechna, wojna z Burami, ministerstwa upadające jak domki z kart, wielkie batalie o laicyzację, usuwanie zakonnic — docierało do Paskala dalekie, zniekształcone, fantastyczne i chłopak przyswajał to sobie tylko jako dziwaczne dekoracje, jako odległy akompaniament swoich myśli i marzeń. Niby błogosławieństwo niebios przyszedł ten cudowny tyfus i dni w szpitalu, które zaliczał do najpiękniejszych i najmilszych dni młodościowego wieku. Były jeszcze wakacje w Sainteville, w Sainteville, które podupadało z roku na rok, ale gdzie samotność była zawsze osiągalna, góry przyjazne, a park, częściowo już sprzedany, dość zaciszny. Mimo gadulstwa, wariackich śmiechów i komedij Joanny, która stawiała się dużą, hałaśliwą dziewczyną. Mimo że dziadek gonił resztkami, dusił się od czasu do czasu i że coraz bardziej zalatywało od niego wonią lekarstw zmieszanych z zapachem niedbałej starości. Coś w rodzaju dziwacznej tragedii rozgrywało się w sercu Paskala. Z góry już przyjął swój los; nigdy się przeciw niemu nie buntował, nie chciał naśladować ani ojca, ani wuja Błażeja, ale przygniatała go ta gorzka dola, a także przekonanie, że młodość jego nie będzie ani swobodna, ani szczęśliwa, a to z przyczyny ciężaru, który już dźwigał na ramionach — matka, siostra, troska o samego siebie. Nie poddawał dyskusji tego potwornego obowiązku, ale nieustannie czuł wypływające z tego przygnębienie. Życie miało dla niego tylko odpadki. Czy zadowoli się nimi? Wystarczą one dla galernika, jakim stanie się z chwilą, gdy tylko nabierze dość sił. Czy będzie studiował? Należałoby, ale jak miał nabrać zamiłowania do matematyki lub łaciny, gdy nie mógł się ich uczyć bezinteresownie? Nie robił nic, czego nie widział w obmierzłej perspektywie użyteczności. A rodzina nie pozostawiała mu w tym względzie żadnych złudzeń. Gdy odwiedzała go



matka, stale o tym tylko mówiła:

— Jak tam? Uczysz się dobrze? Wiesz, że będzie ci to potrzebne. Czy już zdecydowałeś się na jakiś zawód? Nauka to piękna rzecz, ale powinna do czegoś prowadzić... Na przykład — inżynier? Nie chcesz? Inżynier to ładny zawód i popłatny... Ludzie go poważają... Ale ty jesteś słaby w rysunkach i w tym całe nieszczęście... Czy nie potrafiłbyś się przemóc? Ja rysowałam bardzo dobrze w klasztorze... Szkoda, żeś nic z tego nie odziedziczył... Zapewniam cię, że to bardzo ładnie być inżynierem... Oczywiście, marynarka... Ale nie możesz przecież nas porzucić, mnie i siostry, a zanim zostaniesz admirałem!

Joanna nie więcej okazywała delikatności; wspominała nawet o posagu, jak gdyby on mógł od razu, przez okres pięciu lat, o które była od niego młodsza, odłożyć sumę wystarczającą na kupienie jej męża... Złe stopnie brata uważała za uszczerbki w swoim posagu i wpadała w złość. Gdy zdał małą maturę, podniosła cyfrę swoich roszczeń i oświadczyła, że wyjdzie tylko za wojskowego.

Tego lata pan de Sainteville umarł w ataku uremii, a spustoszony zamek, gdzie już w czasie jego agonii uwijali się wierzycciele, został sprzedany i przeszedł na własność doktora Moreau, który wyprawił czym prędzej Paulinę z dziećmi i zainstalował w Sainteville swoich gruźlików — ci zbyt się już rozmnożyli, aby można ich było pomieścić w górskim sanatorium, i zakazali plwocinami wioskę, gdzie zaczęto już na dobre umierać na płuca. Odtąd nie było już wakacji, nie było rajy przy końcu roku, gór tajemniczych i pełnych malin, nie było już rozległych widoków, gdzie w obliczu napoleońskich kapeluszy, rozstawionych między lodowcami a słońcem, można było dumać o życiu; był już tylko szary i nędzny Paryż i małe dwupokojowe mieszkanie z jednym wejściem i kuchnią, na krańcu Avenue du Maine, gdzie matka i Joanna podzieliły się jednym pokojem, a dla Paskala rozstawiano łóżko w salonie, w którym się także jadało, głównie konserwy, koło okrytego kwiecistą kapą fortepianu, świadczącego, że nie wyrzekli się jeszcze wszelkich pretensji i nie przestali być ludźmi godnymi szacunku. Wszystko to dzięki paru groszom po dziadku, które szybko topniały.

## XXIV

W tym również czasie, deszczową i zimną jesienią, oddał duszę Bogu biskup Trebizondy, a wdzięczność zmusiła Paskala do asystowania przy nie kończących się ceremoniach. Wokół Mercadierów rodzina topniała jak pieniądze, i tak od spadku do spadku, dzielonego z kuzynami, wujami i z Błażem, który pogniewał się z nimi z powodu dziedzictwa po panu de Sainteville, ciągnęli jako tako skromny żywot, wciąż z nadzieją, że Paskal zrobi karierę.

Po biskupie dostali niewiele, natomiast stracili orędownika wobec ojców, którzy grzecznie uprzedzili, że jeżeli chodzi o klasę ostatnią, filozofię, a raczej matematykę elementarną, wydaje im się pożądane, aby uczeń raczej

powrócił na łono rodziny i korzystał z ich dobrodziejstw tylko jako eksternista. Paskal, mimo że na Avenue du Maine było bardzo ciasno, ucieszył się tym potajemnie, bo w tym okresie po raz pierwszy zetknął się z kobietami. Na różne sposoby zyskiwał wolne chwile, co przychodziło mu bez trudu wobec ślepoty matki i miernego zadowolenia, jakie z jego towarzystwa czerpała Joanna. Ucierpiał na tym nauki matematyczne, ale zyskała jego wiedza o przyjemnościach życia. Miał coś w rodzaju stosunku z żoną sprzedawcy samochodów z Avenue de la Grande-Armee i wiele przelotnych przygód nawet wśród przyjaciółek matki, niektóre z nich były bowiem jeszcze dość młode w jego siedemnastoletnich oczach. Ponieważ nie miał ani grosza, musiał godzić się, aby kobiety ponosiły wspólne koszty, one zaś chętnie to czyniły dla tak miłego chłopca. I tak niepostrzeżenie wszedł na tę drogę. Nikt mu nigdy nie powiedział, jak się to nazywa. W tym wieku zresztą było to prawie nieuniknione i kobiety nie miały czasu i głowy, aby mu prawić morały, wołały go całować.

Nie mogła go w tym względzie niczego nauczyć Paulina. Przede wszystkim dla niej Paskal wciąż był małym chłopcem, a gdyby nawet zagadnienie to wyłoniło się w jej głowie, na pewno uznałaby, że jeśli te panie znajdowały przyjemność w towarzystwie jej syna, słusznie ponosiły wydatki. Dla niej moralność polegała na tym, aby Paskal nie kosztował jej ani grosza. Nie patrzyła dalej przed siebie i uważała, że trzeba brać, co się trafia. Mimo tej filozofii wielkiej kurtyzany biedaczka niedaleko zaszła w życiu, ale nie z winy nieświadomości lub z braku instynktu. Tymczasem ze zgrozą widziała, jak rozchodzą się ostatnie grosze, zgarnięte ze wszystkich stron. Miała wśród koszul ukrytą małą sumkę, z której co dzień trochę ujmowała. Starła się nie myśleć, co będzie, gdy wydadzą wszystko. Bo i co jej z tego przyjdzie? Cud może się zawsze trafić. Na ogół Paulina uprawiała strusią politykę. Opóźniała katastrofę sprzedając to brązy po pani d'Amberieux, to szafę... Gdy tylko coś przehandlowała, czuła się bogata i pozwalała sobie na jakąś przyjemność. Pieniądze rozchodziły się szybko. Parę razy Paskal usiłował przemówić jej do rozsądku. Krzyczała wniebogłose. Syn chce pouczać matkę? A zresztą jeżeli nawet nie rozumie się na sprawach pieniężnych, to przynosi jej tylko zaszczyt! Kończyło się zawsze na tym samym: zamykała się w swoim pokoju, kładła się do łóżka, przykładła na twarz chusteczkę umaczaną w wodzie toaletowej, którą za drogie pieniądze kupowała na ulicy de la Paix w angielskiej aptece i której za nic w świecie by się nie wyrzekła, raczej może nie jeść!

Zresztą nadszedł dzień, kiedy przestało to być tylko frazesem. Gdy Paskal wrócił z kolegium, zastał matkę we łzach, bo liczyła na Denizę, a Deniza wybrała się w podróż, im zaś nie zostało w szufladzie już nic, ale to dosłownie nic. Nie było za co kupić marynowanych śledzi. Paskal, który oszukiwał matkę, ażeby kupić sobie nowe ubranie, i nosił je już od trzech dni, zawstydził się bardzo, a równocześnie zrozumiał, że tym razem nie pomogą już półśrodki. Mimo jeremiad i min obrażonej matki zdecydował się natychmiast, na parę miesięcy przed maturą, nie wydawać już ani

grosza na te bezcelowe studia, gdyż co do Szkoły Politechnicznej czy Ecole Centrale, do których niby się przygotowywał, to pomijając niepewność, czy się tam dostanie, trzeba było jeszcze co najmniej rok chodzić do budy. A taka matura nie gwarantuje jeszcze wcale jakich takich zarobków, nawet gdyby przypuścić, że do tego czasu żywić się będą manną z nieba. Nie miał wyboru, trzeba było jeść codziennie trzy razy, płacić czynsz... Służącą oddalili, chociaż pani Mercadier powoływała się na niebo, czasy nowożytne i swój ród, rzucała klątwy na tego łotra Piotra Mercadier i oświadczyła, że woli umrzeć niż słać własnoręcznie łóżko. Po czym ustaliwszy, że nikomu nie pisną słowa o tej ostatecznej hańbie, zaczęła bawić się w gospodarstwo i na wszystkie strony głośiła, że oddalili służącą, bo te dzisiejsze służące... nie wiadomo kogo wpuszcza się do domu, w Paryżu wszystkie one mają sutenerów, co nie byłoby jeszcze powodem, ale człowiek rdzewieje nic nie robiąc, to szykowne obsługiwać się samemu, zdaje się, że w Ameryce nawet miliardarki same wymiatają śmieci spod łóżek, więc Paulina, bardzo w stylu Trianon, kupiwszy sobie za pierwsze pieniądze od syna urocze fartuszki z szelkami, hołdowała tej modzie ogromnie nowoczesnej, a jednocześnie osiemnastowiecznej, bo nie ma już zamku, nie ma folwarków ani służby godnej zaufania, jest Republika i trzeba dotrzymać kroku swojej epoce.

Wyjaśniła też, pijąc herbatę u znajomych, że dzisiaj młody człowiek z dobrej rodziny winien potwierdzić swoje szlacheckie dyplomy dowodząc, że potrafi dać sobie radę w życiu. Toteż ona powiedziała synowi, Paskalowi, znacie go przecież, powiedziała mu, mój chłopcze, skacz do wody, nie ma głupich zawodów, pokaż, że jesteś mężczyzną. Przyszłość należy do selfmademenów. Ten prąd również idzie z Ameryki. Gould, Rockefeller zaczęli jako chłopcy od windy, prawda?

Nie powiedziała natomiast o awanturze, jaką urządziła, gdy Paskal oznajmił, że znalazł posadę w sklepie ze sztucznymi kwiatami i piórami przy ulicy du Sentier. Sklep! Sprzedawca! Gdyby to jeszcze był jakiś nobliwy towar, księgarnia, sama nie wiem co! Ale jeść trzeba, to nie ulegało dyskusji. Jak na początek niezły zarobek: sto pięćdziesiąt franków miesięcznie, tyle że trzeba się było porządnie ubierać. Najgorsze, że żądano, aby młodzieńca zaprezentowali rodzice. Paulina myślała, że tego nie przeżyje. Ostatecznie wypełniła warunek, była wzniosła i groteskowa, ile tylko chciała, Paskal miał ochotę ją zamordować, ale musiał znieść złośliwości szefa i ukradkowe uśmiechy innych sprzedawców, widocznie wtajemniczonych w sprawę. Ojcu jednego z kolegów zawdzięczał polecenie, dzięki któremu przyjęto go. Aby zaoszczędzić na autobusie, wstawał o wpół do siódmej i szedł pieszo z Montrouge na ulicę du Sentier. W sklepie musiał być piętnaście minut przed ósmą, ponieważ była to hurtownia i przedstawiciele różnych firm wstępowali czasem przed swoją turą, aby uzupełnić zapasy.

Za tych sto pięćdziesiąt franków można było żyć, ale nie we troje, zwłaszcza gdy dwie pozostałe osoby uważały pieniądze przynoszone przez

głowę domu za gratkę, która przychodzi bez trudu. Joanna przy swoich dwunastu latach była rozpaczliwie lekkomyślna, kradła pieniądze po kieszeniach brata, na puder, perfumy i gorset jak dla dorosłych panien, którego doprawdy jeszcze nie potrzebowała. Gdy Paskal gniewał się, matka zatykała sobie uszy, mówiła, że doprowadzą ją do szaleństwa, że Paskal jest sknera, istny portret ojca, i on też kiedyś, jak ojciec, porzuci rodzinę. Wszystko dlatego, że nie przyznała się do kupna trzech par rękawiczek na wyprzedazy w „Bon Marche”, wielka rzecz! A tymczasem w domu nie ma masła, więc gdyby Paskal był taki miły i dobry i zechciał pójść po to masło...

Nigdy nie przyszło Paulinie do głowy, że mogłaby zarabiać na utrzymanie rodziny. Jakim sposobem, na Boga żywego? Nie miała żadnych szczególnych zdolności, ładnie kiedyś robiła na drutach kaftaniki na cele dobroczynne, ale poza tym... Nie umiała nic robić i była z tego dumna. Prawdziwa kobieta to przedmiot całkowicie nieużyteczny. Kobiety pracujące nie są już kobietami. Gdy syn przyniósł do domu koperty do adresowania i władcym tonem rozkazał, aby się natychmiast do nich wzięły matka i córka, a zarobią, licząc trzy franki za tysiąc, sześćdziesiąt franków miesięcznie na gospodarstwo, dzięki czemu będzie trochę masła do szpinaku, w domu zrobił się sądny dzień, zwłaszcza że i Joanna dodała swoje trzy grosze: ona pilnie chodzi do szkoły, nie tak jak ten leń Paskal, który chwycił się pierwszego lepszego pozoru, aby puścić kantem budę, nie troszcząc się o przyszłość i posag siostry, a jaką ona może zrobić partię mając brata subiekta w sklepie, to już koniec wszystkiego, i czy człowiek może się nie buntować na myśl o majątku, o stanowisku, jakie posiadał? Nie znałeś swego dziadka prefekta. Ale w końcu pogodziła się z kopertami. Paskal usłyszał piękne rzeczy, gdy wyrzucono go z „Kwiatów i Piór”, ponieważ właściciel przyłapał go ze swoją żoną, która była niebrzydka i już od dwu miesięcy krążyła wokół nowego subiekta. Tak więc pozbawił chleba matkę i siostrę! I to z jakiej przyczyny, Boże, wyprawiał bezeceństwa w lokalu za sklepem z... ja doprawdy nie wiem, kto... cicho... idzie twoja siostra... Uszanuj przynajmniej siostrę. Trzeba zaznaczyć, że nowinę o zwolnieniu go z pracy i jego motywach oznajmił Paskal matce krótko, w trzech zdaniach, z których jedno było bardzo ordynarne. Był wściekły na samego siebie i musiał na kimś wyrzucić złość, a przy tym chciał raz na zawsze poinformować matkę o swoim męskim życiu, aby wreszcie przestała mówić o nim przy ludziach macierzyńskim i protekcyjnym tonem, który doprowadzał go do pasji.

Był na wielu posadach, u kupca bławatnego, w hotelu na bulwarach, w biurze przyjęć, był sekretarzem wielkiego człowieka, który zapominał mu płacić, ale pochlebiał Paulinie. Wzięto go na przewodnika w agencji podróży i w służbowej czapce oprowadzał cudzoziemców po Luwrze. Wszystko to było nietrwałe, nie miał szczęścia. Za każdą utratą posady złościwości Joanny i wyrzuty pani Mercadier wzmacniały się o jeden ton. W dodatku nie zawsze były koperty, więc urągano mu dodatkowo.

Wreszcie istnym cudem coś się trafiło, Paskal spotkał na ulicy dawną przyjaciółkę, żonę sprzedawcy aut z Avenue de la Grande-Annee. Wzruszyła ją jego wyświechtana marynarka. Przez mężowskiego kuzyna wystarała mu się o miejsce komiwojażera, mimo że był taki jeszcze młody, właśnie ukończył osiemnaście lat, u hurtownika porcelany, który miał na składzie wszystko, serwisy do herbaty, serwisy stołowe, porcelanę ozdobną, figurki etc., na eksport. Trzeba było odbyć praktykę, pensji stałej nie płacono. Brał towar w komis. Ale poza tym firma solidna, pracująca zwłaszcza na Rosję, Stany Zjednoczone i Brazylię. Otrzymywane zamówienia sięgały czasem znacznych sum, ale trzeba je było zdobywać.

Z trzynastoletnim wyrostkiem, który pomagał mu nosić walizy, sam obładowany dwoma czarnymi pudłami, które się już dobrze nawycierały po kątach różnych poczekalni, rozpoczął codzienne odtąd wędrówki od komisanta do komisanta w pogoni za świeżo przybyłymi klientami, przedstawicielami wielkich firm z Berlina i Budapesztu, z Chicago i Buenos Aires, taszczył swoje wzory z ulicy na ulicę, między bulwarem de Strasbourg i ulicą Laffitte, dreptał w prostokącie Hauteville — Poissonnieres — ulica Lafayette — Wielkie Bulwary, wbiegał na piętra i zbiegał z nich, wyczekiwał przed zamkniętymi drzwiami, pośród zięjącej nienawiścią sfory kolegów komisantów, w ciżbie nędzarzy, głodomorów gotowych żywcem go upiec, a przynajmniej przeszkodzić w otrzymaniu zamówienia, sto razy na dzień zawiedziony i bliski łez, nie czując nóg ze zmęczenia, z rękami naderwanymi od waliz i pchany niedorzeczną nadzieją biegł jeszcze na Square Montholon na byle słowo, na byle drobne ogłoszenia, na plotkę podsłuchaną w rozmowie dwu handlarek kupczących starymi futrami.

Duże zamówienia nie napływały. A jednak Paskal coś czasem sprzedawał. Nieprawdopodobne rzeczy nieprawdopodobnym klientom. Raz jakiś Turek zamówił tysiąc fajansowych figurek przedstawiających pasterkę, która poprawia sobie podwiązkę. To była praca przyjemna — jak powiedziano Paskalowi na początku — bo jest się panem swego czasu. Nie ma godzin urzędowania. Gdy się ma dość, można sobie iść na spacer. Właśnie! On pracował czasem od wpół do siódmej rano do szóstej wieczór. Bo rano trzeba było zająć kolejkę i gdy zjawiał się o siódmej u wziętego komisanta, otrzymywał numer 200 lub 250.

Joanna uważała za bardzo dowcipne pytać go wieczorem, ile sprzedał dziś nocników.

xxv

Tego ranka Paskal był w cudownym humorze, częściowo wpłynęła na to wiosna, ale wspomogła ją w tym agentka z Filadelfii, która szczególnym zrządzeniem losu przyjechała go bez czekania i zrobiła ogromne zamówienie, na dziesięć tysięcy franków, co dla niego po obliczeniu komisowego oznaczało ponad pięćset franków prowizji, po prostu majątek! Natychmiast

puścił kantem drobny narybek klientów, wysłał swego tragarza ze wszystkimi walizami, aby w pewnej firmie na ulicy des Petites-Ecuries wyczekiwał nabywcy, chociaż mała była nadzieja, aby zjawił się on wcześniej niż o wpół do dwunastej, dwunastej. Sobie dał urlop w tym miłym, wysłonecznionym Paryżu, gdzie domy były brudne i zbezczeszczone handlem, ale wszystkie kobiety wydawały mu się tajemnicze i ładne. Poszedł wykapać się przy ulicy de la Victoire, w starej łaźni drzemiącej w głębi pełnego drzew podwórza, z brązowymi świecznikami wspartymi na zamyślonych postaciach. Był starannie ogolony i dosyć dumny z jasnego cienia na swoich wąsach. Czuł się silny i wesoły, szedł ulicami tak nieoczekiwanie zmieniając kierunek, jak gdyby chciał odsunąć zbyt szybko osiągnany cel. W ten sposób znalazł się na odludnej i cichej ulicy, zagrodzonej murem, za którym ciągnie się ogród, na ulicy Świętej Cecylii, zdaje się, i nagle przed Konserwatorium zobaczył młodą dziewczynę z rulonem nut w ręku, która zatrzymała się ze wzrokiem utkwionym w niego, z wyrazem zdziwienia i radości. Wydała mu się urocza, chociaż zły duch szepnął w nim, że ona ma zbyt ciężki podbródek; była jasnowłosa jak córki północy, o włosach gładkich i zebranych w ogromny i ciężki węzeł pod czarną filcową czapeczką, ozdobioną dwoma niebieskimi skrzydełkami, istne zjawisko lat niespełna dwudziestu, w tanim futrzanym zakiecie i szerokiej spódnicy z grubej wełny.

Paskal, w jakimś natchnieniu dobrego nastroju i młodości, zrobił coś, co wcale nie było do niego podobne, ale dziewczyna patrzyła na niego z taką prostotą że wyglądało to, jakby go zawołała, a była tak cudownie delikatna i świeża; takiej cery nie widział u żadnej ze znanych mu paryżanek. Przeszedł ulicę idąc wprost na nią. Nie ruszyła się z miejsca. W jakimś zachwyceniu patrzyła, jak on się zbliża. To było wyraźne: jak w zachwyceniu. Wtedy podszedł do niej, ukłonił się i objął ją wpół, przytulił i pocałował.

Poddała się temu bez oporu, ale nie jak kobieta, która na to czekała, lecz jak ufne dziecko, i usłyszał ze zmieszaniem, że ona mówi:

— Jak się masz, Paskalu!

Była to Iwona, Iwona Berger, Iwona z Sainteville, miała Ojejej sprzed siedmiu lat. Nie poznał jej, ale ona ani przez chwilę nie wątpiła, że to on, Paskal. Mieszkała w Paryżu, odkąd zdała egzamin konkursowy do Konserwatorium, do klasy fortepianu. Matka jej wciąż ciężko chorowała. Była tu sama. Wziął ją pod rękę, zapomniał o ulicy des Petites-Ecuries, i z radości nie wiedząc, co robi, popełnił szaleństwo, wziął fiakra i zawiózł ją do Lasku Bulońskiego. Była to cudowna wycieczka i użył jej za całe niemal dziesięć franków. A niech się tam toczy wojna w Mandżurii, kto by sobie tym zaprzętał głowę!

Życie jego odmieniło się od chwili tego spotkania, bo przestał być sam. Miał do kogo mówić. Mieszkała w pensjonacie u zakonnic w Passy, gdzie nie mógł jej odwiedzać, ale zabierał ją do domu, gdzie pani Mercadier przyjmowała ją z dość kwaśną miną, gdyż nie cierpiała zdradzać się ze

swoim upadkiem społecznym przed tymi, którzy znali ją w okresie świetności, a w dodatku Iwona przypominała jej Sainteville i tę kreaturę, jak to się ona nazywała: Paillasson... Pailleron... ta łotrzyca! A wreszcie, Iwona była biedna, Paulina zaś w swoim ubóstwie nienawidziła biedaków. Jednakże fortepian przy Avenue du Maine został nastrojony dla dziewczyny i zyskał wreszcie rację bytu, Paskal zaś rację wracania do domu. Matka go nie krępowała, bo gdy tylko usłyszała muzykę, wkładała kapelusz i biegła na wędrowną po sklepach, mrucząc, że uszy jej puchną, myślałby kto, że wróciły czasy pana Meyera, ten Paskal to wykapany ojciec.

Iwona o niebieskich bezdennych oczach, Iwona o włosach jasnych jak uległość dawała się ponosić tej łagodnej a wchłaniającej pleśni, która śpiewała w niej wtórując wszystkim jej snom, wszystkim przeczytanym romansom, wszystkim muzyce, która milkła, gdy serce dalej już śpiewać nie mogło. Tajemnice stodoły w Sainteville, niezgrabne dziecinne pieszczoty, tak niewinne, łączyły ją z Paskalem we wszystkich marzeniach z tych utraconych lat, tych lat bez niego, gdy łamała palce na nutach, gdy ćwicząc na fortepianie wykręcała oporne stawy, z których biła kaskada dźwięcznych urojeń. Od siedmiu prawie lat Paskal stał się bohaterem niemej idylli, bohaterem urodzajnej wyobraźni, która z tym chłopcem o łagodnych wargach wiązała wszystko, co wywołuje popłoch serca, od ciemnych wirów Rodanu pod jej oknami w Lyonie do kwitnących czereśni każdej wiosny, od par kochanków mijanych na ulicy do długich fraz Mozarta, które zabierała z sobą na bezsenne noce; a gdy go odnalazła, tego Paskala, który stał się mężczyzną, urodziwszym niż w jej snach, odnalazła jako ukoronowanie swych nadziei, zrozumiała, po co przez tyle godzin trudziła się, aby fortepian wypowiedział to, czego usta wyrazić nie mogą, i zaczęła grać w jakimś natchnieniu, które zadziwiało jej profesorów. Nie pytała go o nic. Czekwała cudu nie czyniąc nic, aby go przyspieszyć. On zaś widział w niej małą dziewczynkę mimo tego roku, o który była od niego starsza, gdyż pozostała bardzo wątła i kobieta w niej czekała, aż wyciągną się do niej męskie ramiona, aby wyzbyć się dzieciństwa jak wstydlivości.

Paskal dalej obnosił swoje walizy, filiżanki z wzorkiem empire, swoich ineroyablów i markizy, które miały zdobić kominki. Również uganiał się dalej za kobietami i rzucał się na nie jak szaleniec, tak rzadko źle przyjmowany, że nie miał powodu się krępować. Wielkim jego urokiem był zupełny brak logiki w postępowaniu, jego sposób uśmiechania się w nieoczekiwanych chwilach, nadawanie najbardziej banalnemu stosunkowi charakteru przygody, szaleństwa. Kobiety zawsze się na to brały, zwłaszcza że był tak młody i pełen blasku. Ale jeszcze lepiej, niż uwodzić, umiał opowiadać o swoich wybrykach, z oryginalnym humorem pomieszanym z naiwną lubością łakomczucha, dla którego każda kobieta przez trzy dni jest cudowna, pełna tajemnic i rozkoszna, tak że nawet Iwona, wybrana powiernica, dzieliła jego zachwyty i rozczarowania. Słuchała wszystkiego, niezbyt nad tym cierpiąc, jak słucha się piosenek.

Wierzyła bez ograniczeń, po raz setny tak jak za pierwszym razem, w absurdałne i wielobrzmiące słowa tego, którego kochała i który mówił jej o innej. Czyż mogła się dręczyć tym, że ta inna wciąż się zmieniała? Jednakże gdy zerwał z aktorką z małego teatrzyku, którą Iwona w tajemnicy poszła obejrzeć w jakiejś sztuce Feydeau, Iwona oburzyła się, bo dla niej miłość była miłością, a przy tym bała się, że ta kobieta zabije się, jeżeli Paskal ją porzuci. Dorodna dziewczyna, trochę wulgarna, pełna, o długich nogach, z obfitymi krętymi włosami... Patrząc na nią rzekła sobie wśród łez: „A więc on takie lubi”, a jednocześnie pomyślała, ile też ludzi musiało się za nimi oglądać, gdy tak we dwoje szli ulicą... A tymczasem Paskal miał tamtej dość! Niepojęte. Jak brzmiała ta fraza Schumanna z *Życia poety* — nie tekst Heinego, lecz muzyka... Życie było niepojęte i wstrząsające. Straszne jak pocałunki, które zatrzymuje się w stulonej dłoni...

Spotykała się z Paskalem na śniadaniu w cukierni koło Konserwatorium, wychodziła stamtąd z chaosem w myślach, w gorączce, która z trudem rozplątywała się w muzyce. Opowiadała sobie bajki, jak wtedy, gdy miała dwanaście lat, ale królewicz miał teraz jasny wąs i piękne nierówne zęby, a w ręku czarną walizę. I królewicz szedł wśród maków i dorożek i rozmawiał z damą w białym atłasie, której nikt nie widział, bo stała przy oknie na trzecim piętrze domu całego z kamiennej koronki, gdzie strażnicy z halabardami czuwali u każdych drzwi, a na dachu dla ozdoby kręciły się wentylatory... Dama rzucała królewiczowi chusteczkę, chusteczkę, jakiej drugiej nie ma na świecie, zrobioną ze słońca haftowanego księżycem, niezrównaną przy ocieraniu łez... Ach, Paskal, ten Paskal, jak on ją całuje, ten zły chłopiec!... Trwało to półtora roku. W tym czasie przeżyli radość pierwszej nagrody za grę na fortepianie, zdobytej przez Iwonę, i jej pierwszego koncertu. Zarabiała pieniądze. Pani Mercadier zaczęła przebąkiwać, że gdy Paskal pójdzie do wojska, wszystko to się skończy, a serce Iwony ścinało się lodem. Do wojska! To będzie naprawdę koniec wszystkiego. Dwa lata bez niego! A poza tym, z czego będą przez ten czas żyły obie panie? A czynsz?

Paskal kupił sobie na spłaty rower, aby mógł spędzać niedziele z młodą Angielką, która była jego ostatnią flamą — a w każdym razie on był jej flamą. Poznała się z Iwoną i oboje przywozili jej kwiaty z Saint-Nom-la-Breteche albo z Bourron. Razem przyszli na jej recital.

Jeżeli chodzi o wojsko, wszystko układało się bardzo pomyślnie: Joanna, która miała szesnasty rok, znalazła miejsce w rodzinie w Boulogne-sur-Mer, gdzie za wikt i mieszkanie miała się zająć trojgiem dzieci i pomagać im w odrabianiu lekcji. Coś w rodzaju starszej siostry. Pani domu, żona przemysłowca, była osobą bardzo światową, a że Joanna się jej spodobała, zabierała ją z sobą na przyjęcia i bale. Poza tym Iwona porozumiała się po kryjomu z panią Mercadier i postawiły Paskala przed faktem dokonanym: Iwona opuści swe zakonnice w Passy i zajmie składane łóżko Paskala przy Avenue du Maine. To, co płaciła zakonnicom, przy oszczędności



wystarczy im obu na życie. Pozostawał jeszcze do zapłacenia czynsz: tysiąc dwieście franków rocznie, od kiedy mieszkania zdrożały. Ale Deniza de Lassay miała pokryć różnicę, obiecała to.

Pani Mercadier wahała się teraz pomiędzy sympatią i antypatią do Iwony. Uczuciami tymi rządził oczywiście interes materialny, ale w tym wypadku Paulina bywała niekonsekwentna. Świadomość bowiem, że potrzebowała tej dziewczyny, czyniła jej Iwonę nienawistną. Jednakże z bardzo charakterystyczną dla tego ptasiego mózgu niekonsekwencją, tego samego dnia, gdy w głębi serca posyłała do wszystkich diabłów Iwonę, która godzinami rzeźbiła nie wiadomo co na fortepianie, zaczęła czynić jej zwierzenia. Parę razy nawet dotknęła sprawy, której z nikim nie poruszała: napomknęła o mężu, który czmychnął w świat.

— Ale czy pani nigdy nie miała o nim żadnych wiadomości?

— Nie... a właściwie tak... Napisał raz jeden do pana Meyera... tego, co grywał mu na fortepianie, jak teraz pani gra dla Paskala... to jego kolega... Piotr był w Egipcie, a co tam robił, trudno było wyrozumieć... Czytałam ten list, Meyer przyszedł mi go pokazać. O, takie typy jak Piotr nie giną, są jak złe zielsko.

Paskal, którego wysłano do Algieru, dobrze się prezentował w mundurze spahisa, życie garnizonowe wśród arabskich dekoracji łatwo było malowniczo opisywać, toteż czytając listy młodego człowieka Iwona nie wychodziła z jakiejś feerii, pełnej goryczy i czułości, gdzie zazdrość ustępowała miejsca podziwowi. Pisywała do niego stale i Paskal, nie zdając sobie z tego jasno sprawy, przyzwyczaił się do tej korespondencji, tak jak ludzie przyzwyczajają się do czarnej kawy. Dzięki niej odkrywał Iwonę nieznaną, płonąca, różną od małej dziewczynki, której opowiadał swoje przygody miłosne, Iwonę, o której zaczął marzyć, Iwonę, której szalone bajki przestawały być dziwną fantazją, a sięgały świata snu, gdzie łączyli się z sobą, niby liany, rozdzieleni kochankowie. Wkrótce w listach jego znalazły się zdania napisane z intencją, aby uwodzić, nie wiedział bowiem, że są tutaj całkiem zbyteczne.

Ale dla Iwony były one płomieniami i chociaż nie zawierały nic zasadniczego, korespondencja podziałała na nią jak pożar.

Jej kariera pianistki układała się w sposób nieoczekiwany. Z dumą posłała mu wycinki z gazet, zdolne przyprawić o zawrót głowy. Jednocześnie pisała, że wszystko to zawdzięcza Paskalowi, bo Paskal nauczył ją rozumieć życie, odczuwać wszystko, że gra dla Paskala, że on prowadzi jej ręce po klawiaturze, że to on jest owym wybitnym pianistą, o którym ludzie zaczynają mówić... Więcej ucieszyła się jego nominacją na kaprala niż pierwszą nagrodą w zeszłym roku. Ach, gdyby mógł zobaczyć obraz Algieru, jaki stworzyła sobie w myślach! Czymże była wobec niego Golkonda? Kraj, gdzie przebywał Paskal, nie mógł być w niczym gorszy od raju. Tego lata dwa razy przeżyła wielki lęk, bo uderzono na alarm: byliśmy o krok od wojny z Niemcami. A Paskal w wojsku. Na szczęście wszystko się uspokoiło.

Gdy Paskal przy końcu roku przyjechał na urlop, zastał Iwonę w grubej żałobie. Matka jej, pani Berger, umarła po długiej, bolesnej chorobie w sanatorium, które pochłaniało ich skąpą rentę i gdzie rzadko pozwalano ją Iwonie odwiedzać. Mój Boże, jak uroczo wyglądała Iwona w czerni! Nigdy oczy jej nie miały w sobie więcej tego rozproszonego błękitu, który rozprzestrzeniał się na całe białko, nigdy włosy jej nie były bardziej podobne do świeżej słomy. Ale mimo że widać było niemal bicie jej serca, mimo radości z widoku, z dotknięcia Paskala, uderzył go w niej jakiś smutek. Pewne zdanie w ostatnim liście pani Mercadier brzmiało mu natrętnie w uszach:

„...Wreszcie życie w domu stało się trochę znośniejsze, odkąd Iwona nie grywa już na fortepianie...!” Co to miało znaczyć?

Iwona długo patrzyła na Paskala, potem zdjęła czarną rękawiczkę, którą zachowała na lewej ręce.

— Widzisz... — powiedziała.

Ręka była martwa, skurczona, obciążona tą straszną połyskliwą skórą ciężkich oparzeń, na zawsze kaleka... Wypadek... przewrócona lampa: przy Avenue du Maine nie ma światła elektrycznego. Cały dom o mało nie spłonął. Jeszcze i tak mieli szczęście. Nigdy już Iwona nie zagra na fortepianie.

Ale to, co Paskal zobaczył w jej oczach, ta pytająca rozpacz, nie miała za przyczynę wydartej muzyki, była to straszliwa trwoga, że jej biedna okaleczona dłoń wzbudzi w Paskalu wstręt. Dojrzał to, zrozumiał, a ponieważ ona go kochała, Paskala ogarnęła wielka burza, porwała i pchnęła raz jeszcze do gestów, których wymazać nie można. Nie była to litość, nie była sama czułość. On także chciał mieć swoją miłość, tym razem miłość, jeszcze tym razem miłość, nie: tylko tym razem miłość. Zostali kochankami.

To było wszystko, co miał jej przekonującego do powiedzenia, i jak szalony całował małą męczeńską rączkę, całował ją ze łzami. Iwona ponad jego głową śmiała się ku niebu: na zawsze odzyskała muzykę; była szczęśliwa.

Dopiero po powrocie do Algieru dowiedział się, że Iwona jest w odmiennym stanie. Nigdy natomiast nie dowiedział się, jakie ohydne sceny robiła z tego powodu swej młodej pensjonariuszce pani Mercadier. Paulina tym bardziej nie cierpiała Iwony, że jej potrzebowała; że bez niej nie miała co do ust włożyć. Wszystko, nawet to, że Iwona własnoręcznie szyła suknie dla Joanny, która chciała elegancko wyglądać na przyjęciach, jakie wydawali w Boulogne jej chlebodawcy, nawet to budziło w pani Mercadier wrogość przeciwko małej komediantce, jak ją nazywała. A przy tym jakie to wulgarne: szyć suknie jak krawcowa, znać się na kroju, modelowaniu etc. ... czy któraś prawdziwa dama umie takie rzeczy! I taką dziewczynę Paulina musi trzymać u siebie! Ma się rozumieć, że teraz już żadnych zwierzeń... I oto nagle ta pannica pozwala sobie zrobić dziecko... Któż to taki? Ach tak, teraz bawimy się w tajemnicę!

Wszystko przybrało inny obrót, kiedy przyjechał Paskal, sierżant, i oznajmił, że ożeni się z tą nędznicą.

— Ona ci mówi, że to twoje dziecko, ale skąd wiesz, że to prawda? Ty musisz się czegoś dorobić, masz już na utrzymaniu matkę i siostrę. Nie weźmiesz sobie chyba na kark tej dziewczyny i jej bękarta?

Było dużo krzyku, Paskal wybuchnął straszliwym gniewem, Iwona jak obite dziecko chciała się rzucić do Sekwany. Pani Mercadier odmówiła swego pozwolenia. Wreszcie uspokoiła się, aby nie tracić pensjonariuszki, i zaczęła rozpaczać, że wobec stanu Iwony niepodobna urządzić przyzwoitego ślubu, przy dźwięku organów, z lunchem. Kazała natomiast Iwonie, aby uszyła jej skromną suknię brązowobeż na uroczystość w ścisłym gronie.

Tak więc Iwona w szczęściu i wstydzie została młodą panią Mercadier i zanim Paskal odbył służbę wojskową, narodził się mały Jan, który miał oczy matki.

Paskal znalazł się w cywilu bez żadnych widoków. Trzeba było chyba wrócić do czarnej walizy i wędrówek po komisjonerach...

Iwona sprzeciwiła się. Odziedziczyła po matce kilkadziesiąt tysięcy franków. Za to, co niedawno płaciła za swoje utrzymanie i za sanatorium matki, można było od biedy żyć we dwoje, ale z dzieckiem? A pani Mercadier? A Joanna? Iwona uknuła spisek przed powrotem Paskala. Powiedziała mu o tym lekko przerażona, że mógłby się czuć urażony i odmówić. Oto jak się rzecz przedstawiała: koło placu Etoile, w dzielnicy nadzwyczaj dogodnej dla cudzoziemców, znajomi jej matki mieli pensjonat; pani umarła, wdowiec nie mógł podołać... chciał sprzedać... Mieli dość na przejęcie interesu, a na puszczenie w ruch zaciągną pożyczkę, obecny właściciel rozmawiał już z bankiem, gdzie poprzednio udzielano mu pożyczki, którą teraz trzeba będzie spłacać... więc bank, aby odzyskać swoje pieniądze, rozumiesz, mój drogi... W dodatku zapewni to pracę Joannie i Iwonie, Paskal będzie prowadził księgowość, pani Mercadier, nie pracując w dosłownym znaczeniu tego słowa, nada zakładowi zarazem poluru i szacowności.

Pogniewał się. Odmówił. Błagała go. Nie chciał zabierać jej tych biednych pieniędzy, wystawiać ich na ryzyko i żyć właściwie na jej koszt, wyłącznie na jej koszt, dzięki niej... On sam chce utrzymać rodzinę. Ależ właśnie, będziesz pracował, będziesz głową tego domu... Nie, nie i nie! Mówił z taką gwałtownością, że zbladła jak ściana. Co ci się stało? Nic, nic... Usiadła na krześle i słowa nie mogła wydobyć. Serce... Musiała mu wyznać, że w okresie ciąży serce nieraz jej dolegało, ale uważano, że jej to minie. Lekarz oświadczył, że nie wolno jej mieć więcej dzieci... Ukrywała to przed Paskalem z obawy, aby się do niej nie zraził.

Przestraszył się. Ustąpił w sprawie pensjonatu. I tak powstał w perspektywie Łuku Triumfalnego pensjonat „Etoile-Famille”, świeżo odmalowany.

Joanna czuła się tu jak ryba w wodzie. Uwielbiała ludzi, nowych ludzi,

panów. Wyładniała ogromnie przez czas pobytu w Boulogne, miała właśnie osiemnaście lat. Pani Mercadier nieźle przystosowała się do nowej sytuacji, nie zaniedbała jednak wprawdzie głośno wykrzyknąć, że oto potomkini rodów d'Amberieux i de Sainteville ma zająć się interesami, zostać hotelarką! Ale „Etoile-Famille” po Avenue du Maine warte było jakichś ofiar... Bardzo szybko zaczęła sobie wyobrażać, że klienci są gośćmi w jej własnym wielkim domu, a ona sama prowadzi salon. Wieczorem po obiedzie zabawiała pensjonariuszy rozmową. Grano w niewinne gry, bez pieniędzy. W fanty... i uważano pilnie, aby wszystko odbywało się bardzo nobliwie. A poza tym było dziecko! Ten malutki Jaś — zapomniała już bowiem, że sama myśl o jego przyjeździe na świat wprawiała ją we wściekłość. Był tam, malutki, jeszcze bardziej rozbijający niż bezbronny, z małą słabą główką, na której włosy zdawały się trzymać z trudem, jak lekko położony jedwab... To dziwne, być babką w czterdziestym piątym roku życia... Jestem już stara! Z niepokojem przeglądała się w lustrze. Gdyby chciała, niejednego mężczyzna...

— Dlaczego nie wychodzisz za mąż, mamó? — pytała Iwona.

— Ale ja przecież nie jestem wdową! Co też ty wygadujesz! Rozwód! A religia; jak wy traktujecie religię!

Zresztą dziękuję, teraz wiem już, jak to wygląda... Dość mi jednego męża...

Cierpieć przy sobie innego mężczyznę! Zaczynać od początku! Dziękuję...

Iwona żyła jak we śnie. Interesy szły nieźle i gdyby nie procenty i spłaty pożyczki bankowej, wiodłoby się im zupełnie dobrze. Koszty życia stale wzrastały i przewyższały preliminarze, ale jakoś dawali sobie radę. Paskal był środkiem tego świata różowych obłoków, gdzie Iwona śmiała się do dziecka, które ku wszystkiemu, co świeciło, wyciągało rączkę i małą delikatną nóżkę zabawnym równoczesnym ruchem. Paskal był ośrodkiem zmartwień i marzeń Iwony. Zachęcała go do wszystkich miłostek, wszystkich przyjemności! Kupowała mu ciągle krawaty, nalegała, aby dbał o swoją powierzchowność, aby ubierał się nieco ekscentrycznie, nosił nieco za wysokie kołnierzyki, w których tak mu było do twarzy, aby zamawiał fantazyjne kamizelki. Lubił chodzić na wyścigi. Więc niech chodzi. A przy tym to świetnie w niedzielę odetchnąć świeżym powietrzem...

Nie dowiedział się nigdy, jakim myśлом wydana była na pastwę w samotności Iwona. Nie poznał nigdy historii, jakie wymyślała sobie dla zabicia czasu, cudownych i szalonych historii, które ze zwykłą sobie arbitralnością dźwigały ją ze smutku, a za bohatera miały Paskala prześwieconego błękitem, Paskala przybranego w lazur, Paskala o gwiazdzistych oczach, który nie musiał jej opowiadać swoich przygód, bo je sobie wyobrażała. Nie dowiedział się nigdy o jej łzach i tryskających z nich jak tęcze uśmiechach.

Nie miała mu za złe, że mniej się do niej garnał niż w pierwszych czasach. Czy miał się zmuszać? Był to także dowód jego delikatności. Czyż nie bał się stale, że znowu zajdzie w ciążę przy takim sercu? Istotnie, lęk przed tym wywarł na niego silny wpływ, odciągnął go, może jako rodzaj

wymówki, daleko od domu. Pomału wszystko ułożyło się tak jak dawniej, tyle że nie opowiadał o swoich podbojach i przygodach już żonie, jak zwierzał się z nich małej Iwonie z dziecinnych lat. W „Etoile-Famille” mieszkaly ładne cudzoziemki, toteż czasem wyścigi kończyły się daleko poza torami. Paskal w dwudziestym piątym roku życia nie miał już może dla kobiet tego drżącego uroku przejrzystej wody, nie był już tym czarującym dzieckiem, któremu niepodobna było czegoś odmówić. Ale to mężczyzna, mężczyzna, co umie ocenić kobietę i rzuca na nią wejrzenie, którego ona nie zapomina. Mężczyzna elegancki i dyskretny, mężczyzna zawsze gotowy przyjąć, co mu ofiarowują, i kobiety to wiedzą. Jest kochankiem, jakiego pragnie się po dwudziestym roku życia, gdy oczekuje się już nie tyle Romea, ile człowieka współczesnego, znającego hotele, do których kobieta może pójść, lokale, gdzie można się spotkać. Niepostrzeżenie Paskal oddalił się od Iwony. Nie znaczy to, że kochał ją mniej. Bywają istoty niezdolne do wierności. Jednakże miłość nie jest im wzbroniona.

Dowiedział się, jak bardzo ją kochał, jak bardzo ją kocha, gdy umarła. Ukryła przed nim, że znów jest w odmiennym stanie. Chciała tego, aby go odzyskać. I wszystko odbyło się tak, jak przewidział lekarz. Serce... W tych dniach świat pełen był ponurych wieści. Raz jeszcze otarł się o wojnę, okręty niemieckie zagroziły nam w Maroku, wszystko to niejasno docierało do Paskala, który odkrywał cierpienie.

W swoim zablakaniu, słysząc te echa dalekiego świata, z całego serca wzywał nawet grożącej wojny, aby wreszcie wszystko zginęło wraz z jego miłością i aby jego samego porwała ta burza. W obliczu klęsk ludzkości trafiają się desperaci, którzy wracają do życia w wichrze nieszczęścia, topielcy, którzy otwierają oczy w przepaścistej głębinie.

W „Etoile-Famille” zostało tylko dziecko o złotawych oczach, syn Iwony, i okrutna miłość Paskala, który poznał ją za późno, gdy już było za późno, tak że gdy pierwszy raz powiedział jej: „Kocham cię”, powiedział to Iwonie martwej, wokół której zaświecono świece i rozstawiono niepotrzebne kwiaty, wszystkie te kwiaty, jakich nie lubiła.

Chłopczyk, który miał trzy lata i musiał biegać, bawić się i śmiać, nie wołał już matki, którą wzywał przez pierwsze trzy wieczory, bo jak mówił, nie przychodziła go pocałować na dobranoc. Paskal, pełen gorczy i wzburzenia, patrzył na Jasia jak na wcielenie tej straszliwej niewierności, którą miał w sobie, której nie umiał pokonać, a która teraz, gdy zaniecono Iwonę na Pere-Lachaise, wracała do niego wraz ze łzami, gdy znów zaczynał przyglądać się kobietom.

## XXVI

— To nadzwyczajne, pani Tavernier, chciałem sobie tego zabronić, ale okazało się silniejsze ode mnie... powróciłem tam... wytrzymałem przez jedną niedzielę, myślałem już, że odniosłem zwycięstwo... a tymczasem

nurtowało mnie to. Tacy już jesteśmy!

Dora słuchała pana Piotra. Zawsze w tej samej pozycji, z rękami wyciągniętymi na stole. Oto nagle wszedł na drogę zwierzeń. Ma wnuka i całą rodzinę... Nigdy by jej nie przyszło do głowy. Coś podobnego! Myślała, że jest zupełnie samotny. Co prawda, całkiem się od swoich odsunął. Jak, dlaczego, nie mówił ani słowa. Może jednak miał gdzieś jakiś dom. Ale „Jaskółki”... Nie stawiała żadnych pytań. Zbyt się lękała.

— Otóż drugiej niedzieli wróciłem tam. Zobaczyłem małego. Kupiłem mu lodowatego cukru. Co mnie tak do niego przyciąga? Oczywiście w niedzielę nie bardzo mam co z sobą zrobić... ale ostatecznie! Przez całe życie czułem pewne obrzydzenie do dzieci... przez całe życie... moja pierwsza córka... Nigdy się zbyt nie przyglądałem dzieciom, nawet własnym... A tymczasem przy tym malcu mogę siedzieć godzinami... Bawi się to przez cały czas, takie to strasznie krucho... przybiera jakieś niespodziane pozy, to znowu robi dokładnie to, cośmy sobie wyobrażali... nie rusza się, rozumie pani, to znów pada... A te jego myśli, jeżeli można się tak wyrazić... Człowiek słucha jego gadania, jakby poruszał kalejdoskopem, barwy się zlewają, ale pozostają tymi samymi barwami, a ostatecznie jest to zawsze symetryczne, różne kombinacje gwiazd...

Dora kocha to dziecko i jest o nie zazdrosna. Ukradłaby je, aby przywiązać do siebie pana Piotra, albo zabiłaby je, aby już o nim nie myślał. A przy tym, kto może wiedzieć? To straszny węzeł łączący go z rodziną, która mogłaby go jej odebrać.

Powiedziała coś w tym sensie i Piotr uśmiechał się szczerze. Nie wiadomo, kto tego mniej pragnie, on czy rodzina. Nie uspokaja to pani Tavernier. To się tak mówi. Dora dobrze czuje, że on nie opowiada jej wszystkiego. A czy zresztą on sam wie, czym jest w gruncie rzeczy ten pociąg, który wiedzie go w każdą prawie niedzielę na Avenue du Bois. Czym jest ciekawość, do której się przyznaje. I która nie dotyczy tylko dziecka. Krok za krokiem odkrywa, co dzieje się z jego bliskimi, których opuścił, wyrzekł się. Jest to jak skomplikowana łamigłówka pośród dziecinnego paplania, pośród pomieszanych obrazów świata, który trzeba uporządkować. Z tym, że Jaś nie mówi byle czego, lecz tylko to, o czym wie. Aby uzyskać mały promyk światła, trzeba przez całą niedzielę spełniać wszystkie zachcianki malca, podziwiać jego babki z piasku, a w dodatku on najczęściej ma ochotę opowiadać wyłącznie o paniach Manescu.

Dora wraz z Piotrem cierpi nad tą tajemnicą, w której grzęźnie jeszcze głębiej niż on. Cierpi z powodu nie znanych jej stosunków między człowiekiem, którego kocha, a innymi ludźmi. Stara się rozdrzeć te ciemności, ale rozdziera tylko własne serce. Raz wymknęło mu się imię żony: Paulina... Dora ma teraz niewyczerpany temat do rozmyślań. Wyobraża sobie tę kobietę, która miała z nim dzieci, którą opuścił, która go unieszczęśliwiła... tę kobietę piękną i na pewno okropną... Jedną z tych wyniosłych kobiet z burżuazji, które robią z mężczyznami, co chcą, bez pardonu, trzymając ich z daleka... Czytała książki i mężczyźni jej

opowiadali... Paulina... Czy zdradzała go, czy go kiedy kochała, czy kiedykolwiek rozumiała... Każda zmarszczka na twarzy pana Piotra nabierała znaczenia; Dora wie, co ją wyźłobiło... Bo ona nie starość widzi na tym obliczu, lecz głębię poważnych uczuć. Każda zmarszczka to gorycz... Worki pod oczyma to piętno łez... Młodzi mężczyźni mają brutalne twarze z mięśni i kości, nic tam nie jest wypisane, są puste i prostackie. Dora kocha w panu Piotrze zmęczenie jego rysów, szlachetność ich zniszczenia, a słowa, które on mówi o dziecku, zdają się wyrażać dokładnie to, co ona odczuwa dla tego starego, zwiędłego człowieka.

— Pani Tavernier, ja nigdy nie kochałem mego syna Paskala... Ale teraz, gdy odnajduję go w tym malcu i gdy mimo woli staram się odtworzyć jego życie, to, czym stało się jego życie od owego listopadowego dnia, gdy wyjechałem... wtedy zadziwia mnie zainteresowanie, jakie budzi we mnie Paskal. Bo przestał on być dla mnie synem, którego trzeba było żywić, tym *impedimentum*, które musiałem ciągnąć za sobą, tą racją bytu domu rodzinnego, pozostała mi tylko myśl o nim, obraz, i to obraz niewyraźny... Rozumie pani, to jest ciąg dalszy... ciąg dalszy serii uczynków i myśli... jakby refleksja, którą uczyniłem pewnego dnia i pozostawiłem nie dokończoną... a która snuła się bez mego udziału, siłą logiki... Ja przez ten czas... mnie lata zmieniły, nie bardzo już wiem, jak to ze mnie powstało, wiem tylko, że ze mnie, i na tym koniec... Powiadam sobie: aby myśli moje mogły stać się tym właśnie człowiekiem, tym ludzkim mechanizmem, który zamieszkuje taki a taki dom, który porusza się wedle określonych prawideł, stosując się do pewnych praw, wśród ludzi, którzy porozumiewają się ostatecznie co do pewnych spraw życia, na to konieczne było, aby wtedy, kiedy to ziarno tkwiło jeszcze we mnie, konieczne było, abym ja w to wszystko wierzył, abym mniej więcej tak samo wyobrażał sobie świat, świat tego automatu, mego syna... Tylko że ja, widzi pani, zmieniłem się jak dryfujący okręt, jak rzecz rzucona w morze.

Pan Piotr lubi mówić w obecności Dory. Ona nie przerywa mu nigdy, więc może sobie pozwalać na nie wiadomo jak dziwaczne wyrażenia... Nigdy nie okazuje, że czegoś nie zrozumiała, a on kpi sobie z tego, czy ona go pojmuje, czy nie, chce tylko, aby słowa toczyły się swobodnie, aby tworzyły strzępy refleksji, tłumaczyły jego myśli, a jeżeli sam się w nich gubi, na to nie ma już rady.

— Myślę o tym, czym byliśmy, gdy byłem dzieckiem... mój ojciec... i ten drugi mąż mojej matki... i moja matka... Staje mi przed oczyma dom i to, co bardziej ceniliśmy niż samo życie, przedmioty, sprzęty, coś w rodzaju otaczającego nas poważania, spokój... pewien sposób życia... jednym słowem — życie społeczne. A potem byłem ja, naprzód jako część tego świata, ja, który uważałem życie za coś jakby konsekwencję tego wszystkiego, z innymi przedmiotami, może z obrazami, muzyką, ale z wciąż tym samym powiązaniem istot i czasu, i sprzętów... z prawie taką samą wiarą jak wiara mojej matki, z jej trwogą i udrękami. Udało mi się oderwać od tego, ale był Paskal. Konieczne było, aby zjawił się Paskal,

którego odnajduję w tym dziecku z Avenue du Bois, w dziecku, które będzie po Paskalu, jak Paskal po mnie. Co to jest? Co to wszystko ma znaczyć? Do czego to wszystko ostatecznie zmierza? I różnica w naszym sposobie życia — mój ojciec był urzędnikiem, mój syn jest hotelarzem — niczym nie zaznaczyła się na świecie, który niezależnie od nas dąży swoją drogą. Gdy byłem mały, cesarz chciał zdobyć Meksyk, a dziś Republika wysyła swoje dzieci na śmierć do Maroka. Gaz był nowością, która odmieniła wtedy życie; nie przeczuwano ani samochodów, ani telegrafu bez drutu, ani aeroplanów i na przestrzeni mojego życia zaszły większe zmiany niż poprzednio na przestrzeni dziesięciu wieków. A co będzie dalej? Któż wie, co ujrzy mały Jan? Ale to wszystko nie ma żadnego sensu. Jesteśmy temu wszystkiemu obcy... Zdechniemy odegrawszy jedynie długą rolę figurantów. I tak samo ci, co przyjdą po nas... Dlaczego?

Myśl ta gnębiła go, nurtowała, dręczyła, wracał do niej stale.. Ją to właśnie snuł znów innego dnia, kiedy powiedział do Meyera, bardziej przygnębionego niż zwykle, gdyż chciał zaciągnąć nową pożyczkę u kuzyna Levy na utrzymanie szkoły, a kuzyn Levy odmówił mu.

— Z wami, Meyerami, jest tak samo jak z nami, Mercadierami, mój kochany... Nie jesteśmy ani z pierza, ani z mięsa... siedzimy na dwu stołkach. Mój wuj Sainteville gardził nami, bo byliśmy prostakami, nie będąc chłopami. Mawiał, że można się legitymować albo honorem, albo pracą, ale ludzie z klas średnich nie uznają punktu honoru i nie pracują naprawdę, bo wybierają sobie zawody intrygantów, pośredników lub pasożytów, bo nie pracują na swój chleb, jak każe Bóg, w pocie swojego czoła...

— Pan nie uważa, że my pracujemy, Mercadier? A szkoła? Czy nie odbywa pan dosyć lekcji, aby uzasadnić swoje prawo do życia?

— Po pierwsze, buntuję się przeciw temu... a po drugie, nauczanie to szarlataneria! Tak przynajmniej myślał czcigodny wuj Sainteville. Co do mnie, nie spełniam warunku ani honoru, ani pracy i dlatego przyznaję mu rację. Co do honoru zresztą, cóż zostało z tej ich starej szlachty, ze starych piratów miecza? Piraci naszych czasów, władcy elektryczności i nowoczesnej magii, odrzucili ten stary łańchman, zwany honorem. Naprzeciw nich stoi czarna masa tych, którzy pracują własnymi rękami. Ale my, reszta, którzy utrzymujemy się kuglarskimi sztuczkami, przez dziedziczenie, posagi żon, wielką wygraną, której spodziewamy się na obligacjach, a która czasem wpada nam w ręce, albo też pożyczkami u bogatego kuzyna — otóż my nie należymy ani do jednej, ani do drugiej grupy, nie zdecydujemy się na to nigdy... i nasze życie nie ma uzasadnienia ani w chęci panowania, ani w nienawiści do panujących...

— Nienawiść! — powiedział Meyer. — Po jakiego diabła mielibyśmy nienawidzić tych albo tamtych? I czy nienawiść może nadać sens życiu?

— Dlaczego? Nie mam pojęcia. I nie czuję nienawiści do tych, którzy są panami świata, jakkolwiek nie mogę Przystać do nich inaczej, jak przez oszustwo, mam bowiem takie same upodobania jak oni, pragnę tego, co



mają oni, prawdziwych dóbr świata... Mogę natomiast nienawidzić tych drugich, głupi tłum, który chce ustanowić swoje prawo, prawo pracy... Nienawidzę ich jak tej pracy, którą chcą mi narzucić... Ich nienawidzę...

W oczach Piotra Mercadier błyszczało 'prawdziwe uczucie.

Rozmowy Piotra ciągnęły się tak od jednego interlokutora do drugiego i Meyer nigdy nie dowiedział się tego, co usłyszała Dora. Dora zaś, chociaż doskonale obydwała się bez tego, nie domyślała się, że niejasności w jego słowach miały źródło w embrionie dyskusji, jaką na ten sam temat przeprowadził ze starszą panią Meyer w kinie „Demours”, jedząc mrożoną czekoladę, umieszczoną na końcu drewnianej pałeczki, co było nowością tego sezonu.

— Gdy byłem młody, droga pani Tavernier, wierzyłem w miłość i głosiłem się demokratą... Życie srogo uczy nas rzeczywistości! Wszędzie, gdzie byłem, w krajach Europy, Afryki i Azji, wszędzie widziałem dwie wielkie rany zatrauwające egzystencję człowieka — miłość i lud... Pani Tavernier... miłość i lud! Trafiają się szaleńcy, którzy w to wierzą i giną za to! Dla tych ludzi należałoby znowu zapalać stosy... miłość i lud!... Do licha!

Dora mogła mu darować ten lud. Ale miłość... Zamykała oczy... to był jedyny punkt, na którym nie miał żadnej mocy nad uczuciami Dory: bo nie miał nad nią żadnej władzy przeciw swemu własnemu obrazowi, karmił go samą swoją obecnością, słowami, choćby sens ich był niszczyielski.

## XXVII

Dora musi się teraz oswoić z tym, co wie o panu Piotrze. Dopóki wszystko w nim było tajemnicą, mogła marzyć, nadawać mu życie, wymyślać teatralne sytuacje, a nawet okłamywać się na temat przeszłości, tak jakby ta przeszłość była ich wspólną. Nie czuła ciężaru własnych wspomnień; przez całe życie wdrażała się do tego, aby zapominać. Co w jej przeszłości godne było pamiętania? Musiała przecież na ten temat kłamać mężczyznom; należało to do jej zawodu. Zawsze wymyślała sobie życiorysy, czasem w nie wierzyła. Ale jak tu fałszować jego życie?

Ach, gdyby mogła myśleć, że to dla niej porzucił dom, Paulinę! Gdyby chociaż te długie lata, o których nic nie mówił, były pozostawione jej, aby się w nich usadowiła, aby w nich uwiła gniazdo swoich złudzeń! Gdy jesteśmy młode i kochamy, umiemy znieść konkurencję *rzeczy* martwych, mamy nadzieję, mamy to wszystko, co się jeszcze przed nami narodzi, i to możemy naznaczyć naszym własnym piętnem, możemy zagarnąć całą przeszłość mężczyzny i jego terażniejszość, terażniejszość jak wielkie, białe, świeżo zasłane łóżko. Ale gdy miłość nawiedza starą kobietę, która nie może bez zawstyżenia pomyśleć o złączeniu ciał, i gdy przyszłości nie ma, i gdy cała przeszłość mężczyzny jest w jego głowie i jego ciele, gdy stanowią ją rzeczy, o których on myśli, ale nic nie mówi...

W poniedziałki wypytuje, jak umie, o dziecko. Bo ostatecznie to wnuk jego, pana Piotra. Czuje się jednocześnie zazdrosna i bliska temu dziecku.

Chce wiedzieć, jak wygląda, jakie ma oczy, jak je ubierają. Chętnie by je zobaczyła. Nie śmie prosić pana Piotra, by raz jeden zabrał ją na Avenue du Bois, i dręczy się tą myślą. Gdyby ujrzała chłopca, może by jej niepokój częściowo się uciszył.

Człowiek ten pożera całe jej życie... Dora nie ma już na nic ochoty. Dziesięć razy zabiera się do rachunków. Na księgi, które zawsze prowadziła z pasją handlowca, patrzy dziś jak na natrętów, którzy przeszkadzają jej myśleć, odrywają od Piotra. Piotra... Nie jest już tak akuratna w prowadzeniu zakładu, mniej pilnuje dziewczyn, i Juliusz nieraz już zwracał jej na to uwagę. Co, zakład schodzi na psy? Przykro jej, ale trudno! Nie ma już na to głowy. Nieraz ustaje w połowie jakiejś czynności i nie myśli o niczym. Nawet o Piotrze. O niczym. Siada i pozwala czasowi płynąć, czasowi, którego tak mało ma do stracenia. Chce się jej spać. Jest przerażona swoim stanem. Czuje potworną niewspółmierność swoich mrzonek i rzeczywistości. Szybko przebiega obok luster. Przegląda się w nich. I płacze.

Przychwyciła ją na tym panna Maria. Co starej do łba strzeliło? Ona już swoje dawno przeżyła. Panna Maria powiedziała do Juliusza:

— Wydaje mi się, że nasza szefowa staje się neurasteniczką...

Juliusz podniósł głowę i zmarszczył brwi. Neurasteniczką? Mario, martwisz mnie. Proszę cię, kuzynie, zachowaj należyty dystans. Co za fomy!

Juliusz widzi, że coś się psuje w „Jaskółkach”, i na pewno kiedy indziej nie zniósłby tego. Ale odkąd wychodzi z Fryderykiem i panem Morero, i to coraz częściej, Dora zaś nie zwraca na to uwagi, ma on co innego w głowie i przyszłość zakładu obchodzi go tyle co zeszłoroczny śnieg, a właściwie ma co do niego inne plany. Wszystko zaczęło się w dniu, kiedy pan Morero zawiózł ich do swego zamku. Bo pan Morero jest właścicielem prawdziwego zamku. W Oise. O sto kilometrów od Paryża. Była z nimi pani Morero, to znaczy jego poule. Fryderyk przyprowadził swoją. Nie Lulu. Lulu to business. Nie, Zuzannę, pannę Suzy. Wysoką, z pięknymi, długimi nogami i taaakim dekoltem. A prócz tego, niby przypadkiem, przyjaciółkę Suzy, pannę Różę Vatar. Było to szyte grubymi nićmi: chodziło im o to najwyraźniej, aby Juliusz także miał swoją, a ma się rozumieć, że pan Morero miał wokół siebie towar wyłącznie wyborowy. Dziewczyna miała osiemnaście lat, i to bez błagi. Bardzo biała. Niewysoka i wielka śmieszka. Tłuściutkie kurczątko z piersiami, od których trudno oderwać oczy, niepodobna patrzeć na co innego. Blondynka z całą masą loczków. Juliusza wzięło.

Wsiedli do taksówki. Fryderyk umieścił się obok szofera, wewnątrz stłoczyli się Juliusz i Morero z trzema kobietami, żartowali z paniami i Fryderyk wcale nie patrzył krzywo, że dobierano się i do jego facetki. Morero oświadczył, że uznaje tylko taksówki. Mógłby mieć własny wóz, to nawet mniej kosztuje, mimo to brał taksówkę jadąc do Villemomble, Villemomble w Oise, którego nie należy mieszać z Villemomble w

departamencie Seine; w Villemomble był jego zamek; czasem zatrzymywał taksówkę od soboty do poniedziałku, szofera zapraszał do siebie. Trafiali się niekiedy morowi chłopcy i gdy taki miał ochotę, a któraś z naszych pań była w odpowiednim nastroju... Tym razem szofer był to wysoki blondyn ze złamanym nosem; śmiał się jak wariat z conceptów Fryderyka.

Możliwe, że całą rzecz uknuto z góry, że Morero i Fryderyk porozumieli się, że wlepili mu umyślnie tę Różyczkę, aby go mieć w rękę. Ale co to szkodzi? Od lat już nie spotkał ładnej dziewczynki, która tak by mu pasowała. Dziewczynka łagodna i umie już wszystko. Nigdy jeszcze nie była w zakładzie, pracowała dla jednego gościa, któremu przydarzyło się nieszczęście. Dostał dwadzieścia lat. A więc coś jakby wdowa.

Kto zobaczył zamek Villemomble, zrozumiał, jaki typ był z tego Morero. Zamek z sadzawką, karpiami. Ile kosztuje cały ten ogród, kwiaty, które zmienia się, gdy tylko trochę przywiedną? W zamku mieszkają kuzyni, którzy utrzymują wszystko w porządku. Można tu przyjąć gości, a to potrzebne jest panu Morero — bez przyjęć nie mógłby prowadzić takich interesów w Paryżu. Świat polityczny, a także sutenerzy. Wiadomo, że w zakładach Morera jest najlepszy towar. Ten diabeł wszystkim oddawał usługi. I nigdy żadnych wpadek. Ach, gdyby Juliusz poznał był Morera wcześniej!...

Juliusz rozumie, że skoro Morero jest dla niego taki fajny, musi mieć w tym jakiś interes. Człowiek nie od dziś żyje na świecie. Ale kiedy ma się wspólne sprawy... Wszyscy wiedzą, że jeśli chodzi o lojalność, Morero jest niezrównany. Oczywiście w stosunku do swoich ludzi. Wystarczy do nich należeć. Nigdy nie zostawił nikogo na lodzie. Naturalnie, ma przyjaciół w policji. Ba, i któż ich nie ma! Czy Juliusz doszedłby do tego, czego się dochrapał, gdyby od czasu do czasu nie dał inspektorowi coś w łapę? Morero to potęga. A przy tym nie daje ginać nawet starym. Właściwie, należeć do przyjaciół Morera to tak jakby mieć zapewnioną emeryturę. Zresztą, on powiada jasno: Z nim lub przeciw niemu, a kiedy sobie coś do łba wbije... Jest bardzo fajny dla Juliusza, doprawdy, daje mu cenne informacje, jak ulokować gotówkę...

Prawdę mówiąc, gdyby „Jaskółki” doszły do porozumienia z Morerem... Zwłaszcza że „Jaskółki” nie idą obecnie zbyt świetnie, wszystko drożeje, ludzie liczą się z groszem. To już nie te czasy, kiedy miało się cudzoziemców, ile dusza zapagnie, i szampan naprawdę lał się strumieniem. Teraz, aby podnieść ceny, trzeba by było odnowić budę, a to kosztuje. A ponieważ życie jest coraz droższe, ceny też muszą iść w górę. A to niemożliwe, jak długo raczy się gości tą starą norą, która zalatuje stęchlizną. Ile kosztowało samo tylko odnowienie salonu!

Popatrzcie, co dzieje się z hotelami! Tworzą one spółki, jednoczą się. Inaczej — klapa! Wszystko to w Deauville, Trouville, w Paris-Plage — same spółki. Jeżeli chodzi o nasze zakłady, ta sama historia. Czasy się zmieniają, trzeba umieć się przystosować. Albo robisz jak wszyscy, albo cię zjedzą. Ile bankructw zdarza się teraz w drobnym handlu! Wielcy

połykają małych, to rzecz zwykła. Kiedy ma się to szczęście, że zna się kogoś takiego jak Morero, i kiedy ten ktoś jest życzliwie nastawiony...

Tylko że Morero jest stanowczy. Bez Dory. On wie, co to są stare rajfurki z tym swoim instynktem posiadania. Nigdy nie ma się naprawdę interesu w garści, dopóki siedzą człowiekowi na karku. Takiej wciąż się jeszcze zdaje, że jest właścicielką budy, wtrąca się do wszystkiego, urządza fochy, o nie! Z mężczyzną można się dogadać, to inna sprawa, a przy tym co dla mężczyzny jest ważne? Pieniądz! Wystarczy mu, gdy jest w interesie udziałowcem, nie zależy mu, aby pracować. Przy nowoczesnym systemie potrzebny jest nowoczesny personel. Nie można zostawić na czele takiego interesu starego zacofanego babsztyla. Wyobraźcie sobie, że jako reprezentację mamy na jej miejscu młodą powabną facetkę, którą mocno trzyma w rękę jakiś dojrzały mężczyzna.

No tak, ale licencja? Licencję można odkupić. W takich razach cena nie gra roli. Trzeba by to wytłumaczyć pańskiej damie. Nie chcę się mieszać do nie swoich spraw, ale pan jest jeszcze młody. Trzeba korzystać z tych ostatków. Tak jak sprawy stoją teraz, nie będzie pan miał nic dla siebie, nie może pan opuścić swojej współpracownicy, co? To stara historia — któregoś dnia będzie pan musiał wezwać na pomoc kogoś młodszego, kogoś w rodzaju Fryderyka... a potem po trochu buda wymknie się panu z rąk... Stanie się pan starym piernikiem, związanym ze starą babą, bo oszczędności są na jej nazwisko. To zwykła historia. To nic wesołego taka starość burdelarzy. To znaczy, chcę powiedzieć, tych, którzy harowali nie dbając o własny interes!

Wszystko to była prawda. A poza tym Dora budziła w Juliuszu niepokój. Rzeczywiście stawała się nerwowa i zakłád schodził na psy. Właściwie idzie nie tyle o to, aby odnowić lokal, lecz aby go zmienić... Przy protekcji kogoś ze świata politycznego, może przez tego senatora, który jest przyjacielem Morera... Ten senator to bardzo elegancki człowiek. Gazety wciąż o nim piszą w związku z trzyletnią służbą wojskową. Francja musi się bronić, bo Niemcy stale powiększają armię... W Paryżu są wielkie trudności, trzeba się gnieździć w starych obskurnych lokalach, gdzie nie można wprowadzić żadnych nowości. Ale może by przez tego senatora... I gdyby Morero zapewnił Juliuszowi jakiś udział... Gdy się ma do czynienia z takim człowiekiem jak Morero, zbyteczny jest adwokat czy rejent, słowo jest słowem. To tak, jakby się miało akcje przedsiębiorstwa. Można by zacząć nowe życie. Z Różą. Z Różą albo z jaką inną.

Cała rzecz w tym, aby porozumieć się z Dorą. Ona jest taka dziwna. Niepokoi mnie.

XXVIII

Eugeniusz Mere postawił na ziemi posąg z zielonego marmuru, przedstawiający Mefista zadumanego, ze skrzyżowanymi nogami, posąg, który miał z metr trzydzieści wysokości i ważył z sześćdziesiąt pięć kilogramów, jednym prztyczkiem zsunął czapkę na kark i zapierając się na

krótkich a mocnych nogach, odzianych w nędzne spodnie, wyciągnął ręce, gotów pochwycić przeciwnika. Na chodniku wśród zamętu powozów i ręcznych wózków stali ludzie i śmiali się. Drzwiczki taksówki były otwarte i szofer w swoim szarym prochowniku, rudy olbrzym z obwisłymi wąsami, rzucił się prosto na Eugeniusza. Klient wcale nie był tym zachwycony, bo niósł w rękach z wielką ostrożnością małe saskie figurki na etażerkę, kruche jak diabli. Z Hali Licytacyjnej za ich plecami dobiegały krzyki i śmiechy. Pogoda była piękna.

Obaj mężczyźni zwarli się gwałtownie, od razu niemiło zaskoczeni nawzajem swoją siłą. Jeden chciał drugiego rzucić na ziemię, ale na próżno. Szofer walił w Eugeniusza wielkimi zamaszystymi ciosami ramienia. Eugeniusz był niski. Nadał się, jak mógł, perfidnie i brutalnie chwycił tamtego wpół, aby mu utrudnić oddech. Szofer, broniąc się, obiema dłońmi wsparł się na pochylonej głowie Eugeniusza. A wtedy Eugeniuszowi udało się rzucić szofera na ziemię.

Klient, mały, chudy, z bródką, w meloniku i okularach, rzucił się do wozu i krzyknął falsetem:

— Dość tego!

Gapie przyjęli to nową porcją conceptów, a tymczasem dwaj zapaśnicy, zadyszani, mierzyli się wzrokiem, czerwoni, ale i uspokojeni, jak chłopcy, którzy dobrze się sprawili.

— Dość tego! — zaskowyczał histerycznie człowiek z saskimi figurkami i podał Eugeniuszowi skąpy napiwek, który dobył przyciskając do siebie porcelanę i z trudem utrzymując równowagę.

— No, to do widzenia i życzę zdrowia — rzekł Mere do szofera, który skulił się na swoim miejscu. — A jeżeli tu wrócisz, to ci się jeszcze coś dołoży.

Otworzył i zacisnął dłoń, podczas gdy wóz ruszał. Trzy su! Nie do wiary! Trzy su za całe to taszczenie. Dalibóg, co za kutwa z tego jegomościa! Kazał mi dźwigać całe urządzenie salonu i bibeloty, wszystko za trzy su! Nędza! A nie trzeba mu było ufać, bo gębę miał jak Poincare!

Eugeniusz szedł zaułkiem ulicy Chauchat mrucząc z niezadowolenia... Skręcił w pasaż koło Opery i z wolna wyszedł na Wielkie Bulwary. Przez cały dzień nosił meble, paczki z książkami, jakieś dziwne rzeczy, pluszowe franki, żelaziwo, jednym słowem wszystko, czym handlowało się w Hali Licytacyjnej i co nabywcy dawali mu do noszenia z piętra lub z sal parterowych na chodnik i do wozów. Kto inny na jego miejscu skonałby ze zmęczenia — i za to wszystko nie dostał nawet dwudziestu su! Eugeniusz miał w sobie siłę absolutnie nie wyczerpaną, która dawała mu się mocno we znaki. Przenosiłby całe góry, gdyby mu kto za to dobrze zapłacił. Jednocześnie czuł się śmieszny przy tej nijakiej robocie. Więc tak trochę, aby sobie samemu dowieść, że jest jeszcze mężczyzną, spróbował się z tym szoferem z powodu jakiegoś niewinnego żartu tego faceta.

Ale nie zarobił dwudziestu su... Za prawie cztery godziny, między czekaniem i kręceniem się tam i z powrotem. Co prawda, bywają zajęcia,

gdzie kobiety nie zarabiają nawet tego... Osiemnaście su, ani grosza więcej. Osiemnaście su, no, powiedzcie...

Tułów miał bardzo długi i ogromne ręce; prawie wcale szyi i tę jasną cerę, już krostowatą, drobne zmarszczki pod malutkimi oczyma. Był wygolony, na brodzie zawsze miał małe pryszczki. Wyglądał tak, jakby nigdy nie zdejmował bluzy, tak ściśle oblekała ona jego przysadziste ciało, ukazując groźne ruchy bioder przy chodzeniu. Włosy nosił bardzo krótko ostrzyżone z wyjątkiem czubka głowy, bo tam trzeba było robić przedziałek. Na środku przedziałek. A w niedzielę — brylantyna. Prawie bez brwi, nos lekko zadarty. Nawet uragano mu z powodu tego nosa. To najczęściej było przyczyną bójk.

Nie zarobił dwudziestu su... Z braku pracy marnował siły w Hali Licytacyjnej. Szukał tam uczciwie pracy wiedząc, że czasy są trudne. Ale przecież wszyscy potrzebują stale bucików. Gdyby miał trochę pieniędzy, mógłby pracować jako szewc. Ale robotnik w fabryce obuwia... znowu jedną taką zamknęli. Nikt nie potrzebuje robotników.

Widząc go, tę budowę pogromcy dzikich zwierząt, dziwiono się, że obrał sobie takie siedzące zajęcie, tak niestosowne dla jego wrodzonej gwałtowności. A jednak tak było, tragarzem bywał tylko z musu. Trzeba jeść. Nie zarobił dwudziestu su.

Szedł bulwarami, nie spieszył się, spacerkiem. Myśl o domu, gdzie śmierdziało dziećmi i kuchnią, nie zachwycała go wcale. Trzymał pieniądze w stwardniałej dłoni... Czuł potrzebę kąsania, bijatyki. A także śmiechu. Żeby tylko było z czego. Patrzył, na kobiety. Trzeba by je naprzód umyć. A przy tym one wszystkie kute na cztery nogi... Lekki suchy wietrzyk, do jakiego nie jest się przyzwyczajonym w czerwcu. Nie ma dwudziestu su. Osiemnaście. Osiemnaście.

Pewnie, że to lepiej niż nic. Ale ja sam już nie wiem: gdy tak cykają te napiwki, człowiek daremnie powiada sobie, że to klienci są dziady, kutwy — zostaje mu wrażenie, że nie robił tak, jak naprawdę trzeba, że coś udawał, że nie dość się pocił, nie dość, się starał... Człowiek chciałby przekonać samego siebie, że nie jest do niczego, zrobić jakiś koński wysiłek, do którego czuje się jeszcze zdolny. Mój Boże, jest się jeszcze młodym, ma się krew w żyłach, ramiona, na których pękają koszule, mocne pięści. Chętnie sprzałby kogoś po pysku na dodatek, byle dostać jeszcze trzy su. Ale nie ma chętnego.

Eugeniusza brała głucha złość, pasja będąca jakby transsubstancją jego nie zatrudnionej siły. Myślał o domu, żonie, bachorach. Co im przyniesie? Osiemnaście su! Ale daremnie byłoby jeszcze dreptać pod Halą Licytacyjną. O tej porze nie ma już roboty. Osiemnaście su. Wściekał się. Nie wypadało nawet po trzy su na gębę w domu, licząc z najmłodszym dzieckiem. Pomyślał o małym i zaczął się cicho śmiać. Potem wrócił myślą do pieniędzy, które ścisnął w garści, potrząsnął nimi. Zdecydował się włożyć je do kieszeni, gdzie czuł, jak obijają mu się o udo. Akurat wystarczy na zupę. Wśród złości stanęła mu przed oczyma Emilia, Emilia

nie uczesana, prosto z łóżka, jeszcze nie całkiem rozbudzona, z nagimi ramionami, w białym kaftaniku i czarnej halce, Emilia, którą zostawił rankiem w tej obskurnej norze z malcem, drącym się, bo ząb go bolał (może już się wyklął ten mleczny ząb, trzeci, proszę ja kogo!), i całą resztą dzieciarni, która kłębiła się na podłodze, że mało ich nie rozdeptał. Dzieci. Podobne były do niego. Zawadiaki.

O tak, jeżeli już chodzi o zawadiakę, to naprawdę może być dumny z siebie: wraca do domu z osiemnastoma su w kieszeni! Za tę cenę nie mógłby sobie nawet zafundować tej grubej cioty, która drepcze po bruku w jedwabnej liliowej sukni. Żart zupełnie bezinteresowny. Miałby za swoje! Z wyjątkiem tego okresu, gdy był w wojsku, nigdy nie zdradzał Emilii. Wydawało mu się to dziwne, nawet sama myśl... No, czy nie jest idiotą, aby teraz myśleć o takich rzeczach? Odpowiednia chwila... Obraz Emilii stanął przed nim wyraźniejszy, połyskujący... Bo kochał tę swoją Emilię, żonę, towarzyszkę, mamę... Widział, że z latami zmieniała się od stóp do głowy, stała się krępa i trochę ociężała, i zmęczona, piersi zwiotczały, twarz zbladła i pomarszczyła się... Widział nie wiedząc... Widział, ale nie wierzył, została dla niego taka sama, jak on był taki sam, tylko grubszy, bardziej skory do złości. Emilia! Coś w nim tajało, gdy o niej pomyślał. A jednak niespieszne mu było wracać. Nie miał ochoty, jak drudzy, iść do kawiarni. Ale chętnie tak się włóczył. Było coś, sam nie wiedział co, co odciągało go od domu. Chociaż mimo wszystko, mimo ciasnoty, mimo że tak u nich brzydko, trzeba powiedzieć, że lubił siedzieć w domu. Ale już być tam. Nie wracać. Być w łóżku z Emilią, gdy dzieciarnia śpi już jak susły, oni oboje, wyciągnięci obok siebie na całą długość rozmawiają po cichu słowami, które są gorące i głupie, plotą, co im do głowy przyjdzie, jak we śnie...

Ale wracać... Ta wąska i brudna uliczka, czarna sień, szkaradne podwórko i konsjerżka, która zawsze ma jakiś tam swój powód do pyskowania, wreszcie w pokoju trzeba siedzieć w kącie, aby nie przeszkadzać Emilii, gdy gotuje, czekać, czekać na noc, bo wieczorem nie ma co z sobą zrobić, wszystko tyle kosztuje... Albo znowu włóczyć się po bulwarach czy nad kanałem, patrzeć na ludzi siedzących na terasach kawiarni, na światła... Gdy trafi się kiermasz, jest jeszcze na co popatrzeć, ale poza tym! I po to wracać! Mając osiemnaście su w kieszeni.

Była jeszcze jedna rzecz, o której Eugeniusz Mere z dzikim uporem wzbraniał się myśleć. Najgorsza. To, co było istotnym powodem jego włóczęgi, odwlekania. Rzecz, która budziła w nim dławiącą nienawiść, zabójczą wściekłość, gdy tylko pozwolił sobie musnąć ją myślą. Pewna rzecz, która kojarzyła się z półkulistym witrażem, zadymionymi szybami z odsuwanym lufcikiem i światłami padającymi na dziedziniec. Buchające strzępy śpiewu, gdy tam w głębi otwierano drzwi. Burdel. Sąsiedztwo burdelu. Hańba, której nie mógł nigdy zapomnieć, choć z początku żartował na ten temat. Że Emilia żyje obok tego, i dzieci. Co do malców, to na razie jeszcze ujdzie... Ale Emilia. Pomyśleć, że Emilia... Kobiety z tej

zgniłej budy, te dziewczki, dziewczki zarabiające pieniądze w ten sposób... nie formułował do końca tego, co wywoływało w nim bunt...

Szedł wielkimi bulwarami, powietrze w zapadającym zmierzchu było jeszcze łagodniejsze, a na chodniku jakiś głuchoniemy wypisał do przechodniów słowa prośby o wsparcie, obok rozłożonych widokówek, na których z pociętych znaczków pocztowych zrobione były łamigłówki, młyny, barki na morzu, Wenecja i Mały Kapral.

## XXIX

— Czekajcie, niech no ja was tylko złapię!

Malcy wcale na to nie czekali. Czy stara Buzelin nie mogła mieć tego swego reumatyzmu? Była na nogach, gdy oni myśleli, że leży w łóżku i jęczy. A na podwórzu działo się wszystko, co należało, aby doprowadzić stróżkę do pasji. Nie tylko mama rozwiesiła na sznurku koszule, aby się suszyły, i ludzie zaczepiali o to głowami w przejściu, ale nadto mali Mere bawili się z malcami spod szesnastki, korzystając z tego, że mama poszła obok odnieść bieliznę i wedle umowy pocerować firanki. Akurat gdy raz byli panami podwórka! Zrobili sobie z papieru kurze głowy... Wiecie, kurze głowy: bierze się kwadratową kartkę papieru, składa się na pół, zagina rogi... przecież każdy to umie — i w końcu robi się taka śmieszna rzecz z dzióbem, który można otwierać i zamykać... Potem nabierało się w to wody od prania, którą mama zostawiła w cebrzyku, nie za dużo, ale dosyć, i oblewa się inne dzieciaki; trzeba się podkraść do frajera, potem otworzyć dziób, że niby to papierowa kura pluje na ciebie. Było ich sześcioro. Śmiali się, że ha!

Na to wszystko wpadła pani Buzelin. Hekatomba kurcząt, to znaczy obrzydliwych papierów moknących w wodzie od prania, poniewierała się na ziemi, wszystko ochlapane, bachory podniecone, roześmiane, wrzeszczące, zlane wodą, ceber przewrócony, wszędzie płyną mydliny, lokatorzy z góry pomstują... Oczywiście przekłete bachory uciekały jak muchy przed smokiem ładu i czystości. Pani Buzelin przyglądała się klęsce. Gdy pomyśleć, ile się naharuje, aby utrzymać tu porządek, przy chorych nogach. Była wściekła. A najgorsze wydawały się jej nie dzieci, tylko ta bielizna. Ile razy mówiła już pani Mere! I gdzie ona się podziewa? Pod jedenastką, ma się rozumieć! Przydałoby się trochę poczucia godności. Popatrzyła w okna numeru 11 i pomyślała, że ona wolałaby zdychać... zdychać... Pójdzie do tej pani Mere, co nie umie utrzymać w ryzach swoich dzieci... Ale co z najmniejszym? Pani Buzelin zajrzała przez okno. Niemowlęcia nie było. Widocznie matka wzięła je ze sobą... „No — rzekła sobie pani Buzelin — ten wcześniej nauczy się chodzić po burdelach!”

W złości zerwała bieliznę rozwieszoną w poprzek dziedzińca. Nogi bolały ją coraz bardziej. Nie powinna była wstawać! Ale co zrobić z takimi kreaturami! Cisnę ja ci te koszule na ziemię i te majtki, tak kuse, że aż wstyd! Teraz już nie tylko ceruje im łachy, ale i jeszcze pierze. I nie brzydzi się! O nie, co to, to nie! Przez okno mieszkania pani Mere stróżka



wrzuciła kolejno wszystką bieliznę, usiała nią cały pokój — na ziemię, na łóżko, na skrzynię chłopca, wszędzie; mokra bielizna zwisała jak łachmany lub obrzydliwie sterczała.

W tej właśnie chwili Eugeniusz ukazał się w sieni. Słyszał krzyki pani Buzelin, urywany, jękliwy jazgot, prawdziwy sabat. Gdy zobaczył ją, tę furie, szalejącą na małym czarnym podwórku, to świństwo na ziemi i zrzuconą bieliznę, i klęskę w ich mieszkaniu, puścił się biegiem ku stróżce.

— Pani Buzelin, przestań pani! Czyś pani zbzikowała?

Pani Buzelin tylko na to czekała. A jesteś! I bluznęła kaskadą oskarżeń, obelg, biadań. Z potarganymi włosami, zadyszana, spocona, wzywała niebo na świadka i darła się... Eugeniusz przyjął wyzwanie. Co, dzieci?... Więc nie mają prawa bawić się? Oczywiście, obiecywał sobie, że sprawi im lanie, ale to chyba nie rzecz stróżki. Czy to powód, aby ciskać na ziemię bieliznę, którą wyprała Emilia? Teraz trzeba wszystko zaczynać od początku... Co za dziwka z tej Buzelin!

— Ja, dziwka?

— Mało się nie udławiła. Złość wysadza jej oczy na wierzch, rozdziawia szczerbate usta. Jest obrzydliwa. Mere już chciał się roześmiać, gdy usłyszał jej krzyk:

— Ja, dziwka? Ten, co żyje z żony i posyła ją do bajzla, ma czelność nazwać mnie dziwką?

Eugeniusz staje osłupiały. Co ona gada? A przede wszystkim, gdzie jest Emilia? Stara Buzelin usiłuje się wymknąć. Przypiera ją w kącie, niech się wytłumaczy. Ona zadziera głowę, bierze się pod boki. Tak, w bajzlu! Eugeniuszowi robi się czerwono w oczach. Co to za kłamstwa? Chwyta ją za ramię. Puść albo zacznę krzyczeć! Potrząsa nią. Trzeba to wyjaśnić. Puść...

Wtedy powiedziała wszystko. Że trwa to już od miesięcy. Ona opowiada, że to ludzie z sąsiedztwa dają jej naprawki? Trzeba być ślepym, aby nie poznać, że to bielizna tych dziwek z naprzeciwka! Ależ tak, tak, to wszystko bierze się spod jedenastki. Ona kłamała jemu, mężowi? On czasami udaje głupszego, niż jest w rzeczywistości... Naprzód dawały szycie, potem pranie... Ona wciąż tam siedzi, że niby to robi, że tamto... Co? Co? A gdzie jest teraz?

Eugeniuszowi świat wiruje przed oczyma. Cholera, cholera! I wszystka ta złość do świata psów, które go poniewierają... oto do czego ją doprowadzili... Emilię! Odsuwa stróżkę, wraca do sieni, wychodzi na ulicę...

Gdy wszedł do „Jaskółek”, wszystko tam było w porządku jak zwykle. Szefowa rozmawiała ze starym jegomościem przy stoliku, a dziewczyny z biustami na wierzchu, w pończochach i paskach, rozwalaly się po ławeczkach. Naprzód wstały, niby że do klienta. I nagle ten typ w niebieskiej bluzie zaczął coś krzyczeć o swojej żonie, walić pięścią w stoły, tak że nic nie można było zrozumieć.

Dora podniosła się.

— Przepraszam pana, o co chodzi?

O co? O co? Zabierają ci żonę, takie świństwo! Podobne budy należałoby z dymem puszczać! Tak, z dymem, ja wam to mówię! I nie wiem, co mnie od tego powstrzymuje! Już ja to kiedyś podpale! Kieliszki zatańczyły, jeden rozprysnął się na podłodze. Lulu krzyknęła. Wszystkie panie wrzasnęły. W czerwonym salonie ukazała się panna Maria. A potem ten wariat przemówił swoim językiem. Warto było słyszeć, jak nazywał nasz zakład! I tutejsze panie! Dora z drżeniem patrzyła na pana Piotra, który siedział na zwykłym miejscu... Żeby ktoś tak się do niej odnosił w obecności pana Piotra!...

— Juliuszu! — zawołała przez drzwi w głębi.

— Ależ to jest pan Mere — rzekła panna Maria, która nic nie rozumiała. — Mere? Co za Mere?

— Gdzie jest Emilia? Jeżeli z Emilią jest jakiś mężczyzna, wyleję go na zbity pysk!

Wszyscy zagadali jednocześnie. Wszedł Juliusz. Mężczyzna. Ach, do cholery! Eugeniusz puścił się ku niemu. Tamten był nie ułomek. Przytrzymał go. Dziewczyny rzuciły się na nich, zagdakały; cicho bądź, jak się to skończy, co to znaczy?

W chwili największego zamieszania wszedł klient. Stały gość. Nadzwyczaj przyzwoity pan, kupiec z bulwaru Sebastopskiego, człowiek bardzo na miejscu. Chciał się cofnąć, miał już wyjść, gdy na szczęście zajęła się nim Lulu...

Nagle ponad wszystko wzbił się piskliwy głos panny Marii:

— Mówiłam wam przecież, że to jest pan Mere!

Ale dwaj przeciwnicy nabrali już rozpędu i zaczęli się pracować na dobre — pięść Juliusza spadła na szczękę Eugeniusza, rozległo się plaśnięcie, jakby ktoś rzucił surowy befszytk na stół. Dora złękła się o pana Piotra. Mere lekko się cofnął i teraz boks odchodził w najlepsze; jeden ze stołów wylądował między dziewczynami. Wśród ogólnego wrzasku panna Maria, która zniknęła na chwilę, wprowadziła kobietę z gołą głową, dziwnie tu wyglądającą w ubogiej sukni, z zawstydzoną miną... Miała jeszcze w ręku nici i igłę... Emilia... Zobaczywszy ją, Eugeniusz w jej stronę skierował wściekłość i szaleństwo... Ach, ty ścierko, ścierko!

Zapomniał o przeciwniku, który teraz potężnym ciosem w twarz pchnął go na ziemię, aż się potoczył wraz z krzesłami, które zwały się na niego. Przerażona Emilia rzuciła się ku mężowi. Jeszcze nie zdążył wstać, a już uderzył ją w twarz. Z całą siłą odwetu przygotowanego dla draba, który go tak urządził! Emilia płakała w milczeniu i walka rozgorzała w jej obecności na nowo, niepojęta, zaciekała...

— Eugeniusz!

On walczył dalej wśród zgiełku, miotając przekleństwa, szalone słowa wściekłości, kotłując się z gospodarzem „Jaskótek”. Z twarzy ciekła mu krew.

— Eugeniusz!

Klient, który się zdołał wydrzeć z objęć Lulu, wyszedł, jak mógł najciszej. Ale jeszcze się drzwi za nim nie zamknęły, gdy w progu stanął pan Fryderyk. Był to koniec walki. Zaszedł Eugeniusza od tyłu i, wsunawszy ręce pod pachy szaleńca, przytrzymał go, a tymczasem Juliusz bił dalej: trach, trach, pac w brzuch, pac w głowę, jeszcze raz po głowie...

— Eugeniuszu! — darła się Emilia.

On zaś, pochwycony w sidła, wstrzymując oddech, aby nie krzyknąć z bólu, wołał do niej:

— Dziwka! Dziwka!

Obaj mężczyźni, tłukąc głową Eugeniusza o ścianę, ciasno go otoczyli; on bronił się, podskakiwał im w rękach ponad ich głowy, a więc przygniatali go ramionami, uderzali w zakrwawiony nos, wreszcie przenieśli go przez salę i wyrzucili na ulicę przez drzwi, które przytrzymała im Mado. Emilia, która pospieszyła mu na pomoc i próbowała go uwolnić, mimo że odciągały ją Hermina i Paula, krzyknęła jeszcze:

— Eugeniusz! — i zwała się na ulicę, na męża, w chwili gdy drzwi się zamykały.

— No, proszę — powiedziała panna Maria spojrzawszy na nieład, pobite szkło, na Juliusza i Fryderyka, którzy doprowadzali się do porządku — dajcie takim ludziom pracę, a ładnie się wam odwdzięczą.

Wszyscy rozpuścili gęby. Dora zapytała pana Piotra, czy nie stało mu się coś złego. On zaś, jako że nie ruszył się z miejsca, odrzekł pogodnie:

— Ogromnie interesująca scena, pani Tavernier...

Podczas gdy Fryderyk dopytywał się, o co poszło, Juliusz, który utracił guzik od kołnierzyka, dyszał i wykrzykiwał:

— Co mnie tam obchodzi jakiś łażęga! Mam go gdzieś!

— A widzieliście, jak Fryderyk to szybko załatwił? — wtrąciła Lulu.

Z zewnątrz dochodziły krzyki Eugeniusza.

— Czy on nigdy nie skończy! — powiedział Juliusz.

— Człowiek zastanawia się — dodał Fryderyk — po co istnieje policja!

Na ulicy Eugeniusz pozbierał się i teraz wykrzykiwał swoją nienawiść, nienawiść bezgraniczną, która wylewała się z niego, była nie tylko jego własną nienawiścią, lecz nienawiścią tysięcy innych, nienawiścią do tej rzeczy niewiarygodnej, do tej haniebnej budy, gdzie ludzie przychodzili codziennie wyprawiać swoje świństwa i gdzie się piło, grało, śpiewało, żarło i... Tego było już za dużo, wylewało mu się to z brzucha i z serca, i z sińców na jego twarzy... niesprawiedliwość, krzyżująca niesprawiedliwość... Brak pracy... i ci... a najgorsza ta Emilia, Emilia! Zobaczył ją przy sobie pokorną i drżącą, dotykała go macierzyńskimi rękoma; uderzył ją w twarz.

— Szmata, szmata! — i ze zgrozą odepchnął rękę żony... Co to ona robiła tą ręką?

Na ulicy gromadzili się ludzie, głowy wychylały się przez okna... Ktoś zatrzymał się z ręcznym wózkiem, usłyszano, jak zahamowała taksówka. Dokoła tłoczyły się dzieci. Ich dzieci gapiły się przerażone. Emilia cicho

powiedziała do Eugeniusza:

— Wracajmy, zbijesz mnie w domu!... W domu! Uśmieł się zdrowo. I znowu rozwrzeszczał się przeciwko „Jaskółkom”, pogroził pięścią w ich kierunku i krzyknął:

— Podpalę ich! Ja ich z dymem puszcę! Stał tam rzeźnik, wielu przechodniów i matka Buzelin, która też przyszła popatrzeć... Pan Juliusz Tavernier ukazał się na progu i rzucił kilka słów pogroźki.

— Chodźmy — rzekła Emilia — widzisz, że dzieci...

On obcierał twarz, rękaw miał cały we krwi. Bolało go nad lewą brwią. Popatrzył na swoich malców, stali w pierwszym rzędzie wśród zbiegowiska. Myśleli, że ich ojciec się zalał.

Gdy Juliusz cofnął się do wnętrza, „Jaskółki” przedstawiały szczególny widok. Bałagan jako tako usunięto, w barze Fryderyk popijał już coś na wzmocnienie z podanego przez Dorę kieliszka, wszyscy inni zaś, wraz z Lulu i panem Piotrem, stali pośrodku pokoju wokoło panny Marii, która — z tymi swoimi sztucznymi loczkami, cała w ryżowym pudrze, z tym szkaradnym nosem — stroiła wdzięczne minki do jakiegoś kwilącego zawiniątka trzymanego na rękach. Było to najmłodsze dziecko Emilii; matka zostawiła je w łoży, to znaczy w biurze zastępczyni szefowej, gdzie właśnie pracowała, gdy panna Maria przyszła jej powiedzieć, że na sali jest Eugeniusz i awanturuje się.

— Jakie milusie to maleństwo! No, uśmiechnij się, malutki... A kuku, a kuku...

Szkaradnie wyglądały te damy ze swoimi łydkami, piersiami, obwisłą skórą i stary pan w surducie, który żartował z nimi i także wołał:

— A kuku!

Juliusz wzruszył ramionami:

— No dobrze, ale kto im odniesie tego bachora?

Pan Fryderyk przyniósł najświeższe wiadomości: Bułgarzy zaatakowali Serbów, na Bałkanach znowu wszystko wre... Grecy... Turcy...

— W tych krajach — powiedziała Lulu — jest zawsze wojna... Ja znalazłam jednego Greka... Możecie mi wierzyć albo nie, ale trzeba mu było mówić o jego matce... inaczej nic z tego...

xxx

— Bawić się lalką? Jeszcze? — rzekła Zofia. — Nie rozumiem cię, Jasiu, nie jesteś mężczyzną... Jaka ja głupia, oczywiście, że nie możesz być mężczyzną, bo jesteś małym chłopcem... Zastanawiam się nawet, po co ja się zadaję z takim malcem... Ach, gdy będziesz miał siedem lat, zaczniesz uczyć się rachunków... Siedem lat to wiek, w którym nabiera się rozumu... Ja od dziewięciu dni weszłam już w wiek rozumu... Siedem lat... Ale przedtem... Żeby jeszcze twoja lalka była ładna! Jedno oko ma wylupione, włosy zakurzone, a ta sukienka z szarego aksamitu w prążki! Pfe, to brzydko ubierać się w prążkowany aksamit! To pospolite, w złym smaku,

niemodne, to powinno być zabronione!

Zofia krzywi się szkaradnie, marszczy nos tak mocno, że niknie on wśród nadętych policzków, kąciki ust opadają, niemal stykają się z sobą, a szare oczy obrzydliwie zezują. Wygląda, jakby zaraz miała zwymiotować. Aksamit w prążki! W prążki! Jaś wstydy się za swoją lalkę, bo ją bardzo lubi, ma ochotę rozplakać się. Siedzą oboje w małym pokoiku na parterze, obok jadalni. Pokoje można połączyć otwierając lakierowane na brązowo, sześćcioskrzydłowe drzwi, które dają się całkiem złożyć. Od niedawna — dawniej z każdej strony były małe drzwiczki. Przerobiono to po wakacjach. Jaś waha się między wciąż nowym zdziwieniem na widok tych nowych drzwi a smutkiem, że jego lalka jest tak brzydko ubrana. Ta Zofia jest złośliwa.

— Nie możemy bawić się twoją lalką, bo jest brudna, więc jaką zabawę proponujesz? To twoja wina, więc powinieneś coś wymyślić... Co mówisz? Nie mówisz nic, ma się rozumieć, ale łatwo się domyślić, co chcesz powiedzieć... A może to nie twoja wina? Ach tak, masz tylko jedną obrzydliwą lalkę, bo jesteś mały żebrak. To ładnie być małym żebrakiem! Wobec tego można się z tobą bawić tylko twoją lalką... Mały żebrak, mały żebrak! Fe, fe! Wstrętny mały żebrak!

Jaś otwiera szeroko oczy. Nie wiedział, że jest małym żebrakiem. Nie wie, co o tym myśleć. Uświadamia sobie, że nie ma pojęcia, co o tym myśleć. Wydaje mu się to śmieszne. Śmieje się.

— Śmiejesz się, wstrętny bachorze? Śmiejesz się? To, że się jest żebrakiem, wcale nie jest śmieszne. To bardzo smutno, bardzo brzydko, wielki wstyd! Zrozumiesz to, gdy będziesz miał siedem lat. Oczywiście, że w piątym roku życia nic się nie rozumie. Zwłaszcza gdy się jest żebrakiem!... Lepiej byś wpadł na jakiś pomysł, wymyślił jakąś zabawę! Bo ja przecież nie będę tak tutaj beczynn timer siedzieć, ja, duża, siedmioletnia dziewczynka, przy małym żebraku. Powinnam cię bić, bić po twarzy, szczypać cię, mały żebraku! Ale powiedz coś wreszcie, bo mnie denerwujesz!

Jaś nie ma nic do powiedzenia. Zaproponowałby chętnie zabawę w małżeństwo, ale nie można bawić się w małżeństwo bez lalki. A przy tym Zofia jest dziś tak dokuczliwa, że on nie ma nic do powiedzenia.

— No tak — mówi dalej Zofia — ty jesteś na to za głupi... Czy nie rozumiesz, że już od dobrej chwili bawimy się w coś? Bawimy się w małego żebraka. Ty jesteś małym żebrakiem. Mama zabroniła mi bawić się z małymi żebrakami...

— Więc dlaczego — pyta Jaś — chcesz się bawić w tę zabawę?

— Oj, mały głupcze! Właśnie dlatego, że mama zabroniła mi bawić się z małymi żebrakami, ty jesteś małym żebrakiem i bawimy się w małego żebraka. Jesteś brudny, nie myjesz się nigdy, nie masz bony, używasz brzydkich wyrazów, tarzasz się w gnoju... Nie należysz do mojej sfery!

Teraz Jaś, sam nie wie czemu, czuje się naprawdę bardzo smutny. Ma na sobie szary fałdzisty fartuszek i szeroki pasek, przy którym robi się węzeł,

bo uszyto go na znacznie grubszego chłopca niż Jaś. Patrzy na leżącą na ziemi lalkę z oczyma otwartymi na nieskończoność. Nie cierpi Zofii, ale ona ma siedem lat. W tej chwili ona przysuwa wielkie krzesło.

Wielkie krzesło Jasia, na którym siaduje on przy stole, wygląda, jakby kto ustawił fotelik na klatce. Między poręczami jest deska, na której stawia się talerz Jasia i która, gdy ją już przed nim raz zamkną, nie pozwala mu wiercić się lub spaść. Ale tajemnicza cudowność wielkiego krzesła, pomalowanego na żółtokanarkowy kolor, polega na tym, że można je złożyć we dwoje, jakby się je łamało, tuż pod fotelikiem, a wtedy klatka znajduje się na przedzie i robi się mały wózek tuż przy ziemi, ze stołem przed fotelikiem. Jest się wtedy zupełnie uwięzionym w środku, trzeba Jasia wyciągać biorąc go pod pachy, a on fika nogami.

Zofia złożyła wielkie krzesło, a teraz zmusza Jasia, aby się w nim usadowił. Gdy Jaś już tam usiadł, zaczyna skakać dokoła niego:

— Pff, pff, Jasiu! Jesteś kaleka bez nóg! Bez nóg! Wcale nie masz nóg! Jak to śmiesznie, bez nóg! Śmiesznie, cha, cha, cha!

Jaś wierci się w krześle.

— Nieprawda, mam nogi, no popatrz!

Ale nie może ich wyciągnąć i Zofia triumfuje.

— Bez nóg! Co za wstyd! Bez nóg!

Wreszcie Jaś uderza w płacz, więc Zofia gniewa się:

— Jeżeli mówię ci, że nie masz nóg, to musisz ich nie mieć! Czy będziesz mnie uczył, co trzeba myśleć? Ja mam siedem lat. Gdy ty będziesz miał siedem lat, sam będziesz decydował, czy masz nogi, czy nie. Tymczasem ja decyduję. Nie masz, nie masz nóg! A poza tym nie próbuj wyleźć z tego krzesła! Po pierwsze, to trudno, a po drugie — ja tu rozkazuję. Pff! Pff!

Zofia stanęła za Jasiem i z całej siły swoich siedmiu lat naciska na ramiona chłopca, przytrzymuje go, wściekłego, w krześle. *On* otrząsa się, ale nie udaje mu się oswobodzić od Zofii. Wyrzuca małe pięści w górę. Zofia uchyla się.

— Nie dotykaj mnie, mały żebraku bez nóg! Nie jesteś godny bawić się ze mną. Mama mówi, że masz wszy, pchły i inne stworzenia, które nazywają się... nazywają się insekty, właśnie insekty! Ty masz insekty!

— To nieprawda — wrzeszczy Jaś — nie mam żadnych insektów! Ja nie mam insektów!

— Masz insekty. Wiem, co mówię. I to insekty żebraka, kaleki, najobrzydliwszy rodzaj insektów.

— Kłamiesz, kłamiesz! Puść mnie stąd!

— Puścić cię? Abyś rozniósł insekty po całym domu? Nigdy! Zostaniesz w tym krześle!

— Chcę wyjść z krzesła! Chcę...

— Czy kto kiedy widział, aby pięcioletni smarkacz mówił: „*Ja* chcę?” Król mówi: „Chcemy...”

— Nie ma wcale króla ani insektów!

— Ależ ten Jaś jest nieznośny! Zarzuca mi kłamstwo, słowo daję! Mam

siedem lat i nie zniosę, aby zarzucano mi kłamstwo. Ty masz insekty, a król istnieje!

— Król istnieje? A gdzie on?

— Nie twoja rzecz. To nic nie obchodzi małych żebraków, gdzie jest król.

— Mówisz tak, bo króla nie ma.

— Jest. Widziałam go.

— A jak on wygląda?

— Jest taki, jak mu się podoba. Ma błękitny płaszcz i wysokie kamasze.

— Kamasze? Nie wierzę ci. Przede wszystkim król nie istnieje, więc nie może mieć kamaszy.

— Przecież mówię ci, że go widziałam.

— Rozmawiałaś z nim?

— On do mnie przemówił.

— Co ci powiedział?

— Powiedział: „Dzień dobry pani! Jak zdrowie? Jest pani bardzo ładna!”

— Ach, ty kłamczucho! Nie jesteś wcale ładna, a król nie istnieje.

— Co, ja nie jestem ładna? Bezczelny! Wstrętny mały żebraku, cały w insektach!

— A czy on ma insekty?

— Kto?

— Król.

— Król — insekty! Wyrażaj się z szacunkiem! Jest to bardzo wytworny król z blond wąsami.

— Nie cierpię tego króla, to kłamca...

— Irytujesz mnie w końcu... A więc tak, król ma insekty... Zresztą ma wszystko, co chce... I jeżeli sprawiałoby mu przyjemność, może mieć nawet insekty!

— O, ładny mi król! Chwalisz się tylko, on wcale do ciebie nie przemawiał.

— Jasiu, jeżeli mówię ci, że król przemawiał do mnie, to znaczy, że przemawiał. Zaprosił mnie do swego samochodu i poczęstował mnie naleśnikami.

— Naleśniki z insektami! Naleśniki z insektami!

— Jasiu, wypraszam sobie takie maniery. Wobec dorosłych trzeba zachowywać się odpowiednio... Bądź cicho albo nic ci już nie opowiem... Jada się te królewskie naleśniki na złotej zastawie. Potem myje się ręce w małych czerwonych miskach i na każdy palec wkłada się inny pierścionek: biały na kciuk, różowy na palec wskazujący, diamentowy na środkowy, wielką perłę na serdeczny, a na piąty pierścień z deridede...

— Co to takiego?

— Wciąż mi przerywasz! Pierścień z deridede w kształcie dirididi...

— Chyba kpisz sobie ze mnie.

— Ja? Ależ przysięgam ci na Pana Jezusa! Pierścień z deridede w kształcie dirididi...

Jaś, głęboko przejęty, nie upiera się dłużej. Ale w głowie pod lokami coś

mu świta...

— Król powiedział mi, że w każdą sobotę będzie po mnie przysyłał swoją karocę, ponieważ uważa za rzecz okropną, że ja, taka ładna, bawię się z małymi żebrakami... Czego chcesz? Nie przerywaj!

— Chodź tu bliżej, Zofio, chodź bliżej!

— Ażeby mnie oblażyły twoje insekty? O nie, dziękuję. Otóż w sobotę pojedę do króla, w koronkowej sukni i binoklach...

— W binoklach?

— Tak, to bardzo elegancko i to w tym roku ogromnie modne wśród królów. Pojedę do pałacu, wysiądę z karocy, wejdę do pałacu. Wszyscy będą na mnie patrzeć i powiedzą: „Kto jest ta urocza panienka? Jak jej ślicznie w binoklach!” Ja będę miała taką minę, jakbym nic nie zauważyła. Idę prosto do króla, chcę złożyć mu ukłon. Ale on schodzi z tronu i powiada: „Nie, nie, proszę się nie kłaniać, jest pani moim gościem, zaraz będziemy jedli naleśniki...”

— Znowu te naleśniki?

— Bezczelny smarkacz! Jakbyś już kiedy miał zaszczyt jeść naleśniki z królem. Ależ te dzieci żebraków są ordynarne!

— Zofio, proszę cię! Zofio!

— Czego sobie jeszcze życzysz, moje dziecko?

— Zofio, chcę ci coś powiedzieć do ucha!

— Do ucha? Dlaczego? Ażeby mnie insekty oblażyły?

— Nie, nie obleżą cię moje insekty! Ale chodź, chodź...

— Nie, nie, możesz powiedzieć głośno.

— Nie, wstydziłbym się...

— Wstydziłbyś się? Co to ma znaczyć?

— Proszę cię. To coś bardzo ważnego.

— Nie wierzę ci.

— Naprawdę, Zofio. Tajemnica, wielka tajemnica! Zofia węszy jakiś głupi żart. Ale jednocześnie chciałyby poznać tajemnicę. Nachyla się więc nad Jasiem nakłaniając ucha gestem księżniczki, która musi przejść obok gnojówki i trzyma się jak najdalej, aby nie złapać insektów...

— Bliżej, Zofio, bliżej!

I nagle Zofia wybucha płaczem, wrzeszczy wniebogłosy. Jaś ugryzł ją w ucho, straszliwie kłapnąwszy mlecznym zębem. Krew cieknie obficie.

Domownicy zbiegają się na krzyk Zofii. Co się stało? Wpada ciotka Joanna, za nią tatuś. Wstrętny smarkacz! Dostaje klapsa. Nie wydaje się tym przejęty. Śmieje się, co za głuptas!

— Będzie miała nauczkę — mówi — to za insekty!

### XXXI

— Osobistość, o której mówię, ma stosunki w Pałacu Elizejskim i z racji interesów, które prowadzimy z sobą od lat, okazuje mi pewne zaufanie.

W salonie apartamentu zajmowanego przez pana von Goetz w hotelu



„Meurice” pan Werner, rozparty w niskim fotelu, wylewał się z niego dobrze odżywionymi wypukłościami pleców. Skrzyżował perłowszare nogi i od czasu do czasu obciągał poły czarnego surduta. Mówił z mieszaniną uszanowania i pewności siebie, łączącą w sobie nawyki jego zawodu i cześć, jaką żywił dla swego gospodarza, ponad którym przez duże okna widział Tuilerie i wdzięczny pejzaż Paryża.

Baron von Goetz uważnie przysłuchiwał się słowom gościa. Przekroczywszy sześćdziesiątkę, trzymał się zaledwie trochę bardziej pochyło niż w czterdziestym piątym roku życia, włosy miał jednolicie białe, zawsze bardzo krótko ostrzyżone. Ręce mu wyschły i na to już nie było rady. Mówiąc lub słuchając, jak mówią inni, patrzył na nie i dotykał ich jako widomej oznaki starości. I, jak zawsze, zainteresowanie objawiało się u niego w zwężeniu nozdrzy — co obciągało w dół jego cienki i delikatny nos — i w podobnym grymasie ust. Pod światło pan Werner nie widział go dobrze. Co myślał baron? Nigdy nie miało się pewności, że argumenty trafiają mu do przekonania.

Prawdę powiedziawszy, pan von Goetz był dość poirytowany celowo poufałym stylem swego rozmówcy: „Osobistość”... co on chce przez to powiedzieć, skoro doskonale wiadomo, że chodzi o Wisnera, wielkiego fabrykanta samochodów? Pan von Schoen nie ukrywał tego przed baronem, kiedy radził mu, aby zwrócił się wprost do Wernera, więc po co ten bawi się w tajemnice? Ale taki już jest styl małych urzędników, to im dodaje ważności, choćby we własnych oczach, i w ten sposób zyskują złudzenie, że mają dostęp do tajemnic państwowych. Zwłaszcza że Werner nie czuł się swobodnie mówiąc wprost z baronem. Była to może wielka szansa jego kariery. Więc mocno się gorączkował.

— Nie wątpię — rzekł von Goetz — w stosunki pana... tej osobistości, jak pan powiada... z prezydentem, ale chodzi mi o osobiste uczucia prezydenta w stosunku do nas. Pochodzi z Lotaryngii, a to gatunek najmniej przychylny Niemcom, zakuty łeb, jak mówią Francuzi, w miarę inteligentny i w miarę ograniczony, ale charakter marny i próżny. Wybrali go odwetowcy. Jest ich zakładnikiem wobec partii radykalnej, chociaż Clemenceau nie może mu darować upadku Pams, a radykałowie są u władzy. Poincare chce odegrać swoją rolę, trzeba mu jakiejś awantury, która pozwoliłaby mu równocześnie zadowolić swoich wyborców z Kongresu i zerwać z tradycjami prezydentury... Na przykład wojna... On stoi po stronie cara...

— Proszę w to nie wierzyć — przerwał Werner wznosząc palec w górę. — Proszę w to nie wierzyć; osobistość, o której mówimy, powiedziała mi parę dni temu, że w toku niedawno prowadzonej rozmowy prezydent długo skarżył się na pana Izwolskiego. I żeby powtórzyć zdanie, które warte jest tyle, ile jest warte — mówiono dużo o panu von Mayr, przewodniczącym międzynarodowego stowarzyszenia prawników, na którego czele do bieżącego roku stał pan Poincare — prezydent powiedział dosłownie: „Znacznie łatwiej dochodzę do porozumienia z panem von Mayr lub

panem von Schoen niż z tym pretensjonalnym Izwolskim... Mam do nich zaufanie jak do wielu innych Niemców..."

Baron wzruszył ramionami. Zdanie prawdziwe lub apokryficzne, a tymczasem bywają sprawy realne, wobec których słowa nie znaczą nic. Przymierze z Rosją...

— Pan Poincare nie ukrywał — rzekł Werner — przed wspomnianą osobistością, że przymierze z Rosją nie jest bez chmur i że on wiąże z nim pewne tajne zamysły. Proszę zauważyć, na Bałkanach poparcie, jakiego Rosja udziela Bułgarii, drażni Francuzów. Tylko strach przed naszą armią podtrzymuje we Francji przyjaźń dla cara. Gdyby mogli dojść do porozumienia z nami, łatwo wyrzekliby się niepewnej gry ze Słowianami, której niebezpieczeństwo prezydent należycie ocenia.

— Tak pan sądzi?

— Izwolski w ogóle mocno przyczynił się do skomplikowania *tej* sprawy. Tylko że prezydent, zapewniam pana, nie może stawiać na lewicę; ażeby podtrzymać swoją grę, musi zjednać sobie prawicę, która jest mocno oburzona na Caillaux, o którym wiadomo, że jest dla nas życzliwie usposobiony... Gdyby zręcznym posunięciem osiągnął jakiś sukces dyplomatyczny, schlebiający narodowej pysze francuskiej, prowadziłby z prawicą politykę lewicy, to tradycyjna metoda rządu... On nie lubi Caillaux, bo głosował przeciw niemu... I mimo rękojmi, jakie dał Barthou dawnym przeciwnikom prezydenta, aby uzyskać dla niego większość...

— Wracajmy do tematu, drogi panie...

— Otóż nasza osobistość wysondowała prezydenta... Nie potrafię powiedzieć, od kogo pierwotnie ta myśl wyszła, może od prezydenta... może nasz człowiek mu ją podszeptał... to nigdy nie wiadomo między dwiema osobami, które mówią trochę na chybił trafił... W każdym razie pan Poincare uważa, że należy dalej iść drogą otwartą po Agadirze dla pokojowego załatwienia zagadnień międzynarodowych i że w ten sposób Europa oszczędziłaby sobie jednej wojny...

— Europa... ale my? W Berlinie panują różne opinie w związku z negocjacją, w której za obszary w Kongo zapłaciliśmy Marokiem.

— Ja tylko referuję panu, co myśli pan Poincare... Chodzi o propozycję nieoficjalną; pan Poincare bowiem niewątpliwie wiedział, że wymieniona osobistość poinformuje nas o tym...

— O propozycję?

— No to nazwijmy ją sugestią: prezydent stwierdza, że między dwoma państwami istnieje ciągły powód zadrażnień w związku z Alzacją i Lotarynią, i wyraża swoje zaniepokojenie zwłaszcza incydentami w Saverne i ich reperkusjami. Uważa, że gdyby Kajzer pięknym gestem udzielił tym prowincjom autonomii, wszelkie urazy Francji do Niemiec wygasłyby, i daje do zrozumienia, że na tym podłożu można by mówić o sprawie koncesji lub cesji kolonialnych w Afryce...

— Ależ tego chyba nie należy brać poważnie! To wszystko ma tylko jeden cel: wmówić nam, że Alzacja i Lotarynia pragną autonomii, a to jest

zupełny fałsz. Podróżowałem, rozmawiałem z ludźmi. Poza paroma krzykliwymi frankofilami, za którymi nie stoi ludność...

— Zapewniam pana, że trzeba to brać za przygrywkę całkiem...

— Mój drogi panie Werner, pańska relacja ma wszelkie szanse okazania się prawdziwą i spełnia pan swój obowiązek donosząc mi o tym, ale to rzecz nienowa: na przestrzeni roku byliśmy przedmiotem dwóch sugestii tego samego rodzaju. Na wiosnę była to osobistość, jak pan powiada, z Komitetu Zbliżenia Francusko-Niemieckiego, która z autonomii Alzacji i Lotaryngii czyniła warunek istotnego sojuszu francusko-niemieckiego. Pan von Schoen osobiście przekazał to oświadczenie panu von Kiderlen-Waechter, co prawda bez powodzenia, a pan Juliusz Cambon skwapliwie wyparł się niefortunnej inicjatywy. Następnie, zeszłej zimy, pewien agent angielski wmieszał się w to i zaproponował kanclerzowi, zawsze mniej lub więcej w imieniu pana Poincare, tym razem ustąpienie Tonkinu za Lotaryngię. Docenia pan fakt, że prezydent, sam Lotaryńczyk, miałby nam oddać Alzację... To wszystko jest niepoważne i należałoby sobie *zyczyć*, aby nasi przyjaciele we Francji mieli jaśniejsze pojęcie o istotnych interesach narodowych naszej ojczyzny. Inny cel, nie te fikcyjne kombinacje, winien postawić sobie inteligentny Niemiec, któremu udało się zdobyć aż w Pałacu Elizejskim przyjaciół skłonnych przyjąć do wiadomości pewne rzeczy i skłonić innych, aby je do wiadomości przyjęli...

— Pan wie doskonale, że gdyby pan sobie *zyczył*...

— Wiem, mój kochany, wiem. Ale w polityce zaczyna się epoka, w której niezbędne okaże się... W pewnych delikatnych sprawach wcale nie chętniej posługuję się ambasadą niż pocztą. Nigdy nie wiadomo! Czy nie można by porozumiewać się z panem w sposób nie budzący wątpliwości i nie ściągający uwagi? Gdzie pan mieszka?

— Przy ulicy Anatole-de-la-Forge. Ale mogę panu wskazać inną drogę...

Drzwi salonu otwarły się i weszła pani von Goetz, obładowana paczkami, w dużym kapeluszu przybranym rajskimi piórami, w sukni *vert amande*, zwężonej na wysokości łydek, widocznej spod trzyćwierciowego płaszcza z nurków. Piętnaście lat, które barona uczyniły starym dyplomata, zaledwie musnęły Reginę von Goetz. Nie wyglądała nawet na trzydziestkę. Dopiero w pełnym świetle spostrzegano się, że szyja nie jest tak młoda jak twarz i można było żywić wątpliwości co do tego ciała, cudownie obciśniętego sznurówką. Przeprosiła za wtargnięcie.

— Nie wiedziałam, mój drogi, że masz gościa... Baron pocałował ją w rękę.

— Nie przeszkadzasz, Regino. Pozwól sobie przedstawić: pan Werner...

— Bardzo mi miło. Ale proszę nie zważać na mnie. Biegałam po sklepach, jakbym wciąż jeszcze miała dwadzieścia lat. Paryż jest w moich oczach zawsze taki sam...

Składała paczki, zdjęła kapelusz. Spytała jeszcze:

— Czy są wiadomości od Karla? Baron potrząsnął przecząco głową.

— Ach, musi być zapracowany! Dzienniki francuskie piszą dziś o panu von der Goltz. Mój syn, drogi panie Werner, jest w Konstantynopolu przy naszej misji...

Regina przeszła do sąsiedniego pokoju. Werner zrozumiał, że wizyta jest skończona. Wstał.

— A więc czy nie można by porozumiewać się z panem w sposób nie budzący wątpliwości i nie zwracający uwagi? — spytał baron.

— Ach, przepraszam... Nie chciałem dłużej naprzykrzać się pani von Goetz... Otóż sprawa tak wygląda: stołuję się blisko domu w jednym pensjonacie, bardzo przyzwoitym, gdzie przebywa sporo cudzoziemców i gdzie wieczorem uprawia się trochę muzyki i tańczy... Dosyć chętnie zostają tam niekiedy po obiedzie, aby trochę posłuchać, co mówią ludzie... Właściciele pensjonatu, zrujnowana francuska rodzina, mają stosunki... Spotkałem tam nawet pewnego admirała... Courtot de la Pause, wie pan, ten, co to niedawno zmarł, a zarządzał tym przedsiębiorstwem, któremu Manesmannowie robili konkurencję w Maroku...

Baron zacisnął wargi. Pomyślał o Wernerze bywającym na tych wieczorynkach w nadziei spotkania tam admirała... Tamten ciągnął:

— Gdyby przysłał pan kogoś do mnie, wystarczyłoby mu zajść do tego pensjonatu... Nie zwróci to niczyjej uwagi... i tam przy posiłkach czy też wieczorem można by sobie pogadać... gdy zaczną grać na fortepianie.

Zawsze ten styl konspiracyjny, który irytował pana von Goetz. Ale mimo wszystko może się to przydać i takiego Wenera należałoby od czasu do czasu używać do czegoś ważniejszego niż znoszenie plotek. Regina weszła do pokoju z kryształowym wazonem białych róż.

— Róże — powiedział baron. — Któż ci je przysłał, kochanie?

— Nie powiem ci, abyś był zazdrosny... Oczywiście Quesnel... Jego przyjaciółeczka to pocziwe stworzenie...

— Zdaje się, że jest Włoszką? Drogi panie, proszę wypisać mi adres pańskiego hoteliku... i ma się rozumieć, tylko w razie istotnej potrzeby...

— Służę — rzekł z ukłonem pan Werner nagryzmoliwszy coś na bilecie wizytowym. — Nazywa się to „Etoile-Famille"... i jest tam naprawdę rodzinie... Zresztą istotnie utrzymuje go pewna rodzina... wdowiec, jego siostra i matka... niejacy Mercadier...

Wazon z różami trochę za mocno stuknął o stół.

— Uwważaj, Regino — powiedział baron — bo stłuczesz wazon...

— Przepraszam, zaskoczył mnie pewien zbieg okoliczności. Pan Werner powiedział: „Etoile-Famille!" Wyobraź sobie, mój drogi, że dostałam wiadomość od Elwiry, która podaje mi swój adres — właśnie „Etoile-Famille"!

Pan Werner puścił w ruch brwi i wąsy. Był zachwycony, że przypadek odkrył mu jakieś więzy między nim a ludźmi takimi jak jego gospodarze. Zawołał więc:

— Wnioskuje z tego, że szanowna pani zna panią Manescu? Jakież to interesujące!

Pan von Goetz nie wyglądał na zachwyconego tym przedłużaniem się rozmowy. Mimo to wyjaśnił:

— Elwira Manescu była zamężna za moim synem, który obecnie przebywa w Turcji.

— Proszę mi powiedzieć — spytała jeszcze pani von Goetz, gdy Werner składał jej ukłon — wymienił pan nazwisko ludzi utrzymujących to „Familie”, jakoś tam... Czy nie Mercandier?

— Mercadier... Ojciec młodego człowieka ulotnił się pewnego dnia z całym majątkiem... był to nauczyciel, któremu sprzykrzyła się żona... pojmuję go zresztą... a więc w ten sposób sobie radzą...

— Dlaczego cię to interesuje, Regino? — zapytał von Goetz, podrażniony.

— Ależ wcale nie, mój drogi! Ale wciąż myślę o tym zbiegu okoliczności... Znałam niegdyś zrujnowaną rodzinę Mercandier... Ale to inne nazwisko, ci nazywają się nie Mercandier, lecz Mercadier...

Pan Werner wyszedł z mocnym postanowieniem, że będzie się zalecał do Elwiry Manescu. Zauważył, że przyglądała się mu uporczywie. Synowa von Goetza, eksynowa, ale to na jedno wychodzi... Szarpał wąsa. Wolalby hotel „Meurice” niż „Etoile-Famille”, ale nurtowała go myśl o tej szansie i zapuścił się pod arkady Rivoli układając w myśli zdania, jakie wypowie w żółtym salonie pensjonatu, pochylony nad tęgimi ramionami Rumunki. Jeżeli stosunki, jakie nawiązał z Poincarem za pośrednictwem Wisnera, nie zjedną mu von Goetza, istnieją jeszcze inne sposoby wybicia się.

## XXXII

— Ależ ja uważam — rzekła pani von Goetz — że mieszkasz tu prześlicznie... — Pani Manescu rozpływała się w usprawiedliwieniach, dziewczynki są tak nieporządne i trzeba przyznać, że dzisiejsza służba to już nie to co dawniej, oczywiście, zawsze można być zaskoczonym, ale mamy tak niewiele znajomości w Paryżu... to rzecz dla nich niezwykła, że drzwi się otwierają i ukazuje się ktoś z dawnych czasów, z innego świata, ktoś, do kogo tak nie pasują te nędzne ramy...

— Ale mamy tyle kłopotów! Teraz ta wojna... Czy Rumunia musiała się mieszać w sprawy swoich sąsiadów? Boję się, że... Ale idzie Elwira: robi nam herbatę...

Elwira była zdyszana, jak zwykle po tyłu piętrach. Zdjęła kapelusz i dopiero wtedy zauważyła, że u matki ktoś jest. Trochę czasu upłynęło, zanim poznała, kto to. Ogłuszona zgiełkiem Paryża, oszołomiona sklepami, po których biegała gnana raczej nerwowym niepokojem niż z istotnej potrzeby, śmiertelnie zmęczona, daleka była myślą od Reginy. Poznała ją wreszcie i zbladła, jakby cała krew z niej uszła.

— Ach, to pani...

Regina ucałowała ją. Regina tutaj. Regina, która nie odpisała jej na list i ó której myślała, że jest w Niemczech lub we Włoszech, czy na końcu świata. Nagle serce jej zaczęło znowu mocno bić. Wszystko otoczyła jakby

chmura. Istniała tylko ta wytworna kobieta, jej perfumy. A za nią Karl, cień Karla, jego wysoka sylwetka, uśmiech, Karl, który odszedł na zawsze...

— Co z nim? — spytała, gdy tylko schwytała oddech... Regina przesunęła jej rękę po czole. Ta biedna Elwira znów utyla. Pani von Goetz westchnęła: jakiegoż spustoszenia dokonał Karl w tej małej!

— A więc wciąż go kochasz, moja mała Elwiro? — szepnęła, jakby chciała wyłączyć panią Manescu z tej poufnej rozmowy. — Więc zawsze go kochasz?

Elwira odsunęła się, rzuciła swoje *rzeczy* na sofę, między jaskrawe poduszki.

— Zrób nam herbatę — zwróciła się do matki. Pani Manescu coś mruknęła, to chyba świat na opak. Elwira pociągnęła Reginę na balkon, gdzie słońce padało z zachodu i muskające promienie światła nadawały ceniom domów wygląd poruszających się rąk. U końca alei widać było Łuk Triumfalny. Zwiszały tam duże liście katalpów o czarnych pniach.

— Gdzie jest? — spytała młoda kobieta, a Regina uśmiechnęła się.

— Moje dziecko, nie powinnaś w ogóle nigdy o nim myśleć... Jest w Turcji. Służy cesarzowi. Z misją von der Goltza, wiesz, rozpisują się o tym wszystkie dzienniki. Ma się dobrze, ojciec otrzymał niedawno list...

— Ach tak, ojciec...

— Tak, nie ja, zazdrośnico... Czy wciąż masz do mnie urazę z powodu jego przyjaźni dla mnie? Straszna jesteś, Elwiro...

— Kocha cię...

— Ja jestem dla niego starą kobietą i żoną jego ojca...

Twój list odesłano mi z Berlina z pewnym opóźnieniem, mieszkamy w hotelu „Meurice”...

— On jest w Turcji?

— W Konstantynopolu. Bóg wie, co on tam robi poza służbą. Więc nie płacz, kochany głuptasku. Wiesz, że straciłaś go na zawsze! No tak, daj sobie spokój!... Nie, nie wiem nic więcej, on do mnie nie pisuje... To człowiek, któremu wszystko przychodzi zbyt łatwo, a kobiety same się mu narzucają... żadna go nie utrzyma... ani ty, ani żadna inna, jeżeli może cię to pocieszyć...

Po niebie przebiegały wielkie różowe konie, które stawały dęba i traciły swoje grzywy, a za nimi ciągnęły wozy obładowane białymi kotami i nikły wśród kominów, niecąc ukośne promienie w dachówkach. Dwie kobiety w jasnych sukniach, między doniczkami geranium a skrzynią przekwitłych goździków, wsparły się o kratę balkonu, której akrostychowe, tradycyjne wzory tworzyły przy ich spódnicach ciemną koronkę na obliczu miasta. Elwira była nabrzmiąta od bólu i słodyczy mówienia o nim. Regina mieszała do swoich słów tajemnicę całego życia i sekret nagłej i występnej namiętności, która niegdyś, podobnie jak Elwirę, rzuciła ją na łup zbyt pięknemu pasierbowi o nieodpartym uroku. Kłamała z tą samą swobodą, z jaką rozsiewała wokół siebie woń doskonałych perfum, które obwoziła po całej Europie. Kłamała mówiąc, że jest szczęśliwa. Kłamała mówiąc, że

bardzo chciała zobaczyć się z Elwirą. Kłamała, gdy tylko przemówiła tym równym i głębokim głosem, który żłobił w powietrzu bruzdę ukojenia. Dla pani von Goetz wszystko musiało być najlepiej na tym najlepszym ze światów. Kłamała nawet nic nie mówiąc. Przyszła tutaj pchana impulsem, do którego nie chciała się sama sobie przyznać. O sobie mówiła z Elwirą. O sobie mówiła, że życie mija, młodość ucieka, że mężczyźni nie liczą się z niczym i niszczą nas, że nie trzeba nigdy kochać — i dawać tylko rozkosz, nigdy serce. Czy kłamała sama sobie? Nagle z sąsiedniego pokoju tego samego mieszkania rozległa się muzyka ciężka i łagodna, szybka, nabrzmiała od dalekiej burzy, pełna nagłych kropel wody przyniesionych gorącym wiatrem melodii. Fortepian płakał pod czyjąś namiętą pieśczętą. Zdawało się, że ktoś chce wyrazić co innego niż to, na co pozwalał ten wieczór...

— To Betsy — rzekła Elwira — wróciła już... Betsy... mała dziewczynka.

— Powiedziałby kto — szepnęła Regina — że jest zakochana...

Poszła balkonem i przez następne okno ujrzała Elżbietę, która nie patrzyła w nuty ani na klawisze drżące pod jej palcami, Elżbietę o niewinnej szyi, wydłużonym, szczupłym i wygiętym ciele, całą w mocy dźwięków i szalonych myśli; oczy miała tylko dla młodego mężczyzny, który odwracał znane na pamięć kartki. Był to zadumany mężczyzna o skąpym wąsie, jak kępka owsa, przy czarnych włosach, tworzących na czole wielki kosmyk ukrywający część jego myśli, tę część, którą interesują się kobiety. Bo miał twarz pełną uroku, ładnie mu było w tej marynarce, w fantazyjnej kamizelce z jedwabiu w perłowe i ciemnopopielate paski, model, jaki Regina widziała u Charyeta, i w mieniącym się szarym krawacie harmonizującym z tą muzyką. Nie miał jeszcze trzydziestu lat, paznokcie były trochę za długie, a ręce starannie utrzymane.

W głębi pokoju, z promieniem słońca na nogach, siedziała trzecia siostra, jeszcze w krótkiej sukience, i trzymała na kolanach pięcioletniego chłopczyka w szarym fartuszku, z gołymi łydkami i z długimi włosami w lokach.

Klawiatura zamknęła się nad urwaną frazą i Elżbieta zerwała się jednym skokiem. Zmieniona w kobietę Elżbieta, która zadziwiła Reginę, wzięła młodego mężczyznę za rękę i powiedziała prowadząc go do gościa:

— Panie Mercadier, przedstawię pana pani von Goetz, ale proszę się jej zanadto nie przyglądać, jest zbyt urocza i my wszystkie będziemy zazdrosne.

Całując to dziecko przemienione w kobietę, na które patrzyło się, jak czasem patrzymy na przejrzystą wodę, z lękiem, bo wiemy, że zamąci ją byle kamyczek, Regina dojrzała za Elżbietą oczy mężczyzny, oczy, które poznawała. A więc to był syn Piotra... Był młodszy, bardziej uroczy... Pochylił się nad jej ręką, uczuła muśnięcie wąsów o barwie owsa.

W tej chwili podniósł się z mroku dziecinnie głos Jasia, który powiedział:

— Wiesz, ta pani podoba mi się... jest ładna... ale żeby zdjęła ten obrzydliwy kapelusz...

### XXXIII

— Nigdy nie rozumiałam, dlaczego wyjechał... Obecność Heinricha? To niczego nie wyjaśnia. Zapewne ludzie nagadali mu plotek. Czy wiadomo, co ludzie zdolni są gadać! Ludzie, których nie znamy, byle kto, i oto całe twoje życie zmienia się... Nie wiedziałam, że kochałam go. Bo kochałam go. Byłam wtedy w rozpacz. Rzuciłam się ku pierwszemu z brzegu, aby trochę zapomnieć. Był to bardzo młody chłopiec... Nie, przysięgam ci, że nie był moim kochankiem! Możesz mi wierzyć, bo gdyby było inaczej, czybym się teraz wstydziła tego wobec ciebie? To by znaczyło, że mnie nie znasz...

Pili herbatę w „Palace”, w ogromnych białozłotych salonach, gdzie orkiestra grała *La Tremoutarde*. Siedzieli w kącie, w tym jasnym świetle, przy małym stoliku, otoczeni gwarnym tłumem kobiet, które odrzucały płaszcze na oparcia krzeseł, pod drżeniem kryształowych świeczników, a kelnerzy uwijali się roznosząc drobne ciastka ułożone na niewielkich piętrowych paterach. Właśnie wprowadzono herbatę po stałej cenie pięć franków, za przykładem „Carltona”. Wszystko było *a discretion*. Toteż stare damy, o cerze w kolorze pistacji i maliny, opychały się miniaturowymi torcikami, „eklerami” z czekoladą i prosiły jeszcze o kieliszek szampana.

„Jestem jak one” — myślała Regina i patrzyła na Paskala: nie miała odwagi dokończyć gorzkiego porównania wobec jego siły i młodości. Czy oszalała, aby oddać mu się tak szybko? Nie tak szybko zresztą. Mój Boże, to straszne, że wszyscy pożądanymi mężczyźni są zawsze młodszy ode mnie. Pomyśleć tylko, syn Piotra...

— Wyjechał — rzekł w zadumie Paskal — tak samo jak wtedy z domu, bez słowa, całkiem niespodzianie. Widzisz, Regina, są chwile, gdy rozumiem mojego ojca, gdy czuję głęboko, że to był mój ojciec, ponieważ odnajduję w sobie jego różne niezrozumiałe myśli, które wyjaśniają to wszystko w nim, co zawsze dziwiło ludzi... Człowiek idzie za swoim życiem, jakby to była rzecz naturalna, a ono nagle nabiera cech koszmarnego snu, chociaż nic się nie wydarzyło... człowiek walczy... chciałby dojść do kresu albo wreszcie się obudzić...

Słowa jego płynęły wraz z muzyką, herbatą i gwarem rozmów, wśród szelestu miętego jedwabiu, pośpiechu kelnerów, dyskretnych śmiechów; Regina dzieliła się między wspomnienia z Monte Carlo sprzed szesnastu lat, całego swego życia lub prawie całego, a tą dziwną jesienną przygodę, w którą wciągnął ją ciepły wiatr pełen dawnych refrenów. Syn Piotra. Trzymała w palcach suche ciastko, rdzawe na brzegach, z palonymi migdałami. Bezlitośnie pomyślała o pokurczonych liściach, które od września zaścielają Pola Elizejskie. Nosila w sobie jakby wieczną żalną skargę świadomości swego wieku, to codzienne odkrycie. A przecież była jeszcze ładna. Słowo „jeszcze” zgrzytnęło w całym jej ciele, przypomniała sobie, jak Paskal obnażając je w tym smutnym pokoju hotelowym w



Auteuil, gdzie rozebrał ją po raz pierwszy, powiedział:

„Jakaś ty młoda, jakaś ty młoda...”, tym samym tonem, jakim wczoraj jeszcze mówiono do niej: „Jakaś ty urocza...” Była jeszcze urocza, i na tym koniec.

— Zastanawiam się — westchnął Paskal — o czym myślisz, ty niedobra. Nie słuchasz mnie... znowu wyjechałaś do swoich posiadłości!

Było to już między nimi stałe powiedzenie. Z jak cudowną szybkością rodzi się między kochankami ten język Siuksów, konwencja ich miłości...

— Tak — odpowiedziała — byłam w willi, którą mam gdzieś na Wybrzeżu Rozpaczy i gdzie nigdy, nigdy nie pozwolę ci wejść... Jest tam ogród z zatrutymi kwiatami, przeznaczonymi wyłącznie dla mnie... i bardzo zły pies.

Prawdę powiedziawszy dziwny dialog tych dwojga biegł równolegle, przerywając się zgodnie dopiero w tej jeszcze dziwniejszej rzeczy, jaką jest wspólna rozkosz. Cenili się wtedy oboje, jak poważni ludzie przy poważnej pracy.

Między tymi chwilami nie byli jednak sobie obcy, a to za sprawą pewnego cienia. Był to cień Piotra.

— Wychowano mnie w tym duchu, abym uważał ojca za łajdaka — mówił dalej Paskal — i na pewno nie było to niezasłużone. Życie moje jest negatywem jego życia. O pewnych rzeczach nigdy nie dyskutowałem. Rodzina, wyżywić rodzinę. Co do mojej matki, jest to biedna kobieta, nie sądzę, abym ją kochał, jest ona zwyczajną idiotką, jeśli chcesz wiedzieć... Co do siostry... Jest jeszcze mój mały... Co właściwie trzyma mnie w tym wszystkim jak muchę w sieci pajęczej? Mężczyzna chce odejść, być wolnym, to rzecz zrozumiała... Ja o tym nie myślę. Z przyczyny mego ojca. Wiem, że to z jego przyczyny. Jego wolność zbudowała moje więzienie, rozumiesz? Na szczęście są kobiety... wszystkie kobiety... Widzisz, nowa kobieta jest jak okno, które się otwiera... jak tajemnica... przestrzeń... jest to rozkoszne jak nocna wędrówka...

Stał między nimi cień Piotra. Gdy Regina po raz pierwszy wybrała się do „Etoile-Famille”, nie przyznawała się do tego przed samą sobą, ale szła na poszukiwanie swojej młodości, zaspokojona ciekawość miała jej ukazać tylko absurdalny ciąg dalszy powieści, z której kiedyś przeczytała parę stron... dalszy ciąg, w którym nie występowała już postać główna. Spotkała syna Piotra. Tego młodego mężczyznę, przystojniejszego, bardziej uroczonego, z którym Piotr nie mógł się równać. A jednak Piotrowi oddała się w jego ramionach. Dziwne, jak poprzez lata oczy jego zupełnie się nie zmieniły. Wówczas wcale nie zdawała sobie sprawy, że go kocha. Spędzili z sobą tylko parę tygodni, właściwie znajomość z kasyna gry, nic więcej. Czy potem myślała kiedy o nim? Może raz lub dwa, zaintrygowana jego nagłym wyjazdem... I oto okazywało się jasno i niewątpliwie, że w głębi serca zachowała jego obraz. Jakże inaczej potoczyłoby się życie, gdyby był został! Tego wieczora, pamięta, widziała go z daleka, grał przy innych stołach... Tego właśnie wieczora Karl powiedział jej... I słuchając

Karla myślała o Piotrze Mercadier, o tym niewysokim, gwałtownym człowieku, który opowiadał jej o Johnie Law... Johnny! Dopiero teraz przypomniała sobie, że nazywała go Johnny...

— Wiesz, nazywałam twego ojca Johnny...

— Johnny?

— Tak, z powodu książki, którą kiedyś zaczął pisać. Ale właśnie, czy nie wiesz, co twoja matka zrobiła z jego papierami?

Nie, nic o tym nie wiedział. Rękopis? Można by poszukać. Było takie pudło, gdzie pani Mercadier zamykała różne rzeczy... Orkiestra grała tango.

— Rozumiem papieża — rzekła nagle Regina. Spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak, że zakazał tańczyć tango...

Uśmiechnęli się. Ręce ich spotkały się pod stolikiem.

#### XXXIV

— Wiesz — mówił Jaś — niedługo będą wakacje... wtedy wyjeżdża się... wyjeżdża się nad morze... Byłem już nad morzem... Ile tam piasku!

Piotr Mercadier słucha, co mówi jego wnuk. Jego wnuk... Maria, zawsze niespokojna, siedzi obok i patrzy, czy nie ma kogo znajomego w Avenue du Bois. Jest gorąco. Słońce sadowi się na niedzieli i tłumie spacerowiczów. Jaś ma białą koszulkę i trykotowe spodenki. Robi babki foremką, która ma kształt ryby. Na ziemi leży już mnóstwo ryb, trochę uszkodzonych. Bo Jaś, gdy miał już ryby gotowe, postanowił każdej zrobić oko... Palcem.

— A ty nigdy nie byłeś nad morzem?

Owszem, Piotr Mercadier był nad morzem. Wiele razy nawet.

— Kąpałeś się? Bo ja nie mam ochoty pływać. To takie słońce!...

Jego wnuk... Jeżeli Jaś wyjedzie, Piotr nie będzie go mógł widywać tutaj w każdą niedzielę. Musiał być udzielić wyjaśnień służącej, którą niepokoiła tajemnica jego przywiązania. Ale teraz gdy Maria wie już, kim on jest... To dziwne, mąż naszej pani! I pomyśleć, że mógł mieć małego przy sobie, a tymczasem... Maria wzrusza się, dochodzi do wniosku, że to trudne do pojęcia i głupie. Trudno, ludzie są ludźmi.

Piotr powoli zdaje sobie sprawę, czym będą dla niego wakacje. No dobrze, dwa miesiące nie widzieć dziecka, a potem? Dwa miesiące to niewiele. Ale przez te dwa miesiące można umrzeć. Coraz częściej myśli o śmierci. O swojej śmierci. Ile razy się rozczuli, czuje, że ogarnia go jakaś głęboka poezja. Myśl o własnej śmierci nadaje wszystkiemu sens i cenę. Może po raz ostatni widzę Łuk Triumfalny, i Łuk Triumfalny nagle staje się czymś ważnym.

— Jasiu, jeżeli wyjedziesz nad morze... nie zobaczysz mnie w niedzielę...

— Nie — odpowiada Jaś — to ty mnie już nie zobaczysz... Tak, Mercadier rozumie różnicę. Uśmiecha się.

— I nie dostaniesz w niedzielę lodowatego cukru. Będziesz za mną tęsknił, Jasiu?

Jaś namyśla się nad odpowiedzią. Oczywiście, istnieje sprawa cukru lodowatego. Ale tęsknić! Teraz jest już mężczyzną. A przy tym morze i tyle tego piasku...

— Nie — mówi — nie będę za tobą tęsknił... Nie będę o tobie myślał... Zapomnę... Będą tam małe dziewczynki; nad morzem zawsze są małe dziewczynki...

Maria uważa, że nie tak należy rozmawiać z dziadkiem. Co prawda, Jaś nie wie, że to jego dziadek. Ale w każdym razie!

— Po pierwsze, nie wyjeżdżamy tak zaraz. Będziemy jeszcze tutaj w następną niedzielę...

Jeszcze jedna niedziela... Mercadier przyjmuje tę jałmużnę losu. A co będzie potem robił przez lato? Lekcje z tumanami, atramentowy smak szkolnych dni, potem niedziela...

— Wiesz, pani Seltsam jest bardzo chora...

— Pani Seltsam? Kto to jest pani Seltsam, Janie?

— Mama Zofii. Dają jej butlę z tlenem...

Jaś zastanawia się, czy gdyby był chory, także dawaliby mu butle z tlenem. Tak, dawaliby. A więc próbuje przybrać minę chorego, wciąga policzki, aby się zapadły...

Dziwny malec...

Odszedł z boną ku Etoile. Piotr odprowadza go wzrokiem. Bardzo mu dziwnie na myśl o wakacjach... Czuje się samotny. *Jeszcze* wczynie. Dokąd pójść?

Ktoś dotknął jego ramienia. Odwraca się. Co widzę, pani Tavernier! A jak ubrana! Na cześć Avenue du Bois włożyła kapelusz z egretą i, słowo daję, suknię drapowaną. Piotr robi, co może, aby się nie roześmiać. Jakież to pomyślny wiatr... Dora jąka się, potem wyznaje. Było to silniejsze od niej. Tygodniami sobie to mówiła. Chciała zobaczyć małego, ach, tylko z daleka, z daleka. Więc śledziła go. To tak? Och, proszę się nie gniewać, nie gniewać! Dora tak tego pragnęła i zarazem tak ją to gnębiło. Słowo „gnębiło” powiedziała zamierającym głosem, jako aluzję do sprawy, o której się nie mówi, ale którą milcząco między sobą uzgodnili, aluzję do miłości, która nie przemówi nigdy... Piotr bał się samotności, więc jeżeli ona już tutaj jest... Trochę to śmieszne, prawda... Ale zawsze ktoś.

— Przejdźmy się trochę, pani Tavernier... Zgadza się z wdzięcznością. Idą parę kroków.

— Jak się pani wydał mój mały Jan?

— Ach, taki miły... Oczywiście, jest uroczy... Podobny do pana!

Hum! Ostatecznie przyjemnie z kimś pogadać o małym. Nie może rozmawiać o nim z Meyerem lub starszą panią Meyer, bo zaraz zaczynają gadać, że powinien pogodzić się z rodziną, a to go drażni.

Co do pani Tavernier może być spokojny.

— Proszę sobie wyobrazić, pani Tavernier, że pani Seltsam jest bardzo, ale to bardzo chora...

— Kto to jest pani Seltsam, panie Piotrze?

— Pani Seltsam to przecież matka Zofii... I powtarza jej wszystko, co słyszał od Jasia, Przede wszystkim Zofia, zabawy z nią, insekty... i jeźdźcy w ścianie... i Dorota, i Maria, i Leontyna... Cały pensjonat, odtworzony przez Piotra Mercadier wedle relacji Jasia... Rozumie pani, co to znaczy, że przyniesiono butlę z tlenem dla pani Seltsam? Nie mówiąc już o Joannie, która jest taka głupia, i o... i o... Nie, nie będzie mówił pani Tavernier o Paulinie. Którą z nich chce oszczędzić? Ucina krótko:

— A gdybyśmy tak usiedli?

Rozmawiają sobie na żółtych żelaznych krzesłach, gdzie dopada ich wkrótce dozorczyńni ze swą torbą pełną groszaków. I dobrze skończyła się ta ostatnia historia? Jaka historia? No, ta bitka z robotnikiem, sąsiadem... Tak, bardzo dobrze... w każdym razie nie było już o tym więcej mowy...

— Rzucił pogrożki pod adresem pani zakładu, pani Tavernier, prawdziwe pogrożki... Spodziewam się, że ma pani świadków: gdyby coś zaszło...

Och, Boże, o tym pani Tavernier nie pomyślała. Prawda, bo gdyby coś zaszło...

— A pan Tavernier nie czuje się... Nie zaszkoziło mu to?

— Komu? Juliuszowi? Pan chyba żartuje. Och, wiem, że on się też starzeje. Wszyscy się starzejemy... O, dawniej nie trzeba mu było pomocy pana Fryderyka, aby takiemu dać radę... Czy zauważył pan interwencję Fryderyka? O, dawniej Juliusz byłby go zwał jednym uderzeniem... To wiek. I właśnie od tego dnia Juliusz, proszę pana, stał się niemożliwy. Powiada do mnie: „Doro, starzeję się.” Albo: „Doro, ja już nie jestem ten sam co przedtem.” Ostatecznie to prawda. Wszyscy się zmieniamy. Ale ma to jakieś granice. Co do Juliusza, dostał chyba bzika. No i wbił sobie do głowy, aby sprzedać „Jaskółki”.

— Sprzedać „Jaskółki”?

— Mówił już o tym i dawniej. Ale teraz po prostu uczepił się tej myśli. A przecież to zależy ode mnie, no nie?... I ja miałabym sprzedać koncesję... już to widzę... Nie! Czy pan nie uważa, że mam słuszność, panie Piotrze, że nie chcę sprzedać?

— Ależ oczywiście, pani Tavernier. Gdzie bym ja chodził, gdyby pani sprzedała „Jaskółki”? Zdanie to trafiło prosto do serca Dory.

— Nie — powiedziała energicznie — nie sprzedam... I tak sobie rozmawiali nie spiesząc się. Chwile te były dla Dory isticie niebiańskie, ale zatruwała je myśl, że niedługo się to skończy. Mercadier nie miał co z sobą zrobić. Świadomość, że jest przedmiotem tego dziwaczного kultu, zaczynała mu sprawiać przyjemność. Ale może pani Tavernier...

— No, wie pan! Juliusz się dziś bawi. Znowu wyszedł z panem Morero i Fryderykiem. Zna pan Fryderyka, widział pan, jak wtedy zaszedł tego robotnika od tyłu... A pan Morero to ważna osobistość... Pożyteczna znajomość dla Juliusza... On ma długie ręce, wszędzie pełno przyjaciół...

Opowiadała mu o panu Morero, jak on jej o pani Seltsam. Wieczór zapadał.

— Czy nie miałyby pani nic przeciw temu, żebyśmy zjedli razem obiad? — Dora bliska była omdlenia.

Zaprowadził ją do małej restauracji w Ternes. Było tam skromnie, trochę jak w garkuchni, ale podawano z pewną starannością jakieś galarety przybrane pietruszką, inaczej niż w innych lokalach tej dzielnicy. A tego wieczora na to właśnie Piotr miał ochotę.

— O nie, za fasolę dziękuję! A może szparagi, droga pani, co pani sądzi o szparagach?

Mrugnęła do niego, zachwycona, i pozwoliła sobie na tłusty żart. Zaraz tego pożałowała. Okazała się wulgarna. Zastanawiała się, czy byłby zadowolony, gdyby mu przy deserze zaśpiewała jakąś piosenkę. Nigdy się przy nim nie odważy... Chociaż był to niegdyś jej fach i знаła piosenki bardzo słone...

— Czy mąż często tak panią opuszcza?

— Et, opuszcza i nie opuszcza. Nasz miodowy miesiąc minął już dawno. Przecież musi pilnować swoich spraw.

— W niedzielę?

— U nas interesy muszą się łączyć z przyjemnościami. Pan Morero jest bardzo ważny dla Juliusza. Udziela mu rad co do lokaty pieniędzy... Bo on ma zawsze dobre informacje giełdowe.

— Gra pani na giełdzie?

— Właściwie nie. Ja kupuję tylko walory pewne. Ale widzi pan, zaryzykowałam parę tysięcy na akcje wskazane przez pana Morero... i dobrze na tym wyszłam...

— Niech się pani ma na baczności, pani Tavernier, giełda jest zdradziecka. Ja to pani mówię!

— Powiadam panu, że nie gram. Trzeba panu wiedzieć, że zanim umieściliśmy z Juliuszem część moich oszczędności w interesie, który wskazał mu pan Morero, zasięgałam wpierw informacji... O, to była rzecz pewna.

— Jaki rodzaj interesu?

— Fabryka obuwia... gdzieś na drodze do Fontainebleau... Rozumie pan, była to dobra chwila, zakładali interes... Musieli być gotowi z zamówieniami...

— Zamówieniami?

— No tak, z zamówieniami dla wojska. Już je mieli, a nic jeszcze nie było zbudowane, szukali pieniędzy... była to, można powiedzieć, pożyczka dla państwa... Więc skoro mieli te zamówienia... A przy tym buty wojskowe zawsze są potrzebne... Zwłaszcza że podobno rząd kupi tego więcej. To znaczy dla naszych żołnierzy. Zdaje się, że rozporządzenie o trzyletniej służbie to rzecz pewna, a wtedy... Tak mówił pan Morero. On sobie tego nie wymyślił. Powiedział mu to pewien senator, jego przyjaciel. Zdaje się, że buty wojskowe to złoty interes!

A jednak chętnie by mu zaśpiewała jakąś piosenkę. Wino szło jej do głowy. Nie jakąś ordynarną. Oczywiście, że nie *Ojciec Dupanloup*...

— Pan nawet nie wie... Ale ja uważam, że to ze strony Juliusza całkiem ładnie, bardzo ładnie, wspaniale... Ten typ, co był wtedy, ten błazen, co

przyszedł z awanturą...

— Ten w niebieskiej bluzie?

— Tak. Proszę sobie wyobrazić, że jest robotnikiem w fabryce obuwia i jest bez pracy...

— Oni wszyscy to wołają. Czy ktoś lubi pracować?

— Może, naturalnie... Ale Juliusz, gdy się o tym dowiedział, pomyślał o interesie, w który włożyliśmy pieniądze... Zapytał Morera, który znów zwrócił się do swego senatora... i proszę sobie wyobrazić, znalazł pracę dla tego nieroba! Po tym, jak tamten się zachował, uważam, że to bardzo ładnie ze strony Juliusza...

— Bardzo szlachetnie, bardzo szlachetnie...

— Prawda? A przecież to bezrobotny... i odgrażał się naszemu zakładowi... Wie pan, gdy się napije, może przyjść którego dnia i podpalić „Jaskółki”. Juliusz powiedział:

„Co to, to nie, kochasiu.” I teraz tamten jest mu wdzięczny. A zresztą pracuje daleko. Nie oddaję już bielizny jego żonie, ma się rozumieć... Ona nawet tego nie potrzebuje, a poza tym nigdy nie wiadomo... I ostatecznie...

— Może jeszcze odrobinę tego czerwonego wina, pani Tavernier?

— Nie za wiele, bo czuję, że zaraz zacznę śpiewać!

Nalał jej hojnie. Ciekaw był posłuchać. Pozwolił jej zapłacić rachunek. Aby się odmłodzić.

xxxv

— Czy twoja mama umrze?

Tyle się mówiło o śmierci, a Jaś nigdy nie miał okazji widzieć kogoś, kto umierał. Tym razem echo tej bliskiej agonii wypełniło dom. Dziwne zapachy wydobywają się spod drzwi pani Seltsam, zapachy szpitalne, jak mówi babcia. Gdy drzwi się otwierają, widać tylko ciemność i zarys łóżka, gdzie chora dyszy z coraz większym trudem. Ciotka Joanna wzięła małą do siebie; a Zofia nie płacze, nic nie mówi, otwiera duże oczy, ale gdy ją kto zagadnie, robi minę obłudną i smutną. Lekarze przychodzą parę razy dziennie. Są butle z tlenem. Coś się dzieje.

— Czy twoja mama umrze?

Jaś powiedział to nie w złej myśli... Równie dobrze mógł zapytać, czy pani Seltsam wybiera się na popis do Saint-Cyr, jak niedawno ciotka Joanna. Umieranie to rzecz, którą robią dorośli.

— Czy twoja mama umrze?

Za trzecim razem Zofia wybucha płaczem, tupie, odwraca się twarzą do ściany z podniesionymi rękoma i kolejno podnosi nogi, jakby chciała się drapać po ścianie. Wszyscy się zbiegli. Ciotka Joanna, Leontyna; Jaś tłumaczy:

— To dlatego, że zapytałem, czy jej mama umrze...

Paf! dostaje po twarzy. Ciotka Joanna skora jest do bicia. Jaś pociera policzek i patrzy na Zofię. Zofia zaczyna się śmiać, śmiać, wyciąga rękę i

wskazuje na policzek Jasia:

— Ha, ha, dostał po gębie! Ha, ha, dostał po gębie! Wtedy Jaś zaciska zęby i mówi stanowczym tonem:

— Twoja mama umrze.

Jest to bardzo prawdopodobne. Elwira Manescu jest zupełnie wytracona z równowagi. Na szczęście znalazła kogoś współczującego. Od paru dni pan Werner przypadkiem wciąż znajduje się na jej drodze. Zdawałoby się, że on wie, jaką podporą była pani Seltsam dla tej grubej, smutnej Rumunki i jak bezbronna czuje się nie mogąc już wstąpić do pokoju pod numerem piątym na pierwszym piętrze i pogadać z chorą. Zdawałoby się, że czekał na tę chwilę, gdy Elwira uchwyci się go niby na tonącym statku. Ona boi się, straszliwie boi się śmierci. Patrzy na drzwi, za którymi kona matka Zofii, jak gdyby tajemnica ta ciążyła na jej własnym życiu... A pan Werner mówi:

— Musi pani zażyć trochę świeżego powietrza... zająć myśl czymś innym... Przejść się po Lasku...

Elwira czuje, jak wokół niej pomału tworzy się coś w rodzaju kręgu magicznego. Nie wie, co to jest. Nie chce o tym myśleć. Boi się śmierci. Boi się też trochę pana Wenera. On zręcznie zarzuca sieci. Rozmawia z nią o polityce. Ona upaja się jego niemczyzną.

Tymczasem lekarze krążą po domu, niepokój wzrasta i wonie szpitalne z pokoju numer 5 snują się niby przepowiednie. Teraz Jaś chodzi po schodach na palcach. Nad światem ciąży przytłaczający upał i Zofia wślizguje się do pokoi na dole jak cień, który ,nie wie, co z sobą zrobić.

Papa wciąż gdzieś chodzi. Buja w chmurach. Zdarzają się sceny z babcią i ciotką Joanną. Nieomieszkał powiedzieć im, że byłby szczęśliwy, gdyby poszły sobie do diabła. Nie będzie czekał długo, bo za tydzień wyjeżdżają. On zostaje. Ciotka Joanna jest wściekła, że zabierają Marię. Hotel w Petites-Dalles jest, zdaje się, drogi. Tyle płacić za służącą!

Babcia mówi, że tatuś wciąż bierze taksówki i że to hańba, bo w domu nie ma pieniędzy. Tatuś złości się. A jeżeli on chce jeździć taksówkami? A tak, obrażaj matkę! Jeżeli chcesz wiedzieć, w pięcie mam matkę. Jak można używać takiego języka w obecności dziecka? Mały to wytrzyma, ty wcale się nie krępujesz, gdy robisz mi przy nim wyrzuty z powodu taksówek. Skoro odejmujesz mu chleb od ust, aby wozić swoje kreatury... Dość tego! A któż utrzymuje was wszystkich? Tak, wyrodny synu, teraz wymawiasz mi chleb! Głupie gadanie! Głupie gadanie? Do matki? Oto jak dzisiaj traktuje się matki! Tak, głupie gadanie, głupie, głupie! Cicho, ta biedna pani Seltsam... Co? A cóż ona ma z tym wszystkim wspólnego? Ach, Paskalu!

Elwira zastała Elżbietę we łzach na zamkniętym fortepianie. Co ci jest, maleńka? Nic, nic... Czy z powodu tej biednej pani Seltsam? O tak, to bardzo smutne. I mała Zofia zostanie całkiem sama... Ale nie trzeba być tak wrażliwą... Widzisz, ja byłam znacznie bardziej związana z nią niż ty... Ale wiem, że nic poradzić nie można, więc staram się myśleć o czymś innym.

W świecie dzieje się tyle rzeczy; Turcy wrócili do Adrianopola... a wiesz, że tam jest Karl... — Wciąż jeszcze myślisz o Karlu? Elżbieta zadała to pytanie z głębi swoich łez. Boże, jakaż ona ładna! Tak, Elwira wciąż myśli o Karlu... w rozmaity sposób... ale wciąż. Gdy się kogoś kochało...

Elżbieta drżąc rzuciła się w ramiona siostry. Biedna mała Betsy, czy naprawdę chodzi o panią Seltsam? Betsy odpowiada, że tak, że chodzi o panią Seltsam... O panią Seltsam.

Pani Seltsam umarła rano. Prosiła o księdza. Nie wiadano, jakiego księdza wezwać. Była Żydówką, ale nawróciła się, tylko nie wiadomo, czy na katolicyzm, czy na prawosławie. W każdym razie umarła, zanim się na coś zdecydowali. A teraz trzeba tyle spraw załatwić. Została po niej ta dziewczynka. Czy one mają jakąś rodzinę i jak się z nią porozumieć? Co zrobić z Zofią? Paskal musi grzebać w papierach, w listach nieboszczki: trudność w tym, że pisane są przeważnie po rosyjsku i nic nie można zrozumieć. Wreszcie napisali pod adres znaleziony w małym notesiku... Ale to jest w Londynie, więc trzeba czekać...

Maria zabiera codziennie Zofię z Jasiem na spacer. Teraz Zofia co dzień wkłada czarną sukienkę, którą jej przefarbowano. W dwadzieścia cztery godziny, w farbiarni za Madeleine... Pogrzeb dopiero w sobotę. Trzymają w domu nieboszczkę trzy dni... czekają na kuzyna z Londynu.

Dziwnie wygląda w te upały pod koniec lipca mała dziewczynka w żałobie. Ciężki upał nabrzmiały burzą, a spod drzwi pokoju nr 5 wypływa podejrzany zapach zmieszany z wonią gnijących kwiatów, które stoją koło łóżka między płonącymi świecami. Przy zmarłej czuwa zakonnica. Jako rekompensata za brak księdza, którego nie zdołali na czas przywołać.

W co bawią się dzieci w małym pokoju na dole? Są takie spokojne: pewnie robią jakieś głupstwa; siedzą przy sobie na podłodze. Podchodzi do nich Maria. Słyszy, jak Zofia, leżąc na ziemi, mruczy:

— Widzisz, Jasiu, mój brzuch puchnie, puchnie, oddycham z wielkim trudem, niedługo umrę... Jaś z zazdrością odpowiada:

— Dlaczego wciąż ty... teraz moja kolej... ja puchnę... Na to Zofia, niezadowolona, odpowiada:

— Umrzesz, gdy będziesz miał siedem lat... nie wcześniej...

To znowu trzeba ich rozdzielać, tarzają się jak mali chuligani. Jak to, a mama Zofii tam na górze... cicho... Na to Jaś:

— Czekaj, Maria... zawsze tylko ona umiera, powiedz jej, że to niesprawiedliwość...

Nie możecie się bawić inaczej? Nie, nie mogą. Tylko to ich interesuje i chętnie poszliby na górę, ale nie wolno. Zofia nie zdaje sobie sprawy, to oczywiste. Mimo że rozrzewnieni ludzie brali ją za rękę i patrzyli jej w oczy ze smutną miną i z ciężkimi westchnieniami. Przybiera postawę obłudną, cofa rękę, trochę pociąga nosem, potem wraca do Jasia i znowu bawią się w umieranie.

Jaś nie był na pogrzebie. Kuzyn z Londynu, gruby, bardzo brzydki pan, zmuszony był zostawić Zofię w pensjonacie na parę dni: korzystał z tego,



że przyjechał do Paryża, i zapędził się aż do Lyonu, gdzie ma interesy. Po powrocie z pogrzebu Elwira poczuła się dość marnie. W głowie jej się kręciło. Na cmentarzu, gdy trumna znikła w grobie, zrozumiała nagle, jak była przywiązana do zmarłej. Na szczęście podtrzymał ją pan Werner. Teraz przyszli już tutaj, przed „Etoile-Famille”, skąd zabierano czarne draperie i wielką tarczę z białym S — i wszystko było tak straszne jak niedawny zapach ziemi.

— Nie wracajmy — rzekł pan Werner. Usłuchała go machinalnie. Rozmawiając przyszli, wraz ze zmarłą i upałem tego dnia, w pobliską uliczkę. — Tutaj mieszkam — powiedział pan Werner.

Cały strach przed śmiercią od razu stajał w konkretnym lęku, w nieokreślonym zawrocie głowy. Nie, nie. Dlaczego nie? Wziął ją pod rękę. Był mocnym mężczyzną, trochę otyłym, na jego karku kołnierzyk znaczył czerwony ślad. Gładził wypomadowane wąsy, oczy mu błyszczały. Nie, nie...

— Ale, droga pani, cóż w tym złego? W stanie, w jakim się pani znajduje, nie możemy pójść do kawiarni...

Elwira wie, że nie będzie stawiała oporu. Gdyby nie mówił po niemiecku... Bo jeżeli mówi po niemiecku... Ostatecznie to prawda, cóż w tym złego? Znow pomyślała o cmentarzu.

Są w garsonierze, przy zamkniętych żaluzjach. Wziął ją w ramiona, cóż ona może na to poradzić? On mówi po niemiecku, po niemiecku jak Karl, i ona zapomina, że jest gruba, zapomina o strasznym i słodkim zapachu śmierci. Wślizguje się powoli w sen dziwny jak to burzliwe lato, które biczuje teraz żaluzje ciężkimi kroplami ulewy...

Niedziela znow sprowadziła Piotra Mercadier na Avenue du Bois. Został służącą z Jasiem i małą dziewczynką w żałobie. Pomyśleć, że chłopiec ma wyjechać na dwa miesiące... a ta dziewczynka... Oczywiście Jaś nie słucha starego człowieka, cały pochłonięty jest zabawą z Zofią. Z Zofią, która jednak bardzo zaciekawiona jest tym panem. Naturalnie trzeba jej było wyjaśnić, że ten pan to znajomy, z którym widują się co niedziela, ale nie trzeba o tym nic mówić.

— A czy to jest coś złego? — pyta Zofia.

Nie, to nic złego, ale tak już jest. Dziewczynka sznuruje usta. Czy ten mały Jaś bierze ją za dziecko? Jeżeli to nic złego, to co w tym ciekawego? Wzrusza ramionami.

Stary pan ma zmarnowaną niedzielę. Całuje Jasia. Przed wyjazdem, prawda, wakacje... Czy to można coś wiedzieć?

Maria zwraca się do Zofii:

— Zofio, trzeba być grzeczną dziewczynką... i nie mówić, że rozmawialiśmy z jakimś panem... Obiecujesz?

Obiecuje. Ale wróciwszy do domu, czym prędzej biegnie do ciotki Joanny, aby wszystko opowiedzieć. Wmieszała się w to babcia. A wtedy... co za awantura! Maria rozplakała się. Każdej niedzieli? Jakiś nieznajomy? Jaś, zdaje się, powiedział Zofii, że to twój narzeczony?... Coś podobnego!

Maria broni się. Chcąc się bronić, wyznaje prawdę. Opowiada. Stary pan to mąż naszej pani. Uderzenie jest mocne jak piorun. Mąż pani? Jaki mąż pani? Dziadek Jasia, myślałam, że dobrze robię, nie mogłam mu zabronić... to jego wnuczek...

Maria nie zagrzała długo miejsca w tym domu. Wyrzucono ją, ją i jej kuferek, to znaczy... Babcia krzyczała na cały dom. Trzaskała drzwiami. Ciotka Joanna powiedziała, że wobec tego nie ma potrzeby opłacać hotelu w Petites-Dalles za tę dziewczynę, co w każdym razie stanowi pewną oszczędność, a gdy tatuś wrócił, wszyscy pyskowali na siebie, ze strach.

Tego wieczora tatuś gdzieś się wybierał. Teraz wychodzi każdego wieczora. Chciał włożyć smoking i twierdził, że ktoś schował mu kołnierzyki. Ciotka Joanna wybuchnęła płaczem; istne piekło! A wszystko przez tę świnię Zofię...

Nie pozwolono Jasiowi ucałować Marii przed jej odejściem. Jemu było to obojętne. Nie lubił zapachu swojej bony. Ale zapamiętał małe ściśnięcie serca, gdy spojrzała na niego wychodząc. Ona przywiązała się do małego; pewnie że tak...

xxxvi—

Dlaczego by nie sprzedać naszej budy?

Juliusz Tavernier czyści sobie paznokcie. „Komedia” — myśli pani Tavernier. Od czasu do czasu czepia się go ten pomysł, ale tym razem morduje ją już od trzech dni. Tak, od czasu gdy znowu był z tą swoją paczką na wsi.

— Moglibyśmy osiąść w Garches...

O, co to, to nie! Dreszcz przebiegł jej po grzbiecie — to jej królestwo, królestwo jej marzeń... Ile ona tam wyroiła obrazów, niejasnych nadziei, ile... A tu nagle Juliusz! Za nic! Nie słyszy już żadnych jego argumentów, jego szczegółowych wyjaśnień: odprzedać licencję... Z tym, cośmy odłożyli, i z pieniędzmi, które to przyniesie... Nigdy, nigdy!

— Szkoda gadać! — rzekła. — Mamy przed sobą jeszcze parę dobrych lat. Trzeba myśleć o przyszłości. Naharowaliśmy się...

Juliusz złości się. Co on sobie ubrdał? Dora wie, że on bez niej nic zrobić nie może. On też wie... To właśnie doprowadza go do wściekłości. Stara klepa. Tak, on ma jeszcze przed sobą parę dobrych lat, ale nie po to, aby spędzić je z tym dromaderem. Piłuje paznokcie, pociera je, poleruje.

— Niszczysz sobie paznokcie, Julku, lepiej byś wziął szczotkę do butów, bo więcej by się błyszczały.

Zdanie nierozważne. Uderzył ją w twarz, zanim zdążyła coś pomyśleć. Dora stoi ogłupiała. On teraz ją bije? Ależ zastanów się! Czy uważasz siebie za alfonsa? W twoim wieku? Mój kochasiu, to się może źle skończyć!

Juliusz przeprasza. Ale co znaczy to „w twoim wieku”? Przegląda się w lustrze toaletki. Można pęknać ze śmiechu. Dora rozciera sobie policzek.

— Chciałbyś, abym sprzedała budę, co? Żebyś mi świsnął flotę i ulotnił

sie? Czy ja nie widzę tych twoich wyświeconych paznokci i tych krawatów, i tej głowy lepkiej od brylantyny? Rób sobie, co chcesz, kochasiu, ale odczep się ode mnie! — Dora ciągnie dalej w tym tonie. Juliusz zaprzecza. Czuje, że poszedł fałszywą drogą. Dora mówi byle co. Chce bronić zamku swoich marzeń. Juliusz, tam... Nie, nie, tysiąc razy lepiej prowadzić „Jaskółki”, choćby do setnego roku życia. Myśli z wielką słodyczą o panu Piotrze. Ach, gdyby to on chciał zamieszkać w Garches... Juliusz walczy w myśli swoją złość, swoje nadzieje, swoje plany przecięte i udaremnione. Żadnej myśli nie doprowadza do końca. Zaczął rozważać przeszłość: była to kupa niedopałków, żużlu, wszystko wygaszone, i flaki się w nim wywracają. Czym mógłby być, gdyby się to inaczej pokierowało. Majątek, nie, nie dręczy go myśl o majątku. „W twoim wieku”... ta stara powiedziała mu: „W twoim wieku”... Żadnej myśli nie doprowadza do końca... Nie chodzi mu o majątek, lecz o ludzi. To niesłychane, że w końcu jakaś smarkuła robi na człowieku takie wrażenie. Trzeba sprzedać budę, Dora niech się wynosi... Sprzedać budę. Tutaj nie ma nic do roboty, ona wszystko trzyma w garści, licencję... Już tylko parę dobrych lat... Trzeba się spieszyć. Każdy dzień, każda sekunda są mu ukradzione. Za ile lat będzie już tylko starym wycirusem, łachem? Lepiej nie liczyć. Czas ucieka, a tu na drodze stoi szefowa... Właścicielka, która chce zaokrąglić swój worek... Wyobraża sobie może, że on miałby ochotę skończyć życie w pantoflach, w tej jej ruderze w Garches; rozkwaśiłby jej gębę, ale trudno. Licencja.

Niech sobie ta frajerka dalej zawraca głowę. Garches. To komika. Jemu wystarczy jakiś zwyczajny pokój, gdziekolwiek, dobrze opalony... łóżko... na krześle ładna bielizna, a przy nim ta dziewczynka, to dziecinne ciało, biała skóra, te okrągłe, jeszcze za szczupłe ramiona... Głowę tracę...

— Zniszczysz na nic tę szczoteczkę. A co do rozmowy...

Ironia Dory wraca mu panowanie nad sobą. Bierze kapelusz. Wychodzi.

Nie ma co z sobą robić, a na dworze pada deszcz. Nie taki jak onegdaj, dziś jest to kapuśniaczek, który przygnębia cię; wszystko wydaje ci się głupie i niepotrzebne. Dziwny ten sierpień. Wstąpił do pierwszego lepszego baru. Miał niegdyś takie maszynki — lubi się zabawić przy automatach, gdzie wrzuca się pieniądze. Trzeba już upaść bardzo nisko. Ale to daje zysk. Jakby widział sutenera, który tuczy się dzięki temu, że on uprawia ten hazard. Tak, ale to zajmuje człowieka, gdy w głowie mu się miesza i gdy nie chce nikogo widzieć. Co za szaleństwo! Jak łatwo wyprowadzić człowieka z równowagi. To dlatego że w życiu człowiek jest taki samotny. Róża... to ładne imię... Różyczka... Ze zdenerwowania obdarł sobie skórę przy paznokciu na wielkim palcu; co za głupota, a teraz boli... i w ogóle drażni go wszystko. Deszcz ustaje. Juliusz płaci żetonami, ma tego dosyć. Królewski napiwek dla kelnera:

— Proszę nie wydawać, to dla pana.

Od czasu do czasu trzeba się poczuć panem; to odmładza. Bulwary. Te chodniki są jak znoszone trzewiki. Juliusz wspomina czasy, gdy się nosiło

buciki spiczaste, bardzo spiczaste. Szły przed tobą, tak było modnie. Na zegarze „Matina” jest druga piętnaście. Idiotyczna godzina. Ale już się tutaj zaczynają pojawiać kobiety. Dziwne, ale wszystko zawodowe. Są między nimi bezczelne, są nieśmiałe. Te, które usiłują uwierzyć w życie. Mieszczki, które może nie mają w domu tego, co chcą. A ta może cudzoziemka? Późna pora i trawienie daje się ludziom we znaki. Juliusz śledził ich manewry. Ich trick nigdy nie zawodzi. Zima, lato. Czuje się ociężały. Kupuje gazetę, aby udawać, że jest czymś zajęty. O czym dzisiaj piszą?... Podpisano pokój w Bukareszcie... I pomyśleć, że są frajery, co się tym podniecają! W Auteuil zaduszono jakąś kobietę...

W oczach mu się mąci. Widzi Dorę w ich domu, na kanapie, umarłą, z sinymi plamami na szyi... To by się na nic nie zdało. Licencja nie jest dziedziczna... Straciłby wszystko. Gdyby umarła przed sprzedaniem jej... Ogarnia go niezwykła troskliwość o zdrowie pani Tavernier. Niepokój, który sprawia, że po trochu zaczyna się śmiać z samego siebie.

— Ma się przed sobą jeszcze parę dobrych lat — powtarza z furją. Rozciera sobie palec, tuż przy paznokciu, gdzie go tak diabelnie piecze.

## XXXVII

A zatem Piotr Mercadier jest teraz w Paryżu... Regina zastanawia się, czy miałaby ochotę go zobaczyć. Wszystko w tym człowieku było dziwaczne — ukazywał się i znikał jednocześnie. Paskal opowiadał, że wypytał służącą Marię, nie wiedziała nic, zupełnie nic. To tylko, że w każdą niedzielę przychodził i siadał w Avenue du Bois obok niej i dziecka. Ale ponieważ uprzedzony był o wyjeździe nad morze, nie przyjdzie w następną niedzielę. Gdzie mieszka? Zgubiony ślad.

Jak on teraz wygląda? Pani von Goetz w głębi duszy bała się spotkania z tym upiorem swojej młodości. Wystarczał jej Paskal, młody Paskal, tak czuły i tak niepewny... Kupowała mu krawaty... Myślała o nim wśród ludzi. Zresztą, jeżeli chodzi o upiory, był już Brecy. Spotkała się z pierwszym mężem, aby zrobić przyjemność Heinrichowi. Brecy był teraz senatorem, a przy tym niewiele się zmienił. Światowe życie, jakie prowadziła pomiędzy ambasadą a recepcjami w ministerstwach, trochę się wreszcie uspokoiło pod koniec lipca. Oddała się bez reszty nowej przygodzie. Zwłaszcza że teraz Paskal, po wyjeździe rodziny, był sam w Paryżu.

Myślała jednak o tym człowieku, który żył gdzieś w tym mieście, którego mogła spotkać przypadkiem. Ma teraz pięćdziesiąt osiem lat. Jak on wygląda? Dziwne pomyśleć, że co tygodnia przychodził porozmawiać z tym małym Jasiem, którego widziała...

Heinrich wyjechał do Anglii na dwa tygodnie. Ona miała oczekiwać go w Deauville. Ale z przyczyny Paskala zwlekała. Miała ochotę zobaczyć mieszkanie Mercadierów w „Etoile-Famille”. Pokazywał jej fotografie matki; musiała być bardzo ładna. Rzecz dziwna, Regina najbardziej była

ciekawa Pauliny. Tej Pauliny, z którą nie współzawodniczyła i która była matką Paskala. On nie chciał, aby przyszła do niego, ze względu na służbę, ludzi, których mogłaby spotkać na schodach. Za pretekst posłużyła jej wizyta u pań Manescu. Panie Manescu nie wyjechały jeszcze na wieś z powodu tej wojny. Dopóki pokój bukareszteński nie został podpisany... Teraz przygotowywały się do wyjazdu: było rzeczą naturalną, że przyszła je pożegnać...

Elwiry nie było w domu. Teraz ciągle gdzieś wychodziła, mówiła Betsy, która miała minę, jakby coś ukrywała, i wyglądała bardzo mizernie. Betsy dziwnie dopytywała się o zdrowie Karla. Och, należałoby powiedzieć Karlowi, cokolwiek się stanie, że Elwira zawsze, zawsze kochała tylko jego. Ale jeżeli między nimi wszystko skończone...

Paskal czytał na Reginę za drzwiami, gdy zeszła z góry. Wciągnął ją w cień, nie szanując domowego ogniska, do mieszkania całego w pokrowcach, z rogożami na ziemi i gazetami na kominkach. Przez godzinę zapomniła, czego nie dostawało ich miłości, zapomniła, że on ją okłamuje, zapomniła o rozpaczach starzenia się, o świadomości rozkładu, jaki czuła w sobie. Potem zajęli się rodzinnymi bibelotami, absurdalnymi, bez sensu, banalnymi. Bawiły ją szkatułki wyłożone niebieskim lub czerwonym jedwabiem, lakowe pudełka na herbatę, wykładane ołowiem, figurki — pseudodelfty — o motywach holenderskich, etażery z materiałów w kwiaty, ramki pełne fotografii ze wstążką a la Ludwik XVI, miedziana misa rzeźbiona w motywy hinduskie, pudełka z miniaturowym domino, porcelanowy wąż... każda z tych smutnych i dziwacznych rzeczy miała swoje idiotyczne i pozbawione uroku dzieje, ale w historii rodziny Mercadier każda z nich błyszczała jak wymyty wodą kamień w grocie. Paskal opowiadał strzępy przeszłości uczezione krzesel, stolika krytego pluszem, fotela trochę zniszczonego, błękitnego i haftowanego złotem, tysiąca niegustownych drobiazgów, które nagromadzono w ciągu bezmyślnego życia, które przetrwały nędzę, przeprowadzki, nieszczęścia.

— Pokaż mi te papiery, Paskalu...

Wiedział, co Regina ma na myśli. Odnalazł je po wyjeździe rodziny, w pudełku z przyborami do czesania, które Paulina trzymała na stoliku. W niebiesko-żółtej kasetce w ludowym stylu pikardzkim. Papiery... Obiecał był, że nie będzie ich czytał bez niej. Niezupełnie dotrzymał słowa. Wyjął je z niebieskiego pudełka, przewiązane wyblakłą wstążką. Regina wzięła je i rozwiązała wstążkę jeszcze w jego rękach, rękach o palcach szczupłych i niespokojnych, które podtrzymywały jej napiętki, przebiegały po papierach i wznosiły się do jej ramion...

Były tam wyblakłe listy, listy z pierwszego okresu, lakoniczne i proste, nie mówiące nic o miłości, tylko o chęci powrotu, aby nie przedłużać nieobecności. Włamywali się w życie Piotra i Pauliny ze wstydem, a także z rozczarowaniem. Pisma urzędowe mieszały się z tymi listami, zinnymi czy też wystygłymi, wyziębłymi: Któż wie, jaką wartość mają zwykłe słowa pisane między dwojgiem ludzi? Zasuszone kwiaty wypadły z

koperty, a w liście była mowa tylko o niewygodach pobytu w Paryżu, o chmurnym niebie i nie udanym kostiumie. Była fotografia ślubna i bilet do Opera Comique, wachlarz. Wśród tego wszystkiego naga kobieta w masce, wśród lubieżnej weneckiej dekoracji z roku około 1890, okrutne odkrycie, dokonane zapewne w portfelu męża, jak frywolna pocztówka, zagrzebana tutaj wraz ze świadectwem chrztu najstarszej córki, tej, która umarła w Dax.

Wreszcie natknęli się na zeszyty *Johna Law*. A właściwie na dwa z nich. Wąskie i długie, wypełnione drobnym i gęstym pismem, pełne skrótów, poprawek, dodatków przerzuconych na następną stronę. Pismo dość niezgrabne, a jednak wyrobione, pismo ciężkie całym ciężarem życia, pismo to samo co w listach, a jednak zupełnie zmienione. Pismo człowieka w świecie bez zwierciadła. Człowieka, który pisze tylko do butelek rzuconych w morze.

Regina utonęła przez chwilę w fachowych rozważaniach na temat systemu Lawa. Raz jeszcze rękopis, jak ci, o których się mówi, jak poezja czy matematyka, był sprawą dla wtajemniczonych. Nagle znalazła takie oto słowa:

„Smucimy się niedolą wielkich ludzi jako niesprawiedliwością losu wobec istot tej miary. Czyż w życiu jest choćby jeden romans szczęśliwy? Czyż każde życie ludzkie, choćby najskromniejsze, nie kończy się tragicznie? Skała Napoleona nie jest niczym innym jak alkową, gdzie kończy się wszelka przygoda, i wszystkie łóżka w Paryżu były świadkami agonii, które porównać można ze zgonami Ugolina, kawalera de la Barre lub Maksymiliana.

Ku temu właśnie straszliwemu kresowi zdążamy wszyscy olbrzymim dyliżansem, który sam przeznaczony jest na zagładę, nieświadomi ruchu, który go ożywia, i mechanizmu, który pcha go naprzód. Pamiętam, że pewnego wieczoru jechałem przez Paryż przy pierwszych światłach jednym z tych wehikułów, podobnych do wieloryba mknącego po rodzących się cieniach. Tego wieczora czułem się niespokojny i smutny, głowę miałem naładowaną cyframi, od których zależała moja wolność, kursami giełdowymi i nazwami akcji i papierów wartościowych, byłem jak biedny obłąkany mózg, dręczony przez potwory rachunków. Nagle wszystko wydało mi się obce — kawiarnie, bulwary, apteki. Zacząłem przyglądać się moim sąsiadom na imperialce, już nie jako przypadkowym towarzyszom, którzy znikali na kolejnych przystankach, lecz jak podróżnym tajemniczo wybranym, aby przebyli ze mną życie. Dostrzegłem, że już po krótkim odcinku drogi wytworzyły się między nami jakieś więzy, uśmiech kobiety, uważne spojrzenie mężczyzny, dwaj starcy, którzy zaczęli rozmowę — coś jakby zarys społeczeństwa. I z pewną grozą pomyślałem, że my, w tej chwili jeszcze obcy, jesteśmy wszyscy na równi zagrożeni możliwą katastrofą. Tak, że to, co działo się w dole między końmi a ulicą, a o czym my nie wiedzieliśmy, mogło stworzyć między nami wspólnotę śmierci, intymność gorszą niż intymność miłości,

intymność wspólnego dołu. Byłem w nastroju filozoficznym, bo wszystko wydawało mi się gorzkie. Myślałem, że ta imperiałka jest trafnym obrazem życia, a raczej był nim cały omnibus. Bo na świecie istnieją dwa rodzaje ludzi: ci, co, jak pasażerowie z imperiałki, jadą nic nie wiedząc o maszynie, którą zamieszkują, i ci, co znają mechanizm potwora i bawią się manipulując przy nim... Nigdy ci pierwsi nie zdołają pojąć, tam są ci drudzy, bo z imperiałki widać tylko kawiarnie, latarnie i gwiazdy; i ja jestem nieuleczalnie jednym z nich, toteż John Law, który znalazł sposób doprowadzenia maszyny do szaleństwa, pozostanie dla mnie zawsze — mimo ciekawości, jaką we mnie budził — człowiekiem, którego nigdy nie potrafię przedstawić sobie w prostych sprawach życiowych, na przykład błędzącego bez celu albo kupującego w sklepiku owoce czy bawiącego się z dziećmi. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa robił to i dla poznania go nie jest to mniej ważne niż operacje, dzięki którym stworzył Kompanię Indyjską. Oto czterdzieści lat i więcej, jak moja rodzina i ja zmierzamy ku końcowi, który zapewne będzie ponury, zmierzamy drogą, którą nie ja wytknąłem, której nikt nie wytknął. Może potrafiłbym wytłumaczyć szczególne moje zainteresowanie osobą Lawa moją wiarą, że był on jednym z nielicznych ludzi, którzy zmienili trasę świata.

On nie był podróżnikiem na imperiałce."

Regina podniosła głowę.

— Trafiają się tutaj takie dziwaczne karty, że zdaje mi się, iż są to raczej notatki z pamiętnika niż ustępy z książki...

— Bez wątpienia — rzekł Paskal gładząc jej ramiona — ale przepraszam cię, ktoś dzwoni... — Przewracała dalej kartki rękopisu, niejasno zdając sobie sprawę, że ktoś szepcze na korytarzu. Paskal ukazał się na progu: — Ktoś prosi mnie do biura na dole — wyjaśnił. — Zaraz wracam, kochanie... I poszedł za Leontyną. Służąca wiedziała, że u niego jest kobieta, ale trudno. W biurze dwaj krepni panowie — inspektor lokali umeblowanych, który od czasu do czasu kontrolował księgi pensjonatu, i jakiś nieznajomy z wąsami jak szczotka.

— Co się stało, panie inspektorze? W ostatnich czasach przychodzi pan bardzo często.

— Przepraszam, panie Mercadier, muszę raz jeszcze przejrzeć pańskie księgi...

Jego towarzysz wraz z nim długo przeglądał spis mieszkańców pensjonatu. Przy każdym nazwisku przenosił wzrok na karteczkę, którą trzymał w ręku. Paskal niecierpliwił się myśląc o Reginie. Na uwagę, jaką półgłosem rzucił jego towarzysz, inspektor zapytał z miną fałszywie obojętną:

— Te panie... Mene... Manescu... mieszkają u pana od wielu miesięcy, prawda? Czy nie ma pan o nich nic do powiedzenia? Wszystko w porządku? Żadnych szczególnych znajomości?

Paskal zdziwił się. Ściągnęli go tutaj, aby zadawać mu tak głupie pytania.

— Panie Mercadier — odezwał się ten drugi — pozwoli pan, że będę mówił poważnie. Odwołuję się do pana, do pańskiej dyskrecji.

— Bardzo proszę, ale...

— Chodzi o sprawy bardzo... drażliwe i bardzo poważne. Jest pan dobrym Francuzem i możemy liczyć na pana.

— Oczywiście... ale panie Manescu...

— Czy jedna z nich nie była zamężna za Niemcem?

— Rozwiodła się, a zresztą...

— Panie Mercadier, bardzo pana proszę! To nie są żarty. Możliwe, a nawet więcej niż możliwe, że pani ta utrzymywała stosunki z osobami, których ścisłe dozоровanie jest dla nas sprawą bardzo, ale to bardzo doniosłą... Wiadomo może panu, czy bywali u nich Niemcy lub Niemki?

— Nie mogę twierdzić stanowczo... ale właściwie... do czego pan zmierza?

— Panie Mercadier, trzeba by nas o tym poinformować. Chodzi o niezwykle ważne sprawy. Może o szpiegostwo.

Paskal obruszył się:

— Co? W moim domu? Te panie prawie z nikim nie utrzymują stosunków... z żadnymi Niemcami, o ile mi wiadomo...

— Dobrze, jak dotąd w porządku... ale jeżeli przypadkiem... powinniśmy o tym wiedzieć... będziemy na pana liczyli... Tylko proszę im o tym nie wspominać... Przynręka nam pan?...

Paskal przyrękał i był szczęśliwy, że się pozbył tych jegomościów. Co oni sobie wymyślili? Jakie to głupie! Paskal zawsze nie cierpiał tych nieuniknionych stosunków z policją. Trudno. Wrócił na trzecie piętro.

— Czy pozwoliłbyś mi zabrać te zeszyty? Chciałabym spokojnie przeczytać, co napisał twój ojciec — rzekła Regina.

— Proszę cię. Wyobraź sobie, że ci durnie... Opowiedział scenę w biurze.

— I pomyśl tylko, te biedne Manescu!

Ale Regina nie uśmiechnęła się. Powiedziała:

— Muszę już iść... Zeszyty oddam ci pojutrze... jeżeli chcesz, w zwykłym miejscu. Nie, nie zatrzymuj mnie... Widzisz, narażam twój dom...

— Ty? Czyś oszalała?

— Jestem Niemką czy nie? Odwiedzam też panie Manescu. Nie mogę powiedzieć, że przychodzę do ciebie...

— Ale to jest śmieszne! Ani mi przez myśl nie przeszło...

Chciał ją pocałować. Ale ona myślała o czymś innym.

— Zostaw mnie! Zostaw! Nie rozumiesz tych rzeczy! Te wszystkie historie między Francją a Niemcami...

— Jakie historie?

— Och, jesteś dziecinny... Wiesz przecież o tych zajściach... A gdy policja zaczyna się krzątać...

— No i co z tego?

— To pachnie wojną. Ja od lat już boję się wojny. Postaw się w moim położeniu: pół-Francuzka, pół-Niemka... Wszystko, co robiłam... Robiłam wszystko, co mogłam, aby zbliżyć Francuzów z Niemcami... Heinrich także... Ale widzisz, czujemy, że to, co powoli nadchodzi, jest silniejsze od nas... Powoli... Wojna... Zrobiłam, co było w mojej mocy...



Roześmiał się. Nie trzeba się przejmować głupstwami, które plecie jakiś inspektor policji. Gdy schodziła na dół unosząc zeszyty, odprowadzał ją wzrokiem. Nagle uczuł, że ktoś na niego patrzy. Odwrócił się ku ciemności: stała tam Elżbieta Manescu wpatrzona w niego, i twarz jej była rozdarta długą łzą.

### XXXVIII

Gdy Paskal otrzymał parę słów od Reginy, która zawiadamiała go, że musi nagle wyjechać do Anglii, gdzie pilnie wzywał ją pan von Goetz, doznał przykrego uczucia, którego nie udało mu się opanować przez cały dzień. Nie mógł zrozumieć smutnego tonu ostatnich słów przyjaciółki i tego nagłego lęku przed wojną, o której dotąd nigdy nie mówiła. Próbował przypomnieć sobie inne rozmowy z nią, które pływały na powierzchni jego pamięci jak porzucona odzież.

Przypomniał sobie, że parę razy drwiła z patriotyzmu, i to zarówno pangermanistów, jak szowinistów francuskich. Mówiła, że w obu krajach lud mimo tego swego socjalizmu czeka tylko sposobności, aby rzucić się wzajem na siebie. I z jakim naciskiem twierdziła, że prawdziwi internacjoniści to tacy ludzie jak ona, żyjący szczęśliwie byle gdzie, i że nie istnieje inny internacjonalizm przyszłości jak ten jej, internacjonalizm wagonów sypialnych, wspaniałej kuchni w luksusowych hotelach Wiednia, Nowego Jorku, Londynu, Lizbony.

Dlaczego tak szukał urywków tych dorywczo prowadzonych rozmów z Regina? Aby odsunąć od siebie jakąś natrętą myśl? Przecież wyjechała do męża, cóż może być prostsze?

Czy miała słuszość w tym, co mówiła o wojnie? Tego roku jakiś zeppelin zabłąkał się do Luneville, turystów z Niemiec poturbowano w Nancy, w Alzacji zaś — podróżnych z Francji. I co z tego? Nikt nie chce wojny... Gdyby przybrało to obrót poważny... Nikt nie chce wojny. Jeżeli nie wybuchnie wojna, za trzy lata spłacę bank, pensjonat zacznie przynosić ładne dochody. Jeżeli chciałbym przyciągnąć Amerykanów, powinien bym zainstalować łaźienki. Ale to niełatwa sprawa. Trzeba by zamknąć pensjonat na całe lato. W każdym razie nie wcześniej jak w 1916 lub 1917. Nie wcześniej.

Przykro mu było, że Regina zabrała zeszyty ojca. Na dwa dni, a teraz napisała, że nie wróci wcześniej niż we wrześniu. List jej był dziwaczny, dziwnie pachnący, pełen słów ciężkich jak łyzy. Na pewno kochała swego Paskala. Na pewno przykro jej było, że nie zobaczyła się z nim przed wyjazdem. Ale... jest coś pochlebnego i żenującego w miłości kobiety, o której wie się, że się jej nie kocha. Jednakże Paskal czuł do Reginy wielki pociąg. Nic więcej. Wielki pociąg. Poza tym nie mógł się oprzeć przyjemnej świadomości, że jest kochany. W liście znowu wspominała o wojnie. Pisała: „Nie sądzę, aby wojna zaczęła się w roku 1913.” Oczywiście w 1914 także nie. A gdyby pojechał do niej do Anglii? Raz

tylko był w Londynie, i to dawno, przez trzy dni.

Naprawdę, nie umiał opierać się chęci podobania się i zazdrość Elżbiety o panią von Goetz, której niejasno domyślał się, a która objawiła mu się po raz pierwszy na schodach tego wieczora, gdy była u niego Regina, sprawiła, że nie mógł odmówić sobie odegrania komedii. Betsy była urocza, urocza. Dotąd nie oceniał tego należycie, a zresztą był teraz wolny. Oczywiście powtarzał sobie, że nie wolno mu posunąć się za daleko z tak młodą dziewczyną, pogardzałby sobą, ale czy mężczyzna potrafi opanować pragnienie w stosunku do siedemnastoletniej dziewczyny, która jest w nim zakochana i podoba mu się? Do gry przystąpił jakby z pewnej uprzejmości — czemu odmawiać drugiej panie Manescu złudzenia, że jest już kobietą, że może flirtować z dorosłym panem? W tym nie było nic złego. Czuł się starszym, opiekunem. Ale pomału sprawy się skomplikowały, pozwolił jej tulić się do siebie, gładził jej ramiona, całował włosy, podarowała mu wstążkę od sukni. Paskal miał to sobie za złe, za nic nie zrobił z niej swojej kochanki, po co przeciąga to nieporozumienie? Był sam w Paryżu, roboty miał niewiele... Zresztą te panie miały wyjechać.

Wynajęły dom w Marlotte, uważając, że już najwyższy czas się wynieść, i Elżbieta przyjeżdżała do Paryża na lekcje muzyki dwa razy w tygodniu. W ten sposób stosunki ich stały się bardziej niebezpieczne; nie mógł odmówić bywania w Marlotte, przechadzali się we dwoje w lesie Fontainebleau. W alejach, ogromnych jak gwiazdne ramiona, gubiąc się do woli w leśnym poszyciu i igrając ze słońcem, cieniem i młodością, z polany na polanę, przez melancholijne moczary, na spadzistych grzbietach pagórków otaczających teren myśliwski, młoda para, bojąc się i szukając upojenia, z wolna przyzwyczajała się do intymności. W jakiej chwili sprawy wzięły inny obrót i co widziały zeschnięte liście w lesie? Jakaś fatalność przywiodła do Paskala cień Iwony. Jak Iwona, ta dziewczyna z obcego kraju uprawia muzykę, a on odwraca karty jej nut. Jak Iwona, otrzymuje od niego naprzód pieszczotę zazdrości. I odnajduje w niej Iwonę, Iwonę z Sainteville, tę, która kryła się z nim w sianie, którą brał w dziecinne objęcia, gładził jej nogi. Ale dziś jest mężczyzną, Betsy nie ma dwunastu lat, Betsy jest jak ogień w lesie, owija się jak płomień wokół mężczyzny, który stawia jej słaby opór i jeżeli nie czyni jej kobietą, jest to wkrótce już jedyna między nimi granica rozkoszy. Elżbieta...

Pewnej niedzieli w Marlotte przyjechali do pań Manescu i Paskal, i pan Werner. Dla wszystkich, z wyjątkiem pani Manescu, było oczywiste, że Werner jest kochankiem Elwiry. W dość pyszałkowaty sposób kładł jej rękę na kolanach. Mówiła z nim wyłącznie w języku niemieckim, którego nie znała jej matka, i nie odmawiała sobie wówczas obdarzania go imionami, które wymyśliła dla Karla, nie krępując się obecnością sióstr, a nawet Paskala. Gdy siedzieli w ogrodzie przy herbacie, a Dorota kołysała się w hamaku, czytając skradzioną Elwirze książkę Marcela Prevost, tym razem pan Werner zaczął mówić o wojnie.

— .Czy pan naprawdę w to wierzy? — zapytał Paskal. — Wiem, że od

czasu do czasu zdarzają się incydenty przygraniczne po obu stronach, gdzie ludzie mają zaognioną wyobraźnię... ale poza tym! Po pierwsze, oddaliśmy pańskim ziomkom wszystko, czego chcieli. W 1911 zapragnęli części Konga, i dostali ją.

— Myliłby się pan, drogi panie Mercadier, sądząc, że w tej sprawie ustąpiła Francja... A w Berlinie panuje nawet przekonanie, że to my zostaliśmy nabrani... Maroko było tysiąc razy więcej warte, niż wyście nam zapłacili... Proszę pamiętać, że należę do ludzi, którzy zawsze usiłowali podtrzymywać dobre stosunki między naszymi krajami... Ale jeżeli wyobraża pan sobie, że Agadir coś załatwił... Po Agadirze zaczęła się marynarka, lotnictwo... Teraz trzyletnia służba wojskowa...

— O, przepraszam, ale to wy zaczęliście...

— Jeżeli chodzi o prawo wojskowe, to oczywiście, ale dlatego że czuliśmy się okrażeni przez Entente Cordiale i przymierze z Rosją... Niech mi pan wierzy, ja zdaję sobie sprawę, że Francuzi to nie tych paru krzykaczy, którzy wydzierają się: „Na Berlin!", a których zdarzało mi się spotykać... nie... Wy nie powinniście ufać Anglikom. Oni was puszczą kantem. To oni spalili Joannę d'Arc...

Pan Werner wielbił Joannę d'Arc. Mówił o tym bardzo często. Twierdził, że była siostrzycą Walkiryj. Wywołało to lekki uśmiech Paskala, ale widział w tym życzliwość dla Francji i to go uspokajało. Zawsze wyobrażał sobie, że ten lęk przed wojną był straszakiem, który puszczali w ruch socjaliści dla swoich celów politycznych. Poprzedniej zimy odbyli kongres w Szwajcarii z Jauresem i całą tą bandą... Gdy ludzie czytali sprawozdania stamtąd, mieli wrażenie, że wojna będzie jutro. Wydawało się to wtedy Paskalowi bardzo zabawne. Teraz uprzytomnił sobie, że sam w to wierzy. Et, po prostu nerwy. Bzdury. Werner dodał jeszcze:

— Jednakże, jeśli chodzi o możliwość wybuchu wojny między Francją a Niemcami, uspokaja mnie fakt, że my nawzajem nie możemy obejść się bez siebie. Proszę pomyśleć: wy sprzedajecie nam rudę żelazną, my wam dostarczamy węgiel... Jak dalibyśmy sobie radę jedni bez drugich? Widzicie państwo, wiele dyskutowano o tych wymianach między krajami... Otóż trzeba przyznać, że handel nie zna granic, bo interesy są interesami, czynią więcej dla utrzymania pokoju niż wszyscy pacyfiści swoim krakaniem... Wiadomo państwu, że jestem blisko zaprzyjaźniony z Wisnerem, tym od samochodów... Oto człowiek, który rzetelnie przysłużył się sprawie pokoju... Bywają zatargi międzynarodowe, które doskonale można załagodzić w radach administracyjnych... Między kolegami, dokoła stołu, przy którym rozdziela się tantiemy, nie pamięta się już, czy jest się Francuzem, czy Niemcem... i wtedy zręcznie rzucone słowo... oto prawdziwy internacjonalizm...

Mówił tak jak Regina. Mniej więcej tak. W przeddzień Paskal dostał od niej smutny i namiętny list, pełen niezrozumiałych zdań o przeszkodach, które utrudniają jej powrót, o niesprawiedliwości pewnych ludzi w stosunku do Heinricha von Goefz, o charakterze ich małżeństwa. Zdania te

były przeplatane tu i ówdzie namiętymi okrzykami samotności, smutku, tęsknot i wspomnień ich miłości, które bardziej pochlebiały Paskalowi, niż go wzruszały; „...Wiesz — pisała — że w stosunku do Heinricha zachowałam swoje własne życie, prawo myślenia. Urodziłam się Francuzką i Francuzką pozostałam. Nie tak ostentacyjnie jak ci ludzie, co to bez ustanku potrzęsają sztandarem. Żyłam w Niemczech, umiałam wymagać tam, aby w mojej obecności okazywano szacunek dla mego kraju; a we Francji nigdy nie upoważniłam nikogo do ublizania ojczyźnie mego męża. Pobierając się, pozostaliśmy każde patriotą i pogardzalibyśmy sobą wzajemnie, gdyby działo się inaczej. Nasze małżeństwo było realizacją ideału, było tym chwiejnym pokojem, szarpanym przez wszystkich. Wydawało się nam, że robimy coś bardzo pięknego, co wyższe jest ponad konwencje i granice...”

Po co ona mu o tym wszystkim pisała? Lepiej by mu odesłała zeszyty. Wspomniała o tym krótko: „Waham się, czy powierzyć te cenne zeszyty poczcie, a nie wiem, kiedy będę mogła przywieźć je sama...”

Tu zaczynały się uniesienia, których Paskal nie podzielał.

### XXXIX

Eugeniusz wracał z pracy dość zmęczony, ale zadowolony. Jak każdego wieczora, wchodząc w swoją czarną, brudną ulicę, wąską, mimo że robotnicy burzyli właśnie dom stojący naprzeciwko, mówił sobie; „Jeszcze dwa miesiące, jeszcze półtora, jeszcze jeden... i wydobędziemy się stąd, nie będziemy już widzieć tej budy.” Udało się dojść do porozumienia z administratorem, więc nie będą płacić całego zaległego czynszu, co byłoby niemożliwe. W każdym razie mieli się wyprowadzić w październiku. To rzecz najważniejsza...

Pracować. Gdy się człowiek odzwyczaił. To dziwne, są ludzie, którym wydaje się, że to coś trudnego. Otóż trudno jest nie pracować. Co dzień teraz Eugeniusz mówił sobie: „Pracuję.” To było nie do wiary. Mógł patrzeć Emilii prosto w twarz. Utrzymywał swoje dzieci. Niezbyt świetnie. Ale je żywił. W niedzielę wyjeżdżali do Clamart albo do Vincennes.

Wracał więc tego wieczora, jak zwykle, z głową zaprzątniętą projektami na przyszłość, na październik... październik było to najweselsze słowo, jakie znał, miał ochotę je śpiewać. A przy tym w kieszeni czuł kartę, z której był dumny i która cieszyła go jak uczniaka, który spłatał porządnego figla. Przed „Jaskółkami” stała taksówka i pan Tavernier, który właśnie płacił, skinął Eugeniuszowi z daleka protekcyjnie ręką. Eugeniusz dotknął czapki. Bądź co bądź ten typ wystarał mu się o pracę. A jednak nie lubił mu się kłaniać! Człowiek jest jakiś dziwny. Wbije sobie coś do głowy. Ale trzeba przyznać, że co dotyczy tego typu, który go wybił po gębie...

Nagle usłyszał, że ktoś go woła. Właściwie *nie* sądził, aby to się do niego odnosiło. Był to szofer taksówki, wielkie rude chłopisko w luźnym szarym prochowcu, z obwisłym wąsem; to on coś wołał.

— Jak to, nie poznaje się starych przyjaciół? — Przeczekał chwilę, potem nagle głośno się roześmiał i zmarszczył brwi. Był to szofer, z którym Mere pobił się raz przed Halą Licytacyjną, ot tak, dla rozgrzewki.

— Nie, w pierwszej chwili nie poznałem cię... a przecież takich rudzielców jak ty nie ma dużo na świecie... Przywiozłeś sąsiada, co? — Mrugnęli do siebie, niby z racji tych „Jaskółek”. Potem klepnęli się po ramionach.

— No — rzekł szofer — stawiam kieliszek. Na ladzie obitej wyszczerbioną blachą, w małym barze, do którego chodziło się kupować drzewo, wśród dekoracji luster i butelek z wódką, gdzie kelner o rękach pokrytych węzlistymi, sinymi żyłami nieustannie mył wciąż brudne na nowo kieliszki, napili się jasnego piwa i zaczęli gadać, co im ślina na język przyniosła, ale szofer wracał wciąż do swego — ciągle opowiadał o swoich kursach z jakimiś klientami, co go trzymali dwa dni; był tam alfons, ładne dziewczyny i jeden dziwny typ, nazywali go Morero. Szofer zapalił się do swego tematu, Eugeniusz śmiał się. Mówcie, co chcecie, ale to świntuchy! Nikt nie ma pojęcia, ilu ludziom życie idzie jak po maśle. Widział jak na dłoni ten ich zamek, a w nim kobiety. Ach, fajna rzecz!

— A jak pyskowali do siebie po obiedzie! Ta mała ślicznotka suszyła głowę Juliuszowi, ażeby sprzedał „Jaskółki”, ale zdaje się, że jego stara nie chce... I dlatego coś się między nimi zaczyna psuć... i oni zaczęli mu wszyscy kłaść do łepety, że jeżeli ten jakiś frajer, co któregoś dnia zrobił w budzie awanturę, podłoży pod nią ogień, jak obiecywał...

Teraz przyszła kolej na Eugeniusza, aby naświetlić sprawę. Tak sobie to wzięli do serca? Powiedział w złości, a jakże, ale tylko tak sobie, bez złej myśli, i zreferował zajście; wyobraź sobie, to było w tym samym dniu, kiedyśmy się potłukli...

— Już nie taszczysz gratów w pałacu Drouot? — Nie, bo... ale to właśnie najdziwniejsze... — Jego rozmówca nie bardzo to pojmował, a więc wypili jeszcze jedną kolejkę... W życiu nie słyszał, aby ktoś w taki sposób znalazł pracę.

Eugeniusza korciło, aby mówić o czymś innym. Krążył wokół tego.

— Gdy szef spod dziewiątki po mnie przysłał, nie chciałem iść, ma się rozumieć... ale potem on kazał mi powiedzieć, przyjdź pan, bez urazy, to w sprawie pracy... Człowiek ma swój honor, ale co do pracy, tego się byle gdzie nie znajduje, no nie? A wtedy on mi zasunął swoje kawałki, a to senator, jego przyjaciel, i takie inne hocki klocki... ja mu pozwoliłem gadać... gadaj zdrów... Moja odpowiedzialność, gada... senator... sprawa zaufania... A rękę kładł na sercu... W końcu chciał wiedzieć, czy należę do związku... Nie należałem do związku — nie ma co kłamać... Gdybyś należał do związku, nigdy, za żadne skarby nie polecałbym cię, człowiek ma sumienie, ma swoją uczciwość, nie można być tu i tam, syndykaty trzeba przegnać na cztery wiatry, ja już nawet nie pamiętam, ale rozpędził się, gadał o tych syndykatach, cały kwadrans...

— A czemu nie należysz do związku? — spytał szofer zgorszony.

— Rozumiesz, jestem ze wsi... w rodzinie nie było robotników

fabrycznych... Jak byłem w budzie, oni byli w chrześcijańskich związkach... a ja nie lubię katabasów...

— No dobrze, a CGT? Czy to katabasy?

— No, tak się złożyło... a potem długo bezrobotny... no, nie należałem... A ty należysz?

— Co ty sobie myślisz? Pamiętasz strajk taksówek? W 1911. Wytrzymaliśmy pół roku. Wsadzili mnie do mamra... Z powodu, że polował na łamistrajków... na takich typków jak ty, nie zrzeszonych...

Eugeniusz nie pogniewał się, zaśmiał się z cicha, wciąż z tą miną chłopaka, co spletał figla, porządnego figla...

— Gdy stawiałem się w fabryce z poleceniem tego burdelarza, wypytywał mnie naprzód jakiś jeden frajer, potem drugi, trzeci. I każdy z tych typków jedno chciał wiedzieć: „Należycie do związku?” Przecież już mówiłem, że nie... Nie? Naprawdę? Nie wiem, dlaczego wszyscy wpierali we mnie, że należę do związku... A te mowy! Przeciw związkom. Powtarzałem im, że nigdy nie rozumiał, do czego służą te syndykaty... Wtedy powiedzieli jasno... Pod żadnym warunkiem nie wzięliby mnie, gdybym należał do związku, gadali... A że nie należałem, wzięli mnie. A potem ja, gdy się już nasłuchiwał tych wszystkich okropności, jakie mówili o związkach, że to kryminaliści, że to, że owo... A mnie się to spodobało... więc jak mnie już wzięli, zapytałem jednego kumpla... I tylko popatrz...

Podniósł w ręce wyjętą z kieszeni kartę, nowiutką, szofer wziął ją, żeby się jej przypatrzeć, i plasnął się po kolanach. No, taka rzecz wymaga nowej kolejki.

— Ale teraz ja stawiam — rzekł Eugeniusz. Teraz już obaj nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

— Bo po co mi tak dziurę w brzuchu wierceili tymi syndykatami? — mówił Eugeniusz. — Gdy widział, jak się na to wściekają, zacząłem się zastanawiać... powiedziałem sobie, że w takim razie... Nigdy przedtem nie myślałem o tym... Mówiłem sobie: „Co tam polityka!” Emilia, moja żona, nie była zadowolona... Wyleją cię na zbity łeb... Jak już wreszcie dostałeś pracę... Ale kobiety nic nie rozumieją... Żebyś był to słyszał: opowiedziałem jej wszystko, co tamci gadali na związku... Jeżeli tak ich nie cierpią, coś musi w tym być...

Pękali ze śmiechu. Eugeniusz z dumą patrzył na legitymację.

— Mówisz: polityka — rzekł szofer — ale związek to nie jest polityka...

— A gdyby to nawet była polityka? — spytał Eugeniusz.

XL

Wraz z nadchodzącym latem nasilało się szaleństwo Dory Tavernier. Klóciła się z Juliuszem, jakby rozum straciła, maltretowała pannę Marię i dziewczyny, nienawidziła swego okrutnego świata, czuła przekleństwo swego losu, a to wszystko z powodu Piotra. Wydawało się jej, że „Jaskółki”, to jedyne przecież mienie ich obojga, dzieliły ich bardziej niż wiek i ohyda jej nieosiągalnej miłości. Z lękiem i nadzieją oczekiwała

godziny snu. Bardzo cierpiała, że zasypia z coraz większą trudnością. Przeklinała i kochała życie. Opętała ją namiętność, nie czyniła już nic, co nie miałoby związku z panem Piotrem.

W pierwszej chwili wyjazd Jasia nad morze ułagodził zazdrość, która pożerała ją, zwłaszcza odkąd udało się jej zobaczyć chłopczyka. Dziecko, jak tu rywalizować z dzieckiem! Ale był to pozorny spokój, po pierwszej pustej niedzieli Piotr znów zaczął mówić o wnuku ze smutkiem, który był po prostu nie do zniesienia. Cierpiała słuchając go. Cierpiała za niego i za siebie. I pragnąc odegnać ten drobny cień, zamykała oczy i śniła dalej swój romans, swoje wewnętrzne kłamstwo... Nie było tam nic z tego, co było życiem jej lub jego. Nie było Pauliny, nie było „Jaskółek”, nie było Jasia ani Juliusza. Oni oboje, Piotr i Dora, przeżyli z sobą dwadzieścia czy trzydzieści lat, jakieś trudne do wyobrażenia życie, takie, jakie opisują w książkach, wierna, jedyna miłość, nieprzerwany sen, bliskość, czułość we dwoje, ufność, w której wspierali się na sobie, upodabniali do siebie, starzeli... Był to wieczór pięknego dnia. Dzień pełen żalów i promieni, wieczór wyzłocony, zachodzące słońce, życie, które sięga wreszcie granic cienia i które było tak pełne, tak pałące i tak czyste, że jest jak ugaszone pragnienie, człowiek wzdycha do spokoju, do nocy, obawia się tylko tego, że to drugie je wyprzedzi...

Godzinami łamała sobie głowę wymyślając to życie we dwoje, nie gwałtowne perypetie życia romansowego, ale ogromną pustkę życia, dla którego dość było być we dwoje, zawsze we dwoje, tylko we dwoje... Piotrze, moja miłości!

Czyniło ją to obcą wobec źle dostosowanej do marzeń dekoracji, jaką była rzeczywistość „Jaskółek”. Zbyt pochłaniała ją ta gra, aby mogła dostrzec komizm sytuacji, plugawy komizm gestów, które miała wykonywać, automatyzm swoich dni i wybryków swej szalonej wyobraźni. Najgorszy był fakt obecności Piotra. Musiała z uśmiechem, z jednym z tych acetylenowych uśmiechów, z którymi kłamie się chorym, słuchać jego słów, nie burząc swej błękitnej bajki, nie niszcząc swej romancy. Wyglądało to tak, jak gdyby towarzysz całego jej życia w niektórych dziedzinach miał trochę pomieszane w głowie, a ona nie chce mu przeczyć. Pozwalała mu mówić, dręczyła się, ale godziła się z tą jego manią i gdy wracał do rozmów na temat małego, synka tego syna, o którym złośliwie wyobrażał sobie, że miał go z inną kobietą, wtedy oczywiście serce jej się krajało, że on doznaje tak słodkich urojeń jak wymaginowana zdrada, lecz nie przerywała mu, sama nawet mówiła o dziecku, tak jakby ono istniało, jakby istniało... Piotr mówił:

— To rzecz niepojęta! Zdawało mi się, że uspokoję się, gdy go już nie będę widywał... Ale właśnie brak mi tego małego Jana... Stanowczo brak mi go. Wie pani, w nocy budzę się z niepokonanym strachem... Powiadam sobie, że go już nigdy nie zobaczę... To absurd, ale nie mogę się uwolnić od jednego obrazu... mała ręka uderzająca łopatką po wiaderku, aby wyrzucić babkę... i wyraz rozczarowania w jego oczach... bo piasek się zapadł... Czy

to nie głupie? Starość, to na pewno starość... Ale w takim razie nie wiem, to przeczy wszystkiemu, w co wierzyłem, wszystkiemu, co myślałem przez całe, całe życie... Dziecko... Czy to nie hańba?

Nie słuchała go już. Próbowwała właśnie przypomnieć sobie pewien szczegół z ich młodości, szczegół dotyczący jego siły i jego miłości, starą historię u początku ich wspólnego życia, gdy byli sobie jeszcze obcy i szukali siebie, i bali się siebie, gdy oczy ich błyszczały, nie wiadomo dlaczego, a ona czuła upojenie w sercu, gdy zbliżał się z wyciągniętymi rękoma...

— Pani Tavernier, zaczynam rozumieć, co przeżywają starzy ludzie, którzy grzebią w przeszłości, nawracają się i topią wszelką prawdę, wszelką wiarę z okresu swej dojrzałości w wielkim lęku starości, zaczynam rozumieć ten zmierzch inteligencji, to przerażenie... Ale dla mnie to nie Bóg, nie sceneria kościelna, nie modlitwa, dla mnie... to dziecko... to dziecko...

Co on mówi? Odganiała, jak sen z czoła chorego, te zdania gorączkowe, majaczenia... Uczuła w sobie uparte pragnienie, konieczność — chciała go mieć u siebie, u nich w domu w Garches, w ich domu.

Czy zgodziłby się tam pojechać? Zdobyła się na odwagę, aby go o to zapytać. W niedzielę... w niedzielę, bo miał teraz niedziele wolne. Sformułowała to tak, jakby aprobowwała jego urojenia, jakby przyjmowała iluzję, którą sobie upodobał — bo nie zobaczy małego w niedzielę...

Naprzód odmówił. W niedziele chodzi sam na Avenue du Bois, siada na żelaznym krześle i patrzy na inne bawiące się dzieci. Dzieci nieznanome. Ostatnim razem nawet się rozpłakał.

— Między nami, droga pani... ale tak szczerze... czy pani nie sądzi, że ja się kończę?

Dora gorąco zaprzeczyła. A jednak to prawda. Kończył się. Ale zaprzeczyła. Jednocześnie doznała jakby złej radości, uczucia zemsty. Kończył się.

Właśnie zbliżał się wrzesień, a on mówił dziwne rzeczy, które jej wydały się jeszcze jednym objawem jego upadku. On, który chlubił się, że nie czyta gazet, zaczął jej opowiadać o tym, co tam piszą. A więc oczywiście czytywał je teraz, a były tam rzeczy niepojęte. Na przykład, że do Paryża przybył pewien polityk turecki, aby ubiegać się o pożyczkę na Ouai d'Orsay. Co prawda Piotr był w Turcji, mówił jej o tym któregoś dnia, ale to jego nagłe zainteresowanie sprawami tureckimi jest prawie tak samo bezsensowne jak jego miłość do małego. Twierdził, że zrobiono głupstwo nie dając Turkowi pieniędzy, bo skorzystają z tego Niemcy.

— Ale zaczyna pan mówić o polityce?...

— O polityce? — zapytał. — O polityce?

I zamyslił się. Naprawdę, on się kończył.

W tym właśnie czasie skłoniła go, aby pojechał z nią w niedzielę do Garches, zobaczyć dom. Ogarnęły go co do samego siebie bardzo poważne wątpliwości, nie miał więc nawet siły, aby dłużej opierać się ponawianym zaprosinom. Może to źle, że dotąd odmawiał Dorze tej przyjemności?



Jeżeli tak jej na tym zależy... Jego niedziela nie była niczym tak ważnym, aby odmawiać tej kobiecie takiej przyjemności. Było w nim teraz jakby niejasne poczucie winy! Dziwnie powiedzieć: towarzyszył Dorze do Garches, trochę, a właściwie głównie dla Pauliny, z powodu Pauliny. A jednak myśl o Paulinie wciąż jeszcze doprowadzała go do pasji. Ale co jest słuszne, a co niesłuszne? Nie wiedział już. A jeżeli myliłem się od początku do końca... we wszystkim? I żadnej możliwości powrotu do tego, co było... Życie dane nam jest tylko raz. Jeden mizerny raz. Jeżeli czytywał teraz dzienniki — a nauczył się tego w Avenue du Bois, gdzie włączył się bez celu, z myślą o małym — czynił to oczywiście z nudów, przede wszystkim z nudów. Nie wyłącznie z nudów, bo i przez słabość, a także ze strachu, ze strachu. Ku czemu idzie świat, co zdarzy się jemu samemu? Nie mogę nic na to poradzić, nie mogę zapobiec temu wszystkiemu, to idiotyczne. Ale nie szkodzi, przepaść ciągnie człowieka, gdy się nad nią pochylili. Albo dożyję jeszcze chwili, gdy wszystko się zawali, a wtedy, mój Boże, mój Boże, co się ze mną stanie? Albo świat potrwa dłużej niż ja, taki jak jest teraz, z tym fałszywym pozorem solidności, i odejdę nie wiedząc, nie poznając końca tej historii, jak dureń, który znalazł się przed domem w chwili wielkiej zbrodni i poszedł dalej, niczego się nie domyślając... Co to ma za znaczenie, czy wie się, czy nie wie. Czy mój dureń jest mniej szczęśliwy dlatego, że nie wie? To dziwne, to mnie dręczy. Kończę się, i nie ma o czym mówić.

Przede wszystkim bał się. Bał się wszystkiego i niczego. Rosło to w nim od dwóch, trzech lat. Teraz nabierało ciała, hulało w jego kadłubie jak wiatr w opuszczonym domu. Strach, ta przerażająca postać starości. Jeżeli pomyliłem się od początku do końca... Chodziło mu tutaj nie tyle o wątpliwości moralne. To znaczy, wątpliwości natury moralnej przychodziły później. To urastało aż do zwątpienia moralnego. Ale przede wszystkim był to strach przed niepewnym losem, strach samotnej starości, strach przed tym, co się z nim stanie w burzącym się wciąż świecie, czy będzie miał co jeść? I ci ludzie dokoła niego, ludzie obojętni. Gdy jest się młodym, nie myśli się o tym, człowiek sam sobie wystarcza...

Jakie to absurdalne, przygńbiające. Był pewien, że przez całe życie wytrwa przy swoich przekonaniach, nie stale tych samych, ale wynikających jedno z drugich z jakąś logiką, przy swoich przekonaniach... Teraz spostrzegł, że nie były one niczym same w sobie, to znaczy, że jego poglądy stanowiły skutek, a nie przyczynę, i gdy zmieniał się świat i jego własne położenie w tym świecie, jego wątle bezpieczeństwo, zmiany te nabierały ciała, stawały się nowymi poglądami, były tak samo potężne, tak samo przekonujące, a jednocześnie sprzeczne z tymi, które je poprzedzały, były jak *dementi*, jak policzek wymierzony wszystkiemu, w co dotąd wierzył...

Bał się tego ogromnego bagna w sobie, tego grzęźnięcia. A więc to znaczyło zestarzeć się? Znowu pomyślał o Paulinie. Była jeszcze młoda, nie miała pięćdziesiątki. To było bolesne. A jednocześnie opanowała go pewna

podstępna myśl, nurtująca go od paru dni. Było już za późno, aby się bawić w piękne słowa. A Meyerowie, a Dora? Stwierdził, że nie wie, jak napisać list, który by zresztą później i tak podarł. Napisze go kiedy indziej. Siedział tak przyglądając się papierowi i swemu pismu, bardzo zmienionemu, niepewnemu. Niepewność była w nim, nie w samej tylko ręce. I co najgorsze, mała kartka papieru oznaczała wyrzeczenie się samego siebie... Nie prosił o przebaczenie, nie, oczywiście, że nie... Ale był to koniec. Koniec godności. Nie ma już godności. Strach. Plugawy strach. Dziecko, mały Jan, jest tylko zwyczajnym pozorem, pozorem, za którym człowiek się kryje, Jan stanowił pretekst, bo to był strach... List do syna Paskala! O, ma się rozumieć, list nie przesądzaający o niczym! Ale Piotr wiedział, że za pierwszym pójdzie następny. Raz tylko wejść na tę drogę... Nie zdecydował się od razu go wysłać. List był napisany. Dość dawno. Włożył go do zaadresowanej koperty, ale nie zakleił. Nosił go przez parę dni w wewnętrznej kieszeni surduta. Mówiąc o czym innym, dotykał go, jakby sprawdzał, czy ma pieniądze. Ta myśl go uderzyła. Pieniądze... Jedyna stała myśl przez całe życie... pieniądze. Uśmiechnął się. Nie wysłał listu. Jeszcze nie...

W takiej to chwili przyjął zaproszenie pani Tavernier i pojechali razem do Garches żółtym tramwajem, który biegł wzdłuż Lasku, przekraczał Sekwanę i wśród dymów fabrycznych docierał do miejsca przeznaczonego przez los, który popychał Piotra za ramiona.

## XLI

Gdy wysiedli z tramwaju, niebo zachmurzyło się, powietrze było ciężkie, upał jak to w sierpniu i Piotr Mercadier pomyślał o rodzinnych niedzielach. Na wszystkim leżał pył, ostry wapienny pył podparyskich okolic... Piotr od lat już tutaj nie był... Czy nie ma tu gdzieś w pobliżu teatru wśród zieleni, na wolnym powietrzu? Jak to on sam kiedyś utknął na jakimś przedstawieniu: greckie szaty, absurdalna powódź aleksandrynowa na ogrodzonym placu z ławkami, twardymi dla pośladków? Pani Tavernier, w dużym czarnym kapeluszu obszytym bladoniebieskimi strusimi piórami, z parasolką, torebką i tortem, który taszczyła aż z placu de la Republique, aby podać go do herbaty w Garches, z sercem skaczącym ze szczęścia, myślami była daleko od swego towarzysza.

Nagle ponad ich głowami rozległ się głośny, coraz bliższy pomruk i zobaczyli ze wszystkich stron wybiegających ludzi z głowami wzniesionymi ku chmurom. Kobiety wychodziły z domów do małych ogródków, mężczyźni prostowali się nad grządkami: patrzcie, tam w górze, aeroplan!

— Szkoda, żeśmy nie widzieli — rzekł Piotr. A Dora powiedziała:

— Ciekawam, czy to był jednopłatowiec czy dwupłatowiec...

— O, pani Tavernier, z tej odległości... dla mnie to pytanie zbyt techniczne...

— Wolałabym, aby to był dwupłatowiec...

— Dlaczego?

— Sama nie wiem, nie chciałabym, aby spadł, a dwupłatowiec to coś solidniejszego...

— Tak pani sądzi? Ale wszystkie ptaki są jednopłatowcami...

— To co innego, one poruszają skrzydłami... Szli pod górę piaszczystą ulicą, Mercadier stanął, zadyszany. Serce mu biło. To dlatego że patrzył do góry. A przy tym żylaki... Przypomniawszy sobie Wystawę z roku 89, Paulinę, taką młodą, i admirała, którego spotkali w Trocadero. Czas biegnie szybciej niż my! Teraz znowu aeroplany... „Ja się do tego wcale nie przyczyniłem” — pomyślał. Dziwny powód do smutku! Ale taką samą obcość wobec swojej epoki odczuwał również w stosunku do rodziny, do wszelkich istot żyjących. Dotknął listu w kieszeni.

Gdy doszli do nugatowego domu, który był wyśnionym pałacem właścicielki burdelu, Piotr uczuł się u kresu dobroci. Zrobić przyjemność... Przyszedł tu, aby zrobić przyjemność tej starej krowie, jak nieraz trudził się dla starej Meyerowej. Zawsze strach, nic, tylko strach. Czuł się niedobrze, pokryty drobnym potem, w głowie miał zamęt. Trzeba było poddać się ceremonii obejścia domu pod przewodnictwem jego posiadaczki. Obrzydliwa, absolutnie obrzydliwa jest ta nora! Rzygać się chce od tej dobrej woli, cierpliwości, fałszywego zbytku i podłej oszczędności. I trzy razy ciągnęła go z dołu na górę po dwa piętra. Były jeszcze bibeloty, których nie widział, łazienka, której zapomniała pokazać. Ciężkie i wilgotne powietrze w domu, obciążone jeszcze panującym tam cieniem, padało na nich jak gorący obrus. Czy deszcz już nigdy nie spadnie? Żeby tak mocny podmuch świeżego powietrza! Nic.

Dora zdjęła 'kapelusz i uganiała po pokojach jak otyła, przerażona mewa. Każdy przycisk na biurku, każde oparcie krzesła miało dla niej swoją historię. Położyła na stole wydobytą z pudła koronkową serwetę, podszytą aksamitem, ale potrzebny był obrus, miała taki haftowany w zielone koniczyny i kocięta... nie, lepiej ten w serca, ten w serduszka...

Otwierały się szafy ukazując nagromadzone zasoby, sterty bielizny, wszystko przygotowane, jakby miał tu ktoś lada chwila zamieszkać. Nawet otwarta butelka z wódką...

— Nie, dziękuję za wódkę, nie wolno mi... nie czuję się dobrze...

W ogrodzie będzie przyjemniej. I tam nie było czym oddychać, ale zawsze to pod gołym niebem... Żwir zaskrzypiał pod ich stopami. Nawet liście na drzewach nie poruszały się.

— Ogród wymaga ciągłych starań—rzekła pani Tavernier, jakby się tłumaczyła. Nie, właśnie cały jego urok pozostał w tym zaniedbaniu, trawa na ścieżkach, nie przycinane gałęzie.

Usiedli na słomianych fotelach, które Dora wyciągnęła z komórki. Lepkie jak to dzisiejsze powietrze. Lakier zostaje na palcach.

— Czy nie miałby pan ochoty — spytała — pomieszkać przez pewien czas na wsi?

— Na wsi? Jak pani to rozumie? Na wsi... oczywiście... Ale nie sam. Czy łatwo tutaj robić zakupy?

Spytał o to przez uprzejmość, z obawy, aby akcent na słowie „wieś” nie uraził pani Tavernier.

Zaczerwieniła się, poczuła w sobie całą gwałtowność swoich nadziei. Zakupy! Pomyślała o mleczarzu, który pyta: „Dziś litr czy półtora?” Znow brnęła w swoich fantasmagoriach, bo to świat rzeczywisty był falą, morzem, snem, a nie ta opowieść miłosna, którą nosiła w sobie, ta opowieść była jej stałym łodem, jej lasem. On mówił:

— Jak wolelibyśmy żyć? Często zastanawiam się, czy miałem wybór... Wybór między czym a czym... Wydawało się, że ja bardziej niż kto inny wybrałem sobie życie, a jednak... w tak małym stopniu, tak źle... Powiedziałem „nie” temu, co mnie wiązało... odrzuciłem poważne zobowiązania... rozsypałam węzeł wartości moralnych, odrzuciłem te ciężary... I nie wiadomo, nie wiadomo, czy jestem bardziej wolny. Widzi pani, pani Tavernier, gdy byłem nauczycielem w małym mieście na wschodzie kraju i ojcem rodziny i gdy podpisywałem jeszcze pożyczki państwowe, gdy wierzyłem, gdy chciałem jeszcze wierzyć w obowiązki, w solidarność ludzką, często ogarniały mnie wątpliwości... Człowiek, który mówił te rzeczy, to nie byłem ja, lecz ktoś inny, ktoś, kogo ukształtowano przy pomocy książek, idei, uformowano na obraz społeczeństwa z żelaza, określonej grupy ludzkiej... Ale ja, ja... jednostka... człowiek... ja chciałem kąsać, kochać, upijać się, zabijać i brać... Jednostka... Wszystkie martwe religie zastępowała religia jednostki... I oto nie wierzę już nawet w tę religię... straciłem wiarę...

Pani Tavernier przybrała poważny i skupiony wyraz twarzy. Z chwilą gdy mówiono przy niej o religii... czy coś w tym rodzaju... bo są rzeczy święte. Jeżeli będą tu razem mieszkać, dlaczego nie mieliby chodzić do kościoła? Musi tu być jakiś proboszcz. Dawaliby mu na biednych... O tym nie trzeba jeszcze mówić... Trzymała te szalone myśli jak ptaki w swoim sercu. Jaki zamęt, jaka radość, jaki lęk, gdy on jest już tutaj w ogrodzie, pod drzewami i mówi, nie wiadomo co, ale mówi! Było duszno i w sąsiednim domu słychać było głos fonografu, nosowy i pełen poezji, walc... czy to walc?

— Napisałem list do mego syna Paskala... Mam go tutaj...

Nagle jakby lodem powiało. Dora nie rozumie jeszcze, co ją dręczy i skłania do płaczu. Uczuła groźbę, nie pojmując jej granic. Odświętny spektakl, który sobie odgrywamy i który ktoś przerywa jednym słowem. Słowem strasznym. Co napisał do syna? O Boże, oni go zabiorą! Zabiorą go. Zabiorą. Wezmą z sobą. Wywiozą. Jej miłość, jej życie. Odzież lepi się jej do skóry, ociera z ust pianę, która może ją zdradzić. Ręce jej drżą. Zabiorą go. Czy po to przyjechała tutaj, aby to usłyszeć? Jak ma się bronić? Łzy napływają do oczu. Wstaje, biegnie do domu. Żeby zrobić herbatę. Herbatę! Obiecała sobie, że wypije z nim herbatę, jak panie z towarzystwa. Herbatę gorzką, której nie wie, ile zaparzyć, i która rozsypuje się wokół glinianego imbryka pod jej ogarniętymi histerią palcami, wśród kruchych,

zderzających się filiżanek, które tak przyjemnie byłoby pobić... tort saint-honore na stole... Śmieje się nerwowo, szczękając sztucznymi zębami, śmieje się przed lustrem, gdzie widzi swoje zwiędłe oblicze, swoje loczki, puder, zmarszczki, tragiczny grymas ściągniętych ust... Wszystko stracone, wszystko się wali, ach, szalona, szalona! Pani już się widziała tutaj, z kochankiem... Z kochankiem, proszę ja kogo! Stara krowo, idiotko, z twoimi urojeniami, mrzonkami, twoimi... Ale czy to on ją wołał? Jakby ktoś krzyknął! Tak, w ogrodzie... upuszcza filiżankę, nie słyszy już własnego serca, unosi spódnicę, biegnie z ganku po schodach, gdzie on jest? Nie ma go na krześle...

Na żwirze i na trawie, w śmiesznym nieładzie, leży marionetka: głową naprzód, ustami do ziemi, w czarnym surducie, zwiotczałe nogi, ramiona bezwładnie rozrzucone... Boże, Boże! Dora rzuca się na czarny kształt; upadając zawadził o leżący na żelaznym stole cylinder, który potoczył się naprzód, jakby dramat rozgrywał się między nim a człowiekiem...

Jest tu, u nóg Dory, która chce go dźwignąć, za ciężki dla niej, padają oboje. On się nie rusza, nie stawia oporu, nie mówi nic... Powiedz, powiedz, co ci jest... On cierpi, jest ośliniony, oczy uciekły pod powieki, straszne... Piotrze, panie Piotrze! Raz jeszcze pada pod ciężarem miękkiej masy. Siada na ziemi, odwraca go, co za widok! Co mu jest? No, proszę nie udawać, nie trzeba! Nie słyszy jej, oddycha ciężko. Nie słysząc już bicia serca. Jaki blady. Och nie, nie, tylko nie to!

Ale na próżno do niego przemawia, potrząsa nim, uderza go po twarzy z szacunkiem, zgrozą... Opada, gdy tylko ona rozluźni swój uścisk. Ach, więc w ten sposób przyszło jej w końcu trzymać go w ramionach! On nie umrze, to niemożliwe, nie umrze!

W tej chwili zaczyna się burza, niebo i kobieta płaczą równocześnie nad ziemią i człowiekiem, który jęczy w otchłani kurzu i nieświadomości.

## XLII

Piąta po południu.

Przybyły powtórzył sobie słowa stróżki: „Z bramy *na* lewo, oszklone drzwi, parter, obok windy...”

Bardzo wysoki, o szerokich ramionach, mimo podróznego ubrania wyglądał na oficera; był to blondyn z pociągłą wygoloną twarzą, oczyma za szeroko otwartymi, co nadawało mu stały wyraz zdziwienia. „Piękny mężczyzna — pomyślała stróżka — na pewno z zagranicy.”

Znalazł drzwi i zadzwonił. Upłynął jakiś czas, zanim mu otwarto. W uchylonych drzwiach ukazał się pan Werner; nie wyglądał na szczególnie uradowanego z odwiedzin. Nieznajomy przedstawił się, mówił po niemiecku. Jeżeli kapitan von Goetz życzy sobie wejść... to inna sprawa.

Karl w trzydziestym czwartym roku życia był bladym atletą, którego urok tkwił raczej w przelotnym uśmiechu niż w wyglądzie szlachetnego zwierzęcia, który wprowadzał ludzi w zakłopotanie. Rzucił wprawne

wejrzenie na pokój, do którego wprowadził go Werner. Znał ten rodzaj garsonier, ze wschodnią sofą, tanimi obiciami, półmrokiem, biblioteką pełną niemieckich i francuskich książek, rzadko przeciętych i dobranych pod kątem podejrzanych intencji, od *Niebezpiecznych związków* do Schnitzlera. I mały bufet na wszelki wypadek. Spojrzał na pana Wenera, na jego solidną dojrzałość, fałd na karku nad twardym kołnierzykiem, na wąsy, którym przydałby się fiksatur, i uśmiechnął się swoim wszechwładnym uśmiechem...

— Sądziłem, że jest pan w Konstantynopolu, kapitanie...

— Jadę stamtąd. Trzeba było zastąpić majora von Winterfeld, wie pan, naszego attache, który miał wypadek automobilowy koło Montauban... Odwiedziłem go w imieniu ambasadora. Złamanie kręgosłupa. Wylize się, ale musi tam pozostać około pół roku, nie można go ruszać z miejsca.

Pan Werner wymamrotał coś bardzo uprzejmego. Ale kapitan przerwał mu:

— Wybacz mi pan, mam bardzo mało czasu i chcę tylko panu coś zakomunikować! Oto bardzo ważna byłaby dla nas informacja, co robi w Paryżu pewien dyplomata turecki, bardzo dystyngowany człowiek, którego spotkałem w Konstantynopolu, Dżavid Bey. Był u pana Pichon na Quai d'Orsay. Zapewne w sprawie pożyczki, którą Wysoka Porta... jest nam to nie na rękę, rozumie pan?

— Tak, ale w czym mogę?...

— Zna pan, jak mi mówiono, Wisnera, tego od aut? A właśnie Dżavid Bey ma wkrótce zwiedzić fabrykę Wisnera...

— W sprawie zamówień?

— Albo z ciekawości. Mamy w Niemczech bardzo dobre wozy. Ale jeżeli mieliby kredyt we Francji... Po prostu chcielibyśmy mieć informacje. Jeżeli zawarto umowę, to w jakiej wysokości, jakie terminy, sposób spłacania... Rozumie pan? Aha, trzeba panu wiedzieć, że obecny gabinet francuski jest absolutnie, absolutnie przeciwny pożyczkom zagranicznym... Nie chce powiększać w ten sposób długu francuskiego... Ma słuszość. Ale może pański przyjaciel, pan Wisner, nie wie o tym... Fabryki Wisnera pracują dla Ministerstwa Wojny. Nie jest to powód, abyśmy w danym wypadku nie mieli z nimi robić interesów.

Byłoby jednak lepiej, ażeby nie doszli do porozumienia z Dżavid Beyem. Niemcy są lepszym klientem niż Turcja. Kapitan bawił się brązowymi skórzanymi rękawicami; były nowe i tak płaskie, jakby ich jeszcze nie miał na rękach. Nagle spojrzenie jego, rozbawione romansową dekoracją pokoju, padło na krzesło w półcieniu. Na krześle leżał duży damski słomkowy kapelusz, przybrany pękiem tiulu w kolorze *champagne*... Oczy Karla zapadły w policzki.

— Przepraszam — rzekł — ale nie był pan tutaj sam...

— Pan o nic mnie nie pytał...

— Nie, ale... czy ktoś mógł słyszeć naszą rozmowę?

Wahająco patrzył na dwoje drzwi.

— Nie wydaje mi się...

— To poważna sprawa, Werner, nie chodzi o to, co się panu wydaje... Co to za osoba?

Bardzo zirytowany, mówił teraz po cichu. Doprawdy, co za bałwan!

Werner wyczuł jego niezadowolenie. Uśmiechnął się, zawahał, a potem rzekł:

— O, to jest ktoś, komu może pan zaufać...

— To pańska opinia, ale ja nie mam żadnych podstaw, aby w to wierzyć.

— Werner rozkoszował się swoją tajemnicą. Powodowany próżnością, a także obawą, aby się nie narazić, poszedł ku drzwiom w głębi i otworzył je.

— Proszę tu wejść, droga przyjaciółko, proszę wejść...

Dama zapewne nie miała na to ochoty. Powtórzył swoją prośbę, poszedł do sąsiedniego pokoju, słychać tam było wzburzone szepty i wreszcie kobieta zbliżyła się do drzwi. Kapitan von Goetz spojrział na nią, miała białą pikową bluzkę i brązową spódnicę. Elwira. Zgrzytnął lekko zębami.

Elwira, wzburzona, patrzyła na Karla. Pragnęła śmierci. Nie było rzeczy, której nie zrobiłaby, byle ją to ominęło. Ze straszliwym żalem patrzyła na to duże, silne ciało. Na człowieka, który został jej wydarty jak serce, jak jej serce... Cios spotkania był zbyt nagły, aby mogła już nienawidzić Wenera, ale wiedziała, że go za to znienawidzi.

— Karl! — westchnęła.

Wyprostował się, stuknął po wojskowemu obcasami i ukłonił się.

— Jestem zachwycony, pani, zachwycony... Czy szanowna matka pani cieszy się dobrym zdrowiem? A Dorota? A Betsy? To doskonale... Proszę mi wybaczyć, że przeszkodziłem... Mam nadzieję, że nie słyszała pani naszej rozmowy?

— Słyszałam tylko twój głos, Karl...

— Dobrze. W każdym razie proszę zapomnieć, że mnie pani tu spotkała. To przykre dla nas obojga. I całkowicie zbyteczne. Pani... Drogi panie Werner...

Znów trzasnął obcasami, ukłonił się, uściśnął rękę mężczyzny, miał wyjść, już wychodził...

— Karl!

Drzwi się zamknęły.

A wtedy rozpacz ogarnęła Elwirę Manescu. Rozpacz jak grad w sadzie. Klęska. Cóż za straszne spustoszenie! Czy musiało się tak zdarzyć, aby Karl ją tutaj zastał... i nic nie pomagało mówić sobie: „No i co z tego? Dlaczego by nie?” Elwira wiedziała, że chociaż od dwu czy trzech lat Karl nigdy, nigdy o niej nie pomyślał, to jednak teraz, gdy przyłapał ją w tej garsonierze z tym człowiekiem i po skojarzeniach, jakie się w nim obudziły, odczuł dla niej pogardę. Miał swoje bardzo staroświeckie poglądy na kobiety. Wiedziała, że teraz myśli o niej z niesmakiem. To było nie do zniesienia. Nie do zniesienia. A wszystko z winy Wenera. Zbliżył się do niej, jakby nic nie zaszło. Chciał ją znowu wziąć w ramiona. Odkoczyła. Porwała kapelusz.

— Proszę mnie nie dotykać!

— Co ci jest, *Liebchen!*

Ach, czuła cały niesmak Karla wobec tego człowieka! Jak ona mogła... nigdy... nigdy... Te tłuste policzki, ta pęknięta warga... Próbował dyskutować, perswadować... Uwolniła się i powiedziała po francusku:

— Jest pan chamem!

Jakby spadł z obłoków. Nic nie pojmował. Elwira wybiegła jak szalona.

Łagodny wieczór kończącego się września zarzucił jej na twarz wiotki szal. Zawahała się w ulicy Anatole-de-la-Forge: czy ma zawrócić do Avenue de la Grande-Armee czy ku alei Carnot? W powietrzu unosił się złoty pył. I nienawiść do tego potwora, który otworzył drzwi... paradował... pysznił się przed Karlem ich nędzną przygodą... Oczywiście, że był zadowolony. Kanalia!

Przypomniała sobie całe swoje życie, całą gorycz życia — i swoją wielką miłość, i to powolne usuwanie się ostatnich lat, gdy widziała, jak w oczach Karla światło pomału gaśnie... Okropność! Rozpacz. Upadek. Ta niepostrzeżona infiltracja. Ta miękkość, ten bezwład. Romans topielicy... Ach, lepiej byłoby umrzeć.

W oczach Karla wyczytała coś więcej jeszcze niż pogardę. Litość. Nie chcę litości. Litość nad tym, czym ona się stała. Litość dla tej otyłej kobiety, która się skończyła... Och, co do tego, nie mogła się mylić, za dobrze go знаła. Widziała już u niego czasem ten wyraz twarzy, gdy byli wśród ludzi, wobec starzejących się kobiet. I wiedziała, że jego litość nie przebacza. Dla Karla kobieta brzydka znaczyła mniej niż ziemia pod stopami... Kobieta brzydka...

Była zbyt zmęczona, aby zdobyć się na coś innego jak powrót do „Etoile-Famille”, gdzie musiała zresztą wstąpić po Betsy, która po lekcji muzyki miała z nią razem wrócić do Marlotte wieczornym pociągiem. Miała pecha, przy wejściu spotkała Paskala. Szedł z niewysokim człowiekiem wyglądającym na Żyda, z bródką, w szarym ubraniu. Paskal zapytał, co jej jest, odpowiedziała, że ma migrenę, i wbiegła na schody.

Paskal śledził ją wzrokiem, potrząsnął głową i zwrócił się do swego rozmówcy:

— Oczywiście, w każdym razie dziękuję panu, panie Meyer... Zdaje się, że jest w tym wszystkim jakieś przeznaczenie... Bardzo to miło, że zechciał się pan trudzić i zawiadomić mnie...

— To rzecz zupełnie naturalna...

— Nie, nie... Ale jakie dziwne jest życie tego człowieka! Zawsze odchodził tak, nic nie mówiąc... Wie pan, nigdy nie mogłem zapomnieć tych dni, gdy porzucił nas, moją matkę, siostrę i mnie, bez uprzedzenia, a te jego *rzeczy* wciąż wisiały na wieszaku w przedpokoju... Miałem wtedy dwanaście lat...

— No, wszyscy byliśmy zaskoczeni. Proszę pomyśleć, wtedy... był młody... można było sądzić... zresztą nie on jeden, wybaczy pan, opuścił żonę... poza tym miał pieniądze... Ale teraz! Mija już pięć lat, jak spotkałem go w parku Monceau, umierającego z głodu... Wzięliśmy go do siebie... Zapewne, jego pokój nie był zbyt piękny... daliśmy, cośmy mieli...



Poza tym zapewniony dach nad głową, pożywienie, praca... tego się tak łatwo nie znajduje... i nasza życzliwość, nasze przywiązanie. Co tydzień chodził do kina z moją teściową!

— Dziwny człowiek, panie Meyer, dziwny... Wiadomo panu zapewne, że udało mu się widywać Jasia, mego synka... po kryjomu... Tak? Wolał to niż przyjść po prostu tutaj. Myślałem nawet, że mimo wszystko... myślałem, że w październiku może znowu spróbuje w którąś niedzielę zobaczyć małego... i może ja znajdę się tam przypadkiem... Zaledwie odnalazł się jego ślad, znowu ginie...

— Chciałem tylko powiedzieć panu, uprzedzić... Przez pierwsze dni obawialiśmy się, że stało mu się coś złego... Nie jest już młody... Byłem w Mordze... wszędzie... Nikt, nic... Gdyby mu się coś zdarzyło na ulicy, miał przecież przy sobie nasz adres... zresztą trudno to przypuścić... Tymczasem dni mijały, więc zdecydowałem się. Sara, to znaczy moja żona, powiedziała mi, że gdyby mu się coś stało, zawiadomiono by nas, a więc widocznie nic złego nie zaszło...

— Ucieczka w jego wieku! Muszę panu powiedzieć, że niedawno spotkałem kogoś, kto znał go przed laty w okresie, o którym nic nam nie wiadomo... I wtedy także tak wyjechał pewnego pięknego wieczora, bez słowa, bez jednego słowa...

— Myśl, że to ucieczka, przyszła nam dość późno. To Andrzej Bellemine, wie pan, Andrzej Bellemine, literat... Interesował się pańskim ojcem, nawet coś o nim napisał... Otóż Bellemine jest naszym dalekim kuzynem... Przyszedł nas odwiedzić i powiedział: „Ależ to jest oczywiście ucieczka! Czy wy nie rozumiecie, że to ucieczka?!”

— Jakie to dziwne!

— Tak, dziwne, słusznie pan mówi. Ale czy źle mu było u nas?... Wszyscy go lubili... Prawie wszyscy... Teściowa... Moim obowiązkiem było zawiadomić pana. Chciałem pana zawiadomić. Rzekłem sobie: „Dam im znać.” Sara powiedziała: „Nie wolno ci nie zawiadomić rodziny. Ma u nas wszystkie rzeczy, niewiele tego, co prawda... trochę odzieży... parę książek... ale ostatecznie są to jego rzeczy...” Jeżeli coś mu się zdarzyło, należy to do pana... A zatem... do pańskiej dyspozycji, prawda? Jeżeli pan sobie życzy. Bo mnie to w domu nie zawadza. Zatrzymujemy mu pokój, w razie gdyby wrócił... Trzeba panu wiedzieć, że zrobił mi brzydki kawał, teraz, pod koniec wakacji, gdy trzeba podwójnie kuć z uczniami do egzaminów w październiku. Mówiąc między nami, nie mogę mieć do niego pretensji, taki już jest... To samo mówi Sara...

— Dziękuję panu, panie Meyer... Był pan niezwykle dobry dla mego ojca... I doprawdy bardzo to miło, że się pan trzymał... Jeżeli jego rzeczy nie przeszkadzają panu zanadto... bo rozumie pan, zabierać je, to tak, jakby on umarł... A przy tym on nigdy nie chciał się z nami zobaczyć... moja biedna matka... to drażliwa sprawa, dziękuję panu stokrotnie... Proszę przekazać moje ukłony pani Meyer... Nieomieszkać... Proszę uważać, przy wyjściu jest mały stopień. A zatem do widzenia, panie Meyer. I raz jeszcze

dziękuję!

### XLIII

Ten człowiek wreszcie należy do niej. Wśród poduszek stara chwiejna głowa po tygodniu wylania się z odmętu. Oko jakby wypełzło, puste, patrzy ze zdziwieniem niedawnej śmierci na przedmioty, których kształtu i znaczenia zdaje się już nie pojmować; ze zdziwieniem, którego jedynym słabym światłem jest ponury gniew, gniew bezsilności. Sparaliżowany, prawie pozbawiony władzy w nogach, głowy odwrócić nie może, usta wykrzywione, zapuszczona broda, brudny, ze śliną na wardze, z językiem jakby nabrzmałym, płaczącym się między zębami, gdy próbuje mówić... Jest to tragiczny teatr marionetek, gdzie kółka już nie rozkazują jedne drugim, gdzie wszystko działa osobno, o ile jeszcze działa...

Trzeba go było tu przydźwigać. Przy pomocy sąsiadów, po których Dora pobiegła. Listonosz z żoną, mający obok mały domek, skromni ludzie, którym willa, gdzie weszli, wydała się czymś w rodzaju pałacu. „Moja żona zostanie przy mężu pani — powiedział ten człowiek — a ja skoczę na rower i poszukam lekarza.”

Dora dopiero później zrozumiała to krótkie zdanie, które przesądziło o wszystkim: „Przy mężu pani...”

Niełatwo znaleźć lekarza w niedzielę wieczór. Wreszcie udało się. Dość krótko badał Piotra, tę rzecz, która była Piotrem, skrzywił się: „Nie nadaje się do przewiezienia... proszę tu zostać dwa, trzy dni...” Piotr był wtedy nieprzytomny. Sąsiadka zrobiła kawy, przyniosła coś do jedzenia. W nocy Dora zaczęła pośród trwogi odczuwać swoje okrutne szczęście. Zaczęła bać się, że to się skończy, że on się jej wymknie, że odzyska niezależność... Z początku wyrzucała sobie to potworne uczucie, odpędzała je — na próżno. Wracało pod tysiącem postaci, pogłębiało się, osiadało, triumfowało.

Tej nocy nieobecność jej w „Jaskółkach” nie zdziwiła nikogo: jak co tydzień, Juliusz od soboty do poniedziałku był poza domem.

Dora pomyślała o rodzinie, o ludziach, u których jej Piotr mieszkał. Z nienawiścią. Ze strachem. Jednakże trzeba ich zawiadomić, a przynajmniej jednych... lub drugich... Zaczeka, aż będzie wiadomo, czy zaszła poprawa.

Pomału życie zorganizowało się. Lekarz nie robił nadziei, zastrzyki nie działały. Wyszukano kobietę, która przychodziła do gospodarstwa. W ciągu dnia Dora zatelefonowała do Paryża, że wróci dopiero w czwartek. Juliusz gwizdał sobie na to: przecież jest panna Maria.

Długie godziny przy tej sapiącej i majaczącej istocie, długie a krótkie godziny marzenia i triumfu, i wreszcie posiadania... Cała kobiecość pani Tavernier skupiła się około tego ludzkiego tłumoka: uczucia matki, kochanki i córki.

Zrazu dotykała go z lękiem, z drzeniem świętokradztwa. Ale potem trzeba było przecież słać łóżko, podawać mu jeść... pić... to trudno... i różne potrzeby...

Dopiero gdy nabrała w stosunku do swej ofiary swobody pielęgnarki, poczuła się wreszcie władczynią ujarzmionego mężczyzny. Jego ciało: przedziwna rewelacja całej tej nędzy fizycznej, bo trudno sobie wyobrazić, czym staje się brzuch mężczyzny około sześćdziesiątki, z przepukliną i bandażem... A trzeba go myć...

Teraz mogła się cała oddać wyobraźni. Nie mówił nic i lekarz oznajmił jej: „Nigdy już nie przemówi.” Jedyne dźwięki, na jakie się zdobywał, z początku niezrozumiały, zawsze jednak, miał oznaczać wszystko, wszystko wskazywać, wszystko wyrażać — prośbę o basen, o coś do jedzenia, skargę, gniew... Usiłowało to mieć cztery sylaby i pomału zaczęło tworzyć jakieś słowo...

Gdy Dora zdecydowała się przeszukać kieszenie tego żywego trupa, przeżyła wszystkie lęki i radości kradzieży i zbezczeszczonego grobu. Niewielki notes, jakieś papiery, zadanie do poprawy... nic, co by wskazywało, gdzie mieszka... adres szkoły, Meyerów... i tylko koperta z listem do Paskala i adres Paskala: „Etoile-Famille.”

Długo z sobą walczyła, zanim go przeczytała. Dora miała skrupuły. Wreszcie otworzyła kopertę, przeczytała. Tak, chciał ich znowu zobaczyć, ach, więc o to chodziło! Teraz, stary i bezsilny, wracał do rodziny. Do tego służą rodziny.

Tak, ale co się wobec tego wszystkiego stanie z nią, z Dorą, z jej opowieścią, z ich urojoną przeszłością, którą trzeba jeszcze odtworzyć, z Dorą, która siedzi przy łóżku, z ręką na prześcieradle jak na otwartej książce. To niemożliwe, wszystko skończone, moja stara. Nie, nie pozwoli go sobie wydrzeć, nie musi przecież nic wiedzieć, nie musi znać adresu, a co do listu...

Papier pękał boleśnie wzdłuż długiej, nieodwołalnej linii. Gdy zobaczyła, co się stało, szybko złożyła jeden na drugim te dwa kawałki i rozdarła dwukrotnie na krzyż ten zaprzepaszczonego testament... Potem starannie spaliła mały stos, rozgrzebała i rozrzuciła popioły...

Pozostała koperta. Dora wahała się. W końcu jak złodziejka wetknęła ją do torebki. Nie mogła się zdecydować. Bo jeżeli któregoś dnia...

W tygodniu wybrała się dwukrotnie na krótko do Paryża, pokłóciła się z Juliuszem, którego wtajemniczyła w to, co zaszło; potraktował ją jak wariatkę, ale po cichu cieszył się z tej nieobecności, był nią uszczęśliwiony. Wieczorem nie miał przy sobie tej starej kłepy i jej sztucznych zębów w szklance. I napawał się odnalezioną młodością, Różą, tą dziewczyną dziecinną i naiwną, która budziła go brutalnie o czwartej nad ranem i pytała z miną człowieka interesu: „No i co będzie z licencją? Czy to się wreszcie kiedy wyklaruje?”

Pod koniec tygodnia Dora zrozumiała słowo, które z takim trudem kształtowało się na ustach chorego. Kazała sprowadzić fryzjera, aby go ogolił, a potem nauczyła się sama to robić — chciała, aby należał do niej niepodzielnie. Piotr poruszył lekko wargą w nieodpowiedniej chwili, spowodowało to rankę małą, ale mocno piekącą... Wtedy powtórzył

kilkakrotnie to słowo, próbując wysuwać podbródek niby słaby sprzeciw... Trudno było zaprzeczyć, mówił: „Po-li-ty-ka.” Jakie to dziwne! Polityka... jedyne słowo, które mu pozostało. Zaczęła się z nim przekomarzać, mówić do niego jego językiem: „Zachciewa ci się twojej polityki, Piotrusiu?” Bo mówiła mu po imieniu, nadawała pieśczośliwe imiona. W wesołości swej posunęła się nawet tak daleko, że nazywała go „starym Polityką”... Sama nie zdawała sobie nawet sprawy, kiedy usadowiła się w ten sposób w nowym życiu. Zresztą nie było to właściwie nowe życie, był to koniec życia, długiego życia we dwoje, z jej mężem, z jej m ę ż e m. Słowo to, które z początku ją bawiło, przeszło do jej zwykłych myśli. A wraz ze słowem i rzecz sama. Intymność. Swobodna bliskość. Czułość. Niepodobna już uważać się za kogoś samoistnego, bo jest ten drugi, mąż. Wiąże się to z odrobiną podniecenia. I współczucia. I potrzebą pieśczośliwości. Miłość, ale miłość doskonała jak bezkresny bieg, w którym jest wytchnienie, gorycz i zmęczenie, i łagodny lęk śmierci.

#### XLIV

Błoto, które pada z nieba, obmywa domy poczerniałe od siarkowego potu. Plwociny jesieni dobierają się do strudzonych nóg przechodniów całym tym zbiorowiskiem kawalków zadrukowanego papieru, wstydlivych chorób, sklepów z obuwem i pokusami dawanych na raty wspaniałych mebli, gdzie Ludwik XVI i plusze dyszą jeszcze w błocie. Przy zapadającym wieczorze sine promienie przedwcześnie zapalonych lamp elektrycznych, jak trąd cienia, przetwarzają ten odrętwiały świat w fałszywy 'kiermasz reklamowy. Sklepy rzygają brązami w dwóch odcieniach, gdzie żniwiarka i symboliczny mięsień tłoczą się obok zegara na steli z fałszywego bladego marmuru, wśród Herodiad-sfinksów, bawołów w stylu Baryego, zielonych bizonów. Białe litery, odbite na wspak przez lustra, są więźniami witryn, gdzie głoszą pomad krążącym tłumem ludzkim nadzieję i pychę handlu. Chłodne powietrze rodzi mgłę dokoła pokątnie handlującej nędzy. Ludzie-reklamy w swoich czerwonych luźnych szatach krążą niby wyrzuty pomiędzy kaftanami starych kobiet i żalostną ułudą z wytartego atłasu na grzbietach obijanych ręcznymi torebkami, które zahaczają przechodniów. Obcisłe pretensjonalne paltociki biegną w pośpiechu, zbyt jasne na tę porę roku. A wszystko wśród tłoczących się sfatygowanych samochodów i fiaków niby to na gumach, w jednostajnym hałasie, który czyni ten film niemym. Podejrzane typy krążą wokół neurastenicznych latarni, na których leżą ostatnie słabe błyski październikowego dnia. To jest Paryż, przewala się to i szasta, nic mu na świecie nie dorówna, jest to całość złożona ze szczegółów nieciekawych i niezdrowych, to boa z kogucich piór i spodnie w paski, cała ubłocona pstrokaczna, w której nędznie kończą się wielkie bulwary. Bebe Cadum widnieje jeszcze na przypadkowych budowlach, na których okrakiem siedzą domy zakończone galeryjką, z brudnymi pracownikami

fotograficznymi na najwyższym piętrze, gdzie buja na wietrze, nie wiadomo czemu, niezrozumiały czarny woal. Kapelusze, kapelusze! Jest to wyprzedaż kłoszyków i pasterek z szarą koronką na gipsowych twarzach, krwawiących od szminki. Chodniki bez powodu zapędzają się, niby w teatrze, aż na schody. Małe uliczki uciekają ukośnie, jakby bały się pionowej fosy Strasbourg-Sebasto.

Pośród tej dzielnicy dziwnej i banalnej, jak znana piosenka o zapomnianych słowach, wznoszą się dwa upiory sławy. Dwa upiory z zadymionego kamienia. Idąc od jednego do drugiego, przechodzeń zastanawia się, co spowodowało tak bliskie powtórzenie tych samych form architektonicznych. Rzeźbione słoniowe nogi. Trzeba już coś niecoś wiedzieć o ludzkiej głupocie, aby rozpoznać, że są to bramy i że wyraz „brama” mógłby choć na chwilę pasować do tych zagadkowych otworów, które donikąd nie prowadzą i które nie mają na swoje usprawiedliwienie tego, że można je zamknąć. A jednak są to bramy. Zapomniano, do jakich triumfów nawiązują te łuki zrodzone z wielkiej pychy. Przeszkadzają ruchowi miejskiemu jak somnambulicy wymijani przez samochody. Zakrzepły tam nad swoją historią, miasto zmieniło się wokół nich, a one tego nie zauważyły. Brama Saint-Martin, brama Saint-Denis... Święty Marcin i święty Dionizy... Jeden przeciął swój płaszcz, drugi miał odciętą głowę. Sama nawet legenda bezsilna jest, jeśli chodzi o usprawiedliwienie tej monumentalnej samowoli.

Mimo wszystko jednak bramy te nadają jakiegoś nieokreślonego ducha całej dzielnicy. Przede wszystkim dlatego, że zagęszczają cień dokoła siebie. A po drugie, te niespodziane płaskorzeźby, obciążone niezrozumiałym wspomnieniem wojen, o których nikt już nie pamięta.

W małych otaczających je barach stykają się i mieszają dwa światy, których przechodnie nie rozpoznają. Ci, których trzyma tutaj życie, jak małżonków Merę obok „Jaskółek”, i kanalia, która tu prosperuje jak szczury wśród nieczystości. W cieniu upiorów Wielkiego Wieku rozbłyskuje na długo przed zapadnięciem nocy cały sznur jaskrawych lub bladych kawiarni, gdzie najpiękniejsza w świecie kolekcja rekinów krąży w jasnych ubraniach, wspaniałym obuwiu, w wykwintnych miękkich kapeluszach, wyposażona w luksusowe mięśnie. Tak więc miasto widzi, jak owi atleci krążą w komórkach jego gruźlicy. Zdrowe, wielkie mikroby stworzone dla wielkich przestrzeni, a obok nich ginie uczciwy, blade ludek...

Tam właśnie Juliusz Tavernier oprowadza swą dziewczynę o perłowych zębach, ze strachem, że ją utraci, ją, która jest jego ostatnią szansą przeciw światu: szumiącą halkami prowadzi ją między najniebezpieczniejszych w świecie rywali — od cynkowej lady do stołu, od bilardu do palarni — świeżą, jakby wyrosłą wśród pól: dzika róża najeżona kolcami, o zapachu sztucznym a silnym...

— Czy ty nie widzisz — mówi Róża — że ona już tam w ogóle nie siedzi? Juliusz jak zawsze polerował sobie paznokcie. Doszło do sceny strasznej,

rozdzierającej, plugawej. Ów polny kwiat bluznął językiem rynsztoków. Ale sens był jasny: koncesja, koncesja, i to zaraz, albo koniec z nami...

W „Bar-Y-Ton” pan Fryderyk, bardziej niż kiedykolwiek wymuskany i pełen tajemniczych wieści i sukcesów, nie umiał tu nic poradzić.

— Mój drogi, takie są te młódki, one niczego nie darują... Dobry numer z tej twojej Róży... uparta jak muł... ja wziąłbym ją do galopu...

Rozstali się, obaj zadumani.

Pan Fryderyk poszedł odbyć swoją turę do „Jaskółek”... O, wcale nie w tym celu, aby dopilnować Lulu! Tej... Nie. Ale aby zabić jakoś czas; dni tak się wloką. Nabrał zwyczaju gawędzenia z panną Marią, która, od czasu gdy nie ma szefowej, króluje w „Jaskólkach”. Komiczna jest ta stara jędza; nie cierpi Dory... Gdy raz zacznie na ten temat... A historia z tym starym piernikiem w Garches, którego ona tam hołubi, a on robi pod siebie... a to dopiero...

Pana Fryderyka bawi to schlebianie pretensjom starej panny. Nie było to trudne. Tkwiła w niej próżna kobieta, która nic o sobie nie wiedziała.

— Przynajmniej pani jest tutaj, Mario...

Jemu pozwala mówić sobie po imieniu.

Mario... to brzmi nawet ciekawie, jak coś zapomnianego...

— A najgorsze, że jakby nikt nie rozumiał, co się dzieje... Mówiłem Juliuszowi: „Mój stary, twoja kuzynka to zupełnie co innego niż twoja żona.”

O, co do tego... Panna Maria kiwa głową, mile połączona.

— Ale on odpowiada mi, że Dora... że to ona ma koncesję... W „Jaskólkach” wszyscy teraz mówią o koncesji. Lulu marzy: „Gdyby tak mieć koncesję z Fryderykiem.” I dziewczęta gadają o tym między sobą. Również panna Maria myśli sobie, że gdyby tak ona miała koncesję, wypędziłaby Juliusza, wygnałaby go na cztery wiatry...

Juliusz wrócił wściekły. Myślał tylko o koncesji. Jak to zrobić, na miłość boską? Jak to zrobić? Rozmawiał o tym z kuzynką. Z kuzynką, oczywiście, ani słowa o Róży... bo kuzynka...

— Bo rozumiesz, z inną kobietą, która byłaby właścicielką, można by osiąść gdzie indziej, przy poparciu senatora Brecy, urządzić się lepiej, na większą skalę, w stylu wschodnim, z gejszami... Wodotryski... Wyobrażasz to sobie? Pozwala mówić sobie po imieniu. Marzyła razem z nim.

Ani przez chwilę nie sądziła, że o niej nie ma tu mowy.

Oczywiście nie chodzi tu o to, by spać razem, to przecież kuzyn, ale o koncesję... o koncesję...

— Wyobrażasz sobie... mozaika... kolumny, a wreszcie nieduża łaźnia, aby można pohulać...

On widział Różę jako królową. A panna Maria już królowała. Fryderyk zaś, który popijał wiśniówkę, powiadał sobie, że Róża... gdyby on chciał... a wtedy do widzenia, panie Tavernier!

— Ale jak to urządzić? — zastanawiała się panna Maria.

Gdy tej samej nocy dziewczyny wybiegły nagle, rozczochrane, trzymając

w rękach pończochy, woalki, przyciskając do piersi złożone szale, jakąś bluzkę, jakiś bezsensowny drobiazg, jakieś nędzne skarby, ulica rozbrzmiała przedziwnymi krzykami: Numer 11 palił się jak garść pakuł, w gęstym dymie uchodzącym przez stłuczony witraż, gdzie Lohengrin rozleciał się w kawałki u stóp Joanny d'Arc, pod jaskółkami, które stanęły w płomieniach, a tymczasem przybywali strażacy w czarnych skórzanych kurtkach i złotych kaskach, z niepotrzebnymi czerwonymi drabinami i zgrzytliwym śpiewem, który im zawsze towarzyszy. Dziwnie wyglądały te stale zamknięte okna na górze, które ktoś usiłował wyważyć... Straszny upał, dym duszący w gardle i plusk, plusk, plusk pompy pożarowej, ochlapani ludzie cofają się, jakby bali się nie ognia, lecz wody...

Panna Maria i Juliusz spojrzeli na siebie. Jedno z nich — czy Fryderyk? Fryderyka nie było na miejscu... Trudno uwierzyć w przypadek, koniec rozmowy obciążał ich... Fryderyka nie było na miejscu... ale on mógł to zrobić... Mógł i nie mógł... I Juliusz, bo Juliusz miałby z tego korzyść...

Panna Maria wyrzekła te słowa tonem groźby. Juliusz zrobił spostrzeżenie, że uratowała wszystko, dosłownie cały swój dobytek, w łoży... Piętrzyło się to na ulicy. Ludzie spod numeru dziewiątego wynosili, co mogli, bojąc się, że ogień się przierzuci... Materace, klatki z ptaszkami...

Lulu głośno zawodziła. Miała oparzone ramię. Gapie z okolicy urągali dziewczętom i potracali je. Lulu wrzeszczała. Trzeba ją zaprowadzić do apteki. W takim stanie? Musi nałożyć szlafrok, płaszcz...

Lulu płakała. Prócz wszystkiego innego czuła nienawiść do pożaru, który poparzył ją, ją... Co za łotry to zrobili? Łotry...

Wrzasnęła:

— Już wiem, kto! Ten robotnik spod dziewiątego! Robotnik spod dziewiątego!

I nagle jakby wszystkim oczy się otworzyły! Do diabła! Robotnik spod dziewiątego! Teraz wszyscy sobie przypomnieli... Niemało ludzi asystowało zajściu, słyszało pogroźki... Zresztą był tutaj jakby nigdy nic, z dziećmi na rękach, z zaspaną żoną, bez bluzy, stał wśród innych...

— Robotnik! Robotnik!

Krzyk powtórzył się ze wszystkich stron, wraz z wołaniem:

— Na śmierć! Łotr! Bandyta!

I wkrótce ulica pod wieńcem płomieni odwróciła się jak rękaw, jak rozdarty cyklon; wszystko zaczęło się straszliwie kotłować u stóp strażaków i ich pomp pożarowych; wśród pożaru, który urągał wodzie, gdyż wdał się w sprawę wiatr i teraz z kolei płonął numer 9, z którego wysypywali się drobni rzemieślnicy, w koszulach, ze skrzynką precyzyjnych narzędzi pod pachą, i dzieci, i kobiety.

— Na śmierć! Na śmierć!

Kobieta w środku tłumu wrzeszczała wraz z dziećmi i Eugeniusz Mere nie rozumiał, co się z nim dzieje, bronił się jak wariat, ale uległ przeważającej liczbie, skrwawiony, z naderwanym uchem, błędnymi oczyma, rozdartą wargą. Krzesło poleciało w górę i obaliło go na ziemię.

Teraz wszystko było jasne. Schwytano zbrodniarza.

Juliusz spojrział na pannę Marię i rzekł:

— Właśnie wczoraj ci z fabryki wysłali doniesienie na niego, to agitator... Nie wiem... Doszło to do senatora Brecy, który poskarżył się panu Morero... a Morero mnie to powiedział... Panna Maria szepnęła triumfalnie: — Nigdy nie miałaś, kuzynie, szczęśliwej ręki: ani do mężczyzn, ani do kobiet...

Za nimi paliło się wszystko niby słoma.

## XLV

Czego on chce? Szamocze się w pościeli, o ile w ogóle może się szamotać... Biedny stary! Co ci jest? Skręca się, jego usta zdają się mieścić jakiś dramat, wysiłek wzdyma żyły na skroniach, policzki czerwienieją, wydaje się, że wydiera sobie język, że odgryza go od krtani, że popycha go ku wyrazom-więźniom. Czy znajdzie wreszcie sposób wyrażenia tego, co ugrzęzło w nieszczęsnej głowie:

„P-p-polityka...” Doprawdy, nie warto, tyle wysiłku, aby znowu utknąć na tym samym wyrazie.

Wielkie łzy wezbrały w oczach, których powieki przez tych parę tygodni tak się zmieniły, są raczej skórka niż powiekami, niezdolne dość szybko wracać na swoje miejsce, pomarszczone... Teraz jest zawsze starannie ogolony, bo Dora za nic w świecie nie zaniedbałaby tej ceremonii, odkąd dokonuje jej własnoręcznie. Jest bardzo prawdopodobne, że w tych chwilach, gdy brzytwa szasta się wokół niego, coś ludzkiego, pierwotnego osiada w głębi orbit: strach, że ta kobieta poderżnie mu gardło. Ona zapala się, cyzeluje. Trzeba widzieć, jak usuwa włosy zarastające nozdrza. On sam o to nie dbał, ale Dora to zauważyła... ta sama sprawa z uszami. Mężczyźni tak nie dbają...

Tym razem naprawdę chciał coś powiedzieć i Dora, która wyciera mu twarz, usiłuje to odgadnąć. O co chodzi, mój staruszkę? Chcesz zrobić siusiu? A może mleczka? Jest chyba w tej walce, gdzie on ponosi całkowitą klęskę, obrzydzenie do jej dziecinnego języka, nadzieja ucieczki, bezsilność więźnia. Mimo wszystko broni się. Matka wychowała go na urzędnika, do emerytury. Kończył życie mając przy sobie samą tylko Dorę, zupełnie zramolały. Równie dobrze mógł jej nie mieć przy sobie. Dora była Opatrznością; nie opuści go nigdy, niczego mu nie zbraknie. Mieszkanie, wikt, opieka. Było to ostatnie stadium pasożytnictwa, ku któremu nie tylko Piotr, ale wszyscy Mercadierowie i wszyscy im podobni staczali się niepostrzeżenie przez cały okres swego istnienia. Pieniądze jego ojca, pieniądze ojczyrna, jego wuja, kuzyna, spadek po tym i owym, cud paru groszy wpadających do kieski, byle nie być zdanym tylko na siebie... Pewnego pięknego dnia oczekuje go już tylko straszliwe życie, nędza... Jest to czas trwogi, który nadaje wszystkim rzeczom nowy wygląd, jest to czas, gdy wyrzekamy się dotychczasowych sądów albo zaczynamy dzielić



uczucia, które dotąd budziły w nas szyderstwo i pogardę, uczucia innych ludzi... Jest to czas trwogi... A potem Dora. Zadowolająca jako rozwiązanie, które przywraca wagę poprzedniej moralności, moralności bezpieczeństwa. Bo to jest dobre, co się dobrze kończy. Zwierzęca nieodpowiedzialność.

— O co ci chodzi, kochanečku?

Znowu rzuca się na pościeli... „Poo-lityka”... Tym razem wiem, coś chciał powiedzieć. Czekaj, zaraz ci to dam. Ot tak... tak...

Juliusz przyjechał zobaczyć, co się dzieje w Garches. Był bardzo ordynarny. Ostatecznie mógł być jeszcze gorszy. A właściwie, jak na niego, zachował się taktownie: robił, co mógł, aby uzyskać to, po co przyszedł. Przede wszystkim nie drażnić szefowej. To sobie powtarzał w drodze. Ale oczywiście nie miał tej delikatności uczuć co ona, Dora. Gdy usiadł przy łóżku, aby popatrzeć na Piotra, w zachowaniu jego było coś nie do zniesienia, to kiwanie głową, to mruganie... Ależ się teraz perfumował! Kokota, istna kokota!

Zresztą w Dorze natychmiast obudziła się czujność, a to na skutek sposobu, w jaki Juliusz zgadzał się na wszystko. Co prawda położenie było niezwykle, ta nagła metamorfoza w pielęgniarkę, stanowcza odmowa powrotu do „Jaskółek”, ten stary człowiek w łóżku, willa w Garches zamieniona w szpital... zerwanie z całym właściwie wspólnym życiem dla tego starca... A Juliusz przyjął to tak naturalnie... Pod tym coś się ukrywa... Następnie zdarzył się ten pożar. Z „Jaskółek” pozostała jedynie koncesja. Juliusz powinien był spaść jej znowu na kark. Otóż nie... Siedział tu, patrzył na Piotra Mercadier trochę jak na zwierzę w ogrodzie zoologicznym, nie proponował, że się tutaj wprowadzi, nie pieklił się... Czyżbym go źle sądziła? Ach, gdyby wiedział, co ja czuję... Ale nie, to niemożliwe...

Tak, historia jest jasna: przyszedł w sprawie koncesji. Ona tylko ocalała z katastrofy. Takich zakładów jak „Jaskółki” nie ubezpiecza się... To sprawa moralności społecznej. Koncesja miała teraz wartość tylko dla tego, kto posiadał kapitały, aby zainstalować się gdzie indziej, a najlepiej zbudować sobie lokal. I kto zdoła uzyskać przez kogoś, na przykład przez takiego Brecy, pozwolenie od prefektury na przeniesienie „Jaskółek” w inne miejsce... Pożądana byłaby dzielnica dogodniejsza dla cudzoziemców. Plac Republiki jest do niczego... Oczywiście, zmiana nazwy... Juliusz skłaniał się ku czemuś wschodniemu... Co byś myślała o nazwie „Casba”? Nieźle, co?

Nie był to jego pomysł. A zresztą nie mamy odpowiednich kapitałów. Oszczędności... Dora nie poświęciłaby swoich oszczędności. Dziękuję, dać się wyrzucić na bruk! Nie powiedziała: wyrzucić Piotra na bruk. Ale o to jej właśnie chodziło. I znowu spotkała ją niespodzianka. Juliusz nie dybał na jej oszczędności... Udział... Prawda, że i on musiał coś niecoś uciulać... Nie, Juliusz miał w sobie więcej wielkości i szlachetności. Jeżeli Dora zgodzi się, on poszuka pieniędzy. Ale oczywiście ludzie, którzy by mogli

pożyczyć, stawiają warunki... Płatał się w słowach, kluczył...

— Polityka — jęknął chory.

— Co on mówi?

— Nie zważaj na to, chce, aby mu poprawić poduszkę... Wreszcie przystąpił do sprawy: koncesja. Ponieważ Dora nie chce już zajmować się „Jaskółkami”, nie interesuje się „Casbą”... Wobec tego, jeżeli buda ma iść... ludzie nie mając koncesji... Zresztą Dora wie, że to niemożliwe, prefektura nie pozwoli... Bez tego Brecy nic się nie zrobi... Trzeba by sprzedać koncesję...

Dobrze. Ile?

Juliusz uszom nie wierzył. Jak to łatwo poszło... Spodziewał się krzyków, awantur, a tymczasem: „Ile?”

Co do ceny, to inna historia. Nie wdawajmy się w szczegóły. Ale była już jedna propozycja, można ją przyjąć lub odrzucić: pięćdziesiąt kawalków. Ani grosza więcej. Bez poparcia Brecy'ego koncesja nie jest nic warta... To i tak nieźle... To ten twój senator chce kupić? Nie, to znaczy... Dzieje się to w porozumieniu z nim... Morero... No, bo Morero jest jego przyjacielem... Kto inny w ogóle by nie ryzykował, nie mając decyzji ze strony prefektury. Zgodziła się na pięćdziesiąt tysięcy franków. I pomyśleć, że ona całe życie musiała harować na te pięćdziesiąt tysięcy franków! A bywały kobiety, co w jedną noc zarabiały banknot tysiącfrankowy... Gadanie... Teraz nie o tym mowa...

Ma się rozumieć, że gdy ustalono rzecz zasadniczą, Juliusz przeszedł do własnych spraw. On na tym tracił. Willa w Garches, oszczędności Dory. Jedno z dwojga: albo wracają do wspólnego życia i on osiada tutaj, albo też, jeżeli ma sobie dać radę w tym wieku, potrzebne mu są pieniądze... Dora bardzo chłodno spytała po raz drugi:

— Ile?

— Nie będę świnią. Zostawiam ci twoją norę, twoje oszczędności. Ale co do tej sprawy, którą ci proponuję (beze mnie nie zrobiłabyś interesu, takiego interesu!), chcę dostać swoją część, tego wymaga sprawiedliwość.

— Ile?

— Dwadzieścia pięć... to zrozumiałe... po połowie... Mógłbym żądać więcej, ale połowa to uczciwie...

Wyłożył swoją myśl, nagle stał się sentymentalny, w oku błysnęła łza... rozłączali się, prawda, na zawsze, bez krzyków, bez bólu... to przecież coś znaczy... jak światowi ludzie... chociaż ludzie światowi...

Dwadzieścia pięć tysięcy franków? Dora uczuła zimno w sobie. Ale trudno... Widziała Piotra w łóżku... Jak długo jeszcze pożyje? Czyniła rachunek tego, co posiada... Przybij.

Rozstali się jak najlepsi w świecie przyjaciele.

Zastanawiam się, kto nabije innych w butelkę: Juliusz, Brecy czy Morero?

Elwira nie ma już po co żyć, nie ma już po co włóczyć się, atmosfera lokali the-tangos stała się jej obmierzła, suknie straciły dla niej wszelki powab. Wszyscy mężczyźni są jej nienawistni, podobni do Johanna Wenera, czy też mają w sobie coś z Karla, i to jest jeszcze gorsze; nie bardziej nienawistne, lecz okrutne, gorzkie jak rana.

Powiedziała sobie, że pozostało jej tylko odwrócić kartę; jest to dziwaczne wyrażenie i nie odpowiada niczemu. Odwrócić kartę... na następnej stronie ten sam obraz... błądy i prostacki. Elwira nienawidzi siebie i właśnie od siebie samej nie może się oswobodzić. Nieustannie widzi się w bezlitosnym zwierciadle, w oczach Karla. Zbrukała się, bo była kochanką Wenera. Wszystko to budzi w niej grozę. I do utraty przytomności stawia sobie pytania właśnie co do Karla.

Przyłapała swoją siostrę Betsy z Paskalem Mercadier w apartamentach „Etoile-Famille”. Nie widzieli jej... Wyszła przez balkon... Co za ohyda! Ta mała Betsy! Uczucie zazdrości pomieszane z niesmakiem. Przy tym, gdy chodziło o moralizowanie, dużo miała do powiedzenia! Betsy nie skończyła jeszcze osiemnastu lat, a ten hotelarz...

Rzecz dziwna, ale to odkrycie, chociaż właściwie trudno je tak nazwać, bo ostatecznie tamci nie kryli się ze swoim flirtem, a w obecnych czasach flirty... to odkrycie było dla niej mocniejszym ciosem jak wszystko inne. Nawet trochę śmieszne, że przywiązuje do tego taką wagę. Trudno! Przyprawiało ją to o mdłości.

Poszła do apteki i kupiła eteru, bo słyszała, jak o tym mówiono, i gdy Betsy odjechała do Marlotte, zamknęła się sama w pokoju. Zaczęła wdychać eter, pochłonęła go... Wszystko stało się lekkie, cudowne — i w przystępie szaleństwa ręka się unosi...

Służąca Elodia, która przyszła, by sprzątnąć mieszkanie, znalazła ją rano, jak jej się wydało, martwą. Zawieziono ją do szpitala, gdzie odzyskała przytomność, strasznie poparzona. Była tak chora, że godziła się na życie. Ale zanim spróbowała umrzeć, napisała krótki list. Gdy stan jej się poprawił, z przerażeniem przypomniała sobie o tym. Stawiała podstępne pytania, krążyła wokół tego tematu i wreszcie dowiedziała się, że pan Werner pośpiesznie opuścił mieszkanie przy ulicy Anatole-de-la-Forge. Nie śmiała pytać o nic więcej. Aż do wizyty Betsy z Paskalem, gdy Paskal opowiedział jej, że Werner został wysiedlony z Francji na skutek donosu, zdaje się, jakiejś kobiety.

— Trzeba było iść przez życie z tą przygodą w duszy, niczym szpieg, zdrajca. Nikt się nigdy nie dowie. A zresztą Werner nie był jegomościem zbyt godnym zaufania.

— Ale ona, ona, co ją opętało? Czy zrobiła to w imię jakiejś zasady moralnej, jakiegoś uniesienia, jakiejś wiary? Nie! Jakby bezmyślnie wyrzuciła pierścionek przez okno pociągu...

Ten człowiek był jej kochankiem, widziała przed sobą jego kark naznaczony czerwoną pręgą i potężne ramiona,

— Wąsy... Nie żywił żadnych podejrzeń. Był to osobnik godny pogardy,

wulgarny, podły, co kto chce, ale w końcu... Gdyby jeszcze zrobiła to z patriotyzmu... ona, która kochała tylko Niemcy...

Śmiała się histerycznie ze wszystkiego, co mówiono jej, na chybił trafił. Bo nie słuchała, co ludzie do niej mówili, przebywała wśród nich jak wariatka na bezludnej wyspie, słowa ludzkie wywoływały jakiś grymas, który wyłączał ją spośród nich. Wtedy udawała, że słucha, śmiała się na chybił trafił. Zaczęła kupować perfumy i oblewać się nimi. Było to nie do wytrzymania. Stawała się całkiem szalona.

Gdyby chociaż zabiła Wenera, mogłaby, oczyszczona, myśleć o Karlu. Ale wyrządzić mu to, właśnie to. Zaczęła nienawidzić nawet Karla. Od rana do wieczora puszczała w ruch fonograf, obok którego miała cukierki z likierem. Stale brzydła i tyła w sposób katastrofalny.

Dopiero w końcu października dziewczęta i pani Manescu wróciły do Paryża, gdzie Elwira przyjechała przed nimi po dzikich scenach na temat nudów w Marlotte... Życie było tak bezcelowe, tak zatłoczone od obecności tych wszystkich otaczających ją ludzi, że Elwira stała się strasznie zła, o ile pozwalała jej na to jej cielesna powłoka. Apartament w „Etoile-Famille” zamienił się w istne piekło, słycać tam było krzyki i wzajemne oskarżenia. W dodatku z powodu kwiatów Dory na balkonie co dzień zdarzały się historie z podlewaniem, z wodą ściekającą na przechodniów, którzy protestowali.

Po pięciu tygodniach takiego życia, gdy Betsy ze łzami wyznała starszej siostrze, że obawia się, iż jest w odmiennym stanie, nienawisć Elwiry do mężczyzn zatriumfowała. Zażądała od naiwnej dziewczyny, by ukryła prawdę przed Paskalem, i sama napisała do ojca do Rumunii. Potem nakreśliła siostrze straszliwy obraz doli niezamężnych matek, obraz po prostu rozdzierający serce, sterroryzowała ją, zmusiła do przyjęcia wobec potwora, to znaczy wobec Paskala, postawy absurdałnej, bezsensownej, niezrozumiałej. Wreszcie nadeszła odpowiedź z Rumunii: ojciec wzywał je wszystkie do powrotu w sposób bezapelacyjny, posyłał bilety, nie pośle więcej pieniędzy. Panie Manescu przeżywały swoje ostatnie chwile w Paryżu, biegały po sklepach, sprzeczały się, jak spożytkować ostatnie grosze.

Betsy była w rozpacz. Nie mówić nic Paskalowi, Paskalowi, którego uwielbiała i maltretowała za radą siostry. Ta groziła jej, że jeżeli Paskal dowie się prawdy, ona opowie wszystko matce, która właśnie chorowała na serce... Betsy płakała całą noc i przeklinała swój brzuch, i wzruszała się na myśl o maleństwie. Oczywiście tam w Rumunii, na wsi, można będzie zatuszować skandal, dziecko poda się jako dziecko służącej... Ale Paskal...

Co prawda Paskal bardzo mało myślał o Betsy, która stała się rzeczywiście nieznośna. Nigdy nie brał zbyt poważnie tej przygody i odnowił stosunki z pewną dawną przyjaciółką, aktorką, którą spotkał na Wystawie Jesiennej... Miała tam swój portret malowany przez malarza, którego talent nie podlegał dyskusji, podlegał jej natomiast jej biust... Niezdolny się ustatkować, Paskal nie umiał opierać się upodobaniu, jakie znajdowały w

nim kobiety... Mówił sobie: takie jest życie, nic go nie powstrzyma, zresztą jest to dosyć przyjemne...

Toteż nie przejął się zbyt, gdy panie Manescu postanowiły wyjechać, żal mu chyba było tylko dobrze płacących lokatorek. Był już znużony Elżbietą, a zresztą akurat w „Figaro” ukazały się pierwsze artykuły Calmette'a przeciw Caillaux. Francja pasjonowała się tą sprawą, a wraz z nią Paskal, o świącie nowego roku.

Paskal nigdy się nie dowiedział, że wraz z tymi paniami i ich bagażem odjechał najmłodszy Mercadier, jeszcze bezkształtny, unoszący w zarodku dziedzictwo tej rodziny u kresu wędrówki, tak absolutnie zbytecznej społeczeństwu, żyjącej, bo taki był zwyczaj, i w stopniu sprzecznym z rozsądkiem pozbawionej wszelkiego poczucia odpowiedzialności.

W wagonie Orient-Ekspressu Betsy płakała. Na peronie obok Paskala stała panna Petersen, która uparła się tu przyjść, i jeszcze parę osób. Elżbieta zapragnęła powiedzieć wszystko temu człowiekowi, zanim się z nim rozstanie, ale udaremniła to Elwira. Gwałtownie pchnęła siostrę na ławkę i jednym ruchem wysypała na ziemię pudełko cukierków. Wówczas wszystkie panie Manescu pochyliły głowy nad podłogą i tak gorliwie zaczęły zbierać okruchy rozsypanej czekolady, że głos gwizdka zaskoczył je w tej postawie.

Betsy opuściła na zawsze Paryż i Paskala, obierając w swoim kącie mrożony kasztan z jego srebrnego ubranka... Teraz na Elwirę przyszła kolej płakania. Z całego serca. Z pełnymi ustami.

— To nadzwyczajne — rzekł Paskal do panny Petersen, odprowadzając ją do „Etoile-Famille” — jak dom będzie mi się wydawał pusty bez tych pań...

To *znaczy*, że już o nich nie myślał. Miał już lokatora, pana z prowincji, który tydzień w miesiącu miał spędzać w Paryżu i tego właśnie popołudnia wynajął apartament pań Manescu... Człowiek bardzo spokojny, dobrze wychowany, poważny... jak wymarzony do ich pensjonatu.

Jaś wspominał panie Manescu *przez* tydzień. Potem nieraz przychodziły mu na myśl, gdy jadł cukierki, ale już o tym nie mówił. Zajęły miejsce wśród wróżek i widm, podatny jak wosk mózdek tej małej głowy zapomniał o nich. Pod wiosnę przyszła pocztówka podpisana przez trzy siostry — przedstawiająca króla Rumunii z piękną czarną brodą, z wijącymi się w niej srebrnymi nitkami — otoczona ramką w stylu Ludwika XV, z herbami Hohenzollernów. Umieszczono ją w albumie oprawnym w niebieskie płótno, z kobiecą główką w stylu modernę, czytającą książkę wśród rdzawych drzew. Była tam już podobizna królowej. W ten sposób para królewska znalazła się w komplecie.

— Tatusiu — odezwał się Jaś dumny jak paw.

— Co, mój mały?

— Para królewska jest w komplecie. Patrz! Król, królowa...

Potem zapomniano o Rumunii w „Etoile-Famille”: właśnie pani Caillaux zamordowała pana Calmette.

## XLVII

Długa zima kończyła się w słońcu i dreszczach. Garches nie było przyjemne w zimny czas, willę zbudowano na letnie mieszkanie. Dora grzebała w piecykach naftowych, które napępiały pokoje duszącym smrodem. Drżące od chłodu życie skupiło się w kuchni i w pokoju Piotra.

Pokój Piotra... stał się ich pokojem. Dora przyciągnęła tam składane łóżko i spała koło chorego, z nocną lampą na półce. Najmniejsze poruszenie chorego budziło ją. Mogła być zostać doskonałą pielęgniarką, gdyby los tak był zrządził. Dzieliła myśl między Piotra i służącą, która nocowała poza domem, i sąsiadkę, tę, co pospieszyła jej z pomocą pierwszego dnia, a teraz przychodziła udzielać jej kuchennych przepisów i sekretów. Dora bowiem nie lekceważyła tej dziedziny.

Wielkim cudem społecznym dla pani Tavernier był fakt, że uderzenie krwi, które wydało w jej moc Piotra Mercadier, uczyniło z niej kobietę zamężną, poważaną w sąsiedztwie, otoczoną szacunkiem i współczuciem. Wychodziła rzadko, ale mimo że nie bywało tłoczno na tych podmiejskich ulicach, obrzeżonych domkami i krzewami, zawsze ktoś kłaniał się jej z uszanowaniem. Wracała upojona i dumna. Pomału, instynktownie zmieniała swój wygląd zewnętrzny, wyrzekła się loczków, bielidła... Nie wyjmowała z szafy krzykliwych bluzek, które uszły płomieniom Opatrzności.

— Chudnie pani — mawiała sąsiadka, pani Bertillon, i ubolewała nad Dorą. Ta biedna pani Tavernier niszczy sobie zdrowie, nie zażywa dosyć świeżego powietrza i dlatego... dlatego...

Prawdę powiedziawszy, po co miała wychodzić — chyba tylko, aby przekonać się, że stała się osobą szanowną i szanowaną. Szczęście jej było w domu, w „pałacu”, z tym człowiekiem, któremu stała się potrzebna! Było to szczęście niezmierne, całkowite, szczęście, o jakim nawet w książkach się nie czyta, coś więcej jak posiadanie. Albo raczej nie — było to nareszcie posiadanie.

Nie dostrzegła wcale nędznych dekoracji, biernie przyjmowała codzienną pospolitość. Gdy dostawcy dzwonili do drzwi i musiała do nich schodzić, nie przerywało to jej dumań, dodawało im nawet smaku, była to jakby fuga, kontrpunkt... Nic jej prawdziwie nie wyrывało z tej wewnętrznej, wypełniającej ją, radości, która łączyła w sobie przyszłość i przeszłość, myśli i pamięć. Spełniała ten cud równowagi między upajającymi marzeniami o miłości a rzeczywistością, tak że nie dawały się już rozłączyć, trywialne i liryczne zarazem. Trudno sobie wyobrazić lwa z rozwianą grzywą, wyrosłego wśród wichrów pustyni, który czułby się wolny w małym prowincjonalnym mieszkanku, pomiędzy zegarem z czerwonego marmuru i futrzanym dywanikiem przed łóżko, i który marzyłby o rzece, gdzie pije się wodę, o gazdach, o afrykańskich mocach. Otóż tak właśnie wyglądała pani Tavernier, rycząca z miłości, w tym zbudowanym z kamienia polnego pałacu, za który uiszcza podatki, na pewno zbyt wygórowane, ale i tak skromne, z punktualnością nie znaną w

okolicach Paryża.

Dość żartów. Nie ma ani cienia śmieszności w romansie Dory, wzniosłej Dory. Jest natomiast miłość, ta rzecz najczcigodniejsza ze wszystkich, to uzasadnienie jednego istnienia przez drugie, to poddanie jednego życia drugiemu życiu, i ani styl pani Tavernier, ani akcesoria i miejsce nie ujmują nic z prawdziwej wielkości uczuć, które tam się zmagają. Nie przynoszą też ujmę absurdałnej, anielskiej, fantastycznej formie, jaką te uczucia przybierały, nie godzą w nieopisaną naiwność tego życia, jakie Dora stworzyła sobie w przeszłości, ani w urojoną czystość tej idylli między nią a leżącym w łóżku mężczyzną, idylli, którą ona wymyśliła i która bije na głowę jednocześnie historię Filemona i Baucis i Romea i Julii. Gwałcone uczucia, nieubłagane rodziny, różnice społeczne, rozdzierające rozstania, nieobecność wywołująca paroksyzmy cierpienia: oto co odnajduje u źródła swego romansu, a także młodość i piękność, która sprawia, że kobiety i mężczyźni oglądali się za nią na ulicy, a księża czynili znak krzyża, uważając, że nie wolno tak wodzić na pokuszenie. Codziennie Dora odnajduje, przypomina sobie jakąś scenę z ich życia na tle fantastycznego krajobrazu, odkrywa wysoką pozycję społeczną komparsów, odtwarza polowanie z chartami albo *garden party*... Chwilami umyka jej młody uśmiech Piotra, jego wygląd w trzydziestym roku życia i jej zazdrość o jakąś piękną kobietę, zazdrość zresztą nieuzasadniona, musi to przyznać... A ich podróże, Włochy z błękitnymi jeziorami, gdzie wyjeżdżają młode pary, kochankowie... Cała panorama afiszów oglądanych na dworcach, mieszanina ludowości i egzotyizmu — jakieś Chatelet, które ma w sobie coś z burdelu i katedry — z ludowym świętem ma ulicach, pochodem karnawałowym i procesjami...

Zdarzało się Dorze mówić głośno do siebie. Bazar majaków, który nosiła w sobie, nie dawał się już powstrzymać starym, zwiędłym wargom, które znów stały się dziewicze. Było to jąkanie, gaworzenie młodej dziewczyny, bezsensowne i łagodne, pełne słów miłości...

W sceptycznej epoce, gdy wymierają wielkie uniesienia duszy, mamy je oto wszystkie podobne do widokówek, wymalowane w źle obmytych ze szminki oczach nędznego i zmarnowanego życia. To wszystko, w co nikt już nie wierzył w owym roku 1914, schroniło się w sercu tej starej rajfurki, która przebrnęła świętą rzekę, odnalazła dziecięctwo serca... Nie było takich bredni, za które nikt już nie chciał umierać w tym dwudziestym stuleciu, co weszło w niewdzięczny wiek mutacji głosu i cynizmu, nie było takiej pękniętej bańki mydlanej, która by w tej zmaconej głowie nie nabrała promienności odzyskanych rajów.

Dni mijają, zapach czosnku unosi się z kuchni, gdzie sąsiadka gotuje potrawkę (potem mi pani powie, jak smakowało), i motyle obijają się o wykładane mitami ściany tej zdegenerowanej czaszki. Tymczasem marionetka ludzka wciąż jęczy na swoim posłaniu i drży pod zbyt grubymi rękami, które jej dotknęły. W oczach tych jest i przerażenie, dominujące nad wszystkim, co można w nich wyczytać, i obłuda, z jaką pozwala się

obsługiwać, i chęć podstępnego wyzyskania obłędu kobiety, której jest więźniem.

— Polityka...

Słowo to powtarza się tak często, że już się go nie słyszy, może ono być, czym się chce — prośbą, odpowiedzią, wyrzutem, pieszczotą, kłamstwem... Stało się wreszcie całym językiem i Dora nie myli się w nim albo przynajmniej jest pewna, że się nie myli, i prowadzi długie rozmowy z paralitykiem, długie rozmowy wedle własnej chęci, gdzie, jak ona sądzi, on też ma swój udział... Ale nie są to rozmowy, takie, jakie prowadzili przedtem, po godzinie czwartej, teraz ta wszechstronna wymiana ich myśli zagarnęła całe życie. Po godzinie czwartej... gdzie to było? Zapomniała o „Jaskółkach”: spaliły się i koniec.

Na ogrodowych drzewach ukazują się pierwsze kwiaty. Zgiełk świata nie dochodzi tutaj. Co dzieje się w Turcji albo w Berlinie? Nawet Paryż jest bardzo daleko. Paryż pełen gwaru, gdzie ludzie rzucają się na siebie z powodu ogłoszenia pewnych tajnych dokumentów, „zielonych”, jak się je nazywa... Cóż to za krzyki, cóż za trwoga? Za opuszczonymi firankami żony niespokojnie czekają na mężów wracających z sesji rady administracyjnej. Mają się odbyć wybory do władz ustawodawczych. Robotnicy urządzają mityngi i śpiewają...

Na drzewach w sadzie ukazują się pierwsze kwiaty. Dora wsłuchuje się w swoje stare serce, pełne szmerów i szaleństwa...

— Polityka — mówi Piotr Mercadier, nauczyciel historii.

## XLVIII

Od stycznia wystąpiły owrzodzenia. Daremnie układano chorego na poduszkach, wsuwano pod niego gumowe, wypełnione powietrzem krążki, pudrowano go, myto, znów zasypywano pudrem. Zamykało się to, a potem jeszcze bardziej pękało i ropiało. Jedna rana ścigała drugą i nieszczęsne plecy, uda, pośladki przedstawiały żaloszny widok. Dora krzątała się przy tych oznakach bliskiego rozkładu, z nich snuła swoje nadzieje i obawy. Piotr był ciężki, mimo że schudł. Na szczęście były pod ręką sąsiadka i posługaczka i pomagały odwracać to udręczone strupami ciało, wyciągać podkładki, wsuwać pod nie konieczną teraz ceratę.

Garches to nie Tahiti. Odosobnienie naszej pary było tylko pozorne i ludzie kiwając głowami gadali o willi i jej mieszkańcach. Powszechnie wierzono nielicznym słowom, które wymknęły się pani Tavernier i które rozbębniła posługaczka: że to para hotelarzy, mieli wielki hotel w Paryżu, wycofali się z dużym majątkiem i właśnie gdy mieli osiąść w spokoju, korzystać z dobrze zasłużonego wypoczynku, zdarzyło się nieszczęście temu biednemu panu... Warto widzieć, jak ta zacna kobieta poświęca się dla męża, jak mu dogadza, o nim tylko myśli; prawie nie wychodzi z domu, po prostu usycha.

Dora osiągała najwyższe szczyty poświęcenia. Zarówno w oczach obcych,



jak swoich własnych. Nurzała się w swojej legendzie, w wymyślonych wspomnieniach, w życiu, które odtworzyła sobie z przeszłości. Już ani cienia, ani jednej przyziemnej myśli. Zapomniała o wszystkim, co mogło ją razić w umarłym świecie. Nie istniał już, był tak daleki jak zapomniana woń perfum. Władcza muzyka panowała dla niej nad wszystkim — dobroć, niezmierna dobroć ogarnęła ją całą. Gdy wróciły pogodne dni, jak niegdyś cieszyła się łagodnością powietrza, przejrzystością słonecznych promieni, kwiatami w ogrodzie. Tak bardzo przyzwyczała się do samotności, że mówiła sama do siebie półgłosem, a nawet głośno, i ten nie kończący się monolog, wraz z towarzyszącym mu lekkim drżeniem, zapewne pozostającym w związku z widocznym u niej od pewnego czasu obrzmieniem szyi, ciągnął się w obecności paralytyka, który zwracał się ku machinalnemu strumieniowi słów, monolog pełen pieszczotliwych „ty”, podobny do igraszek piany morskiej na przybrzeżnych skałach.

Rzecz dziwna, to niczym nie wypełnione życie było dla niej bogate we wzruszenia, we wstrząsy, niespodzianki. Niewiele trzeba było, aby doprowadzić do egzaltacji wzniosłe uczucia, jakimi się poiła. Zdarzały się jej nagle napady szalonego śmiechu, po których ledwie dyszała, a które nachodziły ją bez zrozumiałego powodu, aby przeczyć wzlotom jej ducha. Z zaskakującą łatwością przechodziła od śmiechu do łez i te zmiany nastroju dziwiły bardzo posługaczkę i sąsiadkę, które mawiały do siebie z tym ludowym uszanowaniem dla spraw sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem: „Ta zacna pani Tavernier bzikuje, tak, to jasne, bzikuje...” Ale wiadano, że to skutek ciężkich przeżyć, i ubolewano nad nią. Pracować całe życie, a potem w ostatniej chwili, gdy już człowiek miał zażyć czegoś lepszego...

Pani Tavernier mówiła dziwne *rzeczy*, *nie* zawsze zrozumiałe, i pewne zdania powtarzane z ust do ust zjednały jej w Garches i w Vaucresson aureolę niezwykłości. Niewątpliwie musiała spędzić życie wśród ludzi bardzo bogatych, wybitnych, to tłumaczyło *rzeczy* niewytłumaczalne. Dla całego próżniaczego środowiska stała się przedmiotem rozmów i dumań.

Tak oto pewnego dnia przypomniała sobie, co powiedział jej Piotr tuż przed atakiem. Nie umiała dokładnie odtworzyć wyrazów ani biegu myśli, ale było rzeczą pewną, że mówił o religii i wierze. Myśl ta mocno ją opanowała i Dora sto razy na dzień mruzczała coś na ów temat, aż posługaczka powtórzyła jej słowa ludziom w różnych domach, gdzie pomagała w gospodarstwie, ci zaś przekazali je dalej. Ludzie uznali, że ten nieszczęśnik miał przecucie, co go czeka; był niedowiarkiem jak wielu innych, ale gdy ręka Pańska miała go dosięgnąć, zaczął niejasno pojmować swój błąd, zatęsknił do wiary, do religii. Jakie to piękne, jakie wielkie i wstrząsające! Rzecz zrozumiała, że tego rodzaju nowina rozeszła się piorunem — była to wspaniała sensacja. I wkrótce dotarła do środowisk, gdzie mogła przybrać charakter cudu niebieskiego. W pobożnych kołach tej okolicy dowiedziano się, że jest dusza do zbawienia, dusza, która woła ku Panu.

Wówczas wypłynęła na widownię pani de la Mettraie. Nie raczyła szukać pospolitych dróg towarzyskiej znajomości. Stała całkiem po prostu u drzwi, w czarnej sukni, wdowim welonie. Zadzwoiła i weszła, gdy pani Tavernier jej otworzyła. Po cóż przygotowywać ukazanie się jej na scenie, które bardziej przypomina zjawienie się Matki Boskiej niż wizytę uczynnej sąsiadki? Była dusza do zbawienia, więc pani de la Mettraie stawiała się na posterunku.

W pierwszej chwili Dora, w najwyższym stopniu zmieszana, nie rozumiała, czego życzy sobie przybyła, ale nazwisko i maniere nieznanego zrobiły na niej ogromne wrażenie. Prawie hrabina, bo gdyby starszy brat nieboszczyka pana de la Mettraie, dziedzic tytułu, umarł wcześniej na to obustronne zapalenie płuc... Ona sama była urodzona de Combelieu... a tak! Ma brata parającego się piórem, współpracownika „Pielgrzyma”, proszę tylko pomyśleć! Młodzieniec łagodny, pełen cnót. Nigdy nie podniósł oczu na kobietę, nigdy nie zaniedbał komunii świętej w niedzielę. Dusza bez skazy, prawa, natchniona. Pani de la Mettraie była niska, sucha, bez wieku przy swoich kasztanowatych włosach, z okrągłymi oczyma i ukrzyżowanym uśmiechem.

Tak, mówiono jej, że pan Tavernier... Dora lekko zatrzepotała rękami... na krótko przed tym, zanim powaliła go choroba, wypowiedział natchnione słowa na temat religii. Jakież to przejmujące, wspaniałe, i jaki przykład, droga pani, jaki piękny przykład... dlatego przyszedłam...

Dora zaczęła płakać, potem śmiać się, prosząc ze łzami o wybaczenie, a przybyła dama ujęła ją za ręce i mówiła jej o Bogu, o jej moralnej odpowiedzialności i o biednej duszy, która mogła odejść bez pociechy sakramentów. Były to dla pani Tavernier słowa nigdy nie słyszane, słowa złote, pełne uczucia i potęgi, którym wcale nie stawiała oporu. Co trzeba uczynić, czego świat po niej oczekuje? Z wdzięcznością przyjęła czarny drewniany krucyfiks ze srebrnym Chrystusem, który pani de la Mettraie poleciła jej zawiesić nad posłaniem chorego, wraz z niewielką gałązką bukszpanu. Pojawiły się w domu święte obrazy. Wdowa o zranionym uśmiechu przychodziła codziennie i wkrótce zasiadła przy łóżku Piotra. Pomagała Dorze, opatrywała strupy, czasem przyrządzała śniadanie. Wreszcie stała się częścią życia, czymś niezwykłym — przyjaciółką. Dora miała przyjaciółkę. Prawie hrabinę. Prawdziwą. Wielka powieść rosła od tego cudu, a Chrystus obecnością swoją błogosławił tej nieoczekiwanej przyjaźni.

Codziennie pani de la Mettraie przychodziła z cukierkami kupionymi przy głównej ulicy; były to gumowe kulki albo angielskie karmelki. Zdejmowała kapelusz podobny do wielkiego czarnego ptaka. Ze skromną miną poprawiała włosy i zasiadała przy chorym. Nie wiadomo, czy dochodziło to do świadomości chorego. Nie mówił nic, ale nie znaczyło to, że nic nie rozumie. Czy pani Tavernier nigdy, nigdy nie przyszło na myśl, aby .mu poczytać? Podjęła się tego pani de la Mettraie i wybrała książki budujące zarówno dla chorego, jak dla Dory. Książki pobożne, dobre,

podnoszące na duchu. Istny strumień cnoty spłynął na zmiętą poduszkę, na której wiała się głowa Piotra. Widzi pani, on czuje ciężar swoich grzechów i te przykłady czystych i świętych żywotów budzą w nim pragnienie oczyszczenia się z niedoskonałości. Często wejrzenie jego zatrzymuje się na krucyfiksie: trzeba by być ślepym, alby mię widzieć, że w tych chwilach coś się z nim dzieje. O tak, niepojęte są ścieżki Pańskie.

Dora z początku myślała, że będzie zazdrosna o ten podział, o wtargnięcie tej kobiety pomiędzy nią a Piotra. Że nie ścierpł widoku, jak inna go dotyka, bo nie wiadomo właściwie, co się w nim dzieje, gdy zwraca zaczerwienione oko na panią de la Mettraie? Ale okazało się, że nic podobnego. Dzieje jej sklerotycznej miłości zyskały w świątobliwej atmosferze, którą wносиła ta szlachetna dama, perspektywę, jakiej im dotąd brakło, zyskiwały uprawnienie, akompaniament anielskiego pienia. I mimo że Dora zagrzebała w niepamięci swoje życie grzesznicy, serce jej mocno zabiło, gdy pewnego dnia usłyszała z ust pani de la Mettraie historię Marii Magdaleny i Chrystusa. Ach, upusty niebieskie spływały na jej stare sklerotyczne serce jak na wyschlą ziemię. Anioły siedzące w firankach czuwały zapewne nad sceną i złota drabina, która prowadziła ku niebu Marię Magdalenę z „Jaskółek”, zaczynała się splatać w światłości, gdzie tańczył kurz! Mój Boże, dzięki ci, mój Boże, za to tylko, że istnieje...

Czasami zdarzało się, że do zbożnych lektur i miodowych słów pani de la Mettraie mieszała zupełnie światowe rozważania nad drobnymi zdarzeniami życia w Garches, o dostawcach, o proboszczu, który był świętym człowiekiem, ale nie kapłanem, jakiego trzeba istotom wybranym, jak pan Tavernier. Znała pewnego duchownego, człowieka wybornego taktu i głębokiej pobożności; może dałby się jej ubłagać któregoś dnia i przyszedłby tutaj, jeżeli oczywiście pani Tavernier będzie o to bardzo prosić. Oddał jej wielkie przysługi w innych podobnych wypadkach, gdyż — jak można się było domyślić — pani de la Mettraie wyspecjalizowała się w nawracaniu chorych: uczyniła sobie z tego cel życia, przyprowadzała do Boga zbłąkane dusze w chwili ostatniej słabości. Zwracała niebu ludzi, którzy zdawali się skazani na piekło. Była czymś w rodzaju rycerki Dobrej Śmierci. Opowiadała, jak udawało się jej ocalić in *extremis* zaciekłych masonów, ateistów, którzy uchodzili za niezłomnych. Wypowiadała walkę demonowi pośród słoików aptekarskich, wypędzała Złego pośród pijawek i za jej modlitwą Łaska spływała na zroszone śmiertelnym potem materace... I oto tutaj... co za radość! Jednocześnie odzyska umierającego i wybraną kobietę, jeszcze związaną z życiem!

Nie wszystko, co mówiła, nacechowane było taką pogodą. Niekiedy słowa jej odnosiły się do spraw świeckich, często niezrozumiałych dla odciętej od świata Dory. I tak na przykład pani Tavernier pozwoliła pani de la Mettraie mówić, nie bardzo jej słuchając, gdy w końcu kwietnia w drugim głosowaniu do wyborów ustawodawczych socjaliści uzyskali sto miejsc w Izbie. Pani de la Mettraie straciła zupełnie panowanie nad sobą, pieniała się. Wedle niej wszystko było stracone, ustawę o trzyletniej służbie wojskowej,

tak nieodzowną dla naszego bezpieczeństwa, odrzucono, a co najgorsze, mówiło się o powrocie Combes'a, ohydneho Petit-Pere, Antychrysta! Dora drżała, ale poczuła się lepiej, gdy pani de la Mettraie wróciła do budującej książki wydanej przez Mame'a w Tours, oprawnej w czerwone płótno, gdzie opisane były plagi niebieskie, jakie spadły na pewnego młodego żołnierza, który sprofanował hostię u Pańskiego Stołu, i na pewną wieśniaczkę, która śmiała się na mszy w chwili Podniesienia.

W każdym razie w czerwcu, gdy utworzył się gabinet Vivianiego i pani de la Mettraie dobitnie i szczegółowo wyjaśniła Dorze, kim jest nowy premier, pani Tavernier przeraziła się. „Człowiek, który gasi gwiazdy.” I jemu to powierzono kierownictwo kraju, zaś pan Poincare, zamiast skorzystać ze swoich uprawnień, zgodził się na to! Istotnie można było zdrzeć ze strachu. Wchodzimy w okres strasznej nocy. Któż wie, jakie klęski sprowadzą na nas takie bluźnierstwa? Pani de la Mettraie wpadła w ton proroczy:

— Niech pani zapamięta, pani Tavernier, niech pani dobrze zapamięta, co powiem: wchodzimy w epokę, kiedy pociągi spalać będą swoje szyny, domy staną w płomieniach, nowo narodzeni pomrą u łona matek swoich! A wszystko z winy tego człowieka, tego ministra piekielnego, tego Viviani... Viviani... Złowrogie to nazwisko w naszych dziejach, pani Tavernier... „człowiek, który gasi gwiazdy”...

Czerwiec pękał jak owoc w przedwczesnym upale. Strupy rozprzestrzeniały się na plecach chorego i dosięgały ramion. Parę razy przestawał oddawać mocz, co było niepokojące. Jego stopy i twarz puchły pod wejrzeniem Chrystusa. W tym czasie zamordowano austriackiego arcyksięcia i jego małżonkę. Wreszcie pani de la Mettraie przyprowadziła państwu Tavernier księdza Pautre; człowieka ogromnego wzrostu, z twarzą z białego kamienia, ubranego w bardzo wykwinłą sutannę, o głosie głębokim jak śmierć. Na wszelki wypadek udzielił choremu świętych sakramentów. Później, zwróciwszy się ku drżącej Dorze, powiedział:

— A ty, córko, nie masz mi nic do wyznania?

Pani Tavernier spojrzała na panią de la Mettraie, na Piotra, na Chrystusa w żółknącym bukszpanie i uczuła się osaczona: pomyślała zapewne o swoich kłamstwach, o tych dekoracjach, które sobie sporządziła i które były jej droższe nad życie wieczne, i wtedy rzekła półgłosem, ze wstydem i strachem:

— Jeszcze nie, mój ojczu, och, jeszcze nie...

## XLIX

— Oczywiście — woła na trybunie senatu mówca, który przemawia już blisko godzinę — zwyciężyliśmy pod Valmy z armią bosych obdartusów, ale czy sądzicie, że wojny nowoczesne dadzą się pogodzić z tradycją, niewątpliwie heroiczną, ale której uwiecznianie było wynikiem zbrodniczego niedbalstwa?

Senator Brecy odrzuca do tyłu swą piękną, trochę byczą głowę. Utrzymuje wysokie zgromadzenie w napięciu, nakreślony przezeń obraz naszej nie przygotowanej do wojny armii jest dramatyczny. Clemenceau, stojąc w swojej ławce, uważnie słucha jego mowy i oklaskuje ją. Strach i patriotyzm kłębią się w łysych czaszkach i pod białymi czuprynymi. Brecy woła:

— Butów! Więcej butów! Nie przestanę wołać o buty dla obrońców ojczyzny... — i dostaje takie oklaski, że trzykrotnie musiano zagrozić opróżnieniem trybun. Kobiety.

Jeśli wierzyć mówcy, sztab generalny ukrywa prawdę. Artylerii ciężkiej mamy za mało, twierdze wyposażone są w sposób sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem, nie mają punktów obserwacyjnych, łączności między fortami. A co do uzbrojenia! Lepiej o tym nie mówić, to zbyt przynębiające...

Paskal słuchający tego na trybunie zastanawiał się, czy to możliwe i czy to odpowiednia chwila, aby mówić takie rzeczy. Jakie wnioski wyciągną z tego Niemcy?

Trudno rozstrzygnąć, czy należy milczeć, czy też krzyczeć... Debata nie skończyła się tego wieczora pełnego wrzawy i powszechnego wzburzenia. Trzeba będzie jeszcze jednego lub dwu zebrań po rewii 14 lipca... Paskal patrzy, jak schodzi z trybuny były mąż Reginy, ku któremu wyciągają się wszystkie ręce. To triumf. Ale przy tym wszystkim, któż ośmieli się rozstrzygnąć, czy ten wytworny senator służy Francji, czy też jej szkodzi? Przyszłość na to odpowie.

Od wydalenia Wenera z granic państwa Paskal, który ma w pamięci odwiedziny inspektorów policji w „Etoile-Famille”, czuje w sobie zupełnie nową obawę. Nigdy naprawdę nie wierzył w wojnę, nigdy nie wierzył w historie, o których pisała „Humanite”, w te niemieckie pogrózki, o których donosiła z kolei „Action Francaise” i dzienniki pravicowe. A potem nagle zauważył, że w jego otoczeniu krążą jacyś podejrzani ludzie, obarczeni niezrozumiałymi obowiązkami. Przypomniały mu się słowa Reginy von Goetz, nabrzmiałe od burzliwych znaczeń. Ale czy ostatecznie ktoś na świecie mógł to wiedzieć? Nie, nikt. Nie wystarczyło jednak tak sobie powiedzieć. Paskal zainteresował się dyskusją nad zbrojeniami. Dostał bilet na trybunę w Senacie. Był bardzo ciekaw usłyszeć Brecy'ego, ze względu na Reginę. Wychodził stamtąd pełen zmieszania, niepokoju, którego nie rozwiął ciepły wieczór na ulicy Tournon.

Układa plany na bieżące lato. Cała rodzina wyjedzie do Petites-Dalles, wszyscy naraz. Trzeba zamknąć „Etoile-Famille” na dwa tygodnie, bo przeprowadzi się tam remont. Zdecydował się urządzić łazienki na wszystkich piętrach, poświęcając na ten cel małe pokoiki wychodzące na klatkę schodową. Należy otynkować fasadę, której bardzo tego już potrzeba. Pociągnie to ogromne wydatki. Około 15 sierpnia Paskal wróci, pensjonat można będzie częściowo puścić w ruch. Wszystkie te projekty o mało nie wzięły w łeb: twierdzono, że sprawy w Serbii stoją fatalnie, że Austria... a wreszcie bank nie bardzo chciał już dać pieniędzy. Potem trochę się uspokoiło; niebezpieczeństwo rozeszło się po kościach. W

każdym razie te głupie plotki diabło psują interesy. Diabło. Gdyby ludzie im wierzyli, nikt już nie przyjeżdżałby do Paryża. Korzystają z tego tylko Szwajcarzy, którzy sami je rozpowszechniają. Lada dzień sytuacja może się pogorszyć. Paskal myśli o synku. Oczywiście, że nie wychowuje go po to, aby kiedyś stał się mięsem armatnim. Gdy człowiek pomyśli, że za dziesięć, dwadzieścia lat ludzie nagle mieliby się zacząć wzajemnie mordować... Przy obecnej broni nie mogłoby to trwać długo, ale kto wie? Czy Kajzer rzeczywiście pragnie pokoju, jak to wciąż głosi? A może to szaleniec, megaloman... Myśl taka przyprawia o drzenie.

Jakie łagodne jest powietrze tutaj, na bulwarze Saint-Germain...

Dlaczego Regina nic nie pisze? Nigdy jeszcze nie był tak pewny miłości kobiety. Mógł się mylić, ale wówczas komu na świecie wierzyć? Regina zrosła się z niepokojami Paskala, jej sylwetka i zmieniony głos, gdy mówiła o wojnie... Nie odesłała mu zeszytów o Johnie Law. Dlaczego? Nie było to w porządku, a nawet wydawało mu się dziwaczne. Paskal chciałby lepiej poznać swego ojca, który znowu zniknął. Może znalazłby w nim cechy, które wytłumaczyłyby mu niejasności w nim samym. Niejasny jest stosunek między ojcem a synem, którzy nie prowadzili życia pod jednym dachem. Nie wiadomo, czym się różnią, w czym się milcząco zgadzają. Dziwne pomyśleć, że ten człowiek, który niedawno przemawiał patetycznym głosem, z owym tradycyjnym już tremolo, był to pierwszy mąż Reginy... Naprawdę dziwne!

Od tego czasu minęło dwadzieścia lat; Regina była wtedy małą dziewczynką, dzieckiem rzuconym w świat polityki, gdzie już wówczas deputowany Brecy zdobywał sobie pozycję.

Była wtedy ładną małą panią Brecy, a działo się to za rządów Feliksa Faure. Byliśmy wtedy w bardzo złych stosunkach z Anglikami i Derouledem, który właśnie umarł... Dlaczego Paskalowi wszystko to chodzi po głowie? Co go tak niepokoi?

Paskal zastanawia się, jak rozgrywa się życie; wygląda ono, jakby rozwijało się samo z siebie, bez związku ze sprawami ogólnymi, z dziejami świata, a potem zapisuje się w nich, czerpie w tych dziejach swoje rysy zasadnicze, swoje zwroty, kierunki. W głębi duszy dobrze wiedział, ile rzeczy podłych i podejrzanych było w życiu, jakie wiodła Regina, doskonale zdawał sobie sprawę, co ktoś inny na jego miejscu myślałby o Reginie. Doszedł do tego pomału, w miarę jak to rozważał. Odpycha taki obraz pani von Goetz. Nie chce jej sądzić. Nikogo nie będzie sądził. Kim jesteś, abyś sądził innych? Przeszedł przez Sekwanę, skręca ku Polom Elizejskim. Schodzi jasna noc. Na terasach kawiarni ludzie. Dużo świateł. I głębia lata. Lipiec jak dojrzały owoc. Paskal myśli już tylko o pięknej pogodzie, o lekkości swego ciała. Czuje się młody, zadowolony z życia, spogląda na kobiety, a one uśmiechają się.

Właściwie nic się tu na ziemi nie liczy oprócz uśmiechu mijanej na ulicy kobiety, która spostrzegła, że się na nią patrzy, i której sprawia to radość. A przynajmniej nic, co nie jest czymś w tym rodzaju.

Paskal nie spieszył się i, znalazłszy się na Etoile, długo jeszcze błąkał się bez celu po Avenue du Bois, w stronie bramy Maillot, wzdłuż szyn kolei okrężnej... Gdy wrócił do „Etoile-Famille”, (było już po obiedzie, więc powiedział, że jadł na mieście. Oddano mu niewielką paczkę.

Były to dzieje Johna Law, zeszyty zawinięte w gruby papier, związane sznurkiem. Jakby odpowiedź na to, o czym niedawno myślał. Ktoś to przyniósł po południu. Dołączony był list. Od Heinricha von Goetz:

Zechce pan odebrać załączone zeszyty, stanowiące Pańską własność. Znalazłem je na biurku pani von Goetz, z kartką, która wskazywała ich pochodzenie i która w dostatecznej mierze oświeciła mnie co do uczuć, jakimi darzyła Pana moja żona, abym czuł się zobowiązany odesłać Panu paczkę i zawiadomić, że Regina odebrała sobie życie nie podając motywów tego postępu. Oto, jak sędzę, wszystko, Szanowny Panie, co pragnęła, abym Panu zakomunikował. Niech Pan wybaczy, że nie będę Panu okazywał obłudnego współczucia z powodu tego zdarzenia i że zamilczę o tym, co czuję. Nie uważam, abyśmy powinni spotkać się, i sędzę, że zwracając Panu te zeszyty kładę kres sprawie, w której nie miałem żadnego udziału...

Regina nie żyje. Z początku to tylko zrozumiał Paskal, starał się zrozumieć, bo było to dosyć niezrozumiałe, nie do wiary. Widzi ją taką, jaką była ostatniego dnia w „Etoile-Famille”, w pustym mieszkaniu, w jego mocnych ramionach. Widzi ją trochę inną od tej, jaką wyobrażał sobie niedawno — idealizacja już rozpoczęła swoją pracę i to właśnie czyni Reginę naprawdę umarłą, i ciemności trochę się rozpraszają. Zabiła się. Jak? List nic o tym nie mówi. Wylania się szereg okrutnych obrazów i Paskal nie wie, który z nich wybrać. Zabiła się. Dlaczego? Co takiego zobaczyła na świecie, że stał się dla niej aż tak bardzo nie do zniesienia? Paskal przerażony jest nie tym, że tego nie wie, lecz tym, że odgaduje, że wie... Staje nad przepaścią i blednie. Regina nie żyje.

Nie kochał jej. Nie trzeba okłamywać się tylko dlatego, że ona już nie żyje. Nie kochał jej. Powtarza to sobie z całą mocą pewności. Umarła, bo chciała tego sama, całkiem niezależnie od niego, z powodów, z którymi on nie ma nic wspólnego. To drobne ukąszenie w serce jest tylko lękiem przed śmiercią, jaki znamy wszyscy. Nic więcej. Oczywiście, śmierć kogoś dobrze znanego wywiera na nas wrażenie. Nic więcej. Nie kochał jej. On wie, co się dzieje z człowiekiem, który traci kogoś ukochanego. Kochał Iwonę. Gdy Iwona umarła... I nagle ma już przed oczyma nie Reginę, lecz Iwonę, Iwonę w cudowny sposób obecną. I ją to oplakuje po trochu, po cichu, wśród nocy. Iwonę niezastąpioną, Iwonę, jedyną swoją miłość... Iwonę, której biedną oparzoną rękę widzi teraz przed sobą...

Jak wszystko to układało się w jego głowie? Myśli jego biegły dziwnymi ścieżkami. Jak kozice w górach. Nie miał czasu uświadamiać sobie, jak zrywał te liście z krzewów. Słyszy siebie mówiącego półgłosem:

— Lepiej, że umarła.

I wie, że mówi tak o Iwonie; teraz jest pewny, że będzie wojna, bo Regina zabiła się. Iwona nie będzie na to patrzeć. Zbyt trudno byłoby mu się od niej oderwać. Utraciwszy ją jest wolny w obliczu okropności. Nic go nie trzyma, nic go nie wiąże. Dziecko? Wychowają je babka i ciotka. A później... Jeżeli mimo wszystko trzeba to zrobić, aby dziecko z kolei nie musiało poznać wojny, dobrze, Paskal jest gotów. Wojna, a żołnierze nie mają butów... Ach, dajcie nam spokój z tym krakaniem! Są buty czy ich nie ma, fatalizm wychodzi na spotkanie Paskala w posepnym orszaku chmur, wielkich świętych tajemnic, złudzeń i kłamstw...

I Paskal, niby człowiek zabłąkany w bezdrożach burzy, słyszy narastający szum przeznaczania.

A więc przez całe życie wspinał się ku tej grani, skąd widać drugą stronę wszelkich rzeczy, która jest śmiercią i masakrą z przeraźliwym krzykiem epopei, rozpiętą kawalkadą nowoczesnych paladynów. Widzi się, jak niegdyś ponad Sainteville, na tej krawędzi świata, która dzieli życie uporządkowane i rozsądne od strasznej krainy chmur, usianej napoleońskimi kapeluszami. Dowie się wreszcie, po co ludzie, podobnie jak Jaś w Avenue du Bois, robią babki z piasku. Stoi w progu niehumanistycznego szaleństwa. Zobaczy, do czego prowadzi długotrwała, twórcza cierpliwość dobrej woli. Tutaj nie będzie to już zabawa, w której banda wiejskich chłopców znaczyła swoją obecność złamanym źdźbłem trawy, wetkniętym w szczelinę pnia, ani tkliwa epopeja miłosna, w której ważna była tylko omdłałość kobiety i triumfalny okrzyk Paskala odnoszącego nad nią zwycięstwo; nie będzie to już czas samotnych ludzi wydanych na łup marzenia; teraz koniec z jednostką, tym upiorem, i koniec z błędną wolnością. Oto druga strona wszelkich rzeczy, gdzie uchodzą kapryśne rzeki w dolinę obowiązku. Oto druga strona życia, gdzie wszyscy stają się igraszką tego samego groźnego wichru, a cienie tańczą wysoko ponad żywymi i umarłymi...

Regina umarła. Umarła, bo dostrzegła drugą stronę wszystkich rzeczy i nie mogła znieść tego widoku. Przeszłość została przekreślona jedną linią. Regina nie żyje.

L

Czuje, że zapada w gęstniejącą noc; jest w nim lęk przed tym i nieświadomością; zagrzebuje się w swojej małości, podsyca w sobie zwierzęcą nadzieję, tkwiącą korzeniami w samej kłęsce, którą Piotr Mercadier czuje się dotknięty. Ograniczony, sprowadzony do tej roślinnej myśli, nie ma w sobie właściwie żadnego uczucia prócz tej dziecięcej wiary, że można oszukać śmierć, że można sprawić, aby nas nie widziała, gdy znieruchomiejemy, gdy się skulimy. On istnieje i czuwa nad płomieniem, który już nie świeci. Nie odróżnia prawie rzeczy i ludzi stanowiących ten zniechęcający świat zewnętrzny; jest ostatnim tchnieniem istoty, jest kwileniem, ostatnim kwileniem człowieka.

Czasem, gdy w oknie przesuwają się obłoki, dawne strzępy myśli błędzą jeszcze po tej tępej głowie. Są to więzy, które budzą się wraz ze starymi



wspomnieniami, cienie z wyolbrzymionymi rękoma. Albo są to osoby ostatniej sceny dramatu, osoby z krwi i kości, ale tak samo nierealne jak cienie przebiegające w polu widzenia człowieka osaczonego. Dora albo ta druga megiera, z głową spowitą w krepę, zjawą, której chory nie umie sobie wyjaśnić, a która jak poufałe bóstwo przyłączyła się do wszechmogącej Dory.

Dora także zanurza się w ciemnościach, co powoduje jej metamorfozę fizyczną. Siwe kosmyki sterczą na wszystkie strony z resztek ostatniej metamorfozy w brunetkę, ale nie dba o jej utrwalenie; niedbałość granicząca ze wzniosłością owładnęła nią, nie ukrywa już swego wieku i zgadza się, aby wszyscy wiedzieli, że jest szalonym łupem urojenia. Szepcze albo mówi do siebie bez żenady. Sama jest ciągłym szeptem, pomruki zamieszkały w niej. Nieład jej sukien byle jak spiętych agrafkami i powiązanych kawałkami wstążki, nieład jej umysłu spustoszonego przez historie, jakie opowiada sobie całymi dniami, czynią z niej niezwykłą wróżkę, Karabosę z przedmieścia. Ośrodkiem jej dywagacji jest, jak w niewinnych czasach jej dzieciństwa, lalka, do której jest szaleńczo przywiązana i którą pielęgnuje ze śmieszoną troskliwością, obstawia buteleczkami wydzielającymi apteczne zapachy, otacza troskliwą opieką, opatula w czarne wełny, obsypuje odrażającymi czułościami wśród brzęku nocników i basenów, w wielkich scenach, gdzie ta starucha dorównuje heroinom wielkich romansów, gdzie jej obłąkanie odzyskuje boskie oblicze Izoldy przy umierającym Tristanie....

A obok niej Brangena... Mam na myśli panią de la Mettraie, jej łagodne i pobożne gesty, jej powolne opuszczanie powiek, szeptane modlitwy, jej wytrwale błaganie o boskie miłosierdzie. Stanowi ona jakby przeciwagę Dory, kontrpunkt ciemności i milczenia przy gadatliwym podnieceniu i romansowej krzątaninie tamtej. Skulony w łóżku mężczyzna, któremu zwieracze odmawiają posłuszeństwa i który własną uryną i odchodami pogarsza stan swoich zropiałych pośladków i grzbietu, szczywanym i przerażającym wejrzeniem śledzi odcinanie się tych kształtów, stających między nim a światłem. Umie przyzywać je w swoim pozbawionym odcieni języku, umie je sobie zjednać i zjednuje je z mądrością ołżyśmierci, i nienawidzi ich w milczeniu, zwłaszcza chyba Dory, która jest przy nim stale, Dory, niejasno związanej z rzeczami, które myślał niegdyś, które mu się wymknęły i których nigdy już nie odnajdzie.

Czy Dora odczuła tę nienawiść, a co gorsza, ten odcień nienawiści, to jakby uprzywilejowanie kobiety w żałobie, jakie kryło się w głębi opustoszałego oka w tym ostatnim odruchu życia? Można by tak sądzić ze wzrastającej wściekłości, której nie wyjaśnia sobie, ale którą w sobie czuje i chce przezwyciężyć, bo jej nie rozumie, która jednak czyni ją teraz szorstką i gwałtowną wobec pani de la Mettraie. Z początku chciała pohamować ten odruch, opanować go, i starała się być miłą dla pani de la Mettraie. Ale na próżno, szumiało to w niej, rosło, nie mogła znieść podziału, który zrazu nawet jej przez myśl nie przeszedł, obecności drugiej kobiety przy

zapowietrzonym łóżku mężczyzny. Jej mężczyzny. Mężczyzny, który zawarł w sobie całe jej życie, życie odkupione, przeistoczone, na nowo napisane — odmienione.

Wkrótce z najbliższych powodów zaczęły wybuchać między dwoma cieniami sprzeczki. Ostre głosy wznosiły się nad łóżkiem. Mercadier, spomiędzy prześcieradeł, skulony jak pies, słuchał tego z mieszanymi uczuciami strachu i złośliwej satysfakcji. Miał coś w rodzaju fizycznego upodobania do tych burz, których znaczenia nie pojmował. W jego gnijącym życiu stanowiło to pewną rozrywkę. Kulił się na marginesie tej rywalizacji. Plugawy słownik Dory wygnał wreszcie anielską posłankę, mimo całej pasji, z jaką zdobywała dusze dla nieba, i po kłótni, kiedy to panie trzykrotnie wydzierają sobie basen, a Piotr cichcem musiał obejść się bez niego, pani de la Mettraie opuściła willę pod gradem obelg, wśród których dominowało ważne słowo Dory: „Intrygantka!”

Gdy w końcu intrygantka znikła, czar znów zaczął działać, czar samotności. Romansowy szal Dory przybrał wówczas rozmiary epopei. Wszystko dokoła niej stało się złotogłowiem, dworskim płaszczem, bohaterstwem i wielkością. Mitologia księżniczki i wielkich przemysłowców, majak smutnego a pięknego pałacu, gdzie snuły się smukłe charty, damy strojne w pióra, oficerowie, służba. Istoty nadprzyrodzone wtargnęły przez okna i zatańczyły na posadzkach starego walca. Niewielki dom nawiedziły tłumy bladych zjaw. Dora przemawiała do tych fikcyjnych postaci, które rozsiadały się w fotelach, otaczały łóżko, w legendarnym chorym witały swego władcę u kresu cudownego żywota, króla-bohatera, kochanka, którego nic nie zdołało pozbawić urody, który żywy dostępuje chwały i aureoli, uświęcony nadludzką, wspaniałą i nie porównywalną miłością tej kobiety, o której wiadomo, że kochał ją, jak kochano w czasach błędnych rycerzy.

Jak właściwie godzą się z sobą to życie nadzmysłowe i szare dni w Garches, posiłki, dostawcy, to wszystko, co składa się na wątek godzin, nad tym się Dora nie zastanawia, do niej dochodzi tylko to, co jest upojeniem. Cała jest już tylko legendą. Czuje się szczęśliwa, potwornie szczęśliwa. Cała zwrócona ku zjawom, wypędza kolejno żywych, którzy przychodzą, by zamącić fantasmagorię. Wkrótce postanowiła obejść się nawet bez pomocy sąsiadki i zadowolila się własnoręcznym pichceniem konserw w kacie, przy kominku. Kurz i brudy narastały. Nie widziała tego. Nie dopuszczała już nawet lekarza. Płonące kadzidło, które obnosiła z pokoju do pokoju, zaspokajało wszelkie potrzeby duszy i ciała... Bogaty, odurzający zapach tłumiał mocne wonie zamieszkujące ten dom. Czas robił się gorący, w miarę jak mijał sierpień.

Pewnego dnia, gdy się obudziła, bo mimo wszystko istniały jeszcze nocne sny, ujrzała, że chory ma twarz dziwnej barwy, rzezi w pólśnie i jęczy. Kiedy wreszcie otworzył oczy, wyczytała w nich przerażenie i ból. Co go tak dręczy? Nie mogła się domyślić, a on nie umiał nic powiedzieć, tylko trzymał się za brzuch. Zaproponowała mu basen, ale nie chciał. Zapach

otaczający go był teraz jakiś inny. Trzeba było spalić cały kartonik kadzidła. Piotr oddychał dziwnie, a twarz mu się zapadała. Przyszło jej do głowy, że trzeba wezwać lekarza. Ale zbuntowała się na myśl, że miałaby znowu wprowadzić do pałacu swoich snów istotę z krwi i kości. Kręciła się cały dzień przy Piotrze, nie mając pojęcia, co się z nim dzieje. Nazajutrz woń stała się nie do zniesienia, więc Dora odwinęła bandażę i wtedy zobaczyła jego brzuch. Przepuklina profesora uwięzła i gangrena szerzyła się z zaskakującą szybkością. Kałdun pękł wydzielając ropę. Mercadier, nieprzytomny, tonął w nieopisanym ohydzie.

Dora, oszalała i nagle oświecona strachem, z gołą głową wybiegła na ulice Garches. Drzwi zostawiła otwarte, szukała doktora nie znając jego adresu, dzwoniła do różnych mieszkań, przemawiała do wybiegających ludzi tak nieprzytomnie, że odprawiali ją z głośnym trzaskaniem drzwi. Wreszcie trafiła na lekarza i przyprowadziła go wśród chaosu urywanych zdań.

Pojęła nagle, że jej szczęście jest nietrwałe. Aby to wyrazić, znajdowała słowa tak straszne, że rozdarłyby serce nawet lekarzowi, gdyby je oczywiście posiadał. Ale czy tego dnia ktoś mógł jeszcze mieć serce!

Było już za późno i Piotr Mercadier umarł, zanim przeniesiono go do szpitala. Rozmowa między „wdową” a lekarzem, naszpikowana wzmiankami o honorarium, mogłaby się wydać komiczna, gdyby się ktoś w takim dniu był nią zainteresował. Cała złożona była z nieporozumień i pomyłek. Doktor bowiem został tego dnia powołany do wojska i zastanawiał się, kiedy znajdzie czas, aby kupić sobie mundur, Dora zaś nie zauważyła ogłoszeń o powszechnej mobilizacji, a gdyby je nawet zauważyła, nie zrozumiałaby, co oznaczają, bo kpiła sobie z wojny, wzywała Piotra i nie chciała wierzyć, że on nie żyje, Piotr — całe jej niebo i życie, Piotr, jej czysta, jedyna miłość.

Nikt nie zdoła pojąć, ile rozpacz musiła się nagromadzić w duszy Dory, skoro napisała ten list i zaniósła go na pocztę. W burzy, jaka w niej szalała, odnalazła myśl o kopercie, niby o liściu rzuconym kiedyś na ziemię i magle porwanym przez wiatr. O kopercie zaadresowanej przez Piotra Mercadier, z której Dora wyciągnęła list i zniszczyła go. O kopercie z adresem Paskala, którą zachowała przez jakiś zabobon.

Pani Tavernier napisała więc do Paskala, że ojciec jego umarł, i zawiadomiła go o dniu pogrzebu. Ostatnie rozdarcie, ostatnia ofiara; godziła się z faktem, że śmierć nie należała już tylko do niej samej, oddawała go rodzinie, ludziom, o których istnieniu chciała zapomnieć. Będą szli za karawanem... Może jego żona...

List nie doszedł jednak do Paskala. Dora na próżno udreńczyła swoje serce. Paskal opuścił „Etoile-Famille” na dwa dni przed nadejściem listu, który utknął w stosie innych listów aż do dnia, gdy zmobilizowany przysłał swój adres, a wtedy Joanna wysłała cały pakiet pod tymże adresem. Ale ponieważ przez pierwszych dwadzieścia dni żaden żołnierz nie otrzymał poczty, Paskal został tymczasem przeniesiony gdzie indziej i wyprawiony na front na granicę belgijską, wzięty do niewoli podczas bitwy pod

Charleroi i odwrotu, i znów jego ślad pocztowy zaginął.

Zwłaszcza że punkt mobilizacyjny w Aisne, gdzie listy wysłano, zajęły w pierwszych dniach września wojska niemieckie. Tak więc Paskal nigdy się nie dowiedział, jak, gdzie, na czyich rękach umarł jego ojciec. Ani nawet, że umarł. Dziwny los Piotra Mercadier aż poza grób lubował się w tajemniczości i zamęcie i Paulina nie dowiedziała się, że jest wdową, a mały Jaś nie opłakał pana, którego widywał w niedzielę; tak samo Meyerowie, na zawsze zadziwieni tak wielką niewdzięcznością.

Paskal został wtrącony w wojnę, jak cały naród, zanim cokolwiek zrozumiał. Na próżno chciał w to uwierzyć — nie wierzył. Powtarzał sobie, że nikt wojny nie chce, że nowoczesne środki uczyniły ją niemożliwą, że w ostatniej chwili wszystko się jeszcze ułoży. Przeżył dni, gdy noty dyplomatyczne następowały po sobie jedna za drugą w przygnębiającym upale, jak kolejno z trzaskiem zamykane drzwi, a ludzie nie wiedzieli już, co się dzieje, skąd dmie wicher. Gdy rozeszła się wieść o śmierci Jauresa, przeraził się wojny domowej, a potem przyszła Union Sacree. Wreszcie Belgia...

Wszystko to było tak nagłe, tak szalone, tak brutalne. Człowiek nie obejrzał się, a już był żołnierzem, tkwił w tym nędznym życiu, dzienniki dochodziły skąpo lub wcale nie dochodziły, natomiast wiele bezsensownych plotek, niesłychany bałagan w magazynach, ci jacyś przeróżni ludzie, którzy też są Francuzami, ludzie podnieceni lub przybici, często i podnieceni, i przybici jednocześnie (zrozumcie to, jak wam się podoba), karaluchy łażą wam po nogach, nie można się umyć, mundury brudne i zawsze na inną miarę, dyscyplina, życie uproszczone i łamiące, tępy sen na słomie, pchły, po prostu wojna...

Co też ty mówisz! Mobilizacja to jeszcze nie wojna. W każdym razie nie trzeba się przejmować, potrwa to najwyżej trzy tygodnie. Za trzy tygodnie będziemy już w domu, w cywilu, a już najdalej za miesiąc...

Paskal uważa te słowa za lekkomyślne. Miesiąc, łatwo to powiedzieć. On oblicza, że sprawa przeciągnie się do jesieni. Ostatecznie przez październik, ale nie dłużej niż do 1 listopada. W zimie wojna jest niemożliwa. Spróbujcie ciągnąć te dzisiejsze armaty, gdy drogi są do niczego, w deszcz, mróz... Czy uda nam się skończyć z Wilhelmem II? Koniec z Kajzerem! Nikt już nie chce o nim słyszeć. Czy mamy dalej znosić to życie, jakie prowadzimy od Agadiru, incydenty w Saverne, zeppelin w Luneville itd.? Zdaje się, że nawet zakłady Maggi... i bulion Kub... Nie, bijemy się, aby z tym skończyć! To jest ostatnia wojna. Nie wolno dopuścić, aby nasze dzieci znów na to patrzyły. Dla nich walczymy. Gdy Paskal pomyśli, że Jaś mógłby kiedyś zostać takim samym jak on numerem w rejestrze pułku piechoty, serce mu się ściska, wzrok się mąci. Jeżeli trzeba zdychać, zdechnie, ale oszczędzi tego małemu. Paskal znowu myśli o ojcu, o którego śmierci nic nie wie. Myśli ze złością. W ostatnich dniach przeczytał niekompletny rękopis *Johna Law*. W obliczu tej wojny trudno o coś bardziej nieuzasadnionego jak ta nadzieja, którą poznał tak

późno, jak ten szaleńczy indywidualizm, który dla niego skupia się w tym ojcu. To wszystko naprawdę należy do minionej epoki... To oni nas do tego przywiedli, nasi ojcowie, przez swoje zaślepienie, swoją dumną pogardę wobec polityki, *przez* swoje wykrecanie się od trudnych spraw i pozostawianie tego innym. Ach, ładnie się spisali! Teraz Francję pochwycono za gardło i nie jest to żaden frazes. „Stawiamy opór od Sommy do Wogezów.” Przez cztery dni z rzędu trzeba było dzień i noc uciekać. Pod wieczór wpadało się na folwark; przerażeni ludzie mówili: „Myślicie, że oni są jeszcze daleko?”

Śmialiśmy się. Ale oto jakiś typ na rowerze, z meldunkiem do pułkownika. Zbiórka. Zbierają manatki. Znalazłszy się na drodze, człowiek wierzył, że dzielą go od nich tysiące kilometrów... Potem nagle — tratata, tratata... Karabiny maszynowe. Padnij! Grzęzną w brudnym lodzie wraz z ułanami, którzy wlekli się na koniach. Strzelano do nich jak do celu. Potem trzeba było biec. Ach, o pięciu mniej! Pięćdziesiąt kilometrów z obciążeniem. Nie kazali sobie tego powtarzać. Wystarczyło zobaczyć rannych, którzy wracali. Ranni nie wiedzieli, dokąd iść. Major nie miał opatrunków, noszy; wszystko zostało gdzieś w Nord.

Nie mieli już czasu namyślać się. Była wojna. Wszyscy pytali, gdzie się zatrzymamy. Gdy ujrzeli się w Seine-et-Marne, ładne to było widowisko. Są o sześćdziesiąt kilometrów od Paryża. Sześćdziesiąt? No, niedokładnie... Małe, ciche wioski, zieleń, zagajniki, droga, którą wyjeździł listonosz... A potem — paf! — w powietrzu ukazała się tylko jedna biała róża, ale nagle rozmnożyła się, pękało to na wszystkie strony, ludzie padali na buraki; walczono w wiosce, którą przed chwilą minęli... i gdzie była jeszcze ludność cywilna.

Czego miał się uchwycić Paskal? To był koniec. Został przerzucony na drugą stronę *rzeczy*. Krew, pot i błoto. Przez cztery lata i trzy miesiące nie miał żadnej własnej myśli, był kawałkiem olbrzymiego ciała, olbrzymiego zwierzęcia, rannego i ryczącego. Był na wojnie. Miał zmartwienia i nadzieje wspólne milionom innych ludzi, takich jak on, jak on przerzuconych na drugą stronę wszelkich *rzeczy*. Czasem wracała mu na pamięć postać ojca, a wtedy wzruszał ramionami.

Jednostka. O nie, mój kochany, ty chyba żartujesz: jednostka!

Czas wszelkich Piotrów Mercadier minął bezpowrotnie i gdy wbrew oczywistości myślało się o ich niedawnym absurdalnym życiu, jakże można było nie wzruszać współczująco ramionami?

Są to w każdym razie ludzie, którzy nas w to ubrali.

Tak, ale Jaś, Jaś nie zazna, co to wojna!

Po to właśnie przez cztery lata i trzy miesiące Paskal pełnił swoją powinność żołnierza.

W DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ i

Wozów rytm jednostajny znów bieg czasu mierzy

Ospale ryże woły znów chodzą w uprzęży  
To jesień niebo draży dziury w liści złocie  
Październik elektroskop drgnął stygnie w drętwo cie  
Jest jak za Karolingów Gnuśni z nas królowie  
Lot naszych marzeń ciężki jak stapania krowie  
Tyle wiemy że umrzeć przyjdzie koniec końców  
Ślad dzieł jutrzeńki niknie w zachodzącym słońcu  
Błądzimy pośród domostw siół opustoszałych  
Bez jęków bez okowów bez całunów białych  
Białego dnia upiory którym w świetle miło  
Widma życia co mową miłości mówiło

I Wiersz ten, pisany w wojsku w październiku 1939, w parę miesięcy po całkowitym ukończeniu *Pasażerów z dyliżansu*, nie miał początkowo ukazać się na tym miejscu. Dopiero za radą nowojorskiego wydawcy, który przeczytał utwór w „*Nouvelle Revue Francaise*” z 1 grudnia 1939, autor włączył go do powieści, tak jak uczyniono w tłumaczeniu amerykańskim. Zdarzenia, które sprawiły, że książka później ukazała się w języku francuskim niż w angielskim, opatrzyły ją tak straszliwym komentarzem, że echo ich musiało zabrzmieć na ostatniej stronie powieści. A ponieważ z każdej śmierci rodzi się życie, z każdej grozy — nadzieja, nie mogłem zakończyć dramatu nie wywołując twego wizerunku, gdyż dla ciebie pisałem ten wiersz (i tę powieść), dla ciebie, nieodłącznej od moich snów, ukochanej, której imię zapisuję tutaj, aby rozproszyć ciemności, dla ciebie, Elzo, co sprawiasz, że mogę wierzyć w przyszłość.

Nawyki sprzed dwudziestu lat jak strój z zasobów  
Niepamięci jak z szatni bierzemy i Swobód  
Dawnych tysiączne gesty wskrzeszamy tu w głębi  
Lochu i to nas zda się ni grzeje ni ziębi  
Znów się zdań mechanicznych rozpoczyna era  
Człowiek odrzuca dumę a nuta co wzbiera  
Na wargach to nie pieśń miłosna lecz głupawa  
Śpiewka którą nas raczy radio z lewa z prawa  
Dwadzieścia lat! To ledwie dziecięctwa obszary

Czy za nasze starszeństwo trzeba sroższej kary  
Niż widzieć znów maluchów po dwudziestu latach  
Niewiniątka co z nami zaznały dróg świata  
Ironiczny tytule W dwadzieścia lat *później*  
Zawierasz całe nasze życie Sen złowróźnie  
Zbacza między te słowa szyderstwem nabrzmiałe  
Dumasa ojca z cieniem tych które kochałeś  
Spośród nich tylko ta najśłodsza najpiękniejsza  
Rudą mgłą października wkoło się rozwiesza  
Moja trwoga nadzieja i miłość daleka  
Jedyna liczę dni i listu od niej czekam  
Żyłaś tylko połową życia lecz dojrzałą  
Żono moja Tych ważkich lat było tak mało  
Były jednak szczęśliwe wspomnieniem się koję  
Że ludzie mówiąc o nas mówili Ich dwoje  
Czym ów narwany młodzik jest dla ciebie teraz  
Kiedy jak nikły znak w oddali się zaciera  
Albo jak list skreślony na nadmorskich skałach  
Tylko cieniem nicością Wcale go nie znałaś  
Człowiek zmienia się jak na niebie chmur obrazy  
Wodziłaś niegdyś czule dłonią po mej twarzy  
I po bruzdach na czole zorany przez troski  
Długo gładząc na skroniach pierwsze siwe włoski  
Moja najmilsza dla mnie tylko ty jedyna  
Istniejesz gdy nadchodzi ta smutna godzina  
Zmierzchu gdy wątek wiersza nagle się urywa  
Wraz z wątkiem życia pierzcha radość ma płochliwa  
I choć tak chciałem głos powiedzieć nie pozwoli  
Kocham Gdy ciebie nie ma to słowo mnie boli